

**LEE CHILD**

## **POZIOM ŚMIERCI**

Tłumaczenie: Paulina Arbiter

*Moim agentem jest Darley Anderson z Londynu, redaktorami - David Highfill w Nowym Jorku i Mariannę Velmans w Londynie. Wszyscy ciężko pracowali, żeby dać mi szansę. Książkę tę dedykuję im trojgu w uznaniu zasług, wykraczających dalece poza zakres obowiązków służbowych.*

### **1**

Zostałem aresztowany w barze Ena o 12.00. Jadłem właśnie jajka, popijając kawą. Późne śniadanie, nie lunch. Byłem zmęczony i mokry po długim marszu w deszczu od autostrady do granicy miasta.

Bar był nieduży, lecz jasny i czysty. Nowiutki, urządzony na podobieństwo przerobionego wagonu kolejowego. Ot, wąskie pomieszczenie, z długim kontuarem z jednej strony i kuchnią na tyłach. Wzdłuż drugiej ściany stały odgradzone od siebie stoły. Dokładnie pośrodku znajdowały się drzwi.

Siedziałem za stołem przy oknie, czytając porzuconą gazetę. Pisali w niej o kampanii prezydenta, na którego nie głosowałem poprzednim razem i nie zamierzałem głosować teraz. Na zewnątrz deszcz przestał padać, lecz szyby wciąż jeszcze pokrywały lśniące krople. Nagle ujrzałem zajeżdżające na żwirowy parking radiowozy. Poruszały się szybko, hamowały ze zgrzytem, koguty błyskały - czerwone i niebieskie światła odbiły się w ściekających po szkle kroplach deszczu. Drzwi otwarły się, ze środka wyskoczyli policjanci, dwóch z każdego wozu, z bronią - dwa rewolwery, dwie strzelby. Ostro. Jeden z rewolwerem i drugi ze strzelbą pobiegli na zaplecze, inna para wpadła przez drzwi.

Ja tylko siedziałem i patrzyłem. Wiedziałem, kto jest w barze: kucharz na zapleczu, dwie kelnerki, dwóch starszków i ja. W całej tej operacji chodziło o mnie. Byłem w tym mieście niecałe pół godziny, pozostała piątka prawdopodobnie spędziła tu całe życie. Gdyby to dotyczyło jednego z nich, bar odwiedziłby zawstydzony sierżant. Szurając nogami, zaczęłyby przeproszać i mamrotać coś do nich, w końcu poprosiłby, by przyszedli na posterunek. Zatem cała ta broń i pośpiech nie były przeznaczone dla nikogo z nich, tylko dla mnie. Wepchnąłem do ust jajko, wsunąłem pod talerz piątkę, złożyłem porzuconą gazetę w mały kwadrat i schowałem do kieszeni płaszcz. Trzymając obie ręce nad stołem, opróżniłem kubek.

Gość z rewolwerem został przy drzwiach. Stał w rozkroku i trzymając oburącz broń, wycelował ją w moją głowę. Jego towarzysz ze strzelbą podszedł bliżej. Chłopcy byli nieźli - szczupli, wysportowani, sprawni i dokładni. Akcja jak z podręcznika. Pole ostrzału rewolweru obejmowało całą salę, wystrzelona z bliska kula ze strzelby mogła rozmazać mnie na szybie. Zamiana pozycji byłaby błędem, w razie walki wręcz rewolwer mógł chybić, a strzał ze strzelby, oddany z większej odległości, zabiłby aresztującego mnie policjanta i staruszka przy ostatnim stole. No i oczywiście mnie. Jak dotąd wszystko robili dobrze. Bez wątplenia mieli przewagę. Ciasne ścianki odbierały mi swobodę manewru, za mało miejsca, bym cokolwiek zrobił. Rozłożyłem ręce na stole, policjant ze strzelbą podszedł bliżej.

- Nie ruszać się! Policja! - krzyknął.

Wrzeszczał pełnym głosem. Sam pozbywał się napięcia, a do tego próbował mnie przestraszyć, jak z podręcznika. Wściekłość i wrzask rozmiękczały cel. Podniosłem ręce. Facet z rewolwerem mszył w moją stronę. Ten ze strzelbą zrobił krok do przodu. Stał teraz za blisko. Ich pierwszy błąd. Gdybym musiał, mógłbym złapać lufę i szarpnąć ją w górę. Strzał w sufit, łokieć w twarz policjanta i strzelba zmieniłaby właściciela. Policjant z rewolwerem miał mniejsze pole ostrzału, nie mógł ryzykować trafienia partnera... To mogłoby się źle dla nich skończyć. Aleja tylko siedziałem z podniesionymi rękami. Gość ze strzelbą wciąż krzyczał i podskakiwał.

Na podłogę! - ryknął.

Powoli wysunąłem się z za stołu i wyciągnąłem przeguby w stronę policjanta z rewolwerem. Nie zamierzałem kłaść się na podłogę. Nie przed tymi wieśniakami, nawet gdyby sprowadzili tu cały personel posterunku z pistoletami maszynowymi.

Ten z rewolwerem okazał się sierżantem. Był dość spokojny. Gliniarz ze strzelbą pilnował mnie, podczas gdy sierżant schował rewolwer, odpiął od pasa kajdanki i zatrzasnął je na moich przegubach. Z kuchni wyłoniła się wspierająca dwójka. Obeszli kontuar, zajęli pozycję za moimi plecami. Przeszukali mnie bardzo dokładnie. Dostrzegłem, jak sierżant potwierdza coś skinieniem głowy. Nie znaleźli broni.

Ci ze wsparcia złapali mnie za łokcie, właściciel strzelby wciąż pilnował każdego mojego ruchu. Sierżant wystąpił naprzód. Był mocno zbudowanym, wysportowanym białym mężczyzną, szczupłym i opalonym, w moim wieku. Plastikowa plakietka nad kieszenią koszuli głosiła: Baker. Spojrzał na mnie.

- Jest pan aresztowany za morderstwo - oznajmił. - Ma pan prawo zachować milczenie, wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo

do adwokata. Jeśli pana na to nie stać, stan Georgia wyznaczy panu adwokata z urzędu, bez dodatkowych opłat. Rozumie pan swoje prawa?

Całkiem niezła wersja obowiązkowej formuły Mirandy. Mówił wyraźnie, nie czytał z kartki. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, co to znaczy i dlaczego jest ważne dla niego i dla mnie. Nie odpowiedziałem.

- Rozumie pan swoje prawa? - powtórzył.

I znów nie odpowiedziałem. Długie doświadczenie nauczyło mnie, iż najlepszą reakcją jest całkowite milczenie. Powiedz coś, a mogą cię źle usłyszeć, źle zrozumieć, błędnie zinterpretować twoje słowa, co może doprowadzić do skazania i do śmierci. Milczenie drażni aresztującego policjanta. Musi ci powiedzieć, że masz prawo zachować milczenie, ale nie znosi, gdy korzystasz z owego prawa. Aresztowano mnie za morderstwo. Nic nie powiedziałem.

- Rozumie pan swoje prawa? - spytał jeszcze raz Baker. - Mówi pan po angielsku?

Wciąż był spokojny. Milczałem. Miał w sobie spokój człowieka, dla którego chwila zagrożenia minęła. Po prostu zawiezie mnie na posterunek, a potem będę już problemem kogoś innego. Zerknął na swoich trzech towarzyszy.

-W porządku, zapamiętajcie: niczego nie powiedział - mruknął. - Idziemy.

Poprowadzili mnie w stronę drzwi. Ustawiliśmy się szereg: najpierw Baker, potem gliniarz ze strzelbą idący tyłem - wielka czarna lufa wciąż celowała prosto we mnie. Na plakietce widniało nazwisko Stevenson. On także był białym mężczyzną średniego wzrostu, w wyraznie dobrej formie. Jego broń wyglądała jak rylna i celowała w mój brzuch. Z tyłu szli faceci ze wsparcia. Ręka jednego z nich, przyciśnięta do moich pleców, wypchnęła mnie za próg.

Na zewnątrz, na zwirowym parkingu było gorąco. Deszcz padał chyba całą noc i większość ranka. Teraz wyjrzało słońce, ziemia parowała. Zwykle byłoby to upalne, zakurzone miejsce, dziś jednak wszędzie wokół unosiła się para. Czulem cudowny zapach mokrego chodnika pod gorącymi promieniami południowego słońca. Uniosłem twarz i odetchnąłem głęboko. Tymczasem policjanci znów się przegrupowali - po jednym przy każdym łokciu, Stevenson wciąż tyłem, wciąż ze strzelbą. Szybko pokonaliśmy krótki dystans dzielący nas od radiowozów. Przy pierwszym z nich Stevenson cofnął się o krok. Baker otworzył tylne drzwi. Policjant z lewej strony pchnął mnie głową naprzód i zgrabnym ruchem biodra wtłoczył do samochodu. Nieźle. W takiej dziurze z pewnością stanowiło to owoc treningu, nie doświadczenia.

Siedziałem sam z tyłu wozu, od przednich siedzeń oddzielała mnie gruba szklana tafla. Przednie drzwi wciąż stały otworem. Baker i Stevenson weszli do środka. Baker prowadził, Stevenson siedział obrócony i nie spuszczał ze mnie oka. Nikt się nie odzywał. Za nami podążał drugi wóz. Radiowozy były nowe. Cicha, spokojna jazda, czyste, chłodne wnętrza, żadnych trwałych śladów po zdesperowanych, żalonych ludziach, jadących tam, gdzie ja teraz.

Wyjrzałem przez okno. Georgia. Ujrzałem żyzną ziemię, ciężką, wilgotną, czerwoną ziemię. Bardzo długie, proste rzędy niskich krzaków na polach - może orzeszki ziemne? Drobiazg, ale cenny dla uprawiającego bądź właściciela. Czy tutejsze grunty należą do mieszkańców, czy też do wielkich korporacji? Nie miałem pojęcia.

Podróż do miasta trwała bardzo krótko. Samochód z sykiem pokonywał gładki, mokry asfalt. Po niecałym kilometrze ujrzałem dwa budynki - oba nowe, oba starannie wykończone. Posterunek policji i remiza strażacka. Stały samotnie za ozdobionym posągami szerokim trawnikiem na północnym skraju miasta. Ładny przykład wiejskiej architektury i dużego budżetu. Jezdnie wylano gładkim asfaltem, chodniki wyłożono czerwoną kostką. Trzysta metrów na południe ujrzałem oślepiająco białą wieżę kościoła, sterczącą spoza niewielkiej grupki budynków. Widziałem maszty flagowe, markizy, świeżą farbę, zielone trawniki. Obfity deszcz odświeżył powietrze i splukał kurz, teraz miasto parowało w upale. Bogate miasteczko. Bogactwo swe zawdzięczało zapewne dużym dochodom z farm i wysokim podatkom płaconym przez mieszkańców zatrudnionych w Atlancie.

Stevenson wciąż mnie obserwował. Wóz zwolnił i skręcił na półkolisty podjazd przed posterunkiem. Ujrzałem przed sobą wykuty w ścianie napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Czy powinienem się niepokoić? Zostałem aresztowany w miasteczku, którego nigdy wcześniej nie odwiedzałem, najwyraźniej za morderstwo. Wiedziałem jednak dwie rzeczy. Po pierwsze: nie mogli dowieść, że do czegoś doszło, jeśli do tego nie doszło. A po drugie: nikogo nie zabiłem.

Przynajmniej nie w ich mieście i nie od bardzo, bardzo dawna.

## 2

**Z**atrzymaliśmy się przed drzwiami długiego, niskiego budynku. Baker wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Policjanci ze wsparcia czekali obok. Stevenson okrążył nasz radiowóz, zajął pozycję naprzeciw Bakera, wycelował we mnie strzelbę. Sprawny zespół, bez dwóch zdań. Baker otworzył mi drzwi. - W porządku, idziemy - rzucił cicho, niemal szeptem. Kołysał się na piętach, wodząc wzrokiem dookoła. Powoli pochylałem się i przekręcając ciało,

wysiadłem z samochodu. Kajdanki nie ułatwiały sprawy. Na zewnątrz było jeszcze goręcej. Postąpiłem krok naprzód i zatrzymałem się. Wspierająca dwójka stanęła mi za plecami. Przed sobą miałem wejście posterunku. Na marmurowej framudze wyryto napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Pod spodem podwójne szklane drzwi. Baker pociągnął jedno skrzydło, które otwarło się z młasnieniem gumowych uszczelek. Jeden ze wspierających pchnął mnie naprzód. Drzwi zamknęły się cicho.

Wewnątrz panował chłód. Wszystko było białe i chromowane, światła jarzeniowe. Czuję się jak w banku albo w firmie ubezpieczeniowej. Wykładzina na podłodze. Sierżant stał za długą ladą recepcyjną zupełnie jakby miał zaraz spytać: „Czym mogę służyć, proszę pana?” Milczał jednak, jedynie na mnie patrzył. Za plecami miał rozległe pomieszczenie. Ciemnowłosa kobieta w mundurze siedziała za szerokim, niskim biurkiem i stuknęła w klawiaturę. Uniosła wzrok, zerkając w moją stronę. Stałem bez ruchu pomiędzy dwoma policjantami. Stevenson opierał się o ladę recepcji, nadal celował we mnie ze strzelby. Baker trzymał się z boku i patrzył na mnie, sierżant i kobieta w mundurze także mi się przyglądali, więc i ja spojrzałem na nich.

Potem poprowadzono mnie na lewo. Stanęliśmy przed drzwiami, Baker otworzył je i zostałem wepchnięty do pozbawionego okien pokoju, najwyraźniej sali przesłuchań. Biały stół, trzy krzesła, wykładzina. W górnym rogu kamera. Klimatyzator nastawiono na bardzo niską temperaturę, a ja wciąż byłem mokry po deszczu.

Stałem tak, podczas gdy Baker grzebał mi w kieszeniach, układając mój majątek w niewielki stosik na stole. Zwitek banknotów, kilka monet, paragony, bilety, kawałki papieru. Baker sprawdził gazetę i zostawił mi ją. Zerknął na mój zegarek, ale nie zdjął mi go z przegubu. Nie interesowały go te rzeczy. Wszystko inne trafiło do dużego, zapinanego foliowego worka, wyraźnie stworzonego dla ludzi noszących w kieszeniach znacznie więcej niż ja. Na jego wierzchu nadrukowano biały prostokąt. Stevenson zapisał na nim jakiś numer.

Baker kazał mi usiąść. Potem wszyscy wyszli z pokoju. Stevenson zabrał ze sobą worek. Zamknęli drzwi. Usłyszałem szcęk zamka, niski odgłos dobrze naoliwionej zasuwy, dźwięk wyrażający precyzję. Odgłos wielkiego, stalowego zamka, takiego, który z pewnością zatrzyma mnie w środku.

\* \* \*

Sądziłem, że na jakiś czas zostawią mnie samego. Zwykle tak właśnie się robi. Izolacja budzi w człowieku chęć do rozmowy, a ta z kolei prowadzi często do zwierzeń. Brutalne aresztowanie i godzina odosobnienia to całkiem niezła strategia.

Myliłem się jednak, nie planowali godzinnej przerwy. Być może był to ich drugi niewielki błąd taktyczny. Baker otworzył drzwi i przekroczył próg, w dłoni niósł plastikowy kubek z kawą. Potem wezwał do pokoju kobietę w mundurze, tę, którą dostrzegłem przy biurku. Ciężki zamek szczęknął za jej plecami. Kobieta przyniosła ze sobą metalową walizeczkę. Położyła ją na blacie, otworzyła i wyjęła długą, czarną ramkę na numer. W środku umieszczono białe plastikowe cyfry.

Wręczyła mi ramkę - jej twarz wyrażała profesjonalne, lekko przepraszające współczucie, jakie często widuje się u asystentek dentystów. Ująłem numer skutymi dłońmi, mrużąc oczy upewniłem się, że nie trzymam go do góry nogami, i uniosłem pod brodę. Kobieta wyjęła z walizeczki aparat fotograficzny, usiadła naprzeciw mnie, oparła łokcie na stole, by ustabilizować aparat. Pochyliła się lekko, jej piersi dotknęły krawędzi stołu. Ładna babka, ciemne włosy, piękne oczy. Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się. Aparat szczęknął, błysnął flesz. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwróciłem się bokiem, demonstrując profil. Przytrzymałem długi numer przy ramieniu, wbijając wzrok w ścianę. Aparat znów szczęknął i błysnął. Odwróciłem się z powrotem i wyciągnąłem tabliczkę w jej stronę, oburącz z powodu kajdanek. Kobieta odebrała mi ją z uśmiechem mówiącym: „Tak, to nieprzyjemne, ale konieczne” - znów zupełnie jak asystentka dentystyczna.

Potem przygotowała zestaw do pobierania odcisków palców. Świeżutka karta oznaczona już numerem, taka, na których miejsca na kciuk są zawsze za małe. Na odwrocie widniały dwa puste kwadraty, czekające na odcisk dłoni. Kajdanki utrudniały cały proces, Baker jednak nie kwapił się ich zdjąć. Kobieta posmarowała moje dłonie tuszem. Palce miała chłodne i gładkie, ani śladu obrączki. Po wszystkim wręczyła mi plik chusteczek. Tusz zszedł bez trudu. Jakiś nowy wynalazek. Nie znałem go dotąd.

Wyjęła film z aparatu i położyła go na stole obok karty z odciskami. Schowała aparat do walizeczki. Baker zastukał do drzwi. Zazgrzytał zamek. Moja towarzyszka zabrała rzeczy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Kobieta wyszła z pokoju. Baker został ze mną, zamknął drzwi, zamek zaskoczył z tym samym szczękiem. Potem oparł się o framugę i popatrzył na mnie.

- Zaraz tu będzie mój szef - oznajmił. - Musi pan z nim pomówić. Mamy poważny problem. Trzeba go wyjaśnić.

Nie odpowiedziałem. Rozmowa ze mną nie wyjaśni żadnego problemu, ale trzeba przyznać, że gość zachowywał się w porządku, z szacunkiem. Podałem go zatem próbie. Uniosłem ręce w niemej prośbie, by rozpiął kajdanki. Przez chwilę stał w bezruchu, potem wyjął kluczyk, zdjął mi je i z powrotem powiesił u pasa. Spojrzał na mnie, a ja na niego,

opuściłem ręce. Nie odetchnąłem z ulgą, nie rozcierałem przegubów ze zbolaną miną. Nie chciałem nawiązywać bliższych kontaktów z tym gościem.

- Zgoda - rzekłem. - Chodźmy do szefa.

Od chwili gdy zamówiłem śniadanie, odezwałem się po raz pierwszy. Teraz to Baker sprawiał wrażenie, jakby spadł mu kamień z serca. Dwukrotnie zastukał do drzwi. Ktoś z zewnątrz otworzył zamek. Baker nacisnął klamkę i wezwał mnie skinieniem dłoni. W dużym pomieszczeniu czekał już na nas Stevenson. Strzelba zniknęła, wsparcie też. Powoli wszystko wracało do normy. Ustawili się po obu moich stronach, Baker lekko chwycił mnie za łokieć. Przeszliśmy przez otwarte pomieszczenie do drzwi na tyłach. Stevenson pchnął je i znaleźliśmy się w dużym gabinecie. Wszędzie wokół mnóstwo drewna różanego.

Przy wielkim biurku siedział jakiś tłusciuch. Za jego plecami dostrzegłem wielkie flagi - po lewej Gwiazdy i Pasy, obszyte złotymi frędzlami, po prawej coś, co jak przypuszczałem, musiało być flagą stanu Georgia. Na ścianie między nimi tykał zegar - okrągły antyk z mahoni, który wyglądał, jakby od dziesiątków lat polerowano go do połysku. Zapewne pochodził ze starego posterunku, który wyburzyli, by zbudować to miejsce. Może architekt wykorzystał go, by nadać nowemu budynkowi atmosferę ciągłości historycznej. Wskazówki pokazywały niemal w pół do pierwszej.

Grubas za biurkiem spojrzał na mnie, gdy Baker pchnął mnie w jego stronę. Miał wzrok, jakby próbował mnie skojarzyć. Po sekundzie popatrzył ponownie, uważniej. Potem wykrzywił się i odezwał skrzekliwym głosem - gdyby nie kiepskie płuca, ów głos wzniosłby się do krzyku.

- Posadź tyłek na krześle i nie otwieraj parszywej gęby.

Zaskoczył mnie. Wyglądał na prawdziwego dupka - w odróżnieniu od wszystkich, których dotąd spotkałem. Baker i jego zespół byli fachowcami, skutecznymi i sprawnymi, kobieta od odcisków zachowywała się przyzwoicie. Natomiast ten tłusty komendant - strata miejsca! Cienkie, brudne włosy, spocony mimo chłodu panującego w budynku, szara, pokryta czerwonymi plamami cera zapuszczonego grubasa, ciśnienie krwi niebotyczne, arterie twarde jak skały. W ogóle nie sprawiał wrażenia fachowca.

- Nazywam się Morrison - wyrzeźił, zupełnie jakby cokolwiek mnie to obchodziło. - Jestem komendantem posterunku policji w Margrave, a ty mordercą i przybłądą. Przyjechałeś do mego miasta i nabroiliśmy na prywatnym terenie pana Klinera. A teraz złożysz pełne zeznanie mojemu szefowi detektywów.

Urwał i spojrzał na mnie, zupełnie jakby wciąż próbował mnie z kimś skojarzyć albo czekał na odpowiedź. Nie doczekał się, pogroził mi więc tłustym palcem.

- A potem trafisz do więzienia - stwierdził - i wylądujesz na krześle. A ja narobię na twój nędzny, zafajdany grób.

Z trudem dźwignął się z krzesła i odwrócił wzrok.

- Sam bym się tym zajął - oznajmił - ale mam mnóstwo pracy. Kołysząc się wyszedł zza biurka. Stałem pomiędzy nim a drzwiami. Zatrzymał się nagle, jego tłusty nos sterczał mniej więcej na poziomie środkowego guzika mojego płaszcza. Grubas wciąż na mnie patrzył, jakby coś go zastanowiło.

- Ja już cię widziałem - powiedział. - Ale gdzie?

Zerknął na Bakera, potem na Stevensona, zupełnie jakby oczekiwał, że zapamiętają, co mówi i gdzie to mówi.

- Widziałem już tego faceta.

\* \* \*

Trzasnął drzwiami i zostałem z dwoma gliniarzami, czekając na pojawienie się szefa detektywów. Wysoki, czarnoskóry mężczyzna, nie stary, lecz siwiejący i łysiejący, co tylko dodawało mu więcej godności. Energiczny, pewny siebie, dobrze ubrany w staroświecki tweedowy garnitur. Zamszowa kamizelka, starannie wypastowane buty. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać komendant. Gestem odesłał Bakera i Stevensona, zamknął za nimi drzwi, usiadł za biurkiem i dłonią wskazał mi krzesło naprzeciwko.

Z hurgotem otworzył szufladę i wyciągnął magnetofon. Uniósł go na długość ręki, rozplątując sznur. Wetknął wtyczkę do gniazdka, podłączył mikrofon, włożył kasetę, nacisnął nagrywanie i pstryknął paznokciem w mikrofon. Zatrzymał taśmę, przewinął.

Włączył odtwarzanie, wysłuchał uderzenia paznokcia, skinął głową, ponownie przewinął i zaczął nagrywać. Siedziałem bez słowa, obserwując go.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W powietrzu unosił się jedynie cichutki szmer - powietrze, lampa bądź komputer, albo może obracająca się taśma. Słyszałem powolne tykanie starego zegara, cierpliwe, jakby czasomierz był gotów tykać całą wieczność, bez względu na to, co zrobię. A potem mój towarzysz wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie uważnie. Splótł przed sobą dłonie jak typowy wykształcony elegant.

- W porządku - powiedział. - Mamy kilka pytań, zgadza się?

Głos miał głęboki jak grzmot, ani śladu południowego akcentu. Wyglądał i zachowywał się jak bankier z Bostonu, tyle że był czarny.

- Nazywam się Finlay - oznajmił. - Mam stopień kapitana i kieruję detektywami w tutejszym posterunku. Poinformowano pana o pańskich prawach, ale pan nie oświadczył, że je rozumiał. Zanim przejdziemy dalej, musimy załatwić tę sprawę.



Nie bankier z Bostonu, bardziej gość po Harvardzie.

- Rozumiem swoje prawa - powiedziałem. Przytaknął.

- Doskonale - rzekł. - Cieszę się. Gdzie jest pański prawnik?

- Nie potrzebuję prawnika - odparłem.

- Oskarżono pana o morderstwo. Potrzebny panu prawnik. Możemy go panu zapewnić bez żadnych opłat. Chce pan, abyśmy go wezwali?

- Nie, nie potrzebuję go - powtórzyłem.

Facet nazwiskiem Finlay przyglądał mi się długo ponad splecionymi palcami.

- W porządku - odparł w końcu. - Będzie pan jednak musiał podpisać formularz. No wie pan, poinformowaliśmy pana, że może pan otrzymać prawnika i zapewnimy go panu bez dodatkowych kosztów, pan jednak kategorycznie odmówił.

- Zgoda.

Z kolejnej szuflady wyciągnął formularz. Zerknął na zegarek, wpisując datę i godzinę. Podsunął mi kartkę, duży krzyżyk zaznaczał miejsce, w którym powinienem się podpisać. Finlay wręczył mi długopis. Podpisałem i oddałem mu formularz. Przebiegł go oczami i umieścił w sztywnej teczce.

- Nie potrafię odczytać pańskiego podpisu - stwierdził - toteż dla porządku zacznijmy od imienia, nazwiska, adresu i daty urodzenia.

Znowu cisza. Przyjrzałem mu się uważnie. Uparciuch. Na oko, jakieś czterdzieści pięć lat. W stanie Georgia czterdziestopięcioletni czarnoskóry nie mógłby zostać szefem detektywów, gdyby brakowało mu upor. Nie ma co go podpuszczać.

- Nazywam się Jack Reacher - oznajmiłem. - Nie mam drugiego imienia ani adresu.

Zapisał. Nie było tego wiele. Podałem mu datę urodzenia.

- W porządku, panie Reacher - rzekł Finlay. - Jak już mówiłem, mamy sporo pytań. Przejrzałem pańskie rzeczy, ale nie znalazłem żadnych dokumentów, prawa jazdy, kart kredytowych, nic. Twierdzi pan, że nie ma też adresu. Kim więc jest ten gość?

Nie czekał na mój komentarz.

- Kim był mężczyzna z ogoloną głową? - spytał.

Nie odpowiedziałem. Obserwowałem wielki zegar czekając, by poruszyła się wskazówka minutowa.

- Proszę mi opowiedzieć o tym, co się stało - powiedział. Nie miałem pojęcia, co się stało. Zielonego. Coś spotkało kogoś, ale nie mnie. Siedziałem bez ruchu. Milczałem.

- Co to jest *Pluribus* - zapytał Finlay. Popatrzyłem na niego, wzruszając ramionami.

- Motto Stanów Zjednoczonych, *E Pluribus Unum* Przyjęte w 1776 roku przez II Kongres Kontynentalny, zgadza się?

Finlay jedynie mruknął. Cały czas patrzyłem wprost na niego. Ocenilem, iż należy do tych, którzy czasami odpowiadają na pytania.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytałem zatem.

Znów cisza. Teraz nadeszła jego kolej, by na mnie spojrzeć. Widziałem, że się zastanawia, co i jak odpowiedzieć.

- O co tu chodzi? - powtórzyłem. Oparł się wygodnie, splatając palce.

- Wie pan, o co chodzi - powiedział. - O zabójstwo, z kilkoma bardzo niepokojącymi cechami. Ofiarę znaleziono dziś rano w magazynie Klinera na północnym końcu lokalnej drogi, przy zjeździe z autostrady. Świadkowie zeznali, że widzieli mężczyznę, który oddalał się z miejsca zbrodni. Tuż po ósmej dziś rano. Opis: biały mężczyzna, bardzo wysoki, w długim, czarnym płaszczu, jasne włosy, goła głowa, bagażu brak.

Cisza. Jestem biały, bardzo wysoki i mam jasne włosy. Siedziałem tam ubrany w długi czarny płaszcz, bez czapki i żadnej torby. Dziś rano niemal cztery godziny maszerowałem lokalną drogą, od ósmej do jedenastej czterdzieści pięć.

- Jak długa jest droga? - spytałem. - Od autostrady aż do tego miejsca?

Finlay zastanowił się chwilę.

- Jakieś dwadzieścia dwa kilometry.

- W porządku - rzekłem. - Przeszedłem na piechotę całą drogę z autostrady do miasta, dwadzieścia dwa kilometry. Tak pan mówi. Mnóstwo ludzi musiało mnie widzieć. Nie oznacza to, że coś komuś zrobiłem.

Nie odpowiedział. Cała ta sytuacja zaczynała mnie ciekawić.

- Czy to wasz rejon? Aż do autostrady?

- Owszem - odparł. - Nie mamy problemów z jurysdykcją. W ten sposób się pan nie wymknie, panie Reacher. Granice miasta rozciągają się na dwadzieścia dwa kilometry wokół, aż do autostrady. Tamtejsze magazyny są moje, co do tego nie ma wątpliwości.

Zaczekał. Skinąłem głową. Podjął wątek.

- Klinier zbudował to miejsce pięć lat temu. Słyszał pan o nim? Potrząsnąłem głową.

- Jak mogłem o nim słyszeć? - spytałem. - Nigdy wcześniej tu nie byłem.

- To lokalna szucha - wyjaśnił Finlay. - Jego fabryka płaci olbrzymie podatki. Dużo na tym zyskujemy bez zwykłych komplikacji, bo jest od nas daleko. Staramy się zatem dbać o to miejsce. Teraz jednak stało się ono areną zabójstwa, a pan musi nam wiele wyjaśnić.

Gość robił, co do niego należało, ale marnował tylko mój czas.

- W porządku, Finlay - stwierdziłem. - Złożę oświadczenie opisujące dokładnie wszystko, co zrobiłem od chwili przekroczenia granicy waszego parszywego miasteczka do momentu, kiedy zaciągnęliście mnie tutaj, przerywając mi cholerne śniadanie. I jeśli przyda ci się to na cokolwiek, to dam ci cholerny medal, ponieważ niemal przez cztery godziny w ulewnym deszczu stawiałem jedynie kolejne kroki, pokonując cholerne dwadzieścia dwa kilometry.

Było to najdłuższe przemówienie, jakie wygłosiłem od sześciu miesięcy. Finlay siedział bez ruchu, patrząc na mnie. Widziałem, jak zmagają się z podstawowym problemem, stojącym przed każdym detektywem. Instynkt podpowiadał mu, że nie jestem właściwym człowiekiem, ale przecież siedziałem przed nim. Co zatem powinien zrobić? Niech się zastanawia. Trzeba wybrać odpowiedni moment. Zamierzałem wspomnieć coś o prawdziwym sprawcy krążącym na wolności, podczas gdy on marnuje czas na mnie. To podsyciłoby jego niepewność. Jednakże Finlay ruszył pierwszy, w niewłaściwym kierunku.

- Żadnych oświadczeń - powiedział. - Ja będę zadawał pytania, a ty na nie odpowiesz. Jesteś Jack, bez drugiego imienia, Reacher. Brak adresu, brak dokumentów. Włóczęga czy co?

Westchnąłem. Był piątek. Z wskazań wielkiego zegara na ścianie wynikało, że dzień do połowy już upłynął. A ten gość, Finlay, nie zamierzał iść na skróty. Czekał mnie weekend w celi. Pewnie wypuszczą mnie w poniedziałek.

- Nie jestem włóczęgą, Finlay - oznajmiłem. - Tylko włóczykijem. To wielka różnica. Powoli pokręcił głową.

- Nie wymądrzaj się, Reacher, tkwisz po uszy w gównie. Zdarzyło się coś bardzo niedobrego. Nasz świadek widział, jak opuszczasz miejsce zbrodni. Jesteś obcy, nie masz dokumentów, nic, więc się nie wymądrzaj.

Nadal robił to, co do niego należało, ale wciąż marnował mój czas.

- Nie opuszczałem miejsca zbrodni - odparłem. - Szedłem cholerną drogą. To różnica, nie? Ludzie uciekający z miejsca zbrodni ukrywają się, nie idą przed siebie. Czemu nie można przejść się drogą? Ludzie robią to cały czas, prawda?

Finlay pochylił się i potrząsnął głową.

- Nie - rzekł. - Od dnia wynalezienia samochodu nikt nie pokonał pieszo całej tej drogi. Dlaczego zatem nie masz adresu? Skąd jesteś? Odpowiadaj. Załatwmy tę sprawę.

- Zgoda, Finlay, załatwmy ją. Nie mam adresu, bo nigdzie nie mieszkam. Może któregoś dnia gdzieś się osiedlę, wtedy będę miał adres i przyślę ci widokówkę, a ty zapiszesz go sobie w swoim cholernym notatniku, bo tak bardzo się tym przejmujesz.

Finlay przyglądał mi się przez chwilę, wyraźnie rozważając możliwe metody postępowania. Zdecydował się na cierpliwość. Cierpliwość połączoną z uporem. Nieustępliwy glina.

- Skąd jesteś? - spytał. - Gdzie ostatnio mieszkałeś?

- Co dokładnie masz na myśli pytając, skąd jestem? Zacisnął wargi. Wyraźnie go wkurzałem, ale zachował cierpliwość, doprawiając ją jednak lodowatą ironią.

- Nie rozumiesz mojego pytania, więc spróbujmy ująć to jaśniej. Chodzi mi o to, gdzie się urodziłeś, gdzie mieszkałeś w okresie, który uważasz za najbardziej istotny w swoim rozwoju społecznym bądź kulturalnym.

Patrzyłem na niego bez słowa.

- Dam ci przykład - dodał. - Osobiście urodziłem się w Bostonie, wykształciłem w Bostonie i dwadzieścia lat pracowałem w Bostonie. Powiedziałbym zatem, a ty zgodziłbyś się ze mną, że jestem z Bostonu.

Miałem rację, gość z Harvardu. Gość z Harvardu, któremu zaczyna brakować cierpliwości.

- Okay - odparłem. - Zadałeś swoje pytania, ja ci odpowiem. Ale najpierw powiem coś jeszcze. Nie jestem tym, którego szukasz. W poniedziałek sam się o tym przekonasz, zrób więc sobie tę grzeczność i nie przestawaj szukać.

Finlay z trudem powstrzymywał uśmiech. Skinął głową.

- Doceniam tę radę i troskę o moją karierę.

- Bardzo proszę.

- Mów dalej - rzucił.

- Zgoda - rzekłem. - Według twojej radosnej definicji pochodzę znikąd, z miejsca zwanego wojskiem. Urodziłem się w bazie armii Stanów Zjednoczonych w Berlinie Zachodnim. Mój stary służył w piechocie morskiej, matka była Francuzką, którą poznał w Holandii. Pobrali się w Korei.

Finlay przytaknął, zapisał coś.

- Byłem wojskowym dzieckiem - ciągnąłem. - Pokaż mi spis amerykańskich baz na całym świecie, tam właśnie mieszkałem. Chodziłem do szkół w dwóch tuzinach różnych krajach. Cztery lata spędziłem w West Point.

- Mów dalej - powtórzył Finlay.

- Zostałem w armii. Żandarmeria wojskowa. Znów służyłem i mieszkałem w tych samych bazach. A potem, Finlay, po trzydziestu sześciu latach bycia najpierw dzieckiem oficera, a potem oficerem, nagle w wielkiej armii zabrakło dla mnie miejsca, bo Sowieci

wyciągnęli kopyta. Hurra, cięcia na czas pokoju. Dla ciebie oznacza to, że twoje podatki zostaną wydane na coś innego, dla mnie, że mam trzydzieści sześć lat i jestem bezrobotnym byłym żandarmem wojskowym, a nadęty cywil, który nie przetrwałby nawet pięciu minut w moim świecie, nazywa mnie włóczęgą.

Zastanowił się chwilę. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Kontynuuj - polecił. Wzruszyłem ramionami.

- Zatem chwilowo po prostu dobrze się bawię - odparłem. - Może w końcu znajdę sobie jakąś robotę, może nie. Może gdzieś osiadę, może nie. W tej chwili nie mam tego w planach.

Przytaknął. Znów coś zanotował.

- Kiedy odszedłeś z armii? - spytał.

- Pół roku temu, w kwietniu.

- Od tego czasu gdziekolwiek pracowałeś?

- Żartujesz? Kiedy po raz ostatni szukałeś pracy?

- W kwietniu - odparł, naśladując mój ton. - Pół roku temu. Dostałem tę robotę.

- I brawo, Finlay.

Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Finlay przyglądał mi się uważnie.

- Z czego żyjesz? - spytał. - Jaki miałeś stopień?

- Majora - powiedziałem. - Kiedy mnie wykopali, dali mi odprawę. Wciąż mam prawie całą, staram się żyć oszczędnie, kapujesz.

Cisza. Finlay wystukiwał długopisem na stole skomplikowany rytm.

\* \* \*

- Pomówmy zatem o ostatnich dwudziestu czterech godzinach - stwierdził.

Westchnąłem. Zaczynają się kłopoty.

- Wsiadłem z autobusu Greyhounda - oznajmiłem. - Przy lokalnej drodze, o ósmej dziś rano. Pieszko przyszedłem do miasta, trafiłem do jadłodajni, zamówiłem śniadanie i jadłem je właśnie, gdy twoi ludzie wpadli do środka i mnie zgarnęli.

- Masz tu jakąś sprawę? - spytał. Potrząsnąłem głową.

- Nie pracuję. Nigdzie nie mam żadnych spraw. Zapisał.

- Gdzie wsiadłeś do autobusu? - spytał.

- W Tampie, wczoraj o północy.

- Tampa na Florydzie?

Przytaknąłem. Ze szczękiem wysunął kolejną szufladę, wyjął z niej rozkład jazdy autobusów, znalazł właściwą stronę i przesunął po niej długim brązowym palcem. Dokładny facet. Spojrzał na mnie.

- To autobus ekspresowy - oznajmił. - Na północ, do Atlanty. Przyjeżdża na miejsce o dziewiątej rano. Nie zatrzymuje się tu o ósmej.

Pokręciłem głową.

- Poprosiłem kierowcę, by się zatrzymał - wyjaśniłem. - Odparł, że nie powinien, ale to zrobił. Zatrzymał się specjalnie dla mnie.

- Byłeś tu już kiedyś? Ponownie pokręciłem głową.

- Masz tu rodzinę? - naciskał. - Nie tutaj.

- A gdzie indziej?

- Brata w Waszyngtonie. Pracuje dla Departamentu Skarbu.

- Masz przyjaciół w Georgii? - Nie.

Finlay zapisał wszystko. Zapadła długa cisza. Wiedziałem dokładnie, jakie będzie jego następne pytanie.

- Więc dlaczego? - spytał. - Czemu wysiadłeś z autobusu na niezaplanowanym przystanku i przeszedłeś w deszczu dwadzieścia dwa kilometry do miasta, do którego nic cię nie sprowadza?

Pytanie za sto punktów. Finlay trafił bezbłędnie. Podobnie trafiłby prokurator, a ja nie dysponowałem rozsądną odpowiedzią.

- Cóż mogę rzec? - odparłem. - To była odruchowa decyzja. Nudziłem się, gdzieś musiałem się wybrać.

- Ale czemu tutaj?

- Nie wiem. Gość obok mnie miał mapę i wybrałem sobie to miasteczko. Chciałem zejść z głównych szlaków. Pomyślałem, że ruszę pętlą w stronę Zatoki, może trochę dalej na zachód.

- Ot tak, wybrałeś to miejsce? - spytał Finlay. - Nie chrzań. Niby jak? To tylko nazwa, kropka na mapie. Musiałeś mieć jakiś powód.

Skinąłem głową.

- Pomyślałem, że poszukam śladów Ślepego Blake'a - wyjaśniłem.

- Kto to, do diabła, jest? - spytał.

Widziałem, jak w myślach rozpatruje kolejne scenariusze, niczym komputer szachowy oceniający poszczególne ruchy. Czy Ślepy Blake to mój przyjaciel, wróg, współnik, współspiskowiec, nauczyciel, wierzyciel, dłużnik, następna ofiara?

- Ślepy Blake był gitarzystą - wyjaśniłem. - Zmarł sześćdziesiąt lat temu, być może został zamordowany. Mój brat kupił jego płytę. Na okładce wspomniano, że zdarzyło się to w Margrave. Napisał mi o tym. Mówił, że wiosną kilka razy odwiedził służbowo to miasteczko. Pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę tę historię.

Finlay patrzył na mnie, ale z jego oczu nic nie można było wyczytać. Cała ta gadka musiała mu się wydać niezbyt przekonująca. Na jego miejscu też bym tak uważał.

- Przyjechałeś tu w poszukiwaniu gitarzysty? - spytał. - Nieżyjącego od sześćdziesięciu lat? Czemu? Sam jesteś gitarzystą?

- Nie - odparłem.

- W jaki sposób brat napisał do ciebie, skoro nie masz adresu?

- Napisał do mojej dawnej jednostki - wyjaśniłem. - Przesyłają mi pocztę do banku, w którym umieściłem odprawę. Kiedy wypłacam kasę, dostaję też pocztę.

Pokręcił głową, zapisał coś.

- Autobus z Tamy, o północy, zgadza się? Przytaknąłem.

- Masz bilet? - spytał.

- Pewnie jest w moich rzeczach. - Przypomniałem sobie Bakera, pakującego do worka wszystkie śmieci z kieszeni, i Stevensona opisującego worek.

- Czy kierowca mógł cię zapamiętać? - naciskał Finlay.

- Może - odparłem. - To nie był zwyczajny przystanek. Musiałem go poprosić.

Nagle poczułem się jak widz. Cała ta sytuacja wydała mi się abstrakcyjna. Moja praca nie różniła się zbytnio od pracy Finlaya. Czułem się dziwnie, jakbym rozmawiał z nim o czyjejs innej sprawie, jakbyśmy byli partnerami, omawiającymi złożony problem.

- Dlaczego nie pracujesz? - zapytał. Wzruszyłem ramionami i spróbowałem wytłumaczyć.

- Bo nie chcę pracować. Pracowałem przez trzynaście lat, zaprowadziło mnie to donikąd. Spróbowałem już grać według ich reguł. Do diabła z nimi, teraz zagram po swojemu.

Finlay wpatrywał się we mnie w milczeniu.

- Miałeś jakieś kłopoty w wojsku? - spytał w końcu.

- Nie więcej niż ty w Bostonie. Zaskoczyłem go.

- To znaczy?

- Dwadzieścia lat mieszkałeś w Bostonie - odparłem. - Sam mi mówiłeś, Finlay. Czemu zatem jesteś dziś tutaj, w tej małej dziurze na prowincji? Powinieneś żyć z emerytury, łowić ryby na Cape Cod. Jaka jest twoja historia?

- To moja sprawa, panie Reacher - uciął. - Odpowiedz na pytanie.

Wzruszyłem ramionami.

- Spytaj w wojsku.

- Zrobię to, możesz być pewien. Odszedłeś z honorami?

- Czy w przeciwnym razie dostałbym odprawę? - odparowałem.

- Dlaczego miałbym wierzyć, że zapłacili ci choćby centa? Żyjesz jak cholerny włóczęga. Odejdźcie z honorami. Tak czy nie?

- Tak - powiedziałem. - Oczywiście.

Znów coś zapisał. Zastanawiał się przez chwilę.

- Jak się czuleś, kiedy cię zwolnili? - spytał. Zamyśliłem się, a potem wzruszyłem ramionami.

- Niczego nie czułem. Po prostu byłem w wojsku i nagle przestałem w nim być.

- Nie czuleś złości? Zawodu?

- Nie. A powinienem?

- Żadnych problemów? - upierał się, zupełnie jakby coś musiało się zdarzyć.

Czułem, że powinienem udzielić jakiejś odpowiedzi, ale nie potrafiłem niczego wymyślić. Od dnia narodzin służyłem w wojsku. Teraz odszedłem. Wspaniałe uczucie, uczucie wolności, jakby przez całe życie dręczył mnie ćmiący ból głowy, ale ja nie dostrzegałem go, póki nie minął. Jedynym problemem było utrzymanie. Jak się utrzymać, nie rezygnując z wolności? Niełatwo. Od sześciu miesięcy nie zarobiłem nawet centa. Był to mój jedyny problem, ale nie zamierzałem mówić o tym Finlayowi, bo uznałby to za motyw. Pomyślałby, iż utrzymuję się z napadania na ludzi i zabijania ich.

- Zmiana nie była łatwa - powiedziałem w końcu. - Zwłaszcza że żyłem tak od dziecka.

Finlay przytaknął. Zastanowił się nad odpowiedzią.

- Dlaczego akurat ciebie zwolnili? - spytał. - Zgłosiłeś się na ochotnika?

- Nigdy nie zgłaszam się na ochotnika - odparłem. - Podstawowa reguła przeżycia w wojsku. Kolejna przerwa.

- Specjalizowałeś się w czymś?

- Z początku wykonywałem zwykłe obowiązki. Tak działa system. Potem przez pięć lat zajmowałem się ochroną tajemnic wojskowych, a przez ostatnich sześć czymś innym.

Niech sam spyta. - Czym?

- Dochodzeniami w sprawie zabójstw.



Finlay odchylił się na krzesło, mruknął, ponownie splótł przed sobą dłonie, spojrzał na mnie i wypuścił powietrze. Wycelował we mnie palcem.

- W porządku - rzekł. - Zamierzam to sprawdzić. Mamy twoje odciski, powinny być w aktach wojskowych. Dostaniemy raport o przebiegu twojej służby. Pełny, wszystkie szczegóły. Sprawdzimy twój bilet w firmie przewozowej, znajdziemy kierowcę, pasażerów. Jeśli mówisz prawdę, wkrótce się o tym dowiemy. To ci może ocalić skórę. Niewątpliwie zadecydują o tym pewne szczegóły dotyczące czasu i metod. Jak dotąd, pozostają one niejasne.

Zawiesił głos, wypuszczając powietrze. Spojrzał wprost na mnie.

- Tymczasem będę ostrożny - dodał. - Z pozoru nie wyglądasz dobrze. Włóczęga, bezdomny, bez adresu, bez historii. Wszystko, co powiedziałaś, może okazać się jedną wielką bzdurą. Może jesteś uciekinierem mordującym ludzi na prawo i lewo w dziesięciu różnych stanach. Po prostu nie wiem. Nie oczekuj, że wątpliwości przemówią na twoją korzyść. W tej chwili w ogóle nie powinienem mieć wątpliwości. Zostaniesz pod kluczem, dopóki się nie upewnimy, zgoda?

Tego właśnie się spodziewałem. Na jego miejscu powiedziałbym dokładnie to samo. Teraz jednak spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

- Jesteś człowiekiem ostrożnym? Bez wątpienia. Popatrzył na mnie.

- Jeśli się mylę, w poniedziałek kupię ci lunch u Ena. W ramach rekompensaty za dzisiaj.

Ponownie pokręciłem głową.

- Nie szukam tu kumpla.

Finlay wzruszył tylko ramionami. Wyłączył magnetofon, przewinał taśmę i wyjął ją. Napisał coś na niej. Nacisnął guzik stojącego na wielkim drewnianym biurku interkomu i wezwał Bakera. Czekałem. Wciąż było mi zimno, ale w końcu wyschłem. Deszcz doszczętnie mnie zmoczył. Teraz wyssało go ze mnie suche biurowe powietrze. Filtr ściągnął całą wilgoć.

Baker zapukał i wszedł do środka. Finlay kazał odprowadzić mnie do celi. Potem pożegnał się skinieniem głowy mówiąc: „Jeśli okaże się, że to nie ty, pamiętaj, iż wykonuję jedynie swoją pracę”. Odpowiedziałem skinieniem. Moje mówiło: „Podczas gdy ty kryjesz swój tyłek, gdzieś na zewnątrz krąży morderca”.

\* \* \*

Areszt stanowił w istocie zaledwie szeroką wnękę w wielkiej sali policyjnej. Pionowe pręty dzieliły ją na trzy cele. Do każdej prowadziły osobne drzwi. Metal połyskiwał miękko, cudownie, wyglądał na tytan. Wszystkie cele wyłożono wykładziną, były jednak zupełnie

puste. Ani śladu mebli czy łóżek. Ot, wysoko budżetowa wariacja na temat staroświeckiego aresztu tymczasowego.

- Nie można tu nocować? - spytałem Bakera.

- Nie ma mowy - odparł. - Później przewiozą cię do więzienia stanowego. Autobus przyjeżdża o szóstej. W poniedziałek dostarczy cię z powrotem.

Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Usłyszałem, jak wokół drzwiczek zaskakują na miejsce zasuwę. Zamek elektryczny. Wyjąłem z kieszeni gazetę, zdjąłem płaszcz i zwinąłem w rulon. Położyłem się płasko na podłodze, wsuwając płaszcz pod głowę.

Teraz byłem naprawdę wkurzony. Miałem spędzić weekend w więzieniu. Nie zostanę w areszcie na posterunku. Nie żebym miał inne plany, ale znałem więzienia cywilne - mnóstwo dezerterów trafia w końcu do cywilnych więzień, jak nie za to, to za coś innego. Biurokraci zawiadamiają wojsko, żandarmi wojskowi przybywają po aresztowanego. Widywałem więc cywilne więzienia i nie budziły we mnie szalonego entuzjazmu. Leżałem wściekły, słuchając odgłosów dochodzących z posterunku. Dźwięków telefonów, stukotu klawiatur, tempo rosło i malało. Funkcjonariusze krążyli wokół, rozmawiając zniżonymi głosami.

Spróbowałem dokończyć lekturę pożyczonej gazety. Pełno w niej było pierdoł na temat prezydenta i jego kampanii wyborczej - startował na drugą kadencję. Stary przebywał właśnie w Pensacoli, nad Zatoką. Zamierzał zbilansować budżet, nim posiwieją mu wnuki. Obcinał wszystko, niczym szalowiec z maczetą wyrąbujący drogę w dżungli. W Pensacoli miał zamiar zająć się strażą przybrzeżną. Straż przybrzeżna od dwunastu miesięcy przeprowadzała stałą akcję - co dzień funkcjonariusze opuszczali wybrzeża Florydy, przeszukując wszystkie statki i łodzie, które przyciągnęły ich uwagę. Początek akcji ogłoszono z wielkimi fanfarami i okazała się ona niewiarygodnym, niespodziewanym sukcesem. Straż przybrzeżna przechwytywała najróżniejszą kontrabandę, głównie narkotyki, ale też broń, no i nielegalnych emigrantów z Haiti i Kuby. W efekcie przestępczość w całych Stanach, tysiące mil dalej, wyraźnie spadła. Ogromny sukces.

Ale teraz akcję zakończono. Fakt, była bardzo kosztowna. W budżecie straży przybrzeżnej pojawił się spory deficyt. Prezydent oznajmił, że nie da się zwiększyć budżetu, mało tego - musi go obciąć. Gospodarka przeżywa kryzys, nie ma innego rozwiązania. Akcja wzmoczonych kontroli miała zakończyć się za siedem dni. Prezydent próbował wyjść z tego z twarzą, jak to polityk. Wysocy funkcjonariusze służb bezpieczeństwa byli wściekli, bo uważali, że prewencja jest lepsza niż leczenie objawów. Bywalcy z Waszyngtonu cieszyli się, bo pięćdziesiąt centów wydanych na ulicznych gliniarzy widać znacznie lepiej niż dwa dolary

wydane na oceanie trzy tysiące kilometrów od wyborców. Przerzucano się argumentami. Na zamazanym zdjęciu prezydent uśmiechał się promiennie, jak przystało na polityka mówiąc, że nic nie może poradzić. Przerwałem lekturę, bo wkurzała mnie jeszcze bardziej.

By się uspokoić, zacząłem słuchać w głowie muzyki. Refren „Smokestack Lightning”. W wersji Howling Wolfa słyhać cudowny, zduszony krzyk. Mówią, że aby zrozumieć podróznego bluesa, trzeba trochę pojeździć koleją. Mylą się. By zrozumieć podróznego bluesa, trzeba spędzić trochę czasu w zamknięciu, w celi albo w wojsku, gdzieś, gdzie człowiek tkwi w klatce. Gdzieś, gdzie oświetlony komin fabryczny wydaje się odległym pomnikiem niewyobrażalnej wolności. Leżałem tam z płaszczem pod głową, słuchając dźwięczącej w myślach muzyki. Pod koniec trzeciego refrenu zasnąłem.

\* \* \*

Obudziłem się, kiedy Baker zaczął kopać w pręty. Każdemu kopnięciu towarzyszył głuchy brzęk przypominający dźwięk pogrzebowego dzwonu. Baker stał przed celą razem z Finlayem, patrzyli na mnie. Zostałem na podłodze. Było mi całkiem wygodnie.

- Powtórz, gdzie byłeś o północy zeszłej nocy? - spytał Finlay.

- Wsiadałem do autobusu w Tampie - odparłem.

- Mamy nowego świadka - rzucił Finlay. - Widział cię w magazynie. Kręciłeś się tam o północy.

- To bzdura, Finlay. Niemożliwe. Kim, do diabła, jest ów nowy świadek?

- Świadek to komendant Morrison - oznajmił Finlay. - Szef tutejszej policji. Mówi, iż był pewien, że gdzieś cię widział. Teraz przypomniał sobie gdzie.

### 3

**Z**abrali mnie z powrotem do urządzonego w drewnie gabinetu. Znow byłem w kajdankach. Finlay siedział za wielkim biurkiem, za plecami miał flagi, nad głową stary zegar. Baker przysiadł na krześle z boku, ja naprzeciw Finlaya, który wyjął magnetofon, wyciągnął kable, ustawił między nami mikrofon, sprawdził paznokciem, cofnął taśmę. Gotów.

- Ostatnie dwadzieścia cztery godziny, Reacher - polecił. - Ze szczegółami.

Obaj policjanci aż kipieli od tłumionego podniecenia. Słabe oskarżenie nagle zyskało na sile. Ogarniała ich euforia zwycięstwa. Rozpoznałem te objawy.

- Zeszłej nocy byłem w Tampie - oznajmiłem. - O północy wsiadłem do autobusu. Mogą to potwierdzić świadkowie. Wsiadłem o ósmej dziś rano w miejscu, gdzie wasza droga wychodzi na autostradę. Jeśli komisarz Morrison twierdzi, że widział mnie o północy,

myli się. O tej porze znajdowałem się jakieś sześćset kilometrów stąd. Nie mogę dodać niczego więcej. Sprawdźcie to.

Finlay przyglądał mi się uważnie. W końcu skinął głową do Bakera, który otworzył sztywną teczkę.

- Ofiara nie została zidentyfikowana - oświadczył. - Brak dokumentów, brak portfela, brak znaków szczególnych. Biały mężczyzna około czterdziestki, bardzo wysoki, z ogoloną głową. Ciało znaleziono o ósmej rano na ziemi przy ogrodzeniu w pobliżu bramy głównej. Częściowo pokrywały je arkusze kartonu. Zdołaliśmy zdjąć odciski palców. Wynik negatywny. Nie znaleziono odpowiednika w bazie danych.

- Kim on był, Reacher? - spytał Finlay.

Baker czekał na jakąś reakcją z mojej strony. Nie doczekał się. Siedziałem bez ruchu, słuchając cichego tykania starego zegara. Wskazówki przesunęły się do drugiej trzydzieści. Milczałem. Baker pogrzebał w teczce i wybrał kolejną kartkę. Na moment uniósł wzrok, po czym zaczął czytać.

- Ofiara otrzymała dwa strzały w głowę. Prawdopodobnie z małokalibrowej broni automatycznej z tłumikiem. Pierwszy strzał z bliska, w lewą skroń. Drugi, rana kontaktowa za lewym uchem. Bez wątplenia pociski miękkołuszczowe, bo rany wylotowe kompletnie zniszczyły mu twarz. Deszcz zmył ślady prochu, lecz wzór oparzeń sugeruje obecność tłumika. Pierwszy strzał musiał być śmiertelny. W czaszce nie znaleziono pocisków, łusek też nigdzie nie było.

- Gdzie jest pistolet, Reacher? - spytał Finlay. Spojrzałem na niego i skrzywiłem się. Milczałem.

- Ofiara zginęła pomiędzy jedenastą trzydzieści i pierwszą zeszłej nocy - ciągnął Baker. - O wpół do jedenastej, gdy strażnik zszedł z wieczornej zmiany, ciała tam nie było. Strażnik to potwierdza. Znaleziono je, gdy strażnik z dziennej zmiany przybył, by otworzyć bramę, około ósmej rano. Widział, że opuszczasz miejsce zbrodni i zadzwonił.

- Kim on był, Reacher? - powtórzył Finlay. Puściłem jego słowa mimo uszu. Spojrzałem na Bakera.

- Dlaczego przed pierwszą? - spytałem.

- O pierwszej zaczęła się ulewa - odparł. - Chodnik pod ciałem był suchy jak pieprz. A zatem ciało leżało już na ziemi przed pierwszą, gdy zaczął padać deszcz. Zdaniem lekarza, mężczyzna został zastrzelony o północy.

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się do nich. Czas śmierci miał się stać moją przepustką na wolność.

- Powiedz nam, co się działo potem - rzekł cicho Finlay. Wzruszyłem ramionami.

- Ty mi powiedz - odparłem. - Mnie tam nie było. O północy byłem w Tampie.

Baker pochylił się naprzód, wyciągając z teczki kolejną kartkę.

- Oto, co się zdarzyło. Odbiło ci - oznajmił. - Kompletnie oszalałeś.

Pokręciłem głową.

- Nie było mnie tam o północy - powtórzyłem. - Wsiadałem do autobusu w Tampie.

Nie ma w tym nic nienormalnego.

Obaj policjanci nie zareagowali. Sprawiali ponure wrażenie.

- Najpierw zabiłeś go pierwszym strzałem - powiedział Baker. - Potem strzeliłeś ponownie, a potem dostałeś szalu i skopałeś trupa. Znaleźliśmy rozległe pośmiertne obrażenia. Zastrzeliłeś go, a później próbowałeś rozwalić kopniakami. W ataku furii, skopałeś zwłoki jak oszalały. Potem uspokoiłeś się i spróbowałeś ukryć ciało pod kartonami.

Długo milczałem.

- Obrażenia pośmiertne? - spytałem w końcu. Baker przytaknął.

- To dzieło szaleńca. Facet wygląda, jakby przejechała go ciężarówka. Ma potrzaskane wszystkie kości. Ale lekarz twierdzi, że stało się to, gdy już nie żył. Dziwny z ciebie facet, Reacher, bez dwóch zdań.

- Kim on był? - po raz trzeci spytał Finlay.

Popatrzyłem na niego bez słowa. Baker miał rację: dziwna sprawa, bardzo dziwna. Morderczy szal jest dostatecznie paskudny, lecz znęcanie się nad ciałem po śmierci to coś gorszego. Kilka razy zetknąłem się z czymś takim i nie miałem ochoty powtarzać tego doświadczenia. Lecz ich opis nie miał najmniejszego sensu.

- Gdzie spotkałeś tego faceta? - dopytywał się Finlay. Wciąż na niego patrzyłem. Nie odpowiadałem.

- Co oznacza *Pluribus!* - spytał. Wzruszyłem ramionami. Milczałem.

- Kim on był, Reacher?

- Mnie tam nie było - odparłem. - Nic nie wiem. Finlay umilkł.

- Jaki jest twój numer telefonu? - spytał nagle. Popatrzyłem na niego, jakby zwariował.

- Finlay, o czym ty, do diabła, mówisz? Nie mam telefonu. Nie słuchałeś? Nigdzie nie mieszkam.

- Mam na myśli twoją komórkę - wyjaśnił.

- Jaką komórkę? Nie mam telefonu komórkowego.

Nagle poczułem dreszcz strachu. Uznali mnie za zawodowego mordercę, szalonego najemnika, włóczęgę z telefonem komórkowym, który krąży po całym kraju, zabijając ludzi, rozwalając trupy kopniakami, a potem melduje się w podziemnej organizacji po następnym kontrakcie, stale pozostając w ruchu.

Finlay pochylił się naprzód. Podsunął mi kawałek papieru, oddarty z drukarki komputerowej, niezbyt stary, lekko przetłuszczony, tak jak skrawek papieru od miesiąca tkwiący w kieszeni. Wydrukowano na nim podkreślony nagłówek głoszący: *Pluribus*. Pod nim widniał numer telefonu. Spojrzałem na niego nie dotykając. Nie chciałem żadnych problemów z odciskami palców.

- To twój numer? - spytał Finlay.

- Ja nie mam telefonu - powtórzyłem. - Nie było mnie tu zaszłej nocy. Im bardziej będziesz naciskał, tym więcej czasu stracisz, Finlay.

- To numer telefonu komórkowego - rzekł. - Tyle wiemy. Operator z Atlanty. Nie możemy jednak aż do poniedziałku sprawdzić, do kogo należy. Pytamy zatem ciebie. Powinieneś z nami współpracować, Reacher.

Ponownie spojrzałem na skrawek papieru.

- Gdzie to znaleźliście?

Finlay zastanowił się chwilę i uznał, że odpowie.

- Tkwił w bucie twojej ofiary - oznajmił. - Ukryty.

\* \* \*

Dłuższy czas siedziałem w milczeniu. Niepokoiłem się. Czuję się jak bohater książki dla dzieci, który wpada do dziury i nagle odkrywa, że znalazł się w dziwnym świecie, gdzie wszystko wygląda inaczej, niesamowicie, tak jak Alicja w Krainie Czarów. Czy ona wpadła do dziury? A może wysiadła z Greyhounda w niewłaściwym miejscu?

Siedziałem w bogato urządzonej gabinecie. Widywałem już gorsze w bankach szwajcarskich. Towarzyszyło mi dwóch policjantów, inteligentnych, w pełni profesjonalnych, prawdopodobnie dysponujących wspólnie ponad trzydziestoletnim doświadczeniem, dojrzały, fachowy posterunek, bogaty, dobrze wyposażony. Słaby punkt stanowił jedynie ich szef, ten dupek, Morrison, natomiast do reszty nie można się przyczepić. Teraz jednak kolejno wpadali w ślepy zaulek. Wydawali się przekonani, że Ziemia jest płaska i że wielkie niebo w Georgii to misa dokładnie pasująca do ziemi. W całym tym towarzystwie tylko ja wiedziałem, że planeta jest okrągła.

- Dwie rzeczy - stwierdziłem. - Gość zostaje postrzelony w głowę z bliska z pistoletu automatycznego. Pierwszy strzał go powala, drugi to ubezpieczenie. Brak łusek. O czym to świadczy?

Finlay milczał. Jego główny podejrzany omawiał z nim sprawę niczym zwykły kolega. Jako śledczy nie powinien był do tego dopuścić. Powinien mnie uciszyć. Ale chciał wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Wiedziałem, że toczy wewnętrzny spór. Siedział bez ruchu, lecz jego umysł zmagał się z myślami niczym stado kociaków w worku.

- Mów dalej - rzekł w końcu, z powagą jakby chodziło o wielką sprawę.

- To egzekucja, Finlay - powiedziałem. - Nie napad rabunkowy ani kłótnia, tylko zimne, klasyczne morderstwo. Usunięte dowody rzeczowe. Sprawca to inteligentny facet z latarką, który po wszystkim zdołał znaleźć dwie łuski po nabojach małego kalibru.

- Mów dalej - powtórzył Finlay.

- Strzał z bliska w lewą skroń - podjąłem. - Możliwe, że ofiara siedziała w samochodzie. Strzelec rozmawia z nią przez okno, podnosi broń, bang. Pochyliła się i strzela po raz drugi. Potem zbiera łuski i odchodzi.

- Odchodzi? - spytał Finlay. - A reszta tego wszystkiego? Sugerujesz, że był też drugi człowiek?

Potrząsnąłem głową.

- Było ich trzech - oznajmiłem. - To chyba jasne.

- Dlaczego trzech?

- Praktyczne minimum. Jak ofiara dostała się do magazynu? Z pewnością samochodem. To za daleko, by pójść pieszo. Gdzie zatem podział się samochód? Strzelec także nie przyszedł pieszo. Zatem praktyczne minimum to dwie osoby. Przyjechali razem, odjechali osobno. Jeden z nich w wozie ofiary.

- Ale... - zaczął Finlay.

- Ale dowody wskazują na co najmniej trzy osoby. Zastanów się nad tym z psychologicznego punktu widzenia, bo to klucz do sprawy. Facet, który używa małokalibrowej broni automatycznej z tłumikiem po to, by strzelić w głowę, a potem poprawić drugim strzałem, nie jest typem gościa, który nagle wpada w szal i zaczyna kopać trupa, zgadza się? A gość wpadający w szal nie uspokaja się nagle i nie ukrywa zwłok pod starymi arkuszami kartonu. Widzimy tu trzy kompletnie różne zachowania. Musiało w tym zatem uczestniczyć trzech ludzi.

Finlay wzruszył ramionami.

- Może dwóch - powiedział. - Strzelec mógł po wszystkim posprzątać.

- Nie ma mowy - zaprzeczyłem. - Nie czekałby. Nie spodobałby mu się podobny atak szafu. To wzbudziłoby jego zakłopotanie i zaniepokoiło, ponieważ przyciąga uwagę do zbrodni. A poza tym, podobny gość, gdyby sprzątał, postąpiłby mądrzej. Nie zostawiłby trupa w miejscu, na który natknie się pierwszy przychodzący do pracy dozorca. Mamy tu zatem trzech ludzi.

Finlay zastanawiał się przez chwilę.

- I? - spytał.

- I którym z nich mam być? Strzelcem? Wariatem? Czy idiotą, który ukrył ciało?

Finlay i Baker spojrzeli po sobie. Nie odpowiedzieli.

- A niezależnie od wszystkiego zastanów się, co mówisz. Przyjechałem tam z moimi dwoma kumplami, załatwiliśmy faceta o północy, a potem moi dwaj kumple odjechali, a ja postanowiłem zostać. Czemu miałbym to robić? To bzdura, Finlay.

Milczał. Myślał.

- Nie mam dwóch kumpli - oznajmiłem. - Ani samochodu. Możesz co najwyżej uznać, iż ofiara przyszła pieszo na miejsce zbrodni i ja także. Spotkaliśmy się, a potem zastrzeliłem go jak zawodowca. Zebrałem łuski, wziąłem jego portfel, opróżniłem kieszenie, lecz zapomniałem przeszukać buty. Potem ukryłem broń, tłumik, latarkę, telefon komórkowy, łuski, portfel itd. Następnie całkowicie zmieniłem całą swoją osobowość i niczym szaleniec zacząłem kopać trupa. Później ponownie przeszedłem gruntowną zmianę osobowości i niezdarnie próbowałem ukryć ciało, a potem odczekałem osiem godzin w deszczu i ruszyłem do miasta. To najlepsza wersja wydarzeń, jaką możesz przedstawić. I kompletna bzdura, Finlay. Bo czemu, do diabła, miałbym czekać osiem godzin w deszczu aż do świtu, by opuścić miejsce zbrodni?

Długo mi się przyglądał.

- Nie wiem - przyznał w końcu.

\* \* \*

Człowiek taki jak Finlay nie mówi czegoś podobnego, chyba że toczy walkę z samym sobą. Wydawał się jakiś oklapnięty. Jego dowody nie miały wartości i doskonale o tym wiedział. Istniał jednak poważny problem z zeznaniem komendanta. Finlay nie mógł podejść do szefa i powiedzieć: „Jesteś kłamliwym dupkiem, Morrison”. Nie mógł nadal prowadzić śledztwa, gdy jego szef wręczył mu podejrzanego na tacy. Pozostało mu jedynie sprawdzić swoje alibi. Przynajmniej tyle. Nikt nie skrytykuje go za dokładność. A potem, w poniedziałek, znów zacznie pracę. Był zatem nieszczęśliwy, bo wiedział, że zmarnuje siedemdziesiąt dwie godziny. Widział też przed sobą większy problem: musiał powiedzieć



szefowi, że nie mogło mnie być na miejscu o północy. Będzie musiał uprzejmie wyciągnąć od niego odwołanie zeznań. Trudne, gdy jest się nowym pracownikiem, zatrudnionym zaledwie od pół roku, i gdy osoba, z którą ma się do czynienia, to całkowity dupek, a w dodatku szef. Zewsząd otaczały go trudności. Finlay nie był nimi zachwycony. Siedział, oddychając ciężko. Kłopoty. Czas mu pomóc.

- Ta komórka - powiedziałem. - Po czym poznałeś, że to nie numer stacjonarny?

- Po kodzie - odparł. - Zamiast numeru kierunkowego jest prefiks kodu, pozwalający na połączenie z siecią komórkową.

- W porządku, ale nie możesz ustalić, do kogo należy, bo nie macie książek telefonicznych telefonów komórkowych, a ich centrala wam nie powie, zgadza się?

- Żądają nakazu.

- Ty jednak musisz wiedzieć, czyj to numer, prawda? - naciskałem.

- Znasz jakiś sposób, by to załatwić bez nakazu? - spytał.

- Niewykluczone - mruknąłem. - Może po prostu zadzwoń i zobacz, kto odbierze.

Nie wpadło im to do głowy. Kolejna chwila ciszy. Byli zakłopotani, nie chcieli patrzeć na siebie ani na mnie. Milczeli.

Baker zareagował pierwszy. Zostawił Finlaya sam na sam z piłką. Zebrał akta i gestem pokazał, że chciałby wyjść na zewnątrz, by nad nimi popracować. Finlay skinął głową i pożegnał go skinieniem. Baker wstał i wyszedł. Cichutko zamknął za sobą drzwi. Finlay otworzył usta i zamknął je o krótkim wahaniu. Musiał zachować twarz. Bardzo mu na tym zależało.

- To komórka - powiedział. - Jeśli zadzwonię, nie poznam, do kogo należy ani gdzie można ją znaleźć.

- Posłuchaj, Finlay - rzuciłem. - Nie obchodzi mnie, kto jest właścicielem. Interesuje mnie to, kto nim nie jest, zrozumiałeś? To nie mój telefon. Zadzwoń zatem i odpowie ci John Piprzycki w Atlancie bądź Jane Piprzycka w Charlestonie, a wtedy przekonacie się, że telefon nie jest mój.

Finlay wpatrywał się we mnie. Zaczął bębnić palcami o blat. Milczał.

- Wiesz, jak to zrobić - ciągnąłem. - Zadzwoń pod ten numer, wymyśl jakąś bzdurną historyjkę o usterce technicznej albo nie zapłaconym rachunku, coś komputerowego. Każ rozmówcy potwierdzić nazwisko i adres. Zrób to, Finlay. W końcu jesteś cholernym detektywem.

Finlay pochylił się naprzód, sięgając do porzuconego skrawka papieru. Przesunął go w swych długich brązowych dłoniach, obrócił, by dało się przeczytać cyfry, i podniósł

sluchawkę. Wybrał numer. Nacisnął guzik głośnika. Pokój wypełnił ton wybierania - nie długi i dźwięczny, jak w domowym telefonie, lecz wysoki, naglący pisk elektroniczny. Po chwili się urwał. Ktoś odebrał.

- Paul Hubble - powiedział męski głos. - Słucham. Południowy akcent. Duża pewność siebie. Przywykły do telefonów.

- Panie Hubble - rzucił Finlay. Patrzył na biurko, zapisując nazwisko. - Dobry wieczór. Dzwonię z firmy telefonicznej, z działu telefonów komórkowych. Jestem szefem techników. Zgłoszono nam usterkę pańskiego telefonu.

- Usterkę? - spytał głos. - Mnie wydaje się w porządku. Niczego nie zgłaszałem.

- Kiedy pan dzwoni, wszystko powinno być w porządku - powiedział Finlay. - Problem stanowi dodzwonienie się do pana. Mam w tej chwili podłączony miernik poziomu sygnału i, prawdę mówiąc, odczyt jest dość niski.

- Ja słyszę dobrze.

- Halo? - Finlay podniósł głos. - Znika mi pan, panie Hubble. Halo! Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mi pan podać geograficzne położenie telefonu. Teraz, w tej chwili. Muszę sprawdzić dane nadajnika.

- Jestem teraz w domu.

- W porządku. - Finlay ponownie podniósł długopis. - Mógłby pan podać mi dokładny adres?

- Nie macie mojego adresu? - zdziwił się tamten. Żartobliwa męska gadka. - Jakoś co miesiąc udaje wam się przysłać mi rachunek.

Finlay zerknął na mnie. Uśmiechałem się do niego. Skrzywił się.

- Jestem w tej chwili w dziale technicznym - odparł równie rozbawionym tonem. Dwóch porządnych facetów walczących z techniką. - Dane klientów to inny dział. Mógłbym się do nich dostać, ale zajęłoby to parę minut, wie pan, jak to jest. A poza tym, i tak musi pan chwilę do mnie mówić przy działającym mierniku. Chodzi o dokładne wyznaczenie poziomu sygnału, rozumie pan. Równie dobrze może pan podać swój adres. No, chyba że chce pan zarecytować ulubiony wiersz. W metalicznym głośniku rozległ się śmiech mężczyzny nazwiskiem Hubble.

- W porządku, próba, próba, próba - rzekł. - Mówi Paul Hubble, ze swego domu. Beckman Drive 25. Powtarzam: Beckman Drive 0-25. W poczciwym, starym Margrave. M. A. R. G. R. A. V. E., w stanie Georgia, USA. Jak tam mój poziom sygnału?

Finlay nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie głęboko poruszonego.

- Halo? - rzucił głos. - Jest pan tam?

- Tak, panie Hubble - odparł Finlay. - Jestem tutaj. Nie widzę żadnego problemu. To tylko fałszywy alarm. Dziękuję za pomoc.

- Jasne - powiedział gość nazwiskiem Hubble. - Nie ma sprawy. Połączenie zostało przerwane. Pokój znów wypełnił sygnał wybierania. Finlay odwiesił słuchawkę. Wyprostował się na krześle i spojrzął w sufit, mówiąc do siebie.

- Cholera. Tu, w miasteczku. Kto to, do diabła, jest ten Paul Hubble?

- Nie znasz go? - spytałem.

Spojrzał na mnie z lekkim zakłopotaniem, jakby zapomniał o mojej obecności.

- Mieszkam tu dopiero od pół roku - wyjaśnił. - Nie znam wszystkich.

Wyciągnął rękę i nacisnął guzik stojącego na drewnianym blacie interkomu. Wezwał Bakera.

- Słyszałeś o gościu nazwiskiem Hubble? - spytał. - Paul Hubble. Mieszka tu, w miasteczku. Beckman Drive 25.

- Paul Hubble - powtórzył Baker. - Jasne. Mieszka tu, jak mówisz. Od urodzenia. Ojciec rodziny. Stevenson go zna. To jakiś jego powinowaty. Chyba się przyjaźnią. Razem chodzą na kręgle. Hubble jest bankierem. No wiesz, finansistą. Wysokie stanowisko. Pracuje w Atlancie, w jakimś wielkim banku. Widuję go od czasu do czasu.

Finlay spojrzął na niego.

- To jego numer - rzekł.

- Hubble'a? Tu, w Margrave? Niezła jazda. Finlay odwrócił się w moją stronę.

- Pewnie powiesz, że nigdy o nim nie słyszałeś?

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparłem.

Obserwował mnie przez chwilę. Potem zwrócił się do Bakera.

- Lepiej jedź i sprowadź tu tego Hubble'a - polecił. - Beckman Drive 25. Bóg jeden wie, co on robi w tej sprawie, ale powinniśmy z nim pomówić. Tylko łagodnie. No wiesz, to pewnie bardzo szanowany człowiek.

Posłał mi nieprzyjazne spojrzenie i wyszedł, trzaskając ciężkimi drzwiami. Baker zatrzymał magnetofon. Wyprowadził mnie z gabinetu z powrotem do celi. Wszedłem do środka. Podążył za mną, zdjął mi kajdanki, powiesił je sobie przy pasku. Wyszedł i zamknął drzwi. Zatrzasnął zamek. Elektryczne zasuwy zaskoczyły ze szczękiem. Odszedł.

- Hej, Baker! - zawołałem.

Odwrócił się i zrobił kilka kroków. Spokojny wzrok, pełen niechęci.

- Chciałbym coś zjeść - powiedziałem. - I napić się kawy.

- Zjesz w więzieniu stanowym - odrzekł. - Autobus przyjeżdża o szóstej.

Odszedł. Musiał udać się teraz po Hubble'a. Podejdzie do niego z przeproszącą miną, szurając nogami. Poprosi, by przyjechał na posterunek, gdzie Finlay potraktuje go uprzejmie, i podczas gdy ja będę tkwił w celi, spyta grzecznie Hubble'a, dlaczego jego numer telefonu znaleziono w bucie martwego człowieka.

\* \* \*

Mój płaszcz wciąż leżał zwinięty na podłodze celi. Otrzepałem go i włożyłem. Znowu było mi zimno. Wsunąłem ręce do kieszeni. Oparłem się o pręty, starając się powrócić do lektury gazety - tak dla zabicia czasu. Ale nic do mnie nie trafiało. Myślałem o kimś, kto patrzy, jak jego partner strzela facetowi w głowę, kto chwyta wstrząsane drgawkami ciało i kopniakami rzuca je po podłodze. Kto ma w sobie dość wściekłej siły, by zmiażdżyć wszystkie kości. Stałem tak, myśląc o sprawach, które, jak sądziłem, zostawiłem za sobą, sprawach, do których wolałem nie wracać. Upuściłem zatem gazetę na wykładzinę, próbując skupić się na czymś innym. Odkryłem, że jeśli wyciągnę szyję w przednim kącie celi, będę miał świetny widok na całą otwartą przestrzeń biurową. Przez szklane drzwi nad biurkiem sekretarki widziałem podjazd. Na zewnątrz popołudniowe słońce wydawało się oślepiające i gorące. W powietrzu znowu unosił się kurz. Deszcz minął. Wewnątrz panował chłód, rozświetlony blaskiem lamp fluorescencyjnych. Jeden z sierżantów siedział na stołku przy ladzie. Stukał w klawiaturę, prawdopodobnie porządkował akta. Widziałem, co kryło się za jego stanowiskiem - półki, zaprojektowane tak, by nie dało się ich dojrzeć z zewnątrz. W równych rzędach papiery i kartonowe teczki, a także pojemniki z gazem obezwładniającym, strzelba, przyciski alarmowe. Za plecami sierżanta krzątała się kobieta w mundurze, która wcześniej zdjęła mi odciski palców. Znowu klawiatura. W pomieszczeniu panowała cisza, lecz wyczuwało się w nim napięcie i energię towarzyszącą śledztwu.

#### 4

Ludzie wydają tysiące dolarów na sprzęt stereo, czasami dziesiątki tysięcy. W Stanach istnieje wyspecjalizowany przemysł, projektujący sprzęt grający o niewyobrażalnych standardach. Wzmacniacze kosztujące więcej niż dom. Głośniki wyższe ode mnie. Kable grubsze niż wąż ogrodowy. Niektórzy goście z armii mieli taki sprzęt. Słyszałem go w bazach na całym świecie. Cudowne, ale tylko niepotrzebnie tracili pieniądze, bo najlepszy sprzęt grający świata nic nie kosztuje - jest wewnątrz naszych głów. Brzmi dokładnie tak, jak chcemy, idealnie czysto i głośno.

Oparłem się o kraty w moim kącie, odtwarzając w głowie numer Bobby'ego Blanda, stary hit, podkreślony naprawdę głośno: „Further On up the Road”. Bobby Bland śpiewa to w

G-dur, w tonacji sprawiającej, że melodia brzmi dziwnie słonecznie, pogodnie. Pozbawia tekst kąśliwości, przekształca go w lament, przepowiednię, pociechę - to, czym powinien być blues. Leniwa tonacja G-dur sprawia, że melodia niemal nabiera słodczy. Przystaje brzmieć w niej ból.

Nagle jednak, dokładnie na początku trzeciej zwrotki, ujrzałem przechodzącego obok grubego komendanta. Morrison miał cel, kierując się do wielkiego gabinetu na tyłach. Zjechałem tonacją do E. To mroczna, groźna tonacja, prawdziwa tonacja bluesowa. Wyłączyłem pogodnego Bobby'ego Blanda. Potrzebowałem ostrzejszego głosu, czegoś znacznie twardszego, melodyjnego, ale ochryplego od papierosów i alkoholu. Może Wild Child Butler? Ktoś, kogo nie warto zaczepiać. Przy fragmencie mówiącym o tym, że dalej na drodze zbierzemy to, co zasialiśmy, podkręciłem dźwięk jeszcze głośniejsze.

Morrison kłamał w sprawie zeszłej nocy. O północy nie było mnie w magazynie. Jakiś czas dopuszczałem do siebie możliwość pomyłki. Może zobaczył kogoś, kto mnie przypominał? Ale to dawałoby mu prawo do błędu. Ja zaś miałem ochotę walnąć go pięścią w pysk i zmiażdżyć tłusty nochal. Wraz z Wild Childem Butlerem obiecaliśmy sobie, że do tego dojdzie. Dalej na drodze.

\* \* \*

Otworzyłem oczy i wyłączyłem dzwiczącą w głowie muzykę. Przedemną po drugiej stronie krat stała kobieta od odcisków palców. Wracała właśnie od ekspresu.

- Masz ochotę na kawę? - spytała.

- Jasne - odparłem. - Dzięki. Bez cukru i śmietanki. Odstawiła własny kubek na najbliższe biurko i wróciła do ekspresu. Nalała mi kawy, podeszła bliżej. Przystojna, bez dwóch zdań: około trzydziestki, ciemnowłosa, niewysoka, ale w żadnym razie nie średniego wzrostu. Nie miała w sobie nic przeciętnego. Kipiała energią. Podczas naszego pierwszego spotkania odebrałem to jako sprawność zawodową, profesjonalizm. Teraz znikła ta oficjalność. To pewnie wbrew poleceniom tłuściocha. Policjanci nie powinni przynosić kawy więźniom. Natychmiast ją polubiłem.

Przez kraty podała mi kubek. Z bliska wyglądała świetnie. Cudownie pachniała. Nie pamiętałem tego. Widziałem w niej kogoś w stylu asystentki dentystycznej. Gdyby jednak asystentki dentystów wyglądały równie dobrze, częściej odwiedzałbym gabinety. Wziąłem kubek. Ucieszyłem się. Chciało mi się pić, a uwielbiam kawę. Gdy tylko nadarzy się okazja, pochłaniam ją niczym alkoholik wódkę. Pociągnąłem łyk. Dobra. Uniosłem styropianowy kubek w geście przypominającym toast.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Bardzo proszę - odparła i uśmiechnęła się. Uśmiech ów dostrzegłem także w jej oczach. Odpowiedziałem tym samym. Jej twarz była niczym promyk słońca rozjaśniający ponury dzień.

- Myśli pani zatem, że tego nie zrobiłem?

Zabrała własny kubek.

- Sądzisz, że winnym nie przynoszę kawy?

- Może nawet nie rozmawia pani z winnymi.

- Wiem, że nie zrobiłeś niczego poważnego.

- Ale skąd? Bo nie mam wąsko osadzonych oczu?

- Nie, głuptasie. - Zaśmiała się. - Bo jak dotąd nie dostaliśmy odpowiedzi z Waszyngtonu.

Pięknie się śmiała. Miałem ochotę zerknąć na plakietkę z nazwiskiem, przypiętą nad kieszeńią koszuli, ale nie chciałem, by kobieta pomyślała, że patrzę na jej piersi. Przypomniałem sobie, jak spoczęły na skraju stołu, gdy robiła mi zdjęcie. Spojrzałem. Ładny biust. Nazywała się Roscoe. Rozejrzała się szybko i przysunęła bliżej krat. Pociągnąłem łyk kawy.

- Wysłałam łączem komputerowym twoje odciski do Waszyngtonu - oznajmiła. - O dwunastej trzydzieści sześć. Mają tam wielką bazę danych FBI. Miliony odcisków w komputerze. Sprawdzają kolejno wszystkie przesyłane ślady w określonym porządku: najpierw porównują z listą najbardziej poszukiwanych przestępców, potem stu, potem tysiąca, rozumiesz? Gdybyś był gdzieś blisko wierzchołka, sprawa otwarta, nierozwiązana, dowiedzielibyśmy się natychmiast. To automat. Nie chcą, by jakiś ważny uciekinier się wymknął, toteż system natychmiast się łączy. Ale ty spędziłeś tu niemal trzy godziny i wciąż nie dostaliśmy wieści. Wiem zatem, że nie mogłeś popełnić poważnego przestępstwa.

Sierżant zza biurka patrzył w naszą stronę z wyraźną dezaprobatą. Roscoe musiała odejść. Opróżniłem kubek i oddałem jej przez kratę.

- W ogóle nie ma mnie w waszej bazie - odparłem.

- Nie - zgodziła się. - Nie pasujesz do profilu dewiacji.

- Naprawdę?

- Od razu poznałam. - Uśmiechnęła się. - Masz ładne oczy.

Mrugnęła i odeszła. Wyrzuciła kubki, wróciła na swoje stanowisko i usiadła. Widziałem jedynie tył jej głowy. Wróciłem do kąta i oparłem się o twarde pręty. Od sześciu miesięcy wędrowałem samotnie i czegoś się nauczyłem - niczym Blanche z tamtego starego filmu, wędrowiec musi polegać na uprzejmości nieznajomych. I nie chodzi tu o wsparcie

fizyczne, materialne, lecz moralne. Spoglądałem na tył głowy Roscoe i uśmiechałem się. Polubiłem ją.

\* \* \*

Bakera nie było od dwudziestu minut. Dostatecznie długo, by wrócić z domu Hubble'a, gdziekolwiek się mieścił - oszacowałem, że całe Margrave da się przejść pieszo tam i z powrotem w dwadzieścia minut. W końcu to małe miasteczko, kropka na mapie. Dwadzieścia minut wystarczy, by wrócić skądkolwiek, choć granice miast bywają dziwaczne. Wszystko zależy od tego, czy Hubble mieszka w samym mieście czy też gdzieś na peryferiach. Moje doświadczenie dowodziło, że nawet w odległości dwudziestu dwóch kilometrów wciąż jest się w mieście. A jeśli te dwadzieścia dwa kilometry rozciągały się na wszystkie strony, Margrave dorównywałoby wielkością Nowemu Jorkowi.

Baker twierdził, że Hubble to ojciec rodziny, bankier pracujący w Atlancie. To oznaczało rodzinny dom, nie opodal miasta, w pobliżu szkół i przyjaciół dzieci, sklepów i klubu dla żony. Dla męża krótka jazda lokalną drogą do autostrady. Wygodny dojazd do biura w wielkim mieście. Adres brzmiał jak miejski: Beckman Drive 25. Niezbyt blisko głównej ulicy. Prawdopodobnie Beckman Drive zaczynała się w centrum miasta i prowadziła aż na wieś. Hubble był finansistą, pewnie bogatym. Zapewne miał wielki, biały dom na dużej działce, drzewa, może basen. Powiedzmy, cztery akry. Kwadratowa działka o powierzchni czterech akrów ma bok długości około stu trzydziestu metrów. Domy po lewej i prawej stronie ulicy, co oznacza, że numer dwadzieścia pięć leży dwanaście działek od miasta. Na oko, półtora kilometra.

\* \* \*

Za wielkimi oszklonymi drzwiami słońce zaczęło się zniżać na niebie, popołudniowe światło poczerwieniało, cienie się wydłużyły. W końcu dostrzegłem radiowóz Bakera, podskakujący na podjeździe. Nie włączył koguta. Powoli pokonał zakręt i zatrzymał się płynnie. Zakołysał się na resorach, wypełniając cały świat za szybą. Baker wysiadł z przeciwnej strony i po chwili pojawił się znowu, podchodząc do drzwi pasażera. Otworzył je niczym szofer. Mowa ciała wyraźnie świadczyła o tym, że dręczą go wątpliwości. Dostrzegłem w niej szacunek - miał do czynienia z bankierem z Atlanty, sympatię - kolega jego partnera z kręgielni, i postawę oficjalną - wobec mężczyzny, którego numer telefonu znaleziono w bucie trupa.

Paul Hubble wysiadł z wozu. Baker zatrzasnął za nim drzwi. Hubble czekał bez ruchu. Baker wyminął go i otworzył wielkie szklane drzwi posterunku. Gumowa uszczelka mlasnęła. Hubble wszedł do środka.

Był wysokim, białym mężczyzną, wyglądającym jak chodząca reklama, obrazek z czasopisma, zdjęcie pieniędzy. Na oko, niedawno skończył trzydziestkę. Szczupły, ale nie silny. Rozczochrane jasne włosy. Wysokie czoło i znamionujące inteligencję brwi, mówiące: „Tak, byłem wzorowym studenciakiem, ale teraz jestem już mężczyzną”. Oczy przesłaniały okrągłe okulary w złotej oprawie. Kwadratowa szczęka, lekka opalenizna, bardzo białe zęby. Dostrzegłem ich wiele, gdy uśmiechnął się do sierżanta za biurkiem.

Miał na sobie wyblakłą koszulkę polo z niewielkim logo i sprane drelichowe spodnie - ubranie, które wygląda staro już w chwili, kiedy kupuje się je za pięć stów zielonych. Na ramiona zarzucił gruby biały sweter, rękawy luźno zawiązał z przodu. Nie widziałem jego stóp, bo przeszkadzało mi biurko, lecz byłem pewien, iż oblekają je buty żeglarskie z jasnej skóry. Założyłem się sam ze sobą o sporą sumę, iż nie nosił do nich skarpetek. Oto mężczyzna, który nurza się w japiszońskim raju niczym świnia w gównie.

Wyraźnie czymś się denerwował. Oparł dłonie o biurko, po czym odwrócił się, i opuścił ręce. Dostrzegłem złote włosy na przedramionach i błysk ciężkiego, złotego zegarka. Bez wątplenia starał się zachowywać jak przyjacielsko nastawiony bogacz - składa wizytę na komendzie, podobnie jak prowadzący kampanię prezydent odwiedza fabrykę. Był jednak niespokojny, spięty. Nie wiedziałem, co powiedział mu Baker, ile ujawnił. Zapewne nic. Dobry sierżant, taki jak Baker, pozostawia ciężką amunicję Finlayowi. A zatem Hubble nie wiedział, dlaczego znalazł się na posterunku. Coś jednak wiedział. Przez trzynaście lat ja także byłem czymś w rodzaju policjanta i potrafię na milę wyczuć zdenerwowanie. A Hubble był zdenerwowany. Tkwiał bez ruchu, oparty o kraty. Baker gestem polecił, by Hubble poszedł za nim na drugą stronę sali, w kierunku eleganckiego gabinetu. Gdy Hubble okrążył kontuar, ujrzałem jego stopy - żeglarskie buty z jasnej skóry, brak skarpetek. Obaj mężczyźni zniknęli w gabinecie. Drzwi zamknęły się za nimi. Sierżant porzucił posterunek i wyszedł na dwór, by zaparkować radiowóz Bakera.

Wrócił z Finlayem u boku. Finlay pomaszerował wprost do gabinetu, w którym czekał Hubble. Kompletnie mnie zignorował. Otworzył drzwi i wmaszerował do środka. Czekałem w swym kącie na to, by znów zjawił się Baker. Nie mógł tam zostać - kumpel z kregielni partnera znalazł się na orbicie śledztwa w sprawie morderstwa. To nie byłoby etyczne, w żadnym razie. Finlay wydał mi się facetem przykładającym wielką wagę do etyki. Każdy gość w tweedowym garniturze i zamszowej marynarce, wykształcony na Harvardzie, przykładą wielką wagę do etyki. Po chwili drzwi się otwały, Baker wyszedł na zewnątrz. Ruszył na środek sali, kierując się w stronę własnego biurka.

- Hej, Baker! - zawołałem.



Zmienił kurs, podchodząc do aresztu. Zatrzymał się przy kracie w miejscu, gdzie wcześniej stała Roscoe.

- Muszę iść do toalety - oznajmiłem. - Chyba że z tym także muszę poczekać na chwilę, gdy dotrę do wielkiego domu?

Uśmiechnął się lekko, niechętny, ale uśmiech. Z tyłu błysnął złoty ząb, nadający mu nieco zawadiackiego wyglądu, przez co wyglądał odrobinę bardziej ludzko. Krzyknął coś do faceta za biurkiem, prawdopodobnie kod oznaczający procedurę, wyjął klucz i uruchomił zamek elektryczny. Zasuwy odskoczyły. Zastanowiłem się przelotnie, jak sobie radzą w razie awarii zasilania. Czy da się otworzyć kraty bez prądu? Oby. Pewnie często miewają tu burze, a to oznacza mnóstwo zerwanych linii energetycznych.

Pchnął do środka ciężką kratę. Razem ruszyliśmy na tyły sali głównej, dokładnie naprzeciwko gabinetu z boazerią. Przedpokój, a z niego drzwi do dwóch łazienek. Baker sięgnął nad moim ramieniem i pchnięciem otworzył tę dla mężczyzn.

Wiedzieli, że nie jestem tym, kogo szukają. Nie wierzyli w to ani trochę. Tu, w holu, bez problemu mógłbym ogłuszyć Bakera i zabrać mu rewolwer. Odebrałbym mu go, nim jeszcze wylądowałby na podłodze. Strzelając, opuściłbym komendę i znalazł się w radiowozie. Wszystkie stały zaparkowane przed budynkiem, bez wątplenia z kluczykami w stacyjkach. Zanim zdołaliby cokolwiek zorganizować, zdążyłbym pokonać połowę trasy do Atlanty, a później zniknąć. Żaden problem. Aleja po prostu wszedłem do łazienki.

- Nie zamykaj się - polecił Baker.

Nie zamknąłem się. Nie doceniali mnie, i to ani na jotę. Powiedziałem im, że byłem żandarmem wojskowym. Może mi uwierzyli, może nie. Pewnie niewiele to dla nich znaczyło, choć powinno. Żandarm wojskowy ma do czynienia z wojskowymi przestępcami, pozostającymi w aktywnej służbie, doskonale wyszkolonymi w użyciu broni, sabotażu, walce wręcz. Rangerami, Zielonymi Beretami, żołnierzami piechoty morskiej. Nie zwykłymi zabójcami, lecz zabójcami po pełnym szkoleniu, doskonale wytrenowanymi za duże pieniądze podatników. Toteż żandarmów wojskowych szkoli się jeszcze lepiej. Radzą sobie z bronią i bez niej. Baker najwyraźniej nie miał o tym pojęcia. Nie przyszło mu to do głowy. W przeciwnym razie podczas wyprawy do łazienki towarzyszyłoby nam dwóch gliniarzy uzbrojonych w strzelby. Gdyby sądził, że to o mnie im chodzi.

Zapiąłem rozporek i wyszedłem do holu. Baker czekał. Wróciliśmy do aresztu. Wszedłem do celi, stanąłem w swoim kącie. Baker zatrzasnął ciężką kratę. Kluczem uruchomił zamek elektryczny. Zasuwy zaskoczyły, a on odszedł do siebie.

Przez następnych dwadzieścia minut panowała cisza. Baker pracował przy biurku, podobnie Roscoe. Sierżant nadal tkwił na swym stołku. Finlay siedział w gabinecie z Hubble'em. Nad drzwiami frontowymi wisiał nowoczesny zegar, nie tak elegancki jak antyk w gabinecie, ale tykał równie powoli. Cisza. Wpół do piątej. Opierałem się o tytanowe kraty. Cisza. Za kwadrans piąta.

\* \* \*

Tuż przed piątą czas znów ruszył naprzód. Usłyszałem odgłosy zamieszania dobiegające z wielkiego gabinetu z boazerią - krzyki, wrzaski, hurkot. Ktoś naprawdę się zdenerwował. Na biurku Bakera odezwał się dzwonek. Zatrzeszczał interkom. Usłyszałem głos Finlaya, zdenerwowany, wzywający Bakera do siebie. Baker wstał i ruszył do gabinetu, zastukał, wszedł do środka.

Wielkie oszklone drzwi wejściowe otwarły się z młaśnięciem. Do środka wmaszerował tłusciuch - komisarz Morrison. Natychmiast ruszył do gabinetu. Baker opuścił go dokładnie w chwili, gdy Morrison wszedł do środka, i pospieszył ku recepcji. Szeptał coś chwilę do sierżanta. Dołączyła do nich Roscoe. Zamieszanie. Ważne nowiny, ale nic nie słyszałem, za daleko.

Interkom na biurku Bakera zatrzeszczał ponownie. Policjant zniknął w gabinecie. Drzwi frontowe znów się otwarły. Popołudniowe słońce wisiało nisko na niebie. Do środka wmaszerował Stevenson. Widziałem go po raz pierwszy od chwili aresztowania, zupełnie jakby podniecenie przyciągało ludzi.

Stevenson zamienił parę słów z sierżantem. Zaczął się denerwować. Sierżant położył mu dłoń na ramieniu. Stevenson strząsnął ją i pobiegł do gabinetu, wymijając biurka niczym doświadczony futbolista. W chwili gdy dotarł na miejsce, drzwi się otwarły. Ze środka wyszedł prawdziwy tłum: Morrison, Finlay i Baker, który trzymał Hubble'a za łokieć - lekki, lecz skuteczny chwyt, taki sam, jakiego użył na mnie. Stevenson tępo popatrzył na Hubble'a, potem chwycił Finlaya za rękę, wciągnął go do gabinetu. Morrison okręcił się ciężko na pięcie i podążył w ich ślady. Drzwi się zatrzasnęły. Baker poprowadził Hubble'a w moją stronę.

Hubble wyglądał jak inny człowiek. Miał szarą, zlaną potem twarz. Opalenizna zniknęła. Wydawał się niższy, jakby ktoś wypuścił z niego całe powietrze. Garbił się niczym schorowany starzec. W oczach za złotymi oprawkami kryła się panika. Trzęsąc się czekał, aż Baker otworzy celę obok mojej. Cały dygotał. Baker złapał go za rękę i zaciągnął do środka. Zatrzasnął kratę. Elektryczne zasuwy zaskoczyły. Policjant wrócił do gabinetu.

Hubble po prostu stał w miejscu, gdzie tamten go zostawił, patrząc bezmyślnie w przestrzeń. Potem zaczął się powoli cofać, póki nie dotarł do ściany. Przywarł do niej plecami i osunął się na ziemię. Spuścił głowę na kolana. Ręce opadły mu na podłogę. Słyszałem, jak dygoczący kciuk stuka o sztywną nylonową wykładzinę. Roscoe patrzyła na niego znad swojego biurka, sierżant z miejsca przy recepcji. Obserwowali załamującego się człowieka.

\* \* \*

Usłyszałem dobiegające z gabinetu podniesione głosy. Ich ton świadczył o kłótni. Uderzenie dłoni o biurko. Drzwi się otworzyły. Stevenson wymaszerował z komendantem Morrisonem. Sprawiał wrażenie wściekłego. Ruszył szybko ku wyjściu. Ze złości kark mu poczerwieniał. Nie spuszczał oczu z drzwi frontowych, ignorując tłustego dowódcę. Minął recepcję i zniknął za drzwiami, w blasku popołudniowego słońca. Morrison poszedł za nim.

Baker opuścił gabinet i zmaterializował się przed moją celą. Nic nie mówił. Po prostu otworzył kratę i wezwał mnie gestem. Mocniej naciągnąłem płaszcz. Gazetę z wielkimi zdjęciami prezydenta w Pensacoli zostawiłem na podłodze. Po chwili znaleźliśmy się w gabinecie z boazerią.

Finlay siedział za biurkiem. Na blacie wciąż stał magnetofon. Sztywne kable kołysały się lekko. Powietrze było chłodne i nieruchome. Finlay wyglądał, jakby ktoś go zbeształ. Miał rozluźniony krawat. Odetchnął głęboko, z sykiem wypuszczając powietrze z płuc. Usiadłem na krześle, a Finlay machnięciem ręki odprawił Bakera. Drzwi zamknęły się cicho.

- Mamy problem, panie Reacher - oznajmił Finlay. - Prawdziwy problem.

Zamilkł, wyraźnie zdenerwowany. Miałem niecałe pół godziny do odjazdu więziennego autobusu. Wolałem, by sprawa rozstrzygnęła się szybko. Finlay uniósł wzrok, ponownie skupiony. Zaczął mówić szybko, z eleganckim akcentem z Harvardu.

- Sprowadziliśmy tu Hubble'a, zgadza się? - rzekł. - Może go widziałeś. Bankier z Atlanty, zgadza się? Ciuchy od Calvina Kleina za tysiąc dolarów. Złoty rolex. Bardzo wyniosły. Z początku wydawało mi się, że po prostu jest zirytowany. Bardzo szybko rozpoznał, że wcześniej rozmawiałem z nim przez komórkę. Oskarżył mnie o oszustwo. Twierdził, że nie powinienem udawać pracownika firmy telefonicznej. Oczywiście ma rację.

Kolejna chwila ciszy.

Najwyraźniej zmagął się z własnymi zasadami etycznymi.

- No dalej, Finlay, mów - rzuciłem. Niecałe pół godziny.

- No dobra, jest zatem wyniosły i zirytowany - podjął Finlay. - Pytam, czy cię zna. Jack Reacher. Były wojskowy. Odpowiada, że nie, nigdy o tobie nie słyszał. Wierzę mu. Zaczyna się odprężyć, jakby chodziło o jakiegoś faceta, zwanego Jack Reacher, i nic poza

tym. Nigdy nie słyszał o Jacku Reacherze, więc nie ma się czego obawiać. Wszystko pod kontrolą. Jasne?

- Mów dalej.

- A potem spytałem, czy zna wysokiego gościa z ogoloną głową. Zapytałem także o *Pluribus*. Mój Boże, zupełnie jakbym wetknął mu do tyłka rozżarzony pogrzebacz. Cały zeszytniał. Kompletnie. Nie odpowiedział. Mówię zatem, iż wiemy, że wysoki facet nie żyje. Został zastrzelony. Kolejne dźgnięcie w tyłek. O mało nie spadł z krzesła.

- Mów dalej. - Dwadzieścia pięć minut do przyjazdu więziennego autobusu.

- Zaczął się trząść - kontynuował Finlay. - Powiedziałem, że wiemy o numerze telefonu ukrytym w bucie, jego numerze telefonu, wydrukowanym na kawałku papieru, nad którym widniało słowo *Pluribus*. Kolejny pogrzebacz w tyłek.

Znów urwał. Po kolei klepał się po kieszeniach.

- Nie odzywał się ani słowem. Ani jednym słowem. Był w szoku. Poszarzał na twarzy. Bałem się, że dostanie zawału. Usta otwierały mu się i zamykały jak u ryby, ale nic nie mówił. Powiedziałem zatem, że wiemy, iż trup został pobity po śmierci. Spytałem, kto jeszcze w tym uczestniczył. Dodałem, że ciało ukryto pod kartonami. A on ani cholernego słowa. Po prostu się rozglądał. Po chwili uświadomiłem sobie, że gorączkowo się zastanawia, próbując zdecydować, co ma mi powiedzieć. Po prostu milczał i cały czas myślał. Trwało to chyba ze czterdzieści minut. Cały czas nagrywałem. Czterdzieści minut ciszy.

Chwila milczenia. Tym razem dla większego efektu Finlay spojrzał wprost na mnie.

- A potem się przyznał. Powiedział: „Ja to zrobiłem. Zastrzeliłem go”. Przyznał się, chwytasz? I mam to na taśmie.

- Mów dalej.

- Spytałem, czy chce adwokata? Odpowiedział: nie. Cały czas powtarzał, że to on zabił gościa. Podałem mu więc jego prawa, głośno i wyraźnie. To też mam na taśmie. Pomyślałem sobie, może zwariował czy coś, no wiesz. Spytałem zatem: „Kogo zabiłeś?” „Wysokiego faceta z ogoloną głową” - odpowiedział. Spytałem: „Jak?” Odparł: „Strzeliłem mu w głowę”. Spytałem: „Kiedy?” A on: „Zeszłej nocy”. Spytałem: „Kto skopał trupa? Kim był tamten gość? Co oznacza *Pluribus*!” Nie odpowiedział. Znów zeszytniał z przerażenia i nie odezwał się ani słowem. Ja mówię: „Nie jestem pewien, czy pan to zrobił”. Wtedy zerwał się z miejsca i złapał mnie krzycząc: „Przyznaję się, przyznaję! Zastrzeliłem go, zastrzeliłem!” Odepchnąłem go. Uspokoił się.

Finlay wyprostował się na krześle. Splótł ręce za głową i spojrzał na mnie pytająco. Hubble jako strzelec? Nie wierzyłem. Zbyt nerwowy. Pewnie mógłby kogoś zabić ze starego

pistoletu podczas bójki albo w afekcie, zwykły strzał w klatkę piersiową, wówczas rozumiałbym zdenerwowanie. Ale ludzie używający broni z tłumikiem, którzy zostawiają dwie kulki w głowie, a potem zbierają łuski, to inna liga. Oni się nie denerwują. Po prostu odchodzą i zapominają o całej sprawie. Hubble nie był strzelcem. Dowodziło tego jego nerwowe zachowanie. Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

- W porządku - rzekłem. - Teraz możesz mnie wypuścić, zgadza się?

Finlay zerknął na mnie i pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Ja mu nie wierzę. W całej sprawie uczestniczyły trzy osoby. Sam mnie o tym przekonałeś. Który z nich zatem to Hubble? Nie sądzę, by był szaleńcem. Nie dostrzegam w nim dosyć siły. Nie widzę go jako pomocnika i z całą pewnością nie jest strzelcem. Na miłość boską, taki jak on nie potrafiłby strzelić z bata.

Przytaknąłem. Znów zachowywałem się jak partner Finlaya, który próbuje rozwiązać problem.

- Muszę go zapuszkować - dodał. - Nie mam wyjścia. Przyznał się, podając kilka wiarygodnych szczegółów. Ale to szybko upadnie.

Ponownie skinąłem głową. Wyczułem coś jeszcze.

- Mów dalej - powiedziałem z rezygnacją. Finlay popatrzył na mnie beznamiętnie.

- O północy wcale go tam nie było - oznajmił. - Był wtedy na przyjęciu rocznicowym jakiegoś starszego małżeństwa. Impreza rodzinna. Niedaleko jego domu. Zaczęło się o ósmej. Przyszedł pieszo, z żoną. Wyszedł dopiero po drugiej rano. Kilkadziesiąt osób widziało, jak przychodzi i wychodzi. Do domu podwiózł go szwagier szwagierki. zaproponował, że go podrzuci, bo lało.

- No dalej, Finlay, powiedz mi.

- Szwagier szwagierki - rzekł - który odwiózł go do domu o drugiej nad ranem, to funkcjonariusz Stevenson.

## 5

**F**inlay odchylił się na krześle, splatając ręce za głową. Był wysokim, eleganckim mężczyzną o wypielegnowanych dłoniach. Wykształconym w Bostonie. Dobrze wychowanym. Doświadczonym. I posyłał mnie do więzienia za coś, czego nie zrobiłem. Wyprostował się, położył ręce na biurku dłońmi do góry.

- Przykro mi, Reacher - powiedział.

- Tobie jest przykro? Wysyłasz do pudła dwóch facetów, którzy w żaden sposób nie mogli tego zrobić, i jest ci przykro?

Wzruszył ramionami. Nie miał radosnej miny.

- Takie jest polecenie komendanta Morrisona. Uważa, że wszystko już wiemy. Zamykamy na weekend. A on jest tu szefem.

- Żartujesz chyba. To dupek. Nazywa Stevensona kłamcą. Własnego człowieka.

- Niezupełnie. - Finlay wzruszył ramionami. - Twierdzi, że może to spisek, no wiesz, że może tak dosłownie Hubble'a tam nie było, ale wynajął ciebie, żebyś załatwił sprawę. Spisek, łapiesz? Uważa, że Hubble przesadził w swoim przyznaniu się do winy, bo boi się ciebie wskazać. Morrison myśli, że kiedy cię zgarnęliśmy, szedłeś właśnie do Hubble'a po kasę. To dlatego czekałeś osiem godzin. I dlatego Hubble został dziś w domu. Nie poszedł do pracy, bo czekał, żeby ci zapłacić.

Milczałem, ale poczułem niepokój. Komendant Morrison okazał się niebezpieczny. Jego teoria brzmiała dość prawdopodobnie. Póki Finlay wszystkiego nie sprawdzi. O ile Finlay cokolwiek sprawdzi.

- Zatem, Reacher, przykro mi - ciągnął Finlay. - Zostaniecie z Hubble'em w pudle aż do poniedziałku. Przeżyjecie. To w Warburton. Nie najlepsze miejsce, ale areszty tymczasowe są w porządku. Gorzej, gdybyś trafił tam na dłużej, znacznie gorzej. Tymczasem ja popracuję nad tym do poniedziałku. Poproszę funkcjonariusz Roscoe, by przyszła do pracy w sobotę i niedzielę. To ta ładna kobietka na zewnątrz. Jest dobra, najlepsza z naszych ludzi. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, w poniedziałek będziesz wolny jak ptak. W porządku?

Patrzyłem na niego. Powoli ogarniała mnie wściekłość.

- Nie, Finlay, to nie jest w porządku. Wiesz, że niczego nie zrobiłem. Do diabła, wiesz, że to nie ja. Cholernie boisz się tego tłustego kretyna Morrisona. A ja trafię do więzienia, bo jesteś tchórzliwym mięczakiem.

Zniósł to całkiem nieźle. Jego ciemna twarz tylko bardziej pociemniała. Długo siedział w milczeniu. Odetchnąłem głęboko, posyłając mu gniewne spojrzenie. Stopniowo jednak uspokoiłem się. Odzyskałem panowanie nad sobą. Teraz to on patrzył gniewnie na mnie.

- Dwie rzeczy, Reacher - rzekł, starannie wymawiając słowa. - Po pierwsze, w razie konieczności w poniedziałek sam zajmę się komendantem Morrisonem. Po drugie, nie jestem tchórzem. W ogóle mnie nie znasz. Nic o mnie nie wiesz.

Wytrzymałem jego spojrzenie. Szósta. Autobus.

- Wiem więcej, niż sądzisz. Wiem, że skończyłeś studia podyplomowe na Harvardzie, jesteś rozwiedziony i w kwietniu rzuciłeś palenie.

Oczy Finlaya patrzyły na mnie tępo. Baker zapukał, wszedł do środka i oznajmił, iż przyjechał autobus z więzienia. Finlay wstał, okrążył biurko i poinformował Bakera, że sam mnie wyprowadzi. Baker pomaszerował po Hubble'a.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Finlay. Był zaintrygowany. Przegrywał starcie.

- To łatwe - odparłem. - Mądry z ciebie gość. Wykształcony w Bostonie, sam mi to powiedziałeś. Ale gdy byłeś w wieku, kiedy się idzie do college'u, Harvard nie przyjmował zbyt wielu czarnych. Jesteś niegłupi, ale nie genialny. Założyłem zatem, iż skończyłeś studia na Uniwersytecie Bostońskim.

- Zgadza się - przyznał.

- A potem podyplomowe na Harvardzie - dodałem. - Dobrze sobie radziłeś na Uniwersytecie Bostońskim, życie płynęło dalej, dostałeś się na Harvard. Mówisz jak absolwent tej uczelni. Natychmiast to wyczułem. Doktorat z kryminologii?

- Zgadza się. Z kryminologii.

- A później, w kwietniu, dostałeś tę robotę. Sam mi powiedziałeś. Policja z Bostonu płaci ci emeryturę, bo odszłużyłeś dwadzieścia lat. Toteż przybyłeś tu, dysponując gotówką. Ale nie masz kobiety, bo gdybyś miał, wydałaby część tej gotówki na nowe ubrania dla ciebie. Prawdopodobnie nienawidziła tych twoich zimowych tweedów. Wywaliłaby je i kupiła nowy lekki garnitur, żebyś mógł odmieniony rozpocząć nowe życie. Tymczasem ty nadal nosisz okropny stary garnitur. Zatem kobiety już nie ma. Umarła, albo się z tobą rozwiodła. Miałem pięćdziesiąt procent szans. Wygląda na to, że zgadłem.

Przytaknął bez słowa.

- A palenie to łatwizna - dodałem. - Zacząłeś się denerwować i poklepywać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. To oznacza, że rzuciłeś całkiem niedawno. Łatwo zgadnąć, że w kwietniu. No wiesz, nowa praca, nowe życie, koniec z papierosami. Pomyślałeś, że rzucisz od razu i może uda ci się uniknąć raka.

Finlay posłał mi niechętnie spojrzenie.

- Bardzo dobrze, Reacher - rzekł. - Podstawowa dedukcja, co?

Wzruszyłem ramionami, nie odpowiedziałem.

- Wydedukuj więc, kto załatwił tego gościa w magazynie.

- Nie obchodzi mnie, kto załatwił jakiegoś gościa - odparłem. - To twój problem, nie mój. I to niewłaściwe pytanie, Finlay. Najpierw musisz się dowiedzieć, kim był ów gość.

- Znasz zatem jakąś metodę, cwaniaczku? Brak dokumentów, brak twarzy, brak danych o odciskach. A Hubble milczy jak głaz.

- Sprawdź jeszcze raz odciski - poradziłem. - Mówię serio, Finlay. Każ Roscoe, żeby to zrobiła.

- Dlaczego? - spytał.

- Coś jest nie tak.

- Jakie coś?

- Sprawdź jeszcze raz, okay? Zrobisz to?

Mruknął w odpowiedzi. Nie powiedział ani tak, ani nie. Otworzyłem drzwi gabinetu i wyszedłem. Roscoe zniknęła. Wewnątrz nie było nikogo oprócz Bakera i Hubble'a przy celach. Przez drzwi widziałem stojącego na zewnątrz sierżanta. Pisał coś w notatniku trzymanym przez kierowcę autobusu więziennego. Za ich plecami na półkolistym podjeździe zaparkował autobus. Całkowicie zapełniał świat za oszklonymi drzwiami - stary szkolny autobus pomalowany na jasnoszaro. Na jego boku napisano: „Departament Więziennictwa Stanu Georgia”. Litery bieły przez całą długość autobusu, tuż pod oknami. Pod nimi widniał herb. Okna zasłaniały przyspawane kraty.

Finlay wyszedł ze mną z gabinetu. Dotknął mego łokcie i poprowadził mnie do Bakera, który huśtał na palcu trzy pary kajdanek, pomalowanych jaskrawo pomarańczową farbą. W kilku miejscach farba odłaziła, ukazując matową stal. Baker zatrzasnął na każdym z mych przegubów jedną parę kajdanek. Otworzył celę Hubble'a i gestem wezwał do siebie przerażonego bankiera. Hubble, oszołomiony, wpatrzony tępo przed siebie, ruszył naprzód. Baker złapał drugą bransoletę, kołyszącą się pod moim lewym przegubem, i zatrzasnął ją na prawym nadgarstku Hubble'a. Trzecią parę kajdanek zamknął na drugiej ręce bankiera. Gotowe.

- Zabierz mu zegarek, Baker - poradziłem. - Straci go w więzieniu.

Baker przytaknął. Wiedział, co mam na myśli. Ktoś taki jak Hubble mógł wiele stracić w więzieniu. Baker odpiął ciężkiego rolexa. Bransoleta nie chciała przejść przez kajdanki, musiał zatem podjąć dodatkowy trud - otworzyć i ponownie zatrzasnąć bransoletę. Kierowca autobusu uchylił drzwi i spojrzał na nas z irytacją. Oto człowiek, który porusza się według rozkładu. Baker zostawił zegarek Hubble'a na najbliższym biurku, dokładnie w tym miejscu, gdzie moja przyjaciółka Roscoe postawiła kubek z kawą.

- No dobra, chłopaki, w drogę - rzucił.

Zaprowadził nas do drzwi. Wyszliśmy i znaleźliśmy się w plamie oślepiającego słonecznego blasku. Nie było nam wygodnie, przykutym do siebie. Zanim doszliśmy do autobusu, Hubble przystanął. Wyciągnął szyję i rozejrzał się uważnie. Może bał się, że zobaczy go jakiś sąsiad. Ale w pobliżu nie było nikogo. Posterunek stał trzysta metrów na



północ od miasteczka. W oddali widziałem kościelną dzwonnice. Skapani w wieczornym cieple podeszliśmy do autobusu. Czulem dotyk słońca na prawym policzku.

Kierowca pchnął do środka drzwi. Hubble, powłócząc nogami, wdrapał się na stopień. Podążyłem za nim. Niezręcznie skręciliśmy w przejściu. Autobus był pusty. Kierowca wskazał Hubble'owi miejsce i bankier przesunął się po winylowym siedzeniu aż pod okno, pociągając mnie za sobą. Wtedy kierowca ukląkł na siedzeniu przed nami i przykuł nas do chromowanego pręta biegnącego wzdłuż dachu pojazdu. Zagrzechotał kolejno wszystkimi trzema parami kajdanek. Chciał się upewnić, że są bezpiecznie zatrzaśnięte. Nie obwiniam go. Też robiłem coś takiego. Nie ma nic gorszego niż jazda do więzienia.

Kierowca wrócił na swoje miejsce, uruchomił silnik, który zaskoczył z cichym dieslowskim pomrukiem. Cały autobus zaczął wibrować. Powietrze było gorące, ciężkie. Brak klimatyzacji. Żadne z okien się nie otwierało. Mój nos wyczuwał woń spalin. Koła obracały się powoli, autobus ruszył. Obejrzałem się w prawo - nikt nie machał nam na do widzenia.

Zjechaliśmy z podjazdu i skierowaliśmy się na północ. Odwróćni plecami do miasteczka, zmierzaliśmy w stronę autostrady. Kilometr dalej minęliśmy bar Ena. Pusty parking. Nikt nie miał ochoty na wczesną kolację. Jakiś czas jechaliśmy na północ. Potem skręciliśmy ostro w lewo i skierowaliśmy się na zachód, drogą między polami. Autobus jechał szybko, hałaśliwie. Mijaliśmy nie kończące się rzędy krzaków, nie kończące się pasma czerwonej ziemi między nimi. Przed sobą widziałem zachodzące słońce - olbrzymią, czerwoną kulę, zniżającą się ku polom. Kierowca opuścił zasłonę przeciwsłoneczną. Wydrukowano na niej instrukcje producenta dotyczące prowadzenia autobusu.

Hubble kołysał się i podskakiwał obok mnie. Skulił się z twarzą zwróconą do podłogi. Unosił lewą rękę, przykutą do chromowanego słupka. Prawa leżała nieruchomo na siedzeniu. Wciąż miał na ramionach drogi sweter, w miejscu, gdzie wcześniej lśnił rolex, pozostał pasek jaśniejszej skóry. Opuściła go energia. Był sparaliżowany potwornym strachem.

\* \* \*

Niemal przez godzinę podskakiwaliśmy i kołysaliśmy się na wybojach, jadąc przez rozległe pola. Nagle po prawej mignął niewielki zagajnik, a potem w oddali ujrzałem budowlę, tkwiącą samotnie pośrodku tysiąca akrów rolniczej ziemi. Na tle wiszącego nisko czerwonego słońca wyglądała niczym z piekła rodem, coś, co nieczysta siła przebiła przez ziemską skorupę. Kompleks budynków przypominał fabrykę chemiczną albo elektrownię jądrową - potężne betonowe bunkry, błyszczące metalowe kładki i poręcze. Gdzieniedzie płatanina rur, spowita woalem ulatniającej się pary, a dookoła ogrodzenie i wieżyczki. Gdy

się zbliżyliśmy, dostrzegłem lampy łukowe i druty kolczaste, reflektory i karabiny na wieżach. Kolejne ogrodzenia, przedzielone zaoraną czerwoną ziemią. Hubble nawet nie uniósł wzroku, a ja go nie szturchałem. Nie zmierzaliśmy do Disneylandu.

Autobus zwolnił. Od zewnętrznego ogrodzenia, tworzącego olbrzymi krąg, dzieliło nas jakieś sto metrów. Była to naprawdę imponująca konstrukcja: wysoka na jakieś cztery i pół metra, na całej długości wysadzana parami reflektorów sodowych. W każdej parze jeden reflektor zwrócony był do wewnątrz na stumetrowy pas zaoranej ziemi, drugi natomiast ustawiono tak, by umożliwiał obserwację okolicznych pól. Wszystkie światła płonęły. Cały kompleks jaśniał żółtym sodowym blaskiem. Z bliska wydawał się bardzo jasny. Żółte światło nadawało czerwonej ziemi upiorny brązowy odcień.

Autobus zatrzymał się ze szczękiem. Silnik na biegu jałowym wywoływał wibracje. Zniknęły nawet pozory przewiewu, dusiłem się. W końcu Hubble uniósł wzrok. Rozejrzał się, wyrzwał za okno, jęknął. Był to jęk beznadziejnej rozpacz. Spuścił głowę.

Kierowca czekał na sygnał od pierwszego strażnika, który właśnie rozmawiał przez radio. Po chwili ryknął silnik. Wartownik gestem nakazał nam jechać, wymachując krótkofalówką niczym policyjną pałką. Rozklekotany autobus wtoczył się do klatki. Minęliśmy długi, niski napis na krawężniku: „Zakład Penitencjarny Warburton. Departament Więziennictwa Stanu Georgia”. Zanami brama zamknęła się powoli. Utkwiliśmy w drucianej kratce, pod kolczastym niebem. Po drugiej stronie otwarła się brama. Autobus przetoczył się przez nią.

Szybko pokonaliśmy sto metrów dzielących nas od następnego ogrodzenia. Znaleźliśmy się w kolejnej klatce dla samochodów. Autobus wjechał, odczekał i ruszył dalej, do samego serca więzienia. Zatrzymaliśmy się naprzeciw betonowego bunkra. Oddział przyjęć. Łoskot silnika odbijał się echem od ciężkich betonowych ścian, a potem ucichł. Łoskot i wibracje zgasły. Zapanowała cisza. Kierowca wyskoczył z fotela i pochylony, przeszedł między siedzeniami, podciągając się na kolejnych oparciach niczym alpinista. Wyjął kluczyki i odpiął kajdanki, przykuwające nas do siedzenia przed nami.

- W porządku, chłopcy, ruszamy. - Uśmiechnął się szeroko. - Czas na zabawę.

Wygramoliliśmy się z miejsca i szurając nogami, ruszyliśmy do drzwi. Hubble ciągnął do siebie moją lewą rękę. Kierowca zatrzymał nas na przedzie. Zdjął wszystkie kajdanki i wrzucił je do kosza obok kabiny. Pociągnął za dźwignię i otworzył drzwi. Wyszliśmy. Naprzeciwko także uchyliły się drzwi. Ze środka wyszedł wartownik. Zawołał nas. Jadł właśnie pączka i mówił z pełnymi ustami, ocukrowany wąż osłaniał mu usta. Można powiedzieć, że był zrelaksowany. Przeszliśmy przez drzwi do małego betonowego

pomieszczenia. Panował w nim brud. Krzesła biurowe otaczały polerowany stół. Siedział przy nim kolejny strażnik, czytając coś w sfatygowanym notatniku.

- Usiądźcie, dobrze? - rzucił.

Usiedliśmy. Wstał. Jego partner z pączkiem zamknął zewnętrzne drzwi i dołączył do niego.

- Oto, jak się sprawy mają - oznajmił facet z notatnikiem. - Wy nazywacie się Reacher i Hubble. Przyjechaliście z Margrave, nie skazani za żadne przestępstwo. Zatrzymani, tymczasowo aresztowani. Żaden z was nie zaproponował kaucji. Słyszycie, co mówię? Nie zostaliście skazani za żadne przestępstwo. To najważniejsze. Dzięki temu unikniecie mnóstwa wątpliwych atrakcji, nie dostaniecie uniformów, przydziałów i tak dalej. Łapiecie? Wyłącznie przytulny pokój na najwyższym piętrze.

- Jasne - dodał ten od pączków. - Gdybyście byli skazańcami, w tej chwili byśmy was obmacywali i obszukiwali. Potem dostalibyście uniformy i wykopalibyśmy was na piętra dla skazańców obok innych zwierzaków. A potem usiedlibyśmy z boku i oglądali.

- Pewnie - przytaknął jego partner. - Oto, co chcemy powiedzieć. Nie będziemy utrudniać wam życia. Więc wy, chłopcy, także nie róbcie nam trudności. Chwyacie? W tym pieprzonym więzieniu brakuje ludzi. Gubernator zwolnił połowę załogi. Cięcia budżetowe, te sprawy. Nie mamy dość strażników, by załatwić wszystko tak, jak powinniśmy. Próbuujemy sobie radzić z połową zmiany. Chcę przez to powiedzieć, że wsadzimy was tam i nie chcemy was widzieć aż do poniedziałku, kiedy was stamtąd zabierzemy. Żadnych kłopotów, jasne? Nie mamy na to dość ludzi. Brakuje ich na piętrach skazańców, a co dopiero na przejściówce. Chwyacie? Ty, Hubble, łapiesz?

Hubble uniósł wzrok i przytaknął tępo. Nie odezwał się.

- Reacher - rzucił gość z notatnikiem. - Łapiesz?

- Jasne - odparłem. I łapałem. Braki personelu. Problemy budżetowe. Gość się miota, a jego przyjaciele odbierają zasiłki. Też mi nowina.

- To dobrze - powiedział. - Oto, jak się sprawy mają. My dwaj schodzimy ze zmiany o siódmej. To znaczy za minutę. Nie będziemy przez was robili nadgodzin. Nie chcemy, a związek i tak by nam nie pozwolił. Dostaniecie więc posiłek, a potem zamkniemy was tu, póki nie znajdą się ludzie, którzy zabiorą was na górę.

A nie znajdą się aż do zgaszenia świateł, czyli około dziesiątej. Jasne? Wtedy jednak strażnicy nie zgodzą się na przenoszenie więźniów, związek im nie pozwoli, toteż przyjdzie po was sam Spivey, we własnej osobie, zastępca naczelnika. Dziś jest tu szefem. Około

dziesiątej. Chwytnie? Jeśli się wam to nie podoba, nie miejcie pretensji do mnie, tylko do gubernatora.

Pączkowy potwór wyszedł na korytarz. Chwilę później wrócił, dźwigając tacę z nakrytymi talerzami, papierowymi kubkami i termosem. Postawił ją na stole i obaj wyszli na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi na klucz. W pomieszczeniu zapadła cisza jak w grobie.

Zjedliśmy. Ryba i ryż. Piątkowe jedzenie. W termosie czekała kawa. Hubble milczał, zostawił mi większość kawy. Punkt dla niego. Ułożyłem śmieci na tacy i odstawiłem na podłogę. Kolejne trzy zmarnowane godziny Przechyliłem się na krzesło i położyłem nogi na stole. Niezbyt wygodne, ale lepiej nie będzie. Ciepły wieczór w Georgii.

Bez cienia ciekawości spojrzałem na Hubble'a. Jak dotąd słyszałem jego głos tylko w głośniku telefonu Finlaya. Teraz popatrzył na mnie. Twarz miał bladą ze strachu i niepewności. Spoglądał na mnie jak na istotę z innego świata, jakbym budził w nim lęk. Potem odwrócił wzrok.

\* \* \*

Pewnie jednak nie skieruję się nad Zatokę. Ale jest już za późno, by wyruszyć na północ, za zimno. Może zatem wybiorę się na wyspy, na Jamajkę. Niezła muzyka, chata na plaży. Spędzę zimę w chacie na plaży na Jamajce, paląc tygodniowo pół kilo trawki i robiąc to, co się robi na Jamajce. Może kilo trawki i ktoś do towarzystwa. Cały czas wracałem myślami do Roscoe. Jej koszula mundurowa była idealnie odprasowana. Odprasowana, obcisła niebieska koszula. Nigdy nie widziałem lepszej. Na słonecznej jamajskiej plaży nie potrzebowałyby koszuli. Nie sądziłem, by stanowiło to jakiś problem. To jej mrugnięcie załatwiło mnie na dobre. Zabrała mój kubek, powiedziała, że mam ładne oczy i mrugnęła. To musiało coś znaczyć, prawda? Jeśli chodzi o oczy, już to słyszałem - Angielka, z którą jakiś czas dobrze się bawiłem, także lubiła moje oczy. Cały czas to powtarzała. Są niebieskie, a ludzie często mawiali, że wyglądają jak góry lodowe na Oceanie Arktycznym. Jeśli się skupię, potrafię powstrzymać się od mrugania. Wówczas wyglądam dość groźnie. To się przydaje. Lecz mrugnięcie Roscoe stanowiło najlepszą część całego dnia, jedyną miłą jego część, poza jajecznicą u Ena, całkiem niezłą. Jajka można dostać wszędzie, ale będę tęsknił za Roscoe. Bujałem w obłokach, a czas płynął ospale.

\* \* \*

Niedługo po dziesiątej szcęknął zamek w drzwiach od korytarza. Do środka wszedł mężczyzna w mundurze. W dłoni trzymał notatnik i strzelbę. Zmierzyłem go wzrokiem - prawdziwy syn Południa: ciężki, mięsisty, rumiana skóra, wielki, twardy brzuch i szeroki kark, małe oczka. Obcisły, poplamiony mundur, pękający w szwach. Pewnie urodził się tu, na

farmie, którą wykupiono, by zbudować więzienie. Zastępca naczelnika Spivey, szef zmiany. Zmęczony brakami personelu. Osobiście zajmujący się krótkoterminowymi gośćmi, ze strzelbą w wielkich, czerwonych farmerskich rękach.

Zerknął do notatnika.

- Który z was to Hubble? - spytał.

Miał wysoki głos, który nie pasował do jego postury. Hubble na moment podniósł rękę niczym chłopiec w szkole. Małe oczka Spiveya spojrzały na niego uważnie, zmierzyły od stóp do głów, niczym oczy węża. Spivey mruknął i machnął notatnikiem. Wstaliśmy i ruszyliśmy naprzód. Hubble był otepiały i posłuszny niczym wyczerpany żołnierz.

- Skręćcie w lewo i idźcie wzdłuż czerwonej linii - polecił Spivey.

Machnął w lewo strzelbą. Na ścianie, na wysokości pasa, wymalowano czerwoną linię, wskazującą drogę ewakuacyjną w razie pożaru. Przypuszczałem, że prowadzi na zewnątrz, ale my zmierzaliśmy w przeciwnym kierunku, w głąb więzienia, nie poza nie. Podążaliśmy wzdłuż linii, pokonując kolejne korytarze, schody i zakręty, najpierw Hubble, potem ja, na końcu Spivey ze strzelbą. Było bardzo ciemno. Gdzieś tam jarzyły się jedynie słabe lampki awaryjne. Spivey zatrzymał nas na podeście. Kluczem uruchomił zamek elektroniczny. Zamek, który otworzył drzwi przeciwpożarowe, gdy odezwie się alarm.

- Tylko bez gadania - rzekł. - Tutejsze przepisy nakazują zachowanie całkowitego milczenia po zgaszeniu świateł. Cela na końcu, po prawej.

Przeszliśmy przez drzwi. W nozdrza uderzył mnie paskudny więzienny smród, nocne wyziewy niezliczonych, zmęczonych życiem mężczyzn. Wokół panowały ciemności. Nocna lampka dawała niewiele światła. Bardziej wyczułem, niż ujrzałem rzędy cel, słyszałem chór nocnych odgłosów: oddechy i chrapanie, pomniki i jęki. Spivey doprowadził nas do końca rzędu. Wskazał pustą celę. Wsunęliśmy się do niej, a on zatrzęsął za nami kratę. Drzwi zamknęły się automatycznie. Spivey odszedł.

W celi panował głęboki mrok. Ledwo dostrzegałem zarysy piętrowego łóżka, umywalki i kibla. Niewiele miejsca. Zdjąłem płaszcz i wrzuciłem go na górną prycę. Prześcieliłem ją tak, by poduszka nie leżała przy kracie - tak bardziej mi odpowiadało. Koc i prześcieradło były zużyte, ale pachniały czystością. Hubble usiadł cicho na dolnym łóżku. Skorzystałem z kibla i opłukałem przy umywalce twarz. Wdrapałem się na górę. Zdjąłem buty, zostawiając je u stóp łóżka. Chciałem wiedzieć, gdzie są. Buty można ukraść, a te były naprawdę dobre, kupione wiele lat temu w Oksfordzie, w Anglii, mieście uniwersyteckim leżącym nieopodal bazy lotniczej, w której stacjonowaliśmy Wielkie, ciężkie buty o twardych podeszwach i grubych szwach.

Łóżko było dla mnie za krótkie, ale to często mi się zdarzało. Leżałem w ciemności, słuchając niespokojnych odgłosów więzienia. A potem zamknąłem oczy i odpłynąłem na Jamajkę z Roscoe. Musiałem wkrótce zasnąć, bo kiedy się obudziłem, była już sobota. Wciąż siedziałem w więzieniu i zaczynał się jeszcze gorszy dzień.

## 6

**O**budziło mnie wpadające do celi ostre światło. W więzieniu nie było okien. To prąd tworzył sztuczne dni i noce. O siódmej rano budynek zalała nagle fala blasku. Nie ma mowy o świcie czy łagodnym zmierzchu - automatyczne wyłączniki, zwalniane o siódmej. W jaskrawym świetle cela wcale nie wyglądała lepiej. Przednią ścianę zbudowano z prętów. Połowa otwierała się na zewnątrz na zawiasach, tworząc drzwi. Dwa łóżka ustawione piętrowo zajmowały połowę szerokości i większość długości klitki. Na ścianie z tyłu wisiała stalowa umywalka i muszla klozetowa. Murowane ściany - częściowo stare cegły, częściowo beton - pokryte grubą warstwą farby wydawały się wyjątkowo grube, jak w lochu. Nad głowami wisiał niski betonowy sufit. Cela nie sprawiała wrażenia pomieszczenia otoczonego ścianami, podłogą, sufitem - wyglądała, jakby w wielkim betonowym bloku z trudem wywiercono małą, niegościnną norę.

Na zewnątrz niespokojne nocne pomruki zastąpiły weselsze odgłosy dnia. Wszystko tu było z metalu, cegieł, betonu. Dźwięki odbijały się echem, zupełnie jakbym znalazł się w piekle. Przez kraty nie widziałem niczego. Naprzeciw naszej celi widniała pusta ściana. Leżąc w łóżku, patrzyłem pod niewłaściwym kątem, nie mogłem zajrzeć w głąb korytarza. Odrzuciłem koc, znalazłem buty, wciągnąłem je i zasznurowałem. Znów się położyłem. Hubble siedział na dolnej pryczy ze spuszczoneymi nogami, brązowe buty żeglarskie opierał na szarym betonie. Zastanawiałem się, czy przesiedział tak całą noc i czy w ogóle się przespał.

Następną osobą jaką ujrzałem, był sprzątac, który pojawił się zza krat. Bardzo stary człowiek z miotłą, siwiuteńki Murzyn, zgarbiony pod ciężarem lat, kruchy niczym wiekowy ptak. Pomarańczowy więzienny uniform miał sprany prawie do białości. Na oko, skończył już osiemdziesiąt lat, a przesiedział jakieś sześćdziesiąt. Może w czasach Wielkiego Kryzysu ukradł kurczaka i nadal spłaca swój dług wobec społeczeństwa.

Bezładnie wymachiwał szczotką po podłodze korytarza. Wygięty kręgosłup sprawiał, że jego twarz zwracała się ku ziemi, toteż poruszał głową jak pływak, na boki, by cokolwiek dostrzec. Zauważył Hubble'a i mnie i przystanął. Oparł się na szczotce i potrząsnął głową. Zachichotał z namysłem. Znów pokręcił głową. Cały czas się śmiał, z radością i uznaniem,

zupełnie jakby po tych wszystkich latach ujrzał w końcu przed sobą bajeczną istotę - jednorożca lub syrenę. Cały czas usiłował coś powiedzieć, unosząc dłoń, jak gdyby słowa wymagały podkreślenia, za każdym razem jednak chichot zwyciężał, ręka chwyciła szczotkę. Nie poganiałem go. Mogłem poczekać. Miałem cały weekend, a on resztę swego życia.

- To ci dopiero. - Uśmiechnął się szeroko. Nie miał zębów. - No, no. To ci dopiero.

Spojrzałem na niego.

- Co takiego, dziadku? - spytałem z szerokim uśmiechem. Znów się zaśmiał. Wiedziałem, że to potrwa.

- A to ci - mruknął. W końcu udało mu się opanować chichot. - Siedzę w tym pudle, odkąd pies Pana był jeszcze szczenięciem, a Adam małym chłopcem, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

- Czego nie widziałeś, staruszk?

- No, cóż - odparł. - Siedzę tu tyle lat, ale nie widziałem, by ktoś w tej celi miał na sobie takie ubranie.

- Nie podoba ci się moje ubranie? - spytałem zdumiony.

- Tego nie powiedziałem, o nie, nie. Nie powiedziałem, że mi się nie podoba. Bardzo mi się podoba. To piękne ubranie. O tak. Oczywiście.

- To o co chodzi?

Starzec zaśmiał się pod nosem.

- Nie o jakość pańskiego stroju - powiedział. - Nie, nie. Nie o to mi chodzi. Lecz o fakt, że macie je na sobie. Zwykłe stroje, a nie pomarańczowe uniformy. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. A jak mówię, siedzę tu, odkąd ziemia wystygła, a dinozaury doszły do wniosku, że starczy tego dobrego. Teraz widziałem już wszystko. O tak, bez dwóch zdań.

- Ale przecież na przejściowym nie nosi się uniformów - zauważyłem.

- O tak. To prawda, bez dwóch zdań - przytaknął staruszek. - Fakt niezbity.

- Tak twierdził strażnik - dodałem.

- Jasne jak słońce - zgodził się. - Bo takie są przepisy. A strażnicy znają przepisy. O tak, znają je, bo sami je tworzą.

- To o co chodzi, staruszk?

- Cóż, jak powiedziałem, nie macie na sobie pomarańczowych uniformów.

W ten sposób zatoczyliśmy krąg.

- Aleja nie muszę go nosić.

Wyraźnie się zdumiał. Bystre, ptasie oczy spojrzały na mnie.

- Nie? - spytał. - A to dlaczego? Wytłumacz.

- Bo na piętrze przejściowym się ich nie nosi - wyjaśniłem powoli. - Właśnie to ustaliliśmy, prawda?

Zapadła cisza. Zrozumieliśmy jednocześnie.

- Myśli pan, że to piętro przejściowe?

- A to nie piętro przejściowe? - zapytałem w tym samym momencie.

Stary zawahał się. Uniósł szczotkę, zniknął mi z oczu, drepcząc jak najszybciej i pokrzykując z niedowierzaniem.

- To nie piętro przejściowe, człowieku! - zawołał. - Piętro przejściowe jest na górze. Piąte piętro. A wy jesteście na drugim. Na drugim piętrze. Dla dożywotnich. Naprawdę niebezpiecznych ludzi. Niebezpieczniejszych niż zwykli więźniowie. To miejsce dla najgorszych. O tak, znaleźliście się tam, gdzie nie trzeba. Macie problem. Wkrótce pojawią się goście. Już oni się wami zajmą. Znikam stąd.

\* \* \*

Ocena.

Długie doświadczenie nauczyło mnie sprawdzać i oceniać każdą sytuację. Gdy zdarzy się coś nieoczekiwanego, nie trać czasu, nie zastanawiaj się, jak do tego doszło i dlaczego, nie żałuj, nie zgaduj, czyja to wina, nie zastanawiaj się, jak następnym razem uniknąć podobnego błędu. Wszystko to można załatwić później, jeśli się przeżyje. Najpierw należy dokonać oceny, przeanalizować sytuację, rozpoznać plusy i minusy, odpowiednio się zachować. Dzięki temu może udać się przeżyć i zająć resztą.

Nie przebywaliśmy w celach tymczasowych na piątym piętrze, mimo że tam właśnie umieszcza się aresztowanych. Znaleźliśmy się na piętrze drugim, wśród niebezpiecznych przestępców, skazanych na dożywocie. Sytuacja nie miała dobrych stron, natomiast złych całe mnóstwo. Byliśmy nowi wśród skazańców. Nie przeżyjemy bez odpowiedniego statusu, a my go nie mieliśmy. Rzucają nam wyzwania. Będziemy musieli przyjąć pozycję na samym dole hierarchii dziobania. Czekają nas nieprzyjemny weekend, może śmiertelny.

Przypomniałem sobie pewnego żołnierza, dezertera. Młody chłopak, niezły rekrut. Nie wrócił z przepustki, bo przystąpił do jakiejś zwariowanej sekty. Złapali go na demonstracji w Waszyngtonie i umieścili w więzieniu, wśród facetów takich jak ci. Zmarł pierwszej nocy, zgwałcony analnie, jak oceniono, około pięćdziesięciu razy. Podczas sekcji znaleziono w nim litr spenny. Nowy przybysz, pozbawiony statusu, na samym dole hierarchii dziobania. Dostępny dla każdego nad nim.

Ocena.



Mogłem przywołać do pomocy gruntowne szkolenie i bogate doświadczenie, które, co prawda, nie miało służyć mi w więzieniu, ale mogło pomóc. Przeszedłem długą, nieprzyjemną szkołę, nie tylko w armii, ale i w czasach dzieciństwa. Pomiędzy podstawówką a uczelnią dzieciaki wojskowych, takie jak ja, zmieniają zwykle szkołę dwadzieścia, trzydzieści razy. Czasami uczą się w bazach, zwykle w okolicznych miastach. Często bywają to niezbyt bezpieczne miejsca: Filipiny, Korea, Islandia, Niemcy, Szkocja, Japonia, Wietnam. Cały świat. Pierwszego dnia w nowej szkole byłem nowym, pozbawionym statusu, jednak miałem za sobą wiele „pierwszych dni”. Szybko nauczyłem się go zdobywać. Na rozpalonych, wysypanych piaskiem boiskach. Na boiskach skąpanych w deszczu. Wraz z bratem tłukliśmy się, ramię w ramię. Zdobywaliśmy status.

A potem, już na służbie, do brutalności dołączyło szkolenie. Uczyli mnie fachowcy, goście, którzy poznali swój fach podczas drugiej wojny światowej, w Korei, w Wietnamie, i przeżyli rzeczy, o jakich ja czytałem tylko w książkach. Wpoili mi umiejętności, metody, nawyki, a przede wszystkim nauczyli właściwego podejścia - tego, iż zahamowania mogą zabić: uderzać należy wcześniej i mocno. Zabijać pierwszym ciosem. Natychmiast odpłacić pięknym za nadobne. Oszukiwać. Dżentelmeni grający według zasad nikogo nie mogli wyszkolić - nie żyli.

O siódmej trzydzieści na korytarzu rozległ się głośny szcęk. Zegar otworzył cele. Nasza krata uchyliła się odrobinę. Hubble siedział bez ruchu. Wciąż milczał. Nie miałem żadnego planu. Najlepszym wyjściem byłoby odszukanie strażnika, wyjaśnienie i przeniesienie na piętro przejściowe, ale nie oczekiwałem, że kogoś znajdę. Na takich piętrach strażnicy nie patrolują samotnie. Poruszają się parami, może nawet grupami trzy-, czteroosobowymi. W więzieniu brakowało personelu. Przekonałem się o tym dobitnie zeszłej nocy. Wątpliwe, by starczyło ludzi do zorganizowania grup strażników na każdym piętrze. Zapewne cały dzień nie spotkam żadnego z nich - siedzą spokojnie w pokoju służbowym, reagując niczym grupa interwencyjna, wyłącznie w razie problemów. A gdybym nawet kogoś spotkał, co mógłbym powiedzieć? Że nie powinno mnie tu być? Pewnie wysłuchują tego całymi dniami. Spytają: „Kto cię tu umieścił?” Odpowiem: „Spivey, wasz szef. „Zatem w porządku” - oznajmią. Moim jedynym planem był brak planu. Pożyjemy, zobaczymy. Musiałem tylko pamiętać, by reagować stosownie do sytuacji. Cel: przeżyć do poniedziałku.

Słyszałem zgrzyty - to inni więźniowie odsuwali kraty. Krążyli nie opodal, wykrzykując do siebie i zaczynając kolejny bezsensowny dzień. Czekałem.

Nie musiałem czekać długo. Ze swego miejsca na łóżku, z głową odsuniętą od drzwi, zobaczyłem zbliżających się mężczyzn. Dołączyli do niewielkiej grupki więźniów. Wszyscy

byli ubrani tak samo - w pomarańczowe więzienne uniformy, czerwone bandanki wokół ogolonych głów. Wielcy czarni faceci, kulturyści. Kilku oddarło rękawy od koszul, jakby sugerowali, że żaden strój nie pomieści ich potężnych mięśni. Może nawet mieli rację. Imponujące.

Najbliższy gość miał na nosie jasne okulary przeciwsłoneczne, z tych, które ciemnieją na słońcu, fotochromy. Sam pewnie widział słońce w latach siedemdziesiątych i może nigdy już go nie zobaczy. Okulary więc były zbędne, ale dobrze wyglądały, podobnie jak mięśnie, bandanki i podarte koszule. Image przede wszystkim. Czekałem.

Facet w okularach zobaczył nas. Zdumienie widoczne na jego twarzy szybko ustąpiło miejsca podnieceniu. Zwrócił uwagę największego osiłka w grupie, klepiąc go w ramię. Tamten obejrzał się. Przez moment patrzył na nas tępo, po czym wygiął usta w szerokim uśmiechu. Czekałem. Przed drzwiami celi zebrała się grupka. Patrzyli na nas. Wielkolud uchylił kratę. Szybko podawali ją sobie z ręki do ręki i wreszcie zamocowali szeroko otwartą.

- Spójrzcie, co nam przysłali - powiedział wielkolud. - Wiecie, co nam przysłali?

- Co nam przysłali? - spytał okularnik.

- Świeże mięso - odparł olbrzym.

- Jasne, stary - przytaknął tamten. - Świeżutkie mięsko.

- Świeże mięso dla każdego - uzupełnił wielki.

Wyszczerył zęby, powiódł wzrokiem po twarzach swych ludzi. Wszyscy odpowiedzieli uśmiechami i zaczęli klepać się po ramionach. Czekałem. Wielkolud postąpił pół kroku w głąb naszej celi. Był niewiarygodny, na oko, jakieś trzy, pięć centymetrów niższy ode mnie, ale pewnie dwa razy cięższy. Całkowicie wypełniał sobą otwór wejściowy. Jego tępe oczka zerknęły na mnie, po czym skupiły się na Hubble'u.

- Ty tam, białasku! Chodź tutaj - rzucił. Czuję panikę Hubble'a, który jednak ani drgnął.

- Chodź tu, białasku - powtórzył cicho wielkolud. Hubble wstał, zrobił krok w stronę mężczyzny w drzwiach.

Wielkolud patrzył na niego z wściekłością która miała teoretycznie zmrozić ofiarę do szpiku kości.

- To terytorium Czerwonych - oznajmił. A, to stąd te bandany. - Co biali robią na terytorium Czerwonych?

Hubble nie odpowiedział.

- Musisz zapłacić podatek - oznajmił wielkolud. - Tak jak mieszkańcy hoteli na Florydzie. Podatek pobytowy. Daj mi swój sweter, białasku.

Hubble zdrętwiał ze zgrozy.

- Daj mi swój sweter, białasku - powtórzył cicho wielkolud.

Hubble zdjął z ramion biały sweter i wyciągnął ku przybyszowi. Wielkolud odebrał mu go i rzucił za siebie nie patrząc, gdzie wyląduje.

- Daj mi okulary, białasku - polecił.

Hubble spojrział na mnie z rozpaczą. Zdjął złote okulary, podał. Wielkolud wziął je i upuścił na podłogę, po czym zmiażdżył butem, dodatkowo obracając stopą. Okulary pękły i rozpadły się. Wielkolud poruszył stopą w tył, wyrzucając śmieci na korytarz. Pozostali deptali po nich kolejno.

- Grzeczny chłopiec - pochwalił. - Zapłaciłeś podatek.

Hubble drżał.

- A teraz podejdź tu, białasku - rozkazał jego kat. Hubble zbliżył się, szurając nogami.

- Blżej, białasku.

Hubble stanął bliżej. W końcu znalazł się w odległości pół metra. Dygotał.

- Na kolana, białasku - polecił wielkolud. Hubble ukląkł.

- Rozepnij mnie, białasku. Hubble ani drgnął, zamarł z paniki.

- Rozepnij mnie, białasku - powtórzył wielkolud. - Zębami.

Hubble wydał z siebie jęk zgrozy i wstrętu. Odskoczył, cofając się w głąb celi. Próbował ukryć się za kibelem. Dosłownie obejmował sedes.

Czas interweniować. Nie dla Hubble'a, nic ranie nie obchodził. Musiałem jednak zrobić to dla siebie. Tchórzostwo Hubble'a rzuci cień także na mnie. Będą w nas widzieć parę. Jego kapitulacja zdyskwalifikuje nas obu w więziennej grze o pozycję.

- Wracaj tu, białasku. Nie podobam ci się? - zawołał olbrzym.

Odetchnąłem cicho, głęboko. Usiadłem na brzegu łóżka i wylądowałem tuż przed wielkoludem. Spojrział na mnie. Wytrzymałem jego wzrok.

- Jesteś w moim domu, tłusciochu - powiedziałem. - Ale zamierzam dać ci wybór.

- Wybór? Czego? - spytał tępo, wyraźnie zaskoczony.

- Wybór strategii odwrotu, tłusciochu - dodałem.

- Że co?

- To proste. Wyjdiesz stąd, co do tego nie ma wątpliwości. Możesz wybrać sposób, w jaki wyjdiesz. Albo na własnych nogach, albo reszta tłusciochów, którzy stoją za tobą, wyniesie cię w koszu.

- Ach tak - rzucił.

- Jasne - odparłem. - Teraz policzę do trzech, więc decyduj się szybko.

Posłał mi gniewne spojrzenie.

- Jeden - zacząłem. Brak reakcji.

- Dwa. - Brak reakcji.

A potem oszukałem. Zamiast powiedzieć: trzy, rąbnąłem go z główki prosto w twarz. Odbiłem się stopą, prostując nogi, i wałęnałem go dokładnie w nos. Piękna robota. Czoło jest idealnie zakrzywione i bardzo mocne, a czaszka z przodu bardzo gruba. Mam tam zgrubienie mocne jak beton. Ludzka głowa jest ciężka, podtrzymują ją mięśnie szyi i karku. W efekcie przypomina to uderzenie w twarz kulą bilardową, a do tego zawsze zaskakuje. Ludzie spodziewają się kopniaka, ciosu pięścią. Uderzenie głową to coś nieoczekiwanego, grom z jasnego nieba.

Wgniotłem mu chyba całą twarz, zmiażdżyłem nos i strzaskalem obie kości policzkowe. Mocno też potrząsałem tym małym tępym mózdzkiem. Nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę niczym marionetka, której przecięto sznurki. Jak wół w rzeźni. Czaszka z głośnym trzaskiem uderzyła o betonową podłogę.

Powiodłem wzrokiem po grupce przybyszów, pospiesznie dokonujących ponownej oceny mojego statusu.

- Kto następny? - spytałem. - Ale odtąd będzie jak w Vegas, podwójnie albo nic. Ten klient trafi do szpitala na jakieś sześć tygodni, gwarantowana metalowa maska. Zatem następny dostanie dwanaście tygodni w szpitalu, rozumiecie? Strzaskane łokcie czy coś w tym stylu. No więc, kto następny?

Nikt nie odpowiedział. Wskazałem faceta w okularach.

- Daj mi sweter, tłściochu - rzuciłem.

Schylił się i podniósł sweter. Wręczył mi go, pochylając się i wyciągając rękę. Nie chciał zanadto się zbliżyć. Wziąłem sweter i cisnąłem na pryczę Hubble'a.

- Podaj okulary.

Schylił się i podniósł poskręcane złote ramki. Wręczył mi je, a ja je odrzuciłem.

- Są stłuczone, tłściochu - powiedziałem. - Oddaj mi swoje. Chwila wahania. Spojrzał na mnie, a ja na niego, nie mrugając oczami. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i podał mi. Wsunąłem je do kieszeni.

- A teraz zabierajcie to ścierwo - poleciłem.

Grupka mężczyzn w pomarańczowych uniformach i czerwonych bandankach wyprostowała bezwładne kończyny i wyciągnęła z celi swego wielkiego towarzysza. Wdrapałem się na pryczę. Adrenalina sprawiła, że cały się trząsałem, ścisnął mi się żołądek, dyszałem, ciśnienie spadło mi do zera. Czułem się okropnie, ale nie aż tak źle, jakbym się

czuł, gdybym niczego nie zrobił. Do tej pory zdążyliby już skończyć z Hubble'em i zabrali się do mnie.

\* \* \*

Nie zjadłem śniadania, nie miałem apetytu. Leżałem tylko na pryczy, póki nie poczułem się lepiej. Hubble siedział na swoim łóżku, kołysząc się w przód i w tył. Wciąż nie odezwał się ani słowem. Po jakimś czasie zsunąłem się na podłogę, umyłem nad umywalką. Jacyś ludzie podchodzili do wejścia, zaglądali do środka i znikali. Wieści rozeszły się szybko. Nowy facet w celi na końcu wysłał do szpitala jednego z Czerwonych. No proszę, stałem się sławny.

Hubble przestał się huścić i spojrzał na mnie. Otworzył usta, zamknął. Otworzył po raz drugi.

- Nie wytrzymam tego - powiedział.

Były to pierwsze słowa, jakie padły z jego ust od czasu wymiany zdań, którą słyszałem w telefonie Finlaya. Głos miał niski, lecz dźwięczała w nim pewność. Nie była to skarga ani uzalanie się nad sobą - po prostu stwierdzenie faktu. Nie mógł tego znieść. Popatrzyłem na niego.

Długo się zastanawiałem.

- Dlaczego więc tu jesteś? - spytałem. - Co tu robisz?

- Nic nie robię - odparł obojętnie.

- Przyznałeś się do czegoś, czego nie zrobiłeś. Sam o to prosiłeś.

- Nie - zaprotestował. - Zrobiłem to, co powiedziałem. Zrobiłem to i zawiadomiłem detektywa.

- Pieprzysz, Hubble. Nawet cię tam nie było. Bawiłeś się na przyjęciu. Gość, który odwiózł cię do domu, to policjant. Na miłość boską, nie zrobiłeś tego! Ty o tym wiesz i wszyscy o tym wiedzą, więc nie chrzań.

Hubble spuścił wzrok. Myślał przez chwilę.

- Nie mogę tego wyjaśnić - rzekł. - Nie mogę o tym mówić. Muszę po prostu wiedzieć, co będzie dalej.

Popatrzyłem na niego uważnie.

- Co będzie dalej? - powtórzyłem. - Zostaniesz tu do poniedziałku, potem wrócisz do Margrave, a później pewnie cię wypuszczą.

- Czyżby? - spytał, jakby prowadził dyskusję sam ze sobą.

- Nawet cię tam nie było - przypomniałem. - I dobrze o tym wiedzą. Mogą spytać, dlaczego się przyznałeś, skoro niczego nie zrobiłeś, i będą chcieli wiedzieć, czemu ten gość miał przy sobie twój numer telefonu.

- A jeśli nie mogę im powiedzieć?

- Nie możesz czy nie chcesz? - spytałem.

- Nie mogę - odparł. - Nikomu nic nie mogę powiedzieć. Odwrócił głowę i zadrżał, śmiertelnie przerażony.

- Ale nie mogę tu zostać - dodał. - Nie zniosę tego.

Hubble był finansistą. Tacy ludzie rozdają swoje numery telefonu jak konfetti. Z każdym napotkanym facetem rozmawiają o funduszach powierniczych, rajach podatkowych - wszystko po to, by ściągnąć do siebie ciężko zarobiony szmal innych. Lecz ten numer telefonu został wydrukowany na skrawku oddartego papieru komputerowego, nie wytłoczony na wizytówce, i ukryty w bucie, nie wsunięty do portfela. A w tle niczym sekcja rytmiczna wciąż czaił się strach, promieniujący z samego Hubble'a.

- Czemu nie możesz nikomu powiedzieć?

- Bo nie mogę. - Nie odezwał się więcej.

Nagle poczułem znużenie. Dwadzieścia cztery godziny temu wyskoczyłem z autobusu na skrzyżowaniu i ruszyłem naprzód nową drogą, maszerując radośnie w ciepłym porannym deszczu, unikając ludzi, unikając ich spraw. Zero bagażu, zero kłopotów. Wolność. Nie chciałem, by zniszczył ją Hubble, Finlay czy jakiś wysoki facet, który dał się postrzelić w ogoloną głowę. Nie miałem zamiaru się w to mieszać. Pragnąłem spokoju, ciszy, chciałem poszukać Ślepego Blake'a, znaleźć osiemdziesięciolatka, który być może pamięta go grającego w jakimś barze. Powinienem pogadać ze staruszką zamiatającą więzienie, nie z Hubble'em. Japieszkoński dupek.

Wyraźnie nad czymś rozmyślał. Wiedziałem teraz, o czym wcześniej mówił Finlay: nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto rozmyślałby w sposób tak widoczny. Jego wargi poruszały się bezdźwięcznie, wyłamywał palce, odliczał, jakby wymieniał w myślach wady i zalety każdego rozwiązania. Starannie ważył argumenty. Obserwowałem go. Dostrzegłem, że podjął decyzję. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Potrzebuję rady - oświadczył. - Mam problem. Wyśmiałem go.

- Też mi nowina. W życiu bym się nie domyślił. A ja sądziłem, że jesteś tu, bo znudziła cię weekendowa gra w golfa.

- Potrzebuję pomocy.

- Dostałeś już wszelką pomoc - odparłem. - Beze mnie leżałbyś teraz na łóżku, a kolejka wielkich, napalonych facetów sięgałaby aż za drzwi. Jak dotąd, nie paliłeś się, by okazać mi wdzięczność.

Spuścił głowę, po chwili skinął nią lekko.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem bardzo wdzięczny, wierz mi, naprawdę. Ocaliłeś mi życie. Zająłeś się mną. Dlatego właśnie musisz mi powiedzieć, co mam robić. Grożą mi.

Pozwoliłem, by jego słowa na moment zawisły w powietrzu.

- Wiem - odparłem. - To raczej oczywiste.

- I nie tylko mnie - dodał. - Także mojej rodzinie.

Zaczynał wciągać mnie w swoje kłopoty. Spojrzałem na niego. Znów myślał. Jego wargi poruszały się, wyłamywał palce, oczy spoglądały to w lewo, to w prawo, jakby z jednej strony widniał stos argumentów, a z drugiej kolejny, równie wysoki. Który przeważy?

- Masz rodzinę? - spytał.

- Nie - odparłem. Co innego mógłbym rzec? Moi rodzice nie żyli, brata nie widziałem od wieków. Nie miałem rodziny ani pojęcia, czy chciałbym ją mieć. Może tak, może nie.

- Od dziesięciu lat jestem żonaty - oznajmił Hubble. - W zeszłym miesiącu mieliśmy rocznicę, urządziliśmy wielkie przyjęcie. Mamy dwoje dzieci, chłopca - dziewięć lat i dziewczynkę - siedem. Cudowna żona, wspaniałe dzieciaki. Kocham ich jak wariat.

Mówił poważnie, dało się to zauważyć. Znów umilkł. Jego oczy zamgłiły się na myśl o rodzinie. Zastanawiał się, jak, do diabła, znalazł się tu bez nich. Nie on pierwszy siedział w celi i rozmyślał o rodzinie. I nie ostatni.

- Mamy ładny dom - ciągnął - na Beckman Drive. Kupiony pięć lat temu. Mnóstwo kosztował, ale warto było. Znasz Beckman?

- Nie - powtórzyłem.

Bał się przejść do rzeczy. Wkrótce zacznie opowiadać mi o tapecie w łazience na parterze i o tym jak zamierza zapłacić za aparat ortodontyczny dla córki. Pozwoliłem mu mówić. Więzienne rozmowy.

- W każdym razie - rzekł w końcu - wszystko zaczyna się rozpadać.

Siedział tak w drelichowych spodniach i koszulce polo, znów owinał ramiona białym swetrem. Bez okularów wydawał się starszy, bardziej roztargniony. Ludzie noszący okulary zawsze wyglądają bez nich bezbrinnie, krucho, otwarci, pozbawieni warstwy ochronnej. Przypominał zmęczonego starca. Jedną nogę wysunął naprzód, widziałem wzór na podeszwie.

Co mu groziło? Ujawnienie wstydlivej tajemnicy, coś, co mogłoby zniszczyć idealne życie na Beckman Drive? Może to żona w coś się wplątała, może ją krył, może miała romans

z martwym wysokim facetem? Za dużo może. Może cokolwiek. Może jego rodzinie groziła niesława, bankructwo, potępienie, skasowanie członkostwa w klubie. Zapętlilem się. Nie żyłem w świecie Hubble'a. Mieliliśmy inne układy odniesienia. Widziałem, że trzął się i dygotał ze strachu, ale nie miałem pojęcia, ile trzeba, by wystraszyć kogoś takiego. Jak wiele, jak mało. Gdy wczoraj pierwszy raz zobaczyłem go na posterunku, sprawiał wrażenie zdenerwowanego i poruszonego. Od tego czasu widziałem, jak dygotał, zamierał z przerażenia, chwilami popadał w apatię. Wyraźnie czegoś się bał. Oparłem się o ścianę celi czekając, by powiedział, czego.

- Grożą nam - rzekł ponownie. - Jeśli kiedykolwiek powiem komuś, co się dzieje, włamią się do naszego domu, zbiorą nas w mojej sypialni. Mówią, że przybiją mnie do ściany i obetną mi jaja. Potem zmuszą żonę, by je zjadła. Później poderzną nam gardła, a dzieciom każą patrzeć. Obiecali też, że później zrobią z dziećmi coś, o czym nie będziemy mieli pojęcia, bo będziemy martwi.

## 7

Co więc mam robić? - spytał Hubble. - Co ty byś zrobił?

Wpatrywał się we mnie, czekając na odpowiedź. Co ja bym zrobił? Gdyby ktoś tak mi groził, zginałby, rozszarpałbym go na strzępy - na miejscu, albo dzień, miesiąc, rok później. Ścigałbym go i rozszarpał. Ale Hubble nie był do tego zdolny. Miał rodzinę, trójkę gotowych zakładników, schwytyanych w chwili wypowiedzenia groźby.

- Co robić? - zapytał ponownie.

Czułem nacisk, musiałem coś powiedzieć. Bolało mnie czoło - siniak po potężnym zderzeniu z twarzą Czerwonego. Podeszedłem do kraty, zerkając wzdłuż rzędu cel. Oparłem się o skraj pryczy, zastanowiłem chwilę i znalazłem jedyną możliwą odpowiedź. Lecz nie tę, którą Hubble pragnął usłyszeć.

- Nic nie możesz zrobić. Kazano ci trzymać gębę na kłódkę, więc trzymaj ją na kłódkę. Nie mów nikomu, co się dzieje, nigdy.

Wbił wzrok w stopy, spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Jęknął boleśnie, jakby zmiażdżył go ciężar zawodu.

- Muszę z kimś porozmawiać - rzekł. - Muszę się wyrwać, uwolnić od tego. Muszę z kimś pomówić.

Pokręciłem głową.

- Nie możesz. Kazali ci milczeć, więc milcz. Dzięki temu zostaniesz przy życiu, ty i twoja rodzina. Uniósł wzrok, zadrżał.



- Dzieje się coś wielkiego - oznajmił. - Muszę to przerwać, jeśli zdołam.

Ponownie pokręciłem głową. Jeśli działo się coś wielkiego i uczestniczyli w tym ludzie, którzy wygłaszają podobne groźby, nigdy nie zdoła tego przerwać. Był jednym z nich i jednym z nich pozostanie. Uśmiechnąłem się ponuro i trzeci raz pokręciłem głową. Przymknął, jakby zrozumiał, jakby w końcu pogodził się z sytuacją. Znów zaczął się kołysać, wbijając wzrok w ścianę. Oczy miał otwarte, czerwone i nagie bez okularów. Długi czas milczał.

\* \* \*

Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego się przyznał. Powinien siedzieć cicho. Zaprzeczać, że ma cokolwiek wspólnego z ofiarą. Twierdzić, iż nie ma pojęcia, dlaczego w bucie tamtego znalazł się jego numer telefonu. Że nie ma pojęcia, co to jest *Plwibus*. Wtedy po prostu wróciłby do domu.

- Hubble? - zagadnąłem. - Czemu się przyznałeś? Uniósł głowę. Po chwili odpowiedział.

- Nie mogę wyjaśnić. Zdradziłbym więcej, niż powinienem.

- Już i tak wiem więcej, niż powinienem - rzekłem. - Finlay spytał o nieboszczyka i *Plwibus*, a ty wpadłeś w panikę. Wiem zatem, że coś cię łączy z nieboszczykiem i z *Plwibus*, cokolwiek to znaczy.

Popatrzył na mnie pytająco.

- Czy Finlay to ten czarny detektyw? - spytał.

- Tak - odparłem. - Finlay, szef dochodzeniówki

- Jest nowy - mruknął. - Nigdy wcześniej go nie widziałem. Tu zawsze był Gray, od lat, odkąd byłem mały. Detektyw. Nie mam pojęcia, czemu nazywają go szefem, skoro jest tylko jeden. Na całym posterunku pracuje zaledwie osiem osób. Komendant Morrison też jest tu od lat, ten za biurkiem, czterech funkcjonariuszy, kobieta i detektyw Gray. Tyle że teraz to Finlay, nowy, Murzyn, pierwszy, jakiego tu mamy. Gray się zabił, wiesz? Powiesił się na belce we własnym garażu. Chyba w lutym.

Pozwoliłem mu gadać, więzienne rozmowy zabijają czas. Do tego właśnie służą. Hubble był w tym dobry, ale wciąż chciałem, by odpowiedział mi na pytanie. Bolało mnie czoło, miałem ochotę zanurzyć je w zimnej wodzie. Chciałem się przejść, coś zjeść, napić się kawy. Czekałem, nie słuchając, podczas gdy Hubble omawiał historię policji w Margrave. Nagle urwał.

- O co pytałeś? - rzucił.

- Dlaczego przyznałeś się, że zabiłeś tego faceta? - powtórzyłem.

Rozejrzał się, potem spojrzał wprost na mnie.

- Coś łączy te sprawy. W tej chwili mogę bezpiecznie powiedzieć tylko tyle. Detektyw wspomniał o tym człowieku, wymienił słowo *Plwibus*, a ja aż podskoczyłem. Zaskoczył mnie, nie potrafiłem uwierzyć, iż połączył jedno z drugim. Potem uświadomiłem sobie, że on nic nie wie, ale moje zdumienie naprowadziło go na trop całej sprawy. Rozumiesz? Zdradziłem, schrzaniłem sprawę, ujawniłem tajemnicę, a tego mi nie wolno. Pamiętaj o groźbie.

Zawiesił głos. Znowu usłyszałem echo przerażenia i paniki, jakie ogarnęły go w gabinecie Finlaya. Uniósł głowę, odetchnął głęboko.

- Byłem przerażony - oznajmił. - Potem jednak detektyw powiedział, że ten człowiek nie żyje, został zastrzelony. Przestraszyłem się, bo jeśli go zabili, mogą zabić i mnie. Nie wolno mi wyjaśnić dlaczego, ale coś te sprawy łączy. Sam zresztą odgadłeś. Skoro załatwili tamtego faceta, czy to znaczy, że mnie też załatwią? A może nie? Musiałem przemyśleć całą sprawę. Nie wiedziałem nawet, kto go zabił. Ale wtedy detektyw wspomniał o przemocy. Mówił ci?

Przytaknąłem.

- Masz na myśli obrażenia? Nie brzmiało to najpiękniej.

- Właśnie. Ich obecność dowodzi, że zrobił to ten, o kim myślę. Wtedy naprawdę się przeraziłem. Zastanawiałem się, czy mnie też szukają. A może nie? Po prostu nie wiedziałem, wpadłem w panikę. Myślałem całymi godzinami, analizując wszystko od początku. Detektyw dostawał szału. Milczałem, bo myślałem. Zdawało mi się, że upłynęły wieki. Byłem przerażony, rozumiesz.

Znowu umilkł, ponownie analizował całą sytuację, prawdopodobnie setny, może tysięczny raz próbując ustalić, czy podjął słuszną decyzję.

-Nagle pojąłem, co powinienem zrobić. Miałem trzy problemy. Jeśli mnie też szukali, musiałem ich unikać, ukryć się. No wiesz, żeby się chronić. Jeśli jednak mnie nie szukali, musiałem zachować milczenie, aby ochronić żonę i dzieci. Bo z ich punktu widzenia tego akurat człowieka należało usunąć. Trzy problemy. Więc się przyznałem.

Nie dostrzegałem logiki w jego rozumowaniu. Te wyjaśnienia nie miały sensu. Spojrzałem na niego pytająco.

- Trzy odrębne problemy, chwytasz? - zaczął mi gorączkowo wyjaśniać. - Postanowiłem dać się zaarrestować. Wówczas, jeśli mnie też ścigają, byłbym bezpieczny, bo tu mnie nie dostaną, prawda? Są na zewnątrz, a ja w środku. Problem numer jeden z głowy. Ale pomyślałem też, i to się robi trochę skomplikowane, że jeśli tak naprawdę nie chodzi im o

mnie, czemu nie miałbym dać się aresztować, ale o nich nie wspomnieć? Pomyśleliby wówczas, iż zostałem aresztowany przez pomyłkę, i przekonaliby się, że milczę. To dowód, prawda? Oznacza, że nie jestem dla nich zagrożeniem. Demonstracja tego, że można na mnie polegać. Ostateczny argument, próba ogniowa. I rozwiązuje problem numer dwa. A mówiąc, że to ja zabiłem tamtego, ostatecznie stawiam się po ich stronie, prawda? To jak świadectwo lojalności. Pomyślałem też, że ucieszyliby się, iż na jakiś czas skierowałem gliniarzy w złą stronę. I to rozwiązuje problem numer trzy.

Patrzyłem na niego. Nic dziwnego, że zamknął się w sobie i rozmyślał jak szalony przez czterdzieści minut, zamiast rozmawiać z Finlayem. Trzy pieczenie przy jednym ogniu - o to mu chodziło.

Ta część z dowiedzeniem, że można mu ufać, bo się nie wygada, brzmiała nieźle. Kimkolwiek byli, z pewnością to zauważą. Kilka dni w więzieniu to jak rytuał wtajemniczenia. Zaszczytne order, to się liczy. Dobrze kombinujesz, Hubble.

Niestety, reszta wyglądała już znacznie gorzej. Nie mogli go tu dostać? Chyba żartował. Nie ma lepszego miejsca do załatwienia człowieka niż więzienie. Wiadomo, gdzie jest, ma się dość czasu, a wokół mnóstwo ludzi, którzy to załatwią, mnóstwo sposobności. I do tego tanio. Na ulicy zabójstwo kosztuje - ile? Patyka, dwa? No i ryzyko. W pudle wystarczy karton papierosów. Ryzyko praktycznie żadne, bo nikt niczego nie zauważy. Nie, więzienie nie jest najlepszą kryjówką. Kiepsko kombinujesz, Hubble. Dostrzegłem też kolejny błąd.

- Co zamierzasz zrobić w poniedziałek? - spytałem. - Z powrotem znajdziesz się w domu, wrócisz do pracy, będziesz chodził po Margrave albo Atlancie, jak zwykle. Jeśli chcą cię dopaść, zrobią to właśnie wtedy.

Znów zaczął myśleć, całkowicie skupiony. Wcześniej nie spoglądał zbyt daleko w przyszłość. Wczoraj po południu działał, kierując się ślełą paniką. Chciał załatwić to, co dręczy go teraz. Niezła zasada, tyle że wkrótce nadchodzi przyszłość i nią też trzeba się zająć.

- Pozostaje mi tylko nadzieja - stwierdził. - Uznałem, że jeśli zechcą mnie załatwić, może po pewnym czasie trochę ochłoną. Jestem dla nich bardzo użyteczny. Liczę, że o tym nie zapomną. W tej chwili sytuacja jest bardzo napięta, ale wkrótce się uspokoi. Może mi się uda. Jeśli mnie dostaną, to dostaną, trudno. To o rodzinę się martwię.

Urwał, wzruszył ramionami, westchnął. Niezły gość. Nie planował zostać przestępcą. Okazja zaszła go od tyłu i wciągnęła tak delikatnie, że się nie zorientował, póki nie zapragnął się uwolnić. Jeśli dopisze mu wielkie szczęście, nie połamię mu kości przed śmiercią.

- Ile wie twoja żona? - spytałem.

Obejrzał się. Na jego twarzy malowała się groza.

- Nic - zapewnił. - Zupełnie nic. Nic jej nie powiedziałem, ani słowa. Nie mogłem. To moja tajemnica, nikt inny nic nie wie.

- Musiałeś jej coś powiedzieć. Z pewnością zauważyła, że nie ma cię w domu, nie oczyszczasz basenu, czy co tam robisz w weekendy.

Próbowałem rozluźnić atmosferę, bez skutku. Hubble umilkł. Jego oczy znów zawilgotniały na myśl o podwórku skąpanym w jesiennym słońcu, żonie krzątającej się przy krzakach róż, biegających dzieciach. Może mają psa i garaż na trzy wozy, w którym europejskie limuzyny czekają na umycie. Nad drzwiami wisi kosz - pewnego dnia dziewięciolatek stanie się dość silny, by trafić w niego ciężką piłką. Flaga nad werandą. Wczesne jesienne liście, które trzeba zamieść. Sobotnie życie rodzinne. Ale nie w tę sobotę, nie dla tego faceta.

- Może uzna, że to pomyłka - westchnął. - Może jej powiedzieli, nie wiem. Znam jednego z policjantów, Dwighta Stevensona. Mój brat poślubił siostrę jego żony. Nie mam pojęcia, co jej powiedział. Będę się tym martwił w poniedziałek. Upnę się, że to jakaś straszna pomyłka. Ona mi uwierzy, wszyscy wiedzą, że takie rzeczy się zdarzają.

Myślał głośno.

- Hubble - zagadnąłem. - Co im zrobił ten wysoki facet, że zasłużył na to, by strzelili mu w łeb?

Hubble wstał i oparł się o ścianę, uniósł stopę i położył na stalowej muszli klozetowej. Spojrzał na mnie, nie odpowiedział. A teraz najważniejsze pytanie.

- A ty? - spytałem. - Co ty zrobiłeś, że zasłużyłeś sobie na kulkę w łeb?

Znowu milczenie. Cisza panująca w naszej celi raniła uszy. Pozwoliłem, by jakiś czas władala tu niepodzielnie. Nie miałem nic więcej do powiedzenia. Hubble zastukał butem w metalową muszlę. Drobny, płaski rytm, coś jak riffy Bo Diddleya.

- Słyszałeś kiedyś o Ślepym Blake'u? - spytałem. Przestał tupać i uniósł wzrok.

- O kim? - spytał tępo.

- Nieważne. Zamierzam poszukać łazienki. Muszę przyłożyć sobie do głowy mokry ręcznik. Boli.

- Nie dziwię się - odparł. - Pójdę z tobą. Zdecydowanie nie chciał zostać sam. Zrozumiałe. Wyglądało na to, że zostałem jego opiekunem na ten weekend. W zasadzie nie miałem innych planów.

\* \* \*

Przeszliśmy wzdłuż rzędu cel i dotarliśmy do jakiejś otwartej przestrzeni. Ujrzałem drzwi przeciwpożarowe, z których wczoraj skorzystał Spivey, a za nimi wyłożone płytkami przejście. Nad nim zegar. Już prawie dwunasta. Zegary w więzieniu to coś bardzo dziwnego. Po co odmierzać godziny i minuty, gdy ludzie myślą tu w kategorii lat, dziesięcioleci?

W przejściu tłoczył się tłum mężczyzn. Przepchnąłem się, Hubble podążył za mną. Znaleźliśmy się w dużym, wyłożonym glazurą kwadratowym pomieszczeniu. Mocny smród środków dezynfekcyjnych, w jednej ścianie drzwi, po lewej rząd otwartych kabin prysznicowych. Na tyłach rząd kabin toaletowych, także otwartych z przodu, rozdzielonych sięgającymi pasa ściankami. Po prawej umywalki. Zero prywatności. Nic takiego, jeśli całe życie spędziło się w wojsku, ale Hubble nie był zachwycony. Nie do tego przywykł.

Wszystko zrobiono tu ze stali. Przedmioty, zwykle porcelanowe, tu lśniły stalowym blaskiem. Dla bezpieczeństwa. Stłuczona porcelanowa umywalka dostarcza niezłych odłamków. Porządny odłamek staje się dobrą bronią. Z tego samego powodu lustra zastąpiły płyty z wypolerowanej stali. Ponure, ale pasowały do miejsca. Można się w nich było przejrzeć, ale nie rozbić na kawałki i kogoś pociąć.

Podszedłem do umywalki, odkręciłem zimną wodę. Wyciągnąłem z pojemnika kilka papierowych ręczników i namoczyłem je, po czym przyłożyłem do posiniaczonego czoła. Hubble stał obok bezczynnie. Jakiś czas trzymałem ręczniki przy czole, potem wziąłem następne. Woda spływała mi po twarzy, cudowne uczucie. W istocie nic mi się nie stało. Na czasce właściwie nie ma ciała, jedynie skóra, a pod nią twarda kość. Czoło trudno zranić, praktycznie nie da się złamać. Idealny łuk, najmocniejsza konstrukcja przyrody. To dlatego staram się unikać uderzeń dłońmi. Dłonie są kruche, pełne maleńkich kości i ścięgien. Cios pięścią dość silny, by powalić Czerwonego, załatwiłby mi rękę na amen i też wylądowałbym w szpitalu. Bez sensu.

Osuszyłem twarz i pochyliłem się bliżej stalowego lustra, by ocenić szkody. Nieźle. Przeczesałem palcami włosy. Poczulem w kieszeni coś twardego - okulary przeciwsłoneczne, zdobycz wojenną. Wyjąłem je i nałożyłem, spojrzałem na swoje niewyraźne odbicie.

Nagle zobaczyłem w lustrze jakiś ruch za plecami. Usłyszałem ostrzegawczy krzyk Hubble'a. Do pomieszczenia wmaszerowało pięciu białych. Typ motocyklistów, wszechobecne pomarańczowe uniformy, kolejne oddarte rękawy, ale do tego dodatki z czarnej skóry - czapki, pasy, rękawiczki bez palców, rozłożyste brody. Sami potężni, ciężcy mężczyźni, obrośnięci twardym, zbitym tłuszczem, niemal przypominającym mięśnie. Cała piątka miała na rękach i twarzach prymitywne tatuaże, swastyki na policzkach pod oczami i na czołach. Bractwo Aryjskie, biały więzienny gang.

Gdy znaleźli się w łazience, reszta korzystających z niej więźniów zniknęła, a ci, którzy nie zrozumieli przesłania, zostali wyrzuceni, wypchnięci na korytarz, nawet namydleni nadzy faceci spod pryszniców. W ciągu kilku sekund wielka łazienka opustoszała. Pozostali w niej jedynie brodacze oraz Hubble i ja. Cała piątka otoczyła nas półokręgiem. Wielcy, paskudni faceci. Swastyki na ich twarzach zostały wydrapane ostrzem, potem wtarto w nie tusz.

Oczekiwałem, że przyszedli mnie zwerbować, wykorzystać fakt, iż załatwiłem jednego z Czerwonych. Zdobyć moje dziwaczne zwycięstwo dla swojej sprawy - kolejny rasowy punkt dla bractwa. Ale myliłem się. Myliłem się całkowicie, byłem zatem nie przygotowany. Facet pośrodku wodził wzrokiem pomiędzy mną a Hubble'em. W końcu jego oczy zatrzymały się na mnie.

- W porządku, to ten - stwierdził, patrząc wprost w moją twarz.

Dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Dwóch facetów z końca złapało Hubble'a i wywlokło go za drzwi, a ich szef zamachnął się wielką pięścią prosto w moją twarz. Zobaczyłem to za późno - uskokczyłem w lewo, i cios trafił mnie w ramię, obracając całe moje ciało. Z tyłu ktoś chwycił mnie za szyję. Dwie wielkie łapy objęły mi gardło, zaczęły dusić. Szef przygotował się do kolejnego ciosu w brzuch. Gdyby trafił, już bym nie żył. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, toteż odchyliłem się w tył i kopnąłem go wprost w jaja, jakbym próbował wyrzucić piłkę daleko poza stadion. Wielki oksfordzki bucior zmiądzzył mu jądra niczym tępą topór.

Skuliłem ramiona, napinając mięśnie szyi. Dusiciel mocno zaciskał ręce, zaczynałem tracić oddech. Sięgnąłem ku jego łapom i złamałem mu małe palce. Mimo dudnienia w uszach usłyszałem trzask pękających kości. Potem złamałem mu palce serdeczne, kolejny trzask. Zupełnie jakbym rozdzielał pieczonego kurczaka. Dusiciel puścił mnie wreszcie.

Do akcji włączył się trzeci facet, ogromna góra sadła, otoczony niczym zbroją wielkimi płatami łożu. Nie dało się go uderzyć. Zaczął zasypywać mnie serią krótkich ciosów w ramię i pierś, wpychając między dwie umywalki. Nie znalazłem u niego żadnych czułych punktów, z wyjątkiem oczu. Wbiłem mu więc kciuk w oko, czubkami palców chwyciłem ucho i nacisnąłem. Mój paznokieć poruszył gałkę oczną przesunął. Wepchnąłem kciuk do środka. Jego oko niemal całkowicie wypadło. Wrzeszczał, szarpiąc mnie za przegub. Nie puszczałem.

Szef dźwignął się na jedno kolano. Kopnąłem go mocno w twarz. Chybiłem, zamiast tego trafiłem w gardło. Zmiądzylem mu krtań. Runął na ziemię. Drugą ręką sięgnąłem ku drugiemu oku tłuściocha. Nie trafiłem. Cały czas wbijałem kciuk, zupełnie jakbym próbował

przepchnąć go przez krwisty stek. Facet upadł, odskoczyłem od ściany. Ten z połamanymi palcami biegł do drzwi, gość z wylupionym okiem miotał się na podłodze, wrzeszcząc przeraźliwie. Szef dławił się, charkocząc głośno.

Znów ktoś chwycił mnie od tyłu. Wyrwałem się. Jeden z Czerwonych, za nim drugi. Kręciło mi się w głowie. Teraz mnie załatwią. Ale oni po prostu mnie złapali i wywlekli za drzwi. Gdzieś w dali ryczały syreny.

- Znikaj stąd, facet! - wrzasnęli, przekrzykując hałas. - To nasza sprawa, my to zrobiliśmy, rozumiesz? To robota Czerwonych! My za to odpowiemy, facet.

Cisnęli mnie w tłum na zewnątrz. Zrozumiałem. Zamierzali powiedzieć, że to oni załatwili tamtych. Nie dlatego że chcieli mnie chronić. Pragnęli przypisać sobie zwycięstwo, triumf rasowy.

Zobaczyłem Hubble'a krążącego w tłumie, a także strażników, setki ludzi - i Spiveya. Chwyciłem Hubble'a i pobiegliśmy do celi. Syreny zawodziły ogłuszająco, z drzwi wysypywali się strażnicy, dostrzegłem pałki i strzelby. Tupot ciężkich butów, krzyki, wrzaski. Biegliśmy do celi, wpadliśmy do środka. Dyszałem, kręciło mi się w głowie, nieźle oberwałem. Syreny wyły ogłuszająco, nie mogliśmy mówić. Ochlapałem twarz wodą. Okulary zniknęły, pewnie spadły podczas walki.

Usłyszałem krzyki zza drzwi. Odwróciłem się i ujrzałem Spiveya. Wrzeszczał na nas, kazał się wynosić. Wpadł do celi. Złapałem leżący na pryczy płaszcz. Spivey chwycił Hubble'a za łokieć, mnie także i wypchnął nas obu na korytarz, poganiając krzykiem. Syreny ryczały. Spivey poprowadził nas do wyjścia ewakuacyjnego, z którego wybiegli strażnicy. Pchnął na klatkę schodową i w górę po schodach. Zaczynałem tracić oddech. Na ostatnim podejściu ujrzałem drzwi z wielką cyfrą pięć. Wpadliśmy przez nie. Spivey pogonił nas wzdłuż rzędu cel, wepchnął do pustego pomieszczenia i zatrzasnął żelazną kratę. Zamknęła się ze zgrzytem. Zastępca naczelnika odbiegł. Padłem na łóżko, zamykając oczy.

Gdy znów je otworzyłem, Hubble siedział na pryczy, patrząc na mnie. Znajdowaliśmy się w wielkiej celi, na oko, dwa razy większej niż poprzednia. Dwa oddzielne łóżka po bokach, umywalka, kibel, krata. Wszystko było jaśniejsze, czystsze. Wokół panowała cisza. Nawet powietrze pachniało lepiej. Piętro przejściowe, piąte. Tu właśnie powinniśmy przebywać od początku.

- Co się tam z tobą działo? - spytał Hubble.

Wzruszyłem tylko ramionami. Na zewnątrz pojawił się wózek zjedzeniem, który ciągnął stary biały facet, nie strażnik, raczej sprzątac. Bardziej przypominał starego stewarda na transatlantyku. Przez owalny otwór w kracie wsunął do środka tace - zakryte talerze,

papierowe kubki, termos. Zjedliśmy, siedząc na łózkach. Wypiłem całą kawę. Potem zacząłem krążyć po celi. Potrzasałem kratą - zamknięta. Piąte piętro było ciche i spokojne. Duża, czysta cela, osobne łóżka, lustro, ręczniki. Czuję się tu znacznie lepiej.

Hubble zebrał pozostałości posiłku na tacę i wysunął ją pod drzwiami na korytarz. Położył się na łóżku z rękami pod głową, wbijając wzrok w sufit. Zabijał czas. Zrobiłem to samo, ale wciąż rozmyślałem. Napastnicy przed atakiem wyraźnie dokonali selekcji, przyrzekli się nam obu i wybrali mnie. Bez cienia wątpliwości. A potem spróbowali mnie udusić.

Zabiliby mnie, gdyby niejedno. Dusiciel popełnił błąd. Złapał mnie z tyłu, punkt dla niego, był też dość wysoki i silny, ale nie podwinął palców. Najlepszy sposób uduszenia kogoś, to przytrzymać kciukami kark, ale podwinąć palce, naciskając kostkami, nie palcami. Tamten facet wyprostował palce, mogłem zatem je złapać i złamać. Jego błąd ocalił mi życie, bez dwóch zdań. Gdy tylko go zneutralizowałem, zostało dwóch na jednego, a nigdy nie miałem problemów przy takiej proporcji sił.

Nadal jednak oznaczało to próbę zabójstwa. Weszli do środka, wybrali mnie i próbowali zabić. A tak się złożyło, że Spivey akurat czekał przed łazienką. On to zaplanował. Zatrudnił Bractwo Aryjskie, kazał im mnie zabić. Zorganizował atak i czekał, by wpaść do środka i znaleźć mojego trupa.

I zaplanował to wczoraj, przed dziesiątą wieczór, to jasne. Dlatego zostawił nas na niewłaściwym piętrze, drugim, nie piątym. Na piętrze skazańców, nie przejściowce. Wszyscy twierdzili, że powinniśmy trafić na piętro przejściowe. Dwaj wczorajsi strażnicy powiedzieli to jasno, podobnie głosił zapis w ich notatniku, lecz o dziesiątej wieczór Spivey zostawił nas na drugim piętrze. Wiedział, że tam będzie mógł kazać mnie załatwić. Poleciał Aryjczykom, by zaatakowali w południe następnego dnia. O dwunastej czekał przed łazienką, gotów wpaść do środka i ujrzeć moje zwłoki na wykafelkowanej posadzce.

Jednak w tym momencie jego plan zawiódł. Nie zginąłem, Aryjczycy zostali pokonani. Czerwoni wtargnęli do środka, by przypisać sobie zwycięstwo. Wybuchło zamieszanie, może nawet zamieszki. Spivey wpadł w panikę, uruchomił alarm, wezwał grupę szturmową. Pospiesznie zabrał nas stamtąd na piąte piętro i zostawił. Według wszystkich dokumentów od początku tam właśnie przebywaliśmy.

Niezły numer. Przy okazji doskonale mnie chronił w razie dochodzenia. Spivey wybrał najprostsze wyjście - twierdzenie, że nigdy nas tam nie było. Miał teraz na głowie kilka poważnych obrażeń, może nawet trupa. Przypuszczałem, że szef Aryjczyków zadławił



się na śmierć. Spivey zdawał sobie sprawę z tego, że to moja robota, ale nie mógł powiedzieć o tym głośno, bo według niego, w ogóle mnie tam nie było.

Leżałem na łóżku, patrząc w betonowy sufit. Powoli wypuściłem powietrze. Jasny, wyraźny plan. Cienia wątpliwości. Spivey doskonale to obmyślił. Prosta opcja awaryjna, doskonale wyjście w razie niepowodzenia. Ale dlaczego? Tego właśnie nie rozumiałem. Powiedzmy, że dusiciel podwinąłby palce. Wówczas by mnie załatwili, nie żyłbym. Leżałbym na podłodze łazienki, ze sterczącym z ust wielkim, spuchniętym językiem. Spivey wpadłby do środka i znalazł mnie. Dlaczego? O co mu chodziło? Co Spivey miał do mnie? Nigdy wcześniej go nie widziałem. Nawet nie byłem w pobliżu cholernego więzienia. Dlaczego miałby opracować skomplikowany plan pozbycia się mnie? Nie miałem zielonego pojęcia.

## 8

**H**ubble jakiś czas spał na swojej pryczy. Wreszcie poruszył się i ocknął, pokręcił chwilę, przez moment sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Potem przypomniał sobie, gdzie jest. Próbował sprawdzić godzinę na zegarku. Ujrzał tylko pasek jaśniejszej skóry w miejscu, gdzie wcześniej przegub opasywał ciężki rolex. Przesunął palcem po nosie i przypomniał sobie, że stracił okulary. Westchnął. Z powrotem ułożył głowę na pasiastej więziennej poduszce. Zdecydowanie nie wyglądał na szczęśliwego.

Rozumiałem jego strach. Sprawiał jednak także wrażenie pokonanego, zupełnie jakby rzucił kośćmi i przegrał, jakby liczył, że coś się zdarzy i zawiódł się, toteż z powrotem ogarnęła go rozpacz. A potem zacząłem rozumieć.

- Ten nieboszczyk próbował ci pomóc, prawda? - spytałem. To pytanie go przeraziło.

- Nie mogę ci tego powiedzieć - odparł.

- Muszę wiedzieć. Może zwróciłeś się do niego o pomoc. Może z nim rozmawiałeś. Może dlatego zginął. Gdy uznają, że teraz zacząłeś rozmawiać ze mną, zginę i ja.

Hubble skinął głową. Zakołysał się na łóżku, odetchnął głęboko i spojrzał wprost na mnie.

- Prowadził śledztwo - oznajmił. - Ściągnąłem go tutaj, bo zamierzałem zakończyć to wszystko. Nie chciałem więcej w tym uczestniczyć. Nie jestem przestępcą. Śmiertelnie się boję i chcę się z tego wyplatać. Zamierzał mnie wydostać i ujawnić całą sprawę, ale coś mu nie wyszło. Teraz nie żyje, a ja nigdy się nie uwolnię. A jeżeli dowiedzą się, że to ja go tu ściągnąłem, zabiją mnie.

Nawet jeśli nie, pewnie trafią na tysiąc lat do więzienia, bo w tej chwili wszystko wisi na włosku i jest bardzo niebezpiecznie.

- Kim on był? - spytałem.

- Nie znałem nazwiska - odparł Hubble - tylko kod. Twierdził, że tak jest bezpieczniej. Nie mogą uwierzyć, że go dopadli. Sprawiał wrażenie fachowca. Prawdę mówiąc, trochę mi go przypominasz. Też wyglądasz na fachowca.

- Co on robił w magazynie?

Hubble wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Zupełnie nie rozumiem całej tej sytuacji. Umówiłem go z innym facetem, mieli się tam spotkać, ale wtedy czy i tamtego by nie zastrzelili? Nie rozumiem, czemu dopadli tylko jego.

- Kim był ten drugi?

Hubble zacisnął usta i potrząsnął głową.

- I tak już za dużo powiedziałem... Chyba oszalałem, zabijają mnie.

- Kto tkwi w tym wszystkim? - naciskałem.

- Nie słuchałeś? Więcej nie powiem ani słowa.

- Nie chcę nazwisk - wyjaśniłem. - To duża sprawa?

- Ogromna. Największa, o jakiej słyszałeś.

- Ilu ludzi?

Wzruszył ramionami. Zastanowił się chwilę, odliczając w myślach.

- Dziesięciu - rzekł. - Nie licząc mnie. Spojrzałem na niego i lekceważąco uniosłem brwi.

- Dziesięciu ludzi? Nie wygląda na zbyt wielką operację.

- Mają wynajętych pomocników - odparł. - Wzywają ich w razie potrzeby. Chodzi mi o samo jądro, serce organizacji. Dziesięć osób. Dziesięć osób, które wiedzą wszystko. Nie licząc mnie. Wygląda skromnie, ale wierz mi, to duża sprawa.

- A facet, którego posłałeś na spotkanie ze śledczym? - spytałem. - Czy należy do tej dziesiątki?

Hubble pokręcił głową.

- Jego też nie liczę.

- Zatem w sumie jesteś ty, on i jeszcze dziesięć osób. I wielka sprawa.

Przytaknął z ponurą miną.

- Największa, o jakiej słyszałeś - powtórzył.

- A w tej chwili wszystko wisi na włosku. Dlaczego? Bo śledczy zaczął węszyć?

Hubble ponownie pokręcił głową. Wiercił się na łóżku, jakby moje pytania sprawiały mu ból.

- Nie - powiedział. - Z zupełnie innego powodu. Jakby nagle otwarło się okno, odsłaniając całą sprawę. Od dawna było niebezpiecznie, z każdą chwilą coraz bardziej. Teraz jednak, wóz albo przewóz. Jeśli przetrwamy, nikt o niczym się nie dowie. Jeśli nie, wierz mi, dojdzie do największej sensacji, o jakiej słyszałeś. A tak czy siak, będzie ciężko.

Spojrzałem na niego. Nie wyglądał na gościa, który mógłby stać się tematem największej sensacji, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Ile potrwa ten stan zawieszenia? - spytałem.

- Już prawie dobiegł końca. Może jeszcze tydzień. Tydzień od jutra, do następnej niedzieli. Może nawet dożyję tego dnia.

- Zatem po przyszłej niedzieli zagrożenie minie. Dlaczego? Co się stanie w niedzielę?

Pokręcił głową i odwrócił twarz, zupełnie jakby uznał, że póki mnie nie widzi, tak naprawdę mnie nie ma i nie musi odpowiadać na pytania.

- Co znaczy *Pluribus* - dopytywałem się.

Milczał. Cały czas kręcił głową zaciskając ze zgrozą oczy.

- Czy to jakiś szyfr?

Nie słuchał. Rozmowa dobiegła końca. Zrezygnowałem i umilkłem. Cisza bardzo mi odpowiadała. Nie chciałem wiedzieć nic więcej. W ogóle nie chciałem nic wiedzieć. To, że byłem przybyszem z zewnątrz i poznałem sprawy Hubble'a, nie wydawało mi się najlepszym połączeniem. Wysokiemu mężczyźnie z ogoloną głową połączenie to wyraźnie nie posłużyło. Nie miałem ochoty podzielić jego losu: leżeć przy bramie magazynu martwy, częściowo ukryty pod starymi kartonami, z dwiema dziurami w głowie i zmiażdżonymi kośćmi. Chciałem tylko zabić czas do poniedziałku, a potem zjeżdżać stąd jak najszybciej. W przyszłą niedzielę zamierzałem znaleźć się bardzo, bardzo daleko.

- W porządku, Hubble - stwierdziłem. - Koniec pytań. Wzruszył ramionami, przytaknął. Przez chwilę siedział cicho.

Potem odezwał się niemal szeptem. W jego głosie dźwięczała rezygnacja.

- Dzięki. Tak będzie lepiej.

Przekręciłem się na wąskiej pryczy, próbując odpłynąć w otchłań, ale Hubble nie mógł się uspokoić. Wiercił się, obracał, głośno wzdychał. Powoli zaczynał mnie irytować. Odwróciłem się do niego.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem strasznie spięty. Rozmowa dobrze mi zrobiła. Kiedy tak siedzę i myślę, zaczynam wariować. Moglibyśmy pomówić o czymś innym, może o tobie? Opowiedz mi o sobie. Kim jesteś, Reacher?

Wzruszyłem ramionami.

- Nikim. Jestem tu przejazdem. W poniedziałek zniknę.

- Nie możesz być nikim - upierał się. - Każdy z nas ma jakąś historię. Opowiedz mi.

Zatem przez jakiś czas opowiadałem, leżąc na łóżku i odtwarzając w myślach wydarzenia z ostatnich sześciu miesięcy. On skulił się na swojej pryczy, wpatrzony w betonowy sufit, zasłuchany, z dala od swych problemów. Opowiedziałem o tym, jak odszedłem z Pentagonu. Waszyngton, Baltimore, Filadelfia, Nowy Jork, Boston, Pittsburgh, Detroit, Chicago, muzea, muzyka, tanie hotele, bary, autobusy i pociągi. Samotność. Podróżowałem po kraju, którego byłem obywatelem, niczym ubogi turysta, oglądający większość rzeczy po raz pierwszy, spoglądający świeżym wzrokiem na historię, którą poznałem w zakurzonych klasach po drugiej stronie świata. Widziałem z bliska wszystko, co ukształtowało mój naród: pola bitew, fabryki, deklaracje, rewolucje. A także drobiazgi - miejsca urodzenia, kluby, drogi, legendy. Wielkie rzeczy i małe, które w sumie tworzą dom. Część z nich znalazłem.

Opowiedziałem Hubble'owi o długiej podróży przez nie kończące się równiny z Chicago do Nowego Orleanu, i potem wokół Zatoki, do Tampy. Następnie autobus pędzący do Atlanty. Szalona decyzja, by wyskoczyć w pobliżu Margrave. Długa wędrówka we wczorajszym deszczu, a wszystko przez kaprys, na wpeł zapamiętane zdanie brata, który wspomniał, że odwiedził miasteczko, gdzie sześćdziesiąt lat temu, być może, umarł Ślepy Blake. Mówiąc to wszystko, poczułem się głupio. Hubble zmagał się z koszmarami. Ja tymczasem wybrałem się na bezsensowną pielgrzymkę. Ale zrozumiał, co mną kierowało.

- Kiedyś zrobiłem coś takiego - oznajmił. - Podczas naszego miesiąca miodowego. Pojechaliśmy do Europy. Mieliśmy przesiadkę w Nowym Jorku. Przez pół dnia szukałem budynku Dakoty. No wiesz, tego, przed którym zastrzelono Johna Lennona. Potem przez trzy dni w Anglii krążyliśmy po Liverpoolu w poszukiwaniu klubu Cavern, miejsca, gdzie debiutowali Beatlesi. Nie znaleźliśmy go. Pewnie został zburzony.

Jakiś czas mówił, opowiadał - głównie o wojażach. Często podróżował z żoną. Uwielbiali to. Byli w Europie, Meksyku, na Karaibach, przejechali całe Stany i Kanadę. Świetnie się razem bawili.

- Czy nie czujesz się samotny? - spytał. - Podróżując bez towarzystwa?

Odparłem, że nie, że to lubię. Że cenię sobie samotność, anonimowość, jakbym był niewidzialny.

- Co to znaczy niewidzialny? - Hubble sprawiał wrażenie zainteresowanego.

- Podróżuję drogami - wyjaśniłem. - Zawsze drogami. Trochę pieszo, potem autobus, czasem pociąg. Zawsze płacę gotówką. W ten sposób nie pozostawiam za sobą śladów. Żadnych transakcji na karcie kredytowej. Żadnych list pasażerów. Nic takiego. Nikt nie zdołałby mnie wyśledzić. Nigdy nie podaję swojego nazwiska. Jeśli zatrzymuję się w hotelu, płacę gotówką i wymyślam sobie pseudonim.

- Dlaczego? - spytał. - Ktoś cię ściga?

- Nikt - odparłem. - Po prostu mnie to bawi. Lubię anonimowość. Czuję się, jakbym w ten sposób pokonywał system. A w tej chwili zdecydowanie za nim nie przepadam.

Zobaczyłem, że znów pogrąża się w myślach. Długi czas milczał. Widziałem, jak oklapł, zmagając się z problemami, które nie chciały odejść. Panika ogarniała go i odpływała niczym fala.

- Poradź mi zatem, co zrobić z Finlayem - rzucił. - Kiedy spyta mnie, czemu się przyznałem. Powiem, że byłem zdenerwowany z powodu problemów w pracy. Wyjaśnię, że trwa tam ostra rywalizacja, że grożono mojej rodzinie. Powiem, że nic nie wiem o nieboszczyku i o numerze telefonu. Wszystkiemu zaprzeczę. Potem spróbuję wszystkich uspokoić. Jak sądzisz?

Uznałem, że to dość kiepski plan.

- Zdradź mi jedno - powiedziałem głośno - bez wchodzenia w szczegóły. Czy jesteś dla nich użyteczny, czy też trzymasz się na uboczu?

Zaczął wyłamywać palce.

- Owszem, jestem użyteczny. W istocie odgrywam w tym wszystkim kluczową rolę.

- Gdyby cię zabrakło, czy musieliby zatrudnić kogoś innego?

- Tak - odparł. - I nie byłoby to łatwe, zważywszy na to, co wiąże się z moim zajęciem.

Szacował swe szanse przeżycia, tak jak w pracy szacowałby możliwość spłaty kredytu.

- W porządku - rzekłem. - Nic lepszego nie wymyślisz. Zrób to, co powiedziałaś.

Nie miałem pojęcia, co innego mógłby począć. Był pionkiem uczestniczącym w wielkiej rozgrywce. Ale bardzo ważnym pionkiem. A nikt nie niszczy podobnej operacji z powodu błahostki. Jego przyszłość rysowała się jasno: jeśli kiedykolwiek domyśla się, że to

on sprowadził z zewnątrz śledczego, zginie. W przeciwnym razie był bezpieczny. Proste i jasne. Uznałem, że miał spore szanse - świadczył o tym jeden istotny fakt.

Hubble przyznał się, bo sądził, że więzienie to bezpieczna przystań, w której nie zdołają go dopaść. Na tym właśnie opierało się jego rozumowanie. I niesłusznie. Mylił się całkowicie. W więzieniu nie był wcale bezpieczny, wręcz przeciwnie. Gdyby chcieli, załatwiliby go. Ale istniała też druga strona medalu. Nikt Hubble'a nie zaatakował. To ja byłem celem, nie on. Uznałem zatem, iż dowodzi to, że nic złego go nie spotka. Nie chcieli go załatwić. Bo gdyby chcieli, już by nie żył. Nic nie zrobili, mimo że na razie wiele im groziło. Niezły argument. Zaczynałem sądzić, że mój towarzysz może spać spokojnie.

- Tak, Hubble - powtórzyłem. - Zrób tak. To najlepszy plan. Ciała cały dzień pozostawała zamknięta. Na piętrze panowała cisza. Do południa leżeliśmy na łóżkach w milczeniu. Nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia. Nudziłem się. Żałowałem, że nie zabrałem z posterunku w Margrave starej gazety. Mogłem jeszcze raz poczytać o prezydencie obcinającym fundusze na zapobieganie przestępczości po to, by ponownie stanąć do wyborów, oszczędzającym dziś dolara na budżecie straży przybrzeżnej po to, by jutro wydać dychę na więzienia takie jak to.

Około szóstej zjawił się stary sprzątac z obiadem. Zjedliśmy. Wrócił i zabrał tace. Wieczór upływał powoli. O dziesiątej wyłączono światło, zapadł mrok. Nadeszła noc. Spałem lekko, nie zdejmując butów na wypadek, gdyby Spivey miał co do mnie jakieś plany.

\* \* \*

O siódmej rano zapłonęły żarówki. Niedziela. Obudziłem się zmęczony, lecz zmusiłem się, żeby wstać, rozciągnąć mięśnie, ukoić obolałe ciało. Hubble nie spał już, ale milczał. Kątem oka patrzył, jak ćwiczę. O ósmej przyniesiono śniadanie. Ten sam staruszek, wlokący za sobą wózek. Zjadłem, wypilem kawę. Właśnie kończyłem, gdy szcęknął zamek i drzwi się otwały. Popchnąłem je, wyszedłem na korytarz i wpadłem wprost na strażnika, który zmierzał do środka.

- To twój szczęśliwy dzień - oznajmił. - Wychodzisz.

- Tak? - spytałem.

- Obaj wychodzicie. Reacher i Hubble. Uwolnieni z polecenia policji w Margrave. Bądźcie gotowi za pięć minut, zgoda?

Wróciłem do celi. Hubble podniósł się, opierając głowę na łokciach. Nie zjadł śniadania. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego.

- Boję się - wyznał.

- Wszystko będzie dobrze - odparłem.

- Naprawdę? Kiedy stąd wyjdę, będą mogli mnie dopaść. Pokręciłem głową.
- Znacznie łatwiej załatwiliby cię tutaj. Gdyby zamierzali cię zabić, już byś nie żył.

Jesteś czysty, Hubble.

Skinął głową, wstał. Zabrałem płaszcz i wyszliśmy razem przed celę. Strażnik wrócił po pięciu minutach. Poprowadził nas korytarzem przez dwie zamknięte bramki, wsadził do windy, wszedł do środka i kluczem uruchomił mechanizm. Wysiadł w chwili, gdy drzwi zaczęły się zamykać.

- Żegnajcie, i nie wracajcie.

Winda zawiozła nas do holu. Po chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, na rozpalonym betonowym dziedzińcu. Drzwi więzienia zatrzasnęły się za nami. Uniosłem twarz ku słońcu, wciągając w płuca świeże powietrze. Wyglądałem pewnie jak bohater starego filmu wychodzący po roku z karceru.

Na zewnątrz parkowały dwa samochody. Pierwszym była wielka, ciemna limuzyna, angielski bentley, liczący sobie jakieś dwadzieścia lat, idealnie utrzymany. Za kierownicą siedziała jasnowłosa kobieta, zapewne żona Hubble'a - mój towarzysz pobiegł ku niej niczym ku najśłodszej istocie na świecie. W drugim samochodzie ujrzałem funkcjonariusz Roscoe. Wysiadła i podeszła wprost do mnie. Wyglądała cudownie: bez munduru, ubrana w dżinsy i miękką bawełnianą koszulę. Skórzana kurtka. Spokojna, mądra twarz. Miękkie ciemne włosy. Wielkie oczy. W poniedziałek wydała mi się miła. Miałem rację.

- Cześć, Roscoe - rzuciłem.
- Cześć, Reacher - odparła z uśmiechem.

Miała cudowny głos, przepiękny uśmiech, który przyciągał mój wzrok. Hubble'owie tymczasem odjechali bentleyem, machając na pożegnanie. Ja też pomachałem zastanawiając się, co ich czeka. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, chyba że nie dopisze im szczęście, a ja przeczytam o tym w gazecie. Wsiadliśmy z Roscoe do jej wozu. Tak naprawdę nie był jej, wyjaśniła. To samochód służbowy - nowiutki Chevrolet, wielki, szybki i cichy. Nie wyłączyła silnika. Wewnątrz panował przyjemny chłód. Wyjechaliśmy z betonowego dziedzińca, pokonując kolejne bramy. Gdy ostatnia zamknęła się za nami, Roscoe zakręciła kierownicą i popędziliśmy naprzód. Maską samochodu uniosła się, tył osiadł lekko na miękkim zawieszaniu. Nie oglądałem się za siebie. Siedziałem bez ruchu. Czułem się świetnie. Wyjść z więzienia to cudowne uczucie, podobnie jak niepewność jutra oraz cicha jazda słoneczną drogą w towarzystwie pięknej kobiety za kierownicą.

\* \* \*

- Co się stało? - spytałem, kiedy przejechaliśmy mniej więcej kilometr. - Opowiedz.

Opowiedziała prostą historię. Wieczorem w piątek zaczęli pracować nad moim alibi, ona i Finlay. Ciemne pomieszczenie, dwie włączone lampki, pliki papierów, kubki kawy, książki telefoniczne. Oboje przygryzali ołówki, podnosili słuchawki. Zniżone głosy, cierpliwe pytania. Sam tysiąc razy uczestniczyłem w podobnych scenach.

Zadzwonili do Tamy i Atlanty. O północy zdołali odszukać jednego z pasażerów mojego autobusu oraz sprzedawcę biletów w Tampie - obaj mnie pamiętali. Potem dotarli do kierowcy autobusu, który potwierdził, że o ósmej rano w piątek zatrzymał się przy rozjeździe w Margrave, aby mnie wypuścić. O północy moje alibi wydawało się nie do ruszenia, tak jak mówiłem.

W sobotę rano z Pentagonu przyszedł długi faks, opisujący przebieg mojej służby. Trzydzieści lat z mojego życia zredukowanych do kilku poskręcanych kartek papieru. W tej chwili wydawało się, że wszystko to dotyczyło kogoś innego, ale przynajmniej potwierdziło moją historię. Finlayowi wyraźnie to zaimponowało. Potem FBI odpowiedziało w sprawie odcisków. Niestrudzony komputer o drugiej trzydzieści dopasował je do akt w bazie danych Armii Stanów Zjednoczonych. Zdjęte podczas rozmowy wstępnej trzydzieści lat temu. Miałem niewzruszone alibi. I mówiłem prawdę.

- Finlay był usatysfakcjonowany - oznajmiła Roscoe. - Jesteś tym, za kogo się podajesz, a o północy w czwartek przebywałeś ponad sześćset kilometrów stąd. To pewne w stu procentach. Zadzwoił do patologa, by sprawdzić, czy opinia na temat czasu zgonu nie uległa zmianie. Ale nie, nadal obstawiają północ.

Pokręciłem głową. Ostrożny facet z tego Finlaya.

- A nieboszczyk? - spytałem. - Sprawdziliście jeszcze raz jego odciski?

Roscoe skupiła się na wyprzedzanej ciężarówce, pierwszym napotkanym pojeździe. Potem spojrzała na mnie i przytaknęła. - Finlay wspominał, że chciałeś, bym to zrobiła, ale dlaczego?

- Za szybko wróciły jak na wynik negatywny.

- Za szybko? - spytała.

- Mówiłaś, że system działa na zasadzie piramidy. Górna dziesiątka, potem górna setka, potem górny tysiąc i tak dalej, aż do samego dołu.

Ponownie przytaknęła.

- Weź zatem mnie dla przykładu. Jestem w bazie danych, ale na bardzo niskim poziomie piramidy. Mówiłaś, że dotarcie do mnie zabrało im czternaście godzin.

- Owszem - odparła. - Wysłałam im twoje odciski około wpół do pierwszej w dzień, a komputer dopasował je o wpół do trzeciej rano.



- W porządku - powiedziałem. - Czternaście godzin. Jeśli zatem dotarcie do niemal samego dołu piramidy wymaga czternastu godzin, ostateczne sprawdzenie wszystkiego trwałoby jeszcze dłużej. To logiczne, prawda?

- Prawda - zgodziła się.

- Ale co stało się z nieboszczykiem? Ciało znaleziono o ósmej rano, toteż odciski trafiły do ciebie, o której, o wpół do dziewiątej? Najwcześniej o wpół do dziewiątej. Jednak gdy Baker rozmawiał ze mną później, wspomniał, że nie ma ich w bazie danych. O której to było? Wpół do trzeciej, zapamiętałem, bo patrzyłem na zegar. To zaledwie sześć godzin. Jeśli odnalezienie mnie w bazie wymagało czternastu godzin, jak to możliwe, by po sześciu stwierdzili, że nieboszczyka tam nie ma?

- Boże - westchnęła - masz rację. Baker musiał coś schrzanić. Finlay zebrał odciski, Baker je wysłał. Musiał spieprzyć skan. Trzeba bardzo uważać albo nie prześle się dość wyraźnie. Jeśli skany nie są wyraźne, baza danych próbuje je rozszyfrować. Potem wysłała informację, że faks był nieczytelny. Baker musiał to uznać za negatywny wynik poszukiwań. Kody są podobne. Tak czy inaczej, wysłałam je ponownie. Wkrótce się dowiemy.

Jechaliśmy na wschód. Roscoe powiedziała, że przekonała Finlaya, by wyciągnąć mnie z Warburton już wczoraj po południu. Finlay zgodził się niechętnie. Pojawił się jednak problem - musieli poczekać do dzisiaj, bo wczoraj po południu Warburton było zamknięte. Finlay został poinformowany, że doszło do walki w łazience. Jeden skazaniec nie żył, drugi stracił oko. Rozpoczęły się też otwarte walki czarnych gangów z białymi.

Siedziałem obok Roscoe, wpatrzony w daleki horyzont. Zabiłem jednego faceta i oślepiłem drugiego. Teraz będę musiał stawić czoło swojemu sumieniu. Ale niewiele czułem, prawdę mówiąc - nic. Ani śladu wyrzutów sumienia czy żalu. Nic z tych rzeczy. Jakbym ścigał w łazience dwa karaluchy i w końcu je rozdeptał. Karaluch jest jednak przynajmniej rozsądną, odpowiedzialną, doskonałą pod względem ewolucyjnym istotą. Ci Aryjczycy byli gorsi od szczurów i robactwa. Jednego z nich kopnąłem w gardło - udusił się z powodu zmiążdżonej krtani. Jego sprawa, to on zaczął. Zaatakowanie mnie było niczym otwarcie zakazanych drzwi: po drugiej stronie czeka coś, co jest wyłącznie jego problemem, jego ryzykiem. Nie powinien otwierać tych przeklętych drzwi. Wzruszyłem ramionami i zapomniałem o wszystkim. Zerknąłem na Roscoe.

- Dziękuję - powiedziałem. - Szczerze. Ciężko pracowałaś, by mnie wydostać.

Słyszając te słowa, lekceważąco machnęła dłonią... i po prostu jechała dalej. Zaczynałam lubić ją coraz bardziej, ale prawdopodobnie nie dość, by pozostać w Georgii,

zamiast zmykać stamtąd przy najbliższej okazji. Może zostanę godzinę lub dwie. Potem poproszę, by zawiozła mnie gdzieś na dworzec autobusowy.

- Chcę cię zaprosić na lunch - oznajmiłem - w ramach podziękowania.

Zastanawiała się przez pół kilometra. Potem uśmiechnęła się do mnie.

- W porządku - rzuciła.

Skręciła w prawo w drogę gruntową i przyspieszyła na północ, w stronę Margrave. Po drodze minęła lśniący nowością bar Ena i ruszyła do miasta.

## 9

Poprosiłem Roscoe, by pojechała na posterunek i przyniosła mi torbę z moimi rzeczami i pieniędzmi. Potem ruszyliśmy dalej. Wysadziła mnie w centrum Margrave i umówiliśmy się na posterunku za kilka godzin. Stałem na chodniku w ostrym, porannym upale i machałem jej na pożegnanie. Czuję się znacznie lepiej, znów byłem w ruchu. Zamierzałem sprawdzić, czy ktoś słyszał o Ślepym Blake'u, zabrać Roscoe na lunch, po czym wynieść się z Georgii i nigdy już tu nie wrócić.

Jakiś czas krążyłem bez celu, robiąc to, co powinienem był zrobić w piątek po południu. Niewiele było do zwiedzania. Stara lokalna droga wiodła wprost przez miasto, z północy na południe. Przez jakieś cztery przecznice nosiła dumną nazwę Main Street. Owe cztery przecznice składały się z niewielkich sklepików i biur, spoglądających na siebie z obu stron drogi, oddzielonych małymi, biegnącymi na tyły alejkami. Naliczyłem niewielki sklep spożywczy, fryzjera, krawca, gabinet lekarski, biuro prawnicze i gabinet dentystyczny. Na tyłach budynku, czy może centrum handlowego, mieścił się park, pełen białych płatków i ozdobnych drzew. Nad szerokimi chodnikami zwisały barwne markizy. Na chodnikach stały też ławki - puste. Wszędzie tu wiało pustką. Niedzielny poranek z dala od świata.

Main Street biegła na północ, prosto jak strzełił. Kilkaset metrów kolejnego parku, posterunek i remiza strażacka, potem kilometr dalej bar Ena. Kilka kilometrów za barem droga skręcała na zachód do Warburton, gdzie mieściło się więzienie. Na północ od owego skrzyżowania nie było nic, aż do magazynów i zjazdu na autostradę, dwadzieścia dwa kilometry od miejsca, w którym stałem.

Na północnym skraju miasta dostrzegłem niewielki zielony plac z posągami z brązu. Na zachód biegła ulica, przy niej stały domy mieszkalne. Podeszedłem bliżej i ujrzałem dyskretną zieloną tabliczkę z napisem: Beckman Drive. Ulica Hubble'a. Nie zdołałem dostrzec, co jest dalej, ponieważ ulica bardzo szybko skręcała w lewo, okrążając duży, porośnięty trawą plac i stojący pośrodku wielki, biały drewniany kościół. Kościół otaczał

pierścień drzew wiśniowych. Wokół parkowały czyste samochody. Z dala dobiegał mnie dźwięk organów i głosy śpiewających ludzi.

Pomnik na placu przedstawiał niejakiego Caspara Teale'a, który zrobił coś ważnego sto lat temu. Mniej więcej naprzeciwko Beckman Drive, po drugiej stronie placu, zaczynała się druga ulica z domami mieszkalnymi, biegnąca na zachód. Na rogu mieścił się sklep z barem. I to wszystko. Niezbyt imponujące miasto, niewiele się tu dzieje. Obejrzenie wszystkiego zajęło mi niecałe pół godziny.

Było to jednak najbardziej zadbane miasteczko, jakie zdarzyło mi się oglądać. Zdumiewające - każdy budynek sprawiał wrażenie nowiutkiego bądź świeżo odnowionego. Ulice były gładkie jak szkło, chodniki płaskie i czyste, ani śladu pęknięć, dziur, wybrzuszeń. Sklepiki i biura wyglądały, jakby malowano je co najmniej raz w tygodniu. Idealnie przyszyty trawniki, krzaki, drzewa. Pomnik z brązu przedstawiający starego Caspara Teale'a lśnił, jakby co rano ktoś wylizywał go do czysta. Farba na ścianach kościoła była tak jasna, że raniła mi oczy. Wszędzie łopotały flagi, oślepiająco biało-czerwono-niebieskie w promieniach słońca. Całe to miejsce było tak czyste, że zaczynałem się denerwować i patrzeć niespokojnie, czy nie zostawiam gdzieś brudnego odcisku stopy.

\* \* \*

Sklepiki na południowo-wschodnim rogu placu oferował najróżniejsze towary, które uzasadniały fakt, iż był otwarty także w niedzielny poranek. Otwarty nie znaczy jednak pełny. W środku nie było nikogo poza sprzedawcą przy kasie. Miał jednak kawę.

Usiadłem przy niewielkiej ladzie, zamówiłem duży kubek kawy i kupiłem niedzielną gazetę.

Prezydent nadal ozdabiał pierwszą stronę. Teraz wizytował Kalifornię - wyjaśniał producentom ze zbrojeniówki, dlaczego po pięćdziesięciu tłustych latach muszą zacisnąć pasa. Wciąż jeszcze nie ucichły komentarze po szokującej decyzji ogłoszonej w Pensacoli. Łodzie straży przybrzeżnej miały w sobotę wrócić do portów. Nie wypłyną bez nowych funduszy. Autorzy wstępniaka zachłystywali się tymi nowinami.

Przerwałem lekturę i uniosłem wzrok, słysząc otwierane drzwi. Do środka weszła kobieta. Usiadła na stołku po drugiej stronie lady. Była starsza ode mnie, na oko, koło czterdziestki. Ciemne włosy, bardzo szczupła, droga czarna sukienka. Bardzo blada skóra, tak blada, że niemal świetlista. Kobieta poruszała się z nerwowo. Widziałem jej nadgarstki - ścięgna naciągnięte niczym postronki. Na jej twarzy także odbijało się niezdrowe napięcie. Sprzedawca podszedł do niej, zamówiła kawę niemal szeptem, ledwie ją słyszałem, choć siedziała blisko, a w barze panowała cisza.

Kobieta nie została długo. Do połowy wypila kawę, cały czas zerkając za okno. Nagle na zewnątrz zatrzymała się duża, czarna półciężarówka. Kobieta zadrżała. Samochód był zupełnie nowy i wyraźnie nigdy niczego nie przewoził. Kątem oka dostrzegłem kierowcę, który na moment wychylił się, by otworzyć drzwi. Twardziel: dość wysoki, szerokie ramiona, gruby kark, czarne włosy na głowie, czarne włosy porastające długie, umięśnione ręce. Jakieś trzydzieści lat. Błada kobieta zsunęła się ze stołka, przełknęła ślinę. Gdy otworzyła drzwi, usłyszałem odgłos zapalnego silnika. Kobieta wsiadła do półciężarówki, ta jednak nie odjechała - nadal stała przy krawężniku. Obróciłem się na stołku i spojrzałem na sprzedawcę.

- Kto to? - spytałem.

Tamten popatrzył na mnie, jakbym pochodził z innej planety.

- To pani Kliner - rzekł. - Nie zna pan Klinerów?

- Słyszałem o nich - odparłem. - Jestem tu obcy. Kliner to właściciel magazynów przy autostradzie, zgadza się?

- Zgadza się - przytaknął. - I wielu innych rzeczy. Miejskowa szycha.

- Naprawdę?

- Jasne - mruknął facet. - Słyszał pan o fundacji? Pokręciłem głową. Skończyłem kawę i podsunąłem mu kubek po dolewkę.

- Kliner założył fundację swojego imienia - oznajmił sprzedawca. - Robi wiele dobrego dla miasta. Zjawił się tu pięć lat temu. Od tej pory stale mamy święta.

Przytaknąłem.

- Czy z panią Kliner wszystko dobrze? Pokręcił głową napełniając kubek.

- Jest chora - rzekł. - Bardzo chora. Bardzo blada, sam pan widział, i słaba. To chora kobieta, może ma gruźlicę. Widziałem, co gruźlica potrafi zrobić z ludźmi. Kiedyś była piękną kobietą, a teraz wygląda jak roślina hodowana w zamknięciu. Bardzo chora, bez dwóch zdań.

- A ten facet w ciężarówce to kto?

- Pasierb, syn Klinera i jego pierwszej żony. Pani Kliner to żona numer dwa. Słyszałem, że niezbyt dogaduje się z młodym.

Skinął głową na znak, że rozmowę uważa za skończoną. Odszedł, wycierając ściereczką chromowaną maszynę po drugiej stronie lady. Czarna półciężarówka wciąż czekała na zewnątrz. Zgodziłem się w duchu: istotnie, kobieta wyglądała jak roślina, hodowana w zamknięciu, rzadka odmiana orchidei, pozbawiona słońca i soków odżywczych. Nie zgadzałem się jednak co do tego, iż sprawia wrażenie chorej. Nie sądziłem, by miała gruźlicę. Cierpiała na coś innego, coś, co zdarzyło mi się widzieć już raz czy dwa razy

wcześniej. Czyste przerażenie. Nie miałem pojęcia, czego się bała, i nie chciałem wiedzieć. To nie moja sprawa. Wstałem, zostawiając na ladzie piątkę. Sprzedawca wydał mi resztę drobnymi, nie miał banknotów dolarowych. Samochód nadal stał przy krawężniku. Kierowca pochylał się naprzód, oparty o kierownicę. Odwrócony od macochy, patrzył wprost na mnie.

Naprzeciwko mnie za ladą wisiało lustro. Wyglądałem dokładnie jak facet, który spędził noc w autobusie, a potem dwa dni przesiedział w więzieniu. Uznałem, że zanim zabiorę Roscoe na lunch, muszę doprowadzić się do porządku. Sprzedawca podążył za moim wzrokiem i odgadł, o czym myślę.

- Proszę spróbować u fryzjera - poradził.

- W niedzielę?

Tamten wzruszył ramionami.

- Zawsze ktoś tam jest - powiedział. - Nigdy właściwie nie otwierają ani nie zamykają.

Skinąłem głową i wyszedłem na dwór. Z kościoła wynurzył się tłumek ludzi. Przez chwilę rozmawiali ze sobą na trawnikach, a potem rozeszli się do samochodów. Poza tym w miasteczku nadal panował spokój i cisza. Lecz czarna półciężarówka wciąż stała przy krawężniku tuż przed sklepem, kierowca ciągle na mnie patrzył.

Ruszyłem w słońcu na północ. Półciężarówka wolno potoczyła się za mną, dotrzymując mi kroku. Kierowca cały czas pochylał się naprzód, patrząc w bok. Przyspieszyłem, ciężarówka także. Zatrzymałem się nagle, wtedy mnie wyprzedziła, a ja zostałem na miejscu. Gość najwyraźniej uznał, że nie będzie się cofał. Nacisnął gaz do dechy i odjechał z rykiem silnika. Wzruszyłem ramionami i podjąłem wędrówkę. Dotarłem do fryzjera. Wszedłem w cień pasiastej markizy i nacisnąłem klamkę. Otwarte. Wmaszerowałem do środka.

\* \* \*

Podobnie jak wszystko inne w Margrave, zakład fryzjerski także wyglądał cudownie. Cały aż lśnił, stare krzesła i sprzęty wypolerowano czule do połysku. Wyposażenie w starym stylu, trzydzieści lat temu wszyscy inny powyrzucali takie rzeczy na śmietnik, a teraz próbują je odzyskać i płacą fortunę, bo przywracają nastrój dawnej Ameryki, takiej, jaką pragną ją widzieć ludzie. Ja także sądziłem, że właśnie tak wygląda. Siedziałem na boisku szkolnym w Manili bądź w Monachium i wyobrażałem sobie zielone trawniki, drzewa, flagi i połyskujące, chromowane wnętrza zakładu fryzjerskiego.

Zakład prowadziło dwóch starych Murzynów. Obaj byli w środku, właściwie nie otworzyli, ale też nie zamknęli swojego interesu. Dali mi do zrozumienia, że mnie obsłużą. W końcu już tam byłem, oni też, no i wyglądałem, jakbym pilnie potrzebował fryzjera.

Poprosiłem pełen zakres usług - golenie, strzyżenie, gorący ręcznik, czyszczenie butów. Na ścianach wisiały oprawione w szkło pierwsze strony gazet, wielkie nagłówki: śmierć Roosevelta, wojna w Wietnamie, zamach na Kennedy'ego, zabójstwo Martina Luthera Kinga. Na starym stole stało radio w mahoniowej obudowie, wydawało z siebie miłe pomruki. Nowa sobotnia gazeta czekała złożona na ławce przy oknie.

Staruszkowie przygotowali w misce pianę, naostrzyli brzytwę, przepłukali pędzel. Potem owinęli mnie ręcznikami i zabrali się do pracy. Jeden z nich zaczął mnie golić brzytwą, drugi stał obok bezczynnie. Uznałem, że może później wkroczy do akcji. Gołący zaczął gawędzić, jak zwykle fryzjerzy. Opowiedział mi dzieje ich zakładu. Obaj przyjaźnili się od dzieciństwa, całe życie spędzili tu, w Margrave. Zaczęli pracę fryzjerów na długo przed drugą wojną światową. Praktykowali w Atlancie. Jako młodzi mężczyźni otworzyli tu zakład. Przenieśli się w nowe miejsce, gdy stary budynek zburzono. Staruszek opowiedział mi historię okręgu z punktu widzenia fryzjera, wymienił znane osoby, które siadywały na tych starych krzesłach. Opowiadał o najróżniejszych ludziach.

- Proszę mi coś opowiedzieć o Klinerach.

Był gawędziarzem, lecz to pytanie zamknęło mu usta. Przerwał golenie i namyślał się chwilę.

- W tym panu nie pomogę. O nie, proszę pana - rzekł. - To temat, którego wolimy tu nie poruszać. Lepiej, żeby zapytał pan o kogoś zupełnie innego.

Wzruszyłem spowitymi ręcznikami ramionami.

- W porządku - powiedziałem. - Słyszeliście kiedyś o Ślepym Blake'u?

- O nim słyszałem, no jasne - odparł staruszek. - To gość, o którym możemy rozmawiać, nie ma sprawy.

- Świetnie - rzuciłem. - Co zatem może mi pan o nim powiedzieć?

- Bywał tu od czasu do czasu, dawno temu. Urodził się w Jacksonville na Florydzie, tak przynajmniej mówią, tuż za granicą stanu. I jeździł stamtąd przez Margrave, Atlantą na północ, aż do Chicago, a potem z powrotem, tu na południe, przez Atlantę, przez nasze miasteczko, do domu. Wtedy było tu inaczej. Żadnych autostrad czy samochodów, a przynajmniej nie dla biednego czarnego i jego przyjaciół. Szło się piechotą albo jeździło ciężarówkami.

- Słyszał pan kiedyś, jak gra? - spytałem. Znowu przerwał pracę i spojrzał na mnie.

- Proszę pana, mam siedemdziesiąt cztery lata - oznajmił. - To się działo, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Rozmawiamy o Ślepym Blake'u. Tacy goście jak on grywali w barach, a ja jako chłopiec nie bywałem w takich miejscach. Rozumie pan? Gdybym tam

zajrzał, ojciec porządnie przetrzepałby mi skórę. Powinien pan pomówić z moim współnikiem, jest znacznie starszy ode mnie. Może słyszał, jak Blake gra, tyle że nie pamięta, bo w sumie niewiele pamięta, nawet nie wie, co jadł na śniadanie. Mam rację? Hej, stary druhu, co jadłeś na śniadanie?

Drugi staruszek z trudem podszedł bliżej i oparł się o najbliższą umywalkę. Był wyschnięty i przygarbiony. Jego skóra przypominała barwą mahoniową obudowę radia.

- Nie wiem, co jadłem na śniadanie - mruknął. - Nie wiem nawet, czy w ogóle coś jadłem. Ale posłuchaj pan, może i jestem stary, prawda jednak jest taka, że starzy ludzie dobrze pamiętają. Nie to, co działo się niedawno, rozumiesz pan, ale dawne sprawy. Wyobraź pan sobie, że pamięć jest jak stary kubeł. Kiedy zapełni się go starymi sprawami, nie da się wcisnąć nic nowego. Nie ma mowy, rozumiesz pan. Więc nie pamiętam nowych rzeczy, bo mój stary kubeł jest pełen staroci, które działy się dawno temu, rozumiesz pan, co mówię?

- Jasne, że rozumiem - odparłem. - Zatem dawno temu słyszał pan kiedyś, jak on gra?

- Kto?

Powiodłem wzrokiem od jednego fryzjera do drugiego zastanawiając się, czy nie przecwiczili wcześniej podobnych rozmów.

- Ślepy Blake - powtórzyłem. - Czy kiedykolwiek słyszał pan, jak gra?

- Nie, nigdy go nie słyszałem - odparł staruszek. - Ale moja siostra owszem. Bo mam siostrę, dobiega już dziewięćdziesiątka, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Wciąż żyje. Kiedyś trochę śpiewała, śpiewała też wiele razy ze starym Ślepym Blakiem.

- Naprawdę? - spytałem. - Śpiewała z nim?

- Jasne, że tak - odparł przygarbiony staruszek. - Śpiewała ze wszystkimi, którzy tędy przejeżdżali. Musisz pan pamiętać, że to stare miasto leżało akurat przy wielkiej drodze, prowadzącej do Atlanty. Kiedyś ta stara droga biegła wprost na południe, aż na Florydę. Jedyne szlaki przecinający Georgię z północy na południe. Oczywiście, teraz mamy autostradę, samoloty i tak dalej. Margrave już się nie liczy, nikt tu nie przyjeżdża.

- Czyli Ślepy Blake odwiedzał to miasteczko - naciskałem - a pańska siostra z nim śpiewała?

- Wszyscy odwiedzali to miasto. - Wzruszył ramionami. - Cała północna część Margrave składała się z barów i pensjonatów przyjmujących przejezdnych. Widziałeś pan te wymyślne ogrody stąd aż po remizę? Tam właśnie stały kiedyś bary i hotele. Teraz wszystkie zburzono albo same się zawaliły. Od dawna nikt tędy nie jeździ. Ale kiedyś to było zupełnie inne miasto. Przewalały się tu tłumy ludzi: robotnicy, zbieracze bawełny, perkusiści,

bokserzy, włóczędzy, kierowcy ciężarówek, muzycy. Wszyscy się tu zatrzymywali. A kiedy ktoś grał, moja starsza siostra zjawiała się i śpiewała do wtóru.

- I pana siostra pamięta Ślepego Blake'a?

- Jasne, że tak. Kiedyś uważała go za najwspanialszego faceta pod słońcem. Twierdzi, że grał naprawdę świetnie. O tak, świetnie.

- Co się z nim stało, wie pan?

Starzec namyślał się długo, grzebiąc w wyblakłych wspomnieniach. Kilka razy potrząsnął posiwiałą głową. Potem wyjął gorący, mokry ręcznik i przykrył mi nim twarz. Zaczął strzyć włosy. Po jakimś czasie ostatecznie pokręcił głową.

- Nie mogę powiedzieć - rzekł. - Od czasu do czasu zjawiał się tu i znów wyjeżdżał. Dobrze pamiętam. Trzy czy cztery lata później zniknął. Byłem wtedy w Atlancie, nie wiem, co się działo. Słyszałem, że ktoś go zabił, może nawet tu, w Margrave, może i nie. Napytał sobie biedy i skończył martwy.

Jakiś czas siedziałem, słuchając starego radia, a potem wręczyłem staruszkom dwudziestkę z mojego pliku banknotów i wyszedłem na Main Street. Ruszyłem na północ. Dochodziło południe, słońce paliło niemilosiernie, było gorąco jak na wrzesień. Nie dostrzegłem żadnych innych pieszych. Czarna asfaltowa droga promieniowała gorącem. Kiedyś tą samą drogą wędrował Ślepy Blake, może nawet w podobnym upale. W chłopięcych czasach starych fryzjerów to była arteria wiodąca na północ, do Atlanty, Chicago, pracy, nadziei, pieniędzy. Południowy upał nie powstrzymałby wtedy nikogo w drodze do celu. Teraz jednak droga była tylko asfaltową jezdnią, prowadzącą znikąd donikąd.

\* \* \*

Dotarcie na posterunek zabrało mi kilka minut. Przeszedłem przez soczysty trawnik, mijając kolejny pomnik z brązu, i pociągnąłem ciężkie szklane drzwi, wkraczając do chłodnego wnętrza. Roscoe już czekała, oparta o kontuar. Za jej plecami w sali głównej dostrzegłem Stevensona, przemawiającego gorączkowo do telefonu. Roscoe była blada, sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

- Znaleźliśmy kolejne zwłoki - oznajmiła.

- Gdzie? - spytałem.

- Znów w magazynie. Tym razem po drugiej stronie drogi, pod estakadą.

- Kto je znalazł?

- Finlay - odparła. - Spędził tam cały ranek, węsząc wokoło, szukając czegoś, co pomogłoby zidentyfikować pierwszego trupa. Niezłe, nie? Zamiast śladów znalazł drugiego.

- Wiecie, kto to? Pokręciła głową.



- Niezidentyfikowane zwłoki - oznajmiła. - Tak jak pierwsze..

- Gdzie jest teraz Finlay?

- Pojechał po Hubble'a - odparła. - Myśli, że Hubble może coś o tym wiedzieć.

Przytaknąłem.

- Od kiedy tam leżały?

- Jakies dwa, trzy dni. Finlay mówi, że we czwartek w nocy mogło dojść do podwójnego zabójstwa.

Ponownie przytaknąłem. Hubble rzeczywiście coś o tym wiedział. Oto człowiek, którego posłał na spotkanie z wysokim śledczym z ogoloną głową. Nie miał pojęcia, jak tamtemu udało się uciec. Ale, jak widać, wcale mu się nie udało.

Usłyszałem wjeżdżający na parking samochód. Szklane drzwi otwarły się z trzaskiem. Do środka wsunęła się głowa Finlaya.

- Kostnica, Roscoe - polecił. - Ty też, Reacher.

Ruszyliśmy w ślad za nim na rozgrzany upałem parking. Wsiedliśmy do nieoznakowanego wozu Roscoe, pozostawiając przed posterunkiem samochód Finlaya. Roscoe prowadziła, ja siedziałem z tyłu, Finlay w fotelu obok kierowcy, przekręcony tak, by mógł rozmawiać z nami jednocześnie. Roscoe wyjechała z parkingu i ruszyła na południe.

- Nie mogę znaleźć Hubble'a - oznajmił Finlay, patrząc wprost na mnie. - U niego w domu nie ma nikogo. Czy wspominał, że się gdzieś wybiera?

- Nie - odparłem - ani słowem. Prawie w ogóle nie rozmawialiśmy.

Finlay jedynie mruknął coś pod nosem.

- Muszę usłyszeć, co on o tym wie. To poważna sprawa, a on orientuje się, co jest grane, bez dwóch zdań. Co ci powiedział, Reacher?

Milczałem. Jeszcze nie byłem pewien, po czyjej gram stronie. Prawdopodobnie Finlaya, ale jeśli Finlay zacznie mieszać się w swoje sprawy, Hubble i jego rodzina zginą. Nie miałem co do tego cienia wątpliwości. Uznałem zatem, że powinienem zachować bezstronność i wynieść się stamtąd jak najszybciej. Nie chciałem się w to mieszać.

- Próbowales dzwonić na komórkę? Finlay przytaknął i pokręcił głową.

- Wyłączona, zgłasza się automatyczna sekretarka.

- Czy Finlay odebrał zegarek?

- Co takiego?

- Zegarek - powtórzyłem. - W piątek, kiedy Baker zakładał mu kajdanki przed wyjazdem do Warburton, zostawił u niego rolexa za dziesięć tysięcy dolarów. Odebrał go?

- Nie - odparł Finlay. - Nikt o tym nie wspominał.

- W porządku - rzuciłem. - Musiał zatem załatwić coś pilnego. Nawet taki dupek jak Hubble nie zapomni o zegarku za dziesięć tysięcy.

- Jaką pilną sprawę? Mówił ci coś?

- Nic mi nie powiedział. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Finlay posłał mi gniewne spojrzenie.

- Nie chrzań mi tu, Reacher. Póki nie dopadnę Hubble'a, zamierzam cię zatrzymać i wyciągnąć z ciebie wszystko, co usłyszałeś. I nie udawaj, że przez cały weekend trzymał gębę na kłódkę, bo tacy faceci nie potrafią milczeć. Ja to wiem i ty to wiesz, więc nie chrzań, dobra?

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem, że nie aresztuje mnie ponownie. Może gdzieś w pobliżu kostnicy zatrzymuje się autobus. Będę musiał zrezygnować z lunchu z Roscoe. Szkoda.

- Jak wygląda sprawa z tym trupem? - spytałem.

- Tak samo jak z poprzednim - odparł Finlay. - Najwyraźniej załatwili ich w tym samym czasie. Zastrzelony, prawdopodobnie z tej samej broni. Tego nikt nie skopał po śmierci, ale przypuszczam, że sprawy wiążą się ze sobą.

- Nie wiecie, kto to?

- Nazywał się Sherman. Tylko tyle.

- Opowiedz mi o nim.

Pytałem z przyzwyczajenia. Finlay zastanowił się chwilę, w końcu podjął decyzję, zupełnie jakbyśmy byli partnerami.

- Niezidentyfikowany biały mężczyzna, podobnie jak pierwszy. Brak dokumentów, portfela, znaków szczególnych. Ten jednak miał złoty zegarek z wygrawerowanym napisem: „Dla Shermana od kochającej Judy”. Na oko, trzydzieści, trzydzieści pięć lat, trudno stwierdzić, bo przeleżał tam trzy dni i mocno napoczęły go zwierzęta. Nie ma warg ani oczu, lecz prawa ręka pozostała nietknięta, bo leżała pod ciałem. Zdołałem więc zdjąć odciski. Wysłaliśmy je godzinę temu. Jeśli dopisze nam szczęście, może coś to da.

- Rany postrzałowe? Finlay przytaknął.

- Wygląda na tę samą broń. Mały kaliber, pociski miękko-płaszczowe. Możliwe, że pierwsza rana go nie zabiła, zaczął uciekać. Został trafiony jeszcze dwa razy, lecz zdołał ukryć się pod estakadą. Tam upadł i wykrwawił się na śmierć. Nie skopali go, bo go nie znaleźli. Tak uważam.

Zastanawiałem się przez chwilę. Przeszedłem tamtędy o ósmej rano w piątkowy poranek. Dokładnie między dwoma trupami. - I myślisz, że nazywał się Sherman?

- Tak wypisano na zegarku - odparł Finlay.

- Może nie był jego. Facet mógł go ukraść, odziedziczyć, kupić w lombardzie, znaleźć na ulicy.

Finlay ponownie mruknął coś pod nosem. Odjechaliśmy już co najmniej piętnaście kilometrów od Margrave. Roscoe jechała szybko starą lokalną drogą. Potem zwolniła i na rozjeździe skręciła w lewo. Droga biegła wprost ku odległemu horyzontowi.

- Dokąd, do diabła, jedziemy? - spytałem.

- Do szpitala okręgowego - wyjaśnił Finlay - w Yellow Springs, sąsiednim miasteczku od strony południowej. Już niedaleko.

Jechaliśmy dalej. Na horyzoncie pojawiła się rozmazana, drżąca w gorącym powietrzu plama. Yellow Springs. Szpital stał tuż za granicą miasta. Postawiono go tam, gdy chorych cierpiących na zakaźne choroby izolowano od reszty. Było to duże skupisko niskich, szerokich budynków na powierzchni kilku akrów. Roscoe zwolniła i skręciła w drogę dojazdową. Podskoczyliśmy na kilku nierównościach i klucząc, dotarliśmy do grupki budynków na tyłach. Wielkie drzwi kostnicy stały otworem. Zatrzymaliśmy się z boku, wysiedliśmy z samochodu, spojrzeliśmy po sobie i weszliśmy do środka.

\* \* \*

Lekarz wyszedł nam na spotkanie i poprowadził nas do gabinetu. Usiadł za metalowym biurkiem, wskazując Finlawowi i Roscoe stolki. Ja oparłem się o stół pomiędzy terminalem komputera i faksem. Nie przelewało im się. Szpital wyposażono kilka lat temu za niewielkie pieniądze. Wszystko było zużyte, podniszczone, nieporządne, jakże różne od posterunku w Margrave. Mężczyzna za biurkiem sprawiał wrażenie zmęczonego. Nie był młody ani stary, może w wieku Finlaya, ubrany w biały fartuch. Typ gościa, którego sądami nikt się nie przejmuje. Nie przedstawił się. Uznał za rzecz oczywistą, że wszyscy wiemy, kim jest i co robi.

- Co mogę wam powiedzieć? - spytał.

Spojrzał kolejno na naszą trójkę, czekając na odpowiedź.

- Czy to ta sama sprawa? - zaczął Finlay. Jego głęboki, harwardzki akcent wydawał się nie na miejscu w nieporządnym gabinecie. Lekarz wzruszył ramionami.

- Drugie zwłoki mam tu dopiero od godziny - odparł. - Lecz, owszem, powiedziałbym, że to ta sama sprawa. Niemal na pewno ta sama broń, małokalibrowe pociski miękkołuszczowe. Spowolnione. Najwyraźniej broń wyposażono w tłumik.

- Małokalibrowe? - spytałem. - Jak mało? Lekarz spojrzał na mnie ze znużeniem.

- Nie jestem specjalistą od broni palnej, ale osobiście głosuję na dwudziestkę dwójkę. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z miękkimi dwudziestkami dwójkami. Weźmy na przykład głowę pierwszej ofiary. Dwie niewielkie rany wlotowe, dwie duże rany wylotowe. Typowe dla miękkich pocisków.

Przytaknąłem. Tak właśnie działa pocisk w miękkim płaszczu. Uderza i rozpląszcza się, zmieniając się w kawał ołowiu wielkości ćwierćdolarówki, rozrywający tkanki. Wylatując wybija olbrzymią dziurę. Przy takiej broni tłumik ma sens. Pocisk musi lecieć z prędkością poddźwiękową, w przeciwnym razie towarzyszy mu *bum*, niczym małemu samolocikowi.

- W porządku - powiedziałem. - Czy zginęli tam, gdzie ich znaleziono?

- Niema wątpliwości. Świadczą o tym wyraźne plamy opadowe..

Patrzył na mnie. Chciał, żebym spytał, czym są plamy opadowe. Oczywiście wiedziałem, ale postanowiłem zrobić mu tę grzeczność, toteż spojrzałem pytająco.

- Pośmiertne plamy opadowe - wyjaśnił. - Kiedy człowiek ginie, zatrzymuje się krążenie. Serce przestaje bić, krew posłuszna prawu grawitacji osiada w dolnych partiach ciała, w najniższych możliwych naczyniach, zwykle w maleńkich naczynkach włosowatych w skórze przy podłodze czy też innym podłożu. Najpierw osiadają czerwone krwinki, barwiąc skórę na czerwono. Potem krzepną i plama utrwała się niczym zdjęcie. Po kilku godzinach zestala się na dobre. Plamy u pierwszej ofiary całkowicie odpowiadają jej pozycji przed magazynem. Mężczyzna został postrzelony, upadł martwy. Zabójca w napadzie szału zaczął kopać zwłoki, a potem pozostawił je na blisko osiem godzin. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Co pan sądzi o owym skopaniu? - przerwał Finlay. Lekarz pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czasami czyta się o tym w pismach medycznych. Niewątpliwie to dzieło psychopaty, nie da się tego inaczej wyjaśnić. Martwemu nie czyniło to żadnej różnicy, nie zrobiło mu krzywdy. Już nie żył, musiało zatem sprawić satysfakcję kąpiącemu. Niewiarygodna furia, olbrzymia siła. Obrażenia są bardzo rozległe.

- A drugi? - spytał Finlay.

- Ten uciekał - odparł lekarz. - Został trafiony z bliska w plecy. Nie upadł jednak, biegł dalej. Po drodze dostał jeszcze dwa razy: raz w kark i śmiertelny postrzał w udo. Ten rozerwał mu tętnicę. Zdołał dotrzeć do estakady, potem upadł na ziemię i wykrwawił się na śmierć. Znów nie ma wątpliwości. Gdyby w czwartek nie padało, z pewnością znaleźlibyście ślady krwi na drodze. Musiało się z niego wylać parę litrów, bo w zwłokach ich nie ma.

Wszyscy umilkliśmy. Myślałem o desperackiej ucieczce ofiary przez drogę. Nieszczęśnik próbował dotrzeć w bezpieczne miejsce, a pociski rozdzierały mu ciało. W końcu wcisnął się pod estakadę i umarł pośród cichych pisków małych nocnych zwierząt.

- W porządku - rzekł wreszcie Finlay. - Możemy zatem bezpiecznie założyć, że obie ofiary były razem. Strzelec należy do trzyosobowej grupy, zaskakuje ich. Pierwszemu strzela dwukrotnie w głowę, tymczasem drugi zaczyna uciekać i zostaje trafiony trzema kulami. Zgadza się?

- Zakładacie, że napastników było trzech?

Finlay kiwnął głową w moją stronę. To była moja teoria, więc ja ją wyjaśniłem.

- Trzy odrębne charakterystyki - powiedziałem. - Sprawny strzelec, oszalały furia i nieudolny sprzątac.

Lekarz powoli skinął głową.

- Kupuję to. Pierwsza ofiara została trafiona z bardzo bliska. Może powinniśmy założyć, że znała napastników i pozwoliła im podejść.

Finlay przytaknął.

- Musiało tak być. Spotkanie pięciu mężczyzn. Trzech z nich atakuje pozostałą dwójkę. Poważna sprawa.

- Wiemy, kim byli napastnicy? - spytał lekarz.

- Nie mamy nawet pojęcia, kim są ofiary - odparła Roscoe. - Ma pan jakieś teorie? - odezwał się Finlay.

- Co do tego drugiego nie, poza imieniem na zegarku. Dopiero godzinę temu trafił na mój stół.

- Ma pan zatem teorię dotyczącą pierwszego? - naciskał Finlay.

Lekarz zaczął grzebać w papierach na biurku. W tym momencie zadzwieczał telefon. Mężczyzna odpowiedział, wręczył słuchawkę Finlayowi.

- Do pana - rzekł. Finlay nachylił się na krzesło i odebrał. Chwilę słuchał w milczeniu.

- W porządku - rzucił do słuchawki. - Wydrukujcie i przyslijcie nam tu faksem, dobrze?

Potem oddał słuchawkę lekarzowi i zakołysał się na stołku. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- To był Stevenson z posterunku. W końcu zdołano zidentyfikować odciski palców pierwszej ofiary. Wygląda na to, że dobrze zrobiliśmy, wysyłając je ponownie. Stevenson przesyła wyniki faksem. Dostaniemy je za minutę. Więc proszę powiedzieć, co pan ma, doktorze, i poskładamy wszystko do kupy.

Zmęczony mężczyzna w białym fartuchu wzruszył ramionami i podniósł kartkę papieru.

- Pierwsza ofiara - powiedział. - Nie dowiedziałem się zbyt wiele, ciało było w strasznym stanie. Wysoki sprawny mężczyzna z ogoloną głową. Najciekawsze są dane dentystyczne. Wygląda na to, że leczył sobie zęby na całym świecie. Część plomb to z pewnością dzieło amerykańskie, inne wyglądają na amerykańskie, jeszcze inne na zagraniczne.

Stojący obok mojego biodra faks zapiszczał i włączył się, wciągając do środka kartkę cienkiego papieru.

- Jak pan zatem myśli - spytał Finlay - był cudzoziemcem czy Amerykaninem mieszkającym za granicą?

Cienka kartka papieru wysunęła się z faksu, pokryta literami. Maszyna ucichła. Podniosłem kartkę i zerknąłem na nią. Potem przeczytałem całość dwukrotnie. Poczułem, jak ogarnia mnie chłód, lodowaty paraliż. Nie mogłem się poruszyć, nie wierzyłem własnym oczom. Niebo runęło mi na głowę. Spojrzałem na lekarza i odezwałem się.

- Wychowywał się za granicą - powiedziałem. - Leczył zęby tam, gdzie mieszkał. Kiedy miał osiem lat, złamał prawą rękę, nastawiono mu ją w Niemczech. Migdałki usunięto w szpitalu w Seulu.

Lekarz popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Potrafią to wyczytać z odcisków palców? - spytał. Potrząsnąłem głową.

- To był mój brat - oznajmiłem.

## 10

**K**iedyś oglądałem przygotowany przez marynarkę film o wyprawie na wody Arktyki. Można tam chodzić po zamrożonej powierzchni lodowca. Nagle lód wybrzusza się, pęka. Duże naprężenia sprawiają, iż cały krajobraz ulega zmianie. W miejscach płaskich przestrzeni wznoszą się olbrzymie skarpy, za plecami otwierają się głębokie wąwozy, pod stopami nowe jeziora. W jednej sekundzie cały świat ulega zmianie. Tak właśnie się czułem. Siedziałem na kontuarze, odrętwiały i wstrząśnięty, pomiędzy faksem i terminalem komputerowym, i czułem się jak badacz Arktyki, którego świat nagle się zmienił.

Zaprowadzili mnie do chłodni na tyłach, bym oficjalnie zidentyfikował zwłoki. Strzały pozbawiły mego brata twarzy. Wszystkie kości miał połamane. Rozpoznałem jednak bliźnię na szyi w kształcie gwiazdy. Zranił się, gdy dwadzieścia dziewięć lat temu bawiliśmy się stłuczonymi butelkami. Następnie zawieźli mnie na posterunek w Margrave. Finlay

prowadził. Roscoe siedziała obok mnie, z tyłu, i całą drogę trzymała mnie za rękę. Jazda trwała zaledwie dwadzieścia minut. W tym czasie jednak przeżyłem na nowo dwa pełne żywoty - swój i jego.

Mój brat, Joe, dwa lata starszy ode mnie, urodził się w bazie na Dalekim Wschodzie, tuż pod koniec ery Eisenhowera. Ja przyszedłem na świat w bazie w Europie, na początku ery Kennedy'ego. Dorastaliśmy razem na całym świecie, w małej enklawie stałości, jaką tworzą dla siebie wszystkie wojskowe rodziny. Całe nasze życie składało się z przeprowadzek w dowolnych, nieprzewidywalnych momentach, tak częstych, iż czuliśmy się dziwnie, spędzając w jednej szkole więcej niż semestr. Czasami przez cały rok nie oglądaliśmy zimy - na początku jesieni przenoszono nas z Europy gdzieś nad Pacyfik i znów zaczynało się lato.

Nasi przyjaciele znikali. Część jednostek przenoszono gdzieś daleko. Czasami, wiele miesięcy później, spotykaliśmy się ponownie w innym miejscu. Niektórych z nich nigdy już nie widzieliśmy. Nikt nigdy nie witał się ani nie żegnał. Po prostu było się albo nie.

A potem, gdy wraz z Joem wyrosliśmy, zaczęto przenosić nas coraz częściej. Wojna w Wietnamie oznaczała, iż wojsko zaczęło przetrzucać ludzi po całym świecie, coraz szybciej i szybciej. Życie stało się jedną płataniną baz. Nie mieliśmy niczego na własność. Do samolotu transportowego wolno było zabrać tylko jeden worek z rzeczami osobistymi.

Przez szesnaście lat byliśmy razem w owym chaosie. Joe pozostał jedynym stałym elementem mojego życia, i kochałem go jak brata. Słowem tym brak dokładnego znaczenia, podobnie jak wielu innym powiedzonkom. Na przykład ludzie mówią, że spali jak dziecko. Czy znaczy to, że spali dobrze, czy też budzili się co dziesięć minut z krzykiem? Kochałem Joego jak brata. W naszej rodzinie to wiele znaczy.

Prawda jest taka, że nigdy do końca nie wiedziałem, czy naprawdę go kocham, czy nie, a i on nie był pewien, co do mnie czuje. Dzieliły nas zaledwie dwa lata, on jednak urodził się w latach pięćdziesiątych, a ja w sześćdziesiątych, i to wydawało nam się znacznie poważniejszą różnicą. Podobnie jak inni ludzie, często doprowadzaliśmy się do szału, kłóciliśmy się, dąsaliśmy, czekaliśmy marząc, że w końcu dorośniemy i oderwiemy się od siebie. Przez większość owych szesnastu lat nie wiedzieliśmy, czy się kochamy, czy nienawidzimy.

Łączyło nas jednak coś znanego wszystkim rodzinom wojskowym: rodzina tworzyła jednostkę, a w bazach uczono całkowitej lojalności wobec własnej jednostki. To podstawa życia każdego żołnierza. My, chłopcy, naśladowaliśmy ich, okazując tę samą lojalność naszym rodzinom. Czasami można nienawidzić własnego brata, ale nikomu nie pozwala się go skrzywdzić. To właśnie nas łączyło - Joego i mnie - bezwarunkowa lojalność. Na każdym

nowym boisku staliśmy plecy w plecy i razem walczyliśmy o przetrwanie. Ja pilnowałem jego pleców, on moich, jak przystało na braci. Przez szesnaście lat. Trudno to nazwać zwykłym dzieciństwem, ale nie miałem innego, a Joe był jego początkiem i końcem. Teraz zaś ktoś go zabił. Siedziałem z tyłu policyjnego chevroleta, słuchając cichego głosu w mojej głowie, który pytał, co, do diabła, mam zamiar z tym zrobić.

\* \* \*

Finlay przejechał prosto przez Margrave i zaparkował przed posterunkiem, naprzeciwko oszklonego wejścia. Wraz z Roscoe wysiedli z samochodu i stanęli, czekając na mnie, tak jak Baker i Stevenson czterdzieści osiem godzin wcześniej. Wstałem, dołączyłem do nich w południowym upale. Przez chwilę trwaliśmy bez ruchu. Potem Finlay pociągnął ciężkie drzwi i wmaszerowaliśmy do środka, a następnie przez pustą salę do wielkiego gabinetu z boazerią.

Finlay usiadł za biurkiem, ja na tym samym krześle, z którego korzystałem w piątek. Roscoe przysunęła sobie fotel i usiadła obok mnie. Finlay wyciągnął szufladę biurka, wyjął magnetofon, wykonał serię rutynowych czynności, sprawdzając mikrofon paznokciem. Potem umilkł i spojrzał na mnie.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego brata - oznajmił. Skinąłem głową. Nie odpowiedziałem.

- Obawiam się, że muszę ci zadać mnóstwo pytań. Ponownie przytaknąłem. Rozumiałem, w jakiej znalazł się sytuacji. Sam bywałem w niej wiele razy.

- Kto jest jego najbliższym krewnym? - spytał.

- Ja - odparłem. - Chyba że się ożenił, nie uprzedzając mnie o tym.

- Sądziś, że mógł to zrobić?

- Nie byliśmy ze sobą blisko, ale wątpię.

- Wasi rodzice nie żyją?

Przytaknąłem. Finlay skinął głową. Zapisał mnie jako najbliższego krewnego.

- Jak brzmiało jego pełne nazwisko?

- Joe Reacher - odparłem. - Bez drugiego imienia.

- Czy to skrót od Josepha?

- Nie. Po prostu Joe. Tak jak ja nazywam się po prostu Jack. Nasz ojciec lubił proste imiona.

- W porządku - rzekł Finlay. - Starszy czy młodszy?

- Starszy. - Podałem mu datę urodzenia Joego. - Dwa lata starszy ode mnie.

- Czyli miał trzydzieści osiem lat.



Skinąłem głową. Baker mówił, że ofiara ma około czterdziestki. Może Joe nie trzymał się najlepiej.

- Masz jego aktualny adres? Potrząsnąłem głową.

- Nie. Mieszkał gdzieś w Waszyngtonie. Tak jak mówiłem, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko.

- W porządku - powtórzył. - Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Jakies dwadzieścia minut temu, w kostnicy. Finlay uśmiechnął się łagodnie.

- A przedtem?

- Siedem lat temu. Na pogrzebie matki.

- Masz jego zdjęcie?

- Widziałeś moje rzeczy. Wszystkie były w torbie. Nie mam żadnych zdjęć.

Znów skinąłem głową. Umilkł. Nie było mu łatwo.

- Mógłbyś mi go opisać?

- Zanim odstrzelono mu twarz?

- To mogłoby pomóc. Musimy się dowiedzieć, kto go widział w okolicy, kiedy, gdzie.

Przytaknąłem.

- Był chyba podobny do mnie. Jakies dwa i pół centymetra wyższy, pięć kilo lżejszy.

- To znaczy, że miał ile? Sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów?

- Zgadza się. I jakies sto kilo wagi. Finlay wszystko zapisywał.

- I golił głowę? - spytał.

- Nie, kiedy widziałem go po raz ostatni. Miał wtedy włosy, jak wszyscy.

- Siedem lat temu, zgadza się?

Wzruszyłem ramionami.

- Może zaczął łysieć. Może był próżny. Finlay przytaknął.

- Czym się zajmował?

- Z tego, co wiem, ostatnio pracował dla Departamentu Skarbu. Nie mam pojęcia, czym się zajmował.

- A wcześniej? - dopytywał się Finlay. - Też służył w wojsku? Skinąłem głową.

- Wywiad wojskowy. Po jakimś czasie zrezygnował. Potem pracował dla rządu.

- Napisał ci, że tu był, zgadza się?

- Wspomniał o Ślepym Blake'u. Nie mówił, co go tu sprowadziło, ale tego nietrudno się będzie dowiedzieć.

- Rano załatwimy kilka telefonów - zapewnił Finlay. - Do tego czasu... Na pewno nie wiesz, co go tu sprowadziło?

Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia, dlaczego Joe tu przyjechał, ale wiedziałem, że Hubble mógłby to wyjaśnić. Joe był wysokim śledczym z ogoloną głową i numerem kodowym. Hubble go tu sprowadził i Hubble dokładnie wiedział po co. Najważniejsze, to znaleźć Hubble'a i zapytać go o to.

- Mówiłeś, że nie możesz znaleźć Hubble'a? - spytałem Finlaya.

- Nigdzie go nie ma - odparł. - W domu na Beckman Drive. Nikt nie widział go w mieście. Hubble o wszystkim wie, prawda?

Wzruszyłem tylko ramionami. Miałem zamiar trzymać karty przy orderach. Gdybym musiał przycisnąć Hubble'a, dowiedzieć się czegoś, o czym nie miał ochoty mówić, wołałem to zrobić na osobności. Nie chciałem, by Finlay patrzył mi przez ramię. Mógłby uznać, że za bardzo naciskam. I z całą pewnością nie zamierzałem patrzeć przez ramię Finlaya. Nie chciałem pozostawiać sprawy w jego rękach. Mógłbym uznać, że nie naciska dość mocno. A zresztą, Hubble prędzej zwierzyłby się mnie niż policjantowi. Ze mną pokonał już spory kawał drogi. Toteż zakres wiedzy Hubble'a miał zostać moją tajemnicą, przynajmniej na razie.

- Nie mam pojęcia, co Hubble wie - odparłem. - To ty twierdzisz, że się załamał.

Finlay jedynie mruknął w odpowiedzi i spojrzał wprost na mnie. Dostrzegłem, jak jego myśli zbaczają na nowy tor, i dokładnie wiedziałem jaki. Czekałem na to. W sprawach o zabójstwo istnieje prosta reguła, wywodząca się ze statystyk i lat doświadczenia. Mówi ona: „Gdy masz w swych rękach nieboszczyka, najpierw przyjrzyj się jego rodzinie, bo mnóstwa zabójstw dokonują krewni - mężowie, żony, synowie i bracia”. Tak brzmiała teoria. Finlay oglądał coś takiego setki razy w ciągu dwudziestu lat służby w Bostonie. Teraz dostrzegłem, że testuje w głowie podobny scenariusz. Musiałem mu przeszkodzić. Nie chciałem, by o tym myślał. Nie zamierzałem znów trafić do celi i marnować czasu. Był mi potrzebny do czegoś innego.

- Zadowala cię moje alibi, zgadza się? - spytałem. Natychmiast dostrzegłem, dokąd zmierzam, zupełnie jakbyśmy byli kolegami i wspólnie prowadzili trudną sprawę. Błysnął przelotnym uśmiechem.

- Utrzyma się - rzekł. - Gdy to wszystko się zdarzyło, ty byłeś w Tampie.

- W porządku - rzuciłem. - A komendant Morrison, co o tym sądzi?

- Jeszcze nic nie wie. Nie podnosi słuchawki.

- Nie życzę sobie kolejnych pomyłek. Tłusciuch twierdzi, że mnie tam widział. Chcę, by wiedział, że to nic nie da.

Finlay przytaknął. Podniósł leżący na stole telefon. Wybrał numer. Rozległ się cichy pomruk. Dzwonek. Dźwięczał bardzo długo. W końcu ucichł, gdy Finlay odłożył słuchawkę.

- Nie ma go w domu - uznał. - W końcu to niedziela. Potem wyciągnął z szuflady książkę telefoniczną, otworzył na literze H, sprawdził numer Hubble'a na Beckman Drive i wybrał go. Ten sam rezultat. Sygnał. Nikogo nie ma w domu. Finlay sprawdził numer komórki. Elektroniczny głos zaczął mówić, że telefon został wyłączony. Detektyw rozłączył się, nim wiadomość dobiegła końca.

- Kiedy znajdę Hubble'a, zamierzam go tu ściągnąć - oznajmił. - Wie rzeczy, którymi powinien się z nami podzielić. Wcześniej niewiele zdziałam. Jak sądzisz?

Wzruszyłem ramionami. Miał rację. Ślad dawno już wystygł. Jedyne iskierka paniki w oczach Hubble'a stwarzała Finlayowi szansę.

- Co zamierzasz zrobić, Readier?

- Zamierzam się zastanowić - odparłem.

Spojrzał wprost na mnie. Nie wrogo, lecz z powagą, jakby jednym surowym spojrzeniem próbował przekazać mi rozkaz. Albo prośbę.

- Pozwól, że ja się tym zajmę, okay? - rzekł. - Nie czujesz się dobrze i chcesz, by sprawiedliwości stało się zadość, ale ja nie życzę sobie żadnych niezależnych działań. To sprawa policji. Ty jesteś cywilem. Zostaw to mnie, zgoda?

Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową. Wstałem. Zmierzyłem go wzrokiem.

- Idę na spacer - oznajmiłem.

\* \* \*

Zostawiłem ich tam i przeszedłem przez salę główną. Za szklanymi drzwiami panował upał. Przeciąłem parking i szeroki trawnik. Zatrzymałem się pod pomnikiem z brązu - kolejny posąg, upamiętniający Caspara Teale'a, kimkolwiek, do diabła, był. Tego samego, którego uczczono na placu w południowej części miasta. Oparłem się o ciepłą metalową nogę i zacząłem myśleć:

Stany Zjednoczone to olbrzymi kraj, miliony kilometrów kwadratowych, prawie trzysta milionów ludzi. Od siedmiu lat nie widziałem Joego, a on mnie. Ostatecznie jednak, w odstępnie zaledwie ośmiu godzin, trafiliśmy do tego samego miasteczka. Przeszedłem pięćdziesiąt metrów od jego ciała. Niesamowity zbieg okoliczności. Praktycznie niewiarygodny, toteż Finlay wyświadczał mi ogromną grzeczność, traktując to jako przypadek. Powinien próbować podważyć moje alibi. Może już to robi. Może już dzwoni do Tamy, sprawdzając wszystko ponownie.

Ale niczego nie znajdzie, bo to był przypadek. Nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Znalazłem się w Margrave kierowany jedynie szalonym impulsem. Gdybym minutę dłużej wpatrywał się w mapę tamtego gościa, autobus minąłby rozjazd i zapomniałbym o Margrave. Pojechałbym do Atlanty i nie poznał losu Joego. Mogłoby minąć kolejnych siedem lat, nim dotarłaby do mnie informacja. Nie ma więc sensu dywagować, rozmyślać nad złym zrządzeniem losu. Muszę jedynie podjąć decyzję, co teraz.

Miałem około czterech lat, gdy dotarło do mnie, co oznacza lojalność. Nagle pojąłem, że powinienem pilnować Joego, tak jak on pilnuje mnie. Po jakimś czasie stało się to częścią mojej natury, odruchem. Zawsze pamiętałem, by rozejrzeć się i sprawdzić, czy z Joem wszystko w porządku. Mnóstwo razy wybiegałem na nowe szkolne boisko i widziałem grupę dzieciaków próbujących dokopać wysokiemu, chudemu nowemu. Podchodziłem tam niespiesznie, odciągałem ich, rozwaląłem kilka głów. Potem wracałem do swoich kumpli i znów grałem w piłkę czy w co tam wymyślili. Obowiązek z głowy. Rutyna. Rutyna ta trwała dwanaście lat - odkąd skończyłem cztery lata aż do momentu, gdy Joe opuścił dom, i owe dwanaście lat pozostawiło w moim umyśle trwały ślad. Potem już zawsze gdzieś w głębi mej głowy dźwięczało pytanie: gdzie jest Joe? Gdy dorósł i zajął się własnymi sprawami, nie musiałem się już przejmować, pozostało we mnie jednak echo dawnych przyzwyczajęń. Gdzieś w głębi duszy byłem pewien, że powinienem mu pomóc w razie potrzeby.

Teraz jednak Joe nie żył. Nigdzie już go nie było. Oparłem się o pomnik przed posterunkiem, nasłuchując cichego głosu w mojej głowie, który powtarzał: musisz coś z tym zrobić.

\* \* \*

Drzwi posterunku otwarły się z trzaskiem. Zmrużyłem oczy i ujrzałem wychodzącą na dwór Roscoe. Słońce za plecami rozświetlało jej włosy niczym aureolę. Rozejrzała się i ujrzała mnie opartego o posąg pośrodku trawnika. Ruszyła w moją stronę. Oderwałem się od ciepłego brązu.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Nic mi nie jest - odparłem.

- Jesteś pewien?

- Nie załamałem się. Może powinienem, ale nie. Po prostu czuję się odrętwiały.

Istotnie, niewiele czułem. Może to jakaś dziwna reakcja, ale tak było. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Dobra - mruknęła Roscoe. - Mogę cię gdzieś podrzucić? Może przysłał ją Finlay, by mnie pilnowała, ale nie zamierzałem protestować. Stała tu w słońcu i wyglądała świetnie. Uświadomiłem sobie, że z każdym spotkaniem podoba mi się coraz bardziej.

- Pokażesz mi, gdzie mieszka Hubble? - poprosiłem. Dostrzegłem jej wahanie.

- Nie powinniśmy zostawić tego Finlayowi?

- Chcę tylko sprawdzić, czy już wrócił. Nie zamierzam go pożreć. Jeśli jest w domu, natychmiast zadzwonimy do Finlaya, zgoda?

- Zgoda. - Roscoe wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Ruszajmy.

Razem przeszliśmy przez trawnik i wsiedliśmy do policyjnego chevroleta. Roscoe uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu. Skręciła w lewo i ruszyła na południe przez idealne miasteczko. Był piękny wrześnieowy dzień. Jasne promienie słońca zamieniały okolicę w fantastyczny pejzaż. Wykładane kostką chodniki lśniły, biała farba błyszczała oślepiająco. Ciche miasteczko, skąpane w upalnych promieniach słońca. Pustynia.

Roscoe dotarła do placu i skręciła w prawo w Beckman Drive. Okrążyła placzyk kościelny. Samochody zniknęły. Wokół nie dostrzegłem żywej duszy. Koniec mszy. Beckman Drive okazała się szeroką, wysadzaną drzewami ulicą, wiodącą lekko pod górę. Wokół panowała atmosfera bogactwa. Chłodne, cieniste, kosztowne działki. Handlarze nieruchomości nazywają to idealną lokalizacją. Nie widziałem domów. Stały daleko, zasłonięte wielkimi drzewami, wysokimi żywopłotami. Podjazdy znikały w cieniu. Od czasu do czasu dostrzegłem biały portyk albo fragment czerwonego dachu. Im dalej się zapuszczaliśmy, tym większe stawały się działki. Dziesiątki metrów pomiędzy skrzynkami pocztowymi. Olbrzymie, stare drzewa. Solidne miejsce. Lecz za owymi cienistymi fasadami kryły się tajemnice. W przypadku Hubble'a była to rozpaczliwa tajemnica, która sprawiła, że wezwał, mojego brata, i doprowadziła do jego śmierci.

Roscoe zwolniła przy białej skrzynce i skręciła w lewo na podjazd numeru 25. Dom stał jakieś półtora kilometra od centrum, po lewej, zwrócony tyłem do popołudniowego słońca, ostatni budynek przy drodze. Dalej dostrzegłem zamglone gaje brzoskwiniowe. Powoli jechaliśmy krętym podjazdem, omijając rozległe klomby. Dom nie przypominał tego z moich wyobrażeń. Oczekiwałem dużego, białego budynku, zwykłego domu, tylko większego. Ten jednak bardziej przypominał dwór czy pałac. Był wielki, pełen wyszukanych detali: szeroki wyżwirowany podjazd, rozległe aksamitne trawniki, ogromne, piękne drzewa, a wszystko lśniło i połyskiwało w ostrym słońcu. Nie dostrzegłem jednak ani śladu ciemnego bentleya, którego widziałem na więziennym parkingu. Wyglądało na to, że w domu nie ma nikogo.

Roscoe zatrzymała się obok drzwi frontowych. Wysiedliśmy. Cisza. Słyszałem jedynie oddech upalnego dnia. Zadzwoniliśmy, zapukaliśmy. Brak reakcji. Wzruszyliśmy ramionami i przeszliśmy przez trawę, okrążając dom. Przed sobą ujrzelśmy kilkuakrową murawę i grządki pełne kwiatów, otaczające oranżerię, rozległe patio i kolejny trawnik, opadający ku olbrzymiemu basenowi. W promieniach słońca woda połyskiwała jasnym błękitem. Czulem wiszącą w powietrzu woń chloru.

- Niezły dom - mruknęła Roscoe. Przytaknąłem. Zastanawiałem się, czy mój brat tu był.

- Słyszę samochód - rzuciła.

Wróciliśmy przed dom akurat w chwili, gdy przy drzwiach zatrzymał się wielki bentley. Ze środka wysiadła jasnowłosa kobieta, którą widziałem przed więzieniem. Towarzyszyła jej dwójka dzieci - chłopiec i dziewczynka, rodzina Hubble'a. Kochał ich jak wariat, ale go z nimi nie było.

Blondynka najwyraźniej znała Roscoe. Przywitały się, Roscoe mnie przedstawiła. Kobieta uściśnęła mi dłoń. Oznajmiła, że nazywa się Charlene, ale mogę mówić jej Charlie. Wyglądała doskonale: wysoka, szczupła, zgrabna, elegancka, bardzo zadbana. Jednak w jej twarzy dostrzegłem ślad silnego charakteru, skazę na masce pięknej lalki. Wystarczająco dużo charakteru, bym ją polubił. Uściśnęła mi rękę i uśmiechnęła się, był to jednak uśmiech kryjący w sobie mnóstwo napięcia.

- Obawiam się, że nie był to najlepszy weekend mojego życia - oznajmiła. - Jestem jednak panu winna podziękowanie, panie Reacher. Mąż twierdzi, że w więzieniu ocalił mu pan życie.

Jej głos brzmiał lodowato. Nie z mojego powodu, lecz z powodu okoliczności, które zmusiły ją do wypowiedzenia słów „mąż” i „więzienie” w tym samym zdaniu.

- Nie ma za co - odparłem. - Gdzie on jest?

- Załatwia jakieś sprawy - wyjaśniła Charlie. - Powinien się niedługo zjawić.

Przytaknąłem. Taki był plan Hubble'a. Uprzedził, że zmyśli jakąś historyjkę i spróbuje wszystko wyciszyć. Zastanawiałam się, czy Charlie chciałaby o tym pomówić, lecz obok stały milczące dzieci i wiedziałem, że przy nich nie poruszy tego tematu. Uśmiechnąłem się zatem szeroko. Miałem nadzieję, że się wystraszą i uciekną, tak jak zwykle dzieci, ale one odpowiedziały uśmiechem.

- To jest Ben - oznajmiła Charlie. - A to Lucy.

Ładne dzieciaki. Dziewczynka wciąż nie zgubiła szczenięcego sadła. Brakowało jej przednich zębów. Cienkie jasne włosy splotła w warkoczyki. Chłopiec nie był dużo wyższy

od swojej siostrzyczki. Drobne ciało, poważna twarz. Zdecydowanie nie typ głośnego chuligana. Miła parka: cicha, dobrze wychowana. Oboje uścisnęli mi dłoń, po czym cofnęli się za matkę. Spojrzałem na wszystkich troje i oczyma duszy ujrzałem wiszącą nad ich głowami straszliwą chmurę. Jeśli Hubble nie dołoży wszelkich starań, mogą zginąć, tak jak wcześniej przez niego zginął mój brat.

- Napijecie się może mrożonej herbaty? - spytała Charlie. Stała tam z lekko przekrzywioną głową, czekając na odpowiedź.

Na oko, miała około trzydziestki, w wieku Roscoe. Była jednak bogata. Sto pięćdziesiąt lat temu zarządzały wielką plantacją.

- Tak, dziękuję - odparłem.

Dzieci gdzieś odbiegły. Charlie wprowadziła nas do domu. Tak naprawdę nie miałem ochoty na mrożoną herbatę. Chciałem jednak posiedzieć chwilę na wypadek, gdyby Hubble wrócił. Potrzebowałem pięciu minut sam na sam. Chciałem mu zadać kilka ważnych pytań, nim Finlay zacznie wygłaszać mu jego prawa.

Dom był jak z bajki - olbrzymi, pięknie umeblowany, jasny, przewiewny, chłodne beże, słoneczne żółcie, kwiaty. Charlie zaprowadziła nas do oranżerii, którą widzieliśmy z zewnątrz. Przypominała obrazek wyjęty żywcem z pisma dla bogaczy. Roscoe poszła do kuchni, żeby pomóc gospodyni przyrządzić herbatę. Zostałem sam. Czułem się niepewnie. Nie przywykłem do przebywania w domach. Miałem trzydzieści sześć lat, ale nigdy nie mieszkałem w domu - wyłącznie w mieszkaniach służbowych i w upiornym akademiku nad rzeką Hudson, gdy studiowałem w West Point. Oto moje życie. Przysiadłem na kwiecistej poduszce rattanowej kanapy, czując się jak przybysz z innego świata, niespokojny, odrętwiały, w martwej strefie pomiędzy akcją i reakcją. Obie kobiety wróciły z herbatą. Charlie dźwigała srebrną tacę. Była ładna, ale przy Roscoe zupełnie się nie liczyła. W oczach Roscoe lśniła energia, która sprawiała, że Charlie wydawała się praktycznie niewidzialna.

A potem coś się stało. Roscoe usiadła obok mnie na rattanowej sofie. Odepchnęła lekko moją nogę. Zwykły gest, ale bardzo poufały, wręcz intymny. Odrętwiały nerw ożył nagle, krzycząc do mnie: „Ty też się jej podobasz?”. Ty też się jej podobasz! Świadczył o tym sposób, w jaki mnie dotknęła.

Powróciłem myślami do poprzednich dni, spoglądając na wszystko w nowym świetle. Jej zachowanie, gdy pobierała mi odciski palców i robiła zdjęcia, fakt, że przyniosła kawę. Uśmiech i mrugnięcie. Śmiech. Przpracowana piątkowa noc i cała sobota po to, by móc wyciągnąć mnie z Warburton. To, że przyjechała po mnie do więzienia. Trzymała mnie za

rękę po tym, jak obejrzałem okaleczone zwłoki brata. Podwiozła mnie tutaj. Też jej się podobałem.

Nagle ucieszyłem się, że wyskoczyłem z tego przeklętego autobusu, że w ostatniej chwili podjąłem szaloną decyzję. Odprężyłem się, poczułem się lepiej. Cichy głos w mojej głowie umilkł. W tym momencie nie mogłem nic zrobić. Kiedy spotkam Hubble'a, porozmawiam z nim. Do tego czasu będę siedział na sofie z piękną ciemnowłosą kobietą w miękkiej bawełnianej koszuli. Niedługo i tak zaczną się problemy. Zawsze tak było.

Charlie Hubble usiadła naprzeciw nas i zaczęła nalewać mrożoną herbatę. W powietrzu rozeszła się woń cytryny i przypraw. Charlie spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się z tym samym napięciem co przedtem.

- Zwykle w tym momencie spytałabym, czy dobrze pan się bawi w Margrave - odezwała się, spoglądając na mnie.

Nie zdołałem na to odpowiedzieć. Po prostu wzruszyłem ramionami. Było jasne, że Charlie nic nie wie. Sądziła, że mąż został aresztowany przez pomyłkę, nie dlatego iż zaplątał się w sprawę, w wyniku której zamordowano dwie osoby, a jedną z nich był brat nieznanego, do którego właśnie się uśmiechała. Roscoe zaczęła podtrzymywać rozmowę. Jakiś czas gawędziły swobodnie. Ja siedziałem w milczeniu, sącząc herbatę. Czekałem na Hubble'a. Na próżno. W końcu rozmowa ucichła i musieliśmy odejść. Charlie wierciła się, jakby miała coś do załatwienia. Roscoe położyła mi dłoń na ramieniu. Jej dotyk parzył niczym ogień.

- Chodźmy - powiedziała. - Podwiozę cię do miasta.

Nie czułem się z tym dobrze. Woląłem zaczekać na Hubble'a. Miałem wrażenie, że zachowuję się nielojalnie wobec Joego. Pragnąłem jednak pobyć sam na sam z Roscoe, pragnąłem z całego serca. Być może stłumiony ból wzmagił jeszcze to pragnienie. Chciałem do jutra uwolnić się od problemów związanych z Joem. Powiedziałem sobie, że i tak nie mam wyboru. Hubble nie wrócił. Nic innego nie mogę zrobić. Wsiadliśmy zatem do chevroleta i ponownie pokonaliśmy kręty podjazd. Przejechaliśmy przez Beckman. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, domy stały coraz ciasniej. Okrążyliśmy kościół. Przed sobą widzieliśmy niewielki plac z pomnikiem Caspara Teale'a.

- Reacher - zagadnęła Roscoe. - Zostaniesz tu trochę, prawda? Póki nie rozwiążemy sprawy twojego brata?

- Chyba tak - odparłem.

- Gdzie się zatrzymasz?

- Nie wiem.



Zjechała na krawężnik przy placu, zostawiając włączony silnik. Jej twarz miała czuły wyraz.

- Chciałabym, żebyś pojechał ze mną do domu.

Nie wierzyłem własnym uszom, lecz pragnienie płonęło we mnie tak gorąco, że przyciągnąłem ją i pocałowaliśmy się. Bajeczny pierwszy pocałunek. Nowe nieznanne usta, włosy, smak, zapach. Roscoe całowała długo i mocno, przywarła do mnie z całej siły. Kilka razy odrywaliśmy się od siebie, by zaczerpnąć powietrza. W końcu znów ruszyła, zmierzając do siebie.

Błyskawicznie pokonała ulicę prostopadłą do Beckman Drive. Ujrzałem niewyraźne smugi rozświetlonej zieleni, gdy skręciła na swój podjazd. Opony zazgrzytały, wyrzucając w powietrze żwir. Wypadliśmy z samochodu i pobiegliśmy do drzwi. Roscoe przekreśliła klucz, wbiegliśmy do środka, drzwi zatrzasnęły się za nami. Nim jeszcze szcęknął zamek, znalazła się w moich ramionach. Całując się wpadliśmy do salonu. Była o trzydzieści centymetrów niższa ode mnie, stopy miała w powietrzu.

Zdarliśmy z siebie ubrania, jakby się paliły. Była cudowna - silna, jędrna, zgrabna jak marzenie, skóra niczym jedwab. Pociągnęła mnie na podłogę. Plamy słonecznego blasku wpadały przez okno. Zachowywaliśmy się jak szaleńcy, nic nie mogło nas powstrzymać. Jakby za chwilę miał skończyć się świat. Aż wreszcie zadrżeliśmy i legliśmy bez ruchu, dysząc, złani potem, wyczerpani.

Leżeliśmy tak, tuląc się i pieszcząc. Potem podniosła się i pociągnęła mnie za sobą. Pocałowaliśmy się ponownie. Zaniósłem ją do sypialni. Zrzuciła kapę i upadliśmy na łóżko, wciąż objęci, oszołomieni. Byłem wykończony, miałem wrażenie, że wszystkie moje kości i ścięgna zamieniły się w gumę. Leżałem na obcym łóżku w stanie całkowitego odprężenia, zupełnie jakbym szybował w powietrzu. Obok siebie czułem ciepłe ciało Roscoe. Oddychałem poprzez jej włosy, nasze dłonie leniwie gładziły nieznanne kształty.

Spytała, czy chcę poszukać motelu, czy wolę zostać z nią. Zaśmiałem się i odparłem, iż aby się mnie pozbyć, musiałyby zabrać z posterunku strzelbę i wygnać mnie siłą, a nawet to mogłoby nie wystarczyć. Zachichotała, przywierając do mnie mocniej.

- Nie przyniosłabym strzelby - szepnęła - tylko kajdanki. Przykułabym cię do łóżka i zatrzymała tu na zawsze.

Resztę popołudnia przespaliliśmy. O siódmej zadzwoniłem do Hubble'a. Wciąż nie wrócił. Zostawiłem Charlie numer Roscoe i poprosiłem, by przekazała mężowi, żeby oddzwonił do mnie, gdy tylko się zjawi. Potem leniwie spędziliśmy resztę wieczoru.

Zasnęliśmy o północy. Hubble nie zadzwonił.

\* \* \*

W poniedziałek rano jak przez mgłę widziałem Roscoe wstającą do pracy. Usłyszałem szum prysznic i wiedziałem, że ucałowała mnie czule. A potem w domu zapadła cisza. Spałem do dziewiątej. Telefon nie zadzwonił. W porządku, potrzebowałem trochę spokoju. Musiałem podjąć pewne decyzje. Wyciągnąłem się w ciepłym łóżku Roscoe i zacząłem odpowiadać na pytanie, które znów zadawał mi cichy głos w mojej głowie.

Co zamierzam zrobić w sprawie Joego? Odpowiedź przyszła łatwo. Wiedziałem, że tak będzie, wiedziałem, że tam czeka od chwili, gdy stanąłem w kostnicy obok jego okaleczonych zwłok. To bardzo prosta odpowiedź. Nie opuszczę go. Skończę to, co zaczął. Cokolwiek to było. Niezależnie od konsekwencji.

Nie przewidywałem poważniejszych problemów. Hubble stanowił jedyny punkt zaczepienia, ale mi wystarczył. Będzie współpracował. Polegał na Joem, chciał, żeby wy dostał go z matni. Teraz będzie polegał na mnie, da mi to, czego potrzebuję. Jego szefowie jeszcze przez tydzień byli otwarci na ataki. Jak to powiedział? Okno, szeroko otwarte aż do niedzieli. Wykorzystam je, by ich zniszczyć. Podjąłem decyzję. Nie mogłem postąpić inaczej, zostawić tego Finlayowi. Finlay nie zrozumiałby, co nas łączyło, nie usankcjonowałby kary odpowiadającej zbrodni. Nie zrozumiałby prostej prawdy, którą poznałem w wieku czterech lat. Nikomu nie wolno tykać mojego brata. To sprawa między mną a Joem. Obowiązek.

Leżałem w ciepłym łóżku Roscoe, opracowując plan. Wszystko wyglądało prosto, tak prosto, jak to tylko możliwe. Bez trudu załatwię sprawę z Hubble'em - wiem, gdzie mieszka, znam jego numer telefonu. Przeciągnąłem się i uśmiechnąłem szeroko, pełen energii. Wstałem z łóżka i znalazłem kawę. O dzbanek opierała się kartka z wiadomością: „Wczesny lunch u Ena, 11.00?

Zostaw Hubble'a Finlayowi, okay?” Zamiast podpisów mnóstwo pocałunków i mały rysunek przedstawiający kajdanki. Uśmiechnąłem się na jego widok. Ale nie zamierzałem zostawić Hubble'a Finlayowi, nie ma mowy. Hubble to moja sprawa. Sprawdziłem zatem numer i zadzwoniłem na Beckman Drive. Nikogo.

Nalałem sobie kawy i zacząłem krążyć po salonie. Na zewnątrz świeciło oślepiające słońce. Kolejny upalny dzień. Wędrowałem po domu. Niewielki. Salon, kuchnia ze stołem, dwie sypialnie, łazienka. Bardzo nowy, bardzo czysty, urządzone w chłodny, prosty sposób. Pasował do Roscoe. Chłód i prostota. Kilka dzieł Indian Nawaho, parę barwnych dywanów, białe ściany. Musiała odwiedzić Nowy Meksyk i spodobał się jej.

W domu panowała cisza. Roscoe miała wieżę, kilka płyt i taśm, słodszych i bardziej melodyjnych niż zawodzenie i jęki, które nazywam muzyką. Przyniosłem sobie z kuchni

więcej kawy. Wyszedłem na dwór - niewielkie podwórze, porządny trawnik, niedawno posadzony. Ziemię pokrywały trociny mające zdusić chwasty. Stałem w słońcu, sącząc kawę.

Potem wróciłem do środka i ponownie wybrałem numer Hubble'a. Brak odpowiedzi. Wziąłem prysznic, ubrałem się. Roscoe miała małą kabinę z nisko zawieszonym prysznicem, kobiece pachnące mydélka. W szafie znalazłem ręcznik, na toalecie grzebień, nigdzie nie dostrzegłem maszynki. Ubrałem się i przepłukałem kubek po kawie. Z kuchennego telefonu zadzwoniłem do Hubble'a. Czekałem długo. Nikogo. Postanowiłem, że po lunchu poproszę Roscoe, by podrzuciła mnie na Beckman Drive. Nie mogłem czekać wiecznie. Zamknąłem tylne drzwi i wyszedłem od frontu.

Było wpół do jedenastej. Od baru Ena dzieliły mnie ze dwa kilometry. Spokojna półgodzinna przechadzka w słońcu. Mimo wczesnej pory było już gorąco, co najmniej trzydzieści stopni. Piękna, południowa jesień. Pokonałem pół kilometra lekko wijącej się drogi, prowadzącej do Main Street. Wszystko wokół było niezwykle zadbane. Widziałem mnóstwo wysokich magnolii i ostatnie kwiaty na ozdobnych krzewach.

Skręciłem obok sklepu i ruszyłem Main Street. Chodniki zostały niedawno zamiecione. Dostrzegłem grupy pracujące na skwerach. Ustawiały zraszacze, wywoziły coś taczkami z małych, zielonych ciężarówek ze złotym napisem: „Fundacja Klinera”. Kilku facetów malowało drewniane ogrodzenie. Pomachałem do dwóch starych fryzjerów stojących w drzwiach zakładu, jakby czekali na klientów. Pozdrowili mnie w odpowiedzi.

Po jakimś czasie ujrzałem bar, aluminiowe sidingi lśniły w słońcu. Na żwirowym parkingu stał Chevrolet Roscoe, obok niego czarna półciężarówka, którą widziałem poprzedniego dnia przed kafejką.

Pchnąłem drzwi i przekroczyłem próg baru. W piątek wyprowadzono mnie z niego ze strzelbą wycelowaną prosto w brzuch, skutego kajdankami. Zastanawiałem się, czy pracownicy mnie zapamiętali. Pewnie tak. Margrave to bardzo spokojne miejsce, niewielu widują obcych.

Roscoe zajęła miejsce przy stole, tym samym, przy którym siedziałem w piątek. Znow miała na sobie mundur i wyglądała najseksowniej w świecie. Podeszedłem do niej. Uśmiechnęła się do mnie czule, a ja schyliłem się i pocałowałem ją w usta. Szybko przesunęła się do okna. Na stole stały dwa kubki kawy, podałem jej jeden.

Przy ladzie siedział kierowca czarnej półciężarówki, syn Klinera, pasierb bladej kobiety. Obrócił się na stołku, oparł o kontuar. Siedział z szeroko rozsuniętymi nogami, cofniętymi łokciami i uniesioną głową. Jego oczy płonęły. Patrzył wprost na mnie. Odwróciłem się do niego plecami i ponownie pocałowałem Roscoe.

- Czy to zniszczy twój autorytet? - spytałem. - Całujesz się publicznie z włóczęgą, którego aresztowano tu w piątek.

- Prawdopodobnie - odparła. - Ale kogo to obchodzi? Zatem pocałowałem ją jeszcze raz. Dzieciak Klinera wciąż patrzył, czułem na karku jego wzrok. Obróciłem głowę i wbiłem w niego wzrok. Przez sekundę patrzył mi prosto w oczy, potem zeskoczył ze stolka i wyszedł. Już w drzwiach przystanął i posłał mi jeszcze jedno niechętnie spojrzenie. Potem pospieszył do wozu i odjechał. Usłyszałem ryk silnika. I znów w barze zapadła cisza. Był niemal pusty, zupełnie jak w piątek

- kilku starszków, dwie kelnerki, te same co wtedy, obie blondynki, jedna wyższa i cięższa niż druga. Obie w uniformach. Niższa nosiła okulary. Nie były identyczne, ale dość podobne do siebie, jak siostry bądź kuzynki, z pewnością te same geny. Małe miasteczko daleko od innych.

- Podjąłem decyzję - oznajmiłem. - Muszę się dowiedzieć, co się stało z Joem. Przepraszam zatem z góry, jeśli wejdę wam w drogę. Okay?

Roscoe wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ciepło. Sprawiała wrażenie zatroskanej.

- To nam nie przeszkodzi - odparła. - Bo niby czemu? Pociągnąłem łyk kawy. Dobra. Pamiętałem to z piątku.

- Zidentyfikowaliśmy drugie zwłoki - powiedziała Roscoe. - Odciski pasują do mężczyzny aresztowanego dwa lata temu na Florydzie. Nazywał się Sherman Stoller. Mówi ci to coś?

Pokręciłem głową. - Nigdy o nim nie słyszałem.

W tym momencie odezwał się jej pager, mały czarny drobiazg przypięty do pasa. Wcześniej go nie widziałem. Musiała z niego korzystać tylko w czasie pracy. Piszczął donośnie. Wyciągnęła rękę i odpięła go.

- Cholera - westchnęła. - Muszę się zameldować. Wybacz. Skorzystam z telefonu w wozie.

Wyszedłem zza stołu, by ją przepuścić.

- Zamów mi coś do jedzenia, dobrze? - poprosiła. - To samo, co sobie.

- Jasne - odparłem. - Która to nasza kelnerka?

- Ta w okularach.

Roscoe wyszła z baru. Jak przez mgłę byłem świadom tego, że sięga do samochodu, korzysta z telefonu. Potem zamachała do mnie z parkingu, na migi pokazując, że wypadło jej coś pilnego, że musi wrócić, a ja mam na nią poczekać. Wskoczyła do wozu i odjechała na

południe. Pomachałem jej z roztargnieniem. Tak naprawdę nie patrzyłem, bo zamiast tego wpatrywałem się w kelnerkę. Niemal przestałem oddychać. Potrzebowałem Hubble'a, a Roscoe właśnie uświadomiła mi, że on nie żyje.

## 11

Patrzyłem tępo na dwie jasnowłose kelnerki. Jedna jakieś dziesięć centymetrów wyższa od drugiej, może pięć-siedem kilo cięższa. Parę lat starsza. Drobniejsza wydawała się przy niej malutka, przystojniejsza, miała dłuższe jaśniejsze włosy, ładniejsze oczy za szklami. W sumie kobiety były do siebie podobne w bardzo powierzchowny sposób. Różniło je milion szczegółów. Łatwo rozpoznać, która jest która.

Spytałem Roscoe o naszą kelnerkę. Jak odpowiedziała? Niższa, ta z dłuższymi włosami, jaśniejsza, szczuplejsza, ładniejsza czy młodsza? Nie. Powiedziała: „Ta w okularach”. Jedna z nich miała na nosie okulary, druga nie. Nasza to ta w okularach. Okulary stanowiły podstawową różnicę między nimi. Pozostałe były kwestią stopnia przymiotnika. Wyższa, grubsza, dłuższe, krótsze, niższa, ładniejsza, ciemniejsze, młodsza. Okulary nie podlegały stopniowaniu - jedna kobieta je nosiła, druga nie. Absolutna różnica, żadnej możliwości pomyłki. Nasza kelnerka to ta w okularach.

To właśnie zobaczył Spivey w piątkowy wieczór. Zjawił się w pokoju przyjęć nieco po dziesiątej, ze strzelbą i notatnikiem w wielkich, czerwonych farmerskich łapach. Spytał, który z nas to Hubble. Pamiętałem jego wysoki głos, dźwięczący w ciszy betonowych ścian. Nie miał powodu pytać. Dlaczego w ogóle interesowało go, który z nas jest który? Nie musiał tego wiedzieć, ale zapytał. Hubble podniósł rękę. Spivey zmierzył go swymi małymi, węzowymi oczkami. Dostrzegł, że Hubble jest niższy, drobniejszy, szczuplejszy, jaśniejszy, bardziej łysy, młodszy ode mnie. Ale co najbardziej nas różniło, Hubble nosił okulary, ja nie. Małe okulary w złotych oprawach. Absolutna różnica. Spivey powiedział sobie owej nocy: „Hubble to ten w okularach”.

Lecz następnego ranka to ja nosiłem okulary, nie Hubble, bo złote oprawki Hubble'a padły łupem jednego z Czerwonych i zostały zgniecione na miazgę bardzo wczesnym rankiem. Zniknęły, a ja odebrałem im inne okulary. Wziąłem je i zupełnie o nich zapomniałem. Oparłem się o umywalkę w łazience, badając stłuczone czoło, poczułem w kieszeni okulary, wyciągnąłem je i nałożyłem. Nie były ciemne, bo ciemniały jedynie na słońcu. Wyglądały normalnie. Miałem je na nosie w chwili, gdy do łazienki wmaszerowali Aryjczycy. Spivey polecił im: „Znajdźcie nowych i zabijcie tego w okularach”. Bardzo się starali. Dołożyli wszelkich starań, by zabić Paula Hubble'a.

Zaatakowali mnie, bo podany im opis pasował do niewłaściwej osoby. Spivey zameldował o tym dawno temu. Ktokolwiek nasłał go na Hubble'a, nie zrezygnował. Podjął drugą próbę i tym razem się udało. Cała policja została wezwana na Beckman Drive pod numer 25, bo ktoś odkrył tam straszliwą zbrodnię, rzeź. Hubble nie żył, cała czwórka nie żyła, zamęczona, zaszlachtowana. To moja wina. Myliłem się.

Podbiegłem do kontuaru, do naszej kelnerki, tej w okularach.

- Mogłaby pani wezwać mi taksówkę? - poprosiłem. Kucharz obserwował nas z wejścia do kuchni. Może to sam Eno - niski, przysadzisty, ciemnowłosy, łysiejący, starszy ode mnie.

- Nie! - zawołał. - Co to niby ma być, hotel? To nie Waldorf Astoria, stary. Chcesz taksówki, to sobie ją znajdź. Nie jesteś tu szczególnie mile widziany. Przynosisz kłopoty.

Popatrzyłem na niego ponuro, zbyt wyczerpany, by zareagować. Lecz kelnerka jedynie wybuchnęła śmiechem. Położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie przejmuj się Enem - powiedziała. - Bardzo lubi zrzędzić. Wezwę ci taksówkę. Zaczekaj na parkingu, dobrze?

Wyszedłem na zewnątrz. Pięć minut później zajechała cicho taksówka - nowiusienka, idealnie czysta, jak wszystko w Margrave.

- Dokąd, proszę pana? - spytał kierowca.

Podaliśmy mu adres Hubble'a. Skręcił powoli, zawracając na lokalnej drodze, i skierował się z powrotem do miasta. Minęliśmy remizę i posterunek policji. Parking był pusty, nie dostrzegłem chevroleta Roscoe ani radiowozów. Wszyscy wyjechali do Hubble'a. Skręciliśmy w prawo na plac i minęliśmy cichy kościół, jadąc w górę Beckman Drive. Wkrótce ujrzę grupę pojazdów przed działką numer 25. Radiowozy z włączonymi kogutami, nieoznakowane pojazdy Finlaya i Roscoe, karetkę bądź dwie, wóz koronera, który pewnie zdołał już dotrzeć ze swego biura w Yellow Springs.

Ulica jednak była pusta. Wszedłem na podjazd Hubble'a. Taksówka zawróciła i odjechała do miasta. Wokół zapadła cisza, ciężka cisza spokojnej ulicy w upalny dzień. Minąłem klomby - nikogo. Ani śladu wozów policyjnych, karetek, krzyków, trzeszczących wózków, jęków zgrozy, fotografów policyjnych, taśmy zagrządzającej drogę.

Na zwirowym podejździe stał wielki ciemny bentley. Wyminąłem go, zmierzając do domu. Drzwi frontowe otwarły się z trzaskiem i wypadła z nich Charlie Hubble. Krzyczała w ataku hysterii, ale żyła.

- Hub zniknął! - wrzasnęła.

Podbiegła do mnie i zatrzymała się gwałtownie.

- Nie ma Huba! - zawołała. - Zniknął, nie mogę go znaleźć.

A zatem załatwili tylko Hubble'a, zabrali go gdzieś i porzucili zwłoki. Ktoś je znalazł i wezwał policję. Przerażony, załamujący się głos w słuchawce. I tam właśnie pojechały radiowozy i karetki, nie tu, na Beckman Drive. Gdzie indziej. Ale ofiarą padł sam Hubble.

- Coś jest nie tak! - zawodziła Charlie. - Ta sprawa z więzieniem, coś poszło nie tak w banku, na pewno. Hub był taki spięty, a teraz zniknął, nie ma go. Wiem, że coś się stało!

Zacisnęła oczy i zaczęła krzyczeć. Traciła resztki panowania nad sobą popadając w coraz większą histerię. Nie wiedziałem, jak ją uspokoić.

- Wczoraj wrócił bardzo późno! - krzyczała. - Rano nadal był w domu. Zawiozłam Bena i Lucy do szkoły. A teraz go nie ma, nie pojechał do pracy. Odebrał telefon z biura, miał zostać, jego aktówka wciąż tam leży, tak samo telefon, kurtka, portfel, karty kredytowe, prawo jazdy. W kuchni zostawił klucze, drzwi frontowe były otwarte. Nie pojechał do pracy, po prostu zniknął!

Stałem bez ruchu, jak sparalizowany. Wywleczono go z domu siłą i zabito. Charlie jakby całkiem oklapła - a potem zaczęła do mnie szeptać. Jej szept był jeszcze gorszy niż krzyki.

- Jego samochód wciąż tu jest. Nie mógł po prostu odejść. Nigdy nigdzie nie chodzi pieszo, zawsze jeździ bentleyem.

Machnęła ręką, wskazując tyły domu.

- Bentley Huba jest zielony - dodała. - Wciąż stoi w garażu, sprawdziłam. Musi nam pan pomóc, panie Reacher. Proszę, błagam, niech nam pan pomoże. Hub ma kłopoty, wiem o tym. Zniknął. Mówił, że pan mógłby pomóc, ocalił mu pan życie. Twierdził, że wie pan, co robić.

Była w histerii. Błagała mnie, ale ja nie mogłem jej pomóc. Wkrótce się o tym dowie. Niedługo zjawi się Baker albo Finlay i przekaze jej wstrząsające wieści. Prawdopodobnie Finlay to załatwi. Musi być w tym bardzo dobry, robił to tysiące razy w Bostonie. Potrafi zachować stosowną powagę. Przekaze wieści, pomijając krwawe szczegóły, i zawiezie ją do kostnicy, by zidentyfikowała ciało. Tamtejsi ludzie okryją trupa całunem, aby ukryć odrażające obrażenia.

- Pomoże nam pan? - prosiła Charlie.

Postanowiłem nie czekać, lecz pojechać na posterunek, poznać wszystkie szczegóły. Gdzie, kiedy, jak. Ale wrócę tu z Finlayem. To moja wina, więc powinienem wrócić.

- Proszę tu zostać - rzekłem. - Będę musiał pożyczyć pani samochód, zgoda?

Pogrzebała w torbie i wyjęła wielki pęk kluczy. Wręczyła mi je. Na kluczyku samochodu wygrawerowano dużą literę B. Lekko skinęła głową, nie ruszając się z miejsca. Podeszedłem do bentleya, usiadłem za kierownicą wycofałem samochód i ruszyłem naprzód krętym podjazdem. W ciszy przemknąłem przez Beckman Drive i skręciłem w lewo na Main Street, kierując się stroną posterunku.

\* \* \*

Na policyjnym parkingu stały radiowozy i nieoznakowane samochody. Zostawiłem bentleya Charlie przy drodze i wszedłem do środka. Wszyscy miotali się w sali głównej. Dostrzegłem Bakera, Stevensona, Finlaya, Roscoe, obu policjantów z piątkowego wsparcia. Nie było Morrisona ani sierżanta zza biurka. Za długą ladą nie zauważyłem nikogo. Wszyscy sprawiali wrażenie oszołomionych i wstrząśniętych, przerażonych, zdenerwowanych. Nikt nie odezwał się do mnie, patrzyli tylko ponuro. Nie odwracali wzroku, raczej w ogóle mnie nie widzieli. W środku panowała absolutna cisza. W końcu podeszła do mnie Roscoe. Płakała, na twarzy pozostały ślady łez. Zbliżyła się, przytuliła twarz do mojej piersi, cała płonęła. Objęła mnie i przywarła mocno.

- To było straszne. - Więcej nie powiedziała ani słowa. Poprowadziłem ją do jej biurka i posadziłem. Uściśnąłem jej ramię i ruszyłem w stronę Finlaya. Siedział za biurkiem, oteściały. Skinieniem głowy wezwałem go do gabinetu na tyłach. Musiałem wiedzieć, i Finlay mi powie. Ruszył za mną, zajął miejsce przed biurkiem, to samo, gdzie w piątek siedziałem w kajdankach. Ja usiadłem w jego fotelu. Zamiana ról.

Jakiś czas obserwowałem go bez słowa. Sprawiał wrażenie głęboko wstrząśniętego. Ogarnął mnie chłód. Reakcja Finlaya świadczyła o tym, że Hubble'a pozostawiono w naprawdę strasznym stanie. Finlay miał za sobą dwadzieścia lat pracy w wielkim mieście. Widział wszystko, co tylko można zobaczyć. A jednak to nim wstrząsnęło. Ogarnęło mnie palące poczucie winy. „Jasne, Hubble - powiedziałem Jak dla mnie jesteś zupełnie bezpieczny”.

- Co się stało?

Z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Czemu cię to obchodzi? Kim on dla ciebie był?

Dobre pytanie i nie umiałem na nie odpowiedzieć. Finlay nie wiedział o Hubble'u tego, co ja. Nie powiedziałem mu, nie miał zatem pojęcia, dlaczego Hubble jest dla mnie taki ważny.

- Po prostu mi opowiedz.

- Paskudna sprawa - odparł i umilkł.



Coraz bardziej mnie niepokoił. Mojego brata postrzelono w głowę. Dwie rozległe rany wylotowe całkowicie rozerwały mu twarz, a potem ktoś zrobił sobie z jego zwłok worek treningowy, lecz Finlay przyjął to spokojnie. Drugiego faceta nadgryzły szczury, nie pozostała w nim nawet kropla krwi, ale Finlay to też zniósł mężnie. Owszem, Hubble był tutejszy, to nieco pogarszało sprawę, lecz w piątek Finlay nawet nie wiedział, kim jest, a teraz zachowywał się, jakby ujrzał ducha. Musiało zatem wydarzyć się coś naprawdę wyjątkowego.

A to oznaczało, iż w Margrave dzieje się coś wielkiego. Ponieważ nie ma sensu urządzać widowiskowych pokazów, jeśli nie służą jakiemuś celowi. Sama groźba też nieźle się przydaje, z pewnością zadziałała w przypadku Hubble'a - cały czas o niej pamiętał i dokładnie o to chodzi w przypadku gróźb. Lecz spełnienie podobnej groźby niesie inne przesłanie, ma inny cel. Nie chodzi tu tylko o jednego faceta, lecz o poparcie groźby faktami wobec następnego w kolejce. Widzisz, co zrobiliśmy z tamtym? Możemy to zrobić i z tobą. Załatwiając widowiskowo Hubble'a, ktoś ujawnił, że gra toczy się o wysoką stawkę, a na miejscu są jeszcze inni, następni w kolejce.

- Opowiedz mi, co się stało, Finlay - powtórzyłem. Nachylił się ku mnie, zasłonił dłońmi usta i nos i westchnął ciężko.

- W porządku - powiedział. - To było straszne, jedna z najgorszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem, a widziałem sporo, wierz mi. Widywałem już straszne zbrodnie, ale to, to po prostu inna skala. Był nagi. Przybili go do ściany sześcioma czy siedmioma wielkimi ciesielskimi hakami. Przygwoździli dłonie i ręce, mięśnie, stopy przybili mu do podłogi. Potem odcięli mu genitalia, odrąbali. Wszędzie było pełno krwi. Paskudna sprawa, mówię ci. A potem poderżnęli mu gardło, od ucha do ucha. To źli ludzie, Reacher, naprawdę źli ludzie. Najgorsi z możliwych.

Zdrętwiałem. Finlay czekał na jakąś uwagę, lecz ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Myślałem o Charlie. Spyta, czy dowiedziałem się czegokolwiek. Finlay powinien tam pojechać, w tej chwili przekazać jej wiadomość. To jego praca, nie moja. Wiedziałem, dlaczego się wahał. Trudno powtórzyć coś takiego, trudno pominąć tak potworne szczegóły, ale za to mu płacili. Pojadę z nim, bo to moja wina. Nie mogę od tego uciec.

- Tak - rzekłem w końcu - brzmi okropnie.

Odchylił głowę i rozejrzał się. Odetchnął głęboko, patrząc w sufit. Poważny, ponury człowiek.

- Ale to jeszcze nie najgorsze - powiedział. - Trzeba było widzieć, co zrobili z jego żoną.

- Z jego żoną? - powtórzyłem. O czym ty gadasz?

- O jego żonie - wyjaśnił. - Wyglądało jak w rzeźni. Przez chwilę zabrakło mi słów. Świat zawirował.

- Ale ja dopiero co ją widziałem - rzuciłem. - Dwadzieścia minut temu! Nic jej nie jest. Nic się jej nie stało.

- Kogo widziałeś? - spytał Finlay.

- Charlie.

- Kim, do diabła, jest Charlie?

- Charlie - powtórzyłem tępo. - Charlie Hubble, jego żona. Nic jej nie jest, nie dostali jej.

- A co ma do tego Hubble? Patrzyłem na niego bez słowa.

- O kim ty mówisz? - spytałem w końcu. - Kto zginął? Finlay popatrzył na mnie, jakbym nagle zwariował.

- Myślałem, że wiesz. Komendant Morrison, szef policji. Morrison i jego żona.

## 12

Uważnie obserwowałem Finlaya, próbując zdecydować, jak dalece mogę mu zaufać. To decyzja, od której mogło zależeć życie albo śmierć. W końcu uznałem, że pomoże mi odpowiedź na jedno proste pytanie.

- Czy teraz zrobisz cię komendantem? Pokręcił głową.

- Nie - odparł - nie zrobisz mnie komendantem.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

- Do kogo należy decyzja? - naciskałem.

- Do burmistrza - odrzekł Finlay. - Burmistrz mianuje komendanta policji. Już tu jedzie. Facet nazwiskiem Teale, ze starej rodziny z Georgii. Jeden z jego przodków był baronem kolejowym. Wszystko dookoła należało właśnie do niego.

- Czy to jego pomniki macie w mieście? Finlay przytaknął.

- Caspar Teale - wyjaśnił. - Był pierwszy. Po nim mieliśmy kolejnych Teale'ów.

Burmistrz to jego prawnuk czy coś w tym stylu.

Stąpałem po polu minowym, musiałem znaleźć jedną bezpieczną ścieżkę.

- O co chodzi z tym Teale'em? - zapytałem.

Finlay wzruszył ramionami, szukając prostego wyjaśnienia.

- To dupek z Południa - powiedział w końcu. - Stara rodzina z Georgii, prawdopodobnie długa linia południowych dupków. Od początku tu burmistrzują. Przypuszczam, że ten nie jest gorszy niż poprzedni.

- Zdenerwował się, kiedy zawiadomiłeś go o Morrisonie?

- Bardziej zmartwił - odparł Finlay. - Nie znosi zamieszania.

- Dlaczego nie mianuje cię komendantem? Jesteś tu przecież najwyższy rangą.

- Po prostu nie. Powody to nie moja sprawa. Obserwowałem go jeszcze przez chwilę. Życie albo śmierć.

- Możemy gdzieś porozmawiać? - spytałem. Spojrzał na mnie nad biurkiem.

- Sądziłeś, że to Hubble zginął, prawda? Dlaczego?

- Bo zginął. Fakt, iż Morrison także został zamordowany, niczego nie zmienia.

\* \* \*

Przeszliśmy razem do sklepiku i usiedliśmy obok siebie przy pustej ladzie obok okna - ja na wczorajszym miejscu bladej pani Kliner. Zdawało mi się, że od tamtych chwil upłynęły całe wieki. Świat się zmienił. Dostaliśmy wysokie kubki kawy i duży talerz pączków. Nie patrzyliśmy na siebie, obserwowaliśmy się w lustrze za kontuarem.

- Dlaczego cię nie awansują? - zapytałem.

Jego odbicie wzruszyło ramionami. Sprawiał wrażenie zdumionego, nie dostrzegając związku. Wkrótce jednak zobaczy.

- Powinienem dostać awans. Mam lepsze kwalifikacje niż wszyscy pozostali razem wzięci. Dwadzieścia lat przepracowałem w wielkim mieście, na prawdziwym posterunku. A oni? Do diabła, spójrz na Bakera! Uważa się za spryciarza. Ale jakie ma doświadczenie? Piętnaście lat na wsi, w tej dziurze. Co on w ogóle wie?

- Czemu zatem nie zostaniesz szefem?

- To sprawa osobista.

- Myślisz, że sprzedam ją gazetom?

- Długa historia - odparł.

- Opowiedz mi więc. Muszę wiedzieć. Popatrzył na mnie w lustrze. Odetchnął głęboko.

- W marcu skończyłem pracę w Bostonie - zaczął. - Odsłużyłem dwadzieścia lat, doskonały przebieg służby, osiem pochwał... Byłem świetnym detektywem, Reacher. Nie mogłem się już doczekać chwili, gdy przejdę na emeryturę. Ale moja żona dostawała szału, od jesieni niepokoila się coraz bardziej. Co za ironia. Przez dwadzieścia lat pozostaliśmy małżeństwem. Harowałem jak głupi. Policja w Bostonie to prawdziwy dom wariatów,

zasuwaliśmy siedem dni w tygodniu, dniami i nocami. Moim kolegom po kolei rozpadały się małżeństwa, wszyscy się rozwodzili, jeden po drugim.

Urwał, pociągnął długi łyk kawy, nadgryzł pączka.

- Ale nie ja - ciągnął. - Moja żona jakoś to znosiła. Nie skarżyła się ani razu, prawdziwy cud. Nigdy nie protestowała.

Znów umilkł. Pomyślałem o dwudziestu latach w Bostonie, ciągłej pracy w wielkim mieście, ponurych dziewiętnastowiecznych posterunkach, przeładowanych aresztach, stałych naciskach, nie kończącej się paradyzie dziwaków, przestępców, polityków, problemów. A Finlay przetrwał to wszystko.

- Zaczęło się zeszłej jesieni - powtórzył. - Od emerytury dzieliło mnie pół roku, a potem koniec. Zastanawialiśmy się nad kupnem domku na wsi, wakacjami. Mnóstwo czasu dla siebie. Ale ona zaczęła panikować. Nie chciała spędzać ze mną tyle czasu, nie chciała, żebym przechodził na emeryturę, nie chciała, żebym siedział w domu. Stwierdziła, iż nagle zrozumiała, że wcale mnie nie lubi, nie kocha, nie chce być ze mną. Kochała tamtych dwadzieścia lat, nie chciała nic zmieniać. Nie mogłem uwierzyć. To było moje marzenie. Dwadzieścia lat, w wieku czterdziestu pięciu lat emerytura, a potem kolejnych dwadzieścia lat wspólnych przyjemności, nim zupełnie się zestarzejemy. Łapiesz? Marzyłem o tym i przez dwadzieścia lat pracowałem, by to osiągnąć. Ale ona tego nie chciała. Oznajmiła, iż przeraża ją sama myśl o dwudziestu latach ze mną w domku w lesie. Nie przyjąłem tego dobrze. Rozeszliśmy się. Omal nie dostałem świra.

Znów zawiesił głos. Zamówiliśmy kolejne kawy. Smutna historia, jak każda opowieść o zrujnowanych marzeniach.

- No i rozwiedliśmy się - podjął. - Nie mieliśmy innego wyjścia, sama tego zażądała. To było straszne, nie mogłem się pozbierać. Potem w ciągu ostatniego miesiąca służby zacząłem czytać związkowe listy wolnych miejsc. Znalazłem informację o posadzie tutaj. Zadzwoiłem do starego kumpla w FBI w Atlancie i popytałem. Zniechęcał mnie, mówił, żebym o tym zapomniał, że to śmieszny posterunek w miasteczku, którego nawet nie ma na mapie. Niby stanowisko szefa detektywów, lecz w istocie pracuje tu tylko jeden detektyw. Poprzedni był dziwakiem, który się powiesił. Posterunkiem kieruje tłusty kretyń, a miastem stary facet z Georgii, który nie pamięta, że już dawno zniesiono niewolnictwo. Przyjaciel w Atlancie radził mi, bym o tym zapomniał, ale byłem w takim stanie, że chciałem tej pracy. No wiesz, uznałem, że zagrzebię się tu, że to taka kara, i rodzaj pokuty, chwytasz? Poza tym potrzebowałem pieniędzy. Proponowali najwyższą stawkę, a mnie czekały alimenty, opłaty adwokackie. Zgłosiłem się zatem i przyjechałem tutaj. Spotkałem się z burmistrzem Teale'em

i Morrisonem. Byłem wtedy roztrzęsiony, Reacher, kompletny wrak człowieka. Nie potrafiłem powiedzieć dwóch sensownych zdań. Przypuszczam, że nie było w dziejach gorszego kandydata. Sprawiałem wrażenie kompletnego idioty. Ale dali mi tę pracę. Pewnie potrzebowali czarnego, by poprawić swój wizerunek. Jestem pierwszym czarnym gliniarzem w historii Margrave.

Odwróciłem się na stołku i spojrzałem wprost na niego.

- Uważasz zatem, że jesteś tu tylko figurantem i dlatego Teale nie mianuje cię szefem?

- To przecież jasne. Uważa mnie za figuranta i kretyna. Nie mogę wyżej awansować.

W sumie to ma sens. Wciąż się dziwię, że w ogóle mnie zaangażowali.

Gestem poprosiłem o rachunek. Spodobała mi się historia Finlaya. Nie zostanie komendantem, więc mogę mu zaufać. Ufałem też Roscoe. Nasza trójka przeciw innym. Pokręciłem głową w lustrze.

- Mylisz się - powiedziałem. - To nie jest prawdziwy powód.

Nie zostaniesz komendantem, bo nie jesteś przestępcą.

\* \* \*

Zapłaciłem rachunek dziesiątką i dostałem resztę w ćwierćdolarówkach. Sprzedawca wciąż nie miał banknotów dolarowych. Potem powiedziałem Finlayowi, że muszę obejrzeć dom Morrisona, że potrzebuję wszystkich szczegółów. Wzruszył ramionami i wyprowadził mnie na dwór. Skręciliśmy i ruszyliśmy na południe, mijając plac i zostawiając za sobą miasto.

- Pierwszy dotarłem na miejsce - powiedział. - Około dziesiątej dziś rano. Od piątku nie widziałem Morrisona, chciałem poinformować go o wszystkim, ale nie mogłem się dodzwonić. Był poniedziałek rano, w czwartek doszło do podwójnego zabójstwa, a my nie posunęliśmy się nawet o krok. Musieliśmy naprawdę wziąć się do roboty. Pojechałem zatem do niego, by zacząć go szukać.

Umilkł, maszerując w milczeniu. W pamięci ponownie znalazł się na miejscu zbrodni.

- Drzwi frontowe były uchylone - ciągnął - może na centymetr. Nie wyglądało to dobrze. Wszedłem do środka i znalazłem ich na górze, w głównej sypialni. W środku wyglądało jak w rzeźni, wszędzie wokół krew. On wisiał przybity do ściany. Obojgu poderżnięto gardła, jemu i żonie. Coś potwornego. Dwudziestoczworogodzinny rozkład. To ta pogoda, upał. Bardzo nieprzyjemne. Wezwałem wszystkich i zaczęliśmy zbierać ich do kupy. Niestety, dosłownie.

Znów urwał. Umilkł.

- Zatem zabito ich w niedzielę rano? Przytaknął.

- Na stole kuchennym leżała niedzielna gazeta. Kilka stron przewrócono, reszta pozostała nietknięta. Obok naczyń po śniadaniu. Lekarz twierdzi, że zginęli około dziesiątej rano.

- Zostały jakieś ślady? - spytałem. Ponownie przytaknął z ponurą miną.

- Krwawe odciski stóp. Tam było pełno krwi, całe litry. Oczywiście, częściowo już wyschła. Sprawcy pozostawili mnóstwo śladów, ale na nogach mieli gumowe kalosze, no wiesz, takie, jakie na północy wkłada się zimą na buty. Nie da się ich wyśledzić. Co rok sprzedają takich miliony.

Przyjechali przygotowani, wiedzieli, że pozostawią mnóstwo krwi. Zabrali ze sobą kalosze, pewnie także kombinezony - nylonowe stroje noszone w rzeźniach, w ubojni. Wielkie, białe nylonowe kombinezony z kapturami. Białe nylon pokrywały rozbryzgi i plamy jaskrawoczerwonej krwi.

- Mieli też rękawiczki - dodał. - Na ścianach znaleźliśmy ślady krwi i gumy.

- Ilu ich było? - Próbowałem to sobie wyobrazić.

- Czterech. Ślady stóp nie są wyraźne, ale mam wrażenie, że zostawiły je cztery osoby.

Przytaknąłem. Cztery, owszem, to logiczne, niezbędne minimum. Morrison i jego żona z pewnością walczyli o życie. By ich obezwładnić, potrzeba co najmniej czterech osób. Czterech z dziesięciu, o których wspomniał Hubble.

- Transport? - spytałem.

- Nie wiadomo. Żwirowy podjazd był w paru miejscach zryty kołami. Dostrzegłem kilka świeżych śladów, mogły wyłobić je szerokie opony. Samochód z napędem na cztery koła albo mała ciężarówka.

Znajdowaliśmy się kilkaset metrów na południe od końca Main Street. Skręciliśmy na zachód podjazdem równoległym do Beckman Drive. Na jego końcu stał dom Morrisonów - duża, elegancka rezydencja, białe kolumny na przedzie, starannie przystrzyżone wiecznie zielone drzewa. Przy drzwiach parkował nowy lincoln. Między kolumnami rozpięto mnóstwo taśmy policyjnej.

- Wchodzimy? - spytał Finlay.

- Nie widzę przeciwwskazań - odparłem.

\* \* \*

Zanurkowaliśmy pod taśmą i pchnęliśmy drzwi frontowe. Wewnątrz panował chaos. Wszędzie wokół ślady szarego, metalicznego proszku do zdejmowania odcisków palców. Wszystko poruszone, przeszukane, sfotografowane.

- Nic nie znajdziesz - oznajmił Finlay. - Sprawdziliśmy cały dom.

Przytaknąłem i skierowałem się ku schodom. Na górze odkryłem sypialnię. Zatrzymałem się w progu, zaglądając do środka. Nic poza śladami gwoździ w ścianie i rozległymi plamami krwi. Już czerniała. Wyglądało to tak, jakby ktoś zachlapał cały pokój wiadrami smoły. Dywan pokrywały zaschnięte ciemne plamy. Na parkiecie w wejściu dostrzegłem odciski kaloszy. Wyraźnie widziałem skomplikowany wzór na podeszwach. Wróciłem na dół i zastałem Finlaya opartego o jedną z kolumn.

- W porządku?

- Świetnie - odparłem. - Przeszukaliście samochód? Potrząsnął głową.

- Należy do Morrisona - rzekł. - Szukaliśmy tylko śladów, które mogli pozostawić intruzi.

Podszedłem do lincolna, sprawdziłem drzwi - otwarte. Wewnątrz unosił się silny zapach nowego samochodu i niewiele więcej. Wóz komendanta policji nie będzie przecież pełny papierków po cheeseburgerach i puszek po coli, jak zwykły radiowóz. Mimo wszystko jednak sprawdziłem, pogrzebałem w kieszeniach na drzwiach i pod siedzeniami. Nic. Potem otworzyłem schowek na rękawiczki i coś znalazłem. W środku leżał nóż sprężynowy, piękna sztuka. Hebanowa rękojeść ze złotymi literami układającymi się w nazwisko Morrison. Otworzyłem ostrze. Podwójne, osiemnastocalowe, japońska stal chirurgiczna. Wyglądało nieźle. Nowusieńkie, nigdy nie używane. Zamknąłem nóż i wsunąłem go do kieszeni. Nie miałem broni, a sprawa wyglądała poważnie. Nóż Morrisona może mi się przydać. Wysiadłem z lincolna i dołączyłem do czekającego Finlaya.

- Znalazłeś coś? - spytał.

- Nie - odparłem. - Chodźmy.

Z chrzęstem żwiru pomaszzerowaliśmy z powrotem i skręciliśmy na północ, zmierzając w stronę miasta. Widziałem czekającą w oddali kościelną wieżę i pomnik z brązu.

## 13

**M**uszę o coś spytać - powiedziałem. Finlay zaczynał tracić cierpliwość. Zerknął na zegarek.

- Lepiej nie marnuj mojego czasu, Reacher - rzucił. Szliśmy na północ. Słońce zniżało się powoli, lecz upał nie zelżał. Nie wiedziałem, jak Finlay wytrzyma w tweedowej marynarce i zamszowej kamizelce. Poprowadziłem go na plac. Przecieliśmy trawnik i oparliśmy się o pomnik starego Caspara Teale'a.

- Obcięli mu jaja, zgadza się? - spytałem. Przytaknął i spojrzał na mnie. Czekał.

- Dobra - rzuciłem. - Pytanie brzmi: znaleźli je? Pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Przeczesałiśmy wszystko, my i lekarz. Nie było ich tam. Jego jądra zniknęły.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Powoli odzyskiwał gliniarskie poczucie humoru.

- Dobra, to właśnie chciałem wiedzieć. Jego uśmiech rozszerzył się, sięgnął oczu.

- Dlaczego? - spytał. - Wiesz, gdzie są?

- Kiedy zostanie przeprowadzona sekcja? Nadal się uśmiechał.

- Jego sekcja w niczym nie pomoże. Obcięto je, nie są już połączone z ciałem. Nie było ich, zniknęły. Więc jak mogą je znaleźć podczas sekcji?

- Nie jego sekcji - poprawiłem - tylko jej. Jego żony. Kiedy sprawdzą, co zjadła.

Uśmiech Finlaya zniknął jak zdmuchnięty. Spojrzał na mnie uważnie.

- Mów dalej, Reacher.

- W porządku - rzekłem. - Przecież po to tu przyszliśmy, pamiętasz? Odpowiedz mi zatem jeszcze na jedno pytanie. Do ilu zabójstw doszło dotąd w Margrave?

Zastanowił się chwilę, wzruszył ramionami.

- Do żadnego. Przynajmniej nie przez ostatnich trzydzieści lat. Nie od czasów rejestracji wyborców.

- A teraz w ciągu czterech dni macie cztery, a wkrótce znajdziecie piątą ofiarę.

- Piątą? Czyli kogo?

- Ffubble'a - wyjaśniłem. - Mój brat, ten gość Sherman Stoller, dwoje Morrisonów i Hubble. Pięć osób. W ciągu trzydziestu lat żadnego zabójstwa, a teraz pięć po kolei. Nie sądzisz chyba, że to zbieg okoliczności.

- Nie ma mowy - przyznał. - Oczywiście, że nie. Są ze sobą połączone.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Teraz podam ci kolejne skojarzenia, ale najpierw musisz coś zrozumieć. Tylko tędy przejeżdżałem. W piątek, sobotę i niedzielę, aż do chwili gdy dostaliście odciski mojego brata, na nic nie zwracałem uwagi. Chciałem tylko odczekać swoje i wydostać się stąd jak najszybciej.

- No i...

- No i opowiadano mi różne rzeczy. Hubble powiedział co nieco w Warburton, ale nie zwracałem na to uwagi, nie interesował mnie, chwytasz? Coś mówił, a ja nie naciskałem. I pewnie części sobie nie przypomnę.

- Na przykład czego? - zapytał Finlay.

Opowiedziałem mu zatem wszystko, o czym pamiętałem. Zacząłem tak jak Hubble - uwięziony w potrzasku, zmuszony do uczestnictwa w aferze przestępczej, zastraszony



groźbami pod adresem swoim i żony. Dokładnie takimi groźbami, jakie Finlay ujrzał dziś rano wcielone w życie.

- Jesteś pewien? - spytał. - Były dokładnie takie?

- Słowo w słowo - rzekłem - identyczne. Przybity do ściany, obcięte jaja, żona zmuszona do zjedzenia, a potem poderżnięte gardła. Identyczne, Finlay. Jeśli zatem nie mamy tu dwóch ludzi wypowiadających identyczne groźby, masz kolejny element łączący.

- Zatem Morrison uczestniczył w tej samej aferze co Hubble?

- Był własnością tych samych ludzi - potwierdziłem. Potem poinformowałem go, że Hubble rozmawiał ze śledczym, a śledczy z Shermanem Stollerem, kimkolwiek był.

- Co to za śledczy? - zapytał Finlay. - I gdzie w tym wszystkim miejsce Joego?

- To Joe był śledczym - wyjaśniłem. - Hubble opisał go jako wysokiego faceta z ogoloną głową. Mój brat próbował go z tego wyciągnąć.

- Jakie śledztwa prowadził? Dla kogo, do diabła, pracował?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Z tego, co wiem, ostatnio dla Departamentu Skarbu.

Finlay odepchnął się od pomnika i ruszył na północ.

- Muszę wykonać parę telefonów. Czas wziąć się do pracy.

- Idź wolno - poprosiłem. - Jeszcze nie skończyłem.

\* \* \*

Finlay szedł chodnikiem, ja drogą, omijając nisko zwisające markizy kolejnych sklepów. Nie musiałem przejmować się samochodami. Poniedziałek, druga po południu, a miasto wydawało się wymarłe.

- Skąd wiesz, że Hubble nie żyje? - zagadnął Finlay. Powiedziałem mu skąd. Zastanowił się chwilę i zgodził ze mną.

- Ponieważ rozmawiał ze śledczym?

Pokręciłem głową. Zatrzymałem się przed zakładem fryzjerskim.

- Nie, nie wiedzieli o tym. Gdyby wiedzieli, załatwiliby go znacznie wcześniej. Najpóźniej w czwartek. Uważam, że postanowili go sprzątnąć w piątek około piątej, bo powiązali go z numerem telefonu w bucie Joego i uznali, że nie można dopuścić, by zaczął rozmawiać z glinami albo strażnikami w więzieniu. Zaaranżowali więc wszystko ze Spiveyem, lecz jego chłopcy zawalili sprawę. Toteż tamci znów spróbowali. Żona mówiła, że dzwoniło do niego. Polecono, by został dziś w domu. Szykowali się do drugiego zamachu. Wygląda na to, że skutecznego. Finlay przytaknął wolno.

- Cholera - rzucił. - Był jedynym ogniwem łączącym nas ze sprawą. Trzeba było go przycisnąć, kiedy miałeś okazję, Reacher.

- Dzięki, Finlay - odparłem. - Gdybym wiedział, że nieboszczyk to Joe, przycisnąłbym go tak mocno, że aż tu usłyszelibyście jego wrzaski.

Mruknął coś w odpowiedzi. Usiedliśmy razem na ławce pod wystawą fryzjera.

- Spytałem go, co oznacza *Pluribus*. Nie odpowiedział. Twierdził, że w aferę zaplątanych jest dziesięć miejscowych osób plus, w razie konieczności, wynajęci pomocnicy. Mówił też, że są zagrożeni aż do niedzieli. Wtedy coś się wydarzy. Tymczasem muszą uważać.

- Co się stanie w niedzielę? - spytał Finlay. - Nie mówił.

- A ty nie pytałeś?

- Nie interesowało mnie to. Już mówiłem.

- Nie czynił jakichś aluzji? Nie wiesz, czego może dotyczyć cała afera?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedział, co to za ludzie, ta dziesiątka?

- Nie - odparłem.

- Chryste, Reacher, bardzo mi pomagasz, wiesz?

- Przykro mi, Finlay. Myślałem, że Hubble to zwykły palant. Gdybym mógł tam wrócić i zacząć wszystko od nowa, postąpiłbym inaczej, wierz mi.

- Dziesięć osób - mruknął pod nosem.

- Nie licząc jego - poprawiłem. - Nie licząc też Shermana Stollera. Zakładam jednak, że wliczał w to komendanta Morrisona.

- Świetnie. - Finlay westchnął. - Czyli muszę znaleźć jeszcze dziewięciu.

- Jednego znajdziesz już dziś - mruknałem.

\* \* \*

Czarna półciężarówka, którą widziałem ostatnio odjeżdżającą z parkingu pod barem Ena, zatrzymała się przy przeciwległym krawężniku i czekała z włączonym silnikiem. Syn Klinera oparł głowę na przedramieniu i patrzył na mnie przez okienko. Finlay go nie widział, wbijał wzrok w chodnik.

- Powinieneś myśleć o Morrisonie - oznajmiłem.

- Dlaczego o nim? - spytał. - Przecież nie żyje.

- Ale jak zginął? Co ci to mówi? Wzruszył ramionami.

- Ktoś ukarał go dla przykładu. To wiadomość dla innych?

- Zgadza się, Finlay - powiedziałem. - Ale co zrobił nie tak?

- Pewnie coś spieprzył.

- Zgadza się, Finlay - powtórzyłem. - Miał zatuszować to, co wydarzyło się w magazynie w czwartkową noc. To było jego zadanie. Wiesz, że był tam o północy.

- Naprawdę? - spytał Finlay. - Twierdziłeś, że to bzdura.

- Nie - nie zgodziłem się. - Nie widział mnie. To była bzdura. Ale on tam był. Widział Joego.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Kiedy w piątek zobaczył mnie po raz pierwszy w gabinecie, patrzył na mnie, jakby już gdzieś mnie spotkał, ale nie potrafił przypomnieć sobie gdzie. To dlatego że widział Joego. Dostrzegł podobieństwo. Hubble wspominał o tym samym. Mówił, że przypominam mu jego śledczego.

- Zatem Morrison tam był? To on strzelał?

- Nie przypuszczam, Joe był inteligentnym gościem. Nie pozwoliliby, by taki gruby idiota go zastrzelił. Strzelcem musiał być ktoś inny. Nie uważam też Morrisona za szaleńca - taki wysiłek fizyczny by go załatwił, atak serca. Sądzę, że znaleźliśmy trzeciego faceta, sprzątacza. Ale nie przeszukał butów Joego i dlatego przymknęliście Hubble'a, a to kogoś rozwścieczyło. Oznaczało, że muszą załatwić Hubble'a. Zatem ukarali też Morrisona.

- Niezła kara - mruknął Finlay.

- I wiadomość - dodałem. - Pomyśl o tym.

- O czym? - rzekł. - Nie była przeznaczona dla mnie.

- Zatem dla kogo?

- Dla kogo? Pewnie dla jego następcy. Przytaknąłem.

- Rozumiesz już, czemu niepokoiłem się, kto zostanie następnym komendantem?

Finlay znów spuścił głowę, patrząc w ziemię.

- Chryste - westchnął - myślisz, że następny komendant będzie w to zamieszany.

- Musi być. Po co wciągali w to Morrisona? Przecież nie z powodu jego cudownego charakteru. Wciągnęli go, bo potrzebowali komendanta policji, bo coś dla nich robił. Nie załatwiliby go, gdyby nie mieli pod ręką następcy. A ktokolwiek to jest, to bardzo niebezpieczny facet. Wkracza do gry, mając w pamięci świeży przykład Morrisona. Wystarczy, by ktoś szepnął mu: „Pamiętasz, co zrobiliśmy z Morrisonem? Tak samo załatwimy ciebie, jeśli cokolwiek schrzanisz”.

- Więc kto to jest? - spytał Finlay. - Kto zostanie następnym komendantem?

- To ja cię pytam.

\* \* \*

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu na ławce przed zakładem fryzjerskim, wygrzewając się w słońcu, którego promienie padały na nas ukosem spoza krawędzi markizy.

- Ty, ja i Roscoe - powiedziałem. - W tej chwili musimy zakładać, że wszyscy inni są w to zamieszani.

- Dlaczego Roscoe? - spytał.

- Z wielu powodów, głównie jednak dlatego że ciężko pracowała, by wyciągnąć mnie z Warburton. Morrison chciał, żebym tam pozostał, zamierzał zwalić na mnie czwartkowe zabójstwa. Gdyby zatem Roscoe w tym uczestniczyła, zostawiłaby mnie tam. Ale ona mnie wyciągnęła. Grała w drugiej drużynie. Skoro Morrison w tym uczestniczył, ona nie.

- Tylko nas troje? - mruknął. - Ostrożny jesteś, Reacher.

- Lepiej w to nie wątp, Finlay - odparłem. - Tu giną ludzie. Jednym z nich był mój brat.

Wstaliśmy z ławki. Po drugiej stronie młody Kliner wyłączył silnik i wysiadł z półciężarówki. Powoli ruszył przez ulicę. Finlay przetarł twarz dłońmi, jakby mył się bez wody.

- Co teraz? - spytał.

- Masz do zrobienia kilka rzeczy. Musisz odciągnąć na bok Roscoe i powtórzyć jej wszystko. Powiedz, by bardzo uważała. Potem musisz zadzwonić do Waszyngtonu, dowiedzieć się, co Joe tu robił.

- Okay - przytaknął Finlay. - A ty? Skinieniem głowy wskazałem Klinera.

- Zamierzam z nim porozmawiać. Wciąż na mnie patrzy. Młody Kliner się zbliżył. W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze Finlay odszedł szybkim krokiem, odmaszerował na północ bez słowa. Po drugie, za plecami usłyszałem szcęk spuszczonej żaluzji. Obejrzałem się. Równie dobrze na całej ziemi mogło nie być nikogo poza mną i młodym Klinerem.

Z bliska wyglądał nader interesująco. Nie należał do ułomków: jakiś metr osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt pięć kilo, kipiący niespokojną energią. W jego oczach dostrzegłem sporą inteligencję, ale oprócz niej płonęło w nich dziwne światelko. Świadczyło o tym, że nie mam do czynienia z najrozsądniejszym człowiekiem pod słońcem. Podszedł bliżej i stanął przede mną, patrząc gniewnie.

- Wszedłeś na nie swój teren - oznajmił.

- To twój chodnik? - spytałem.

- Jasne, że tak - odparł. - Fundacja mojego taty zapłaciła za każdy skrawek, każdą kostkę. Ale nie mówię o chodniku, tylko o pannie Roscoe. Jest moja, moja od chwili gdy ją ujrzałem. Czeka na mnie. Już pięć lat czeka na właściwy moment.

Popatrzyłem na niego spokojnie.

- Rozumiesz angielski? - spytałem.

Dzieciak napiął się, niemal przestępował z nogi na nogę.

- Jestem rozsądnym facetem - stwierdziłem. - Gdy tylko panna Roscoe powie mi, że woli ciebie ode mnie, znikam stąd. Do tej pory lepiej się wycofaj. Zrozumiałeś?

Aż kipiał ze złości, potem jednak zmienił się, zupełnie jakby sterowano nim pilotem i ktoś właśnie nacisnął przycisk, przerzucając kanał. Odprężył się, wzruszył ramionami i uśmiechnął rozbijając.

- Jasne - rzucił. - Nie ma problemu, co?

Wyciągnął rękę i omal mnie nie nabrał. W ostatnim ułamku sekundy odrobine cofnąłem dłoń i zacisnąłem ją wokół jego kostek. To stara wojskowa sztuczka - próbują uścisnąć ci rękę, ale tak naprawdę chcą ją zmiażdżyć. Taki męski rytuał. Wystarczy być przygotowanym, cofnąć się lekko i nacisnąć, a wówczas ściska się kostki i palce, nie mięsistą część dłoni. Ich uchwyt zostaje zneutralizowany. Jeśli odpowiednio się złapie, nie można przegrać.

Zaczął naciskać, ale nie miał szans. Zamierzał coraz mocniej zgniatać mi dłoń i patrzeć w oczy, kiedy będę próbował się uwolnić, ale nic z tego. Nacisnąłem mu kostki raz, później drugi raz nieco mocniej, a potem wypuściłem jego rękę i odwróciłem się. Zdażyłem oddalić się o dobrych pięćdziesiąt metrów, gdy usłyszałem warkot silnika. Czarna półciężarówka z hukiem odjechała na południe. Po chwili na ulicy znów zapadła cisza.

## 14

Gdy wróciłem na posterunek, ujrzałem zaparkowanego tuż przed wejściem wielkiego białego cadillaca. Nowiutki wóz, pełny szpan, mnóstwo miękkiej, czarnej skóry i sztucznego drewna. Po surowych okleinach z drewna orzechowego i starej skórze bentleya Charlie Hubble przypominało to burdel w Vegas. Żeby obejść maskę i dotrzeć do drzwi, musiałem nadłożyć aż pięć kroków.

W klimatyzowanym budynku panował przyjemny chłód. Wszyscy krzątali się wokół wysokiego, starszego faceta o srebrnosiwych włosach, odzianego w staroświecki garnitur. Cienki jak sznurowadło krawat spinała srebrna zapinka. Gość wyglądał na stuprocentowego dupka. Pewnie jakiś polityk. Jeździ cadillakiem. Na oko, miał jakieś siedemdziesiąt pięć lat.

Kuśtykał tu i tam, podpierając się grubą laską zakończoną wielką srebrną gałką. Pomyślałem, że to pewnie burmistrz Teale.

Roscoe wynurzyła się właśnie z największego pomieszczenia na tyłach. Po wizycie u Morrisonów była wstrząśnięta. Teraz też nie wyglądała najlepiej, ale pomachała do mnie i spróbowała się uśmiechnąć. Wezwała mnie gestem wskazując, bym poszedł z nią. Zerknąłem pospiesznie na burmistrza Teale'a i ruszyłem w jej stronę.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Bywało lepiej.

- Wiesz, co jest grane? Gadałaś z Finlayem? Przytaknęła.

- Powiedział mi o wszystkim.

Ukryliśmy się w wielkim biurze wykładanym różaną boazerią. Finlay siedział za biurkiem pod starym zegarem, wskazującym kwadrans po czwartej. Roscoe zamknęła drzwi, a ja powiodłem wzrokiem od jednego do drugiego.

- No i...? Kto to będzie? Kto jest nowym komendantem?

Finlay spojrzał na mnie ze swego miejsca. Pokręcił głową.

- Nikt - odparł. - Burmistrz Teale zamierza osobiście kierować posterunkiem.

Wróciłem do drzwi i uchylilem je odrobinę, wyglądając przez szparę. Ujrzałem Teale'a - przyspilił właśnie Bakera do ściany. Wyglądało na to, że za coś go ochrzanią. Obserwowałem go przez chwilę.

- Co o tym sądzicie? - spytałem w końcu.

- Wszyscy inni są czyści - oznajmiła Roscoe.

- Na to wygląda. Oznacza to jednak, że sam Teale jest w to zamieszany. Teale dostał tę pracę, więc Teale to ich człowiek.

- Skąd wiemy, że jest jedynie ich człowiekiem? - spytała. - Może to sam wielki szef? Może on wszystkim kieruje?

- Nie - zaprzeczyłem. - Wielki szef kazał zarżnąć Morrisona. To była wiadomość. Gdyby Teale był szefem, czemu miałby posyłać sam sobie ostrzeżenie? On do kogoś należy. Wsadzili go tutaj, żeby przeszkadzał.

- To na pewno - przytaknął Finlay. - Już zaczął. Kazał nam odłożyć sprawę Joego i Stollera. Koncentrujemy się wyłącznie na Morrisonach. I robimy to sami, bez pomocy z zewnątrz. Bez FBI, nikogo. Twierdzi, że chodzi o honor naszego posterunku. A jednocześnie już skierował nas w ślepy zaułek. Upiera się, iż niewątpliwie Morrison został zabity przez kogoś, kto dopiero co wyszedł z więzienia, kogoś, kogo sam komendant wsadził dawno temu. To miała być zemsta.

- Ślepy zaułek bez dwóch zdań - wtrąciła Roscoe. - Będziemy musieli przekopać się przez stare akta z ostatnich dwudziestu lat. Sprawdzić każde nazwisko. Informacje o zwolnieniach warunkowych z całego kraju. To może zabrać kilka miesięcy. Teale ściągnął też do tego Stevenson. Aż do zamknięcia sprawy Stevenson został uziemiony. Ja także.

- Jest jeszcze gorzej - uzupełnił Finlay. - To ostrzeżenie. Nikt, kogo mamy w aktach, nie byłby zdolny do takiej zemsty. Nie mieliśmy tu takich przestępstw, i doskonale o tym wiemy. A Teale wie, że my wiemy. Nie możemy jednak sprawdzić jego blefu.

- A nie moglibyście po prostu go zignorować? - spytałem. - Zająć się tym, co trzeba?

Finlay wyciągnął się na krześle. Westchnął, patrząc w sufit, i pokręcił głową.

- Nie. Pracujemy tuż pod nosem przeciwnika. W tej chwili Teale nie ma powodów przypuszczać, że cokolwiek wiemy, i trzeba, by tak pozostało. Musimy odgrywać głupców i nie wzbudzać podejrzeń. Zgadza się? To nam utrudni życie, ale i tak największym problemem jest autoryzacja. Gdybym chciał wystawić nakaz aresztowania albo rewizji, będę potrzebował jego podpisu. I nie dostanę go, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Ja nie potrzebuję nakazów - oznajmiłem. - Dzwoniłeś do Waszyngtonu?

- Odezwał się. Mam tylko nadzieję, że Teale nie odbierze telefonu.

Przytaknąłem.

- Potrzebujecie dodatkowej bazy - stwierdziłem. - A co z tym twoim kumplem z FBI w Atlancie, tym, o którym mi opowiadałeś? Nie mógłbyś skorzystać z jego biura, zupełnie prywatnie?

Finlay zastanawiał się przez chwilę. Skinął głową.

- Niezły pomysł. Będę to musiał załatwić, po cichu. Nie mogę przecież wymagać, by Teale złożył oficjalną prośbę. Zadzwonię dziś wieczór z domu. Mój kumpel nazywa się Picard. Polubicie się. Pochodzi z Nowego Orleanu. Wiele lat temu pracował w Bostonie. Świetny facet: wielki, bardzo bystry, bardzo twardy.

- Podkreśl, że musimy załatwić to dyskretnie - przypomniałem. - Nie chcemy, by jego agenci zjawili się tu zbyt wcześnie.

- Co zrobisz z Teale'em? - spytała Roscoe. - Pracuje przecież dla ludzi, którzy zabili twojego brata.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Zależy od tego, jak bardzo jest w to wplątany. To nie on strzelał.

- Nie? - powtórzyła Roscoe. - Skąd wiesz?

- Nie jest dość szybki - wyjaśniłem. - Kuśtyka, podpierając się laską. Za wolny, by wyciągnąć broń, a na pewno, by dopaść Joego. Nie on kopał. Za stary. Brak mu siły. Nie on spieprzył sprawę. To był Morrison. Jeśli jednak wejdzie mi w drogę, ma przerabane. W przeciwnym razie, do diabła z nim.

- I co teraz? - spytała.

Wzruszyłem ramionami. Nie odpowiedziałem.

- Myślę, że musimy skupić się na niedzieli - oznajmił Finlay - W niedzielę jakiś ich problem sam się rozwiąże. Obecność Teale tutaj wydaje się zdecydowanie tymczasowa. On ma siedemdziesiąt pięć lat i żadnego doświadczenia policyjnego. To chwilowe rozwiązanie, pozwalające im dotrzeć cało do niedzieli.

Pager na biurku rozdzwonił się nagle. W intercomie rozległ się głos Stevensona, wzywający Roscoe. Otworzyłem przed nią drzwi, ona jednak się zatrzymała. Właśnie coś przyszło jej do głowy.

- A Spivey? - spytała. - Rozkazano mu zorganizować napaść na Hubble'a, zgadza się? Musi zatem wiedzieć, kto wydał ten rozkaz. Powinieneś go spytać. Może to do czegoś doprowadzi.

- Może - odparłem. Zamknąłem za nią drzwi.

- Strata czasu - mruknął Finlay. - Myślisz, że Spivey po prostu powie ci coś takiego?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Jeśli coś wie, powie. Problem w tym, jak sformułować pytanie, prawda?

- Uważaj na siebie, Reacher - poprosił. - Jeśli zorientują się, że docierasz do tego, co wiedział Hubble, załatwią cię tak, jak wcześniej jego.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem Charlie i jej dzieci. Wzdrygnąłem się. Tamci z pewnością uznaliby, że Charlie może wiedzieć to, co Hubble. To nieuniknione. Może nawet podejrzewają też dzieci. Ostrożny człowiek założyłby, że dzieci mogły coś podsłuchać. Była czwarta. Dzieci wkrótce wyjdą ze szkoły, a na zewnątrz czaili się ludzie obładowani gumowymi półkaloszami, nylonowymi kombinezonami i rękawiczkami chirurgicznymi. Trzymający w rękach ostre noże. Worek gwoździ. Młotek.

- Finlay, od razu zadzwoń do swojego kumpla, Picarda - powiedziałem. - Potrzebujemy jego pomocy. Musimy umieścić Charlie Hubble w bezpiecznej kryjówce. I jej dzieci też. W tej chwili.

Finlay przytaknął z powagą. Widział, co spotkało Morrisonów. Zrozumiał.

- Jasne. Zabieraj tyłek na Beckman Drive i zostań tam. Ja załatwię z Picardem. Nie odjeżdżaj, póki się nie zjawi, dobra?



Podniósł słuchawkę. Z pamięci wybrał numer w Atlancie.

\* \* \*

Roscoe znów tkwiła za biurkiem. Burmistrz Teale wręczał jej właśnie gruby plik teczek z aktami. Podszedłem i przysunąłem sobie wolne krzesło. Usiadłem obok niej.

- O której kończysz?

- Pewnie koło szóstej.

- Zabierz ze sobą kajdanki - rzuciłem.

- Wariat z ciebie, Jacku Reacherze.

Teale nie spuszczał z nas oka, toteż wstałem i pocałowałem jej włosy. Wyszedłem na dwór i ruszyłem w stronę Bentleya. Słońce chyliło się ku zachodowi, upał zelżał. Cienie wydłużały się wyraźnie. W powietrzu czuło się pierwsze tchnienie jesieni. Za plecami usłyszałem krzyk - to był Teale. Wyszedł za mną i wołał, bym zawrócił. Zostałem na miejscu, czekałem, żeby podszedł do mnie. Podkuśtykał, stukając laską. Wyciągnął rękę i przedstawił się z uśmiechem: Grover Teale. Jak każdy polityk potrafił przygwoździć człowieka spojrzeniem i uśmiechem, oślepić niczym błyskiem reflektora, zupełnie jakby umierał z zachwyty, że może zamienić ze mną kilka słów.

- Cieszę się, że udało mi się pana dogonić - rzekł. - Sierżant Baker podał mi najświeższe fakty dotyczące zabójstw w magazynie. Wszystko wydaje się zupełnie jasne. Popelniliśmy okropny błąd, zatrzymując pana. Jest nam niezmiernie przykro z powodu pańskiego brata. Oczywiście, zostanie pan powiadomiony, gdy tylko dojdziemy do jakichś wniosków. Zanim zatem ruszy pan w drogę, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan łaskawie przyjąć przeprosiny w imieniu całego posterunku. Nie chciałbym, by pozostało panu po nas przykre wspomnienie. Możemy to nazwać zwykłą pomyłką?

- W porządku, Teale - odparłem. - Ale czemu pan zakłada, że wyjeżdżam?

Odpowiedział gładko, bez cienia wahania.

- Z tego, co słyszałem, jest pan tu przejazdem. W Margrave nie mamy hotelu. Trudno byłoby panu zostać w miasteczku.

- Ale zostaję - oznajmiłem. - Niezwykle szczerze zaproponowano mi gościnę. Zdaje się, że z tego słynie Południe, czyż nie? Z gościnności.

Uśmiechnął się do mnie promiennie i zmiął w palcach haftowaną klapę marynarki.

- Och tak, bez wątpienia. Południe w ogólności, a Georgia w szczególności słyną z tego, że witają przybyszów z otwartymi ramionami. Jednakże, jak panu dobrze wiadomo, w tej chwili znaleźliśmy się w nader trudnej sytuacji. W tych okolicznościach motel w Atlancie bądź w Macon znacznie bardziej by panu odpowiadał. Rzecz jasna, pozostaniemy w bliskim

kontakcie i dołożymy wszelkich starań, by pomóc w przygotowaniach do pogrzebu brata, gdy nadejdzie owa smutna chwila. Tu, w Margrave, będziemy teraz bardzo zajęci. Zanudziłby się pan. Funkcjonariuszkę Roscoe czeka wiele pracy. Nie sądzi pan, że w takiej chwili nie powinno się jej przeszkadzać?

- Nie będę jej przeszkadzał - powiedziałem spokojnie. - Wiem, iż to, co robi, ma ogromne znaczenie.

Spojrzał na mnie oczami kompletnie pozbawionymi wyrazu, prosto w twarz, chociaż nie był zbyt wysoki. Wkrótce zeszytnieje mu ta starcza chuda szyjka. A jeśli dalej będzie się na mnie gapił, po prostu mu ją skręcę. Obdarzyłem burmistrza lodowatym uśmiechem i podszedłem do bentleya. Przekręciłem kluczyk w zamku, wsiadłem do środka, uruchomiłem wielki silnik i spuściłem szybę.

- Do zobaczenia wkrótce, Teale - zawołałem, ruszając z miejsca.

\* \* \*

Jeszcze nie widziałem w tym mieście takiego ruchu jak w chwili, gdy w szkole skończyły się zajęcia. Na Main Street minąłem dwie osoby. Kolejne cztery stały w grupce pod kościołem. Może to jakiś miejscowy klub, zajmujący się lekturą Biblii, a może przygotowują kompoty brzoskwiniowe na zimę? Minąłem ich i przyspieszając pokonałem wielkim samochodem ostatni kilometr Beckman Drive. Przy białej skrzynce pocztowej Hubble'ow skręciłem i manewrując starą kierownicą z bakelitu, minąłem kręty podjazd.

Problem z Charlie polegał na tym, że nie wiedziałem, jak wiele jej powiedzieć. Z całą pewnością nie zamierzałem podawać szczegółów. Wolałem też nie mówić, że Hubble nie żyje, ale... Tak źle i tak niedobrze. Nie mogłem chronić jej przed wszystkim. Musiała ujrzeć sprawę we właściwym świetle. W przeciwnym razie nie posłucha ostrzeżenia.

Zaparkowałem wóz przed drzwiami i nacisnąłem dzwonek. W chwili gdy Charlie otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka, obok mnie zmaterializowały się dzieci. Ich matka wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Dzieci tryskały radością. Nie udzieliły im się troski Charlie. Gospodyni odesłała maluchy i zaprowadziła mnie do kuchni - dużego, nowoczesnego pomieszczenia. Poprosiłem, aby zaparzyła mi kawy. Wiedziałem, że bardzo chce porozmawiać, ale nie wie, od czego zacząć. Patrzyłem, jak majstruje przy ekspresie.

- Nie masz pokojówki? - spytałem. Potrząsnęła głową.

- Nie chcę - odparła. - Wolę wszystko robić sama.

- To duży dom - zauważyłem.

- Po prostu lubię mieć dużo zajęć.

Zapadła cisza. Charlie włączyła ekspres, który wydał z siebie cichy syk. Siedziałem przy stole, pod oknem wychodzącym na rozległy aksamitny trawnik. Charlie podeszła i usiadła naprzeciwko. Splotła przed sobą dłonie.

- Słyszałam o Morrisonach - oznajmiła w końcu. - Czy mój mąż jest w to wszystko zamieszany?

Zastanawiałem się, co dokładnie powiedzieć. Czekala cierpliwie. Ekspres bulgotał wesoło w wielkiej, cichej kuchni.

- Tak, Charlie - odparłem. - Niestety, tak. Ale nie chciał się w to angażować. Rozumiesz? Zmusili go szantażem.

Dobrze to przyjęła. Prawdopodobnie wcześniej domyśliła się sama. Musiała przeanalizować każdą ewentualność. Tylko to wyjaśnienie pasowało. To dlatego nie zareagowała zdumieniem ani oburzeniem. Po prostu skinęła głową i odprężyła się - zupełnie jakby poczuła się lepiej, bo ktoś inny powiedział to za nią. Teraz tajemnica wyszła na jaw, ujrzała światło dzienne. Można było zastanawiać się, co dalej.

- Obawiam się, że to ma sens - rzekła. Wstała, aby nalać kawy. Ani na moment nie przestawała mówić. - Tylko w ten sposób potrafię wyjaśnić jego zachowanie. Czy coś mu grozi?

- Niestety, nie mam pojęcia, gdzie on jest - odrzekłem. Wręczyła mi kubek i usiadła na kuchennym blacie.

- Czy coś mu grozi? - powtórzyła.

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Charlie zeskoczyła na ziemię i znów usiadła naprzeciw mnie przy stole, pod oknem. Oplotła palcami własny kubek. Ładna z niej była kobieta. Jasnowłosa, urodziwa. Idealne zęby, drobne kości, szczupła, umięśniona i twarda. Typ dziewczyny z plantacji. Prawdziwa południowa piękność. Wcześniej powtarzałem sobie, że sto pięćdziesiąt lat temu byłaby właścicielką niewolników. Teraz zacząłem zmieniać zdanie. Wyczuwałem w niej niezwykłą nieugiętość. Jasne, podobało jej się bogate, próżniacze życie. Salony piękności, spotkania z koleżankami w Atlancie, Bentley, złote karty kredytowe, wielka kuchnia, kosztująca więcej niż kiedykolwiek zdołałem zarobić przez rok. Ale gdyby przyszło co do czego, potrafiłaby zakasać rękawy i walczyć. Może sto pięćdziesiąt lat temu siedziałyby w wozie jadącym na Zachód. Miała dość odwagi. Patrzyła na mnie twardo ponad stołem.

- Dziś rano wpadłam w panikę - oznajmiła. - Zwykle taka nie jestem. Musiałam wyrzucić na tobie bardzo złe wrażenie. Po twoim odejściu uspokoiłam się i wszystko przemyślałam. Doszłam do tego samego wniosku co ty. Hub wpakował się w coś niechcący i

został w to wmieszany. Co zatem zrobię? Muszę przestać panikować i zacząć myśleć. Od piątku zachowuję się jak kretynka. Teraz mi wstyd. Nie jestem taka. Toteż zdecydowałam się coś zrobić. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Mów dalej.

- Zadzwońłam do Dwighta Stevensona. Wspomniał, że widział faks z Pentagonu, opisujący przebieg twojej służby w żandarmerii. Poprosiłam, by go znalazł i mi przeczytał. Imponująca kariera.

Uśmiechnęła się do mnie. Podsunęła bliżej krzesło.

- Chciałabym cię zatrudnić - oświadczyła. - Zupełnie prywatnie, po to, byś rozwiązał problem mojego męża. Zechcesz zrobić to dla mnie?

- Nie - odparłem. - Nie mogę, Charlie.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Może pojawić się konflikt interesów - wyjaśniłem. - To oznacza, że nie zdołałbym wypełnić powierzonego mi zadania.

- Konflikt? - powtórzyła. - Dlaczego?

Długo milczałem zastanawiając się, jak to wytłumaczyć.

- Twój mąż nie czuł się dobrze z tym wszystkim. Rozumiesz? Skontaktował się ze śledczym agentem rządowym i razem próbowali wszystko naprawić, lecz agent rządowy zginął. A mnie bardziej interesuje jego osoba niż osoba twojego męża.

Charlie ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Ale dlaczego? - spytała. - Nie pracujesz przecież dla rządu.

- Ten agent był moim brat - powiedziałem. - Wiem, to zbieg okoliczności, ale nic nie poradzę.

Milczała przez chwilę. Natychmiast dostrzegła potencjalne źródło konfliktu.

- Bardzo mi przykro - rzekła w końcu. - Nie twierdzisz chyba, że Hub zdradził twojego brata?

- Nie. To ostatnia rzecz, jaką by zrobił. Polegał na nim. Chciał, by wyplątał go z całej afery. Po prostu coś poszło nie tak.

- Mogę o coś spytać? Dlaczego cały czas mówisz o moim mężu w czasie przeszłym?

Spojrzałem jej prosto w twarz.

- Bo on nie żyje - odparłem. - Bardzo mi przykro. Charlie zniosła to dzielnie. Zbladła i zacisnęła ręce tak, że zbieleły jej kostki, nie załamała się jednak.

- Nie sądzę, by zginął - szepnęła. - Wiedziałabym o tym, poczułabym. Myślę, że gdzieś się ukrywa. Chcę, byś go znalazł. Zapłacę, ile zażadasz.

Powoli pokręciłem głową.

- Proszę - szepnęła.

- Nie zrobię tego, Charlie. Nie wezmę za to pieniędzy. Tylko bym cię wykorzystał.

Nie mogę przyjąć pieniędzy, bo wiem, że on nie żyje. Bardzo mi przykro, ale tak jest.

Zapadła cisza. Siedziałem przy stole, trzymając w dłoniach kubek z kawą.

- Zrobisz to, jeśli ci nie zapłacę? - spytała w końcu. - Może mógłbyś rozejrzeć się przy okazji śledztwa w sprawie śmierci brata?

Zastanowiłem się chwilę. Nie mogłem przecież odmówić.

- Okay - powiedziałem. - Zrobię to, Charlie. Ale, jak już mówiłem, nie oczekuj cudów. Myślę, że stało się coś bardzo złego.

- Wierzę, że on żyje - odparła. - Wiedziałabym, gdyby umarł.

Zaczynałem się martwić, co się stanie, kiedy znajdą jego ciało. Wtedy będzie musiała stawić czoło rzeczywistości - równie gwałtownie jak ciężarówka, pędząca na ceglana ścianę.

- Będziesz potrzebował pieniędzy na bieżące wydatki - stwierdziła. Miałem pewne wątpliwości, ale wręczyła mi wypchaną kopertę. - Wystarczy?

Zajrzałem do środka: gruby plik studolarówek. Skinąłem głową. Wystarczy aż nadto.

- I proszę, zatrzymaj samochód - dodała. - Korzystaj z niego, jak długo zechcesz.

Ponownie skinąłem głową. Zastanowiłem się, o co jeszcze powinienem spytać, i zmusiłem się, by użyć czasu terazniejszego.

- Gdzie on pracuje?

- W Sunrise International. To bank. - Wyrecytowała adres w Atlancie.

- W porządku, Charlie - powiedziałem. - A teraz spytam o coś jeszcze. To bardzo ważne. Czy twój mąż kiedykolwiek wymienił słowo *Pluribus!*

Zastanowiła się chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- *Pluribus!* - powtórzyła. - To chyba coś z polityki, prawda? Napis na podium, gdy prezydent wygłasza orędzie. Nigdy nie słyszałam, by Hub mówił o czymś takim. Studiował bankowość.

- Nigdy nie słyszałaś, by wymienił to słowo? - spytałem ponownie. - W rozmowie telefonicznej, może nawet we śnie?

- Nie.

- A przyszłą niedzielę? Czy mówił coś o przyszłej niedzieli? Wspominał, co się wtedy zdarzy?

- Przyszła niedziela... Nie wydaje mi się. Dlaczego? Co się wtedy stanie?

- Nie wiem - odparłem. - Właśnie próbuję się dowiedzieć.

Długo się namyślała. W końcu jednak pokręciła głową i wzruszyła ramionami, unosząc otwarte dłonie. Te słowa najwyraźniej nic dla niej nie znaczyły.

- Przykro mi.

- Nie przejmuj się. A teraz będziesz musiała coś zrobić.

- Co?

- Musisz stąd zniknąć - oznajmiłem.

Wciąż zaciskała ręce, lecz całkowicie panowała nad sobą.

- Mam się ukryć? - spytała. - Ale gdzie?

- Przyjedzie po ciebie agent FBI. Spojrzała na mnie w panice.

- FBI? - Zbladła jeszcze bardziej. - To naprawdę poważne, tak?

- Śmiertelnie poważne - odparłem. - Przygotuj się. Szybko.

- Dobrze - powiedziała powoli. - Nie wierzę, że to dzieje się naprawdę.

Wyszedłem z kuchni do oranżerii, gdzie poprzedniego dnia piliśmy mrożoną herbatę. Rozsunąłem oszklone drzwi i powoli okrążyłem dom - podjazdem, wśród zieleni i na Beckman Drive. Oparłem się o stojącą na poboczu białą skrzynkę. Wokół panowała cisza. Słyszałem jedynie suchy szelest trawy pod stopami.

A potem z zachodu dobiegł mnie odgłos silnika. Usłyszałem szczęk automatycznej skrzyni biegów. Samochód zwolnił i pojawił się na drodze: brązowy buick, zupełnie zwyczajny. W środku siedziało dwóch mężczyzn, drobnych, ciemnoskórych Latynosów w brązowych koszulach. Zwalniali, zjeżdżając na lewo w poszukiwaniu skrzynki Hubble'ow. Oparłem się o nią, patrząc wprost na nich. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Wóz przyspieszył, skręcił w bok, wypadł za granicę miasta. Wyszedłem na ulicę, odprowadzając go wzrokiem. Ujrzałem kłęb kurzu. Buick zjechał z nieskazitelnego asfaltu Margrave na zapiaszczoną lokalną drogę. Potem pobiegłem do domu. Wołałem, by Charlie się pospieszyła.

Natychmiast ją ujrzałem. Krzątała się gorączkowo, gadając do siebie niczym dziecko wyjeżdżające na wakacje. Głośno sporządzała kolejne listy rzeczy do załatwienia, jakby uruchomił się w niej mechanizm pozwalający zagłuszyć panikę. W piątek była znudzoną bogatą kobietą, żoną bankiera. W poniedziałek nieznajomy twierdził, że bankier nie żyje i polecił uciekać, jeśli jej życie miłe.

- Zabierz ze sobą komórkę! - zawołałem.

Nie odpowiedziała. W ciszy słyszałem kroki i trzask zamykanych drzwi szaf. Przez niemal godzinę siedziałem w kuchni przy resztkach kawy. Potem z zewnątrz dobiegł mnie odgłos klaksonu, zgrzyt żwiru na podjeździe, dźwięk ciężkich kroków, głośne pukanie do drzwi frontowych. Wsunąłem dłoń do kieszeni i zacisnąłem palce na hebanowej ręczce noża

sprężynowego Morrisona. Powoli podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Obok Bentleya stał czyściutki niebieski samochód. Tuż za progiem ujrzałem olbrzymiego Murzyna. Dorównywał mi wzrostem, może nawet był wyższy, ale ważył co najmniej pięćdziesiąt kilo więcej: sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt. Wyglądałem przy nim jak zawodnik wagi piórkowej. Na mój widok ruszył naprzód z wdziękiem wytrawnego sportowca.

- Reacher? - spytał. - Miło mi poznać. Jestem Picard z FBI.

Uścisnął mi dłoń. Był gigantyczny. Otaczała go aura profesjonalizmu, która sprawiała, że czułem się lepiej, mając go po swojej stronie. Wyraźnie mój typ faceta: ktoś, kto potrafi pomóc w opałach. Nagle poczułem iskrę nadziei. Odsunąłem się, wpuszczając go do domu Charlie.

- Okay - powiedział do mnie Picard. - Finlay przekazał mi wszystkie szczegóły. Bardzo mi przykro z powodu twojego brata, przyjacielu. Naprawdę bardzo przykro. Możemy gdzieś porozmawiać?

Zaprowadziłem go do kuchni. Szedł obok mnie, pokonując odległość kilkoma krokami. Rozejrzał się wokół i nalał sobie resztę zaparzonej kawy, potem stanął obok i położył mi dłoń na ramieniu. Zupełnie jakby ktoś rąbnął mnie workiem cementu.

- Podstawowa zasada - oznajmił. - Wszystko to dzieje się całkowicie nieoficjalnie, jasne?

Przytaknąłem. Jego głos pasował do masywnej postaci - niski, basowy. Tak właśnie przemawiałby niedźwiedź, gdyby nauczył się mówić. Nie potrafiłem określić wieku Picarda. Należał do grupy potężnych mężczyzn, którzy przez dziesiątki lat zachowują szczyt formy. Skinął głową i odsunął się, opierając ciężkie ciało o blat.

- To dla mnie duży problem - stwierdził. - Biuro nie może działać bez wezwania przedstawiciela lokalnych sił porządku. To oznacza Teale'a, prawda? A z tego, co mówił mi Finlay, zakładam, że stary Teale z pewnością nas nie wezwie. Mogę zatem wpakować się w niezłe tarapaty. Ale nagnę przepisy dla Finlaya. Wiele nas łączy. Musisz jednak pamiętać, wszystko dzieje się nieoficjalnie. Jasne?

Ponownie przytaknąłem. Odpowiadało mi to. Bardzo.

Nieoficjalna pomoc bywa najlepsza. Pozwala załatwić sprawę bez przejmowania się procedurami. Do niedzieli zostało mi pięć dni. Tego ranka pięć dni wydawało się mnóstwem czasu. Ale teraz, po zniknięciu Hubble'a, czułem, że mój czas się kurczy. Jest go za mało, by przejmować się procedurami.

- Gdzie ich umieścisz? - spytałem.

- W kryjówce w Atlancie. Należy do Biura. Mamy ją od lat. Będą tam bezpieczni, ale nie powiem, gdzie dokładnie. Muszę poprosić, byś po fakcie nie wypytywał pani Hubble, zgoda? Zależy od tego mój tyłek. Jeśli spalę kryjówkę, znajdę się w prawdziwych opałach.

- Zgoda, Picard. Nie narobię ci kłopotów i doceniam twoją pomoc.

Z poważną miną skinął głową, jak akrobata balansujący na cienkiej linii. I wtedy do kuchni wpadła Charlie z dziećmi. Cała trójka dźwiagała kiepsko spakowane torby. Picard przedstawił się głośno. Widziałem, że widok czarnego olbrzyma przeraził córkę Charlie, chłopczyk okrągłymi oczami wpatrywał się w oznakę agenta FBI, którą pokazał Picard. A potem wynieśliśmy razem torby na zewnątrz i umieściliśmy je w bagażniku niebieskiego wozu. Uścisnąłem dłonie Picarda i Charlie. We czwórkę wsiedli do samochodu. Odjechali. Pomachałem im na pożegnanie.

## 15

Trasę do Warburton pokonałem znacznie szybciej niż kierowca więzienny - na miejsce dotarłem po niecałych pięćdziesięciu minutach. Odlotowy widok. Z zachodu nadciągała burza. Promienie popołudniowego słońca przebijały się przez chmury, zalewając więzienie pomarańczowym blaskiem. Metalowe wieżyczki lśniły ogniście. Zwolniłem i skręciłem na podjazd. Zatrzymałem się przed pierwszą bramką. Nie zamierzałem wjeżdżać do środka, miałem dosyć tego miejsca. Spivey będzie musiał do mnie wyjść. Wskoczyłem w Bentleya i podszedłem do strażnika. Sprawiał wrażenie przyjaźnie nastawionego.

- Czy jest może Spivey? - spytałem.

- Chce pan z nim mówić?

- Proszę mu powiedzieć, że przyjechał pan Reacher - poprosiłem.

Facet wszedł do budki, zadzwonił. Potem wynurzył się ze środka i krzyknął:

- On nie zna żadnego Reachera!

- Proszę mu powiedzieć, że przysłała mnie komendant Morrison z Margrave.

Strażnik wrócił do telefonu, zaczął rozmawiać. Po minucie pojawił się ponownie.

- W porządku, proszę jechać. Czeka na pana na oddziale przyjęć.

- Proszę mu powiedzieć, że będzie musiał do mnie wyjść, spotkać mnie na drodze.

Zawróciłem i przystanąłem na piasku, na skraju asfaltu. Rozpoczęła się próba nerwów. Mogłem się założyć, że Spivey przyjdzie. Za pięć minut się przekonam. Czekałem. Czulem woń nadciągającego z zachodu deszczu. Za godzinę zacznie się ulewa. Czekałem.



I Spivey się zjawił. Usłyszałem zgrzyt kraty. Odwróciłem się i ujrzałem brudnego forda, który zatrzymał się obok bentleya. Spivey dźwignął się zza kierownicy, podszedł do mnie - wielki spocony facet, czerwona twarz i ręce. Miał brudny mundur.

- Pamiętasz mnie? - spytałem.

Jego małe, węzowe oczka zmierzyły mnie spojrzeniem. Był rozkojarzony i zdenerwowany.

- Jesteś Reacher. I co z tego?

- Zgadza się - odparłem - Reacher z piątku. O co w tym chodziło?

Przestąpił z nogi na nogę. Zamierzał grać ostro, ale pokazał mi już swoje karty: wyszedł mi na spotkanie. Już przegrał. Nie odezwał się ani słowem.

- O co chodziło w piątek? - powtórzyłem.

- Morrison nie żyje - rzekł tylko. Potem wzruszył ramionami i zacisnął wąskie wargi. Milczał.

Od niechcienia przesunąłem się w lewo, jedynie krok albo dwa, tak by cielsko Spiveya zasłoniło mnie przed wzrokiem strażnika. W mojej dłoni pojawił się nóż sprężynowy Morrisona. Przez sekundę uniosłem go niemal do oczu Spiveya - dostatecznie długo, by odczytał złoty napis na hebanowej rękojeści. Ostrze wyskoczyło z głośnym szczękiem. Małe oczka Spiveya wpatrywały się w nie jak zahipnotyzowane.

- Myślisz, że go użyłem, że załatwiłem Morrisona? Wpatrywał się w ostrze połyskujące błękitem w promieniach przedburzowego słońca.

- To nie ty - stwierdził. - Ale może miałeś dobry powód. Uśmiechnąłem się do niego. Wiedział, że to nie ja zabiłem Morrisona, czyli wiedział, kto to zrobił. Czyli znał szefów Morrisona. Proste jak drut. Kilka słów, a już zbliżyłem się do celu. Odrobinę przysunąłem ostrze do jego wielkiej czerwonej gęby.

- Mam nim załatwić ciebie?

Spivey rozejrzał się gwałtownie. Ujrzał stojącego trzydzieści metrów dalej strażnika.

- On ci nie pomoże - dodałem. - Nie znosi cię, to tylko strażnik. Ty lizałeś dupy i dostałeś awans. Nie siknąłby na ciebie, nawet gdybyś się palił. Bo niby czemu?

- Czego chcesz? - spytał Spivey.

- Piątek - powtórzyłem. - O co w tym chodziło?

- A jeśli ci powiem? Wzruszyłem ramionami.

- Zależy, co powiesz - rzuciłem. - Powiesz prawdę, pozwolę ci wrócić. To co, zaczynasz mówić?

Nie odpowiedział. Staliśmy w milczeniu przy drodze. Próba nerwów. Ale jego nerwy nie wytrzymały, przegrywał. Rozpaczliwie wodził wokół oczkami, które jednak cały czas powracały do noża.

- W porządku, powiem ci - rzekł wreszcie. - Od czasu do czasu pomagałem Morrisonowi. Zadzwoił do mnie w piątek. Powiedział, że przysłała dwóch facetów, nazwiska nic dla mnie nie znaczyły, nigdy wcześniej o was nie słyszałem. Miałem zorganizować pozbycie się Hubble'a, to wszystko. Tobie nic nie miało się stać, przysięgam.

- Co zatem poszło nie tak?

- Moi ludzie spieprzyli sprawę. Przysięgam, to wszystko. To o tego drugiego nam chodziło, nie o ciebie. I wyszedłeś, prawda? Nic się nie stało. Czemu utrudniasz mi życie?

Błyskawicznie poruszyłem ostrzem i lekko skaleczyłem go w podbródek. Zastygł, wstrząśnięty. W chwilę później z małej ranki wypłynął tłusty robak ciemnoczerwonej krwi.

- Jaki był powód? - spytałem.

- Nie ma powodów. Robię to, co mi każą.

- Robisz to, co ci każą?

- Robię to, co mi każą - powtórzył. - Nie chcę znać powodów.

- Kto zatem wydawał ci polecenia?

- Morrison. To Morrison mówił, co mam robić.

- A kto kierował Morrisonem?

Trzymałem ostrze tuż obok jego policzka. Praktycznie trząsał się ze strachu. Patrzyłem w małe, węzowe oczka. Znał odpowiedź, widziałem to w jego oczach. Wiedział, kto rozkazywał Morrisonowi.

- Kto nim kierował? - spytałem.

- Nie wiem - jęknął. - Przysięgam na grób mojej matki. Wpatrywałem się w niego przez chwilę. W końcu pokręciłem głową.

- Nieprawda, Spivey. Ty wiesz i powiesz mi.

Teraz to on pokręcił głową. Jego wielką czerwoną gębą wstrząsnął tik. Po podbródku i obwisłej szyi spływała krew.

- Jeśli ci powiem, zabiją mnie.

Machnąłem nożem, rozcinając na brzuchu wytłuszczoną koszulę.

- Ja cię zabiję, jeśli nie powiesz.

Faceci tacy jak Spivey nie myślą długofalowo. Jeśli mi powie, umrze jutro, jeśli nie powie, zginie dzisiaj. Tak właśnie rozumował, na krótką metę. Już miał mi powiedzieć, jego gardło poruszyło się, grdyka podskoczyła, jakby nagle zaschło mu w ustach. Patrzyłem mu w

oczy. Nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Był jak bohater filmu, który wdrapuje się na wydmę na pustyni i próbuje poprosić o wodę. Ale wiedziałem, że mi powie.

I nagle zmienił zdanie. Ponad jego ramieniem ujrzałem nadciągający pióropusz pyłu, potem usłyszałem cichy szum diesla i dostrzegłem zbliżający się szary więzienny autobus. Spivey gwałtownie odwrócił głowę, wpatrując się w nadciągające zbawienie. Strażnik wyszedł na spotkanie wyjeżdżających. Spivey popatrzył na mnie, w jego oczkach zalśnił złośliwy triumf. Autobus zbliżał się coraz bardziej.

- Kto to był, Spivey? - rzuciłem. - Powiedz mi teraz albo wrócę po ciebie.

On jednak cofnął się, zawrócił i podreptał do swego brudnego forda. Autobus zbliżył się, obsypując mnie kurzem. Zamknąłem nóż, schowałem do kieszeni, podbiegłem do bentleya i odjechałem.

Nadciągająca burza ścigała mnie w drodze na wschód. Miałem wrażenie, że goni mnie jeszcze coś więcej. Aż kipiałem z frustracji. Tego ranka od rozwiązania zagadki dzieliła mnie zaledwie jedna rozmowa. Teraz nie wiedziałem nic. Sytuacja nagle się pogorszyła.

Nie miałem wsparcia ani potrzebnych środków. Nie mogłem polegać na Roscoe czy Finlayu. Nie mogłem oczekiwać, że będą dążyć do tego samego celu. W dodatku mieli własne kłopoty na posterunku. Jak to ujął Finlay? Działanie pod nosem wroga? Nie mogłem też oczekiwać zbyt wiele od Picarda, już i tak się wychylił. Nie liczyłem na nikogo poza samym sobą.

Z drugiej strony, ja nie musiałem przejmować się kodeksem, ograniczeniami, drobnostkami. Nie musiałem myśleć o prawach jednostki, prawach konstytucyjnych, uzasadnionych wątpliwościach, dowodach. Ci goście nie zdołają odwołać się do wyższej instancji. To sprawiedliwe? Może się załóżymy? To byli źli ludzie, już dawno przekroczyli niewidzialną granicę. Źli ludzie. Jak ich nazwał Finlay? Najgorsi z możliwych. I zabili Joego Reachera.

Prowadziłem bentleya w dół łagodnego zbocza, wiodącego do domu Roscoe. Zaparkowałem na drodze. Nie było jej. Podobnie chevroleta. Wielki chromowany zegar na desce rozdzielczej bentleya wskazywał za dziesięć szósta. Jeszcze dziesięć minut. Wyszedłem z wozu, usiadłem na tylnym siedzeniu, położyłem się i wyciągnąłem na skórzanej kanapie wielkiego, starego samochodu.

Chciałem wyrwać się z Margrave na wieczór, wyjechać z Georgii. W kieszeni z tyłu fotela kierowcy znalazłem mapę. Zerknąłem na nią i obliczyłem, że gdybyśmy przez godzinę, może półtorej, jechali na zachód, ponownie mijając Warburton, przekroczylibyśmy granicę stanu i znaleźli się w Alabamie. Tego właśnie pragnąłem. Ruszyć z Roscoe do Alabamy i

zatrzymać się w pierwszym barze z występami na żywo, na jaki się natkniemy. Do jutra zapomnieć o kłopotach. Zjeść tanią kolację, popijając zimnym piwem, posłuchać ostrej muzyki - z Roscoe. Oto świetny wieczór według Jacka Reachera. Odprężyłem się i zacząłem czekać. Robiło się coraz ciemniej, w wieczornym powietrzu wyczułem pierwszy chłód. Około szóstej o dach bentleya zabębniły pierwsze wielkie krople deszczu. Cały czas miałem wrażenie, że wkrótce nadciągnie burza. Nie zjawiała się jednak, nie rozszalała. Z nieba poleciały tylko krople, jakby chciało wypuścić z siebie wszystko, ale nie mogło. Ciężki wóz kołysał się łagodnie w ciemności, poruszany powiewami wilgotnego wiatru.

\* \* \*

Roscoe się spóźniała. Od dwudziestu minut burza wisiała w powietrzu, nim w końcu ujrzałem wspinającego się na zbocze chevroleta. Promienie reflektorów kołysały się z lewa na prawo. Oświetliły mnie, gdy skręciła na podjazd, omiotły drzwi garażu i zgasły. Roscoe wyłączyła silnik. Wsiadłem z bentleya, podszedłem do niej. Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Potem poszliśmy do środka.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Chyba tak - odparła. - Koszmarny dzień. Skinałem głowę. Rzeczywiście.

- Zdenerwowana?

Krażyła wokoło, zapalając lampy, zaciągając zasłony.

- To, co widziałam dzisiejszego ranka... Nigdy nie oglądałam nic gorszego, naprawdę. Ale powiem ci coś, czego nie zdradziłabym nikomu innemu. Nie zmartwiłam się. Nie było mi żal Morrisona. Takiego gościa nie można żałować. Ale jego żony owszem. Dostatecznie ciężko musiało jej się żyć z kimś takim, a co dopiero przez niego umierać.

- A reszta? - spytałem. - Teale?

- Nie jestem zaskoczona. Cała ta rodzina od dwustu lat to sami sukinsyni. Wiem o nich wszystko, nasze rodziny od dawna się znają. Czemu on miałby być inny? Ale, na Boga, cieszę się, że wszyscy na posterunku okazali się czyści. Strasznie się bałam odkrycia, iż jeden z nich w tym siedzi. Nie wiem, czy zdołałabym to znieść.

Poszła do kuchni, ja za nią. Ucichła. Nie załamała się, ale nie była szczęśliwa. Otworzyła lodówkę, jej ruchy mówiły: półki są puste. Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Postawisz mi obiad? - spytała.

- Jasne - odpowiedziałem. - Ale nie tutaj. W Alabamie. Powiedziałem jej, co chciałyby zrobić. Spodobało jej się.

Z uśmiechem ruszyła wziąć prysznic. Uznałem, że mnie także by się przydał, toteż poszedłem za nią. Ale trochę się odwlókł, bo gdy tylko zaczęła rozpinąć odprasowaną

mundurową koszulę, moje priorytety uległy zmianie. Kuszająca wizja barów w Alabamie zniknęła, prysznic także mógł zaczekać. Pod mundurem Roscoe miała czarną bieliznę, która nie zakrywała zbyt wiele. Ostatecznie wylądowaliśmy na podłodze w sypialni. Na zewnątrz w końcu rozpętała się burza, deszcz chłostał mały domek. Błyskały pioruny, huczały gromy.

W końcu dotarliśmy do łazienki i fakt, naprawdę potrzebowaliśmy prysznic. Potem położyłem się na łóżku, tymczasem Roscoe się ubierała. Naciągnęła sprane dzinsy i jedwabną koszulę. Zgasiliśmy wszystkie lampy, zamknęliśmy drzwi na klucz i odjechaliśmy bentleyem. Było wpół do ósmej, burza przesuwiała się na wschód, zmierzając w stronę Charlestonu i dalej, nad Atlantyk. Jutro może dotrze na Bermudy. My natomiast ruszyliśmy na zachód, w stronę różowego nieba. Znalazłem drogę do Warburton. Jechaliśmy poprzez nie kończące się ciemne pola. W pełnym pędzie minęliśmy więzienie, przycupnięte z boku, lśniące upiornym żółtym blaskiem.

W pół godziny później zatrzymaliśmy się na stacji, napełniając olbrzymi bak starego samochodu. Zostawiliśmy za sobą pola tytoniu, i we Franklin przejechaliśmy stary most nad rzeką Chattahoochee. A potem popędziliśmy prosto ku granicy stanu. Przed dziewiątą znaleźliśmy się w Alabamie i postanowiliśmy przystanąć przy pierwszym barze.

Jakiś kilometr dalej dostrześliśmy pub. Skręciliśmy na parking, wysiedliśmy. Budynek wyglądał nieźle, dostatecznie duży, szeroki, przysadzisty, wzniesiony z osmołowanych desek. Duży, jasny neon, mnóstwo wozów na parkingu. Już z zewnątrz słychać było muzykę. Znak nad drzwiami głosił: „The Pond. Muzyka na żywo siedem wieczorów w tygodniu o wpół do dziesiątej”. Wziąłem Roscoe za rękę i razem weszliśmy do środka.

Natychmiast uderzył nas hałas, muzyka z szafy grającej i powietrze ciężkie od zapachu piwa. Przepchnęliśmy się na tył i odkryliśmy pierścień osłoniętych stolików, otaczających parkiet przed sceną - tak naprawdę jedynie niskim betonowym podestem, niegdyś zapewne rampą wylądowczą. Niski sufit, przyciemnione światła. Znaleźliśmy pusty stolik, zajęliśmy miejsca. Czekając na kelnerkę patrzyliśmy, jak zespół przygotowuje się do występu. Obsługa śmigała po lokalu niczym gracze w koszykówkę. Podbiegła do nas jedna z kelnerek. Zamówiliśmy piwo, cheesburgery, frytki, krążki cebulowe. Niemal natychmiast zjawiała się ponownie z blaszaną tacą pełną naczyń. Zjedliśmy, wypiliśmy, zamówiliśmy jeszcze.

- Co zamierzasz począć w sprawie Joego? - spytała Roscoe. Zamierzałem dokończyć to, co on zaczął. Bez względu na to, w co wdepnął. Tak właśnie zdecydowałem, leżąc rano w ciepłym łóżku. Ale Roscoe była policjantką, przysięgła strzec prawa. Prawa, które z

pewnością wejdzie mi w drogę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ona jednak nie czekała na odpowiedź.

- Myślę, że powinieneś dowiedzieć się, kto go zabił - oznajmiła.

- A wtedy co?

Nic więcej jednak nie powiedzieliśmy. Zespół zaczął grać i nie dało się już rozmawiać. Roscoe uśmiechnęła się przepraszająco, pokręciła głową. Głośno grali. Wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Szkoda, że mnie nie słyszysz”. Gestem pokazała, że porozmawiamy później. Odwróciliśmy się do sceny. Żałowałem, że nie usłyszałem odpowiedzi na moje pytanie.

\* \* \*

Bar nosił nazwę The Pond, zespół - Pond Life. Zaczęli niezłe, klasyczne trio: gitara, bas, perkusja. Zdecydowanie w stylu Steviego Raya Vaughana. Odkąd Stevie Ray zginął w katastrofie helikoptera nad Chicago, w południowych stanach wystarczy policzyć wszystkich białych mężczyzn przed czterdziestką, podzielić uzyskaną liczbę przez trzy, a wtedy otrzymuje się liczbę zespołów grających w jego stylu. Wszyscy naśladowali Steviego Raya Vaughana, bo nie wymagało to zbyt wiele. Nieważne, jak się wygląda, nieważny sprzęt, wystarczy wziąć instrumenty i zacząć grać. Najlepsi potrafili dość dobrze naśladować jego styl, nagle przejścia od barowego rocka do starego teksańskiego bluesa.

Ci goście byli niezli. Pond Life, szumowiny - pasowali do tej ironicznej nazwy. Na basie i perkusji grali wielcy, paskudni faceci. Długie włosy, grubi, brudni. Gitarzysta, drobny i ciemny, przypominał nawet nieco starego Steviego Raya. Ten sam szczerbaty uśmiech, no i umiał grać. Miał czarną kopię Les Paula i wielki wzmacniacz Marshalla. Dobry dźwięk w starym stylu. Leniwe akordy i ostre fuzzy przepuszczone przez stare głośniki Marshalla sprawiały, że gitara dźwięczała rozdzierająco, właśnie tak jak powinna.

Świetnie się bawiliśmy. Wypiliśmy sporo piwa. Siedzieliśmy przytuleni za stołem. Potem jakiś czas tańczyliśmy. Nie mogłem sobie odmówić. Zespół grał i grał, w barze kłębił się tłum, muzyka dźwięczała coraz głośniejszy i szybciej. Kelnerki śmigały tam i z powrotem z tacami pełnymi butelek.

Roscoe wyglądała świetnie. Jej jedwabna koszula powilgotniała, pod spodem nie miała niczego. Widać to było po tym, jak mokry jedwab lepił się do skóry. Byłem w siódmym niebie. Tańczyłem w zwykłym starym barze z oszalamiająco piękną kobietą słuchając niezłego zespołu. Chwilowo zapomniałem o Joem, Margrave oddaliło się o milion kilometrów. I dobrze. Nie chciałem, by ten wieczór dobiegł końca.

Zespół skończył bardzo późno, sporo po północy. Byliśmy na lekkim rauszu i zmęczeniu. Nie mieliśmy ochoty na jazdę powrotną. Znowu padał niewielki deszcz. Woleliśmy nie jechać w ulewie przez półtorej godziny, nie tak podpici. Moglibyśmy wylądować w rowie albo w areszcie. W drodze do baru mijaliśmy motel. Roscoe oznajmiła, że powinniśmy tam przenocować. Cały czas chichotała, jakbyśmy uciekli razem, jakbym przewiózł ją przez granicę stanu dokładnie w tym celu. No, może nie do końca, ale nie zamierzałem protestować.

Wypadliśmy zatem z knajpy z muzyką dźwięczącą w uszach i ostrożnie ruszyliśmy bentleyem ruchliwą drogą. W końcu ujrzyliśmy przed sobą motel - długi, niski, stary budynek i domki, niczym z filmu. Skręciłem na parking i ruszyłem na recepcję. Obudziłem recepcjonistę, wręczyłem mu pieniądze, załatwiłem poranne budzenie. Dostałem klucz i wróciłem do wozu. Podjechałem do naszego domku. Schroniliśmy się w środku. Przyzwoite, anonimowe wnętrze. Mogliśmy być wszędzie, w całej Ameryce. Było jednak ciepłe, przytulne, chroniło od deszczu. A w sypialni znaleźliśmy duże łóżko.

Nie chciałem, by Roscoe się przeziębila. Powinna zdjąć wilgotną koszulę, tak jej powiedziałem. Zachichotała mówiąc, iż nie zdawała sobie sprawy, że znam się na medycynie. Odparłem, że nauczono nas dość, by zareagować w sytuacji alarmowej.

- A to sytuacja alarmowa? - Zaśmiała się.

- Wkrótce nią będzie - odparłem ze śmiechem - jeśli nie zdejmiesz koszuli.

Zatem ją zdjęła, a ja rzuciłem się na nią. Była taka piękna, taka prowokująca, gotowa na wszystko.

Potem leżeliśmy razem, wtuleni w siebie, i rozmawialiśmy o tym, kim jesteśmy, co robimy, kim chcemy zostać, co pragniemy robić. Opowiedziała mi o swojej rodzinie. Historia wielopokoleniowego pecha. Wyglądali na uczciwych ludzi - farmerzy, którym omal się nie powiodło, dosłownie o włos. Walczący z przyrodą przed wprowadzeniem środków chemicznych i maszyn. Bezradni wobec sił natury. Jeden z przodków był bliski zarobienia fortuny, ale stracił najlepsze ziemie, gdy pradiadek burmistrza Teale'a zbudował tory. Potem odmówiono im kredytów. Konflikt przetrwał całe lata. Roscoe kochała Margrave, ale nienawidziła Teale'a i tego, że krążył po mieście niczym jego właściciel, choć w istocie nim był. Jak zawsze.

Ja z kolei opowiedziałem jej o Joem, o rzeczach, o których nigdy nikomu nie mówiłem, wszystkich sekretach skrywanych w sercu, o moich uczuciach i dlaczego musiałem coś zrobić w sprawie jego śmierci. Jak bardzo mi na tym zależy. Rozmawialiśmy bardzo długo o sprawach głęboko osobistych. W końcu zasnęliśmy w swoich ramionach.

\* \* \*

Wydawało się, że minęła zaledwie chwilka, gdy usłyszeliśmy walenie do drzwi. Recepcjonista. Był już wtorek. Wstaliśmy, niepewnie krążyliśmy po pokoju. Poranne słońce z trudem przebijało się przez wilgotną mgłę. Po pięciu minutach siedzieliśmy już w bentleyu i jechaliśmy na wschód. Słoneczne promienie załamywały się w kroplach na szybie.

Powoli dochodziliśmy do siebie. Przekroczyliśmy granicę stanu i z powrotem znaleźliśmy się w Georgii. We Franklin pokonaliśmy rzekę i przyspieszyliśmy, przejeżdżając przez puste pola, pokryte lekką kołderką porannej mgły, która niczym para wisiała nad czerwoną ziemią. Słońce wspinało się coraz wyżej, zaczynało wypalać wilgoć.

Milczeliśmy. Chcieliśmy jak najdłużej zachować poczucie bliskości. Przyjazd do Margrave i tak wszystko zniszczy. Jechałem zatem wielkim, starym samochodem z nadzieją w sercu - nadzieją że czeka nas jeszcze wiele podobnych nocy i równie cichych poranków. Roscoe skuliła się na fotelu obok. Zatopiona w myślach, sprawiała wrażenie zadowolonej. A przynajmniej miałem taką nadzieję.

Znów minęliśmy Warburton. Więzienie unosiło się nad dywanem mgły niczym miasto przybyszów z kosmosu. Zostawiliśmy za sobą niewielki zagajnik, który dostrzegłem z okna więziennego autobusu, potem rzędy krzaków na niewidzialnych polach. Dotarliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy na północ w lokalną drogę obok baru Ena, posterunku i remizy. Potem Main Street, zakręt w lewo przy pomniku człowieka, który zbudował kolej na dobrej rolniczej ziemi, i w dół, do domu Roscoe. Zaparkowałem przy krawężniku. Wysiedliśmy, ziewając i przeciągając zeszywniałe mięśnie. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Świetnie się bawiliśmy. Ręka w rękę ruszyliśmy podjazdem.

Drzwi były otwarte, nie szeroko, lecz uchylone na centymetr bądź dwa. Zamek został strzaskany. Ktoś wyważył go łomem, a fragmenty drewna i metalu nie pozwalały drzwiom się zamknąć. Roscoe uniosła dłoń do ust i zachłysnęła się cicho, wodząc wokół szeroko otwartymi oczami. Jej wzrok powędrował od drzwi do mnie.

Chwyciłem ją za łokieć i odciągnąłem. Przywarliśmy do drzwi garażu, przykucnęliśmy. Trzymając się tuż przy ścianie, okrążyliśmy dom, nasłuchując przy każdym oknie i pospiesznie unosząc głowy, by zerknąć do pokoju. W końcu dotarliśmy z powrotem do zniszczonych drzwi frontowych, mokrzy od klęczenia na wilgotnej ziemi i ocierania się o ociekające wodą krzaki. Wstaliśmy, spojrzeliśmy po sobie i wzruszyliśmy ramionami. Potem pchnęliśmy drzwi i weszliśmy do środka.

Sprawdziliśmy wszystko. W całym domu nie było nikogo. Żadnych szkód, zmian, niczego nie skradziono, wieża wciąż stała na miejscu, podobnie telewizor. Roscoe sprawdziła szafę - policyjny rewolwer nadal tkwił w kaburze. Zajrzała do szuflad i biurka. Niczego nie



tknięto, niczego nie przeszukano, niczego nie brakowało. Zatrzymaliśmy się w korytarzu i spojrzeliśmy po sobie. A potem zauważyłem coś, co zostało po nocnych gościach.

Niskie promienie porannego słońca wpadały przez otwarte drzwi, oświetlając podłogę. Na parkiecie dostrzegłem ślady stóp. Mnóstwo śladów. Kilka osób weszło frontowymi drzwiami do salonu. Odciski znikwały na barwnym dywanie i pojawiały się ponownie na drewnianej podłodze wiodącej do sypialni, znów przez salon, aż do drzwi frontowych. Zostawili je ludzie przychodzący w deszczową noc. Cienka warstewka błotnistej wody zaschła na drewnie, pozostawiając lekkie ślady. Lekkie, lecz wyraźne. Zostawiły je co najmniej cztery osoby, wchodzące i wychodzące. Widziałem wzory podeszew. Przybysze mieli na sobie gumowe kalosze, takie jak te, które wkłada się zimą na północy.

## 16

Przyszli po nas nocą. Przybyli, spodziewając się mnóstwa krwi. Zabrali ze sobą sprzęt, gumowe kalosze, nylonowe kombinezony, noże, młotek, worek ćwieków. Przyszli, by nas załatwić, tak jak wcześniej Morrisona i jego żonę.

Otworzyli nietykalne drzwi. Popęlnili drugi śmiertelny błąd. Teraz byli już martwi. Zamierzałem na nich polować i uśmiechać się patrząc, jak umierają. Ponieważ atakując mnie, po raz drugi zaatakowali Joego. Brat nie mógł mnie już bronić. Drugi raz rzucili mi wyzwanie. Drugie upokorzenie. Nie chodziło tu o samoobronę, lecz o pamięć Joego.

Roscoe podążała śladem stóp. Dostrzegłem klasyczną reakcję, odrzucenie prawdy. Tej nocy w jej domu zjawili się czterech ludzi, którzy przybyli ją zamordować. Wiedziała o tym, lecz nie dopuszczała do siebie tej myśli, wyrzucała ją z umysłu. Tylko tak mogła to znieść. Niezłe podejście, ale wkrótce doprowadzi do załamania. Na razie starała się zbadać każdy słaby ślad na podłodze.

Przeszukali cały dom. Rozdzielili się w sypialni i sprawdzili kolejne pokoje. Potem spotkali się ponownie i wyszli. Szukaliśmy odcisków stóp na drodze, bez powodzenia. Mokry asfalt parował w słońcu. Wróciliśmy do środka. Brakowało dowodów poza zniszczonym zamkiem i słabymi śladami w całym domu.

Nie odzywaliśmy się. Aż kipiałem z wściekłości. Cały czas obserwowałem Roscoe czekając, kiedy tama pęknie. Widziała zwłoki Morrisonów, ja nie. Finlay nakreślił mi szczegóły i to wystarczało. On tam był i widok dogłębnie nim wstrząsnął. Roscoe też tam była. Widziała dokładnie to, co ktoś zamierzał wczoraj zrobić z nami.

- O kogo im chodziło? - spytała w końcu. - O mnie, o ciebie, o nas oboje?

- O nas oboje - odparłem. - Uznali, że Hubble rozmawiał ze mną w więzieniu, a ja powiedziałem ci o wszystkim. Sądzą więc, że oboje wiemy to, co on wiedział.

Lekko skinęła głową. Powoli oparła się o ścianę obok drzwi na tyłach, wyglądając na starannie utrzymany, wiecznie zielony ogród. Dostrzegłem, że zbladła, zadrżała, zaczynała tracić panowanie nad sobą. Skuliła się w kącie obok drzwi, jakby próbowała zniknąć w ścianie. Patrzyła w przestrzeń oczyma duszy oglądając nienazwaną grozę. Nagle zaczęła rozpaczliwie płakać, jakby pękało jej serce. Podszedłem i objąłem ją mocno, przycisnąłem do siebie i trzymałem, a ona wypłakiwała strach i napięcie. Płakała długo, rozpalona, słaba. Koszulę miałem moką od jej łez.

- Dzięki Bogu, że nie było nas to w nocy - szepnęła. Wiedziałem, że muszę sprawiać wrażenie pewnego siebie.

Strach do niczego by nie doprowadził, jedynie pozbawił ją energii. Musiała stawić mu czoło, musiała też stawić czoło ciemności i ciszy - dziś w nocy i każdej następnej nocy swego życia.

- Żałuję, że nas nie było - odparłem. - Może czegoś byśmy się dowiedzieli.

Spojrzała na mnie, jakbym zwariował. Pokręciła głową.

- Co byś zrobił? - spytała. - Zabił czterech ludzi?

- Tylko trzech. Czwarty udzieliłby nam odpowiedzi. Powiedziałem to z absolutną pewnością siebie, całkowitym przekonaniem, jakby nie istniała inna możliwość. Roscoe spojrzała na mnie. Chciałem, by ujrzała potężnego faceta, żołnierza po trzynasto latach służby, wyszkolonego zabójcę. Błękitne, lodowate oczy. Z całych sił starałem się sprawiać wrażenie niezwycięzonego, niepokonanego obrońcy. Patrzyłem surowo, nie mrugając oczami. Kiedyś spojrzenie to uspokajało nawet pijanych marines. Chciałem, by Roscoe poczuła się bezpieczna. Po tym, co mi dała, pragnąłem odplacić się jej choć trochę. Nie chciałem, by się bała.

- Trzeba więcej niż czterech wieśniaków, by mnie załatwić - oznajmiłem. - Żartują sobie, czy co? Załatwiałem już lepszych od nich. Jeśli znów tu przyjdą, wyniosą ich w wiaderku. I wierz mi, Roscoe, jeśli ktoś choćby pomyśli, by zrobić ci krzywdę, zginie, nim mrugnie okiem.

Działało. Zdołałem ją przekonać. Chciałem, by była wesoła, twarda, pewna siebie, by się pozbierała. I udało się. W jej niezwykłych oczach rozbłysły iskierki.

- Mówię poważnie, Roscoe - dodałem. - Trzymaj się mnie, a nic ci się nie stanie.

Ponownie na mnie spojrzała, odgarnęła ręką włosy.

- Obiecujesz?

- Jasne, mała. - Wstrzymałem oddech.

Westchnęła głęboko, odsunęła się od ściany i spróbowała uśmiechnąć. Kryzys minął. Znow była sobą.

- A teraz wynośmy się stąd - rzuciłem. - Nie możemy tu zostać. Tu jesteśmy celem. Spakuj potrzebne rzeczy.

- Zgoda - odparła. - A naprawimy drzwi? Zastanowiłem się. To ważne pytanie taktyczne.

- Nie - powiedziałem w końcu. - Jeśli je naprawimy, to znaczy, że je widzieliśmy. Skoro je widzieliśmy, wiemy, że ktoś nas atakuje. Lepiej, by uznali, że nie mamy o tym pojęcia, bo wtedy następnym razem nie zachowają ostrożności. Toteż nie zareagujemy. Udamy, że w ogóle nie wróciliśmy do domu, że nie widzieliśmy drzwi. Będziemy się zachowywać całkiem niewinnie, naiwnie. Jeśli uznają nas za naiwnych, przestaną się pilnować. Wtedy następnym razem łatwiej ich dostrzeżemy.

- Okay - rzuciła.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale przynajmniej się zgodziła.

- Spakuj potrzebne rzeczy - powtórzyłem.

Nie była szczęśliwa, ale posłusznie wykonała polecenie. Zaczynała się rozgrywka. Nie wiedziałem, kto jeszcze w niej uczestniczy ani co to za gra, umiałem jednak grać. Na początku chciałem, by uwierzyli, że stale wyprzedzają nas o krok.

- Mam iść do pracy? - spytała Roscoe.

- Musisz - odparłem. - Musisz zachowywać się zupełnie normalnie i koniecznie trzeba pomówić z Finlayem. Oczekuje telefonu z Waszyngtonu. Trzeba sprawdzić, czego zdołamy się dowiedzieć o Shermanie Stollerze. Ale nie martw się, nie zastrzelą nas na posterunku. Wybiorą spokojne, odizolowane miejsce, prawdopodobnie nocą. Tylko Teale z nimi współpracuje, więc nie zostawaj z nim sam na sam. Trzymaj się Finlaya, Bakera bądź Stevensona, dobrze?

Przytaknęła. Wzięła prysznic i przebrała się w mundur. Po dwudziestu minutach wynurzyła się z sypialni. Przyglądała strój, gotowa do pracy. Spojrzała na mnie.

- Obiecujesz? - powtórzyła.

W słowie tym zabrzmiało jednocześnie pytanie, przeprosiny i zaufanie. Spojrzałem na nią.

- Jasne, że tak - mruknąłem. Skinęła głową i odszepnęła.

- Wszystko w porządku.

Wyszliśmy na dwór, pozostawiając uchylone drzwi, dokładnie tak, jak je zastaliśmy.

\* \* \*

Ukryłem bentleya w garażu, by podtrzymać iluzję, że w ogóle nie wracaliśmy. Wsiedliśmy do chevroleta i postanowiliśmy zacząć od śniadania u Ena. Roscoe dodała gaz. Po starym bentleyu Chevrolet wydawał się głośny i niski. Z naprzeciwka nadjeżdżała furgonetka - ciemnozielona, bardzo czysta, nowiutka. Wyglądała jak wóz służby miejskiej, lecz na boku miała ozdobny złoty napis: „Fundacja Klinera”, taki sam jak wcześniej u ogrodników.

- Co to za wóz? - spytałem Roscoe.

Skrecała właśnie w prawo przy barze, kierując się na Main Street.

- Fundacja ma takich wiele.

- Czym się zajmują?

- Klinier to tutejsza szycha - odparła. - Miasto sprzedało mu grunty pod magazyny. Zorganizowanie programu pomocy miejskiej stanowiło część umowy. Teale kieruje wszystkim jako burmistrz.

- Teale tym kieruje? Przecież to nieprzyjaciel.

- Kieruje programem, bo jest burmistrzem, nie dlatego że jest Teale'em. Program przeznaczona mnóstwo pieniędzy na cele publiczne. Drogi, ogrody, bibliotekę, fundacje biznesowe. Policja dostaje z tego kupę kasy. Tylko dlatego że pracuję na posterunku, częściowo spłacają mi hipotekę.

- Dzięki temu Teale dysponuje dużą władzą - zauważyłem. - A co z młodym Klinierem? Próbował się mnie pozbyć, twierdził, że ma do ciebie prawo.

Zadrzała.

- To kretyn - oznajmiła. - Unikam go, jak tylko mogę. Powinieneś robić to samo.

Jechała naprzód wyraźnie podenerwowana. Cały czas rozglądała się dookoła, jakby czuła się zagrożona, jakby w każdej chwili ktoś mógł wyskoczyć przed samochód i nas zastrzelić. Ciche, wiejskie życie dobiegło końca. Nocna wizyta czterech mężczyzn w jej domu wszystko zniszczyła.

Zajechaliśmy na zwirowy parking przed barem Ena. Wielki Chevrolet zakołysał się lekko na miękkich resorach. Razem ruszyliśmy do drzwi. Dzień był pochmurny, nocny deszcz ochłodził powietrze, pozostawiając na całym niebie strzępy obłoków. Aluminiowy siding baru odbijał szare niebo. Było zimno, zupełnie jakby nadeszła nowa pora roku.

Weszliśmy do środka. Pusto. Zajęliśmy miejsca, kelnerka w okularach przyniosła nam kawę. Zamówiliśmy jajka na bekonie i mnóstwo różnych dodatków. Na zewnątrz zatrzymała się czarna półciężarówka. Ta sama czarna półciężarówka, którą oglądałem już trzy razy. Ale z

innym kierowcą. Nie był to młody Kliner, lecz starszy mężczyzna, na oko, koło sześćdziesiątki, lecz twardy i szczupły. Stalowosiwe włosy ostrzyżone tuż przy skórze, ubrany jak ranczer, w dżins. Wyglądał, jakby całe życie spędził na słońcu. Już przez okno wyczułem otaczającą go aurę władzy. Niemal widziałem błysk jego oczu. Roscoe szturchnęła mnie łokciem i wskazała głową przybysza.

- To właśnie Kliner - powiedziała. - Stary szef we własnej osobie.

Kliner otworzył drzwi i przez moment zatrzymał się w progu. Spojrzał w lewo, w prawo. Podszedł do lady. Eno wynurzył się z kuchni. Przez chwilę rozmawiali cicho, pochylając ku sobie głowy. Potem Kliner wyprostował się, zawrócił, przystanął. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo. Przez moment zatrzymał wzrok na Roscoe. Twarz miał pociągłą, płaską, surową, z wąską linią ust. Jego oczy powędrowały ku mnie. Miałem wrażenie, jakby zalało mnie światło reflektora. Wargi mężczyzny rozchyliły się w osobliwym uśmiechu. Miał niesamowite zęby, długie, zakrzywione do wewnątrz kły, płaskie, kwadratowe siekacze, poźółkłe jak u starego wilka. Jego usta znów się zacisnęły. Odwrócił wzrok, otworzył drzwi i z chrzęstem ruszył do wozu, po czym odjechał z rykiem wielkiego silnika. Spod kół posypał się deszcz kamyków.

Odprowadziłem go wzrokiem i odwróciłem się do Roscoe.

- Opowiedz mi więcej o tych Klinerach - poprosiłem. Nadal sprawiała wrażenie podenerwowanej.

- Dlaczego? - spytała. - Tu chodzi o nasze życie, a ty chcesz rozmawiać o Klinerach.

- Szukam informacji - wyjaśniłem - a ich nazwisko pojawia się wszędzie. Kliner sprawia wrażenie interesującego człowieka. Jego syn to niezły numer i widziałem jego żonę, wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z naszą sprawą.

Roscoe wzruszyła ramionami, pokręciła głową.

- Nie wiem, jak to możliwe. Są tu nowi, przyjechali zaledwie pięć lat temu. Ich rodzina kilka pokoleń wcześniej zarobiła majątek na uprawie bawełny w stanie Missisipi. Wynaleźli jakiś nowy środek chemiczny, coś z chlorem czy sodem, sama nie wiem. Zbili majątek, ale potem zaczęli mieć kłopoty z Agencją Ochrony Środowiska. Jakies pięć lat temu, chodziło o zanieczyszczenia czy coś w tym rodzaju. Ich ścieki wytruły ryby w rzece aż do Nowego Orleanu.

- I co się wtedy stało? - spytałem.

- Kliner przeniósł całą fabrykę - odparła. - Wówczas należała już do niego. Zamknął zakład w Missisipi i otworzył go ponownie gdzieś w Wenezueli. Potem spróbował czegoś

nowego. Zjawił się tu, w Georgii, i pięć lat temu otworzył magazyn. Sprzęty gospodarstwa domowego, elektronika, te rzeczy.

- Zatem nie są miejscowi?

- Pięć lat temu pierwszy raz ujrzałam ich na oczy. Niewiele o nich wiem, ale nigdy nie słyszałam nic złego. Klinier to pewnie twardziel, może nawet bezwzględny, ale póki nie wejdzie mu się w drogę, jest w porządku.

- Dlaczego zatem jego żona tak bardzo się boi? Roscoe skrzywiła się.

- Ona się nie boi - powiedziała. - Jest chora. Może lęka się choroby. Pewnie umrze. To nie wina Kliniera.

Zjawiała się kelnerka, przynosząc jedzenie. Zjedliśmy w milczeniu. Wielkie porcje, naprawdę pyszne żarcie, zwłaszcza jajka. Eno umiał przyrządzać jajka. Popiłem wszystko kilkoma kubkami kawy. Kelnerka nieustannie biegła do nas - z nowymi dzbankami.

- *Pluribus* nic dla ciebie nie znaczy? - spytała Roscoe. - Nigdy nie rozmawialiście o tej nazwie, gdy byliście dziećmi?

Zastanowiłem się chwilę i w końcu pokręciłem głową.

- To łacina?

- Część motta Stanów Zjednoczonych, zgadza się? - odparłem. - *E Pluribus Unum*. Oznacza to: „z wielu jedność”. Jeden naród zbudowany z wielu byłych kolonii.

- Zatem *Pluribus* znaczy: wiele? - dopytywała się. - Czy Joe znał łacinę?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznałem. - Prawdopodobnie. Mądry był z niego facet, pewnie znał trochę łaciny. Nie jestem pewien.

- W porządku - mruknęła. - I nie masz pojęcia, po co tu przyjechał?

- Przypuszczam, że chodziło o pieniądze. Tylko to przychodzi mi na myśl. Joe, z tego, co wiem, pracował dla Departamentu Skarbu. Hubble był bankierem, łączyły ich tylko pieniądze. Może ci z Waszyngtonu powiedzą coś więcej. Jeżeli nie, będziemy musieli zacząć od początku.

- Okay. Potrzebujesz czegoś?

- Raportu o aresztowaniu z Florydy

- Shermana Stollera? Minęły już dwa lata.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- W porządku, poproszę o niego. - Wzruszyła ramionami. - Zadzwoń na Florydę.

Coś jeszcze?

- Potrzebuję broni - oznajmiłem.

Nie odpowiedziała. Zostawiłem dwudziestkę na laminowanym blacie. Oboje wstaliśmy i ruszyliśmy do samochodu.

- Potrzebuję broni - powtórzyłem. - To poważna sprawa, więc potrzebna mi spluwa. Nie mogę pójść do sklepu i po prostu jej kupić. Nie mam dokumentów ani adresu.

- Zgoda - westchnęła Roscoe - załatwię ci broń.

- Nie mam pozwolenia - przypomniałem. - Będziesz musiała działać po cichu.

Przytaknęła.

- Nie ma sprawy - stwierdziła. - Mam dostęp do spluwy, o której nikt nie wie.

\* \* \*

Pocałowaliśmy się mocno na parkingu przed posterunkiem. Potem wysiedliśmy z wozu i otworzyliśmy ciężkie szklane drzwi. O mało nie wpadliśmy na Finlaya, który właśnie wychodził.

- Muszę wrócić do kostnicy - oznajmił. - Pojedziecie ze mną, dobrze? Musimy porozmawiać. Mamy wiele do omówienia.

Ponownie wyszliśmy na dwór i wsiedliśmy do chevroleta Roscoe. Tak samo jak przedtem, ona prowadziła, ja siedziałem z tyłu, Finlay z przodu przekreślony tak, by widzieć nas oboje. Roscoe ruszyła na południe.

- Dostałem telefon z Departamentu Skarbu - oznajmił Finlay. - Rozmawialiśmy co najmniej dwadzieścia minut, może nawet pół godziny. Bałem się, że Teale się zorientuje.

- I co powiedzieli? - spytałem.

- Nic - odparł. - Potrzebowali pół godziny, by nie powiedzieć niczego.

- Zupełnie nic? Co to znaczy?

- Nic nie chcieli mi powiedzieć - wyjaśnił. - Zanim zdradzą choć słowo, domagali się mnóstwa oficjalnych upoważnień i próśb od Teale'a.

- Ale potwierdzili, że Joe dla nich pracował?

- Jasne, tyle zrobili. Dziesięć lat temu skończył służbę w wywiadzie wojskowym. Sami go znaleźli i zatrudnili.

- Po co? - spytałem. Finlay wzruszył ramionami.

- Nie chcieli powiedzieć - rzekł. - Dokładnie rok temu zaczął pracę nad nowym projektem, ale wszystko to jest ściśle tajne. Był tam grubą rybą, Reacher, to pewne. Trzeba było słyszeć, jak o nim mówili. Jak o Bogu.

Jakiś czas milczałem. Nic nie wiedziałem o Joem. Absolutnie nic.

- I to wszystko? Niczego więcej się nie dowiedziałeś?

- Nie - powiedział. - Cały czas naciskałem, w końcu dotarłem do kobiety, Molly Beth Gordon. Słyszałeś o niej?

- Nie - mruknąłem - a powinienem?

- Zdaje się, że była blisko z Joem. Może nawet bardzo blisko. Była bardzo zdenerwowana, płakała.

- I co ci powiedziała? - spytałem.

- Nic. - Westchnął. - Nie miałem upoważnienia. Ale obiecała powiedzieć tobie. Oznajmiła, że się wychyli, bo jesteś młodszym bratem Joego.

Skinąłem głową.

- W porządku, tak już lepiej. Kiedy mogę z nią porozmawiać?

- Zadzwoń około wpół do drugiej. Mają wtedy przerwę na lunch, będzie pusto. Kobieta mocno ryzykuje, ale porozmawia z tobą tak powiedziała.

- W porządku - powtórzyłem. - Mówiła coś jeszcze?

- Ujawniła jeden szczegół - oznajmił Finlay. - Joe zwołał wielką konferencję. Na przyszły poniedziałek.

- Poniedziałek? Czyli dzień po niedzieli?

- Zgadza się. Wygląda na to, że Hubble miał rację. Coś się stanie w niedzielę albo wcześniej. Cokolwiek Joe robił, wiedział, że do tego czasu wygra bądź przegra. Nic więcej nie chciała powiedzieć. W ogóle nie powinna ze mną rozmawiać, miałem też wrażenie, że kto imiemy może ją usłyszeć. Zadzwoń więc, ale nie licz na zbyt wiele, Reacher. Możliwe, że w ogóle nic nie wie. Nie wie lewica, co czyni prawica. Tak tam to działa. Tajemnice i tak dalej.

- Biurokracja - mruknąłem. - Komu, do diabła, potrzebna jest biurokracja? W porządku, zakładamy, że musimy radzić sobie sami. Przynajmniej jakiś czas. Będziemy znów potrzebowali Picarda.

Finlay przytaknął.

- Zrobi, co może - zapewnił. - Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Hubble'owie są bezpieczni. W tej chwili przywarował, ale gdybyśmy go potrzebowali, pomoże.

- Powinien zacząć szukać śladów Joego. Joe musiał mieć wóz. Prawdopodobnie przyleciał z Waszyngtonu do Atlanty, wynajął pokój w hotelu i samochód. Powinniśmy poszukać tego auta. Musiał tu przyjechać wieczorem. Wóz pewnie został porzucony gdzieś w okolicy. Być może doprowadzi nas do hotelu. A tam coś znajdziemy, na przykład akta.

- Picard nie może tego zrobić - powiedział Finlay. - FBI nie zajmuje się szukaniem porzuconych wynajętych samochodów. My też nic nie zdziałamy, nie przy Teale'u.

Wzruszyłem ramionami.



- Będziemy musieli, nie ma innego wyjścia. Sprzedaj Teale'owi jakąś historyjkę. Możesz sprawdzić jego blef. Powiedz, że ustaliłeś, iż uciekinier, który podobno załatwił Morrisonów, przyjechał wynajętym samochodem. Dodaj, że musisz to sprawdzić. Nie może ci odmówić, w przeciwnym razie podważyłby własną historyjkę.

- Zgoda - rzucił Finlay. - Spróbuję, może nawet się uda.

- Joe musiał mieć przy sobie numery telefonów. Numer, który znalazłeś w jego bucie, został oddarty z komputerowego wydruku. Gdzie jest zatem reszta? Założę się, że w pokoju hotelowym. Leży tam lista numerów, z oddartym numerem Hubble'a. Znajdź więc samochód, potem naciśnij Picarda, by odszukał hotel przez firmę wynajmu. Dobra?

- Dobra. Zrobię, co będę mógł.

\* \* \*

W Yellow Springs skręciliśmy w dróżkę prowadząca do szpitala i zwolniliśmy, pokonując kolejne garby. Po chwili znaleźliśmy się na parkingu na tyłach. Przystanęliśmy tuż obok drzwi kostnicy. Nie chciałem wchodzić do środka, Joe wciąż tam leżał. Zaczynałem zastanawiać się nad zorganizowaniem pogrzebu. Nigdy wcześniej nie miałem z tym do czynienia. Pogrzeb ojca załatwiła piechota morska, matką zajął się Joe.

Wysiadłem jednak z samochodu wraz z pozostałą dwójką i razem ruszyliśmy do drzwi. Bez trudu trafiliśmy do nieporządnego gabinetu. Za biurkiem siedział ten sam lekarz, nadal w białym fartuchu. Wciąż sprawiał wrażenie zmęczonego. Wezwał nas gestem, usiedliśmy. Przycupnąłem na jednym ze stołków, nie chciałem znów siedzieć obok faksu. Lekarz po kolei zmierzył nas wzrokiem. Odpowiedzieliśmy spojrzeniem.

- Co pan dla nas ma? - spytał Finlay.

Zmęczony mężczyzna za biurkiem zebrał się w sobie, jakby szykował się do wykładu. Ze stosu po lewej zdjął trzy teczki, położył je przed sobą otworzył pierwszą potem sięgnął po drugą i także ją otworzył.

- Morrison - powiedział. - Pan i pani. Ponownie zerknął na nas. Finlay skinął głową.

- Torturowani i zamordowani - oznajmił patolog. - Wyraźnie widać kolejność. Kobieta została obezwładniona, powiedziałbym, że zrobili to dwaj mężczyźni. Przytrzymywali i wykręcali jej ręce. Wyraźne sińce na przedramionach i ramionach. Uszkodzenia ścięgien w wykręconych rękach. Sińce powiększały się od chwili, gdy ją złapali, aż do momentu śmierci. Gdy krązenie ustaje, nie ma już siniaków. Rozumiecie?

Skinęliśmy głowami. Rozumieliśmy.

- Szacuję, że w sumie minęło dziesięć minut. Dziesięć minut od początku do końca. Przytrzymali kobietę, mężczyznę przybili do ściany. Przypuszczam, że oboje byli już nadzy. Wcześniej mieli na sobie nocne stroje, prawda?

- Szlafroki - odparł Finlay. - Jedli śniadanie.

- W porządku. Najpierw pozbyto się szlafroków - ciągnął lekarz. - Mężczyzna został przybity do ściany, technicznie rzecz biorąc również do podłogi, przez stopy. Odcięto mu mosznę. Ślady pośmiertne sugerują, że kobietę zmuszono do przełknięcia obciętych jąder.

W gabinecie zapadła cisza jak w grobie. Roscoe spojrzała na mnie. Jakiś czas patrzyła w milczeniu, potem odwróciła głowę w stronę lekarza.

- Znalazłem je u niej żołądku - dodał patolog.

Roscoe była biała jak jego fartuch. Miałem wrażenie, że zaraz spadnie ze stołka. Przymknęła oczy, zbierając siły. Słyszała, co ktoś zaplanował także dla nas.

- I? - nacisnął Finlay.

- Potem okaleczono kobietę, odcięto jej piersi, porznięto genitalia, podcięto gardło. Następnie przecięto gardło mężczyzny. To ostatnia zadana rana. Krew tryskająca z przeciętych tętnic pokryła inne plamy krwi w pomieszczeniu.

Znów cisza. Potrwała jakiś czas.

- Broń? - spytałem.

Mężczyzna za biurkiem zwrócił ku mnie znużone spojrzenie.

- Niewątpliwie coś ostrego. - Lekki uśmiech. - Proste ostrze, jakieś dziesięć, dwanaście centymetrów.

- Brzytwa? - podsunąłem.

- Nie - zaprzeczył. - Z pewnością coś równie ostrego jak brzytwa, ale sztywnego, nie składanego, i obusiecznego.

- Dlaczego?

- Ślady wskazują, że używano obu krawędzi tnących. - Mężczyzna pokręcił głową zataczając niewielki łuk. - O, tak. Na piersiach kobiety, w obie strony, jak przy filetowaniu.

Przytaknąłem. Roscoe i Finlay milczeli.

- A tamten mężczyzna - spytałem. - Stoller?

Patolog odsunął na bok teczkę Morrisonów i otworzył trzecią. Przebiegł przez nią wzrokiem i popatrzył na mnie. Trzecia teczka była grubsza niż poprzednie.

- Nazywał się Stoller? Tu występuje jako NN. Roscoe uniosła wzrok.

- Wysłaliśmy wam faks - wtrąciła - wczoraj rano. Zidentyfikowaliśmy odciski.

Patolog zaczął grzebać na zabałaganionym biurku. Znalazł zwinięty w rulon faks. Odczytał go i skinął głową. Skreślił wypisane na teczce litery NN i pod spodem napisał: Sherman Stoller. Ponownie uśmiechnął się lekko.

- Mam go tu od niedzieli, więc zdołałem sprawdzić nieco dokładniej. Trochę nadgryziony przez szczury, ale w znacznie lepszym stanie niż ten pierwszy i oboje Morrisonowie.

- Co więc może nam pan powiedzieć? - naciskałem. - Mówiliśmy już o pociskach, zgadza się? Jeśli chodzi o przyczynę zgonu, nie mam nic więcej do dodania.

- Co jeszcze pan wie?

Teczka była za gruba wyłącznie na strzały, ucieczkę i wykrwawienie na śmierć. Lekarz wyraźnie miał do powiedzenia coś jeszcze. Dostrzegłem, iż pogłodził opuszkami kartki, jakby próbował odebrać ich wibracje albo odczytać zapis w języku Braille'a.

- Był kierowcą ciężarówki - powiedział.

- Tak? - spytałem.

- Tak sędzę. - W jego głosie dźwięczała pewność siebie.

Finlay uniósł wzrok. To go zainteresowało. Uwielbiał dedukcję, fascynowała go, jak wtedy gdy zgadłem, że studiował na Harvardzie, rozwiódł się i rzucił palenie.

- Proszę mówić dalej.

- W skrócie - zaczął lekarz - znalazłem sporo przekonujących śladów. Praca siedząca: słabe mięśnie, kiepska postawa, obwisłe pośladki. Dość szorstkie dłonie, pod skórą ślady oleju diesla. Podobne ślady na podeszwach butów. Do tego kiepska dieta, dużo tłuszczu i za dużo siarkowodoru w tkankach i krwi. Ten człowiek spędzał życie na drogach, wciągając w płuca spaliny innych. Ślady paliwa sugerują, że kierował ciężarówką.

Finlay przytaknął. Ja także. Stoller nie miał żadnych dokumentów, niczego poza zegarkiem. Gość był niezły, z zadowoleniem przyjął naszą aprobatę. Wyglądał, jakby miał do powiedzenia coś jeszcze.

- Ale jakiś czas nie pracował - dodał.

- Dlaczego? - spytał Finlay.

- Bo wszystkie ślady są stare - wyjaśnił lekarz. - Wygląda to tak, jakby przez długi czas pracował jako kierowca, ale potem przestał. Od dziewięciu miesięcy, może roku, rzadko zasiadał za kierownicą. Uważam, że to kierowca ciężarówki, ale ostatnio bezrobotny.

- Świetna robota, doktorze - pogratulował mu Finlay. - Ma pan dla nas kopie akt?

Lekarz przesunął po biurku grubą kopertę. Finlay zabrał ją, potem wstaliśmy. Chciałem opuścić to miejsce, nie wracać do chłodni. Nie chciałem oglądać kolejnych obrażeń.

Roscoe i Finlay wyczuli to. Pożegnaliśmy się i odeszliśmy, jakbyśmy byli już gdzieś spóźnieni. Lekarz wypuścił nas bez słowa. Często widywał ludzi, którzy opuszczali jego gabinet w pośpiechu, jakby gdzieś się spieszyli.

Wsiedliśmy do samochodu Roscoe. Finlay otworzył kopertę, wyciągnął akta Shermana Stollera. Wsunął je do kieszeni.

- Chwilowo są tylko dla nas - oznajmił. - Może do czegoś nas doprowadzą.

- Ściągnę z Florydy raport o aresztowaniu - powiedziała Roscoe. - Gdzieś musi być jego adres. Kierowcy ciężarówek mają sporo papierów, dokumenty związkowe, medyczne, uprawnienia. Łatwo je znajdziemy.

Resztę drogi do Margrave pokonaliśmy w milczeniu. Na posterunku czuwał tylko sierżant na recepcji. Przerwa na lunch w Margrave, przerwa na lunch w Waszyngtonie, ta sama strefa czasowa. Finlay wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, wręczył mi go i stanął na straży drzwi gabinetu. Wszedłem do środka, by zadzwonić do kobiety, która być może była kochanką mojego brata.

\* \* \*

Od Finlaya dostałem prywatny numer telefonu Molly Beth Gordon. Odebrała po pierwszym dzwonku. Przedstawiłem się, a ona zaczęła płakać.

- Głos masz zupełnie jak Joe - mruknęła.

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem zagłębiać się we wspomnienia. Ona także, jeśli się wychyliła i bała, że ktoś ją podsłucha, powinna po prostu powiedzieć mi to, co ma do powiedzenia i rozłączyć się.

- Co właściwie Joe tu robił? - spytałem.

Usłyszałem, jak pociąga nosem. Po chwili odezwała się wyraźnie.

- Prowadził dochodzenie - oznajmiła. - Nie wiem dokładnie, w jakiej sprawie.

- Ale tak ogólniej? - spytałem. - Czym się zajmował?

- Nie wiesz?

- Nie - odrzekłem. - Niestety, rzadko utrzymywaliśmy kontakt. Będziesz musiała zacząć od początku.

Nastąpiła chwila ciszy.

- W porządku - zdecydowała. - Nie powinnam ci tego mówić. Nie bez upoważnienia. Ale zrobię to. Chodziło o fałszerstwa. W Departamencie Skarbu kierował operacjami przeciwko fałszerzom.

- Fałszerstwa? - powtórzyłem. - Fałszywe pieniądze?

- Tak. Był szefem. Wszystkim kierował. To był niesamowity facet, Jack.

- Ale co robił tu, w Georgii? - zapytałem.

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie wiem. Zamierzam się tego dla ciebie dowiedzieć. Mogę skopiować jego pliki. Znam hasło.

Teraz wiedziałem już coś o Molly Beth Gordon. Dość długo zajmowałem się hasłami komputerowymi, jak każdy żandarm wojskowy. Studiowałem też psychologię. Większość użytkowników nie stara się specjalnie, wielu zapisuje cholerne hasło na karteczce i przykleja do monitora. Ci bardziej inteligentni używają imienia współmałżonka, psa, ulubionej marki samochodu, gracza w piłkę, nazwy wyspy, na której spędzali miesiąc miodowy albo dmuchnęli sekretarkę. Naprawdę inteligentni używają cyfr, nie słów, wybierają jednak datę urodzenia, rocznicę ślubu czy coś oczywistego. Jeśli wiadomo coś o użytkowniku, zwykle ma się sporą szansę ustalenia hasła.

Ale z Joem to nigdy by to nie przeszło. Był zawodowcem. Długo służył w wywiadzie wojskowym. Jego hasło to z pewnością losowe połączenie cyfr, liter, znaków przestankowych, dużych i małych. Nie do złamania. Jeśli Mary Beth Gordon je znała, Joe musiał jej sam powiedzieć. Nie było innego sposobu. Naprawdę jej ufał. Był jej bliski. Toteż pozwoliłem, by w moim głosie zabrzmiała nuta czułości.

- Molly, to byłoby cudowne. Naprawdę potrzebuję tych informacji.

- Wiem, że tak - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że do jutra je zdobędę. Zadzwońię znowu, gdy tylko będę mogła. Kiedy tylko czegoś się dowiem.

- Czy fałszują tu pieniądze? - spytałem. - O to w tym wszystkim chodzi?

- Nie. To nie tak. W Stanach już tego nie robią. Wszystkie te historie o małych faceciach w zielonych okularkach, którzy w ukrytych piwnicach drukują banknoty dolarowe to bzdury. Coś takiego się nie zdarza. Joe położył temu kres. Twój brat był geniuszem, Jack. Wiele lat temu ustalił procedury dotyczące sprzedaży specjalnego papieru i tuszu. Jeśli ktoś spróbuje, przyszpila go po kilku dniach. Stuprocentowa skuteczność. W Stanach nie drukuje się już pieniędzy. Joe tego dopilnował. Wszystkie pochodzą z zagranicy. Każdy fałszywy banknot został tu sprowadzony. Tym właśnie zajmował się Joe. Fałszerstwami międzynarodowymi. Nie wiem, po co pojechał do Georgii, naprawdę. Ale obiecuję, że jutro się dowiem.

Podaliśmy jej numer na posterunek i poleciłem, by nie rozmawiała z nikim oprócz mnie, Roscoe bądź Finlaya. Potem odwiesiła szybko słuchawkę, jakby ktoś właśnie wszedł do pokoju. Przez chwilę siedziałem bez ruchu, próbując sobie wyobrazić, jak wygląda.

Teale wrócił na posterunek, a towarzyszył mu stary Kliner. Stali razem przy recepcji, pochylając się ku sobie. Kliner przemawiał do Teale'a, tak jak wcześniej do Ena w barze.

Może chodziło o sprawy fundacji. Roscoe i Finlay stali razem przy celach. Podszedłem do nich. Zatrzymałem się między nimi i ściszyłem głos.

- Falszerstwa - oznajmiłem. - Tu chodzi o fałszowanie pieniędzy. Joe kierował działem Departamentu Stanu, zwalczającym fałszerstwa. Wiecie coś o tym? Któreś z was cokolwiek słyszało?

Oboje wzruszyli ramionami i pokręcili głowami. Usłyszałem trzask towarzyszący otwarciu szklanych drzwi. Uniosłem wzrok. Kliner właśnie wychodził. Teale ruszył w naszą stronę.

- Znikam stąd - oświadczyłem.

Wyminąłem Teale'a i skierowałem się do wyjścia. Kliner stał na parkingu obok czarnej półciężarówki. Czekał na mnie. Uśmiechnął się, ukazując wilcze zęby.

- Przykro mi z powodu pańskiej straty - powiedział.

Głos miał cichy, spokojny, wyedukowany, lekko syczący. Nie pasował do stroju i opalenizny.

- Zdenerwował pan mojego syna - dodał.

Spojrzał na mnie. Coś zapłonęło w jego oczach. Wzruszyłem ramionami.

- On zdenerwował mnie pierwszy.

- Jak? - spytał ostro Kliner.

- Żył i oddychał? - rzuciłem.

Ruszyłem przez parking. Kliner wsiadł do czarnej półciężarówki, włączył silnik i odjechał, skręcając na północ. Ja skręciłem na południe. Ruszyłem pieszo do domu Roscoe. Ponad kilometr w jesiennym chłodzie. Dziesięć minut szybkiego marszu. Wyprowadziłem bentleya z garażu i już wozem wróciłem do miasta. Zacząłem krążyć po Main Street, zerkając w lewo i w prawo pod eleganckie pasiaste markizy. Szukałem sklepu z ubraniami. Znalazłem go trzy drzwi od zakładu fryzjerskiego. Zostawiłem bentleya na ulicy, wszedłem do środka i wydałem część pieniędzy od Charlie Hubble na parę spodni, koszulę i marynarkę. Płowy kolor, bawełna, niemal oficjalny garnitur. Bez krawata. Zapłaciłem żadaną sumę nadąsanemu mężczyźnie w średnim wieku i przebrałem się w kabinie na tyłach. Stare ciuchy zwinąłem w kłębek i wrzuciłem do bagażnika.

Przeszedłem trzy domy dalej do zakładu fryzjerskiego. Młodszy z dwóch starszków właśnie wychodził. Zatrzymał się, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Jak się nazywasz, synu? - spytał.

Nie było powodu nie mówić, a przynajmniej żadnego nie dostrzegałem.

- Jack Reacher.

- Masz w tym mieście przyjaciół Latynosów? - Nie.

- Cóż, teraz już masz - rzekł. - Dwaj goście. Wszędzie cię szukają.

Spojrzałem na niego. Przebiegł wzrokiem ulicę.

- Kim oni są?

- Nigdy wcześniej ich nie widziałem - powiedział starszek. - Drobni faceci, brązowy samochód, kolorowe koszule. Kręcili się wszędzie, wypytując o Jacka Reachera. Odparliśmy, że nie słyszeliśmy o żadnym Jacku Reacherze.

- Kiedy to było?

- Dziś rano. Po śniadaniu. Skinąłem głową.

- W porządku. Dzięki.

Starszek przytrzymał przede mną drzwi.

- Wchodź do środka. Mój współnik się tobą zajmie. Ale jest dziś trochę roztargniony. Starzeje się.

- Dzięki - powtórzyłem. - Do zobaczenia.

- Taką mam nadzieję, synu.

Ruszył spacerkiem w dół Main Street, a ja wszedłem do zakładu. Starszy fryzjer trwał na posterunku. Zgarbiony starszek, którego siostra śpiewała ze Ślepym Blakiem. Nie dostrzegłem innych klientów. Pozdrowiłem go skinieniem głowy i usiadłem w fotelu.

- Dzień dobry, przyjacielu - powiedział.

- Pamięta mnie pan?

- Jasne, że tak - odparł. - Był pan naszym ostatnim klientem. Nikt nie zdążył zakłócić mi pamięci.

Poprosiłem o golenie. Zaczął szykować pianę.

- Ostatnim klientem? Przecież to była niedziela, a dziś mamy wtorek. Zawsze wam tak źle idzie?

Starszek przerwał i machnął brzytwą.

- I to od lat - oznajmił. - Stary burmistrz Teale do nas nie przychodzi, a czego nie robi burmistrz, nie robią też inni biali. Poza starym panem Grayem z posterunku. Zjawiał się tu regularnie jak w zegarku, trzy, cztery razy z tygodniu. Póki się nie powiesił. Niech spoczywa w pokoju. Jest pan pierwszą białą twarzą, jaką oglądamy tu od ostatniego lutego. O tak, bez dwóch zdań.

- Dlaczego Teale tu nie przychodzi? - spytałem.

- Ma problem - odparł starszek. - Pewnikiem nie chce siadać owinięty tu w ręcznik, kiedy obok stoi Murzyn z brzytwą. Może boi się, że mogłoby go spotkać coś złego.

- A mogłoby go spotkać coś złego? Roześmiał się krótko.  
- Myślę, że jest takie ryzyko - mruknął. - Dupek.  
- Czy macie dość czarnych klientów, by zarobić na życie? Owinął mi ramiona ręcznikiem i zaczął nakładać pianę.

- Człowieku, my nie potrzebujemy klientów, by zarobić na życie.

- Nie? A czemu?

- Dostajemy dotację. - Naprawdę? Ile?

- Tysiąc dolarów. - Kto wam ją daje?

Zaczął pracować nad moim podbródkiem. Jego ręka trzęsła się, jak to u starca.

- Fundacja Klinera - szepnął. - Program wspierania miejscowych inicjatyw. To dotacja biznesowa. Wszyscy kupcy ją dostają. Od pięciu lat.

Skinąłem głową.

- Świetnie. Ale tysiąc dolców na rok nie wystarczy na utrzymanie. Chyba wciąż potrzebujecie klientów?

Po prostu rozmawiałem, jak to z fryzjerem. Ale starszkiem jakby zatrzęsło. Zaczął trząść się i śmiać. Z trudem dokończył golenie. Cały czas patrzyłem w lustro. Po ostatniej nocy głupio byłoby dać sobie poderżnąć gardło.

- Człowieku, nie powinienem ci tego mówić - szepnął. - Ale ponieważ jesteś przyjacielem mojej siostry, zdradzę ci wielki sekret.

Zaczynało mu się mieszać. Nie byłem przyjacielem jego siostry, nawet jej nie znałem. Tylko mi o niej opowiedział. To wszystko. Stał tam z brzytwą, patrzyliśmy na siebie w lustrze. Tak jak z Finlayem w barku.

- To nie tysiąc dolarów rocznie - szepnął. A potem pochylił mi się do ucha. - To tysiąc dolarów tygodniowo.

Zaczął podskakiwać, chichocząc jak demon. Napełnił zlew, splukał resztę piany. Obtarł mi twarz gorącym ręcznikiem. Potem, niczym magik, zerwał drugi ręcznik z ramion.

- Dlatego właśnie nie potrzebujemy klientów. - Zachichotał. Zapłaciłem mu i wyszedłem. Facet oszalał.

- Proszę pozdrowić moją siostrę! - zawołał za mną.

## 17

**T**rasa z Margrave do Atlanty liczy niemal osiemdziesiąt kilometrów. Jej pokonanie zabrało mi ponad godzinę. Autostrada prowadziła wprost do miasta. Skierowałem się w stronę najwyższych budynków. Gdy tylko pojawiły się pierwsze marmurowe przedstonki,



zostawiłem samochód i pieszo przeszedłem na najbliższy róg. Poprosiłem policjanta, by wskazał mi drogę do dzielnicy handlowej.

Gliniarz udzielił mi instrukcji i wkrótce otoczyły mnie banki. Sunrise International mieścił się we własnym budynku - wielkiej szklanej wieży za placem z fontanną. Zewnętrzna fasada nasuwała skojarzenie z Mediolanem, lecz wejście u podstawy wieżowca - ciężki kamienny portyk - przywodziło na myśl raczej Frankfurt albo Londyn. Poważny, solidny bank. Hol pełen ciemnych dywanów i skóry. Recepcjonistka za kontuarem z mahoniem. Równie dobrze mogłem trafić do spokojnego hotelu.

Spytałem o gabinet Paula Hubble'a. Recepcjonistka zaczęła szukać w spisie. Oznajmiła, że bardzo jej przykro, ale jest ta nowa i mnie nie poznaje. Czy zatem zechciałbym zaczekać, póki z kimś się nie skontaktuje? Wybrała numer i zamieniła cicho kilka słów. Nagle zakryła dłonią słuchawkę.

- Mogę spytać, w jakiej sprawie pan przychodzi?

- Jestem przyjacielem pana Hubble'a - odparłem.

Kobieta podjęła rozmowę, potem wskazała mi windę. Musiałem pojechać na recepcję na szesnastym piętrze. Wsiadłem do środka, nacisnąłem przycisk. Stałem bez ruchu, a winda niosła mnie w górę.

Szesnaste piętro jeszcze bardziej kojarzyło się z eleganckim burdelem - dywany, boazerie, półmrok, pełno starannie odnowionych antyków i starych obrazów. W chwili gdy ruszyłem naprzód, zapadając się w grubą wykładzinę, otwarły się drzwi i ze środka wyszedł mi na spotkanie facet w garniturze. Uścisnął mi dłoń i zaprosił do niewielkiej poczekalni. Przedstawił się jako jakiś menedżer. Usiedliśmy.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

- Szukam Paula Hubble'a.

- Mogę spytać dlaczego?

- To stary przyjaciel - wyjaśniłem. - Pamiętam, że wspominał, iż ta pracuje. A że jestem przejazdem, pomyślałem, że go odwiedzę.

Facet w garniturze przytaknął, spuścił wzrok.

- Widzi pan, chodzi o to - rzekł - że pan Hubble już ta nie pracuje. Niestety, około półtora roku temu musieliśmy go zwolnić.

Przytaknąłem tępo. Potem, siedząc bez ruchu w małym eleganckim biurze, uniosłem głowę i spojrzałem na mojego rozmówcę. Czekałem. Odrobina ciszy może zachęcić go do mówienia. Gdybym natychmiast zaczął zadawać pytania, mógłby się zamknąć, powołać na prywatność, jak prawnik. Widziałem, że w gruncie rzeczy lubił sobie pogadać, podobnie jak

większość kierowników. Gdy tylko nadarza się szansa, uwielbiają imponować innym. Siedziałem zatem cicho i czekałem. Po chwili gość zaczął mnie przeproszać, bo byłem przecież przyjacielem Hubble'a.

- Rozumie pan, to nie chodziło o niego, świetnie spisywał się w swojej pracy, zajmował się jednak dziedziną, z której zrezygnowaliśmy. Strategiczna decyzja biznesowa. Niestety, nie najprzyjemniejsza dla zaangażowanych w nią ludzi, ale tak bywa.

Skinąłem głową, jakbym doskonale rozumiał.

- Od dawna nie kontaktowałem się z Hubble'em - powiedziałem. - Nie wiedziałem. W ogóle nie miałem pojęcia, czym się ta zajmował.

Uśmiechnąłem się do niego, starając się sprawiać wrażenie błogiej ignorancji. Nie przyszło mi to zbyt trudno, byłem przecież w banku. Spojrzałem pytająco. Takie spojrzenie praktycznie zawsze rozwiązuje języki gadułow, korzystałem z niego już wiele razy.

- Pan Hubble pracował w dziale detalicznym - wyjaśnił mi facet. - Zamknęliśmy go.

Spojrzałem znacząco i uniosłem brwi.

- Detalicznym? - powtórzyłem.

- Obsługa klientów indywidualnych - wyjaśnił. - No wie pan: gotówka, czeki, kredyty, rachunki.

- I zamknęliście ten dział? Dlaczego?

- Zbyt wiele nas kosztował - rzekł. - Duży przerób, mały zysk. Postanowiliśmy się go pozbyć.

- I Hubble tym się zajmował? Mężczyzna przytaknął.

- Pan Hubble był kierownikiem do spraw obrotu gotówkowego. To bardzo ważne stanowisko, a on świetnie sobie radził.

- Na czym dokładnie polegała jego praca?

Mój rozmówca nie wiedział, jak mi to wytłumaczyć. Nie wiedział, od czego zacząć. Spróbował kilka razy i poddał się.

- Rozumie pan, jak działa gotówka? - spytał.

- Mam trochę gotówki - odparłem. - Ale nie wiem, czy ją rozumiem.

Gestem polecił, bym wstał, i wezwał mnie do okna. Razem wyjrzelśmy na wędrujących ulicą ludzi, szesnaście pięter w dole. Wskazał jakiegoś faceta w garniturze, spieszącego trawnikiem.

- Weźmy na przykład tego mężczyznę - powiedział - i postarajmy się odgadnąć kilka rzeczy. Prawdopodobnie mieszka na dalekich przedmieściach, może ma też letni domek. Dwa duże kredyty hipoteczne, dwa samochody, pół tuzina funduszy powierniczych, plan

emerytalny, trochę akcji, fundusz edukacyjny dla dzieci, pięć, sześć kart kredytowych, karty sklepowe, płatnicze. W sumie szacuję go na jakieś, powiedzmy, pół miliona.

- W porządku - zgodziłem się.

- Ale ile ma gotówki?

- Nie mam pojęcia.

- Pewnie około pięćdziesięciu dolarów - rzekł. - Jakies pięćdziesiąt dolarów w skórzanym portfelu, który kosztował go sto pięćdziesiąt.

Spojrzałem na niego. Nie rozumiałem, do czego zmierza. Zmienił ton, stał się bardzo cierpliwy.

- Gospodarka Stanów Zjednoczonych jest olbrzymia - powiedział. - Wchodzą tu w grę olbrzymie kwoty, wartości, zobowiązania. Biliony dolarów, lecz niemal w ogóle nie mają one swojego odpowiednika w gotówce. Ten człowiek jest wart pół miliona dolarów, a w gotówce dysponuje pięćdziesięcioma. Reszta to dokumenty bądź zapisy w komputerach. Po kraju nie krąży aż tak wiele gotówki. W całych Stanach Zjednoczonych w obrocie znajduje się około stu trzydziestu miliardów papierowych dolarów.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Jak na mnie to całkiem sporo. Tamten popatrzył na mnie surowo.

- Ale ilu mamy ludzi? - spytał. - Niemal trzysta milionów. To oznacza czterysta pięćdziesiąt papierowych dolarów na głowę. Oto problem, z którym co dzień muszą borykać się banki, zajmujące się obsługą klientów indywidualnych. Czterysta pięćdziesiąt dolarów to bardzo skromna wypłata gotówkowa. Jeśli jednak każdy z klientów postanowi jej dokonać, w mgnieniu oka wszystkim bankom zabraknie gotówki.

Urwał i spojrzał na mnie. Skinąłem głową.

- Tak - powiedziałem - rozumiem.

- A większość gotówki nie leży wcale w bankach - ciągnął. - Można ją znaleźć w Vegas albo na torach wyścigowych. Skupiona jest w miejscach, które nazywamy wysokogotówkowymi obszarami gospodarki. Dobry kierownik do spraw obrotu gotówkowego, a pan Hubble był jednym z najlepszych, stale toczy walkę o to, by w naszym systemie pozostało dość papierowych dolarów. Musi sam ich szukać, wiedzieć, gdzie je znaleźć, umieć je wywęszyć. To niełatwe. W końcu stało się to jednym z czynników, które znacząco podniosły koszt obsługi detalicznej. Jednym z powodów, dla których się wycofaliśmy. Utrzymywaliśmy ją możliwie jak najdłużej, ale w końcu musieliśmy zamknąć całą operację i zwolnić pana Hubble'a. Było nam z tego powodu bardzo przykro.

- Orientuje się pan może, gdzie teraz pracuje? - spytałem. Pokręcił głową.

- Niestety, nie.

- Gdzieś chyba musi pracować, prawda? Tamten znów potrząsnął głową.

- Pod względem zawodowym jakby zapadł się pod ziemię - rzekł. - Nie pracuje w bankowości, tego jestem pewien. Niemal natychmiast zrezygnował z członkostwa w instytucie i nigdy nikt nie dowiadywał się u nas o referencje. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Gdyby pracował gdzieś w bankowości, zapewniam, że wiedziałbym o tym. Musi obecnie zajmować się czymś innym.

Wzruszyłem ramionami. Ślad Hubble'a już dawno ostygł, a nasza rozmowa dobiegła końca. Wskazywała na to wyraźnie mowa ciała faceta. Kręcił się, pochylał naprzód, jakby był gotów wstać i wyjść. Podniosłem się wraz z nim. Podziękowałem za poświęcony mi czas. Uścisnąłem mu rękę, zostawiłem za sobą mrok i antyki, wsiałem do windy, nacisnąłem guzik parteru i po chwili stanąłem pod szarym, pochmurnym niebem.

Wszystkie moje założenia okazały się fałszywe. Uważałem Hubble'a za bankiera, uczciwego bankiera. Może przymykał oko na drobne oszustwa, może umoczył palec w jakimś brudnym interesie. Zaakceptował kilka fałszywych liczb. Działał pod przymusem, z bronią przytkniętą do skroni. Zaangażowany, użyteczny - owszem, ale nie aż tak ważny. On jednak nie był bankierem. Już od półtora roku pozostawał wyłącznie przestępcą. Na pełen etat, w samym środku wszystkiego. Tkwił w tym po uszy.

\* \* \*

Pojechałem wprost na posterunek w Margrave. Zaparkowałem samochód i ruszyłem na poszukiwania Roscoe. Teale krążył po sali głównej, lecz sierżant za biurkiem mrugnął do mnie porozumiewawczo i skinieniem głowy wskazał archiwum. Istotnie, Roscoe tam była. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Dźwigała naręcza starych akt. Uśmiechnęła się.

- Cześć, Reacher - rzuciła. - Przyszedłeś, żeby zabrać mnie jak najdalej od tego wszystkiego?

- Masz coś nowego?

Rzuciła stos papierów na szafkę. Otrzeptała się z kurzu, odrzuciła włosy, zerknęła na drzwi.

- Kilka rzeczy - oznajmiła. - Za dziesięć minut Teale ma spotkanie rady fundacji. Gdy tylko wyjdzie, dostanę faks z Florydy. Czekamy też na telefon od policji stanowej w sprawie porzuconych samochodów.

- Gdzie broń, którą miałaś mi załatwić?

Umilkła, przygryzła wargę. Przypomniała sobie, po co potrzebowałem broni.

- W pudełku - odparła - w moim biurku. Będziemy musieli poczekać, póki Teale nie wyjdzie. I nie otwieraj go tutaj, dobrze? Nikt o tym nie wie.

Wyszliśmy razem z archiwum i ruszyliśmy do gabinetu z boazerią. Na posterunku panował spokój. Dwaj faceci z piątkowego wsparcia przeglądali rejestry komputerowe. Wszędzie wokół piętrzyły się stosy teczek. Udawane polowanie na mordercę komendanta. Na ścianie dostrzegłem nową dużą tablicę z napisem: Morrison. Była pusta. Jak dotąd nie poczynili specjalnych postępów.

Wraz z Finlayem czekaliśmy w gabinecie pięć minut, dziesięć. W końcu usłyszeliśmy pukanie, drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Baker. Uśmiechnął się szeroko, znów ujrzałem błysk złotego zęba.

- Teale już poszedł - oznajmił.

Wyszliśmy na zewnątrz, Roscoe włączyła faks i podniosła słuchawkę, by zadzwonić na Florydę. Finlay wybrał numer policji stanowej, sprawdzając wiadomości o porzuconych wynajętych samochodach. Ja usiadłem za biurkiem obok Roscoe i zadzwoniłem do Charlie Hubble. Wybrałem numer telefonu komórkowego, który Joe wydrukował i ukrył w bucie. Nikt nie odpowiedział. Jedyne elektroniczny dźwięk i nagrany głos informujący, iż telefon, pod którego numer dzwonię, został wyłączony.

Spojrzałem na Roscoe.

- Wyłączyła tę cholerną komórkę.

Roscoe wzruszyła ramionami i podeszła do faksu. Finlay wciąż rozmawiał z policją stanową, Baker trzymał się nieco na uboczu, poza utworzonym przez nas trójkątem. Wstałem i zbliżyłem się do Roscoe.

- Czy Baker chce do nas dołączyć?

- Chyba tak - odparła. - Finlay używa go jako kogoś w rodzaju wartownika. Powinniśmy go wciągnąć?

Zastanowiłem się chwilę, potem jednak potrząsnąłem głową.

- Nie - powiedziałem. - Przy takiej operacji im mniej osób w niej uczestniczy, tym lepiej.

Znów usiadłem za opuszczonym biurkiem i ponownie sprawdziłem komórkę. To samo. Ten sam cierpliwy elektroniczny głos informujący, że telefon został wyłączony.

- Cholera - mruknąłem do siebie. - Niewiarygodne. Musiałem się dowiedzieć, gdzie Hubble spędzał czas przez ostatnie półtora roku. Może Charlie podsunie mi jakiś pomysł - godziny, o których rano wyjeżdżał z domu i o których wieczorem wracał, pokwitowania, rachunki z restauracji i tak dalej. Może też przypomniało jej się coś dotyczącego niedzieli

*albo Plwibus*. Możliwe, że wpadła na coś przydatnego - a potrzebowałem tego czegoś, bardzo potrzebowałem. Ona zaś wyłączyła cholerną komórkę.

- Reacher - zagadnęła Roscoe - mam informacje dotyczące Shermana Stollera.

W rękę trzymała kilka gęsto zadrukowanych kartek z faksu.

- Świetnie - burknąłem. - Spójrzmy na to. Finlay rozłączył się i podszedł do nas.

- Stanowi oddzwonią - oznajmił. - Może coś dla nas mają.

- Świetnie - powtórzyłem. - Może do czegoś dojdziemy.

Wróciliśmy do gabinetu, rozłożyliśmy na biurku akta Shermana Stollera i pochyliliśmy się nad nimi. Był to raport o aresztowaniu z posterunku policji w Jacksonville na Florydzie.

- Ślepy Blake urodził się w Jacksonville - powiedziałem. -

Wiedzieliście o tym?

- Kto to jest Ślepy Blake? - spytała Roscoe.

- Piosenkarz - odparł Finlay.

- Gitarzysta, Finlay - poprawiłem.

Sherman Stoller został zatrzymany przez radiowóz za przekroczenie prędkości na moście rzeczonym pomiędzy Jacksonville i Jacksonville Beach kwadrans przed północą we wrześniową noc dwa lata temu. Prowadził wtedy małą ciężarówkę, piętnaście kilometrów na godzinę powyżej dozwolonej prędkości. Bardzo się zdenerwował i zaczął zachowywać się ordynarnie w stosunku do załogi radiowozu. Dlatego właśnie go aresztowali. Podejrzewali narkotyki. W komendzie w Jacksonville zdjęto mu odciski i zrobiono zdjęcie, przeszukano też jego i samochód. Podał adres w Atlancie i oznajmił, że z zawodu jest kierowcą ciężarówki. Rewizja osobista nie przyniosła rezultatów, potem przeszukano ciężarówkę, także z psami. Nic. Ciężarówka wiozła z Jacksonville Beach jedynie ładunek dwudziestu nowych klimatyzatorów, przeznaczonych na eksport. Kartony były zapieczętowane, oznaczone logo producenta. Na każdym wydrukowano numer seryjny.

Po odczytaniu mu jego praw Stoller wykonał jeden telefon. Po dwudziestu minutach na posterunku zjawił się prawnik nazwiskiem Perez, przedstawiciel firmy Zacarias Perez z Jacksonville. Po kolejnych dziesięciu minutach Stollera zwolniono. Od chwili zgarnięcia do momentu, gdy wyszedł z prawnikiem, minęło pięćdziesiąt pięć minut.

- Ciekawe - mruknął Finlay. - Facet znajduje się czterysta kilometrów od domu, jest północ i w ciągu dwudziestu minut udaje mu się ściągnąć prawnika, współnika szanowanej firmy. Niezły z niego kierowca ciężarówki, to pewne.

- Poznajesz jego adres? - spytałem Roscoe. Pokręciła głową.

- Raczej nie, ale mogę sprawdzić.

Drzwi uchyliły się, Baker wsunął do środka głowę.

- Dzwonią z policji stanowej - oznajmił. - Wygląda na to, że znaleźli samochód.

Finlay zerknął na zegarek. Uznał, iż do powrotu Teale'a ma jeszcze dość czasu.

- Okay - powiedział. - Przełącz tutaj, Baker.

Podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i zaczął słuchać. Zapisał coś, potem mruknął krótkie dziękuję. Odwiesił słuchawkę i wstał z krzesła.

- W porządku - rzekł. - Obejrzyjmy go.

Wyszliśmy szybko, musieliśmy sporo się oddalić, nim Teale zdąży wrócić i zacznie zadawać pytania. Baker odprowadził nas wzrokiem. Zawołał za nami.

- Co mam powiedzieć Teale'owi?

- Powiedz, że znaleźliśmy samochód - odparł Finlay. - Ten, którym ów pieprzony recydywista dostał się do Morrisonów.

Powiedz, że to ogromny postęp.

\* \* \*

Tym razem to Finlay prowadził. Korzystał z nieoznakowanego wozu, chevroleta, identycznego z tym, jakim jeździła Roscoe. Z piskiem wyjechał z parkingu i skręcił na południe. Przyspieszył, pozostawiając za sobą małe miasteczko. Pierwszych kilka kilometrów rozpoznałem: trasa do Yellow Springs. Potem jednak skręciliśmy na drogę zmierzającą wprost na wschód. Szosa wiodła ku autostradzie, kończyła się czymś w rodzaju placu budowy, tuż przy drodze. Wokół wały się stopy beczek po smole i asfalcie, a także samochód. Zepchnięty z autostrady, leżał na dachu.

Był całkiem spalony.

- Zauważyli go w piątek rano - powiedział Finlay. - W czwartek go nie było, to pewne. Mógł należeć do Joego.

Dokładnie obejrzelśmy wrak. Niewiele było do oglądania. Całkowicie wypalony, wszystko, co nie było ze stali, zniknęło. Nie potrafiliśmy nawet określić, jaka to marka. Sądząc z kształtu, Finlay uznał, iż został wyprodukowany przez General Motors, ale to wszystko. Średni samochód osobowy. Gdy plastikowe elementy znikną, nie da się już odróżnić buicka od chevroleta czy pontiaca.

Poprosiłem Finlaya, by przytrzymał przedni zderzak i wczółgałem się pod odwróconą maskę, szukając numeru na ramie. Musiałem zdrapać resztki zwęglonego plastiku, ale w końcu znalazłem mały aluminiowy pasek i zdołałem odczytać większą część numeru. Wyczołgałem się i wyrecytowałem go Roscoe. Zapisła.

- Co o tym sądzisz? - spytał Finlay.

- Możliwe, że to ten - odparłem. - Powiedzmy, że wynajął go w czwartek wieczór na lotnisku w Atlancie. Pełny bak benzyny. Przyjechał do magazynu na rozjeździe w Margrave, potem ktoś odprowadził wóz tutaj. Zużyli parę galonów, dwa, dwa i pół. Pozostało jeszcze sporo na podpałkę.

Finlay przytaknął.

- Ale musieliby być miejscowi. To świetne miejsce do porzucenia samochodu. Zjechać na pobocze, zepchnąć wóz na dół, zbiec za nim, podpalić, a potem wskoczyć do wozu kumpla, który czeka obok. I już. Trzeba jednak się orientować, że jest tu podjazd techniczny, a o tym mógłby wiedzieć tylko miejscowy.

Zostawiliśmy wrak i wróciliśmy na posterunek. Sierżant za biurkiem czekał już na Finlaya.

- Teale wzywa cię do siebie - oznajmił.

Finlay mruknął pod nosem i ruszył w stronę gabinetu. Złapałem go za rękę.

- Zatrzymaj go jakiś czas - poprosiłem. - Daj Roscoe możliwość przekazania numeru samochodu.

Skinął głową i pomaszerował na tyły. Wraz z Roscoe skierowaliśmy się do jej biurka. Uniosła słuchawkę, ale ją powstrzymałem.

- Daj mi broń - szepnąłem. - Zanim Teale skończy z Finlayem. Skinęła głową, rozejrzała się wokół, usiadła i odpięła od pasa klucze. Otworzyła biurko, wysunęła głęboką szufladę. Skinieniem głowy wskazała płytke pudełko kartonowe. Podniosłem je: biurowe pudło na papiery, głębokie na jakieś pięć centymetrów, pokryte misternym wzorem słoju drewna. Ktoś wypisał na nim nazwisko: Gray. Wsunąłem pudełko pod pachę i podziękowałem Roscoe skinieniem głowy. Zatrzasnęła szufladę i ponownie przekręciła klucz w zamku.

- Dzięki - rzuciłem. - A teraz zadzwoń, dobrze? Wróciłem do wejścia i plecami otwarłem ciężkie szklane drzwi.

Zaniosłem pudełko do Bentleya, postawiłem na dachu, otworzyłem drzwiczki, wrzuciłem broń do środka, sam wsiadłem i wziąłem pudełko na kolana. Nagle jakieś sto metrów na północ ujrzałem na drodze zwalniający brązowy samochód.

W środku siedziało dwóch Latynosów. Ten sam wóz, który dostrzegłem poprzedniego dnia przed domem Charlie Hubble. Ci sami faceci, nie ma wątpliwości. Ich samochód zatrzymał się jakieś siedemdziesiąt pięć metrów od posterunku. Znieruchomiał, jakby wyłączono silnik. Żaden z facetów nie wysiadł. Po prostu tam siedzieli, siedemdziesiąt pięć



metrów ode mnie, obserwując parking przed posterunkiem. Miałem wrażenie, że patrzą wprost na Bentleya. Najwyraźniej moi nowi przyjaciele mnie znaleźli. Szukali cały ranek, teraz nie musieli już szukać. Nic nie robili, tylko tkwili w miejscu, obserwowali. Patrzyłem na nich przez ponad pięć minut. Wiedziałem, że nie zamierzają wysiąść - zajęli już pozycję. Z powrotem skupiłem się na pudełku.

W środku znalazłem wyłącznie naboje i pistolet. Niezła spluwa. Pistolet automatyczny Desert Eagle, używałem już takiego. Produkują je w Izraelu. Dostajemy je w zamian za różne eksportowane towary. Podniosłem - bardzo ciężki, lufa ponad trzydzieści pięć centymetrów długości, w sumie długi na czterdzieści pięć centymetrów. Wyjąłem magazynek. Wersja ośmiostrzałowa, czterdziestka czwórka, osiem pocisków czterdzieści cztery magnum. Trudno to nazwać subtelną bronią. Jeden pocisk waży dwa razy więcej niż kule z policyjnej trzydziestki ósemki, opuszcza lufę z prędkością ponaddwukrotnie uderza w cel z siłą porównywalną do rozpedzonej lokomotywy. Zero subtelności. Amunicja to pewien problem. Mamy wybór. Jeśli wybierzemy pociski w twardym płaszczu, przelecą na wylot przez gościa, w którego celujemy i prawdopodobnie przez następnego sto metrów dalej. Miękki pocisk wywali w celu dziurę wielkości kubła na śmieci. Wóz albo przewóz.

Pociski w pudełku były miękkie. To nie problem. Sprawdziłem starannie broń. Brutalna, lecz w świetnym stanie. Wszystko działało. Na kolbie wyryto nazwisko: Gray. To samo co na pudełku. Nieżyjący detektyw, poprzednik Finlaya. Powiesił się w lutym. Pewnie kolekcjonował pistolety. To nie była broń służbowa - żadna policja świata nie autoryzowałaby użycia podobnej armaty. Zbyt niebezpieczna.

Załadowałem wielki pistolet nieżyjącego detektywa. Osiem pocisków. Resztę schowałem do pudełka i położyłem na podłodze samochodu. Przeładowałem broń i zabezpieczyłem. Zwarty i gotowy, tak to nazywaliśmy. Dzięki temu oszczędza się ułamek sekundy przed pierwszym strzałem. Czasami może to ocalić życie. Wsadziłem pistolet do orzechowego schowka na rękawiczki Bentleya. Ledwie wszedł.

Potem chwilę siedziałem bez ruchu, spoglądając na dwóch mężczyzn w samochodzie. Wciąż mnie obserwowali. Patrzyliśmy na siebie z odległości siedemdziesięciu pięciu metrów. Sprawiali wrażenie spokojnych, odprężonych, ale nie spuszczaali ze mnie oka. Wysiadłem z Bentleya, zamknąłem wóz. Wróciłem do wejścia, pociągnąłem drzwi. Obejrzałem się na brązowy samochód. Wciąż tam stał, wciąż na mnie patrzyli.

\* \* \*

Roscoe siedziała za biurkiem, rozmawiała przez telefon. Pomachała do mnie. Sprawiała wrażenie podnieconej. Uniosła rękę prosząc, bym zaczekał. Obejrzałem się na drzwi gabinetu z nadzieją, że Teale nie wyjdzie, dopóki Roscoe nie odłoży słuchawki.

Wyszedł właśnie w chwili, gdy skończyła, czerwony na twarzy, wyraźnie wściekły. Zaczął miotać się po sali, stukając o podłogę ciężką laską. Gniewnym wzrokiem powiódł po pustej tablicy. Finlay wystawił głowę z gabinetu i wezwał mnie skinieniem. Wzruszyłem ramionami, oglądając się na Roscoe, po czym poszedłem sprawdzić, co miał mi do powiedzenia.

- O co chodzi? - spytałem. Roześmiał się.

- Podpuszczałem go - wyjaśnił. - Spytał, co robiliśmy, czemu szukaliśmy samochodu. Odparłem, że nie szukaliśmy, że powiedzieliśmy Bakerowi, iż bierzemy samochód, ale on źle usłyszał i uznał, że chodzi o szukanie.

- Uważaj, Finlay - mruknąłem. - Tu giną ludzie. To poważna sprawa.

Wzruszył ramionami.

- Wszystko to doprowadza mnie do szału. Muszę się jakoś rozerwać.

Przeżył dwadzieścia lat w Bostonie, może przeżyje i teraz.

- Co u Picarda? Odzywał się?

- Nie - odparł. - Czuwa.

- Czy mógł przysłać tu dwóch facetów, żeby mnie pilnowali? Finlay pokręcił głową ze zdecydowaną miną.

- Nie ma mowy - stwierdził. - Najpierw by mnie uprzedził. Dlaczego? - posterunek obserwują dwaj faceci - oznajmiłem. - Przyjechali jakieś dziesięć minut temu. Zwykły brązowy samochód. Wczoraj byli u Hubble'a. Cały ranek krążyli po mieście, wypytując o mnie.

Ponownie pokręcił głową.

- To nie ludzie Picarda. Powiedziałby mi.

Do środka weszła Roscoe. Zamknęła drzwi i przytrzymała ręką jakby Teale mógł w każdej chwili wpaść do środka.

- Zadzwoiłam do Detroit - oznajmiła. - To był pontiac, dostarczony cztery miesiące temu. Wielkie zamówienie firmy wynajmu samochodów. Departament Pojazdów Kołowych sprawdza rejestrację. Poprosiłam, by skontaktowali się z Picardem w Atlancie. Może pracownicy wypożyczalni powiedzą, gdzie został wynajęty. Może to coś da.

Poczułem się nieco bliżej Joego, jakbym usłyszał w dali słabe echo.

- Świetnie - mruknąłem. - Dobra robota, Roscoe. A teraz znikam stąd. Spotkamy się o szóstej. Wy dwoje trzymajcie się razem, okay? Pilnujcie się.

- Dokąd jedziesz? - spytał Finlay.

- Na przejażdżkę po okolicy - odparłem.

Zostawiłem ich w gabinecie i wróciłem do wyjścia. Pchnąłem drzwi, przekroczyłem próg. Spojrzałem na północ. Samochód wciąż tam stał, siedemdziesiąt pięć metrów dalej. Dwaj mężczyźni nadal siedzieli w środku i patrzyli. Podeszedłem do bentleya, otworzyłem drzwi, wsiałem do środka. Wyjechałem z parkingu, skręcając w lokalną drogę. Wolno, leniwie minąłem obu mężczyzn, zmierzając na północ. W lusterku zobaczyłem, że samochód rusza za mną i skręca na drogę. Przyspieszył, kierując się na północ, i ustawił się za mną, jakbym holował go na długim, niewidzialnym holu. Zwolniłem, on także. Przyspieszyłem, on też. Zupełnie jak w grze.

## 18

Minąłem bar Ena i nadal zmierzałem na północ, zostawiając za sobą miasto. Samochód wciąż jechał za mną w odległości czterdziestu metrów. Nawet nie próbowali się ukryć - po prostu mnie śledzili. Patrzyli przed siebie. Skręciłem na zachód w kierunku Warburton, zwolniłem. Tamci za mną, wciąż w odległości czterdziestu metrów. Jechaliśmy leniwie na zachód. Na całym rozległym obszarze poruszaliśmy się wyłącznie my. W lusterku widziałem obu facetów, obserwowali mnie. Oświetlało ich popołudniowe słońce, wiszące nisko na niebie. Czerwone promienie jeszcze dodały im barw. Młodzi mężczyźni, Latynosi. Jaskrawe koszule, czarne włosy, porządni, bardzo podobni do siebie. Ich samochód podążał spokojnie moim śladem.

Pokonałem tak z dziesięć kilometrów, szukając stosownego miejsca. Mniej więcej co kilometr od szosy odchodziły w prawo i w lewo wyboiste drogi gruntowe, wiodące wprost na pola. Nie wiedziałem, do czego służą. Może prowadziły do miejsc, w których farmerzy parkowali swoje kombajny. Szukałem jednej szczególnej drogi, którą widziałem już wcześniej, okrążającej niewielką kępę drzew po prawej stronie szosy. Jedyna kryjówka w promieniu wielu kilometrów. Widziałem ją w piątek z okna więziennego autobusu i ponownie wracając z Alabamy. Mały solidny lasek. Tego ranka czubki drzew unosiły się nad mgłą. Niewielki owalny zagajnik tuż przy drodze po prawej. Droga gruntowa zakreślała za nim i ponownie podchodziła do szosy.

Już z odległości kilku mil dostrzegłem ciemną smugę na horyzoncie - drzewa. Ruszyłem w stronę zagajnika. Jedną ręką stworzyłem schowek na rękawiczki i wyciągnąłem

wielki automat, zaklinowując go między siedzeniem i oparciem. Tamci dwaj jechali za mną. Nadal utrzymywali się w odległości czterdziestu metrów. Pół kilometra od lasu przerzuciłem biegi i nacisnąłem gaz do dechy. Stary samochód zachłysnął się i śmignął naprzód. Przy rozjeździe skręciłem gwałtownie i podskakujący bentley zjechał z szosy, zakręcając za zagajnik. Nacisnąłem hamulec, chwyciłem broń i wyskoczyłem, pozostawiając otwarte lewe drzwi, jakbym wypadł i zanurkował wprost między drzewa.

Ja jednak wybiegłem drugą stroną, w prawo. Okrążyłem maskę i skoczyłem kilka metrów w głąb pola fistaszków, przywierając do ziemi. Przeczółgałem się między niskimi krzaczkami do miejsca, gdzie będzie musiał zatrzymać się ich wóz, tuż za bentleyem. Ukryty pod liśćmi przywarłem do mięsistych łodyg, do wilgotnej czerwonej ziemi. Czekałem. Szacowałem, że już z początku odpadli o kilkadziesiąt metrów. Nie przewidzieli, że gwałtownie przyspieszę. Odbezpieczyłem pistolet i wtedy usłyszałem brązowego buicka. Warkot silnika, jęki zawieszenia. Samochód pojawił się na drodze tuż przede mną, zatrzymał się za bentleyem, na tle drzew. Dzieliło mnie od niego około dwudziestu metrów.

Faceci byli całkiem sprytni. Widywałem już gorszych. Zanim jeszcze przystanęli, pasażer wyskoczył na drogę. Sądził, że ukryłem się w lesie, że zajdzie mnie od tyłu. Kierowca przecisnął się przez drzwi samochodu i wypadł z drugiej strony, jak najdalej od drzew. Dokładnie przede mną. Trzymał broń. Ukłąkł, zwrócony do mnie plecami, kryjąc się przede mną za buickiem, spoglądając między drzewa. Będę musiał coś zrobić, żeby się ruszył. Nie chciałem, by został przy samochodzie. Wóz musiał nadawać się do jazdy. Nie zamierzałem go uszkodzić.

Bardzo uważali na zagajnik, i o to chodziło. Dlaczego miałbym pojechać do jedyne go lasu w promieniu wielu kilometrów, a potem ukryć się na polu? Klasyczna dywersja i nabrali się na nią bez cienia wahania. Facet przy samochodzie spoglądał między drzewa, ja patrzyłem mu w plecy, celując z desert eagle'a.

Oddychałem cicho. Jego partner skradał się wolno przez lasek, szukał mnie. Wkrótce go zobaczę.

Zjawił się po jakichś pięciu minutach. Trzymał przed sobą broń. Okrążył tył buicka, ale do bentleya się nie zbliżał. Przykucnął obok partnera, obaj wzruszyli ramionami. Potem zaczęli niespokojnie przyglądać się bentleyowi. Obawiali się, że leżę na podłodze albo przycupnąłem za wielką srebrną chłodnicą. Mężczyzna, który wyszedł z lasu, poczołgał się naprzód, cały czas pilnując, by buick osłaniał go przed kimś ukrytym w lesie. Był tuż przede mną. Zaglądał pod bentleya, szukając moich stóp. Czołgał się wzdłuż całego wozu, słyszałem, jak sapie i jęczy, podciągając się na łokciach. Potem tak samo wrócił i ukłąkł obok partnera.

Obaj podnieśli się wolno i stanęli przy masce buicka. Ruszyli naprzód, zajrzeli do środka bentleya, razem podeszli na skraj zagajnika i spojrzeli w mrok. Nie mogli mnie znaleźć. Stali obok siebie na wyboistej drodze, z dala od samochodów - ciemne sylwetki na tle pomarańczowego nieba. Patrzyli na drzewa, zwróceniem plecami do pola i do mnie.

Nie wiedzieli, co robić. Chłopcy z miasta, może z Miami, ich stroje sugerowały Florydę. Przywykli do oświetlonych neonami uliczek i rusztowań budowlanych, do pościgów pod estakadami, na zaśmieconych podwórkach, których nigdy nie oglądają turyści. Nie wiedzieli, co począć z małym zagajnikiem, stojącym samotnie pośrodku milionów akrów fistaszków.

Strzeliłem im obu w plecy. Dwa szybkie strzały. Celowałem wysoko, między łopatki. Wielki automat wydał z siebie odgłos przypominający wybuch granatu. Wszędzie wokół wzleciały ptaki, dwa bliźniacze grzmoty wstrząsnęły okolicą. Odrzut rąbnął mnie w rękę. Obaj mężczyźni polecili naprzód i wylądowali na twarzach wśród drzew po drugiej stronie drogi. Podniosłem głowę i zerknąłem na nich. Ciała leżały bezwładnie. Puste skorupy, z których uleciało życie.

Nadal trzymając w dłoni pistolet, podszedłem do nich. Nie żyli. Widziałem wielu nieboszczyków, ci z pewnością byli martwi. Wielkie pociski magnum trafiły wysoko w plecy, w miejsce, gdzie zbiegają się wielkie tętnice i żyły doprowadzające krew do głowy. Kule zostawiły potworne rany. Patrzyłem w milczeniu na oba trupy i myślałem o Joem.

Później zabrałem się do pracy. Wróciłem do bentleya, zabezpieczyłem desert eagle'a i rzuciłem go z powrotem na siedzenie. Podszedłem do buicka, wyciągnąłem kluczyki, otworzyłem bagażnik. Chyba miałem nadzieję, że coś znajdę. Nie żałowałem, że ich zabiłem, ale poczułbym się jeszcze lepiej, gdybym coś znalazł. Na przykład dwudziestkę dwójkę z tłumikiem albo cztery pary gumowych kaloszy i cztery nylonowe kombinezony, kilka trzynastocentymetrowych noży. Coś w tym stylu. Ale znalazłem zupełnie coś innego. Znalazłem Spiveya.

Nie żył od kilku godzin. Strzelono mu w czoło z trzydziestki ósemki, z bliska. Lufę rewolweru musiało dzielić od głowy najwyżej dziesięć centymetrów. Potarłem kciukiem skórę wokół rany wlotowej. Przyjrzałem się uważnie. Ani śladu sadzy, lecz w skórze tkwiły małe, drobne kawałki prochu, których nie dawało się zetrzeć. Taki tatuaż oznacza strzał z bliskiej odległości. Dziesięć, może piętnaście centymetrów. Ktoś nagle podniósł broń, a gruby, powolny zastępca naczelnika nie zdążył się uchylić.

Na brodzie, w miejscu, gdzie go skaleczyłem nożem Morrisona, dostrzegłem strup. Małe węzłowe oczka były otwarte. Wciąż miał na sobie wyfluszczony mundur. Przez rozciętą

koszulę widziałem kawałek białego, włochatego brzucha. Nie był ułomkiem. Aby zmieścić go w bagażniku, złamali mu nogi, prawdopodobnie łopatą. Zgięli je na boki w kolanach, żeby upchnąć ciało. Patrzyłem na niego i ogarniała mnie wściekłość. Wiedział i nie powiedział mi, ale i tak go zabili. Fakt, że niczego nie zdradził, nie miał znaczenia. Wpadli w panikę, uciszali wszystkich, a zegar tykał, odmierzając minuty do niedzieli. Patrzyłem w martwe oczy Spiveya, jakbym wciąż mógł wyciągnąć z niego jakieś informacje.

Potem pobiegłem z powrotem do trupów na skraju lasu i przeszukałem je. Dwa portfele, umowa wynajmu samochodu, telefon komórkowy. To wszystko. Umowa dotyczyła buicka. Wynajęty na lotnisku w Atlancie w poniedziałek o ósmej rano. Wcześniej przylecieli. Sprawdziłem portfele. Ani śladu biletów lotniczych, prawa jazdy z Florydy, oba z adresami z Jacksonville. Bezosobowe zdjęcia, nieistotne nazwiska, pasujące karty kredytowe, mnóstwo gotówki. Zabrałem wszystkie pieniądze. Oni ich już nie wydadzą.

Wyjąłem z komórki akumulator i schowałem do kieszeni jednego z nich. Sam telefon trafił do kieszeni drugiego. Potem podciągnąłem trupy do buicka i wcisnąłem je do bagażnika wraz ze Spiveyem. Niełatwe zadanie - nie byli wysocy, lecz ciężko się nimi manewrowało. Spocilem się mimo chłodu. Musiałem mocno ich poupychać, by zmieścili się obok naczelnika. Rozejrzałem się i znalazłem rewolwery, trzydziestki ósemki, jeden w pełni naładowany, z drugiego raz strzelono. Sądząc z woni, niedawno. Wrzuciłem broń do bagażnika. Znalazłem buty pasażera. Wskoczył z nich, gdy dostał z mojej broni. One także wylądowały w bagażniku. Zatrzasnąłem klapę, wróciłem na pole, znalazłem swoją kryjówkę między krzakami w miejscu, z którego strzelałem. Pogrzebałem wokół, zebrałem dwie łuski, wsunąłem je do kieszeni.

A potem zamknąłem buicka i zostawiłem go tam. Uniosłem klapę bentleya, z bagażnika wyciągnąłem worek ze starym ubraniem. Moje nowe ciuchy pokrywały plamy czerwonego błota i smugi krwi. Przebrałem się, zwinąłem w kulę zakrwawione, zabłocone ciuchy i wepchnąłem do worka. Wrzuciłem go do bagażnika bentleya, zamknąłem. Na koniec odciąłem gałąź z drzewa i wytarłem wszystkie odciski stóp.

Powoli ruszyłem na wschód, do Margrave. Potrzebowałem czasu, żeby się uspokoić. Prosta zasadzka, bez problemów technicznych, praktycznie żadnego zagrożenia. Miałem za sobą trzynaście lat treningu, powinienem załatwić takich amatorów przez sen, lecz serce biło mi mocniej niż powinno. Wstrząsała mną adrenalina. Sprawił to widok Spiveya z połamanymi nogami. Oddychałem szybko, próbując się opanować. Bolała mnie prawa ręka, jakby ktoś rąbnął mnie w dłoń młotkiem. Zdrętwiała aż do łokcia. Niezły odrzut, nie ma co.

Huk też był niezły, wciąż dźwięczał mi w uszach. Czułem się jednak dobrze. Dobra robota. Jeszcze niedawno jechało za mną dwóch twardzieli, ale już ich się pozbyłem.

\* \* \*

Zaparkowałem przed posterunkiem, jak najdalej od drzwi. Z powrotem ukryłem broń w schowku na rękawiczki i wysiadłem. Robiło się późno, zapadał zmrok, wielkie niebo nad Georgią ciemniało, nabierając barwy granatu. Wschodził księżyc.

Roscoe siedziała za biurkiem. Na mój widok wstała. Wyszliśmy razem, po kilku krokach pocałowaliśmy się.

- Dowiedziałas się czegoś z wypożyczalni samochodów? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Jutro - odparła. - Picard się tym zajmuje. Stara się, jak może.

- Okay - rzekłem. - Jakie hotele macie w okolicy lotniska? Wyrecytowała długą listę. Podobną można by sporządzić przy każdym większym lotnisku. Wybrałem pierwszy wymieniony przez nią hotel. Potem opowiedziałem jej, co się stało z dwoma przybyszami z Florydy. Jeszcze tydzień temu by mnie za to aresztowała, posłała na krzesło elektryczne. Dziś jednak zareagowała inaczej. Czterej mężczyźni wędrujący po jej domu w gumowych butach odmienili jej spojrzenie na świat. Skinęła głową i uśmiechnęła się - ponuro, z satysfakcją.

- Dwóch mniej - powiedziała. - Dobra robota, Reacher. To byli oni?

- Z wczorajszej nocy? Nie. Nie pochodzili stąd, nie należą do dziesiątki Hubble'a. To wynajęci pomocnicy z zewnątrz.

- Byli dobrzy?

Wzruszyłem ramionami. Uniosłem dłoń i zakołysałem nią.

- Nie za bardzo - mruknąłem. - W każdym razie nie dość dobrzy.

Potem opowiedziałem jej, co znalazłem w bagażniku buicka. Skuliła się.

- A on, należał do dziesiątki? Spivey? Pokręciłem głową.

- Nie, to niemożliwe. On też był z zewnątrz. Nikt nie wciągałby do sprawy podobnie oślizgłego drania.

Przytaknęła. Otworzyłem bentleya, wyjąłem broń ze schowka. Pistolet był zbyt wielki, by zmieścić się w kieszeni, toteż wsadziłem go z powrotem do starego pudełka na akta, wraz z amunicją. Roscoe umieściła pudło w bagażniku swojego chevroleta. Ja zabrałem worek z poplamionym ubraniem. Zamknąłem bentleya i zostawiłem go na parkingu policyjnym.

- Jeszcze raz zadzwonię do Molly. Zbyt głęboko w to wszedłem. Potrzebuję więcej informacji. Jest sporo rzeczy, których nie rozumiem.

Na posterunku nie było już nikogo, toteż skorzystałem z gabinetu. Wybrałem waszyngtoński numer. Molly odebrała po drugim dzwonku.

- Możesz rozmawiać? - spytałem.

Poprosiła, bym zaczekał. Usłyszałem, jak wstaje i zamyka drzwi.

- Jeszcze za wcześnie, Jack - oznajmiła. - Nie wyciągnę danych przed jutrzejszym rankiem.

- Potrzebuję ogólnych informacji. Muszę zrozumieć, o co chodzi w tych sprawach międzynarodowych, którymi zajmował się Joe. Muszę wiedzieć, co się tu dzieje i czemu właśnie tutaj, skoro wszystko miało rozgrywać się za granicą.

Wyraźnie zastanawiała się, od czego zacząć.

- W porządku. Sytuacja ogólna - powiedziała. - Przypuszczam, iż Joe zakładał, że być może ktoś stąd kieruje całą operacją. Trudno to wszystko wyjaśnić, ale spróbuję. Falszerstw dokonuje się za granicą i najciekawsze jest to, że większość fałszywych pieniędzy tam pozostaje. Zaledwie nieliczne fałszywe banknoty trafiają do kraju. Nie jest to aż tak duży problem, lecz oczywiście chcemy z tym skończyć. Za granicą jednak sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Wiesz, ile gotówki krąży w samych Stanach, Jack?

Przypomniałem sobie rozmowę z bankierem.

- Sto trzydzieści miliardów dolarów - odparłem.

- Zgadza się - przytaknęła. - Za granicą natomiast krąży dokładnie dwa razy tyle. To fakt. Ludzie na całym świecie przechowują dwieście sześćdziesiąt miliardów amerykańskich dolarów. Leżą na kontach i w schowkach bankowych w Londynie, Rzymie, Berlinie, Moskwie. Tkwią ukryte w materacach w południowej Afryce i wschodniej Europie. Schowane pod podłogą, w fałszywych ścianach, w bankach, agencjach turystycznych, wszędzie. A dlaczego?

- Nie wiem - przyznałem.

- Bo dolar to najbardziej wiarygodna gotówka świata - wyjaśniła. - Ludzie w niego wierzą, chcą go mieć i oczywiście, nasz rząd jest z tego bardzo zadowolony.

- Dobrze to wpływa na jego ego?

Usłyszałem, jak przekłada słuchawkę do drugiej ręki.

- To nie kwestia emocji - rzekła - lecz czysty biznes. Zastanów się, Jack. Jeśli w czymś biurku w Bukareszcie tkwi studolarowy banknot, oznacza to, że ktoś gdzieś wymienił na niego dobra zagraniczne warte sto dolarów. To znaczy, że nasz rząd sprzedał mu kawałek papieru pokryty zieloną i czarną farbą i w zamian dostał sto dolców. Niezły interes. A ponieważ wszyscy ufają dolarom, istnieje duża szansa, iż owa setka przez wiele lat pozostanie



w szufladzie w Bukareszcie. Stany Zjednoczone nie będą musiały oddać tych dóbr. Póki świat ufa dolarom, zawsze wygrywamy.

- To o co chodzi? - spytałem.

- To trudno wyjaśnić - odparła Molly. - To kwestia wiary, zaufania. Problem niemal metafizyczny. Jeśli rynki zagraniczne zaleje fala fałszywych dolarów, samo w sobie nic to nie znaczy. Jeżeli jednak dowiedzą się o tym ludzie... O, to już zupełnie inna sprawa, bo wpadną w panikę, stracą wiarę i zaufanie. Nie będą już chcieli dolarów. Przerzucą się na jeny albo marki niemieckie i nimi zaczną wypychać materace. Pozbędą się dolarów. W jednej chwili rząd będzie musiał spłacić pożyczkę zagraniczną wartą dwieście sześćdziesiąt miliardów dolarów. W jednej chwili. A my nie zdołalibyśmy tego zrobić, Jack.

- Poważny problem - przyznałem.

- Owszem. Choć pozornie odległy. Fałszywe banknoty produkuje się za granicą i tam też głównie rozprowadza. To ma sens. Fabryki są ukryte w odległych krajach, tam, gdzie o nich nie wiemy, a fałszywki trafiają w ręce cudzoziemców, którzy z radością przyjmują wszystko, co choćby odrobinę przypomina prawdziwe dolary. To dlatego niewiele trafia do Stanów. Wracają tu tylko najlepsze.

- Czyli ile? - spytałem.

Wzruszyła ramionami. Westchnęła cicho, jakby ściągnęła wargi.

- Niewiele - odparła. - Może kilka miliardów.

- Kilka miliardów? - powtórzyłem. - To niewiele?

- Kropla w morzu z punktu widzenia makroekonomii, to znaczy w porównaniu z rozmiarami naszej gospodarki.

- A my co z tym robimy? - dopytywałem się.

- Dwie rzeczy - powiedziała. - Po pierwsze, Joe starał się to powstrzymać. Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego. Po drugie, wszyscy z całych sił udajemy, że nic takiego nie ma miejsca, by podtrzymać ich wiarę.

Skinąłem głową. Zacząłem powoli dostrzegać przyczyny, leżące u podstaw tajemniczości Waszyngtonu.

- No dobra - rzuciłem - gdybym zatem zadzwonił do Departamentu Stanu i spytał o wszystko?

- Zaprzeczylibyśmy zdecydowanie - odparła. - Powiedzielibyśmy: „Jakie fałszerstwa?”

\* \* \*

Przeszedłem przez cichą salę i dołączyłem do czekającej w samochodzie Roscoe. Poleciłem, by ruszyła w stronę Warburton. Gdy dotarliśmy do małego zagajnika, panował już mrok. Światło księżyca ledwie oświetlało drogę. Roscoe zatrzymała się we wskazanym przeze mnie miejscu. Pocałowałem ją i wysiadłem. Powiedziałem, że spotkamy się w hotelu. Lekko klepnąłem dach chevroleta i pomachałem jej na pożegnanie. Skręciła na szosę i odjechała powoli.

Przeszedłem przez zagajnik. Wolałem nie zostawiać śladów na drodze. Wypchany worek utrudniał mi ruchy. Wynurzyłem się spomiędzy drzew dokładnie obok buicka. Wciąż tam stał. Cisza i spokój. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, wsiadłem do środka, uruchomiłem silnik i ruszyłem naprzód. Resory uginały się z jękiem, tylny błotnik uderzał o wyboje. Nic dziwnego, w bagażniku tkwiło w tej chwili prawie trzysta kilo.

Dotarłem do szosy i ruszyłem na wschód, w stronę Margrave. Potem jednak skręciłem na północ, pokonując powoli ostami fragment czternastu mil, aż do autostrady. Minałem magazyny i dołączyłem do strumienia aut zmierzających do Atlanty. Nie jechałem szybko ani wolno, nie chciałem, by ktoś mnie zauważył. Brązowy buick był bardzo anonimowy, nieciekawny. Tego właśnie pragnąłem.

Po godzinie dzięki drogowskazom dotarłem na lotnisko. Znalazłem długoterminowy parking. Dostałem kwit przy automatycznej barierce i wjechałem do środka. Mnóstwo miejsca. Doskonale. Znalazłem wolne stanowisko niemal pośrodku, około stu metrów od najbliższego ogrodzenia. Wytarłem starannie kierownicę i dźwignię zmiany biegów. Wysiadłem, zabierając worek. Zamknąłem buicka i odszedłem.

Po minucie obejrzałem się za siebie i nie potrafiłem odróżnić porzuconego przeze mnie samochodu od innych. Gdzie najlepiej ukryć wóz? Na parkingu przy lotnisku. Dokładnie tak, jak najlepiej ukryć ziarenko piasku na plaży. Buick mógł stać tam cały miesiąc i nikogo to nie zainteresuje.

Pieszko ruszyłem w stronę barierki. Przy pierwszym koszu na śmieci pozbyłem się torby, przy drugim kwitu z parkingu. Za barierką wskoczyłem do darmowego mikrobusu i podjechałem do terminalu odlotów. Wszedłem tam, znalazłem łazienkę. Owinąłem klucze buicka w papierowy ręcznik i wyrzuciłem. Potem przemknąłem się przez salę przylotów i znów wyszedłem w wilgotną noc. Wsiadłem do darmowego autobusu hotelowego i pojechałem na spotkanie z Roscoe.

\* \* \*

Znalazłem ją w holu, zalanym jarzeniowym światłem. Za pokój zapłaciłem gotówką, jednym z banknotów, które zabrałem chłopcom z Florydy. Pojechaliśmy na górę windą.

Pokój był mroczny, nieciekawym, ale dość duży. Okna wychodziły na lotnisko. Potrójne szyby miały chronić przed hałasem odrzutowców. Wewnątrz wyraźnie brakowało powietrza.

- Najpierw coś zjemy - oznajmiłem.

- Najpierw weźmiemy prysznic - nie zgodziła się Roscoe.

Wzięliśmy zatem. Natychmiast poczuliśmy się lepiej. Namydaliśmy się i zaczęliśmy wygłupiać. Ostatecznie kochaliśmy się tam, a woda leciała na nas z góry. Potem pragnąłem jedynie skulić się i zasnąć. Byliśmy jednak głodni i mieliśmy do załatwienia sporo spraw. Roscoe naciągnęła ciuchy, które zabrała rano z domu - dżinsy, koszulę, kurtkę. Wyglądała świetnie, bardzo kobieco, lecz stanowczo. Ostra babka.

Wjechaliśmy windą do restauracji na najwyższym piętrze. Całkiem niezła. Panoramiczny widok na lotnisko i otaczające je dzielnice.

Siedliśmy przy oknie, przy świecach. Radosny cudzoziemiec przyniósł nam jedzenie. Pochłonałem wszystko, umierałem z głodu. Do tego piwo i dzbanek kawy. Po chwili znów zacząłem czuć się jak człowiek. Zapłaciłem za posiłek pieniędzmi nieboszczyka. Potem zjechaliśmy do holu, z kontuaru wzięliśmy plan Atlanty. Poszliśmy do samochodu Roscoe.

Nocne powietrze było zimne, wilgotne i śmierdziało kerozenem. Zapach lotniska. Już w wozie razem pochyliliśmy się nad planem. Roscoe ruszyła na północ. Prowadziła, ja próbowałem wskazywać jej drogę. Walcząc z korkami, dotarliśmy mniej więcej na miejsce - osiedle niskich domów, takie jakie zwykle ogląda się z lądujących samolotów. Małe domy na niewielkich działkach. Siatkowe ogrodzenia, zewnętrzne baseny, czasem ładne podwórza, czasem prawdziwe śmietniki. Stare, zaparkowane samochody. A wszystko skąpane w żółtym świetle sodowych lamp.

Znaleźliśmy właściwą ulicę, właściwy dom. Przyzwoite miejsce, zadbane, porządne i czyste. Mały piętrowy budynek, niewielkie podwórze, garaż na jeden samochód, wąska furtka w drucianym ogrodzeniu. Przeszliśmy przez nią, nacisnęliśmy dzwonek. Starsza kobieta uchyliła zabezpieczone łańcuchem drzwi.

- Dobry wieczór - powiedziała Roscoe. - Szukamy Shermana Stollera.

Spojrzała na mnie. Powinna była rzec, że szukamy jego domu. Doskonale wiedzieliśmy, gdzie znaleźć Shermana Stollera. Sherman Stoller leżał w kostnicy w Yellow Springs, siedemdziesiąt mil stąd.

- Z kim mam przyjemność? - spytała grzecznie starsza kobieta.

- Proszę pani, jesteśmy z policji - odparła Roscoe. No, to tylko w połowie prawda.

Starsza pani puściła drzwi i zdjęła łańcuch.

- Lepiej wejście - stwierdziła. - Jest w kuchni. Akurat je.

- Kto taki? - zapytała Roscoe.

Starsza kobieta zatrzymała się i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Sherman - wyjaśniła. - O niego wam przecież chodzi, prawda?

Poszliśmy za nią do kuchni. Przy stole starszy mężczyzna jadł właśnie kolację. Na nasz widok przestał, otarł wargi serwetką.

- To policjanci, Shermanie - oznajmiła kobieta. Mężczyzna spojrzał na nas tępo.

- Czy istnieje jeszcze jeden Sherman Stoller? - zagadnąłem. Tamten przytaknął. Sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- Nasz syn.

- Koło trzydziestki? - ciągnąłem. - Trzydzieści pięć lat? Znow przytaknął. Starsza pani stanęła za nim i położyła mu rękę na ramieniu. Rodzice.

- On tu nie mieszka - oznajmił mężczyzna.

- Ma kłopoty? - chciała wiedzieć kobieta.

- Moglibyście państwo podać nam jego adres? - naciskała Roscoe.

Zaczęli krzątać się tak jak zwykle ludzie starsi, szanujący władzę. Pragnęli zadać nam mnóstwo pytań, ale jedynie podali adres.

- Od dwóch lat tu nie mieszka - dodał starzec.

Bał się, próbował oderwać się od problemów, które nękały jego syna. Pozdrowiliśmy ich skinieniem głów i wycofaliśmy się. W chwili gdy zamykaliśmy drzwi frontowe, stary mężczyzna zawołał za nami.

- Wyprowadził się dwa lata temu.

Wyszliśmy przez furtkę i dalej do samochodu. Ponownie spojrzeliśmy na plan. Nie znaleźliśmy nowego adresu.

- Co myślisz o tej dwójce? - spytała Roscoe.

- Rodzicach? Wiedzą, że chłopak w coś się wplątał, że robi coś złego. Prawdopodobnie nie mają pojęcia, co dokładnie.

- Tak właśnie sądziłam - przytaknęła. - Poszukajmy go. Odjechaliśmy. Na pierwszej stacji Roscoe poprosiła o benzynę i wskazówki.

- Jakies pięć mil w przeciwną stronę - oznajmiła. Zawróciła samochód i ruszyła za miasto. - Nowe apartamenty przy polu golfowym.

Próbowała przeniknąć wzrokiem mrok, poszukując charakterystycznych znaków opisanych przez pracownika stacji. Po pięciu minutach zjechała z głównej drogi. Jeszcze chwila i zatrzymała się pod tablicą firmy budowlanej. Tablica reklamowała apartamenty najwyższej jakości, zbudowane tuż przy terenie rekreacyjnym. Firma szczyciła się, że

zaledwie kilka mieszkań pozostało nie sprzedanych. Za tablicą ujrzeliśmy szeregi nowych budynków, bardzo miłych, niedużych, lecz eleganckich. Balkony, garaże, przemyślane do ostatniego szczegółu. Z mroku wyłaniała się ambitnie zaprojektowana zieleń, oświetlone ścieżki wiodące do klubu. Po drugiej stronie nie było nic. Pewnie to pole golfowe.

Roscoe wyłączyła silnik. Siedzieliśmy w ciszy w samochodzie. Wyciągnąłem rękę wzdłuż siedzenia, pogładziłem jej ramię. Byłem zmęczony, cały dzień coś robiłem. Chciałem posiedzieć tak jakiś czas. Noc była cicha i brzydka. W samochodzie panowało przyjemne ciepło. Miałem ochotę posłuchać muzyki, czegoś przeszywającego, bolesnego. Czekala nas jednak robota. Musieliśmy znaleźć Judy, kobietę, która kupiła Shermanowi Stollerowi zegarek i kazała wygrawerować na nim napis: „Shermanowi. Kocham Cię. Judy”. Musieliśmy znaleźć Judy i zawiadomić ją, że mężczyzna, którego kocha, wykrwawił się na śmierć pod estakadą.

- Co o tym sądzisz? - spytała Roscoe, radosna, pełna energii.

- Nie wiem - odparłem. - Mieszkania na sprzedaż, nie do wynajęcia. Wyglądają na kosztowne. Czy kierowcę ciężarówki byłoby stać na coś takiego?

- Szczerze wątpię. Prawdopodobnie kosztują tyle, co mój dom, a ja nie zdołałabym spłacić kredytu bez dotacji. A zarabiam więcej niż każdy kierowca ciężarówki, bez dwóch zdań.

- W porządku - stwierdziłem. - Zgadujemy zatem, że stary Sherman także dostawał jakąś, jak to nazwałaś, dotację. W przeciwnym razie nie byłoby go stać na mieszkanie tutaj.

- Jasne - odparła - ale jaką dotację?

- Z rodzaju tych, przez które giną ludzie.

\* \* \*

Dom Stollera stał na tyłach. Prawdopodobnie wzniesiono go jako jeden z pierwszych. Starszy mężczyzna z biednej dzielnicy miasta poinformował mnie, że syn wyprowadził się dwa lata temu. Na oko się zgadzało - ta pierwsza uliczka mogła mieć właśnie jakieś dwa lata. Przeszliśmy krętymi chodnikami wokół starannie utrzymanych klombów i skręciliśmy na ścieżkę wiodącą do drzwi Shermana Stollera. Sama ścieżka - kamienie osadzone w przystrzyżonym trawniku - wymuszała nienaturalne kroki. Ja musiałem swoje skrócić, Roscoe wyciągać nogi, by przeskoczyć z kamienia na kamień. W końcu dotarliśmy do drzwi. Były niebieskie, nie lakierowane, pokryte staroświecką farbą.

- Powiemy jej? - spytałem.

- Chyba nie możemy nie powiedzieć - odparła Roscoe. - Musi to usłyszeć.

Zapukałem. Odczekałem chwilę i zastukałem ponownie. Usłyszałem skrzypienie podłogi, ktoś się zbliżał. Drzwi otwały się i ujrzałem kobietę. Mogła mieć jakieś trzydzieści lat, ale wyglądała starzej. Niska, zmęczona, nerwowa, tleniona blondynka. Spojrzała na nas.

- Jesteśmy z policji, proszę pani - oznajmiła Roscoe. - Szukamy mieszkania Shermana Stollera.

Chwila ciszy.

- Cóż, wygląda na to, że je znaleźliście - odparła w końcu kobieta.

- Możemy wejść? - spytała łagodnie Roscoe.

I znów cisza. Nikt się nie poruszył. Po chwili jasnowłosa kobieta zawróciła i ruszyła w głąb korytarza. Spojrzeliśmy po sobie z Roscoe. Ona pierwsza poszła za gospodynią, ja trzymałem się jej pleców. Zamknąłem za nami drzwi.

Kobieta zaprowadziła nas do salonu. Całkiem przyzwoitej wielkości, drogie meble, dywany, wielki telewizor. Nie dostrzegłem wieży ani książek. Wszystko to wydawało się nieco sztuczne, bez przekonania, jakby ktoś przez dwadzieścia minut siedział nad katalogiem, po czym wydał dziesięć tysięcy dolarów. Poproszę to, to i dwa z tych. Wszystko dostarczone jednego ranka i ustawione bez ładu i składu.

- Czy mam przyjemność z panią Stoller? - spytała Roscoe, nadal łagodnie i delikatnie.

- Mniej więcej - mruknęła kobieta. - Nie dokładnie panią, ale w sumie nie sprawia to żadnej różnicy.

- Ma pani na imię Judy? - wtrąciłem.

Skinęła głową. Jakiś czas kiwała nią w ciszy, zamyślona.

- On nie żyje, prawda? - stwierdziła w końcu.

Nie odpowiedziałem. W tych sprawach nie radziłem sobie najlepiej. To rola Roscoe. Ona także milczała.

- Nie żyje, prawda? - powtórzyła głośniejszym głosem Judy.

- Owszem, nie żyje - odparła Roscoe. - Bardzo mi przykro. Judy przytaknęła i rozejrzała się po upiornym pokoju. Nikt się nie odzywał. Po prostu staliśmy w milczeniu. Gospodyni usiadła, gestem wskazała nam krzesła. Usiedliśmy osobno, tworząc trójkąt.

- Musimy zadać pani kilka pytań - Roscoe pochyliła się lekko w stronę blondynki. - Możemy?

Judy skinęła głową. Jej twarz miała martwy wyraz.

- Jak długo znała pani Shermana?

- Chyba koło czterech lat - odparła Judy. - Poznaliśmy się na Florydzie, tam mieszkałam. Cztery lata temu przyjechałam tu, żeby z nim być. Od tego czasu żyliśmy razem.

- Czym zajmował się Sherman? - chciała widzieć Roscoe. Judy z nieszczęśliwą miną wzruszyła ramionami.

- Był kierowcą ciężarówki. Podpisał duży kontrakt z jakąś firmą, podobno długofalowy, no wiecie. Więc kupiliśmy sobie dom. Jego rodzice też się tam wprowadzili. Jakiś czas mieszkaliśmy razem. Potem przenieśliśmy się tutaj, a ich zostawiliśmy na starych śmieciach. Przez trzy lata zarabiał dużo kasy, cały czas był zajęty. Potem, rok temu, wszystko się urwało. Od tego czasu praktycznie nie pracował. Rzadko podłapywał jakąś fuchę.

- Oba domy należały do was? - spytała Roscoe.

- Do mnie nic nie należy - poprawiła Judy. - Sherman był ich właścicielem. Tak, obydwu.

- Zatem przez pierwsze trzy lata dobrze mu się wiodło? Judy posłała Roscoe dziwne spojrzenie.

- Dobrze mu się wiodło? - powtórzyła. - Na miłość boską, dorośnijcie! On był złodziejem. Kogoś naciągał.

- Jest pani pewna?

Judy popatrzyła na mnie, zupełnie jakby wycelowała we mnie działo.

- Nie trzeba być geniuszem, by to zgadnąć - odparła. - W ciągu trzech lat zapłacił gotówką za dwa domy, dwa komplety mebli, samochody, Bóg jeden wie, co jeszcze. A ten dom nie był tani. Mieszkają tu prawnicy, lekarze i inni tacy. Zaoszczędził też tyle, że od ostatniego września w ogóle nie musiał pracować. Jeśli udało mu się zarobić to wszystko uczciwie, to jestem Pierwszą Damą.

Spoglądała na nas wyzywająco. Od początku wiedziała, wiedziała, co się stanie, gdy go przyłapią. Nie chciała, abyśmy powiedzieli coś w jego obronie. Uważała, że ma prawo go obwiniać.

- Z kim podpisał ów duży kontrakt? - zapytała spokojnie Roscoe.

- Z jakąś firmą Island Air-Conditioning - odpowiedziała Judy. - Przez trzy lata przewoził klimatyzatory, dostarczał je na Florydę. Może potem trafiały na wyspy, nie wiem. Kradł je. W garażu jeszcze teraz stoją dwa stare pudła. Chcecie zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, zerwała się z miejsca i ruszyła naprzód. Podążyliśmy jej śladem. Zeszliśmy schodami na tyłach i wkroczyliśmy do garażu. Był pusty. Przy ścianie stały tylko dwa stare kartonowe pudła. Na oko, miały rok, może dwa. Na każdym widniało logo producenta: Island Air-Conditioning Inc. I napis: Góra. Rozdarta taśma klejąca zwisała w strzępach. Na każdym kartonie odręcznie wypisano długi numer seryjny. Zapewne mieściły się w nich pojedyncze klimatyzatory, z tych montowanych w ramie okiennej, co hałasują jak

wściekle. Judy spojrzała na nie gniewnie, potem przeniosła wzrok na nas. Jej oczy mówiły: „Ja mu dałam złoty zegarek, a on mnie kupę zmartwień”.

Podszedłem bliżej, obejrzałem pudła. Były puste. Wyczułem w nich słabiutką kwaśną woń. Potem wróciliśmy na górę, Judy wyciągnęła z kredensu album. Usiadła, patrząc na zdjęcie Shermana.

- Co się z nim stało? - spytała.

Proste pytanie. Zasługiwało na prostą odpowiedź.

- Strzelono mu w głowę - skłamałem. - Zmarł natychmiast. Judy przytaknęła, jakby wcale jej to nie zdziwiło.

- Kiedy?

- We czwartek w nocy - poinformowała ją Roscoe. - O północy. Czy powiedział, dokąd się wybiera?

Judy pokręciła głową. - Nigdy mi nic nie mówił.

- Wspominał może o spotkaniu ze śledczym? Judy ponownie pokręciła głową.

- A o *Plwibusl* - spytałem. - Kiedykolwiek wymieniał to słowo?

- To choroba? - spytała tępo Judy. - Płuc czy coś w tym stylu?

- A niedziela? - naciskałem. - Mówił coś o nadchodzącej niedzieli? Cokolwiek?

- Nie, w ogóle niewiele mówił.

Judy umilkła. Zaczęła przeglądać zdjęcia w albumie. W pokoju panowała cisza.

- Znał jakichś prawników na Florydzie? - zapytała Roscoe.

- Prawników? - powtórzyła Judy. - Na Florydzie? A niby czemu?

- Został aresztowany w Jacksonville - wyjaśniła Roscoe. - Dwa lata temu. Naruszenie przepisów ruchu drogowego. Pewien prawnik mu pomógł.

Judy wzruszyła ramionami, jakby dwa lata stanowiły dla niej historię starożytną.

- Wszędzie kręcą się jacyś adwokaci - zauważyła. - To nic wielkiego.

- Ten gość nie był tanią płótką, lecz współnikiem w wielkiej firmie. Wie pani może, skąd Sherman go znał?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Może wezwał go jego pracodawca, Island Air-Conditioning. Zapewniali nam świetną opiekę medyczną. Sherman pozwalał mi chodzić do lekarza, kiedy tylko potrzebowałam.

Wszyscy umilkliśmy, nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia. Judy cały czas zerkiała na fotografię.

- Chcecie go zobaczyć? - spytała.



Stałem za jej krzesłem i pochyliłem się, spoglądając na zdjęcie. Przedstawiało jasnowłosego mężczyznę o szczurzej twarzy, drobnego, szczupłego, szeroko uśmiechniętego. Stał przed żółtą furgonetką, mrużąc oczy do aparatu. Uśmiech dodawał zdjęciu dziwnej powagi.

- Tym właśnie jeździł - oznajmiła Judy.

Nie patrzyłem jednak na wóz ani na uśmiech Shermana Stollera, lecz na postać widoczną w tle. Nieostrą, częściowo odwróconą, natychmiast jednak poznałem, kto to. Paul Hubble.

Gestem wezwałem Roscoe, która pochyliła się obok mnie i spojrzała na zdjęcie. Dostrzegłem grymas zdumienia, gdy rozpoznała Hubble'a. Potem pochyliła się jeszcze niżej, patrząc uważnie. Zauważyłem drugi grymas, rozpoznała coś jeszcze.

- Kiedy zrobiono to zdjęcie? - spytała. Judy wzruszyła ramionami.

- Chyba latem zeszłego roku.

Roscoe wskazała paznokciem rozmazanego Hubble'a.

- Czy Sherman mówił, kto to?

- Nowy szef - oznajmiła Judy. - Zwolnił Shermana po sześciu miesiącach.

- Nowy szef Island Air-Conditioning? - upewniła się Roscoe. - Powiedział, dlaczego zwalnia Shermana?

- Sherman twierdził, że już go nie potrzebowali. W ogóle niewiele mówił.

- Czy to jest siedziba Island Air-Conditioning? Tam zrobiono zdjęcie?

Judy z wahaniem skinęła głową.

- Chyba tak. Sherman raczej mi o tym nie opowiadał.

- Musimy zatrzymać to zdjęcie - oznajmiła Roscoe. - Zwrócimy je pani później.

Judy wyciągnęła fotkę z albumu i wręczyła ją Roscoe.

- Proszę je zatrzymać - powiedziała. - Ja go nie chcę. Roscoe wsunęła zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki. Razem przeszliśmy na środek pokoju.

- Strzał w głowę - mruknęła Judy. - Oto, co spotyka ludzi, którzy zanadto kombinują. Mówiłam, że wcześniej czy później go dopadną.

Roscoe przytaknęła ze współczuciem.

- Będziemy w kontakcie - zapewniła. - Wie pani, chodzi o pogrzeb. Być może poprosimy też o złożenie oficjalnych zeznań.

Judy skrzywiła się gniewnie.

- Nie zwracajcie sobie tym głowy - rzuciła. - Nie wybieram się na jego pogrzeb. Nie byłam jego żoną, więc teraz nie jestem wdową po nim. Zamierzam o nim zapomnieć. Ten facet od początku zwiastował kłopoty.

Stała tak, patrząc na nas gniewnie. Razem przeszliśmy przez korytarz i dalej za drzwi, ścieżką do samochodu.

- O co chodziło? - spytałem. - Co jest na zdjęciu? Roscoe przyspieszyła kroku.

- Zaczekaj, pokażę ci w wozie.

## 19

Wsiadliśmy do chevroleta. Roscoe zapaliła światło, wyciągnęła z kieszeni zdjęcie, pochyliła się i uniosła je tak, by blask żarówki odbił się na błyszczącej powierzchni. Sprawdziła wszystko uważnie i wręczyła mi fotkę.

- Spójrz na samą krawędź - poleciła - po lewej.

Zdjęcie przedstawiało Shermana Stollera, stojącego przed żółtą furgonetką. W tle widniał Paul Hubble, odwrócony od aparatu. Dwie postacie i ciężarówka wypełniały cały kadr, poza widocznym na samym dole klinem asfaltu i wąziutkim paskiem tła po lewej. Tło było rozmazane jeszcze bardziej niż Hubble, dostrzegłem jednak kawałek nowoczesnego metalowego budynku, srebrny siding. Za nim wysokie drzewo. Kawałek drzwi - wielkich, przemysłowych, uniesionych drzwi. Ciemnoczerwona framuga, jakaś zapieczona przemysłowa powłoka, częściowo ozdobna, częściowo chroniąca przed korozją. Za drzwiami widziałem tylko mrok.

- To magazyn Klinera - oznajmiła Roscoe - na końcu drogi.

- Jesteś pewna?

- Poznaję to drzewo.

Spojrzałem ponownie. Istotnie, drzewo było bardzo charakterystyczne: martwe z jednej strony. Być może rozszczepił je piorun.

- To magazyn Klinera - powtórzyła. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Wzięła do ręki telefon samochodowy i odebrała mi zdjęcie. Zadzwoiła do Departamentu Pojazdów w Atlancie, podając numer furgonetki Stollera. Odczekała chwilę, postukując palcem w kierownicę. Usłyszałem głos dobiegający ze słuchawki. Roscoe wyłączyła telefon i odwróciła się do mnie.

- Ciężarówka jest zarejestrowana na Kliner Industries - oznajmiła - a adres podany w rejestrze to Zacarias Perez, firma adwokacka, Jacksonville, Floryda.

Przytaknąłem. Odpowiedziała skinieniem głowy. Kumpie Shermana Stollera. Ci, którzy dwa lata temu wyciągnęli go z aresztu w Jacksonville w pięćdziesiąt pięć minut.

- Okay - rzuciła. - Wszystko zaczyna się układać. Hubble, Stoller, dochodzenie Joego. W magazynie Klinera drukują fałszywe pieniądze, prawda?

Pokręciłem głową.

- Nieprawda - zaprzeczyłem. - W Stanach nie drukuje się pieniędzy. To dzieje się wyłącznie za granicą. Tak mówiła Molly Beth Gordon, a ona raczej się na tym zna. Twierdziła, że Joe to uniemożliwił, a czymkolwiek zajmował się Stoller, Judy mówi, iż przestał to robić rok temu. Finlay z kolei wspominał, iż Joe zajął się całą sprawą właśnie rok temu, w tym samym czasie, gdy Hubble zwolnił Stollera.

Roscoe przytaknęła, wzruszyła ramionami.

- Potrzebujemy pomocy Molly. Potrzebna nam kopia akt Joego.

- Albo pomocy Picarda - dodałem. - Może uda nam się znaleźć pokój hotelowy Joego i zdobyć oryginał. To wyścig. Kto zadzwoni pierwszy, Molly czy Picard?

Roscoe zgasła światło, włączyła silnik i ruszyła z powrotem do hotelu. Wyciągnąłem się obok niej ziewając. Czułem, że Roscoe się spina. Nie miała czym się zająć. Teraz musiała stawić czoło spokojnej, groźnej nocy. Pierwszej nocy po wczorajszej. Perspektywa ta wyraźnie ją niepokoiła.

- Masz broń, Reacher? - spytała.

Obróciłem się w fotelu i spojrzałem wprost na nią.

- W bagażniku, w pudełku. Sama ją tam włożyłaś, pamiętasz?

- Zabierz ją ze sobą, dobrze? - poprosiła. - Poczuję się lepiej. Uśmiechnąłem się sennie w mroku, ziewnąłem.

- Ja też czuję się lepiej ze spluwą - odparłem. - To piekielna broń.

Potem znów umilkliśmy. Roscoe znalazła hotelowy parking. Wysiedliśmy z samochodu i przeciągnęliśmy się w ciemności. Otworzyłem bagażnik, wyciągnąłem pudełko i zatrzasnąłem klapę. Przeszliśmy przez hol i windą wjechaliśmy na górę.

W pokoju padliśmy z nóg. Roscoe położyła na podłodze po swojej stronie łóżka błyszczącą trzydziestkę ósemkę, ja naładowałem olbrzymią czterdziestkę czwórkę i odłożyłem na bok. Przeładowaną i zabezpieczoną. Pod klamkę wepchnęliśmy krzesło.

Dzięki temu Roscoe czuła się bezpieczniej.

\* \* \*

Obudziłem się rano. Leżałem w łóżku, myśląc o Joem. Była środa. Nie żył od pięciu dni. Roscoe zdążyła już wstać. Stała pośrodku pokoju, rozciągając mięśnie. Wyglądało to na

jogę. Wzięła już prysznic, ubrała się tylko częściowo. Nie miała na sobie spodni, jedynie koszulę. Stała odwrócona do mnie plecami. Gdy wyciągnęła w górę ręce, koszula podjechała wyżej. I nagle przestałem myśleć o Joem.

- Roscoe? - zagadnąłem.

- Co takiego?

- Masz najcudowniejszy tyłek na świecie.

Zachichotała. Skoczyłem ku niej. Nie mogłem się powstrzymać, nie mogłem zrobić nic innego. Doprowadzała mnie do szału. To ten chichot załatwił mnie ostatecznie. Pociągnąłem ją z powrotem na wielkie hotelowe łóżko. W tej chwili mógł na nas runąć budynek, a my niczego byśmy nie zauważyli. Po wszystkim leżeliśmy objęci, wyczerpani. Jakiś czas tkwiliśmy tak, tuląc się do siebie. Potem Roscoe znów wstała i po raz drugi tego ranka wzięła prysznic. Ubrała się, tym razem do końca. Uśmiechnęła się szeroko, jakby chciała powiedzieć, że woli mi oszczędzić dalszych pokus.

- Mówiłeś poważnie? - rzuciła.

- O czym? - spytałem z uśmiechem.

- No wiesz... - Także się uśmiechnęła. - Gdy powiedziałeś, że mam ładny tyłek.

- Nie mówiłem, że masz ładny tyłek - zaprzeczyłem. - Widziałem wiele ładnych tyłków. Mówiłem, że twój jest najcudowniejszym tyłkiem na całym cholernym świecie.

- Serio?

- Jasne, że serio. Nie lekceważ potęgi swojego tyłka, Roscoe. Zawsze o tym pamiętaj.

Zadzwoiłem do obsługi i zamówiłem śniadanie. Zabrałem blokujące klamkę krzesło - lada moment mógł zjawić się wózek zjedzeniem. Odsunąłem ciężkie zasłony. Piękny poranek, jaskrawoniebieskie niebo, ani jednej chmurki, jasne jesienne słońce. Pokój załało światło. Uchyliliśmy okno, wpuszczając do środka powietrze, zapachy i dźwięki poranka. Widok był niesamowity. Całe lotnisko i rozciągające się za nim miasto. Samochody na parkingach połyskiwały w słońcu, wyglądały jak klejnoty rozłożone na beżowym aksamicie. Samoloty powoli wznosiły się w powietrze i skręcały niczym dumne, tłuste ptaki. W słońcu budynki w centrum wydały się wyższe, smuklejsze. Cudowny ranek. Był to jednak szósty poranek, którego mój brat nie mógł już oglądać.

\* \* \*

Roscoe skorzystała z telefonu. Zadzwoiła do Finlaya w Margrave. Powiedziała mu o zdjęciu Hubble'a i Stollera, stojących w słońcu przed magazynem, potem podała numer naszego pokoju i poprosiła, by nas zawiadomił, jeśli Molly oddzwoni z Waszyngtonu albo Picard odezwie się z informacjami dotyczącymi spalonego pontiaca. Uznałem, że

powinniśmy zostać w Atlancie. Może Picard odezwie się pierwszy i trafimy do hotelu Joego. Istniała duża szansa, że zatrzymał się w mieście, może w pobliżu lotniska. Nie ma sensu wracać do Margrave tylko po to, by z powrotem jechać kawał do Atlanty.

Czekaliśmy zatem. Zacząłem majstrować przy radiu wbudowanym w nocny stolik. Znalazłem stację grającą przyzwoite kawałki. Wyglądało na to, że sięgnęli po jeden ze starych albumów Canned Heat. Radosna, słoneczna muzyka, w sam raz pasująca do pogodnego, beczynnego ranka.

Przywieziono śniadanie, zjedliśmy wszystko, cały zestaw. Naleśniki, syrop, bekon, mnóstwo kawy w kubkach z grubego fajansu. Potem się położyłem. Po chwili ogarnął mnie niepokój. Zaczynałem mieć wrażenie, że czekanie to błąd, że powinniśmy coś zrobić. Widziałem, że Roscoe też to czuje. Postawiła na stoliku zdjęcie Hubble'a, Stollera i żółtej ciężarówki, patrzyła na nie uważnie. Spojrzałem gniewnie na telefon. Nie dzwonił. Zaczęliśmy krążyć po pokoju. Potem przystanąłem, podnosząc z podłogi désert eagle'a. Uniosłem go w dłoni, przesunąłem palcem po wygrawerowanym na kolbie nazwisku. Spojrzałem na Roscoe. Nagle zaciekawiała mnie postać faceta, który kupił tak wielką broń.

- Jaki był Gray? - spytałem.

- Gray? - powtórzyła. - Bardzo dokładny. Chcesz znaleźć akta Joego, powinieneś zobaczyć dokumentację Graya. Na posterunku przechowujemy jego papiery z ostatnich dwudziestu pięciu lat. Dokładnie prowadzone, wyczerpujące. Gray był świetnym detektywem.

- Dlaczego się powiesił?

- Nie wiem - odparła. - Nigdy tego nie rozumiałam.

- Cierpiał na depresję?

- Raczej nie. To znaczy on zawsze sprawiał wrażenie przygnębionego. No wiesz, taki ponury facet. I znudzony. Był dobrym detektywem, marnował się w Margrave, ale w lutym wcale nie wyglądał gorzej niż wcześniej. Całkowicie mnie to zaskoczyło i poruszyło.

- Byliście ze sobą blisko? Wzruszyła ramionami.

- Owszem, w pewnym sensie byliśmy bardzo blisko, o ile taki ponurak mógł w ogóle do kogoś się zbliżyć. Nigdy się nie ożenił, zawsze mieszkał sam, nie miał krewnych. Był abstynentem, więc nie wpadał na piwo. Cichy, spokojny, lekka nadwaga, łysy, wielka, rozłożysta broda. Bardzo zamknięty w sobie, cichy, samotnik. Ale jeśli w ogóle był z kimś blisko, to właśnie ze mną. Lubiliśmy się w taki cichy, spokojny sposób.

- I nic ci nie powiedział? - spytałem. - Po prostu któregoś dnia się powiesił?

- Tak właśnie było, całkowity szok. Nigdy tego nie rozumiałam.

- Czemu trzymałaś w biurku jego pistolet?

- Spytał, czy mogłabym mu go przechować. U siebie nie miał miejsca. Produkowałam masę papierów. Zapytał, czy mogłabym schować u siebie pudełko z pistoletem. To była jego broń osobista. Twierdził, że szefostwo nigdy jej nie zatwierdzi do oficjalnego użytku, za duży kaliber. Zachowywał się, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę.

Ponownie położyłem na dywanie tajną broń nieboszczyka. Nagle w ciszy odezwał się ostry dzwonek telefonu. Skoczyłem do stolika, podniosłem słuchawkę. Usłyszałem głos Finlaya. Ścisnąłem mocniej telefon, wstrzymując oddech.

- Reacher? - zagadnął Finlay. - Picard zrobił co trzeba. Zlokalizował samochód.

Wypuściłem z płuc powietrze i skinąłem głową w stronę Roscoe.

- Świetnie, Finlay. Jak to wygląda?

- Jedźcie do niego - polecił. - Wszystko powtórzy wam osobiście. Nie chciałem zbyt długo wisieć na telefonie.

Na sekundę przymknąłem oczy, poczułem gwałtowny przyływ energii.

- Dzięki, Finlay - powiedziałem. - Pogadamy później.

- Jasne - rzekł. - Uważajcie na siebie, dobrze?

Potem odwiesił słuchawkę, ale ja stałem, trzymając w dłoni telefon. Uśmiechałem się.

- Już myślałam, że nigdy nie zadzwoni. - Roscoe się zaśmiała. - Ale osiemnaście godzin to chyba nie tak źle, nawet jak na możliwości Biura.

\* \* \*

Kwatera FBI w Atlancie mieściła się w nowym budynku federalnym w centrum. Roscoe zaparkowała przy krawężniku. Recepcjonistka zadzwoniła na górę i oznajmiła, że agent Picard zaraz do nas zejdzie. Zaczekaliśmy w holu - wielkim, obszernym pomieszczeniu. Dekoratorzy wewnątrz zrobili, co mogli, nadal jednak panowała tu ponura atmosfera, właściwa wszystkim budynkom rządowym. Po trzech minutach Picard wynurzył się z windy, podszedł do nas. Mieliliśmy wrażenie, że wypełnia całą wolną przestrzeń. Pozdrowił mnie skinieniem głowy, uściśnął rękę Roscoe.

- Wiele o tobie słyszałem od Finlaya - zagrzmiał. Roscoe uśmiechnęła się do niego.

- Chodzi o samochód, który znalazł Finlay? Wynajęty pontiac, zarezerwowany na Joego Reachera, lotnisko w Atlancie, czwartek ósma wieczór.

- Świetnie, Picard. Domyślasz się może, gdzie zaszył się wtedy mój brat?

- Mam coś lepszego niż domysły, przyjacielu - odparł Picard. - Dysponowali dokładnym adresem. Samochód został zarezerwowany z wyprzedzeniem. Dostarczyli go prosto do hotelu.

Wymienił nazwę hotelu, który znajdował się zaledwie kilometr od naszego.

- Dzięki, Picard - mruknąłem. - Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma sprawy, przyjacielu. Uważajcie na siebie, okay?

Szybkim krokiem wrócił do windy, a my popędziliśmy z powrotem na południe. Roscoe skręciła na obwodnicę i przyspieszyła, włączając się do ruchu. Na przeciwległym pasie dostrzegłem czarną półciężarówkę, nowiusienką. Obróciłem się i zobaczyłem, jak znika za grupą ciężarówek. Czarna, całkiem nowa. Prawdopodobnie to nic ważnego. Mnóstwo takich tu sprzedają.

\* \* \*

Roscoe pokazała odznakę recepcjonistce hotelu, w którym, jak twierdził Picard, Joe zatrzymał się w czwartek. Recepcjonistka postukała chwilę w klawisze. Potem oznajmiła, że to pokój 621, szóste piętro, na końcu korytarza. Dodała, iż kierownik wyjdzie nam na spotkanie. Wjechaliśmy zatem na górę windą i pokonaliśmy długi, ciemny korytarz. Chwilę czekaliśmy przed drzwiami pokoju Joego.

Kierownik wkrótce się zjawił. Otworzył drzwi własnym kluczem. Pokój był pusty, został wysprzątnany i opróżniony, gotowy na przyjęcie nowych akatorów.

- A jego rzeczy? - spytałem. - Gdzie są?

- Sprzątnęliśmy je w sobotę - oznajmił kierownik. - Gość zameldował się w czwartek wieczór, miał opuścić pokój do jedenastej w piątek. Zwykle dajemy ludziom jeden dodatkowy dzień. Jeśli się jednak nie pokażą, sprzątnamy wszystko i chowamy rzeczy.

- Czyli są teraz w jakiejś szafie?

- Na dole - potwierdził kierownik. - Powinniście zobaczyć, jakie cuda tam trzymamy. Ludzie ciągle coś zostawiają.

- Możemy je obejrzyć?

- Są w piwnicy - rzekł. - Z holu zejździe schodami, z łatwością wszystko znajdziecie.

Kierownik odszedł. Wraz z Roscoe wróciliśmy do windy, znaleźliśmy schody służbowe i zeszliliśmy do piwnicy. Magazyn sprzątaczek okazał się wielką salą, pełną pościeli i ręczników. Wokół pełno było pojemników i koszy mydeł i darmowych szamponów, które zawsze stoją w łazience. Pokojówki cały czas zajeżdżały swoimi wózkami. W rogu dostrześliśmy oszklone pomieszczenie. W środku za małym biurkiem siedziała kobieta. Podeszliśmy i postukaliśmy w szybę. Uniosła wzrok. Roscoe pokazała jej odznakę.

- W czym mogę pomóc? - spytała kobieta.

- Pokój sześćset dwadzieścia jeden - powiedziała Roscoe. - Sprzątnięto z niego rzeczy w sobotę rano. Macie je tutaj?

Znów wstrzymałem oddech.

- Sześćset dwadzieścia jeden? - powtórzyła kobieta. - Już się po nie zgłosił. Nie ma ich.

Wypuściłem powietrze. Spóźniliśmy się. Aż zdrętwiałem z zawodu.

- Kto się zgłosił? - spytałem. - Kiedy?

- Gość - wyjaśniła kobieta. - Dziś rano, około dziewiątej, wpół do dziesiątej.

- Ale kto? - powtórzyłem.

Kobieta zdjęła z półki niewielki zeszyt i otworzyła go. Polizała gruby palec i wskazała nazwisko.

- Joe Reacher - odczytała. - Podpisał się i zabrał rzeczy. Odwróciła zeszyt i podsunęła ku nam. Na wykropkowanej linii widniał podpis.

- Jak wyglądał ten Reacher? - dopytywałem się.

Wzruszyła ramionami.

- Cudzoziemiec - rzekła. - Jakiś Latynos, może z Kuby. Drobny, ciemny facet, szczupły, ładny uśmiech. Bardzo uprzejmy z tego, co pamiętam.

- Ma pani spis tych rzeczy?

Przesunęła grubym palcem nieco niżej. Drobne, ciasne pismo. Torba na ubrania, osiem ubrań, kosmetyczka, cztery buty. Ostatni wymieniony przedmiot: aktówka.

Pożegnaliśmy ją i schodami wróciliśmy do holu. Wyszliśmy na poranne słońce. Nagle dzień wydał mi się znacznie brzydszy.

Dotarliśmy do samochodu i oparliśmy się o przedni zderzak. Zastanawiałem się, czy Joe był dość ostrożny i inteligentny, by zrobić to, co ja uczyniłbym na jego miejscu. Uznałem, że to możliwe. Długi czas spędził w towarzystwie inteligentnych, ostrożnych ludzi.

- Roscoe - zacząłem - co zrobiłabyś na miejscu faceta, który wyszedł z hotelu z rzeczami Joego?

Roscoe zamarła w trakcie otwierania drzwi wozu. Zastanowiła się chwilę.

- Zatrzymałabym aktówkę - powiedziała - i zabrała ze sobą. Reszty rzeczy pozbyłabym się jak najszybciej.

- Też bym tak zrobił - potwierdziłem. - Gdzie byś się ich pozbyła?

- Pewnie w pierwszym nadającym się do tego miejscu.

Między hotelem i sąsiednim budynkiem biegła droga służbowa. Okrążała je i wychodziła na obwodnicę. Z tyłu ustawiono długi szereg pojemników na śmieci. Wskazałem je palcem.



- Przypuśćmy, że tędy właśnie wyjechał - powiedziałem. - Przypuśćmy, że zatrzymał się i wrzucił torbę z ciuchami do któregoś z pojemników.

- Ale aktówkę zatrzymał, prawda? - wtrąciła Roscoe.

- Może to nie aktówki szukamy - mruknąłem. - Wczoraj jechałem kilka kilometrów wprost do zagajnika, ale ukryłem się w polu. To dywersja, taki nawyk. Może Joe miał ten sam nawyk? Może nosił ze sobą aktówkę, ale ważne rzeczy przechowywał w torbie.

Roscoe wzruszyła ramionami, nie przekonałem jej. Ruszyliśmy razem w głąb alejki. Z bliska pojemniki okazały się olbrzymie. Musiałem podciągać się na krawędzi każdego z nich, by zajrzeć do środka. Pierwszy okazał się pusty. Nic poza zapieczonym kuchennym tłuszczem, pozostałościami po latach używania. Drugi był pełny. Znalazłem długi kawałek starego rusztowania i zacząłem grzebać w śmieciach. Niczego nie zauważyłem. Opuściłem się na ziemię i podszedłem do następnego.

W pojemniku leżała torba z rzeczami. Na samej górze, na stosie starych pudeł. Zahaczyłem ją kawałkiem drewna i wyciągnąłem. Rzuciłem na ziemię u stóp Roscoe. Zeskoczyłem obok. Sfatygowana, stara torba. Podrapana, wypłowiała, pokryta nalepkami linii lotniczych. Do rączki przymocowano mały identyfikator w kształcie miniaturowej złotej karty kredytowej. Nazwisko na nim brzmiało: Reacher.

- W porządku, Joe - powiedziałem do siebie. - Zobaczmy, czy byłeś dość sprytny.

Szukałem butów. Tkwiły w zewnętrznej kieszeni. Dwie pary, cztery buty, tak jak napisano w zeszycie. Zacząłem po kolei wyciągać z nich wkładki. Pod trzecią znalazłem mały plastikowy woreczek. W środku tkwiła złożona kartka papieru komputerowego.

- Spryciarz z ciebie, Joe - rzekłem do siebie i roześmiałem się głośno.

## 20

Wraz z Roscoe tańczyliśmy i podskakiwaliśmy w uliczce niczym baseballiści obserwujący zwycięskie uderzenie. Potem popędziliśmy do chevroleta i szybko wróciliśmy do hotelu. Wbiegliśmy do holu, do windy, otworzyliśmy pokój i wpadliśmy do środka. Dzwonił telefon. Finlay z Margrave. Wydawał się równie podekscytowany jak my.

- Właśnie dzwoniła Molly Beth Gordon - oznajmił. - Zrobiła to. Ma akta, których potrzebujemy. W tej chwili tu leci. Powiedziała, że to zdumiewająca sprawa. Wydawała się cała nabuzowana. Lotnisko w Atlancie, o drugiej. Spotkamy się tam. Lot Deltę z Waszyngtonu. Dostaliście coś od Picarda?

- Jasne - odparłem. - Niezły facet. Mam chyba resztę wydruku.

- Chyba? - spytał Finlay. - To nie wiesz?

- W tej chwili wróciliśmy - wyjaśniłem. - Jeszcze go nie obejrzałem.
- Więc popatrz, na miłość boską! To w końcu ważne. Prawda?
- Do zobaczenia później, Harvardeczyku.

Usiedliśmy przy stole pod oknem, otworzyliśmy małą torebkę foliową i wyciągnęliśmy kawałek papieru. Rozłożyłem go starannie. Kartka z komputera. Z prawej strony oddarto pasek, jakieś dwa, trzy centymetry. Połowa nagłówka pozostała. Brzmiała:

„Operacja *E unum*”.

- Operacja *E Unum Pluribus* - powiedziała Roscoe.

Pod spodem widniała szeroko rozstrzelona lista inicjałów i numerów telefonów. Pierwsze inicjały brzmiały P.H., numer oddarto.

- Paul Hubble - mruknęła Roscoe. - Jego numer i połowa nagłówka. Oto, co znalazł Finlay.

Przytaknąłem. Pod spodem widniały jeszcze cztery pary liter.

Pierwsze dwie to W.B. i K.K. Obok numery telefonów. Przy K.K. rozpoznałem numer kierunkowy Nowego Jorku. Numer obok W.B. postanowiłem sprawdzić. Trzecie inicjały to J.S., kierunkowy 504. Okolice Nowego Orleanu, byłem tam niecały miesiąc temu. Czwarte inicjały M.B.G. i numer kierunkowy 202. Wskazałem je Roscoe.

- Molly Beth Gordon - powiedziała. - Waszyngton DC. Znów przytaknąłem. Nie był to numer, pod który dzwoniłem z gabinetu. Może domowy? Ostatnie dwie pozycje na kartce to nie inicjały, nie odpowiadały im też numery. Przedostatnią były zaledwie dwa słowa: „garaż Stollerów”. Ostatnie trzy: „akta Klinera Graya”. Patrzyłem na wyraźne, drukowane litery i czułem bijący z tej kartki staranny pedantyzm mojego nieżyjącego brata.

O Paulu Hubble’u wiedzieliśmy. Nie żył. Znaliśmy także Molly Beth Gordon, przyleci do Atlanty o drugiej. Widzieliśmy garaż w domu Shermana Stollera przy polu golfowym, znaleźliśmy w nim jedynie dwa puste pudła. To pozostawiało podkreślony nagłówek, trzy pary inicjałów z trzema numerami telefonów i trzy słowa: „akta Klinera Graya”. Sprawdziłem godzinę. Tuż po dwunastej. Za wcześnie, by po prostu czekać na przylot Molly Beth. Postanowiłem zacząć działać.

- Najpierw zastanówmy się nad nagłówkiem - powiedziałem. - *E Unum Pluribus*.

Roscoe wrzuciła ramionami.

- To motto Stanów Zjednoczonych, prawda? - spytała. - Po łacinie.
- Nie - zaprzeczyłem. - To motto, ale od tyłu. Mniej więcej znaczy to: „z jednego wiele”. Nie: „z wielu jedność”.
- Czy Joe mógł je zapisać błędnie? Pokręciłem głową.

- Wątpię - rzekłem. - Nie przypuszczam, by Joe popełnił taki błąd. To musi coś znaczyć.

Roscoe ponownie wzruszyła ramionami.

- Dla mnie nic nie znaczy - powiedziała. - Co jeszcze?

- „Akta Klinera Graya”. Czy Gray miał jakieś papiery dotyczące Klinera?

- Prawdopodobnie - mruknęła Roscoe. - Miał akta dotyczące wszystkiego. Ktoś splunął na chodnik, a on uwzględniał to w swych aktach.

Przytaknąłem. Wróciłem do łóżka i podniosłem słuchawkę telefonu. Zadzwoiłem do Finlaya w Margrave. Baker poinformował mnie, że detektyw już wyszedł. Wykręciłem zatem pozostałe numery z wydruku Joego. W.B. okazał się numerem z New Jersey, Uniwersytet Princeton, Wydział Historii Najnowszej. Natychmiast odwiesiłem słuchawkę, nie dostrzegłem związku. Numer K.K. - Nowy Jork, Uniwersytet Columbii, Wydział Historii Najnowszej. Ponownie się rozłączyłem. Potem zadzwoniłem do J.S. w Nowym Orleanie. Jeden dzwonek, potem głos.

- Piętnasty posterunek, dział dochodzeń.

- Dochodzeń? - spytałem. - Czy to policja nowoorleańska?

- Piętnasty posterunek - powtórzył głos. - Mogę w czymś pomóc?

- Macie tam kogoś o inicjałach J.S.? - spytałem.

- J.S.? - powtórzył głos. - Trzech. Z którym chce pan rozmawiać?

- Nie wiem - odparłem. - Czy mówi coś panu nazwisko Joe Reacher?

- A kto dzwoni? - spytał głos. - To dwadzieścia pytań, czy coś takiego?

- Proszę ich spytać - poprosiłem. - Proszę spytać każdego z J.S. czy zna Joego Reachera. Będzie pan tak łaskaw? Oddzwonię później, dobrze?

W Nowym Orleanie sierżant z piętnastego posterunku mruknął coś i odłożył słuchawkę. Wzruszyłem ramionami, zerkając na Roscoe, i odstawiłem telefon na nocny stolik.

- Czekamy na Molly? - spytała.

Przytaknąłem. Nieco denerwowałem się przed spotkaniem. To zupełnie jak stanąć oko w oko z duchem związanym z innym duchem.

\* \* \*

Czekaliśmy przy małym stoliku pod oknem. Patrzyliśmy, jak słońce zniża się na niebie, pozostawiając za sobą południowy szczyt. Zabijaliśmy czas, podając sobie z rąk do rąk oddarty wydruk Joego. Cały czas wpatrywałem się w nagłówek. *E Unum Pluribus* - z

jedności wiele. Oto cały Joe Reacher. Coś ważnego przedstawiono w postaci zręcznej gry słów.

- Ruszajmy - rzuciła Roscoe.

Mieliśmy jeszcze czas, ale się niecierpliwiliśmy. Zebraliśmy rzeczy, zjechaliśmy windą do holu i zapłaciliśmy za rozmowy forszą nieboszczyków. Potem wsiedliśmy do chevroleta Roscoe. Zaczęliśmy krążyć, próbując dojechać do terminalu przylotów. Okazało się to niełatwe. Hotele lotniskowe planuje się dla ludzi przylatujących bądź zamierzających odlecieć. Nikt nie pomyślał, że ktoś może próbować pokonać odwrotną trasę.

- Nie wiemy nawet, jak wygląda Molly - zauważyła Roscoe.

- Ale ona wie, jak wyglądam - odparłem. - Tak jak Joe. Lotnisko okazało się olbrzymie. Obejrzeliśmy je niemal całe, próbując dotrzeć na właściwe miejsce. Było większe niż niektóre miasta, które zdarzyło mi się odwiedzić. Jechaliśmy całe kilometry, w końcu znaleźliśmy właściwy terminal. Przeoczyliśmy skręt i zjazd na parking krótkoterminowy. Zawróciliśmy, ustawiając się przy barierce. Roscoe odebrała kwit i wjechała na parking.

- W lewo - poleciłem.

Wokół stało mnóstwo samochodów. Wyglądałem przez okno, wyciągając szyję w poszukiwaniu wolnego miejsca. Nagle po prawej kątem oka dostrzegłem niewyraźną czarną plamę.

- W prawo, w prawo! - rzuciłem.

Zdawało mi się, że to tył czarnej półciężarówki, nowusieńkiej. Po mojej prawej.

Roscoe skrzyła kierownicę i wjechaliśmy w następną uliczkę. Dostrzegłem błysk czerwonych świateł stop, osadzonych w czarnym metalu. Półciężarówka zniknęła. Roscoe z rykiem silnika przyspieszyła i ostro skrzyła w prawo. Następną uliczka okazała się pusta, nic się nie poruszało. Wszędzie tylko rzędy samochodów stojących w słońcu. To samo w kolejnej. Nic, ani śladu czarnej półciężarówki. Zwiedziliśmy cały parking. Zabrało nam to dużo czasu, zatrzymywały nas wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Przeczesałliśmy wszystko, lecz nigdzie nie znaleźliśmy czarnej półciężarówki.

Znaleźliśmy natomiast Finlaya. Zaparkowaliśmy na pustym miejscu i ruszyliśmy w długą drogę do terminalu. Finlay zostawił wóz gdzie indziej i maszerował inną trasą. Resztę drogi pokonaliśmy razem.

W terminalu roiło się od ludzi. Był wielki, niski, lecz rozległy, zajmował kilka akrów. Wszędzie kłębił się tłum. Zawieszane wysoko monitory informowały o kolejnych przylotach. Samolot Deltę z Waszyngtonu już wylądował. Ruszyliśmy w stronę odpowiedniego wyjścia. Miałem wrażenie, że maszeruję tak kilometr. Znajdowaliśmy się w długim korytarzu,

wyłożonym żebrowaną gumą. Środkiem biegły dwa ruchome chodniki. Po prawej ciągnęła się nieskończona seria jaskrawych, radosnych reklam, opiewających atrakcje Południa. Przyjemności i interesy - każdy znajdzie tu coś dla siebie. Po lewej wznosiła się szklana tafla, która sięgała od podłogi do sufitu, z białym wytrawionym paskiem na poziomie oczu, mającym chronić ludzi przed zderzaniem się z przeźroczystą ścianą.

Za nią widniały wyjścia. Kolejny nieskończony szereg. Pasażerowie wynurzali się z samolotu i wędrowali po drugiej stronie szyby. Połowa z nich znikła z boku, przy przenośnikach taśmowych. Potem znów się pojawiali i w szklanej ścianie odszukiwali drzwi prowadzące na korytarz główny. Druga połowa to podróżni krótkoterminowi, tylko z bagażem podręcznym. Ci szli wprost do wyjścia. Wokół każdego kłębił się tłum witających. Przepychaliśmy się przez tę gromadę, zmierzając dalej.

Co trzydzieści metrów z kolejnych drzwi wysypywali się pasażerowie. Krewni i znajomi posuwali się ku nim, dwa strumienie ludzi zderzały się ze sobą. Przebiliśmy się przez osiem kolejnych grup, nim dotarliśmy do właściwego wyjścia. Cały czas parłem naprzód. Czuję niepokój. Zdenerwował mnie widok czarnej półciężarówki na parkingu.

Dotarliśmy do wyjścia. Minęliśmy szklane drzwi i zatrzymaliśmy się w miejscu równoległym do końca pasa. Z samolotu wysiadali już ludzie. Patrzyłem, jak podążają szybko na pas i skręcają w stronę taśm bagażowych i drzwi. Po naszej stronie szyby ludzie maszerowali do dalszych wyjść. Cały czas popychali nas, ciągnęli w głąb korytarza, zupełnie jakbyśmy płynęli w morzu pod prąd. Wciąż musieliśmy się cofać, by pozostać w miejscu.

Za szybą zgromadził się tłumek ludzi. Ujrzałem kobietę, która mogła być Molly - około trzydziestu pięciu lat, ubrana w elegancki biurowy kostium, w rękach miała aktówkę i lekką torbę. Stałem przy szybie, starając się dać poznać. Ona jednak ujrzała kogoś innego, wskazała ręką i krzyknęła bezgłośnie, posyłając całusa facetowi stojącemu dziesięć kroków dalej. Mężczyzna cofnął się do drzwi, wychodząc jej na spotkanie.

Nagle wydało mi się, że co druga kobieta może być Molly. Dostrzegłem kilkanaście kandydatek - blondynek i brunetek, wysokich, niskich, ładnych i przeciętnych. Wszystkie miały na sobie stonowane kostiumy, niosły drobny bagaż, maszerowały przed siebie znużonym, równym krokiem zmęczonych kadr kierowniczych w połowie wyczerpującego dnia. Obserwowałem wszystkie. Płynęły z prądem za szybą. Niektóre szukały wzrokiem mężów, kochanków, kierowców, współpracowników, inne patrzyły wprost przed siebie. Wszystkie kolejno znikwały w skłębionym tłumie.

Jedna z nich dźwigała skórzany bordowy bagaż - w jednej ręce ciężką aktówkę, w drugiej torbę, ciągniętą na długiej rączce. Kobieta była drobna, jasnowłosa, podekscytowana.

Wchodząc do środka, zwolniła kroku i przebiegła wzrokiem tłum za szkłem. Jej oczy minęły mnie, potem powróciły. Spojrzała wprost na mnie, zatrzymała się. Za jej plecami przystanęło kilka osób, popychały ją naprzód. Z trudem precyzyjnie się aż do samego szkła. Zbliżyłem się z mojej strony. Patrzyła na mnie, uśmiechnęła się. Powitała wzrokiem brata martwego kochanka.

- Molly? - wymówiłem wyraźnie.

Uniosła w dłoni ciężką aktówkę niczym trofeum. Skinęła głową, uśmiechnęła się szeroko, zwycięsko. Ktoś pchnął ją w plecy. Wraz z tłumem ruszyła do wyjścia. Obejrzała się, by sprawdzić, czy idę za nią. Wraz z Roscoe i Finlayem zaczęliśmy przedzierać się do drzwi.

Po drugiej stronie Molly płynęła z prądem ludzkiego strumienia. My natomiast poruszaliśmy się przeciw niemu. Z każdą chwilą oddalaliśmy się od niej coraz bardziej. W naszą stronę zmierzała zwarta grupa studentów, kierujących się do dalszego wyjścia. Wielkie, dobrze odżywione dzieciaki, duży bagaż, zero subtelności. Spotkanie z nimi kosztowało nas pięć metrów. Widoczna z drugiej strony szyby Molly zdecydowanie nas wyprzedzała, jej jasna głowa zniknęła w tłumie. Przepchnąłem się w bok i wskoczyłem na ruchomy chodnik - niestety, jadący w przeciwną stronę. Straciłem kolejnych pięć metrów, nim zdołałem przeskoczyć nad poręczą.

Teraz jechałem we właściwym kierunku, lecz cały chodnik wypełniała zbita masa tkwiących nieruchomo ludzi, którym wystarczyło ślimacze tempo ruchomej gumowej podłogi. Stali twardo głowa przy głowie, żadnej możliwości przejścia. Wdrapałem się na wąską barierkę, próbując iść po niej niczym po linie. Musiałem przykucnąć, bo nie zdołałem utrzymać równowagi. Runąłem ciężko na prawo. Tłum poniosł mnie pięć metrów w złą stronę, nim zdołałem się podnieść. Rozejrzałem się w panice. Za szybą ujrzałem Molly popychaną do hali bagażowej. Roscoe i Finlay ugrzęźli daleko z tyłu, ja sam poruszałem się wolno w złą stronę.

Nie chciałem, by Molly tam weszła. Przyleciała w pośpiechu, miała ważne wieści. Nie ma mowy, by zabrała ze sobą wielką walizę i oddała cokolwiek na bagaż. Nie powinna niczego odbierać. Opuściłem głowę i zacząłem biec, rozpychając ludzi na boki. Poruszałem się pod prąd, wbrew ruchowi chodnika. Gumowa podłoga przytrzymywała mi stopy, każde zderzenie kosztowało ułamki sekundy. Ludzie krzyczeli oburzeni. Nie obchodziło mnie to. Przebijałem się przez nich, wywracałem. Zeskoczyłem z chodnika i wywalczyłem sobie drogę do drzwi.

Bagaż odbierano w wielkim niskim pomieszczeniu, oświetlonym słabymi żółtymi lampami. Wcisnąłem się do środka, wszędzie szukając Molly. Nie znalazłem jej. Wokół kłębił się tłum.

Przy taśmie zebrała się co najmniej setka pasażerów, upchniętych w trzech rzędach. Sama taśma poruszała się ciężko, zavalona bagażami. Przy bocznej ścianie czekały nierówne rzędy wózków. Ludzie ustawieni w kolejce kolejno wtykali ćwierćdolarówki w odpowiednie szczeliny i zabierali wózki, przeciskali się z nimi przez tłum. Wózki zderzały się z donośnym brzękiem. Panował niemiłosierny tłok.

Wbiłem się między ludzi, parłem naprzód, obracając ich, odpychając, cały czas szukając Molly. Widziałem, jak tu wchodziła i już nie wyszła. Ale w środku jej nie było. Sprawdziłem każdą twarz, przeczesałem całą salę. W końcu pozwoliłem nieustępliwemu prądowi wynieść się na zewnątrz. Dotarłem do drzwi wyjściowych. Roscoe przywarła do framugi, walcząc z prądem.

- Wyszła? - spytałem.

- Nie - odparła. - Finlay poszedł na koniec korytarza. Czekaj tam, ja tutaj.

Staliśmy tak, a ludzie przelewali się obok nas. I nagle zbliżający się tłum zaczął rzednąć. Samoloty też mają ograniczoną pojemność. Ostatni spóźnialscy zbliżali się do wyjścia. Na końcu dostrzegłem staruszkę na wózku inwalidzkim, popychaną przez pracownika linii lotniczych. Facet musiał zatrzymać się i ominąć coś, co leżało w wejściu do hali bagażowej. Bordowa skórzana torba leżała na boku, wciąż z wyciągniętą rączką. Z odległości kilku metrów dostrzegłem ozdobny, złoty monogram: M.B.G.

Skoczyliśmy z Roscoe do hali bagażowej. W ciągu kilku minut pomieszczenie praktycznie opustoszało. W środku czekała zaledwie garstka osób, większość ściągała już walizki z taśmy i zmierzała do wyjścia. Po minucie zostaliśmy sami. Taśma wciąż krążyła ze zgrzytem. Nagle zatrzymała się. W sali zapadła cisza. Staliśmy z Roscoe, patrząc po sobie w milczeniu.

Hala miała cztery ściany, podłogę i sufit. Drzwi wejściowe i wyjściowe. Taśma wyjeżdżała z metrowego otworu i ponownie znikła w drugim identycznym. Oba otwory przysłonięto czarnymi gumowymi zasłonkami, pociętymi na kilkucentymetrowe pasy. Obok dostrzegliśmy drzwi towarowe. Po naszej stronie były gładkie, zamknięte na klucz, pozbawione klamki. Roscoe śmignęła do wyjścia i podniosła torbę Molly Beth. Otworzyła ją. W środku tkwiła zmiana ubrań i kosmetyczka. A także zdjęcie, dwanaście na piętnaście centymetrów, w mosiężnej ramce. To był Joe. Wyglądał zupełnie jak ja, tyle że był nieco szczuplejszy. Ogolona, opalona głowa. Cierpki, rozbawiony uśmiech.

Nagle w pomieszczeniu rozległo się ostre wycie syreny ostrzegawczej. Zabrzmiało przez moment, a potem taśma bagażowa ze szczękiem ruszyła naprzód. Spojrzeliśmy na nią, wbijając wzrok w ciemny otwór, z którego się wynurzała. Gumowa zasłonka wydeła się i ujrzeliśmy aktówkę. Bordowa skóra, przecięte paski. Aktówka była otwarta i pusta.

Zbliżała się ku nam, podskakując lekko. Patrzyliśmy bez słowa. Przyglądaliśmy się przeciętym paskom. Ostry nóż. Przeciął je ktoś, komu zbyt się spieszyło, by otwierać zatrzaski.

Wskoczyłem na taśmę. Pobiegłem pod prąd i niczym pływak zanurkowałem głową naprzód przez gumowe paski osłaniające otwór. Wylądowałem ciężko. Taśma zaczęła ciągnąć mnie z powrotem na zewnątrz. Podczołgałem się na czworakach, przeturlałem i skoczyłem. Byłem w sortowni, zupełnie pustej. Na zewnątrz świeciło popołudniowe słońce, w powietrzu unosiła się woń paliwa i oleju napędowego z ciągników zwożących bagaż ze stojących na płycie samolotów.

Wszędzie wokół wznosiły się wysokie stosy porzuconych ładunków, zapomnianych walizek, upchniętych na otwartych regałach. Gumową podłogę zaścielała warstwa starych nalepek i kodów kreskowych. Wszystko to przypominało wyjątkowo brudny labirynt. Zacząłem krążyć wokół, rozpaczliwie szukając Molly. Wbiegałem za kolejne sterty toreb, do jednej sortowni, potem do następnej. Chwytałem metalowe wsporniki i skręcałem gwałtownie, rozglądając się z nadzieją. Nikogo, ani śladu ludzi. Biegłem dalej, ślizgając się na śmieciach.

Nagle znalazłem jej lewy but. Leżał na boku przy wejściu do ciemnego pomieszczenia. Wpadłem do środka. Nic. Sprawdziłem następne. Też nic. Przytrzymałem się półek, dysząc ciężko. Musiałem jakoś się pozbierać. Wróciłem na koniec długiego korytarza i zacząłem zaglądać kolejno do wszystkich pomieszczeń. W lewo i w prawo, w lewo i w prawo, zdyszany poruszałem się szybko rozpaczliwym zygzakiem.

W trzecim pomieszczeniu przed końcem znalazłem prawy but. Potem, w wejściu do następnej hali, natknąłem się na jej krew. Wielka kałuża na podłodze, lepka, rozszerzająca się coraz bardziej. Molly Beth leżała przy ścianie w mroku, na plecach, wciśnięta pomiędzy dwa stosy skrzyń, porzucona na gumowej podłodze. Wypływała z niej krew. Rozpruto jej brzuch, ktoś wbił w nią nóż i szarpnął gwałtownie w górę, pod żebra. Lecz wciąż jeszcze żyła. Błada dłoń trzepotała lekko, usta pokrywały jaskrawoczerwone bąbelki krwi, głowa nie poruszała się, lecz oczy krążyły tam i z powrotem. Podbiegłem do niej, podtrzymałem głowę. Spojrzała na mnie, zmusiła się, by poruszyć wargami.

- Trzeba wejść przed niedzielą - szepnęła.



A potem umarła w moich ramionach.

## 21

Uczyłem się chemii w siedmiu różnych liceach, z mizernym skutkiem. Pozostało mi tylko ogólne wrażenie. Zapamiętałem jednak, że czasami wystarczy wrzucić odrobinę substancji do szklanej rurki, a wszystko wybuchnie. Szczypta prochu wywołuje efekt niewspółmierny do jego ilości.

To właśnie czułem, jeśli chodzi o Molly. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, nie słyszałem o niej. Ale ogarnął mnie gniew, ogromny gniew. Czułem się gorzej niż wówczas, gdy usłyszałem o śmierci Joego. To, co spotkało Joego, stanowiło ryzyko zawodowe. On o tym wiedział. Zaakceptował to. Obaj wiedzieliśmy, co znaczy ryzyko i obowiązek, od chwili gdy w ogóle cokolwiek zrozumieliśmy. Lecz z Molly było inaczej.

Drugą rzeczą, jaką pamiętam z lekcji chemii, jest ciśnienie. Ciśnienie przemienia węgiel w diamenty, ciśnienie może wiele zdziałać. Tak jak na przykład teraz ze mną. Byłem wściekły i brakowało mi czasu. Raz jeszcze przywołałem w pamięci obraz Molly wynurzającej się z wyjścia, maszerującej naprzód, zdecydowanej poznać brata Joego i pomóc mu. Uśmiechniętej szeroko, zwycięsko, unoszącej aktówkę pełną papierów, których nie wolno jej było skopiować. Ryzykowała wszystko dla mnie, dla Joego. Obrazy w mojej głowie napierały niczym potężne skalne ściany przy starym uskoku. Musiałem zdecydować, jak wykorzystać to ciśnienie. Czy mnie zmiażdży czy też zamieni w diament?

Opieraliśmy się o przedni zderzak samochodu Roscoe, milczeliśmy oszołomieni. Środa po południu, dochodziła trzecia. Przytrzymałem Finlaya za rękę, chciał zostać w środku i dołączyć do akcji. Mówił, że to jego obowiązek. Krzyknąłem, iż nie mamy czasu. Siłą wyciągnąłem go z terminalu i odprowadziłem wprost do samochodu, bo wiedziałem, że to, co zrobimy w ciągu kilku najbliższych chwil, oznacza różnicę między wygraną a przegraną.

- Musimy zdobyć akta Graya - oznajmiłem. - To następny trop.

Finlay wzruszył ramionami. Zrezygnował z walki.

- To wszystko, co mamy - powiedział. Roscoe przytaknęła.

- Chodźmy - rzuciła.

Razem pojechaliśmy jej samochodem. Finlay wyprzedzał nas, wskazując drogę. Nie odzywaliśmy się ani słowem, natomiast on cały czas gadał do siebie. Widziałem, jak jego głowa kołysze się gwałtownie. Krzyczał, wrzeszczał, przeklinał przednią szybę.

\* \* \*

Teale czekał tuż za drzwiami posterunku, oparty o kontuar. W pokrytej plamami starczej dłoni ścisnął laskę. Zobaczył, jak wchodzimy, i pokuśtykał w głąb sali głównej. Usiadł za biurkiem najbliższym archiwum.

Minęliśmy go i zniknęliśmy w wykładanym boazerią gabinecie. Usiedliśmy. Wyciągnąłem z kieszeni oddarty wydruk Joego i przesunąłem go po blacie. Finlay przebiegł wzrokiem litery.

- Niewiele tego - zauważył. - Co znaczy nagłówek? *E Unum Pluribus*. To od tyłu, prawda?

Przytaknąłem.

- Z jedności wiele - wyjaśniłem. - Nie pojmuję, co miał na myśli.

Policjant wzruszył ramionami. Znów zaczął czytać wydrukowany tekst. Obserwowałem go. Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi. Do środka wszedł Baker.

- Teale już wychodzi - oznajmił. - Rozmawia ze Stevensonem na parkingu. Potrzebujecie czegoś?

Finlay wręczył mu oddarty wydruk.

- Zrób mi kopię, dobrze? - poprosił.

Baker zniknął, a Finlay zaczął bębnić palcami o blat.

- Czyje to inicjały? - spytał.

- Znamy tylko nieboszczyków - odparłem. - Hubble i Molly Beth. Dwa pozostałe to numery na uczelnie, Princeton i Columbia. Ostatni, detektyw z Nowego Orleanu.

- A garaż Stollera? Sprawdziliście to?

- Nic tam nie ma, tylko dwa puste kartony po klimatyzatorach, jeszcze z zeszłego roku, gdy przywoził je z Florydy i kradł.

Finlay mruknął potakująco. W tym momencie wrócił Baker. Wręczył mi dokument Joego i jedną kopię. Zatrzymałem oryginał, ksero oddałem Finlayowi.

- Teale poszedł - oznajmił Baker.

Szybko opuściliśmy gabinet. Dostrzegłem jeszcze wyjeżdżającego z parkingu białego cadillaca. Razem otworzyliśmy drzwi archiwum.

Margrave było maleńkim miasteczkiem na prowincji, lecz Gray przez dwadzieścia pięć lat zapełniał to pomieszczenie papierami. Było tu więcej papieru, niż od dawna zdarzyło mi się oglądać. Wszystkie cztery ściany pokrywały szafki, od sufitu do podłogi. Białe, lśniące, emaliowane szafki. Otworzyliśmy kolejno wszystkie drzwiczki. Każdą szafkę wypełniały rzędy akt. Musiało tu być z tysiąc pudełek - kartonowych, z naklejkami na grzbietach. Pod spodem małe plastikowe pętelki, za które można wyciągnąć pudełko, kiedy

jest potrzebne. Po lewej stronie drzwi, na najwyższej półce, mieściła się litera A. Po prawej, nisko, końcówka: Z. Dział akt na K to ściana naprzeciwko drzwi, nieco po lewej, na poziomie oczu.

Znaleźliśmy pudełko podpisane Kliner, pomiędzy trzema innymi z etykietą: „Klan” i jednym opatrzonym napisem: „Klip Springer przeciwko stanowi Georgia”. Wsunąłem palec w zaczep, wyciągnąłem pudełko. Ciężkie. Wręczyłem je Finlayowi. Wróciliśmy biegiem do gabinetu, położyliśmy pudło na blacie i otworzyliśmy. Wypełniały je stare, pożółkłe papiery.

Ale nie te co trzeba. Nie miały nic wspólnego z Klinerem, absolutnie nic. Był to dziesięciocentymetrowy stos starych notatek policyjnych, materiałów operacyjnych. Rzeczy, które powinny zostać wyrzucone dziesiątki lat temu. Kawałek historii. Procedury postępowania w razie gdyby Związek Radziecki wycelował raketę balistyczną w Atlantę. Co robić, jeśli czarny mężczyzna zechce przejechać się z przodu autobusu. Mnóstwo podobnych rzeczy, lecz żaden z nagłówków nie zaczynał się na literę K. Ani razu nie wspomniano nazwiska Kliner. Zerknąłem na dziesięciocentymetrowy stos i poczułem, jak wzrasta we mnie ciśnienie.

- Ktoś nas wyprzedził - mruknęła Roscoe. - Zabrali materiały dotyczące Klinera, zastępując je tymi śmieciami.

Finlay przytaknął, ja jednak pokręciłem głową.

- Nie - stwierdziłem - to nie ma sensu. Tamci ludzie po prostu zabraliby pudełko i wywalili je na śmieci. Gray sam to zrobił. Musiał ukryć swoje akta, ale nie potrafił się zmusić do naruszenia porządku w archiwum. Wyjął zatem z pudełka zawartość, wkładając na to miejsce stare papiery. Ustawił wszystko starannie. Mówiłaś, że był bardzo metodyczny, prawda?

Roscoe wzruszyła ramionami.

- Gray to zrobił? - spytała. - To możliwe. Swój pistolet ukrył u mnie w biurku. Lubiał chować różne rzeczy.

Spojrzałem na nią. Coś w jej słowach sprawiło, że w mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy.

- Kiedy dał ci pistolet? - spytałem.

- Po świętach - oznajmiła. - Niedługo przed śmiercią.

- Coś tu nie gra - powiedziałem. - Gość był detektywem z dwudziestopięcioletnim stażem. Dobrym detektywem. Starszym, szanowanym facetem. Dlaczego ktoś taki miałby kryć się z wybraną przez siebie bronią pozasłużbową? Musiało mu chodzić o coś innego. Dał ci pudełko, bo ukrył w nim coś, co należało schować.

- Owszem, ukrył pistolet - wtrąciła Roscoe. - Już mówiłam.

- Nie - zaprzeczyłem. - Nie wierzę w to. Pistolet był tylko pretekstem. Miał sprawić, byś trzymała pudełko w zamkniętej szufladzie. Nie musiał ukrywać broni. Tacy faceci, gdyby tylko chcieli, mogliby przechowywać w ogródku głowicę jądrową. To nie pistolet był wielką tajemnicą, lecz coś jeszcze, coś w pudełku.

- Ale w pudełku już nic więcej nie ma - zauważyła Roscoe. - A z pewnością żadnych akt.

Przez sekundę trwaliliśmy w bezruchu, potem rzuciliśmy się do drzwi. Wypadliśmy na dwór i popędziliśmy do chevroleta Roscoe. Wyciągnąłem z bagażnika pudełko Gray a, otworzyłem, wręczyłem Finlayowi desert eagle'a i zbadałem pudełko z nabojami. Nic. W samym pudle także nie znalazłem niczego więcej. Potrząsnąłem nim, zbadałem pokrywkę. Nadal nic. Rozdarłem pudełko. Rozdzieliłem sklezione krawędzie, rozłożyłem karton. Wciąż nic. A potem rozdarłem pokrywkę. W kącie pod warstwą kartonu tkwił klucz, przyklejony do jego wewnętrznej strony. Tam gdzie nikt go nie zobaczy. Starannie ukryty przez nieżyjącego człowieka.

\* \* \*

Nie wiedzieliśmy, do czego pasuje klucz. Wyeliminowaliśmy wszystko na posterunku, a także w domu Graya uznawszy, iż to miejsca zbyt oczywiste dla tak ostrożnego człowieka. Wpatrywałem się w klucz, czując narastające napięcie. Zaniknąłem oczy, wyobraziłem sobie Graya odrywającego narożnik pokrywki i przyklejającego pod spodem klucz. Widziałem, jak wręcza pudło swojej przyjaciółce Roscoe i patrzy, jak ona wkłada je do szuflady. Zatrząskuje ją, zamyka. A on się odpręża. Dwukrotnie odtworzyłem w głowie ten krótki film i nagle zrozumiałem, do czego pasuje klucz.

- To coś w zakładzie fryzjerskim - oznajmiłem. Wyrwałem Finlayowi desert eagle'a i wepchnąłem oboje do samochodu. Roscoe prowadziła. Włączyła silnik i wyjechała z parkingu, skręciła na południe, w stronę miasta.

- Dlaczego tam? - spytała.

- Bo tam bywał - odparłem. - Trzy, cztery razy w tygodniu. Mówił mi o tym jeden ze starszków. Jedyne biały klient, jaki ich odwiedzał. Czuł się tam bezpiecznie, z dala od Teale'a, Klinera i wszystkich innych. No i przecież nie musiał tam chodzić, prawda? Mówiłaś, że miał wielką rozłożystą brodę i był łysy. Nie chodził zatem do fryzjera, lecz dlatego że lubił starszków. Zwrócił się do nich o pomoc. Dał im to, co chciał ukryć.

Roscoe gwałtownie zahamowała na ulicy przed zakładem fryzjerskim. Wyskoczyliśmy z wozu i pobiegliśmy do środka. Wewnątrz nie dostrzeżliśmy klientów, jedynie starych Murzynów siedzących we własnych fotelach. Bezczynnych. Uniosłem klucz.

- Przyszliśmy po rzeczy Graya - oznajmiłem. Młodszy z dwójki pokręcił głową.

- Nie mogę ci ich dać, przyjacielu - rzekł.

Podszedł do mnie i odebrał mi klucz. Następnie wcisnął go w rękę Roscoe.

- Ale teraz mogę - stwierdził. - Stary pan Gray powiedział, że nie możemy ich dać nikomu, oprócz jego przyjaciółki, panny Roscoe.

Wziął od niej klucz, podszedł do umywalki i pochylił się, by otworzyć umieszczoną pod nią wąską mahoniową szufladę. Wyciągnął trzy teczki. Grube, w starych, sztywnych papierowych okładkach. Jedną wręczył mnie, drugą Finlayowi, trzecią Roscoe. Potem gestem wezwał współnika. Razem przeszli na zaplecze, zostawiając nas samych. Roscoe usiadła na wyściełanej ławie pod oknem. My z Finlayem przycupnęliśmy na krzesłach. Oparliśmy stopy o chromowane poręcze. Zaczęliśmy czytać.

\* \* \*

W mojej teczce znajdował się gruby plik odbitych na ksero i przefaksowanych raportów policyjnych. Wyglądały niewyraźnie, zdołałem jednak przeczytać. Tworzyły dossier, skompletowane przez detektywa Jamesa Spirenę z wydziału zabójstw piętnastego posterunku w Nowym Orleanie. Osiem lat temu Spirenzie przydzielono sprawę zabójstwa. Następnie siedem kolejnych. W sumie sprawa obejmowała osiem zabójstw. Nie udało mu się wyjaśnić żadnego z nich, nawet jednego. Całkowita klęska.

Ale bardzo się starał. Jego dochodzenie było bez zarzutu, szczegółowe. Pierwsza ofiara to właściciel fabryki włókienniczej, specjalista, pracujący nad nowym procesem chemicznym obróbki bawełny. Drugą ofiarą był majster poprzedniego. Porzucił pracę w fabryce i próbował zebrać pieniądze na założenie własnego zakładu.

Następnych sześć ofiar to pracownicy Agencji Ochrony Środowiska. Prowadzili w biurze nowoorleańskim sprawę dotyczącą zanieczyszczenia delty Missisipi. Masowo zdychały ryby.

W końcu odnaleziono przyczynę - czterysta kilometrów w górę rzeki. Fabryka włókiennicza w Missisipi odprowadzała do rzeki związki chemiczne - wodorotlenek sodu, podchloryn sodu, chlor, które w połączeniu z wodą tworzyły śmiertelny koktajl.

Cała ósemka zginęła tak samo - dwa strzały w głowę z automatycznej broni z tłumikiem. Pistolet kalibru 22. Czysta, kliniczna robota. Spirenza założył, że to dzieło zawodowca. Poszukiwał zabójcy dwiema różnymi drogami. Powołując się na wszelkie

możliwe przysługi, przeniknął w głąb środowiska przestępczego. Nie ma zbyt wielu zawodowych zabójców. Spireza i jego kumple rozmawiali z nimi wszystkimi. Żaden nic nie wiedział.

Drugie podejście było bardziej klasyczne: ustalić, kto zyskał na zamachach. Nie wymagało to zbyt wiele czasu. Właściciel fabryki włókienniczej w Missisipi wydawał się świetnym kandydatem. Cała ósemka w jakiś sposób mu zagrażała - pierwsi dwaj handlowo, pozostała szóstka groziła zamknięciem fabryki. Spireza zaczął rozbierać gościa na czynniki pierwsze, sprawdzać każdy szczegół. Przez rok wisiał mu nad głową. Świadczyły o tym czytane przeze mnie dokumenty. Wezwał do pomocy FBI i Urząd Skarbowy. Sprawdzili każdego centa na każdym rachunku, szukając nie wyjaśnionych płatności gotówką. Zapłaty dla nieuchwytnego zamachowca.

Szukali cały rok i niczego nie znaleźli. Po drodze ujawnili jednak mnóstwo brzydkich spraw. Spireza był przekonany, że gość zabił własną żonę. Po prostu pobił ją na śmierć. Potem znów się ożenił i Spireza przesłał miejscowej policji faks z ostrzeżeniem. Jedyne dziecko klienta był psychopata, według Spirezy gorszym niż ojciec. Twardy jak głaz psychopata. Właściciel zakładu nieustannie chronił syna. Sprzątał, zapewniał mu alibi, za wszystko płacił. Chłopak figurował w aktach kilkunastu różnych instytucji.

Ale nic nie dało się zrobić. Nowoorleańskie FBI straciło zainteresowanie sprawą. Spireza musiał ją zamknąć. Zapomniał o wszystkim, póki stary detektyw z małego miasteczka w Georgii nie przesłał mu faksu, prosząc o informacje dotyczące rodziny Klinerów.

\* \* \*

Finlay zatrzasnął swoją teczkę. Obrócił się na krześle i spojrzał na mnie.

- Fundacja Klinera to oszustwo - oznajmił. - Całkowite. Przykrywka dla czegoś zupełnie innego. Wszystko tu jest. Gray rozgryzł sprawę. Przekopał od góry do dołu. Fundacja co roku wydaje miliony, ale jej przychody wynoszą zero. Dokładnie zero.

Wyciągnął zteczki kartkę papieru, pochylił się, podał mi ją. Był to arkusz kalkulacyjny ukazujący wydatki fundacji.

- Widzisz? - powiedział. - Niewiarygodne. Tyle wydają. Spojrzałem. Na kartce widniała wielka liczba. Skinąłem głową.

- Może nawet znacznie więcej - rzekłem. - Jestem tu pięć dni, prawda? Przedtem przez sześć miesięcy krążyłem po Stanach, a jeszcze wcześniej po całym świecie. Margrave to zdecydowanie najczystsze, najlepiej utrzymane i wychuchane miasteczko, jakie zdarzyło mi się oglądać. Jest bardziej zadbane niż Pentagon czy Biały Dom. Wierz mi, byłem tam.

Wszystko w Margrave jest albo nowiutkie jak spod igły, albo też idealnie odnowione. Czysta perfekcja, tak idealna, że aż przerażająca. To musi kosztować fortunę.

Finlay przytaknął.

- A Margrave to bardzo dziwne miejsce - dodałem. - Przez większość czasu kompletnie opuszczone. Tu nie ma życia. Tak naprawdę w całym mieście nie odbywa się żadna działalność handlowa. Nic się nie dzieje, nikt nie zarabia pieniędzy.

Detektyw spojrzał na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Zastanów się - ciągnąłem. - Spójrz na przykład na Ena. Nowiusieńki bar, błyszczący, doskonale wyposażony, ale praktycznie nie ma w nim klientów. Byłem tam kilka razy i w środku zastałem najwyżej parę osób. Jest więcej kelnerów niż klientów. Jak więc Eno płaci rachunki, podatki od zysków, hipotekę? Podobnie z innymi zakładami w całym mieście. Widziałeś kiedykolwiek przed którymś ze sklepów kolejkę klientów?

Finlay zastanowił się, potrząsnął głową.

- To samo dotyczy zakładu fryzjerskiego - ciągnąłem. - Przyszedłem tu w niedzielę rano, a potem we wtorek rano. Staruszek twierdził, że w tym czasie nie miał żadnych klientów. Ani jednego przez czterdzieści osiem godzin.

Urwałem zastanawiając się, co jeszcze powiedział staruszek - zgarbiony, stary fryzjer. Nagle ujrzałem go w innym świetle.

- Stary fryzjer - podjąłem - powiedział mi coś bardzo osobliwego. Sądziłem, że zwariował. Spytałem, jak zarabiają, skoro nie mają klientów. Odparł, iż nie potrzebują klientów, by zarabiać na życie. Z powodu pieniędzy, które dostają z Fundacji Klinera. Spytałem, jakich pieniędzy. Tysiąca dolarów, odparł. Twierdził, że dostają je wszyscy kupcy. Myślałem, iż chodzi o jakiś grant biznesowy. Tysiąc dolarów rocznie, łapiesz?

Finlay przytaknął, uznając to za logiczne wytłumaczenie.

- To była zwykła rozmowa dla samej rozmowy - dodałem. - Jak to u fryzjera. Powiedziałem zatem, że tysiąc dolarów rocznie to nieźle, ale nie odpędzi głodu spod drzwi. Coś w tym stylu. A wiesz, co on na to?

Finlay pokręcił głową. Czekał. Skupiłem się, próbując dokładnie przypomnieć sobie słowa starego fryzjera. Chciałem sprawdzić, czy zlekceważy je równie łatwo jak ja.

- Zachowywał się, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę - rzekłem. - Jakby nie wolno mu było nawet o tym wspomnieć. Szeptał. Powiedział, że nie powinien mi tego mówić, ale to zrobi, bo znam jego siostrę.

- A znasz jego siostrę? - Finlay sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ależ nie, coś mu się pomieszało. W niedzielę wypytywałem go o Ślepego Blake'a. No wiesz, tego starego gitarzystę. Mówił, iż jego siostra go znała, sześćdziesiąt lat temu. Pewnie przez to mu się pokręciło i uznał, iż twierdziłem, że znam jego siostrę.

- Jak więc wyglądała owa wielka tajemnica? - spytał Finlay.

- Powiedział, że to nie jest tysiąc dolarów rocznie - odparłem - lecz tysiąc dolarów tygodniowo.

- Tysiąc tygodniowo? - powtórzył Finlay. - Tygodniowo? To w ogóle możliwe?

- Nie wiem - przyznałem. - Cały czas zakładałem, że staruszek zwariował. Teraz jednak zaczynam odnosić wrażenie, iż mówił prawdę.

- Tysiąc tygodniowo? - powtórzył Finlay. - Całkiem niezły grant. Pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów rocznie. To cała kupa kasy, Reacher.

Zastanowiłem się chwilę. W końcu wskazałem ręką liczbę na audycie Graya.

- Potrzebują sum tego rzędu - oznajmiłem. - Jeśli tyle wydają, potrzebują takich sum, żeby mieć czym kierować.

Finlay pogрузił się w myślach. Zastanawiał się.

- Kupili całe miasto - powiedział. - Bardzo powoli i cicho kupili całe miasto. Tysiączek tu, tysiączek tam.

- No dobrze - stwierdziłem. - Fundacja Klinera stała się kurą znoszącą złote jaja. Nikt nie zaryzykuje, bo mógłby ją zabić. Toteż wszyscy trzymają gęby na kłódkę i odwracają wzrok, gdy tylko trzeba.

- Zgadza się - mruknął. - Klinerom mogłoby się upiec nawet morderstwo.

Spojrzałem na niego.

- Już im się upiekło.

- Co zatem zrobimy? - spytał Finlay.

- Najpierw ustalimy dokładnie, czym się właściwie zajmują. Popatrzył na mnie jak na szaleńca.

- Przecież już chyba wiemy? Drukują w magazynie całe wagony podrabianych pieniędzy.

Pokręciłem głową.

- Nie - powiedziałem. - W Stanach nie fałszuje się na większą skalę pieniędzy. Joe z tym skończył. Wszystko przychodzi z zagranicy.

- Co więc się dzieje? - spytał Finlay. - Sądziłem, że chodzi o fałszywe pieniądze. Inaczej czemu Joe angażowałby się w tę sprawę?

Roscoe spojrzała na nas z ławki przy oknie.



- Tu chodzi o fałszowanie pieniędzy - oznajmiła. - Znam całą sprawę, do ostatniego szczegółu. Uniosła w jednej ręce teczkę Graya.

- Część odpowiedzi tkwi tutaj - oznajmiła. Drugą ręką podniosła gazetę fryzjerów.

- A reszta tutaj - dodała.

Dołączyliśmy do niej z Finlayem i razem usiedliśmy na ławce. Wspólnie przejrzeliliśmy teczkę. Zawierała raporty obserwacyjne. Gray ukrył się pod estakadą, obserwując ciężarówki przybywające do magazynu i opuszczające go. W sumie robił to przez trzydzieści dwa dni. Wyniki obserwacji opisał starannie w trzech częściach. Przez pierwszych jedenaście dni codziennie wczesnym rankiem widział jedną ciężarówkę przyjeżdżającą z południa. Z magazynu natomiast wozy wyjeżdżały cały dzień, kierując się na północ i zachód. Opisał je wszystkie, przyporządkowując miasta według rejestracji. Musiał używać dobrej lornetki. Lista miast docelowych odpowiadała mapie całego kraju. Od Kalifornii aż po Massachusetts. W ciągu pierwszych jedenastu dni obserwacji zapisał jedenaście przybywających ciężarówek i sześćdziesiąt siedem wyjeżdżających. Średnio jeden przyjazd i sześć wyjazdów dziennie. Ciężarówki nie były zbyt duże. W ciągu tygodnia wywoziły w sumie jakąś tonę ładunku.

Pierwsza część dziennika Graya obejmowała cały rok kalendarzowy. Druga następny rok. Tym razem dziewięć razy prowadził obserwację z ukrycia. Widział pięćdziesiąt trzy wyjeżdżające ciężarówki, ponownie sześć dziennie, podobna lista punktów przeznaczenia, lecz rejestr przybywających ciężarówek wyglądał inaczej. Przez pierwsze pół roku dziennie przybywała jedna tak jak wcześniej, w drugiej połowie dostawy wzrosły do dwóch ciężarówek dziennie.

Ostatnich dwanaście dni obserwacji wyglądało inaczej. Przypadały na ostatnich pięć miesięcy życia Graya. Pomiedzy zeszłą jesienią i lutym nadal notował około sześciu ciężarówek dziennie wyjeżdżających do przeróżnych celów, lecz w ogóle nie wymieniał przyjeżdżających wozów. Ani jednego. Od ostatniej niedzieli z magazynów wywożono towar, niczego nie przywożono.

- I co? - spytał Finlay.

Roscoe wyprostowała się i uśmiechnęła. Miała gotową odpowiedź.

- To chyba oczywiste. Przywożą do kraju sfałszowane pieniądze drukowane w Wenezueli, tam gdzie Kliner założył swoją nową fabrykę chemiczną. Pieniądze przyplływają łodziami, następnie przywożą je z Florydy do magazynu w Margrave, i dalej ciężarówkami na północ i zachód. Los Angeles, Chicago, Detroit, Nowego Jorku, Bostonu. Wprowadzają

falszywki do obiegu w dużych miastach. To sieć dystrybucyjna fałszywych pieniędzy drukowanych za granicą. Bez dwóch zdań, Finlay.

- Naprawdę?

- Oczywiście, że tak - powtórzyła. - Przypomnij sobie Shermana Stollera. Jeździł na Florydę, na spotkanie łodzi przybijających do brzegów Jacksonville Beach. Udawał się tam właśnie na spotkanie z kolejną, gdy został zatrzymany na moście za przekroczenie dozwolonej prędkości. Zgadza się? To dlatego tak bardzo się denerwował. Dlatego tak szybko wyciągnął go drogi prawnik.

Finlay przytaknął

- Wszystko pasuje - dodała. - Wyobraź sobie mapę Stanów. Pieniądze są drukowane w Ameryce Południowej. Przybywają tu morzem. Trafiają na Florydę. Przepływają na północny wschód, a potem rozchodzą się z Margrave do Los Angeles na zachodzie, Chicago w centrum, Nowego Jorku i Bostonu na wschodzie. Odrębne gałęzie, rozumiesz? Wygląda to jak kandelabr albo menora. Wiesz, co to menora?

- Jasne - odparł Finlay. - Żydowski świecznik.

- Zgadza się - przytaknęła Roscoe. - Tak właśnie wygląda to na mapie. Trasa z Florydy do Margrave to podstawa. Potem kolejne ramiona prowadzą do wielkich miast: Los Angeles, Chicago, Bostonu. Bardzo ważna sieć, Finlay.

Bardzo mu pomagała. Kreśliła dłońmi w powietrzu kształt menory. Wywód geograficzny brzmiał całkiem logicznie, sensownie. Strumień przemycanych pieniędzy płynący na północ w ciężarówkach, w górę z Florydy. Na węźle autostrad wokół Atlanty strumień rozdziela się, zmierzając do wielkich miast północy i zachodu. Kształt menory oddawał to całkiem nieźle, tyle że aby sięgnąć do Los Angeles, lewe ramię musiało wygiąć się poziomo, jakby ktoś upuścił świecznik, a ktoś inny przypadkiem go rozdeptał. Lecz sam pomysł miał głęboki sens. Niemal na pewno centrum wszystkiego stanowiło Margrave, a magazyn był głównym ośrodkiem dystrybucji. Wszystko pasowało. Wykorzystanie sensnej miejsciny, takiej jak Margrave, jako ośrodka dystrybucji to sprytne posunięcie, a ludzie z tym związani dysponowaliby mnóstwem gotówki. Jasne, sfalszowanej, ale wydaje się tak samo. Mnóstwo. Wysyłali tonę tygodniowo. Operacja na skalę przemysłową, olbrzymia. To by wyjaśniało ogromne wydatki Fundacji Klinera. Jeśli kiedykolwiek zabraknie im gotówki, mogą po prostu dodrukować. Lecz Finlay wciąż nie wydawał się przekonany.

- A ostatnie dwanaście miesięcy? - spytał. - W ogóle nic nie wpływało. Spójrzcie na listę Graya. Brak dostaw. Urwały się dokładnie rok temu. Sherman Stoller został zwolniony. Prawda? Przez rok niczego nie dostarczano, wciąż jednak coś rozwożą, wciąż z magazynu

wyrusza dziennie sześć ciężarówek. Nic nie spływa, lecz wypuszczają sześć ciężarówek dziennie. Co to znaczy? Co to za import?

Roscoe jedynie uśmiechnęła się szeroko i podniosła gazetę.

- Odpowiedź znajdziesz tutaj - oznajmiła. - Piszą o niej od piątku. Straż przybrzeżna. We wrześniu zeszłego roku rozpoczęli wielką operację zwalczania przemytu. Pamiętasz? Trąbiono o tym we wszystkich gazetach. Kliner musiał wiedzieć, co się święci. Zgromadził zatem potężne zapasy. Widzisz listę Graya? Przez sześć miesięcy przed wrześniem dostawy zostały podwojone. Gromadził w magazynie zapasy. Dystrybuował je cały rok. To dlatego panikowali. Siedzieli na wielkiej kupie fałszywych pieniędzy. Cały rok. Teraz jednak straż przybrzeżna kończy operację, będą więc mogli znów zacząć przemyt. To właśnie ma się zdarzyć w niedzielę. To miała na myśli biedna Molly mówiąc, że musimy wkroczyć przed niedzielą. Musimy dostać się do magazynu, póki wciąż pozostały tam resztki zapasów.

## 22

Finlay przytaknął. Był przekonany. Uśmiechnął się, wstał z ławki w zakładzie fryzjerskim i ujął dłoń Roscoe. Uścisnął ją uroczyście.

- Dobra robota - powiedział. - Doskonała analiza. Zawsze twierdziłem, że sprytna z ciebie babka, Roscoe. Prawda, Reacher? Nie mówiłem, że jest najlepsza?

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się. Roscoe splonęła rumieńcem. Finlay wciąż trzymał jej dłoń i uśmiechał się. Widziałem jednak, że myślami powraca do jej teorii, szukając słabych punktów. Znalazł tylko dwa.

- Co z Hubble'em? - spytał. - Gdzie jest jego miejsce w tym wszystkim? Nie zatrudniliby wysokiego pracownika banku wyłącznie do ładowania ciężarówek, prawda?

Pokręciłem głową.

- Hubble zajmował się gotówką - wyjaśniłem. - Potrzebowali go, by pozbywać się fałszywych pieniędzy. Wprowadzał je do obiegu, wiedział, którędy je wcisnąć, gdzie będą potrzebne. Przypominało to jego dawną pracę, tyle że odwrotną.

Finlay skinął głową.

- A klimatyzatory? - spytał. - Sherman Stoller przewoził je na Florydę, mówiła o tym jego kobieta. Wiemy, że robił to naprawdę, znalazłeś w garażu dwa stare pudła. A kiedy został zatrzymany przez policję z Jacksonville, miał ich pełną ciężarówkę. Co z nimi?

- Pewnie to legalna przykrywka - oznajmiłem. - Pretekst, pod którym kryje się część nielegalna. Coś w rodzaju kamuflażu. To wyjaśniało powód, dla którego ciężarówki jeździły na Florydę, w przeciwnym razie na południe musiałyby jechać puste. Finlay przytaknął.

- Cwane posunięcie, brak pustych przebiegów. To ma sens. Przy okazji można sprzedać parę klimatyzatorów i zarobić kilka groszy.

Ponownie skinął głową i wypuścił dłoń Roscoe.

- Potrzebujemy próbek pieniędzy - oznajmił. Uśmiechnąłem się do niego. Nagle coś sobie uświadomiłem.

- Mam próbki - rzekłem. Wsunąłem dłoń do kieszeni i wyjąłem gruby zwitek studolarówek. Wyciągnąłem jedną z końca i jedną z początku. Wręczyłem banknoty Finlayowi.

- To fałszywki? - spytał.

- Bez dwóch zdań - odparłem. - Charlie Hubble dała mi plik setek na poczet wydatków. Prawdopodobnie dostała je od Hubble'a. Kolejny plik odebrałem facetom, którzy szukali mnie we wtorek.

- To oznacza, że są fałszywe? - spytał Finlay. - Dlaczego?

- Zastanów się - mruknąłem. - Klinier potrzebuje pieniędzy na bieżące wydatki. Dlaczego miałyby używać prawdziwych? Założę się, że płacił Hubble'owi fałszywymi banknotami. I że chłopcy z Jacksonville też takie dostali. Na pokrycie kosztów operacji.

Finlay uniósł dwie setki, oglądając je w jasnym blasku padającym zza okna. Roscoe i ja stanęliśmy tuż za nim.

- Jesteś pewien? - spytała Roscoe. - Według mnie wyglądają na prawdziwe.

- To fałszywki - upierałem się. - Muszą nimi być. To się trzyma kupy, prawda? Fałszerze najbardziej lubią setki. Większych nominałów trudniej się pozbyć, mniejsze nie są opłacalne. A czemu mieliby wydawać prawdziwe dolary, gdy dysponują całymi ciężarówkami fałszywych?

Obejrzeliliśmy uważnie banknoty, obwąchaliśmy, obmacaliśmy, potarliśmy między palcami. Finlay otworzył portfel i wyciągnął własną setkę. Porównaliśmy trzy banknoty, podając je sobie. Nie dostrzeżliśmy żadnej różnicy.

- Jeśli to fałszywki, to są diablo dobre - mruknął Finlay. - Ale to, co mówisz, ma sens. Prawdopodobnie cała Fundacja Kliniera operuje fałszywymi pieniędzmi. Co roku wydają miliony.

Schowal własną setkę do portfela. Fałszywki wsunął do kieszeni.

- Wracam na posterunek - oznajmił. - Wy zjawcie się tam jutro, koło południa. Teale pójdzie wtedy na lunch, a my popracujemy.

\* \* \*

Wraz z Roscoe pojechaliśmy osiemdziesiąt kilometrów na południe, do Macon. Chciałem pozostać w ruchu, to podstawowa zasada bezpieczeństwa, stale się przemieszczać. Wybraliśmy anonimowy motel na południowo-wschodnim krańcu miasta, możliwie najdalej od Margrave. Od naszych wrogów oddzieliło nas całe miasto. Stary burmistrz Teale mówił, że dobrze bym się czuł w motelu w Macon. Dziś wieczór miał rację.

Wzięliśmy zimny prysznic i poszliśmy do łóżka. Wkrótce zapadliśmy w niespokojny sen. W pokoju było gorąco. Przez większą część nocy kręciliśmy się i przewracaliśmy z boku na bok. W końcu o świcie poddaliśmy się. Przez chwilę ziewaliśmy, o pierwszym brzasku. Czwartek rano. Miałem wrażenie, jakbym w ogóle nie spał. Zaczęliśmy macać wokoło i ubraliśmy się w mroku. Roscoe włożyła mundur, a ja stare ciuchy. Pomyślałem, że wkrótce muszę sprawić sobie coś nowego. Zapłacę fałszywkami Klinera.

- Co robimy? - spytała Roscoe.

Nie odpowiedziałem. Myślałem o czymś innym.

- Reacher - zagadnęła. - Co z tym zrobimy?

- A co zrobił Gray? - zapytałem.

- Powiesił się - odparła. Milczałem przez chwilę.

- Naprawdę? Zapadła cisza.

- O Boże. - Roscoe westchnęła. - Uważasz, że są wątpliwości?

- Może - mruknąłem. - Zastanów się. Przypuśćmy, że postawił się jednemu z nich.

Albo że odkryli, iż węszy tam, gdzie nie powinien.

- Myślisz, że go zabili? - W jej głosie dzwięczała panika.

- Może - powtórzyłem. - Myślę, że zabili Joego, Stollera, Morrisonów, Hubble'a, Molly Beth Gordon. Próbowali też zabić ciebie i mnie. Jeśli ktoś im grozi, zabijają. Tak działa Klinier.

Jakiś czas Roscoe milczała, myśląc o swym dawnym koledze, Grayu. Ponurym, cierpliwym detektywie. Dwadzieścia pięć lat żmudnej pracy. Ktoś taki stanowił zagrożenie. Ktoś, kto poświęca trzydzieści dwa dni na sprawdzenie podejrzeń, stanowi zagrożenie. W końcu uniosła wzrok i skinęła głową.

- Musiał popełnić jakiś błąd. Przytaknąłem łagodnie.

- Zlinczowali go - rzekłem. - Upozorowali samobójstwo.

- Nie mogę uwierzyć.

- Przeprowadzono sekcję? - zapytałem.

- Chyba tak.

- Sprawdzimy - postanowiłem. - Będziemy musieli jeszcze raz spotkać się z lekarzem w Yellow Springs.

- Ale przecież powiedziałby coś. Gdyby miał wątpliwości, czy nie wspomniałby o nich?

- Wspomniałby Morrisonowi - wyjaśniłem. - A Morrison by je zignorował, ponieważ to jego ludzie załatwili sprawę. Sami będziemy musieli sprawdzić.

Roscoe zadrżała.

- Byłam na jego pogrzebie - oznajmiła. - Wszyscy tam byliśmy. Komendant Morrison wygłosił mowę na trawniku przed kościołem. Podobnie burmistrz Teale. Nazwali go świetnym policjantem. Jednym z najlepszych w Margrave. A to oni go zabili.

Wypowiedziała te słowa z ogromnym uczuciem. Lubiła Margrave. Jej rodzina harowała tu od pokoleń. Roscoe miała tu swoje korzenie. Lubiła swoją pracę, cieszyła ją myśl, iż daje coś miejscowej społeczności. Lecz społeczność, której służyła, okazała się skorumpowana, brudna, nieczysta. W istocie nie była to społeczność, lecz bagno pełne brudnych pieniędzy i krwi. Siedziałem i patrzyłem, jak wali się świat mojej towarzyszki.

\* \* \*

Pojechaliśmy na północ, drogą pomiędzy Macon i Margrave. W połowie trasy Roscoe skręciła w prawo, kierując się do Yellow Springs, wprost do szpitala. Byłem głodny, nie zjedliśmy śniadania. To nie najlepszy stan na odwiedzin w kostnicy. Zajechaliśmy na parking, powoli pokonaliśmy garby na jezdni i dotarliśmy na tył. Zaparkowaliśmy blisko wielkich metalowych drzwi.

Wysiedliśmy, prostując nogi. Słońce zaczynało już przygrzewać. Miło byłoby zostać na dworze. My jednak weszliśmy do środka i ruszyliśmy na poszukiwania lekarza. Znaleźliśmy go w nieporządnym gabinecie. Siedział przy obtłuczonym biurku. Wciąż sprawiał wrażenie zmęczonego, ciągle miał na sobie biały fartuch. Uniósł wzrok i przywitał nas skinieniem głowy.

- Dzień dobry - powiedział. - Co mogę dla was zrobić?

Usiedliśmy na tych samych stołkach co we wtorek. Trzymałem się z dala od faksu. Pozwoliłem, by Roscoe mówiła. Tak będzie lepiej. Nie miałem żadnych oficjalnych uprawnień.

- Chodzi o luty tego roku - oznajmiła. - Szef detektywów z posterunku w Margrave popełnił samobójstwo. Pamięta pan?

- Czy miał może na nazwisko Gray? - spytał lekarz.

Roscoe przytaknęła. Lekarz wstał i podszedł do szafki z aktami. Wyciągnął jedną z szuflad, która wysunęła się ze zgrzytem. Przesunął palcami po teczkach.

- Luty - mruknął. - Gray.

Wygrzebał teczkę i zaniósł na biurko. Upuścił na bibułę. Usiadł ciężko i otworzył kartonowe okładki. Teczka nie była zbyt gruba. Niewiele tego.

- Gray - powtórzył. - Tak, pamiętam go. Powiesił się, prawda? Po raz pierwszy od trzydziestu lat mieliśmy tu wtedy przypadek z Margrave. Wezwano mnie do jego domu. W garażu, zgadza się? Na belce?

- Owszem - przytaknęła Roscoe i umilkła.

- W czym zatem mogę pomóc? - spytał lekarz.

- Czy coś było nie tak? - spytała. Lekarz zajrzał do teczki, przerzucił kartkę.

- Kiedy facet się wiesza, zawsze jest coś nie tak - zauważył.

- Coś szczególnie nie tak w tej sprawie? - wtrąciłem.

Lekarz powiódł zmęczonym wzrokiem ode mnie ku Roscoe i z powrotem.

- Macie podejrzenia? - spytał.

Niemal się uśmiechał. Tak samo jak wtedy, we wtorek.

- A było coś podejrzanego? - odpowiedziałem pytaniem. Pokręcił głową.

- Nie - stwierdził. - Samobójstwo przez powieszenie. Czysta sprawa. Stał na kuchennym stołku w garażu, zrobił sobie stryczek, zeskoczył ze stołka. Wszystko do siebie pasowało. Od miejscowych dostaliśmy tło całej sprawy. Nie dostrzegłem żadnych problemów.

- Jak wyglądało to tło? - wtrąciła Roscoe. Popatrzył na nią, zerknął do akt.

- Cierpiał na depresję - powiedział. - Dłuższy czas. Tamtego wieczoru pił w mieście ze swym komendantem, tym Morrisonem, którego niedawno nam przywieźliście, i miejscowym burmistrzem, gościem nazwiskiem Teale. We trzech topili smutki z powodu sprawy, którą Gray spieprzył. Urznął się w trupa. Musieli zawieźć go do domu. Dostarczyli go do domu i zostawili. Pewnie poczuł się gorzej, z trudem dotarł do garażu i się powiesił.

- Tak to wyglądało? - spytała Roscoe.

- Morrison podpisał zeznanie - odparł lekarz. - Był naprawdę zdenerwowany, uważał, że powinien zrobić więcej. Zostać z nim czy coś w tym stylu.

- A według pana brzmiało to prawdopodobnie? - zapytała.

- Nie znałem Graya - rzekł. - Nasz szpital ma do czynienia z tuzinem posterunków, nigdy wcześniej nie widziałem nikogo z Margrave. Spokojne miasteczko. Przynajmniej do niedawna. Ale historia wyglądała bardzo typowo. Alkohol odblokowuje ludzi.

- Dowody fizyczne? - spytałem. Lekarz zajrzał do akt, spojrział na mnie.

- Trup śmierdział whisky - oznajmił. - Świeże sińce na ramionach i przedramionach odpowiadały śladom, jakie pozostawiliby dwaj mężczyźni odprowadzający do domu pijaka. Nie dostrzegłem nic podejrzanego.

- Przeprowadził pan sekcję? - zapytała Roscoe. Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie było potrzeby. Czysta sprawa, a my mieliśmy mnóstwo zajęć. Jak mówiłem, mamy na głowie ważniejsze sprawy niż samobójstwo w Margrave. W lutym było sporo wypadków. Pełne ręce roboty. Wasz komendant Morrison prosił, by załatwić to szybko. Chyba przysłał nam list. Mówił, że to delikatna sprawa. Nie chciał, by rodzina Graya dowiedziała się o pijaństwie. Chciał zachować pozory. Mnie to nie przeszkadzało. Nie dostrzegłem nic podejrzanego, a mieliśmy kupę roboty. Toteż natychmiast przekazałem zwłoki do kremacji.

Siedzieliśmy z Roscoe i patrzyliśmy po sobie. Lekarz wrócił do szafki, odłożył akta, ze zgrzytem zatrzasnął szufladę.

- Wszystko w porządku? - rzucił. - Jeśli tak, to wybaczenie, ale mam sporo pracy.

Podziękowaliśmy mu za poświęcony nam czas, a potem opuściliśmy ciasny gabinet i wyszliśmy na ciepłe jesienne słońce. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, mrugając oczami. Roscoe nie kryła zdenerwowania. Właśnie usłyszała potwierdzenie, że jej stary przyjaciel został zamordowany.

- Przykro mi - mruknąłem.

- To bzdura, od początku do końca - odparła. - Nie schrzanił żadnej sprawy, nigdy nie schrzanił sprawy. Nie był wcale w depresji i nie pił. W ogóle nie tykał alkoholu, więc z pewnością nie urznął siew trupa. I nigdy nie spotykał się z Morrisonem ani z cholernym burmistrzem. Nie ma mowy. Nie lubił ich. Nigdy w życiu nie spędziłby z nimi wieczoru. Poza tym, nie miał rodziny, więc cała ta gadanina o rodzinie i pozorach to pierdoły. Oni go zabili i okłamali koronera, tak by nie wnikał w sprawę.

Siedziałem w samochodzie pozwalając, by uleciała z niej wściekłość. W końcu Roscoe umilkła.

- Myślisz, że to sprawka Morrisona i Teale'a? - spytała.

- I kogoś jeszcze - odparłem. - Uczestniczyło w tym trzech facetów. Myślę, że we trójkę poszli do niego, zapukali do drzwi. Gray otworzył, Teale wyciągnął splotkę. Morrison i ten trzeci złapali go i przytrzymali za ręce. To wyjaśnia sińce. Teale wlał mu do gardła butelkę whisky albo przynajmniej ochlapał nią ubranie. Potem zaciągnęli go do garażu i powiesili.



Roscoe przekręciła kluczyk i wyjechała z parkingu. Powoli pokonała garby. Potem skręciła i wypadła na szosę, prowadzącą do Margrave.

- Zabili go - powiedziała. Proste stwierdzenie faktu. - Tak jak zabili Joego. Chyba już wiem, jak się czujesz.

Przytaknąłem.

- Zapłacę za to - obiecałem. - Za nich obu.

- Na pewno - rzuciła.

Umilkliśmy. Jakiś czas pędziliśmy na północ. Potem wjechaliśmy na lokalną drogę. Od Margrave dzieliło nas dwadzieścia kilometrów.

- Biedny, stary Gray. - Westchnęła. - Wciąż nie mogę uwierzyć. Był taki sprytny, taki ostrożny.

- Nie dość sprytny albo nie dość ostrożny. Musimy to zapamiętać. Znasz zasady, prawda? Nigdzie nie chodź sama. Jeśli zobaczysz, że ktoś się zbliża, uciekaj ile sił w nogach albo strzelaj. Jeśli możesz, trzymaj się Finlaya, zgoda?

Skupiła się na prowadzeniu. Jechała szybko prostą drogą i myślała o Finlayu.

- Finlay - mruknęła. - Wiesz, czego nie potrafię zrozumieć?

- Czego?

- Jest ich dwóch, prawda? Teale i Morrison. W imieniu Klinera rządzą miastem, posterunkiem policji. Wszystkim. Gray jest ich szefem detektywów. Starszy gość, mądry, bystry, uparty. Od dwudziestu pięciu lat pracował w policji. Oni swoje machlojki zaczęli dużo później. Odziedziczyli go, nie mogli się go pozbyć. Aż w końcu pewnego pięknego dnia ich bystry, uparty detektyw coś wywęszył. Odkrył, że coś się dzieje, a oni się zorientowali. Usunęli go zatem, zamordowali, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. I co zrobili?

- Mów dalej - rzuciłem.

- Zatrudnili zastępcę, Finlaya, z Bostonu. Gościa jeszcze sprytniejszego i jeszcze bardziej upartego niż Gray. Dlaczego to zrobili? Do diabła, jeśli Gray im zagrażał, to Finlay jest dwa razy bardziej niebezpieczny. Więc dlaczego? Czemu zatrudnili kogoś jeszcze mądrzejszego niż jego poprzednik?

- To łatwe - odparłem. - Sądzieli, że Finlay to dureń.

- Dureń? - powtórzyła. - Jak mogli tak myśleć?

Opowiedziałem jej to samo, co Finlay opowiedział mnie w poniedziałek nad porcją pączków. O jego rozwodzie, ówczesnym stanie umysłu. Jak sam się nazwał? Mówił, że nadawał się do czubków, zachowywał jak idiota. Nie potrafił sklecić zdania.

- Rozmawiali z nim komendant Morrison i burmistrz Teale - powiedziałem. - Uważał, iż była to najgorsza aplikacja w historii, że wyszedł na idiotę. Był zaskoczony, kiedy dostał tę pracę. Teraz rozumiem czemu. Po prostu szukali idioty.

Roscoe się roześmiała. Nagle poczułem się lepiej.

- Boże - westchnęła - co za ironia. Pewnie wszystko starannie zaplanowali. Gray stanowił problem. Lepiej zastąpić go głupcem, wybrać najgorszego możliwego kandydata.

- Zgadza się - dodałem. - I tak postąpili. Wybrali załamane go idiotę z Bostonu. Gdy jednak się tu zjawił, zdążył dojść do siebie i znów stał się spokojnym, inteligentnym facetem.

Dwa następne kilometry Roscoe pokonała z uśmiechem. Potem dotarliśmy na szczyt niskiego wzniesienia i ruszyliśmy w dół ku Margrave. Znów poczuliśmy napięcie, zupełnie jakbyśmy wkraczali na teren walki. Jakiś czas pozostawaliśmy za jego granicami i powrót nie był przyjemny. Sądziłem, iż kiedy zidentyfikuję graczy z drużyny przeciwnej, poczuję się lepiej. Ale nie tego się spodziewałem. To nie była gra ja kontra oni w bezstronnym otoczeniu. Otoczenie nie było neutralne, należało do przeciwnika. Całe miasto w tym uczestniczyło. Kupili je sobie. Tu nikt nie pozostanie neutralny. Pędziliśmy w dół z prędkością stu kilometrów na godzinę, wprost w paszczę niebezpieczeństwa. Większego niż oczekiwałem.

Na granicy miasta Roscoe zwolniła. Wielki Chevrolet płynął po lśniącej asfalcie Margrave. Rosnące po obu stronach magnolie i derenie zniknęły, zastąpione przez aksamitne trawniki i ozdobne wiśnie, drzewa o gładkich, błyszczących pniach, jakby ktoś starannie polerował korę. W Margrave zresztą nie było to wcale takie nieprawdopodobne. Zapewne Fundacja Klinera płaciła komuś za to sporą sumkę.

Minęliśmy szereg sklepów i zakładów, pustych i spokojnych, żyjących z niewiarygodnych darowizn tysiąca dolarów tygodniowo. Okrążyliśmy plac z pomnikiem Caspara Teale'a. Zostawiliśmy za sobą skręt do domu Roscoe. Domu o zniszczonych frontowych drzwiach. Minęliśmy kafejkę, ławki pod markizami, park, gdzie kiedyś wznosiły się bary i pensjonaty, gdy Margrave żyło ucziwie. W końcu dotarliśmy na posterunek. Zaparkowaliśmy. Bentley Charlie Hubble wciąż stał tam, gdzie go zostawiłem.

Roscoe zgasła silnik. Przez minutę siedzieliśmy w ciszy. Nie chcieliśmy wysiadać, ściskaliśmy się za ręce, Ten gest miał nam dodać otuchy. Potem wysiedliśmy, ruszając w bój.

\* \* \*

Na posterunku panował chłód i pustki. Dostrzegłem tylko siedzącego za biurkiem Bakera i Finlaya, który właśnie wychodził z gabinetu z boazerią. Na nasz widok przyspieszył kroku.

- Za dziesięć minut wraca Teale - oznajmił. - A my mamy drobny problem.

Wezwał nas do gabinetu. Weszliśmy do środka. Finlay zamknął drzwi.

- Dzwonił Picard - oznajmił.

- W czym problem? - spytałem.

- Chodzi o schronienie, kryjówkę, w której mieszkają Charlie i jej dzieci. To musi pozostać nieoficjalne, prawda?

- Tak powiedział - przytaknąłem. - Zanadto się wychylił.

- Zgadza się - rzekł Finlay. - W tym rzecz. Brakuje mu ludzi. Ktoś powinien zostać z Charlie. Dotąd sam ich pilnował, ale już nie może. Nie może znów wziąć wolnego. Poza tym uważa, że to niestosowne. No wiesz, Charlie to kobieta, ma też ze sobą dziewczynkę, i tak dalej. Dzieciak śmiertelnie się go boi.

Spojrzał na Roscoe. Natychmiast dostrzegła, dokąd zmierza rozmowa.

- Chcesz, żebym tam pojechała? - spytała.

- Tylko na dwadzieścia cztery godziny - oznajmił Finlay. - O tyle prosi. Zrobisz to dla niego?

Roscoe wzruszyła ramionami. Uśmiechnęła się.

- Oczywiście - odparła. - Nie ma sprawy. Stać mnie na jeden dzień. Obiecuj tylko, że mnie wezwiesz, kiedy zacznie się zabawa. Zgoda?

- Masz to jak w banku - zapewnił ją Finlay. - Zabawa się nie zacznie, póki nie poznamy szczegółów. A gdy tylko je zdobędziemy, Picard oficjalnie wkroczy do akcji i umieści w kryjówce własnych agentów. Wtedy wrócisz.

- Okay - mruknęła Roscoe. - Kiedy mam jechać?

- Natychmiast. Picard zaraz tu będzie. Uśmiechnęła się szeroko.

- Z góry założyłeś, że się zgodzę? Odpowiedział jej uśmiechem.

- Jak już mówiłem Reacherowi, jesteś tu najlepsza. Razem z Roscoe wyszliśmy na dwór. Wyjęła z bagażnika walizkę i postawiła na krawężniku.

- No to do zobaczenia jutro - rzekła.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Jasne - odpowiedziała. - Nic mi nie będzie. W końcu nie ma bezpieczniejszego miejsca niż kryjówka FBI. Tyle że będę za tobą tęsknić, Reacher. Nie myślałam, że tak szybko się rozstaniemy.

Ucisnąłem jej dłoń. Ucałowała mnie w policzek, szybko muskając go wargami. Finlay pchnął drzwi posterunku. Usłyszałem mlaśnięcie gumowej uszczelki. Wystawił głowę na zewnątrz, wołając do Roscoe.

- Lepiej opowiedz o wszystkim Picardowi, dobrze? Roscoe skinęła głową. Staliśmy i czekaliśmy w słońcu. Na szczęście niedługo. Po kilku minutach na podjazd z piskiem opon wtoczył się niebieski wóz Picarda. Podskoczył i zatrzymał się tuż obok nas. Potężny agent wysliznął się zza kierownicy i wstał, przesłaniając słońce.

- Jestem naprawdę wdzięczny, Roscoe - powiedział. - Bardzo mi pomagasz.

- Nie ma sprawy. W końcu ty też nam pomagasz. Dokąd właściwie jadę?

Picard uśmiechnął się ze zmęczeniem i wskazał mnie skinieniem głowy.

- Nie mogę powiedzieć - odparł. - Nie w obecności cywili. I tak mocno nagiąłem przepisy. Muszę również poprosić, żebyś po wszystkim też o tym nie rozmawiała. A ty, Reacher, nie naciskaj, dobrze? Nie wypytuj jej ani Charlie.

- Dobrze - zgodziłem się. Nie zamierzałem naciskać. Wiedziałem, że i tak mi powie.

- To świetnie - mruknął Picard.

Pożegnał mnie gestem i podniósł walizkę Roscoe. Rzucił ją na tylne siedzenie. A potem oboje wsiedli do niebieskiego wozu i odjechali na północ. Pomachałem im na pożegnanie. Po chwili samochód zniknął mi z oczu.

## 23

Szczegóły, zbieranie dowodów, praca śledcza - oto podstawa wszystkiego. Trzeba się ukryć i obserwować dostatecznie długo i uważnie, by zdobyć to, czego trzeba. Podczas gdy Roscoe przyrządzała filiżanki kawy Charlie Hubble, a Finlay siedział w gabinecie z boazerią ja zamierzałem obserwować magazyny. Dostatecznie długo i uważnie, by dokładnie wyczuć, jak to robią. Może potrwa to pełną dobę. Możliwe, że Roscoe wróci wcześniej ode mnie.

Wsiadłem do bentleya i pokonałem dwadzieścia dwa kilometry, dzielące mnie od rozjazdu. Mijając magazyny zwolniłem. Musiałem znaleźć odpowiedni punkt obserwacyjny. Północny wjazd na autostradę przebiegał pod południowym zjazdem. W tym miejscu drogę podtrzymywały niskie, szerokie betonowe filary. Uznałem, iż najlepiej ukryć się za jednym z nich. Będę doskonale schowany w mroku, a dzięki lekkiemu wzniesieniu nad poziom terenu zyskam lepszy widok na cały obszar magazynów. Oto moje miejsce.

Przyspieszyłem i skierowałem się na północ, do Atlanty. Jazda zabrała godzinę. Powoli zaczynałem orientować się w tutejszej geografii. Szukałem taniej dzielnicy handlowej i znalazłem ją bez trudu. Po krótkim czasie ujrzałem dokładnie taką ulicę, o jaką mi chodziło. Warsztaty samochodowe, hurtownicy sprzedający stoły bilardowe, sklepy z biurowymi zwrotami po leasingu. Zaparkowałem przed kiermaszem charytatywnym, naprzeciwko dwóch sklepików ze sprzętem do survivalu. Wybrałem ten po lewej, wszedłem do środka. Po

otwarciu drzwi zadźwięczał dzwonek. Mężczyzna za ladą uniósł wzrok. Bardzo typowy: biały, czarna broda, strój maskujący, wysokie buty. W uchu kołysał mu się duży złoty kolczyk. Wyglądał jak pirat. Może był kombatantem, a może tylko chciał sprawiać takie wrażenie. Powitał mnie skinieniem głowy.

Miał wszystko, czego potrzebowałem. Wybrałem szybko oliwkowe spodnie maskujące i koszulę. Znalazłem odpowiednią kurtkę moro. Starannie obejrzałem kieszenie - musiałem zmieścić do nich desert eagle'a. Potem poszukałem manierki i porządnej lornetki polowej. Zwaliłem wszystko na ladę obok kasy. Wyciągnąłem plik setek. Brodacz spojrzął na mnie.

- Przydałaby mi się pałka - powiedziałem.

Popatrzył na mnie, na plik banknotów, potem sięgnął pod ladę i postawił na niej duże pudło. Ciężkie. Wybrałem grubą pałkę, około dwudziestu centymetrów długości. Obszyta skórą, z jednej strony okręcona taśmą dla lepszego uchwytu. W środku kryła się sprężyna hydrauliczna - to coś, co wkłada się do rur, nim sieje zegnie - obłożona kulkami ołowiu. Świetna broń. Przytaknąłem. Zapłaciłem za wszystko i wyszedłem. Kiedy pchnąłem drzwi, dzwonek odezwał się ponownie.

Przestawiłem bentleya sto metrów dalej, przed pierwszy warsztat samochodowy reklamujący przyciemnianie szyb. Nacisnąłem klakson i wyszedłem na spotkanie mechanika.

- Mógłby pan przyciemnić mi szyby? - spytałem.

- W tym wozie? Jasne. Wszystkie mogę przyciemnić.

- Ile by to trwało?

Facet podszedł do samochodu, przesunął palcem po jedwabistej karoserii.

- W takim wozie robota musi być pierwsza klasa. Załatwię to w dwa dni, może trzy.

- Ile? - spytałem.

Nadal gładził palcami lakier. Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, jak wszyscy mechanicy, kiedy spytać ich o cenę.

- Parę setek - rzekł. - To za robotę pierwsza klasa. A przy takim wózku nie chce pan chyba nic gorszego?

- Zapłacę dwieście pięćdziesiąt - oznajmiłem. - To za jeszcze lepszą robotę. A do tego pożycz mi pan swój wóz na dwa, trzy dni. Tyle, ile trzeba, zgoda?

Facet ponownie syknął, potem poklepał lekko maskę bentleya.

- Umowa stoi, przyjacielu.

Zdjąłem z kółka klucz od bentleya i wymieniłem go na kluczyk ośmioletniego cadillaca barwy starego awokado. Prowadził się całkiem nieźle i wyglądał absolutnie

anonimowo. Bentley to piękny wóz, ale nie potrzebowałem go podczas prowadzenia obserwacji. Powiedzieć, że rzucił się w oczy, to mało. Wbił się w nie z siłą wodospadu.

\* \* \*

Okrążyłem miasto od południa i zatrzymałem się na stacji benzynowej. Napeliłem wielki bak starego cadillaca, kupiłem też kilka batonów, orzeszki i parę butelek wody. Potem skorzystałem z toalety i przebrałem się. Włożyłem ciuchy z demobilu. Stare rzeczy wyrzuciłem do kosza na ręczniki. Wróciłem do samochodu. Do wewnętrznej kieszeni kurtki wsunąłem pistolet, przeładowany i zabezpieczony. Resztę naboji schowałem w górnej kieszeni. Nóż sprężynowy Morrisona trafił do bocznej kieszeni po lewej, pałka po prawej.

Orzechy i batony pochowałem w pozostałych kieszeniach. Wlałem do manierki butelkę wody i zabrałem się do pracy. Powrót do Margrave zabrał kolejną godzinę. Na zjeździe wjechałem na pas wiodący na północ. Cofnąłem się jakieś sto metrów i przystanąłem na ziemi niczyjej pomiędzy zjazdem i wjazdem, w miejscu gdzie nikt wjeżdżający bądź zjeżdżający z autostrady nie zobaczy samochodu. Dostrzegą go jedynie ludzie mijający Margrave, a ich nic to nie obejdzie.

Podniosłem maskę i podparłem ją. Zamknąłem samochód. Zostawiłem go tak. Równie dobrze mogłem sprawić, by stał się niewidzialny. Ot, kolejny zepsuty wóz na poboczu. Coś tak zwykłego, że w ogóle się go nie dostrzega. Potem pokonałem niski betonowy murek na skraju pobocza. Zsunąłem się na dół, pobiegłem na południe, przecinając jezdnię. Cały czas biegłem, póki nie znalazłem się w mroku między filarami. Ukryłem się za jednym z nich. Nad moją głową zjeżdżające z autostrady ciężarówki z łoskotem wtaczały się na starą lokalną drogę. Potem zwalniały i skręcały wprost do magazynów.

Usadowiłem się wygodnie za filarem. Miałem stąd świetny widok. Dwieście metrów odległości, dziesięć wzniesienia. Cały teren rozciągał się przede mną niczym mapa. Świeżo zakupiona lornetka okazała się doskonała. Dostrzegłem cztery odrębne magazyny. Wszystkie identyczne, tworzące linię prostą oddalającą się ode mnie pod ostrym kątem. Cały obszar otaczało wysokie ogrodzenie, zwieńczone szerokim pasem drutu kolczastego. Każdy z czterech magazynów miał własną wewnętrzną siatkę i bramę. Główna brama w ogrodzeniu zewnętrznym wychodziła na drogę. Na całym terenie trwała krzątania.

Pierwszy magazyn był zupełnie niewinny. Wielkie podnoszone drzwi stały otworem. Widziałem zajeżdżające przed nie miejscowe ciężarówki. Ludzie otwarcie ładowali i wyładowywali towary - solidne jutowe worki, pełne, ciężkie. Może były to warzywa, może ziarno albo nawozy. Coś, czego potrzebują farmerzy, ale nic tajnego, nic skrywanego. Same miejscowe ciężarówki, rejestracje z Georgii, ani jednej spoza stanu. Nic dość wielkiego, by

mogło pokonać trasę z południa na północ, przez cały kraj. Pierwszy magazyn był czysty. Jak łąza.

To samo dotyczyło drugiego i trzeciego. Ich bramy były otwarte, drzwi podniesione. Krzątania ograniczała się do podjazdów, nic tajnego, wszystko na widoku. Inne ciężarówki, lecz nadal miejscowe. Nie widziałem, co przewożą. Może towary do tutejszych sklepików. Drobną sprzęt gospodarczy. W trzecim dostrzegłem beczki z olejem, ale nic interesującego.

To czwarty magazyn okazał się tym właściwym. Ostatni w rzędzie. Sprytna, sensowna lokalizacja. Oślaniał go chaos wokół trzech pierwszych budynków. Ponieważ jednak był ostatni, żaden z miejscowych farmerów i kupców nie przejeżdżał obok. Nikt go nie oglądał. Sprytnie. Zdecydowanie o niego mi chodziło. Jakies siedemdziesiąt pięć metrów za nim rosło na polu rozszczerzone drzewo. To samo, które Roscoe rozpoznała na zdjęciu przedstawiającym Stollera, Hubble'a i żółtą ciężarówkę. Aparat na podjeździe złapałby drzewo tuż za rogiem budynku. To było to, bez dwóch zdań.

Wielkie frontowe drzwi były zamknięte, brama także. Na podjeździe kręciło się dwóch strażników. Nawet z odległości dwustu metrów przez lornetkę dostrzegłem czujne spojrzenia, napięcie mięśni, jakby chronili coś ważnego. Obserwowałem ich jakiś czas. Krążyli wokół, poza tym jednak nic się nie działo. Przeniosłem zatem wzrok na drogę, czekając na ciężarówkę zmierzającą do czwartego magazynu.

\* \* \*

Czekałem długo. Byłem boleśnie świadom każdej mijającej minuty, toteż zacząłem śpiewać pod nosem, powtarzając wszystkie znane mi wersje „Rambling on my Mind”. Każdy wokalista miał jakąś wersję. Na płytach opisują ją jako piosenkę tradycyjną nikt nie wie, czyja jest, skąd pochodzi. Prawdopodobnie z delty Missisipi. To piosenka ludzi, którzy nie potrafią usiedzieć na miejscu, choćby mieli doskonały powód, ludzi takich jak ja. Tkwiałem w Margrave niemal tydzień. Dotąd nigdzie nie zabawiłem tak długo z własnej woli. Mógłbym tu zostać wiecznie, z Roscoe, bo była dla mnie dobra. Wyobrażałem sobie, jak dzielę z nią przyszłość. Miłe.

Był tylko jeden problem. Gdy brudne pieniądze Klinera znikną, całe miasto się zawali. Nie będzie gdzie zostać, a ja musiałem wędrować. Tak jak w piosence, którą śpiewałem. Musiałem się włóczyć. Melodia tradycyjna, równie dobrze mogła zostać napisana dla mnie. W głębi serca wierzyłem, iż napisał ją Ślepy Blake. A on wędrował. Szedł tędy, gdy zamiast betonowych filarów stały tu stare drzewa. Sześćdziesiąt lat temu maszerował drogą, którą obserwowałem. Być może śpiewał wówczas tę samą piosenkę.

Kiedyś śpiewaliśmy ją razem z Joem. Stanowiła ironiczny komentarz do wojskowego trybu życia. Wytaczaliśmy się z kolejnego samolotu, podjeżdżaliśmy pod duszny, pusty, wojskowy dom. Dwadzieścia minut później zaczynaliśmy śpiewać, jakbyśmy przebywali tu dość długo i byli gotowi ruszyć dalej. Teraz zatem oparłem się o betonowy słup i zaśpiewałem dla siebie i dla niego.

Odtworzenie wszystkich wersji starej piosenki zabrało mi trzydzieści pięć minut. Każdą śpiewałem dwa razy, dla siebie i dla Joego. Przez ten czas do magazynów zajechało sześć ciężarówek. Wyłącznie miejscowych, zakurzonych ciężarówek z Georgii. Ani jednej nie pokrywał pył z długiej trasy, ani jedna nie zajechała pod ostatni magazyn. Przez trzydzieści pięć minut śpiewałem cicho, nie zdobywszy żadnych informacji.

Dostałem jednak oklaski. Zakończyłem ostatnią piosenkę i usłyszałem powolne ironiczne klaskanie, dobiegające z ciemności za moimi plecami. Obróciłem się gwałtownie, okrążając szeroki filar, i spojrzałem w mrok. Oklaski umilkły. Z ciemności dobiegł mnie głośny szmer. Dostrzegłem rozmazaną plamę, postać człowieka. Po chwili nabrała kształtu. Włóczęga. Długie, siwe, splątane włosy. Kilkuwarstwowe ubranie, jasne oczy płonące w brudnej, pomarszczonej twarzy. Mężczyzna zatrzymał się tuż poza moim zasięgiem.

- Kim jesteś, do diabła? - spytałem.

Odgarnął na bok zasłonę włosów i wyszczerzył zęby.

- A ty kim, do diabła, jesteś? - spytał. - Przychodzisz do mnie i zaczynasz wyć.

- Do ciebie? Mieszkasz tutaj? Przykucnął i wzruszył ramionami.

- Tymczasowo - odparł. - Jestem tu od miesiąca. Jakiś problem?

Pokręciłem głową. Zwykła rzecz. Facet musiał gdzieś mieszkać.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mruknąłem. - Niedługo się stąd wyniosę.

Poczułem jego zapach. Nieprzyjemny. Mężczyzna cuchnął, jakby całe życie spędził w drodze.

- Możesz zostać, ile tylko chcesz - rzekł. - Właśnie postanowiliśmy stąd zniknąć. Opuszczamy lokal.

- My? - spytałem. - Jest tu ktoś jeszcze?

Gość spojrzał na mnie dziwnie. Obrócił się i wskazał powietrze obok siebie. Nikogo tam nie było. Moje oczy przywykły do mroku, widziałem nawet betonowy wspornik podtrzymujący drogę. Poza tym nic, pustka.

- Moja rodzina - rzekł. - Miło nam cię poznać, ale musimy już ruszać. Czas iść.



Sięgnął za siebie i wyciągnął z mroku brezentowy worek. Wojskowy. Widniał na nim wyblakły napis: PFC, coś tam, numer seryjny i docelowa baza oddziału. Mężczyzna przyciągnął worek do siebie i zaczął się oddalać, szurając nogami.

- Zaczekaj! - rzuciłem. - Gdzie byłeś tydzień temu, w czwartek?

Bezdomny przystanął i częściowo odwrócił się ku mnie.

- Jestem tu od miesiąca - oznajmił. - W zeszły czwartek nic nie widziałem.

Spojrzałem na niego i jego worek. Żołnierz. Żołnierze nigdy nie zgłaszają się na ochotnika. Podstawowa zasada przetrwania. Podniosłem się z betonu i wyciągnąłem z kieszeni batonik. Owinąłem go banknotem studolarowym, cisnąłem mojemu towarzyszowi. Złapał baton i schował gdzieś pod płaszczem. Bez słowa skinął głową.

- Czego zatem nie widziałeś w zeszły czwartek? - zapytałem. Wzruszył ramionami.

- Niczego - powtórzył. - Szczera prawda. Ale moja żona widziała, i to bardzo dużo.

- W porządku - powiedziałem powoli. - Spytasz ją, co widziała?

Przytaknął. Odwrócił się i przez chwilę rozmawiał szeptem z pustym powietrzem obok swej głowy. Potem zwrócił się w moja stronę.

- Widziała obcych - oznajmił. - Wrogi statek kosmiczny, udający błyszczącą, czarną ciężarówkę. W środku siedzieli dwaj obcy, w przebraniach zwykłych ludzi, Ziemiaków. Potem dym, statek wylądował, zamienił się w ciężarówkę. Dowódca gwiazdnej floty wysiadł z niego, przebrany za policjanta. Niski grubas. Potem z autostrady zjechał biały samochód. Ale tak naprawdę to był gwiazdny myśliwiec. W środku dwóch gości, Ziemiaków. Pilot i drugi pilot. Wszyscy odtańczyli krótki taniec tuż przy bramie, bo przybyli z innej galaktyki. Mówiła, że było to świetne widowisko, uwielbia takie rzeczy. Ciągle je widuje. Skinął głową. Mówił poważnie.

- Ja straciłem całe przedstawienie - dodał. Gestem wskazał powietrze obok. - Musiałem wykopać małą. Ale moja żona widziała wszystko. Ubóstwia to.

- Słyszała cokolwiek? - spytałem.

Zapytał ją. Wysłuchał odpowiedzi, po czym potrząsnął głową, jakby miał do czynienia z szaleńcem.

- Kosmici nie hałasują - oznajmił. - Ale drugi pilot gwiazdznego myśliwca został kilka razy postrzelony z fajerów. Przyczołgał się tu później i wykrwawił w miejscu, gdzie siedzisz. Próbowaliśmy mu pomóc, ale na rany od fajera nie ma lekarstwa. Lekarze zabrali go stąd w niedzielę.

Przytaknąłem. Mężczyzna zniknął, wlokąc za sobą swój worek. Odprowadziłem go wzrokiem, po czym znów okrążyłem filar. Patrzyłem na drogę, analizując w myślach

opowieść żony. Zeznania naocznego świadka. Gość nie przekonałby Sądu Najwyższego, ale mnie owszem. Bo to nie brat Sądu Najwyższego przyleciał tu kosmicznym myśliwcem i odtańczył taniec przy bramie magazynu.

\* \* \*

Minęła kolejna godzina, nim coś zaczęło się dziać. Zjadłem batonik i wypilem większość wody. Siedziałem i czekałem. Nagle z północy nadciągnęła spora ciężarówka. Zwolniła przy wjeździe do magazynów. Przez lornetkę dostrzegłem rejestrację z Nowego Jorku. Brudne białe prostokąty. Jechała asfaltową drogą i zatrzymała się przy czwartej bramie. Strażnicy magazynu otworzyli wejście i wpuścili ją do środka. Ponownie przystanęła. Dwóch mężczyzn zatrzasnęło za nią bramę. Potem kierowca podjechał tyłem do podnoszonych drzwi i zatrzymał się. Wysiadł z wozu, jeden ze strażników wdrapał się do ciężarówki. Drugi bocznymi drzwiami wszedł do magazynu i powoli podniósł żaluzjowe drzwi. Ciężarówka cofnęła się, znikając w mroku, drzwi opadły. Nowojorski kierowca pozostał na podjeździe, przeciągając się w słońcu. To wszystko. W sumie około trzydziestu sekund. Nic wielkiego.

Patrzyłem i czekałem. Ciężarówka stała w środku osiemnaście minut. Potem drzwi ponownie się uniosły i strażnik wyjechał na dwór. Zaraz za nim drzwi opadły z hukiem. Strażnik wyskoczył z kabiny. Nowojorczyk zajął miejsce za kierownicą. Tymczasem strażnik pobiegł otworzyć bramę. Ciężarówka przejechała przez nią i z łoskotem wróciła na lokalną drogę. Skręciła na północ i przejechała dwadzieścia metrów od miejsca, w którym opierałem się o betonowy słup. Następnie wjechała na podjazd i dołączyła do strumienia wozów.

Niemal w tym samym momencie na zjeździe pojawiła się kolejna, tym razem przybywała z północy. Bardzo podobna - ta sama marka, ten sam rozmiar, ta sama warstwa brudu. Podskakując, zbliżyła się do magazynu. Mrużąc oczy, spojrzałem przez lornetkę. Tablice z Illinois. Rytuał dokładnie się powtórzył. Przystanek przy bramie, podjazd tyłem do drzwi, strażnik zastępuje kierowcę, drzwi podniesione tylko po to, by ciężarówka mogła zniknąć w mrocznym wnętrzu. Wszystko toczyło się szybko i sprawnie. Kolejnych trzydzieści sekund od początku do końca. I wszystko w sekrecie. Kierowcy nie mieli wstępu do magazynu, musieli czekać na zewnątrz.

Ciężarówka z Illinois pozostała wewnątrz krócej. Szesnaście minut. Potem kierowca z powrotem usiadł za kierownicą i ruszył na autostradę. Patrzyłem, jak mija mnie w odległości dwudziestu metrów.

Według naszej teorii, obie ciężarówki zostały załadowane zapasami i zmierzają na północ ku tamtejszym wielkim miastom, gotowe do rozładunku. Jak dotąd, teoria wyglądała prawdopodobnie. Nie zdołałem jej podważyć.

Przez następną godzinę nic się nie działo. Czwarty magazyn pozostawał zamknięty. Zaczynałem się nudzić, żałować, że włączę już poszedł. Moglibyśmy chwilę pogawędzić. A potem dostrzegłem trzecią ciężarówkę. Zerknąłem przez lornetkę. Tablice z Kalifornii. Ten sam typ wozu, brudnoczerwonej barwy, zjechał z autostrady i skierował się wprost do ostatniego magazynu. Tym razem rutyna uległa zmianie. Ciężarówka przejechała przez bramę, nie dokonano jednak zmiany kierowców. Po prostu na wstecznym biegu wjechała do magazynu. Najwyraźniej ten gość miał pozwolenie na oglądanie wnętrza budynku. Czekałem. Ocenilem, że zabrało to dwadzieścia dwie minuty. A potem drzwi uniosły się, ciężarówka wynurzyła się ze środka. Nie tracąc czasu wyjechała prosto przez bramę, kierując się na autostradę.

Podjąłem szybką decyzję. Czas ruszać. Chciałem obejrzeć wnętrze jednej z ciężarówek. Zerwałem się więc na nogi, chwyciłem latarkę i manierkę, i pod estakadą przebiegłem na północną stronę autostrady. Z trudem udało mi się pokonać strome zbocze i przeskoczyć betonowy murek. W końcu jednak dotarłem do starego cadillaca. Zatrzasnąłem maskę, wskoczyłem do środka, uruchomiłem silnik i potoczyłem się naprzód poboczem. Odczekałem, póki w sznurze samochodów nie pojawiła się przerwa, i ruszyłem naprzód. Przyspieszając jechałem na północ.

Wyliczyłem, że czerwona ciężarówka mogła wyprzedzić mnie o trzy, cztery minuty, niewiele więcej. Wymijałem grupki samochodów, prac naprzód. Po chwili nieco zwolniłem, zadowolając się szybką jazdą. Wyszło mi, że i tak sporo nadgoniłem. Po kilku kilometrach dostrzegłem ciężarówkę, zwolniłem i zacząłem trzymać się daleko z tyłu, jakieś trzysta metrów za nią, cały czas pilnując, by rozdzielało nas kilka pojazdów. Odprężyłem się. Jeśli wymyślona przez Roscoe teoria menory była słuszna, jechaliśmy do Los Angeles.

Powoli przesuwaliśmy się na północ. Najwyżej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Bak cadillaca był prawie pełny, wyciągnę z niego czterysta, może czterysta pięćdziesiąt kilometrów. W takim tempie może jeszcze więcej. Najgorsze jest przyspieszanie. Dodawanie gazu przy ośmioletnim silniku zużywało potworne ilości benzyny, ale jazda z jednakową szybkością to co innego. Może wystarczy nawet na ponad pięćset kilometrów. Dość, by dotrzeć do Memphis.

Jechaliśmy. Brudna, czerwona ciężarówka, wielka, wyraźna, toczyła się trzysta metrów przede mną. Dotarliśmy do południowych przedmieść Atlanty, a wtedy skręciła w

lewo, zmierzając na zachód, przez cały kraj. Teoria Roscoe wyglądała coraz prawdopodobniej. Zwolniłem i jakiś czas trzymałem się dalej z tyłu. Nie chciałem, by kierowca nabrał podejrzeń. Jednakże ze sposobu, w jaki zmieniał pasy zorientowałem się, że nie należy do zwolenników zbyt częstego zerkania w lusterko. Zbliżyłem się.

Czerwona ciężarówka jechała dalej. Trzymałem się za nią w odległości ośmiu samochodów. Czas płynął. Popołudnie przechodziło w wieczór. Podczas jazdy pożywiłem się batonami, popiłem wodą. Nie zdołałem uruchomić radia. Jakiś dziwny japoński model. Facet z warsztatu musiał je sobie wymienić. Może było zepsute. Zastanawiałem się, jak mu idzie przyciemnianie szyb bentleya i co powie Charlie, gdy odzyska samochód z czarnymi oknami. Cóż, pewnie będzie miała inne, większe zmartwienia. Jechaliśmy dalej.

Pokonaliśmy w ten sposób ponad pięćset kilometrów, osiem godzin jazdy. Opuściliśmy Georgię, przecięliśmy Alabamę i znaleźliśmy się w północno-wschodniej części Missisipi. Zapadła ciemność. Jesienne słońce zaszło za horyzont, kierowcy włączyli reflektory. Godzinami jechaliśmy w mroku. Miałem wrażenie, jakbym śledził go całe życie. A potem, tuż przed północą, czerwona ciężarówka zwolniła. Ujrzałem, jak kilometr przede mną zjeżdża na postój dla ciężarówek, niedaleko miasta Myrtle, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów od granicy stanu Tennessee, może sto od Memphis. Ja także zjechałem na parking i zatrzymałem się jak najdalej od ciężarówki.

Zobaczyłem wysiadającego kierowcę. Wysoki, mocno zbudowany, gruby kark, szerokie, mocarne ramiona. Ciemne włosy, koło trzydziestki. Długie ręce jak u małpy. Znałem go - to był syn Klinera. Stuprocentowy psychopata. Patrzyłem, jak się przeciąga i ziewa w ciemności, stojąc obok ciężarówki. Patrzyłem i wyobrażałem go sobie w czwartkową noc przy bramie magazynu. Tańczącego.

\* \* \*

Młody Kliner zamknął ciężarówkę i rozkołysanym krokiem ruszył w stronę budynków. Oczekałem chwilę i poszedłem za nim. Uznałem, że pewnie skierował się wprost do łazienki, więc ukryłem się za stelażem z gazetami, w jaskrawym blasku jarzeniówki, nie spuszczać oka z drzwi. W końcu zobaczyłem, jak wychodzi i maszeruje do baru. Usiadł przy stole, ponownie się przeciągnął, podniósł kartę z miną faceta, który ma mnóstwo czasu. Najwyraźniej zamierzał zjeść spóźnioną kolację. Pomyślałem, że zabierze mu to dwadzieścia pięć minut, może nawet pół godziny.

Wróciłem na parking. Chciałem się włamać do czerwonej ciężarówki i rozejrzeć w środku. Szybko jednak stwierdziłem, że nie ma na to szans. Wokół wciąż kręcili się ludzie, w

pobliżu krążyły dwa radiowozy, całe miejsce było jasno oświetlone. Włamanie będzie musiało poczekać.

Wróciłem do budynku. Wcisnąłem się do budki telefonicznej i wybrałem numer posterunku w Margrave. Finlay natychmiast podniósł słuchawkę. Rozpoznałem jego wyraźny, harwardzki akcent. Siedział przy telefonie czekając, aż się odezwę.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Niedaleko Memphis - odparłem. - Widziałem, jak załadowują ciężarówkę. Trzymam się jej, póki nie uda mi się zajrzeć do środka. Kierowca to dzieciak Klinera.

- W porządku - powiedział. - Dzwonił Picard. Roscoe bezpiecznie dotarła na miejsce. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, pewnie teraz smacznie śpi. Mówił, że przesyła ucałowania.

- Jeśli nadarzy się okazja, prześlij jej moje - poprosiłem. - Uważaj na siebie, Harwardczyku.

- Ty też - odparł. Rozłączył się.

Spacerkiem wróciłem do cadillaca. Wsiadłem, zacząłem czekać. Minęło pół godziny, nim młody Kliner wyszedł z baru. Zobaczyłem, jak idzie do czerwonej ciężarówki. Wierzchem dłoni ocierał usta, pewnie zjadł solidny posiłek. Niewątpliwie zabrało mu to dość czasu. Zniknął mi z oczu. Minutę potem ciężarówka ożyła i ruszyła w stronę wyjazdu. Lecz młody nie wrócił na autostradę. Skrzył w lewo, w drogę służbową. Kierował się do motelu, zamierzał zatrzymać się tu na noc. Podjechał wprost do rzędu domków, zaparkował przy drugim od tyłu, pośrodku plamy światła padającej z wielkiej latarni. Wysiadł, zamknął drzwi, wyjął z kieszeni klucz, otworzył domek. Wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Zobaczyłem, że wewnątrz rozbłysła światło, potem opadła roleta. Miał klucz w kieszeni. Nie poszedł na recepcję. Musiał zarezerwować pokój już w barze. Zapłacił i wziął klucz. To dlatego siedział tam tak cholernie długo.

No to miałem problem. Musiałem zajrzeć do ciężarówki. Potrzebowałem dowodów. Musiałem wiedzieć, że mam rację, i to szybko. Od niedzieli dzieliło nas zaledwie czterdzieści osiem godzin, a miałem jeszcze wiele rzeczy do załatwienia, całe mnóstwo. Będę musiał włamać się do ciężarówki, tu, w pełnym świetle latarni, podczas gdy młody psychopata tkwi trzy metry dalej, w pokoju motelowym. Trudno to nazwać najbezpieczniejszym zadaniem świata. Będę musiał poczekać, póki dzieciak nie zaśnie. Wtedy nie usłyszy niczego, gdy zabiorę się do roboty.

Odczekałem pół godziny, nie mogłem dłużej zwlekać. Włączyłem silnik starego cadillaca i ruszyłem naprzód. Przekładnie przeskakiwały ze szczękiem. W nocnej ciszy silnik

potwornie hałasował. Zaparkowałem tuż obok czerwonej ciężarówki, przodem do domku młodego. Wyszedłem przez drzwi pasażera. Zamarłem, nasłuchując.

Wyjąłem z kieszeni nóż Morrisona i wdrapałem się na przedni zderzak cadillaca. Stałem na masce, na przedniej szybie, w końcu na dachu. Zatrzymałem się, wyęzając słuch. Nic. Pochyliłem się w stronę ciężarówki i podciągnąłem w górę, na dach.

Ciężarówki tego typu mają przezroczyste dachy, z włókien szklanych. Robi się z nich całe dachy, albo przynajmniej kłapy, osadzone w metalu. Służą do tego, by oświetlić część bagażową. To pomaga w załadunku i wyładunku, może też zmniejsza ciężar wozu, może jest tańsze. Producenci zrobią wszystko, byle tylko oszczędzić parę centów. Najlepsza droga do wnętrza takiego pojazdu wiedzie właśnie przez dach.

Górną połowę tułowia leżałem płasko na plastikowej klapie. Opierałem się o dach cadillaca. Sięgnąłem jak mogłem najdalej, i otworzyłem nóż, wbiłem go w klapę pośrodku dachu. Szybko naciąłem otwór ćwierć na pół metra. Mogłem pchnąć kawałek plastiku i zajrzeć do środka, zupełnie jakbym spoglądał przez wąską szczelinę.

Nagle w pokoju motelowym zapłonęło światło. Przez roletę przesaczył się złoty prostokąt blasku, padając na cadillaca, bok ciężarówki i na moje nogi. Sapnąłem, odwróciłem się i dzwignąłem na dach ciężarówki. Rozpłaszczyłem się na nim, zachowując absolutną ciszę. Wstrzymałem oddech.

Drzwi domku się otworzyły. Dzieciak Klinera wyszedł na zewnątrz, popatrzył na cadillaca, podszedł bliżej, zajrzał do środka, okrążył go, sprawdził ciężarówkę, drzwi kabiny, pociągnął kolejno klamki. Ciężarówka pode mną zakołysała się mocno. Młody obszedł ją dookoła, sprawdził tylne drzwi. Znow pociągnął. Usłyszałem zgrzyt i szcęk metalu.

Znow zaczął obchodzić ciężarówkę. Leżałem, nasłuchując ciężkich kroków. Ponownie sprawdził cadillaca i wrócił do środka. Trzasnęły drzwi, światło zgasło, złoty prostokąt zniknął.

Odczekałem pięć minut. Leżałem na dachu nieruchomy jak kamień. Potem podniosłem się na łokciach, popchnąłem kawał plastiku, zahaczyłem palce o krawędź, podciągnąłem się bliżej i zajrzałem do środka.

Ciężarówka była pusta. Zupełnie pusta.

## 24

**O**d posterunku w Margrave dzieliło mnie ponad pięćset kilometrów. Pokonałem je jak najszybciej. Musiałem spotkać się z Finlayem, przedstawić mu zupełnie nową teorię.

Zaparkowałem starego cadillaca tuż obok nowusieńkiego wozu Teale'a. Wszedłem do środka, pozdrowiłem skinieniem sierżanta za biurkiem. Odpowiedział ukłonem.

- Jest Finlay? - spytałem.

- W gabinecie - odparł - razem z burmistrzem. Okrążyłem ladę i przebiegłem przez salę do gabinetu. W środku siedział Finlay z Teale'em. Miał dla mnie złe wieści, świadczyła o tym jego postawa, lekkie przygarbienie ramion. Teale spojrzał na mnie, zaskoczony.

- Wrócił pan do wojska, panie Reacher? - spytał. Dopiero po sekundzie zrozumiałem. Miał na myśli mój strój maskujący. Zmierzyłem go wzrokiem. Błyszczący, szary garnitur, cały pokryty haftami. Krawat-sznurówka ze srebrną zapinką.

- Odepierz się od moich ciuchów, dupku - rzuciłem. Zdumiony, spuścił wzrok, strzepnął z kłapy niewidoczny pyłek i spojrzał na mnie gniewnie.

- Mógłbym pana aresztować za takie słownictwo - oznajmił.

- A ja mógłbym ukreć ci głowę - odparłem. - A potem wsadzić ci ją w twoją szczurzą dupę.

Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie. Miałem wrażenie, że upłynęły całe wieki. Teale ścisnął w dłoni ciężką laskę, jakby chciał ją podnieść i rąbnąć mnie w głowę. Widziałem jego zbielełe kostki, wzrok omiatający mi twarz. W końcu jednak wyszedł tylko z gabinetu i głośno trzasnął drzwiami. Uchyliłem je lekko i zerknąłem za nim. Podnosił właśnie słuchawkę telefonu na jednym z biurk. Z pewnością zamierzał zadzwonić do Klinera i spytać, kiedy, do diabła, coś ze mną zrobi. Zamknąłem drzwi i odwróciłem się do Finlaya.

- Co się stało? - spytałem.

- Poważna sprawa - rzekł. - Ale najpierw ty. Zajrzałeś do ciężarówki?

- Zaraz ci wszystko opowiem - odparłem. - W czym problem?

- Najpierw ten mniejszy czy ten większy?

- Mniejszy - mruknąłem.

- Picard chce zatrzymać Roscoe na jeszcze jeden dzień - oznajmił Finlay. - Nie ma innego wyjścia.

- Cholera. Chciałem się z nią zobaczyć. Nie ma nic przeciw temu?

- Nie ma.

- Cholera - powtórzyłem. - A ten duży?

- Ktoś nas wyprzedził - szepnął.

- Wyprzedził? - spytałem. - Co to znaczy?

- Pamiętasz listę twojego brata? - powiedział Finlay. - Inicjały i zapis o garażu Shermana Stollera. Po pierwsze, dostaliśmy dziś rano teleks od policji z Atlanty. W nocy

spalił się dom Stollera, ten przy polu golfowym, tam gdzie pojechaliście z Roscoe. Spłonął do fundamentów, całkowicie zniszczony, razem z garażem. Podpalony. Ktoś oblał go benzyną.

- Chryste - westchnąłem. - Co z Judy?

- Sąsiad twierdzi, że wyniosła się stamtąd we wtorek wieczorem. Tuż po waszej rozmowie. Nie wróciła. Dom był pusty.

Skinąłem głową.

- Judy to sprytna kobietka. Ale to jeszcze nie znaczy, że nas wyprzedzili. Oglądaliśmy już wnętrze garażu. Jeśli próbowali coś ukryć, spóźnili się. I tak niczego tam nie było.

- Inicjały? Uczelnie? Dziś rano zidentyfikowałem faceta z Princeton. W.B. to Walter Bartholomew. Profesor. Zabity wczoraj w nocy przed własnym domem.

- Szlag by to. Jak zginął?

- Pchnięty nożem. Policja z Jersey twierdzi, że to napad, ale my wiemy lepiej. Prawda?

- Jeszcze jakieś dobre wieści? - zapytałem. Potrząsnął głową.

- Tylko gorsze. Bartholomew coś wiedział. Dopadli go, zanim zdążył się z nami porozumieć. Wyprzedzają nas, Reacher.

- Coś wiedział? - wtrąciłem. - Co takiego?

- Nie mam pojęcia - odparł Finlay. - Gdy zadzwoniłem pod ten numer, połączono mnie z jego asystentem. Podobno Bartholomew bardzo się czymś podniecił. Został wczoraj do bardzo późna w pracy. Asystent dostarczał mu mnóstwo starych materiałów. Bartholomew coś sprawdzał. Później spakował się, wysłał e-mail na adres Joego i wrócił do domu. Po drodze wpadł na napastnika. Wszystko.

- Co napisał w e-mailu?

- „Dziś rano proszę czekać na telefon” - zacytował Finlay. - Asystent mówi, iż miał wrażenie, że Bartholomew wpadł na coś ważnego.

- Cholera - powtórzyłem po raz trzeci. - A inicjały z Nowego Jorku? K.K.?

- Jeszcze nie wiem. Domyślałem się, że to kolejny profesor. Oby nie dostali go pierwsi.

- Okay - rzuciłem. - Jadę do Nowego Jorku, żeby się z nim spotkać.

- Skąd ta panika? - spytał Finlay. - Jakiś problem z ciężarówką?

- Tylko jeden - wyjaśniłem. - Była pusta. W gabinecie zapadła cisza.

- Wracała pusta? - spytał Finlay w końcu.

- Zajrzałem do środka tuż po naszej rozmowie. Była pusta. Nic. Tylko powietrze.

- Chryste.



Sprawił wrażenie zdenerwowanego. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Podziwiał teorię dystrybucji, stworzoną przez Roscoe. Pogratulował jej. Uścisnął rękę. Menora. To była dobra teoria, tak dobra, iż nie mógł uwierzyć, że okazała się fałszywa.

- Musimy mieć rację - stwierdził. - To przecież sensowne. Pomyśl, co mówiła Roscoe? Przypomnij sobie mapę, obliczenia Graya. Wszystko do siebie pasuje, jest takie oczywiste. Czuję to, jestem o tym przekonany. To schemat dystrybucji, nic innego. Analizowałem to mnóstwo razy.

- Roscoe miała rację - zgodziłem się. - I ty także. To jest menora. Margrave stanowi centrum. I tak, to wzór dystrybucji. Pomyliliśmy się tylko w jednym szczególe.

- W jakim? - spytał.

- W kierunku - wyjaśniłem. - Patrzyliśmy na to odwrotnie. Dystrybucja odbywa się w przeciwną stronę. Ten sam kształt, lecz odwrotny kierunek. Wszystko spływa tutaj, a nie wypływa na zewnątrz.

Przytaknął. Natychmiast zrozumiał.

- Zatem nie ładują tu ciężarówek - powiedział - tylko je rozładowują. Nie rozprawdzają zapasów, lecz je tworzą. Tu, w Margrave. Ale zapas czego? Jesteś pewien, że nie drukują gdzieś pieniędzy i nie przywożą tutaj?

Pokręciłem głową.

- To nie miałyby sensu. Molly twierdziła, że w Stanach nie drukuje się fałszywych pieniędzy. Joe położył temu kres.

- Co zatem tu sprowadzają?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - oznajmiłem. - Ale wiemy, że jest tego mniej więcej tona tygodniowo. I wiemy też, że mieści się w pudłach po klimatyzatorach.

- Wiemy? - wtrącił Finlay.

- To właśnie zmieniło się w zeszłym roku. Przed wrześniem przemycali swój towar, wywozili go z kraju. To właśnie robił Sherman Stoller. Dostawy klimatyzatorów nie stanowiły zasłony dymnej, tylko prawdziwą działalność. Eksportowali coś opakowanego w pudła po klimatyzatorach. Sherman Stoller codziennie woził je na Florydę, gdzie czekała łódź. To z tego powodu tak bardzo się zdenerwował, gdy został zatrzymany za jazdę z nadmierną prędkością. Dlatego natychmiast zjawił się drogi adwokat. Nie dlatego że jechał po ładunek, lecz dlatego że już miał ładunek. Policja z Jacksonville przez pięćdziesiąt pięć minut węszyła wokół prawdziwego towaru.

- Ale jakiego towaru? - wtrącił Finlay.

- Nie wiem - uciałem. - Gliniarzom nie przyszło do głowy, by to sprawdzić. Ujrzeni ładunek zamkniętych fabrycznie pudeł z klimatyzatorami, nowiutkich, z numerami seryjnymi, i założyli, że są legalne. Klimatyzatory to świetna przykrywka. Bardzo prawdopodobne, że ktoś wysyłałby je na południe. W końcu nikt nie podejrzewałby nowiusieńkich klimatyzatorów wędrujących na Florydę. Zgadza się?

- Ale rok temu przerwali? - spytał Finlay.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Wiedzieli, że straż przybrzeżna rozpoczyna działania. Toteż z wyprzedzeniem wyprowadzili z kraju jak najwięcej towaru. Pamiętasz podwójne załadunki w notatkach Graya? Po wrześniu one też się urwały, bo wywózka towarów pod okiem straży przybrzeżnej była równie niebezpieczna jak sprowadzanie, o którym myśleliśmy wcześniej.

Finlay skinął głową. Nie wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Przeoczyliśmy to.

- Przeoczyliśmy mnóstwo rzeczy. Zwolnili Shermana Stollera, bo już go nie potrzebowali. Postanowili po prostu siedzieć na tyłkach i czekać, aż straż przybrzeżna zakończy operację. To dlatego w tej chwili czują się zagrożeni, dlatego wpadają w panikę. Nie chodzi o resztki zapasów? Finlay. Do niedzieli pozostanie tu wszyściuteńko.

\* \* \*

Finlay stanął na straży przy drzwiach gabinetu. Ja usiadłem za biurkiem z drewna różanego i zadzwoniłem na Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku. Połączyłem się z Wydziałem Historii Najnowszej. Początek rozmowy był bardzo łatwy. Zatrudniona do pomocy pracownica administracji nie zdziwiła się, gdy spytałem, czy pracuje u nich profesor o inicjałach K.K. Natychmiast zidentyfikowała faceta - Kelvin Kelstein. Pracował tam od wielu lat. Miałem wrażenie, że jest jakąś szycią. Potem sytuacja się skomplikowała. Spytałem, czy mógłby podejść do telefonu. Kobieta odparła, że nie, jest bardzo zajęty i nie można mu znów przeszkadzać.

- Znów? - spytałem. - Kto przeszkodził mu wcześniej?

- Dwóch detektywów z Atlanty - wyjaśniła.

- Kiedy to było?

- Dziś rano. Zjawili się tu, pytali o niego i nie chcieli pogodzić się z odmową.

- Mogłaby mi ich pani opisać? - poprosiłem.

Zapadła chwila ciszy. Kobieta próbowała ich sobie przypomnieć.

- Latynosi - powiedziała w końcu. - Nie pamiętam żadnych szczegółów. Ten, z którym rozmawiałam, był bardzo uprzejmy, bardzo dobrze wychowany. Tak naprawdę nie rzucali się w oczy.

- Spotkali się z nim już?

- Umówili się na pierwszą - oznajmiła. - Zabierają go gdzieś na lunch.

Zacisnąłem palce na słuchawce.

- W porządku - rzekłem. - To bardzo ważne. Czy spytali o nazwisko, czy też wymienili inicjały K.K., tak jak ja wcześniej?

- Zadali dokładnie to samo pytanie co pan - odparła. - Spytali, czy na wydziale pracuje ktoś o takich inicjałach.

- Proszę posłuchać - nakazałem - bardzo uważnie. Chcę, żeby poszła pani do profesora Kelsteina, w tej chwili. Proszę mu przeszkodzić bez względu na to, co robi. Proszę powiedzieć, że to kwestia życia lub śmierci. Detektywi z Atlanty to oszuści. Zeszłej nocy byli w Princeton i zamordowali profesora Waltera Bartholomew.

- Żartuje pan? - Jej głos wzniósł się niemal do krzyku.

- To się dzieje naprawdę - oznajmiłem. - Nazywam się Jack Reacher. Przypuszczam, że Kelstein był w kontakcie z moim bratem, Joe Reacherem, z Departamentu Skarbu. Proszę powiedzieć, że mój brat także został zamordowany.

Kobieta znów umilkła, przełknęła ślinę. Potem odezwała się spokojniej.

- Co jeszcze mam mu powiedzieć?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze nie wolno mu, powtarzam, nie wolno mu spotkać się z dwoma Latynosami z Atlanty. Nigdy. Zrozumiała pani?

- Tak.

- Świetnie - rzekłem. - Po drugie musi natychmiast udać się do biura ochrony uniwersytetu. Bezzwłocznie, jasne? Musi tam na mnie zaczekać. Dotrę na miejsce za jakieś trzy godziny. Kelstein musi siedzieć w biurze i czekać na mnie, pod okiem strażnika. Może pani dopilnować, by to zrobił?

- Tak - powtórzyła.

- Proszę powiedzieć, żeby z biura ochrony zadzwonił do Princeton i spytał o Bartholomew. To powinno go przekonać.

- Tak - zapewniła kobieta. - Dopilnuję, by zrobił dokładnie to, co pan każe.

- I proszę przekazać moje nazwisko ochronie - poprosiłem. - Kiedy przyjadę, nie chcę mieć kłopotów. Profesor Kelstein może mnie zidentyfikować. Proszę mu powiedzieć, że jestem podobny do brata.

Rozłączyłem się i zwołałem Finlaya.

- Mają listę Joego - oznajmiłem. - Posłali do Nowego Jorku dwóch swoich ludzi. Jeden z nich to ten sam facet, który odebrał aktówkę Joego. Uprzejmy, dobrze wychowany. Mają tę listę.

- Ale skąd? Nie było jej w aktówce.

Nagle poczułem, jak ogarnia mnie fala strachu. Zrozumiałem skąd. Rozwiązanie było tak proste że wręcz rzucało się w oczy.

- Baker - powiedziałem. - Baker w tym siedzi. Zrobił dodatkową kopię. Posłałeś go, żeby skserował listę Joego. Zrobił dwie kopie, jedną oddał Teale'owi.

- Chryste! - westchnął Finlay. - Jesteś pewien? Skinąłem głową.

- Inne rzeczy też na to wskazują. Teale zablefował. Uznaliśmy, że wszyscy z posterunku są czyści, ale w istocie po prostu ich krył. Teraz więc nie wiemy, kto w tym siedzi, a kto nie. Musimy się stąd wydostać, natychmiast. Zjeżdżamy.

Wybiegliśmy z gabinetu, przez salę główną, wielkie oszklone drzwi, do wozu Finlaya.

- Dokąd teraz? - spytał.

- Do Atlanty, na lotnisko. Muszę się dostać do Nowego Jorku. Włączył silnik i skręcił na północ.

- Baker od początku grał po ich stronie - stwierdziłem. - Po prostu byłem ślepy.

\* \* \*

Podczas jazdy odtworzyłem tok mojego rozumowania. Krok po kroku. W zeszły piątek siedziałem samotnie w małym, białym pokoju przesłuchań. Towarzyszył mi tylko Baker. Wyciągnąłem do niego rękę, a on zdjął mi kajdanki. Zdjął kajdanki facetowi, który według nich popełnił morderstwo, zamordował gościa, a potem zmasakrował jego ciało. A Baker zgodził się zostać sam z kimś takim. Później zwołałem go i poprosiłem, by eskortował mnie do łazienki. Był rozluźniony, nieostrożny. Miałem kilka okazji, mogłem go rozbroić i uciec. Wówczas uznałem, że wysłuchał mojej rozmowy z Finlayem i uwierzył, że jestem niewinny.

On jednak od początku wiedział, że jestem niewinny. Wiedział dokładnie, kto jest niewinny, a kto nie. Dlatego niespecjalnie się przejmował. Zdawał sobie sprawę, że jestem tylko kozłem ofiarnym, niewinnym przybyszem. Kto by nie zdjął kajdanek niewinnemu przybyszowi? Kto by uważał, odprowadzając go do łazienki?

A kiedy sprowadził Hubble'a na przesłuchanie, dostrzegłem mowę jego ciała. Wyraźnie miotają nim sprzeczne uczucia. Wówczas sądziłem, że czuje się niezręcznie, bo Hubble to kumpel Stevensona i jego powinowaty. Ale nie o to chodziło. Po prostu złapał się

we własną pułapkę. Wiedział, że ściągnięcie Hubble'a na przesłuchanie to prawdziwa katastrofa, ale nie mógł nie posłuchać Finlaya, nie mógł złamać rozkazu. Stąd rozterka. Tak źle i tak niedobrze.

Próbował też z rozmysłem ukryć tożsamość Joego. Świadomie zepsuł skan odcisków, żeby Joe pozostał niezidentyfikowany. Wiedział, że pracuje dla rządu. Wiedział, że jego odciski z pewnością znajdują się w bazie danych w Waszyngtonie. Postarał się zatem, aby ich nie rozpoznano. Schrząnił jednak sprawę, za wcześnie informując o wyniku negatywnym. Brak doświadczenia. Wcześniej zawsze pozostawiał techniczną robotę Roscoe, toteż nie znał systemu. Ja jednak nie dodałem dwóch do dwóch. Byłem zbyt oszołomiony, gdy druga próba przyniosła owoce w postaci nazwiska mojego brata.

Od tej pory cały czas węszył, kręcił się wokół naszego skrywanego śledztwa. Chciał do nas dołączyć, chętnie pomagał. Finlay używał go jako czujki, a on cały czas biegał do Teale'a, donosząc mu o wszystkim, co usłyszał.

Finlay diabło szybko pędził na północ. Z pełną prędkością skręcił na rozjeździe i nacisnął gaz do dechy. Wielki wóz śmignął naprzód.

- Może spróbujemy zawiadomić straż przybrzeżną? Tak by czekali, gdy w niedzielę znów się zacznie, zorganizowali dodatkowy patrol.

- Chyba żartujesz - odparłem. - Prezydent zebrał potężne polityczne baty i nie zmieni decyzji już pierwszego dnia tylko dlatego że go o to poprosisz.

- Co więc mamy robić?

- Zadzwoń do Princeton - poprosiłem. - Skontaktuj się z asystentem Bartholomew. Może zdoła poskładać do kupy fakty i dowiedzieć się, co tamten wymyślił. Zaszuj się w bezpiecznym miejscu i do roboty.

Roześmiał się.

- Jakie miejsce jest teraz bezpieczne?

Poradziłem, by zatrzymał się w motelu w Alabamie, tym samym, w którym nocowaliśmy w poniedziałek. To kompletna dziura, tak bezpieczna, jak to tylko możliwe. Powiedziałem, że znajdę go tam po powrocie. Poprosiłem, by sprowadził na lotnisko Bentleya i zostawił kluczyki i kwit parkingowy na informacji w terminalu przylotów. Powtórzył wszystko, żeby dowieść, że zapamiętał. Jechał dobrze ponad setkę, ale za każdym razem, gdy się odzywał, odwracał głowę i patrzył na mnie.

- Pilnuj drogi, Finlay - rzuciłem. - Na nic się nie przydamy, jeśli zabijesz nas w cholernym wypadku.

Uśmiechnął się i popatrzył przed siebie. Wielki policyjny Chevrolet przyspieszył do stu pięćdziesięciu. A wtedy Finlay znów odwrócił głowę i przez jakieś trzysta metrów patrzył mi prosto w oczy.

- Mięczak - rzucił.

## 25

Nie jest łatwo przejść przez ochronę lotniska z pałką, nożem i wielką metalową splotką. Zostawiłem zatem kurtkę w wozie Finlaya i poprosiłem, by przełożył ją do Bentleya. Wraz ze mną wbiegł do hali odlotów i zapłacił prawie siedem stów własną kartą kredytową za bilet powrotny do Nowego Jorku. Potem ruszył do motelu w Alabamie, a ja przeszedłem przez bramkę do samolotu Delta, lecącego na lotnisko La Guardia.

W powietrzu spędziłem nieco ponad dwie godziny, kolejnych trzydzieści pięć minut - w taksówce. Na Manhattanie znalazłem się około wpół do piątej. Byłem tam już w maju, we wrześniu wyglądało podobnie. Letnie upały minęły, miasto wróciło do codziennej pracy. Taksówka przewiozła mnie przez Triborough Bridge i skierowała się na zachód Sto Szesnąstą Ulicą, okrążyła Morningside Park i zatrzymała się przed głównym wejściem Uniwersytetu Columbia. Wszedłem do środka, znalazłem biuro ochrony uniwersytetu, zapukałem w szklane drzwi.

Uniwersytecki policjant sprawdził coś w notesie i wpuścił mnie. Poprowadził do pokoju na tyłach i wskazał profesora Kelvina Kelsteina. Ujrzałem bardzo starego mężczyznę: drobnego, wychudzonego i pomarszczonego, o bujnej, siwej czuprynie. Wyglądał tak jak sprzątac na drugim piętrze więzienia w Warburton, tyle że był biały.

- Tamci dwaj Latynosi wrócili? - spytałem policjanta. Potrząsnął głową.

- Nie widziałem ich - oznajmił. - W biurze starego powiedzieli im, że musiał odwołać lunch. Może wyjechali?

- Miejmy nadzieję. Na razie jednak będziecie musieli trochę go popilnować. Do niedzieli.

- Dlaczego? - spytał. - Co się dzieje?

- Nie jestem do końca pewien - powiedziałem. - Mam nadzieję, że dowiem się od niego.

Strażnik zaprowadził nas do gabinetu Kelsteina i tam zostawił. Rozejrzałem się po ciasnym pomieszczeniu, wypchanym po sufit książkami i grubymi pismami. Kelstein usiadł w starym fotelu i gestem wskazał mi drugiego, stojącego naprzeciwko.

- Co właściwie spotkało Bartholomew? - spytał.

- Dokładnie nie wiem - odparłem. - Policja z Jersey twierdzi, że został pchnięty nożem przed własnym domem. Zwyczajny napad rabunkowy.

- Ale pan w to wątpi?

- Mój brat sporządził listę kontaktów. Z całej listy tylko pan wciąż żyje.

- A pański brat to Joe Reacher? Przytaknąłem.

- Został zamordowany w zeszły czwartek - oznajmiłem. - Próbuję się dowiedzieć dlaczego.

Kelstein pochylił głowę i wyjrzał przez brudne okno.

- Jestem pewien, że wie pan dlaczego - rzekł. - Był śledczym. Bez wątplenia został zabity podczas śledztwa. Pan musi się dowiedzieć, o co w nim chodziło.

- Może mi pan powiedzieć? Stary profesor pokręcił głową.

- Tylko bardzo ogólnie - przyznał. - Nie znam szczegółów.

- Nie rozmawiał z panem o szczegółach?

- Byłem jego słuchaczem - wyjaśnił. - Razem dyskutowaliśmy o różnych teoriach. Niezmiernie to lubiłem. Pański brat Joe był bardzo zajmującym towarzyszem. Miał bystry umysł i wyrażał się niezwykle precyzyjnie. Bardzo przyjemnie się z nim pracowało.

- Ale nie rozmawialiście o szczegółach? - powtórzyłem. Kelstein złożył dłonie, jak ktoś trzymający w rękach puste naczynie.

- Rozmawialiśmy o wszystkim - rzekł. - Lecz nie doszliśmy do żadnych wniosków.

- W porządku - powiedziałem. - Moglibyśmy zacząć od początku? Chodziło o fałszowanie pieniędzy, prawda?

Kelstein przekrzywił na bok wielką głowę. Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Oczywiście. O czym innym moglibyśmy rozmawiać z Joe Reacherem?

- Dlaczego akurat pan? - spytałem bez ogródek.

Stary profesor uśmiechnął się skromnie, potem zmarszczył brwi i ironicznie skrzywił usta.

- Bo jestem największym fałszerzem w dziejach - oznajmił. - Chciałem powiedzieć, jednym z dwóch największych fałszerzy w dziejach, lecz po wydarzeniach ostatniej nocy w Princeton niestety, pozostałem tylko ja.

- Pan i Bartholomew? Byliście fałszerzami? Staruszek uśmiechnął się ponownie.

- Nie z wyboru - wyjaśnił. - Podczas drugiej wojny światowej młodzi ludzie, tacy jak Walter i ja, trafiali w różne dziwne miejsca. Uznano, iż bardziej przydamy się w wywiadzie niż w walce. Zostaliśmy zatrudnieni w SIS, która, jak pan wie, była wczesną protoplastką CIA. Inni ludzie atakowali wroga bronią i bombami, nam polecono zaatakować go

gospodarczo. Opracowaliśmy plan zniszczenia gospodarki Niemiec poprzez atak na wartość papierowego pieniądza. W tym celu wyprodukowaliśmy setki miliardów fałszywych marek. Nasze bombowce zasypały nimi całe Niemcy. Banknoty spadały z nieba jak konfetti.

- I udało się?

- Tak i nie. Owszem, zniszczyliśmy ich gospodarkę, pieniądze bardzo szybko stały się bezwartościowe, lecz znaczna część niemieckiej produkcji wykorzystywała pracę niewolniczą, a niewolników nie obchodzi, czy pieniądze, których i tak nie otrzymają, są fałszywe czy prawdziwe. No i oczywiście wkrótce wynaleziono inne formy płatności - czekoladę, papierosy, cokolwiek. W sumie nasza operacja odniosła tylko częściowy sukces. Lecz przez nią zostaliśmy z Walterem dwoma największymi fałszerzami pieniędzy w dziejach, oczywiście, jeśli weźmie się pod uwagę wyłącznie ilość wyprodukowanych pieniędzy. Osobiście nie mam żadnych fałszerskich talentów.

- Zatem Joe korzystał z pańskiego doświadczenia?

- Fałszowanie stało się dla nas obsesją - odparł Kelstein. - Wraz z Walterem studiowaliśmy jego historię. Fałszerstwa pojawiły się w dniu wprowadzenia papierowych pieniędzy i nigdy nie ustały. Wkrótce zostaliśmy ekspertami. Kontynuowaliśmy pracę po wojnie, nawiązaliśmy luźne kontakty z rządem. W końcu jakiś czas temu podkomisja senacka zamówiła u nas raport. Nie chcę, by zabrzmiało to nieskromnie, ale stał się on biblią antyfałszerską Departamentu Skarbu. Pański brat, rzecz jasna, znał go na wrywki. To dlatego z nami rozmawiał.

- Ale o czym?

- Joe był nową twarzą - oznajmił Kelstein. - Zatrudniono go, by rozwiązał istniejące problemy. Okazał się bardzo uzdolniony. Miał położyć kres fałszerstwom. To oczywiście niemożliwe. Powiedzieliśmy mu to z Walterem. A jednak o mało mu sienie udało. Dużo myślał i zastosował zdumiewająco proste rozwiązania. Praktycznie powstrzymał nielegalny druk pieniędzy w Stanach Zjednoczonych.

Siedziałem w ciasnym gabinecie i słuchałem opowieści starca. Kelstein znał Joego lepiej niż ja sam. Łączyły ich wspólne nadzieje i plany. Świątował jego sukcesy, współczuł przy porażkach. Długo rozmawiali, inspirując się nawzajem. Kiedy ja po raz ostatni rozmawiałem z Joem twarzą w twarz, zamieniliśmy kilka krótkich słów po pogrzebie matki. Nie pytałem, czym się zajmuje. Dla mnie był zawsze starszym bratem, Joem. Nie dostrzegałem codzienności jego życia jako agenta rządowego, któremu podlegają setki ludzi, a Biały Dom ufa, że rozwiąże wielkie problemy. Nie widziałem w nim kogoś, kto mógłby



zaimponować staremu cwaniakowi, takiemu jak Kelstein. Teraz siedziałem w fotelu i czułem się coraz gorzej. Straciłem coś, z czego posiadania w ogóle nie zdawałem sobie sprawy.

- Jego system okazał się genialny, a analiza doskonała - mówił Kelstein. - Wziął na cel farby i papier. W ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się do farb i papieru. Jeśli ktokolwiek kupił farby bądź papier, które można wykorzystać do sfałszowania banknotu, ludzie Joego wiedzieli o tym w przeciągu kilku godzin. Po paru dniach zgarniał winnych. Wkrótce w Stanach liczba fałszerstw spadła o dziewięćdziesiąt procent, a pozostałe dziesięć procent ścigał tak energicznie, że zamykał niemal wszystkich, nim zdążyli rozpocząć dystrybucję fałszywek. Bardzo mi zaimponował.

- W czym zatem leżał problem? - spytałem.

Kelstein kilka razy poruszył drobnymi, białymi dłońmi, jakby odkładał na bok jedną księgę i otwierał drugą.

- Problem krył się za granicą - oznajmił. - Poza Stanami. Tamtejsza sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Wie pan, że za granicą krąży dwa razy więcej dolarów niż w Stanach Zjednoczonych?

Skiąłem głową. Podsumowałem krótko to, co opowiedziała mi Molly o pieniądzach za granicą. Wiara i zaufanie. Obawa przed nagłym załamaniem popytu na dolary. Kelstein przytakiwał, jakbym był jego studentem, a jemu spodobał się mój referat.

- Zgadza się - rzekł. - W tym wszystkim bardziej chodzi o politykę niż o przestępstwa. W końcu rząd musi przede wszystkim bronić wartości waluty. Za granicą krąży dwieście sześćdziesiąt miliardów dolarów. Dolar to nieoficjalna waluta w dziesiątkach państw. Na przykład w nowej Rosji jest więcej dolarów niż rubli. W efekcie wygląda to tak, jakby Waszyngton wziął ogromną pożyczkę zagraniczną. W normalnych warunkach kosztowałyby nas ona dwadzieścia sześć miliardów dolarów rocznie samego oprocentowania. Teraz jednak nie płacimy nic poza kosztami druku podobizn martwych polityków na małych kawałkach papieru. O to w tym wszystkim chodzi, panie Reacher. Drukowanie pieniędzy dla cudzoziemców to najlepszy interes, jaki może zrobić rząd. W istocie zatem dla tego kraju praca Joego warta była dwadzieścia sześć miliardów dolarów rocznie. A on zajmował się nią z energią stosowną do tak wielkiej stawki.

- Gdzie zatem skupiały się problemy? - spytałem. - Geograficznie.

- Głównie w dwóch miejscach - powiedział Kelstein. - Pierwsze to Bliski Wschód. Joe uważał, że w dolinie Bekaa działa fabryka produkująca praktycznie doskonałe fałszywe studolarówki. Niewiele mógł jednak zrobić. Był pan tam może?

Pokręciłem głową. Jakiś czas stacjonowałem w Bejrucie. Znałem kilku ludzi, którzy z tego czy innego powodu wybrali się do doliny Bekaa. Niewielu wróciło.

- Liban kontrolowany przez Syrię - oświadczył profesor. - Joe nazywał to miejsce Dzikim Wschodem. Robią tam wszystko: organizują obozy szkoleniowe dla terrorystów z całego świata, produkują narkotyki. Czego tylko dusza zapagnie. Mają też całkiem niezły własny odpowiednik naszej mennicy.

Zastanowiłem się chwilę. Przypomniałem sobie spędzone tam czasy.

- Kto go chroni? - zapytałem.

Kelstein znów się uśmiechnął. Skinął głową.

- Dobrze pytanie - rzekł. - Instynktownie pojmuję pan, że operacja tak widoczna, prowadzona na taką skalę i tak złożona, musi być przez kogoś sponsorowana. Joe uważał, iż owym sponsorem, a może nawet właścicielem, jest rząd syryjski. Niewiele mógł zatem zdziałać. Uznał, iż pozostaje tylko rozwiązanie dyplomatyczne, a jeśli zawiedzie, zalecił bombardowanie z powietrza. Może kiedyś tego dożyjemy.

- A druga lokalizacja?

Wskazał palcem brudne okno gabinetu. Na południe, w dół Amsterdam Avenue.

- Ameryka Południowa - oznajmił. - Drugie źródło to Wenezuela. Joe je zlokalizował. Nad nim właśnie pracował. Z Wenezueli napływają znakomicie podrobione banknoty studolarowe. To przedsięwzięcie czysto prywatne, nic nie sugeruje, by zaangażował się w nie rząd.

Przytaknąłem.

- Też do tego doszliśmy - powiedziałem. - Kieruje tym facet nazwiskiem Kliner. Ma swoją bazę w Georgii, właśnie tam, gdzie zginął Joe.

- Zgadza się - potwierdził Kelstein. - Pomysłowy pan Kliner. To jego operacja, on wszystkim kieruje. Wiemy to z całą pewnością. Co u niego słyhać?

- Wpadł w panikę - stwierdziłem. - Zabija ludzi. Kelstein ze smutkiem skinął głową.

- Przypuszczaliśmy, że Kliner może spanikować. W końcu chroni olbrzymie przedsięwzięcie, najlepsze, z jakim się zetknęliśmy.

- Najlepsze?

Kelstein przytaknął z entuzjazmem.

- Coś wyjątkowego - rzekł. - Jak wiele wie pan o fałszerstwach?

Wzruszyłem ramionami.

- Więcej niż w zeszłym tygodniu, ale zdecydowanie nie dosyć. Kelstein pochylił się naprzód w fotelu. Jego oczy zaślniły.

Wyraźnie szykował się do wykładu na swój ulubiony temat.

- Istnieją dwa rodzaje fałszerzy - zaczął. - Dobrzy i źli. Dobrzy robią wszystko jak należy. Zna pan różnicę pomiędzy drukiem wklęsłym a litograficznym?

Ponownie wzruszyłem ramionami i potrząsałem głową. Kelstein podniósł ze stosu papierów pismo i wręczył mi je. Kwartalnik towarzystwa historycznego.

- Proszę otworzyć - polecił - na dowolnej stronie. Niech pan przesunie palcami po papierze. Gładki, prawda? To właśnie druk litograficzny. W ten sposób drukuje się praktycznie wszystko: książki, pisma, gazety. Wszystko. Pokryty farbą wałek przesuwany po papierze. Natomiast druk wklęsły to coś zupełnie innego.

Nagle klasnął w dłonie. Podskoczyłem. W cichym gabinecie klaśnięcie zabrzmiało jak wystrzał.

- To właśnie druk wklęsły - oznajmił. - Metalowa płyta uderza mocno w papier, pozostawiając wytłoczony wzór. Wydrukowany obraz staje się trójwymiarowy, także w dotyku. Nie da się go pomylić z czymś innym.

Podniósł się lekko i wyjął z kieszeni portfel. Wyciągnął banknot dziesięciodolarowy. Podał mi go.

- Czuje pan? - spytał. - Metalowe matryce to nikiel pokryty chromem. W chromie graweruje się cieniutkie linie i napełnia farbą. Następnie matryca uderza w papier, wprowadzając farbę w jego górną warstwę. Rozumie pan? Farba tkwi w wydrążeniach matrycy, toteż jest przekazywana w najwyższe punkty papieru. Tylko dzięki drukowi wklęsłemu można otrzymać wypukły obraz i tylko w ten sposób da się dobrze sfalszować banknot. Tak samo produkuje się prawdziwe.

- A farba? - spytałem.

- Używa się trzech kolorów. Czarnego i dwóch odcieni zieleni. Najpierw drukuje się tylną stronę banknotu, pokrywając ją ciemniejszą zielenią. Potem papier schnie. Następnego dnia zadrukowuje się część przednią czarną farbą. Po jej wyschnięciu ponownie drukuje się przód, nakładając jaśniejszą zieleń. To pozostałe elementy widoczne na przedzie banknotu, łącznie z numerem seryjnym. Lecz jasnozielony druk jest inny. Sam proces druku wygląda inaczej. To tak zwany druk typograficzny. Podobnie jak w druku wklęsłym płyta uderza o papier, lecz farba trafia w zagłębienia, nie w wypukłości.

Przytaknąłem i uważnie obejrzałem dziesięciodolarówkę, przód i tył. Delikatnie przesunąłem po niej palcami. Nigdy wcześniej nie przyglądałem się pieniądзом.

- Mamy zatem cztery problemy - ciągnął Kelstein. - Prasa, matryce, farby i papier. Prasy, nowe bądź używane, można kupić na całym świecie. Istnieją setki możliwych źródeł.

Większość krajów drukuje własne pieniądze, obligacje, papiery wartościowe. Toteż prasę można kupić za granicą, a nawet przerobić samemu. Joe odkrył drukarnię w Tajlandii, wykorzystującą zmodyfikowaną maszynę do przeróbki kalmarów. Ich setki były idealne.

- A matryce? - spytałem.

- Matryce to problem numer dwa - odpowiedział. - Ale to wyłącznie kwestia talentu. Istnieją ludzie na świecie, którzy potrafią sfalszować obrazy starych mistrzów, a także tacy, którzy po jednokrotnym wysłuchaniu umieją odegrać z pamięci koncert fortepianowy Mozarta. Z pewnością można też znaleźć grawerów, którzy potrafią skopiować banknoty. To w końcu logiczne założenie. Skoro pewien człowiek w Waszyngtonie umie wygrawerować oryginał, gdzieś musi istnieć inny człowiek potrafiący to skopiować. Takich ludzi spotyka się jednak rzadko. A naprawdę dobrych kopistów jeszcze rzadziej. Kilku można znaleźć w Armenii. Fabryka w Tajlandii, ta sama, która wykorzystywała maszynę do kalmarów, zamówiła matryce u Malezyjczyka.

- No dobrze - wtrąciłem. - Zatem Kliner kupił prasę i znalazł grawera. A farby?

- Farby to problem numer trzy. W Stanach nie można kupić podobnych farb. Joe tego dopilnował. Lecz za granicą są powszechnie dostępne. Jak mówiłem, niemal każdy kraj na świecie drukuje własne banknoty. A z wiadomych przyczyn Joe nie mógł narzucić swojego systemu wszystkim krajom świata. Toteż farbę nietrudno zdobyć. Zielenie to wyłącznie kwestia koloru. Falszerze mieszają farby i eksperymentują póki nie uzyskają właściwego odcienia. Czarna farba jest magnetyczna. Wiedział pan o tym?

Ponownie pokręciłem głową. Uważnie przyjrzałem się banknotowi. Kelstein uśmiechnął się.

- Tego nie widać - rzekł. - Czarną farbę miesza się z płynnym związkim żelazistym. Właśnie w ten sposób działają elektroniczne liczniki pieniędzy. Odczytują druk pośrodku portretu i maszyna odbiera sygnał, tak jak głowica magnetofonu.

- I tę farbę też można kupić?

- Na całym świecie - odparł. - Wszyscy jej używają. Jesteśmy daleko w tyle za innymi krajami. Wolimy się nie przyznawać, że martwią nas fałszerstwa.

Przypomniałem sobie, co mówiła Molly. Wiara i zaufanie. Przytaknąłem.

- Waluta musi sprawiać wrażenie stabilnej - podjął Kelstein.

- To dlatego wolimy jej nie zmieniać. Musi wyglądać solidnie, niezmiennie, budzić zaufanie. Proszę obrócić banknot i przyjrzeć się bliżej.

Spojrzałem na zielony obrazek na odwrocie dziesiątki. Budynek Departamentu Skarbu stał przy pustej ulicy. Obok przejeżdżał tylko jeden samochód. Wyglądał jak ford, model T.

- Od 1929 roku niemal się nie zmienił - powiedział Kelstein.

- Z psychologicznego punktu widzenia to bardzo ważne. Przedkładamy pozory solidności nad bezpieczeństwo. To podejście bardzo utrudniało pracę Joemu.

Raz jeszcze przytaknąłem.

- Rozumiem. Załatwiliśmy zatem prasę, matryce i farby. A co z papierem?

Kelstein rozpromienił się i klasnął w drobne dłonie, jakbyśmy dotarli do najciekawszej części wykładu.

- Papier stanowi problem numer cztery - oznajmił. - Ale tak naprawdę powinniśmy rzec, to ich problem numer jeden. Największy ze wszystkich. I tego właśnie wraz z Joem nie rozumieliśmy, jeśli chodzi o operacje Klinera.

- Dlaczego nie?

- Bo ich papier jest doskonały - rzekł. - Stuprocentowo idealny. Lepszy niż druk, a to rzecz niebywała.

Ze zdumieniem kręcił swą wielką siwą głową, jakby szczerze podziwiał osiągnięcie Klinera. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu w starych fotelach, niemal dotykając się kolanami.

- Doskonały? - powtórzyłem z naciskiem. Kelstein przytaknął i podjął przerwany wykład.

- To niewiarygodne. Zwykle papier jest przeszkodą najtrudniejszą do pokonania. Proszę nie zapominać, że nie mówimy tu o amatorskim warsztacie, lecz o operacji na skalę przemysłową. W ciągu roku drukują setki warte cztery miliardy dolarów.

- Aż tyle? - wtrąciłem ze zdumieniem.

- Cztery miliardy - powtórzył. - Mniej więcej tyle samo co fabryka w Libanie. Joe to obliczył, a on wiedział najlepiej. I tego właśnie nie mogliśmy zrozumieć. Cztery miliardy w setkach to czterdzieści milionów banknotów. Mnóstwo papieru. Absolutnie niewytłumaczalna ilość papieru, panie Reacher. A ich papier jest doskonały.

- Czego dokładnie potrzebują? - spytałem.

Kelstein wyciągnął rękę i odebrał mi dziesięciodolarówkę. Zgniół ją, rozprostował i zgiął.

- To mieszanina włókien - oznajmił. - Bardzo inteligentnie zrobiona i absolutnie wyjątkowa. Około osiemdziesięciu procent bawełny, około dwudziestu procent konopi. Ani śladu pulpy drzewnej. Ma więcej wspólnego z koszulą na pańskim grzbiecie niż z gazetą. Wprowadzono też do niej skomplikowany barwnik chemiczny, nadający wyjątkowy kremowy odcień, a w pulpie znajdują się dodatkowo czerwone i niebieskie włókna

polimerowe, cienkie jak jedwab. Papier menniczny to coś cudownego. Trwały, wytrzymuje lata, nie rozpada się w wodzie, gorącej ani zimnej. Doskonale chłonny, przyjmuje najdrobniejsze grawerunki.

- Zatem papier trudno byłoby skopiować?

- To praktycznie niemożliwe. Prawdę mówiąc, papier tak trudno skopiować, że nie potrafi tego nawet oficjalny dostawca rządowy. Ma ogromne problemy z tym, by kolejne dostawy zbytnio się nie różniły. A to najlepsza tego typu firma na świecie.

Uporządkowałem w głowie zasłyszane informacje. Prasa, matryce, farby i papier.

- Czyli papier stanowi klucz do całej sprawy? Kelstein przytaknął.

- My też doszliśmy do tego wniosku. Zgodziliśmy się, że papier stanowi klucz i że nie mamy pojęcia, skąd go biorą. Dlatego właśnie nie mogę panu pomóc. Nie potrafiłem pomóc Joemu i panu także. Bardzo mi przykro.

Spojrzałem na niego.

- Mają magazyn pełen czegoś. Czy to mógłby być papier? Profesor prychnął wzgardliwie i gwałtownie obrócił głowę, patrząc wprost na mnie.

- Nie słuchał mnie pan? Papieru mennicznego nie da się zdobyć za żadne pieniądze. Nie można dostać czterdziestu arkuszy, a co dopiero mówić o czterdziestu milionach. To całkowita tajemnica. Od roku męczymy się nad nią z Joem i Walterem, i do niczego nie doszliśmy.

- Myślę, że Bartholomew do czegoś doszedł - zaprotestowałem.

Kelstein przytaknął ze smutkiem. Powoli dźwignął się z fotela i podszedł do biurka. Nacisnął przycisk na automatycznej sekretarce. W pokoju rozległ się elektroniczny pisk, a potem głos nieboszczyka.

- Kelstein? - rzekł głos. - Tu Bartholomew. Jest czwartek wieczór, późno. Zadzwoń do ciebie rano i podam odpowiedź. Wiem, że będę pierwszy. Dobranoc, staruszk.

W głosie dźwięczało podniecenie. Kelstein stał, patrząc w przestrzeń, jakby w nieruchomym powietrzu zawisł przed nim duch Bartholomew. Sprawiał wrażenie zasmuconego. Nie wiedziałem, czy to dlatego że jego stary kolega nie żyje, czy też dlatego że ów kolega pierwszy znalazł odpowiedź.

- Biedny Walter - powiedział. - Znałem go pięćdziesiąt sześć lat. Przez chwilę siedziałem cicho, potem także wstałem.

- Znajdę odpowiedź - oznajmiłem.

Kelstein przekrzywił głowę i spojrzał na mnie bystro.

- Naprawdę tak pan sądzi? Mimo że Joemu się nie udało? Wzruszyłem ramionami.

- Może Joe też odkrył prawdę? Nie wiemy, do czego doszedł, nim go zabili. Natychmiast wracam do Georgii. Proszę kontynuować poszukiwania.

Kelstein przytaknął i westchnął. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Powodzenia, panie Reacher - powiedział. - Mam nadzieję, że dokończy pan pracę brata. Może rzeczywiście się panu uda. Często o panu mówił. Wie pan, bardzo pana lubił.

- Mówił o mnie?

- Często - powtórzył starszek. - Tęsknił za panem. Było mu przykro, że pracuje pan tak daleko.

Przez chwilę zabrakło mi słów. Ogarnęło mnie ogromne poczucie winy. Mijały lata, a ja w ogóle o nim nie myślałem. On jednak myślał o mnie.

- Był starszy, ale pan opiekował się nim - ciągnął Kelstein. - To właśnie powiedział mi Joe. Mówił, że był pan bardzo gwałtowny, twardy. Gdyby Joe chciał, żeby ktoś w jego imieniu załatwił Klinerów, pewnie wybrałby pana.

Skinałem głową.

- Uciekam - oznajmiłem.

Uścisnąłem kruchą dłoń profesora i pozostawiłem go ze strażnikami w biurze ochrony.

\* \* \*

Próbowałem wymyślić, skąd Kliner bierze swój doskonały papier. Próbowałem wyliczyć, czy jeśli się pospieszę, zdążę na odlatujący o szóstej samolot do Atlanty. Próbowałem też zignorować to, co Kelstein powiedział mi na końcu o Joem. O tym, jak bardzo brat mnie lubił. Ulicami przewalał się tłum, a ja miałem tak zaprzątnięte myśli, że skupiłem się wyłącznie na poszukiwaniach pustej taksówki, i dlatego nie zauważyłem dwóch zbliżających się Latynosów. Dostrzegłem natomiast pistolet, który pokazał mi pierwszy z nich - mały automat trzymany w drobnej dłoni, ukryty pod jednym z tych płaszczy przeciwdeszczowych, które mieszkańcy miast noszą we wrześniu przewieszane przez ramię.

Mężczyzna lekko uniósł broń. Jego partner wskazał gestem stojący dwadzieścia metrów dalej przy krawężniku samochód, który powoli ruszył naprzód. Drugi Latynos stanął przy drzwiach, gotów je otworzyć, jak jeden z wyfrakowanych portierów przed kosztownymi apartamentowcami. Patrzyłem na broń i na samochód, podejmując decyzję.

- Wsiadaj do wozu - powiedział cicho mężczyzna z pistoletem. - Albo cię zastrzelę.

Stałem i myślałem wyłącznie o tym, że spóźnię się na samolot. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy odlatuje następny. Chyba o szóstej, uznałem.

- Do samochodu - rzucił tamten.

Byłem niemal pewien, że nie wystrzeli na ulicy. Broń miał niewielką, ale pozbawioną tłumika. Narobi hałasu, a wokół było mnóstwo ludzi. Drugi mężczyzna miał puste ręce. Może trzymał broń w kieszeni. W samochodzie siedział wyłącznie kierowca, prawdopodobnie na siedzeniu obok leżał pistolet. Ja byłem nieuzbrojony. Moja kurtka, pałka, nóż i desert eagle pozostały tysiąc kilometrów stąd, w Atlancie.

Zdecydowałem się nie wsiadać. Po prostu stałem na ulicy, ryzykując życie, zakładając, iż tamten nie wystrzeli w miejscu publicznym. On też czekał bez ruchu, unosząc ku mnie płaszcz. Samochód zatrzymał się obok nas, drugi z mężczyzn przesunął się w moją stronę. Obaj Latynosi byli drobni, nawet razem nie dorównywali mi masą. Samochód czekał z włączonym silnikiem. Nikt się nie poruszył. Zastygliśmy niczym manekiny na wystawie. Nowa jesienna moda - stare ciuchy z demobilu w połączeniu z płaszczami przeciwdeszczowymi Burberry.

Obaj mieli problem. W podobnych sytuacjach istnieje kilka sekund, podczas których można spełnić groźbę. Jeśli mówi się, że się kogoś zastrzeli, to trzeba strzelić. W przeciwnym razie wiadomo, że się blefuje. Nie strzelając, napastnik staje się nikim. A tamten nie strzelił. Po prostu stał, wyraźnie niezdecydowany. Wokół nas przelewały się fale ludzi. Samochody trąbiły na stojący przy krawężniku wóz.

Goście nie byli głupi - dostatecznie mądrzy, by nie strzelić do mnie na zatłoczonej nowojorskiej ulicy, by wiedzieć, że sprawdziłem ich blef, by już nigdy nie wypowiedzieć groźby, której nie zamierzają spełnić. Ale nie mieli dość rozsądku, żeby odejść. Po prostu stali.

Toteż cofnąłem się lekko, jakbym miał postąpić krok naprzód. Pistolet pod płaszczem przesunął się w moją stronę. Obserwując go, chwyciłem lewą ręką przegub drobnego Latynosa, pociągnąłem broń za siebie i przycisnąłem go, mocno obejmując mu ramiona prawą ręką. Wyglądaliśmy, jakbyśmy razem tańczyli walca, jak kochankowie witający się na dworcu. A potem pochyliłem się naprzód i przygniotłem go do samochodu. Cały czas z całych sił ścisnąłem jego przegub, wbijając paznokcie w ciało. Lewą ręką ale i tak musiało boleć. Mój przygniatający go ciężar sprawiał, że facet z trudem oddychał.

Jego współnik nadal trzymał dłoń na drzwiach samochodu. Rozbiegane oczy spoglądały to na mnie, to na partnera. Nagle drugą ręką sięgnął do kieszeni. Cofnąłem się zatem, obróciłem wokół trzymającej broń ręki i rzuciłem mężczyznę z pistoletem wprost na samochód. Potem odskoczyłem. Po pięciu krokach zgubiłem się w tłumie. Biegłem naprzód, uskakując i rozpychając ludzi. Przebiegałem przez podwórza i przez ulice, między trąbiącymi



gniewnie samochodami. Tamci jakiś czas próbowali dotrzymać mi kroku, ale w końcu zatrzymał ich ruch. Nie ryzykowali tak bardzo jak ja.

\* \* \*

Osiem przecznic dalej złapałem taksówkę i zdażyłem na lot o szóstej z lotniska La Guardia do Atlanty. Z jakiejś przyczyny lot powrotny trwa dłużej. W samolocie spędziłem dwie i pół godziny. Przelatując nad Jersey, Marylandem i Wirginią cały czas myślałem o Joem. Nad obiema Karolinami i Georgią rozmyślałem o Roscoe. Chciałem, by już wróciła. Okropnie za nią tęskniłem.

Schodząc w dół, przebiliśmy się przez grubą warstwę chmur burzowych. Wieczorny półmrok w Atlancie pogłębił się. Gęsta ciemność przed burzą. Wyglądało na to, że ogromne siły pogody gromadzą się dokładnie nad miastem. Gdy wysiedliśmy z samochodu, powietrze w niewielkim tunelu było gęste i ciężkie, pachniało paliwem i burzą.

Z informacji odebrałem kluczyki bentleya. Tkwiły w kopercie wraz z kwitem parkingowym. Wyszedłem poszukać wozu i poczułem na twarzy ciepły wiatr z północy. Zapowiadała się wielka burza, w powietrzu czułem narastające napięcie. Samochód czekał na parkingu krótkoterminowym. Tylne okna były już przyciemnione, ale mechanik nie zdażył załatwić przedniej szyby ani bocznych okienek. Dzięki temu samochód wyglądał jak królewska limuzyna prowadzona przez szofera. W bagażniku leżała moja kurtka. Nałożyłem ją i poczułem dodający otuchy ciężar tkwiącej w kieszeniach broni. Usiadłem za kierownicą, wyjechałem z parkingu i skierowałem się na południe pogrążoną w mroku autostradą. Była dziewiąta wieczór, piątek, jakieś trzydzieści sześć godzin do chwili, gdy Klinerowie zaczną w niedzielę opróżniać magazyn.

\* \* \*

Do Margrave dotarłem o dziesiątej. Jeszcze trzydzieści pięć godzin. Godzinę poświęciłem rozmyślaniom nad rzeczami, których nauczono mnie w akademii wojskowej. Studiowaliśmy tam doktryny wojskowe i filozofię, przede wszystkim autorstwa starych Szwabów, którzy je uwielbiali. Nie zwracałem na nie zbytnej uwagi, ale pamiętałem, że ktoś ważny twierdził, iż wcześniej czy później trzeba stawić czoło głównym siłom przeciwnika. Nie można wygrać wojny, jeśli się tego nie zrobi. Wcześniej czy później trzeba odnaleźć główne siły, stanąć do walki i zniszczyć je.

Wiedziałem, że główne siły mojego przeciwnika tworzyło dziesięć osób. Powiedział mi to Hubble. Po załatwieniu Morrisona zostało ich dziewięć. Wiedziałem o dwóch Klinerach, Teale'u i Bakerze. To oznaczało jeszcze pięć nazwisk. Uśmiechnąłem się do siebie. Zjechałem z głównej drogi na żwirowy parking Ena. Zatrzymałem się na końcu rzędu

samochodów i wysiadłem, ziewając i przeciągając się w nocnym chłodzie. Burza wciąż wisiała w powietrzu. Wiedziałem, że wkrótce nadejdzie. Wciąż było duszno. Czulem energię zbierającą się w chmurach i ciepły powiew wiatru na plecach. Wróciłem do samochodu, wyciągnąłem się na skórzanym tylnym siedzeniu i zasnąłem. Chciałem zdrzemnąć się godzinę, może półtorej.

Zacząłem śnić o Johnie Lee Hookerze. W dawnych czasach, nim stał się sławny. Miał starą gitarę ze stalowymi strunami. Grał na niej, siedząc na stołeczku, który ustawiano na kwadratowej drewnianej desce. Wciskał sobie w podeszwy butów stare kapsle - ot, takie zaimprovizowane buty do stepowania. Siedział na stołku i grał na gitarze jak to on, ostro, głośno, a jednocześnie cały czas przytupywał do taktu w drewnianą podłogę. Śniłem, że wystukuje butami rytm na starej desce.

Ale to nie buty Johna Lee czyniły hałas. To ktoś pukał w szybę bentleya. Obudziłem się i dźwignąłem z siedzenia. Zza okna spoglądał na mnie sierżant Baker. Wielki, chromowany zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą trzydzieści. Przespałem pół godziny. Na więcej nie mogłem liczyć.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, była zmiana planów. Nadarzała się znakomita sposobność. Starzy szwabscy generałowie z pewnością tylko by przyklasnęli. Uwielbiali elastyczną taktykę. Wsunąłem rękę do kieszeni i odbezpieczyłem desert eagle'a. Potem wysiadłem drzwiami z drugiej strony i spojrzałem nad dachem na Bakera. Uśmiechał się przyjaźnie, pokazując złoty ząb.

- Co słysząc? - spytał. - Uważaj ze spaniem w miejscach publicznych. Mógłbyś zostać aresztowany za włóczęgostwo.

Odpowiedziałem równie przyjacielskim uśmiechem.

- Bezpieczeństwo ruchu drogowego - odparłem. - Cały czas powtarzają, że kiedy czuje się zmęczenie, lepiej nie prowadzić, tylko zjechać na bok i zdrzemnąć się. Prawda?

- Chodź, postawię ci kawę - zaproponował. - Jeśli chcesz się obudzić, kawa Ena potrafi zdziałać cuda.

Zamknąłem samochód. Cały czas trzymałem rękę w kieszeni. Nasze kroki zazgrzytały na żwirze, kiedy ruszyliśmy do baru, zajęliśmy miejsce przy ostatnim stole. Kobieta w okularach przyniosła nam kawę. Nie prosiliśmy, po prostu wiedziała.

- Co tam u ciebie? - zaczął Baker. - Pewnie nie czujesz się najlepiej. Straciłeś przecież brata.

Wzruszyłem ramionami. Lewą ręką podniosłem kubek i pociągnąłem łyk kawy. Prawa dłoń wciąż oplatała tkwiący w kieszeni pistolet.

- Nie byliśmy sobie bliscy - odparłem. Baker przytaknął.
- Roscoe wciąż pomaga FBI?
- Chyba tak.
- A gdzie podziwia się stary Finlay?
- W Jacksonville - wyjaśniłem. - Musiał jechać na Florydę coś sprawdzić.
- Jacksonville? - powtórzył. - Co go tam zagnało? Znow wzdryłem ramionami.

Kolejny łyk kawy.

- Nie mam pojęcia. On nic mi nie mówi. Nie jestem policjantem, tylko chłopcem na posyłki. Teraz każe mi jechać do domu Hubble'a i coś dla niego załatwić.

- Do domu Hubble'a? - rzucił Baker. - A co tam jest?

- Jakieś stare papiery. Pewnie wszystko, co zdołam znaleźć.

- A potem co? - spytał. - Też pojedziesz na Florydę? Potrząsnąłem głową, pociągnąłem kolejny łyk.

- Finlay kazał mi wsadzić je do koperty i wysłać do Waszyngtonu. Zanocuję u Hubble'a, rano skoczę na pocztę.

Baker przytaknął powoli, potem znow uśmiechnął się ciepło, lecz tym razem uśmiech był wyraźnie wymuszony. Skończyliśmy kawę, Baker rzucił na stół parę dolarów i wyszliśmy. Wsiadł do swojego radiowozu, pomachał do mnie i odjechał. Wróciłem do Bentleya, skierowałem się na południe, do granicy pogrążonego w ciemnościach miasteczka, i skręciłem w prawo, w Beckman Drive.

## 26

**M**usiałem bardzo starannie przemyśleć, gdzie zostawić Bentleya. Chciałem, by wyglądało to niewinnie, lecz jednocześnie całkowicie uniemożliwiało wyminięcie samochodu. Jakiś czas przestawiałem go to tu, to tam. W końcu zostawiłem na końcu podjazdu Hubble'a, nie prostując skręconych kół. Wyglądało to, jakbym przyjechał w pośpiechu i zatrzymał się, nie zwracając na taki drobiazg uwagi.

Chciałem, by dom sprawiał wrażenie, że ktoś w nim jest. Nic nie jest tak oczywiste jak pusty budynek. Zawsze wydaje się cichy, martwy, porzucony. Brakuje w nim ludzkich wibracji. Otworzyłem drzwi frontowe kluczem z pęku Charlie, przeszedłem przez dom i zapaliłem kilka losowo wybranych lamp. W gabinecie Hubble'a włączyłem telewizor i ściszyłem go tak, że jedynie mruczał cicho. Podobnie postąpiłem z radiem w kuchni. Zaciągnąłem kilka zasłon. Wróciłem na zewnątrz. Wyglądało nieźle, jakby w środku ktoś był.

Teraz do dzieła. Pierwszy przystanek: szafa w głównym holu. Szukałem rękawiczek. Na Południu to niezbyt popularna część garderoby, rzadko się przydają. Ale Hubble miał dwie pary. Leżały na półce, starannie ułożone. Pierwsze to rękawice narciarskie, ostry seledyn i róż. Nie dla mnie, potrzebowałem czegoś ciemnego. Drugie okazały się strzałem w dziesiątkę. Eleganckie, uszyte z cienkiej czarnej skórki. Rękawiczki bankiera, bardzo miękkie, niczym druga skóra.

Rękawice narciarskie sprawiły, że pomyślałem o czapce. Skoro Hubble'owie jeździli do Kolorado, musieli mieć pełne wyposażenie. Wkrótce znalazłem pudło pełne czapek, a wśród nich „skarpetę” z włókna syntetycznego. Dół można było spuścić tak, by zakrywał uszy. Ciemnozielona w niewyraźny wzór. Nada się.

Następnie odwiedziłem główną sypialnię. Znalazłem toaletkę Charlie, była większa niż pokoje, w których zdarzyło mi się mieszkać. Charlie miała mnóstwo kosmetyków, do wyboru, do koloru. Zabrałem do łazienki wodoodporny tusz do rzęs i posmarowałem nim twarz. Potem zapiąłem kurtkę, nałożyłem czapkę i rękawiczki. Wróciłem do sypialni i sprawdziłem rezultat w dużym lustrze na drzwiach szafy. Nieźle, akurat na nocną robotę.

Wróciłem na zewnątrz. Zamknąłem kluczem drzwi frontowe. Czuję nad głową ciężkie, burzowe chmury. Było bardzo ciemno. Stojąc przy drzwiach, jeszcze raz wszystko sprawdziłem. Wepchnąłem pistolet do wewnętrznej kieszeni kurtki. Rozsunąłem zamek i sprawdziłem, jak szybko wyciągam broń. Nieźle. Załadowana, zabezpieczona. Zapasowe naboje w górnej zewnętrznej kieszeni, po prawej. Nóż po lewej. Pałka z prawej. Mocno zawiązane buty.

Odszedłem od domu, mijając zaparkowanego bentleya. Jakies dwanaście, może piętnaście metrów dalej skręciłem w krzaki i usiadłem w miejscu, z którego widziałem cały podjazd. Siedziałem na zimnej ziemi i czekałem. Istotą zasadzki stanowi właśnie czekanie. Jeśli przeciwnik jest czujny, zjawi się wcześniej czy później, w chwili gdy uzna, że się go nie spodziewamy. Nieważne zatem, jak wcześniej przybędzie, ty musisz być gotów jeszcze wcześniej. Jeśli pojawi się późno, musisz na niego zaczekać. Czekanie przypomina trans. Potrzeba do tego niezwyklej cierpliwości. Nie ma sensu denerwować się, kręcić. Wystarczy czekać, nic nie robić, o niczym nie myśleć, nie marnować energii. A potem gwałtownie wkroczyć do akcji - po godzinie, pięciu, dniu, tygodniu. Czekanie to umiejętność, tak jak wszystkie inne.

\* \* \*

Zacząłem czekać kwadrans przed północą. Nad głową czułem zbierającą się burzę. Powietrze było gęste jak zupa, ziemię spowijała nieprzenikniona ciemność. Około północy

tamy pękły. Na liściach wokół mnie zaszeleściły pierwsze ciężkie krople wielkości ćwierćdolarówek. Po kilku sekundach przerodziły się w ulewę, zupełnie jakbym siedział pod prysznicem. Niebo rozdzierały ogłuszające grzmoty, nad moją głową szalały błyskawice, co chwila zalewając ogród jaskrawym światłem. Siedziałem w deszczu i czekałem. Dziesięć minut, piętnaście.

Zjawili się dwadzieścia minut po północy. Wciąż lał deszcz, pioruny nadal atakowały ziemię. Nie usłyszałem ciężarówki, póki nie pokonała połowy podjazdu. Nagle z odległości jakichś dziesięciu metrów dobiegł mnie zgrzyt. Ciemnozielona ciężarówka, złoty napis: „Fundacja Klinera”. Taka jak ta, którą widziałem w pobliżu domu Roscoe rano we wtorek. Minęła mnie w odległości około dwóch metrów. Szerokie opony na żwirze. To właśnie widział Finlay przed domem Morrisona: ślady szerokich opon na żwirze.

Ciężarówka zatrzymała się kilka metrów za mną, tuż za bentleyem. Nie mogła go minąć, stała właśnie tam, gdzie chciałem. Usłyszałem, że silnik gaśnie. Szczęknął hamulec ręczny. Pierwszy wysiadł kierowca. Miał na sobie biały nylonowy kombinezon z kapturem ciasno zaciągniętym wokół głowy. Twarz zakrywała mu maska chirurgiczna, dłonie - cienkie gumowe rękawiczki. Na nogach miał gumowe kalosze. Wskoczył z kabiny i ruszył do tylnych drzwi. Znałem ten krok, poznałem wysoką masywną sylwetkę, długie potężne ręce. To był młody Klinier. Dzieciak Klinera przyjechał osobiście, by mnie zabić.

Walnął rękaw drzwi, które zadźwięczały głucho. Potem nacisnął klamkę i otworzył je. Ze środka wyszło czterech identycznie ubranych mężczyzn. Białe nylonowe kombinezony, ciasno naciągnięte kaptury, maski, rękawiczki, gumowe kalosze. Dwaj mieli w dłoniach torby, dwaj pozostali długie, szerokie strzelby. W sumie pięciu. Spodziewałem się czterech. Pięciu nieco utrudniało sprawę, ale efekt będzie większy.

Deszcz smagał ich bezlitośnie. Słyszałem głośny szelest sztywnego nylonu i metaliczny odgłos ciężkich kropel bębniących o dach ciężarówki. Nagle oświetliła ich błyskawica. Wyglądali jak upiory, jak uciekinierzy z piekła. Po raz pierwszy zwątpiłem, czy pokonałbym ich w poniedziałkową noc. Ale dziś ich załatwię. Dziś mam przewagę, działam z zaskoczenia, stanę się niewidzialnym koszmarem, atakującym znikąd.

Młody Klinier wydawał rozkazy. Sięgnął do ciężarówki i wyciągnął łom. Wskazał ręką trzech swoich żołnierzy i poprzez strugi deszczu ruszył wraz z nimi w stronę domu. Piąty mężczyzna miał zaczekać przy ciężarówce. Ponieważ padało, zamierzał wrócić do kabiny. Widziałem, jak spogląda w czarne niebo i zerkną naprzód. Wyciągnąłem pałkę, przepchnąłem się przez krzaki. Nie mógł mnie usłyszeć, wszystko zagłuszała ulewa.

Odwrócił się do mnie plecami i postąpił krok w stronę drzwi kierowcy. Na sekundę zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie Joego na stole w kostnicy, pozbawionego twarzy, Roscoe trzęsącą się ze zgrozy na widok odcisków stóp na podłodze. A potem wypadłem z zarośli, skoczyłem za niego i rąbnąłem pałką w tył głowy. To była ciężka pałka, a ja włożyłem w cios wszystkie siły. Poczulem pękające kości. Facet runął na żwir niczym ścięte drzewo. Leżał twarzą do ziemi, deszcz bębnił o jego nylonowy kombinezon. Jednym mocnym kopnięciem złamałem mu kark. Pierwszy z głowy.

Przeciagnałem ciało do tyłu i zostawiłem za ciężarówką. Obszedłem ją i zabrałem kluczyki. Podkraǳłem się do domu, schowałem pałkę do kieszeni, otworzyłem nóż sprężynowy i ująłem w prawą dłoń. Wewnątrz nie chciałem używać pistoletu, strzały byłyby zbyt głośne mimo ciągłych grzmotów. Przekroczyłem próg. Zamek wyłamano, z drzwi sterczały drzazgi. Ujrzałem leżącego na podłodze łom.

To był duży dom, przeszukanie go zabierze im sporo czasu. Przypuszczałem, że będą trzymali się razem, całą czwórką. Najpierw poszukają wspólnie, potem się rozdzielą. Słyszałem ich kroki dobiegające z góry. Z powrotem wyszedłem na dwór, czekając, by jeden z nich zszedł do holu. Przywarłem do ściany obok uszkodzonych drzwi. Oślaniał mnie okap. Deszcz wciąż lał się z nieba strumieniami. Przypominało to burzę w tropikach.

Czekałem prawie pięć minut. W końcu jeden z napastników zszedł na dół. Usłyszałem skrzypiące kroki w holu, otwierane drzwi szafy. Wcisnąłem się do środka. Stał zwrócony plecami do mnie jeden z tych ze strzelbami, wysoki, lżejszy ode mnie. Podkraǳłem się tuż za niego, wyciągnąłem rękę nad jego głowę i dźgnąłem palcami prosto w oczy. Upuścił strzelbę. Z głuchym łoskotem rąbnęła o dywan. Pociągnąłem go za sobą, odwróciłem i wypchnąłem za drzwi, wprost na ulewę. Jeszcze głębiej wbiłem palce w jego oczy, uniosłem mu głowę i poderżnąłem gardło. Nie robi się tego jednym eleganckim cięciem. Rzeczywistość to nie film, nie ma na to dość ostrych noży. W ludzkim gardle jest zbyt wiele twardych chrząstek, trzeba je piłować bardzo mocno. To chwilę trwa, ale działa, działa jak diabli. Zanim dotrze się do kości, delikwent jest już trupem. Ten facet nie był wyjątkiem. Jego krew trysnęła naprzód, mieszając się z deszczem. Nagle zwiotczał. Drugi z głowy.

Zaciągnąłem trupa na trawnik, trzymając za czubek kaptura. Nie było sensu podnosić go pod pachami i kolanami, głowa poleciałaby mu w tył i odpadła. Zostawiłem go na trawie, pobiegłem do środka, podniosłem strzelbę i skrzywiłem się. Poważna broń, Ithaca Mag-10, widywałem je w wojsku. Wystrzeliwiają ogromne pociski. Ludzie nazywają je taranami, mają wystarczającą siłę przebicia, by zabić ludzi siedzących wewnątrz nieopancerzonego

samochodu, a z bliska są morderczo skuteczne. Mieszczą zaledwie trzy pociski, ale jak mawialiśmy, gdy wystrzeli się wszystkie, bitwa dobiega końca.

Nadal wolałem nóż jako broń podstawową - był cichy, lecz gdybym potrzebował wsparcia, strzelba sprawdzi się lepiej niż desert eagle. Zaletą strzelb jest to, iż celowanie stanowi wyłącznie luksus. Strzelba wyrzuca z siebie szeroki stożek ołowiu. Jeśli ma się pod ręką mag-10, wystarczy wycelować mniej więcej w odpowiednim kierunku, a na pewno się trafi.

Wyszedłem z powrotem przez wyłamane drzwi i przywarłem do ściany, chroniąc się przed deszczem. Czekałem. Przypuszczałem, że wkrótce zaczną wychodzić z domu. Nie znaleźli mnie tam i zauważą nieobecność faceta, którego właśnie załatwiłem. Zaczną więc wychodzić, to nieuniknione. Nie mogą wiecznie tkwić w środku. Czekałem. Dziesięć minut. Usłyszałem dobiegające z wnętrza skrzypienie podłogi. Puściłem je mimo uszu. Wcześniej czy później wyjdą.

I wyszli - dwaj, razem, jednocześnie. Zawahałem się ułamek sekundy. Deszcz zaczął uderzać o nylonowe kombinezony. Ponownie wyciągnąłem pałkę, przełożyłem do prawej dłoni. Z pierwszym poszło mi łatwo. Trafiłem go ciężką pałką prosto w kark, niemal odrywając mu głowę. Lecz drugi zareagował i przekreślił się tak, że mój następny cios nie trafił. Pałka zmiażdżyła jedynie obojczyk i sprawiła, że facet padł na kolana. Lewą ręką walnąłem go w twarz, szykując się do kolejnego ciosu pałką. Trzeba było jeszcze dwóch uderzeń, by złamać kręgosłup. Był zręczny, pełen energii. Ale nie dość zręczny. Czterech z głowy.

W ulewnym deszczu przeciągnąłem dwa trupy na trawnik na skraju zwirowego podjazdu. Położyłem obok ich towarzysza. Wyeliminowałem czterech napastników, odzyskałem jedną strzelbę, kluczyk ciężarówki tkwił w mojej kieszeni. Na wolności pozostał jeszcze młody Kliner, uzbrojony w strzelbę.

Nie mogłem go znaleźć. Nie wiedziałem, gdzie się podział. Wszedłem do domu, chroniąc się przed deszczem, i zacząłem nasłuchiwać. Nic. Łomot deszczu o dach i żwir na zewnątrz zagłuszał wszystko, przesłaniał maską białego szumu. Jeśli dzieciak zaniepokoił się czymś i krąży po domu, nie usłyszę go. To może być problem.

Przekradłem się do oranżerii. Deszcz tłukł o szklany dach. Stałem nieruchomo, wyteżając słuch. Usłyszałem młodego w holu. Właśnie wychodził drzwiami frontowymi. Jeśli skręci w prawo, wpadnie prosto na swych trzech przydupasów, leżących na trawniku. On jednak skierował się w lewo, minął okna oranżerii, kierując się na patio. Odprowadziłem go

wzrokiem: biała postać w deszczu, odległa o jakieś dwa metry. Wyglądał niczym upiór wprost z piekła. Upiór z piekła, niosący przed sobą długą, czarną strzelbę.

W kieszeni na kółku od bentleya miałem też klucz od oranżerii. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Deszcz rąbał mnie niczym struga ze szlauchu. Podkradłem się na patio. Młody Klinier stał tam, patrząc w stronę wielkiego basenu. Przycupnąłem z boku, obserwując go. Z odległości siedmiu metrów słyszałem szelest kropel na białym nylonie. Niebo wciąż rozświetlały błyskawice, którym towarzyszyła kanonada grzmotów.

Nie chciałem strzelać do niego z maga-10. Musiałem pozbyć się ciała, wzbudzić niepokój u starego Kliniera, tak by mógł jedynie domyślić się, co zaszło, gdzie zniknął jego syn. To go wyprowadzi z równowagi, co z kolei zapewni mi większe bezpieczeństwo. Nie stać mnie było na pozostawienie nawet najdrobniejszego dowodu. Po strzale z wielkiej strzelby pozostałby straszny bałagan. Trudno byłoby pozbyć się ciała, odnaleźć wszystkie jego fragmenty. Czekałem. \*

Młody ruszył długim trawnikiem opadającym wprost ku basenowi. Okrążyłem go bokiem, pozostając na mokrej trawie. Dzieciak szedł wolno. Denerwował się, był sam, niezbyt dobrze widział, ciasny kaptur wokół twarzy ograniczał mu pole widzenia. Cały czas kręcił głową, sztywno niczym automat. Zatrzymał się na skraju basenu. Byłem metr za nim. Kołysałem się w prawo i w lewo, w prawo i w lewo, trzymając się poza granicą jego wzroku, dokładnie w rytm obracanej głowy. Potężna strzelba także się poruszała, w lewo i w prawo, nad pełnym po wręby basenem.

We wszystkich znanych mi książkach i filmach bohater walczyłby szlachetnie. W końcu miałem pomścić brata, a przede mną stał facet, który skopał jego zwłoki niczym pęk szmat. Powinniśmy zmierzyć się twarzą w twarz, powinien wiedzieć, kim jest jego przeciwnik. Zrozumieć, dlaczego musi zginąć. Szlachetne, godne zasady. Ale w prawdziwym życiu wygląda to inaczej. Joe wyśmiałby podobne pomysły.

Z całej siły zamierzyłem się pałką, celując w jego głowę. Dokładnie w tym momencie młody zawrócił, kierując się w stronę domu. Pałka ześliznęła się po mokrym nylonie, a rozpęd ciężkiej, wypełnionej ołowiem skórzanej tuby pozbawił mnie równowagi. Runąłem na ziemię, jakbym pośliznął się na lodzie. Dzieciak okręcił się gwałtownie, unosząc strzelbę. Przeładował ją. Machnąłem rozpaczliwie ręką i odtrąciłem lufę na bok, przesuwając się poza pole rażenia. Nacisnął spust i usłyszałem ogłuszający wybuch, głośniejszy niż najgorszy grzmot. Odpowiedział mu szelest rozdieranych liści i łamanych gałęzi. Deszcz ołowiu uderzył w drzewa za nami.



Gwałtowny odrzut zakolysał moim przeciwnikiem, ten jednak zdążył znów przeładować. Usłyszałem złowieszczy szczęk metalu. Leżałem na plecach, na kafelkach przy basenie. Dźwignąłem się jednak gwałtownie, chwyciłem oburącz strzelbę i pchnąłem lufę w górę, a kolbę w dół. Właśnie w tym momencie dzieciak wystrzelił. Kolejna upiorna eksplozja. Tym razem pociągnąłem idealnie w chwili odrzutu i wyrwałem mu strzelbę. Pchnąłem w górę, uderzając kolbą w jego twarz. Nie był to udany cios. Ithaka ma na kolbie grubą warstwę gumy, chroniącą strzelca przed gwałtownym odrzutem. Teraz ta sama guma ochroniła głowę Klinera. Jedyne zakolysał się mocno. Rzuciłem się ku jego nogom, pchnąłem go gwałtownie, wyrzuciłem i wrzuciłem do basenu. Runął na plecy. Skoczyłem wprost na niego.

Znajdowaliśmy się na głębokim końcu basenu i walczyliśmy o zwycięski chwyt. Deszcz lał, chlor wypalał mi oczy i nos. Walczyłem, póki nie chwyciłem go za gardło. Zdarłem nylonowy kaptur i oplotłem dłońmi szyję. Zablokowałem ręce i wepchnąłem mu głowę pod wodę. Z całej siły miażdżyłem mu gardło. Napastnik w Warburton sądził, że nieźle się spisuje, lecz w porównaniu z tym, co robiłem teraz Klinerowi, przypominało to pieszczotę kochanki. Praktycznie urywałem mu głowę. Naciskałem, obracałem i trzymałem go metr pod wodą, póki nie umarł. To nie trwało długo, w takiej sytuacji nigdy nie trwa. Pierwszy, który znajdzie się pod wodą, już tam zostaje. Równie dobrze to mogłem być ja.

Szamotałem się w wodzie i gwałtownie chwytałem powietrze, dławiąc się smrodem chloru. Deszcz uderzał o powierzchnię basenu. Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie kończy się woda, a zaczyna powietrze. Pozostawiłem trupa i podpłynąłem do brzegu. Przywarłem do niego i wreszcie odetchnąłem. Pogoda przypominała senny koszmar, grzmoty praktycznie nie ustawały, niebo rozświetlały serie błyskawic, deszcz lał jak z cebra. Byłbym suchszy, gdybym siedział w basenie. Miałem jednak mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Popłynąłem z powrotem do trupa. Unosił się w wodzie. Podholowałem go do brzegu. Wyszedłem, chwyciłem dłońmi nylonowy kombinezon i wywlokłem za sobą ciało. Ważyło chyba tonę, z wylotów rękawów i nogawek spływały strugi wody. Zostawiłem je na brzegu i potykając się, ruszyłem do garażu.

Nie szło mi łatwo, ubranie miałem zimne, kompletnie przemoczone. Zupełnie jakbym próbował chodzić w kolczudze. Ale dotarłem na miejsce i znalazłem klucz. Otworzyłem drzwi, zapaliłem światło. Garaż na trzy samochody. W tej chwili stał tam tylko drugi bentley. Samochód Hubble'a, tak samo stary i zadbane jak ten Charlie. Piękna ciemna zieleń, czule wypolerowana, błyszcząca. Dostrzegłem w niej swoje odbicie. Szukałem taczek albo ogrodowego wózka. W garażu stało mnóstwo sprzętu ogrodniczego - duża kosiarka z

siedzeniem, narzędzia. W odległym kącie dostrzegłem coś w rodzaju taczek z dużymi szprychowymi kołami jak u roweru.

Wypchnąłem je na dwór i w szalejącej burzy dotarłem z powrotem do basenu. Po chwili poszukiwań znalazłem dwie strzelby i mokrą pałkę. Strzelby wrzuciłem na taczki, pałkę ukryłem w kieszeni. Sprawdziłem, czy trup wciąż ma na nogach buty, i załadowałem go wraz z bronią. Minąłem dom, znalazłem się na podjeździe. Przepchnąłem się obok bentleya i doprowadziłem taczki do tyłu ciężarówki. Otworzyłem drzwi, wrzuciłem ciało do środka. Wgramoliłem się za nim i wciągnąłem trupa głębiej. Deszcz łomotał o dach. Potem podniosłem zwłoki pierwszego faceta i podciągnąłem do trupa młodego Klinera. Wrzuciłem do środka strzelby. Dwóch załatwionych.

Następnie ruszyłem z taczkami do miejsca, gdzie zostawiłem pozostałą trójkę. Leżeli na mokrym trawniku, deszcz walił o upiorne kombinezony. Zawiozłem ich do ciężarówki, którą przyjechali. Ułożyłem w środku całą piątkę.

Potem odprowadziłem taczki do garażu, postawiłem w kącie, tam gdzie je znalazłem. Z warsztatu zabrałem latarkę. Chciałem przyjrzeć się czterem chłopcom, których przywiózł ze sobą młody Kliner. Pobiegłem w strugach deszczu i wskoczyłem do ciężarówki. Zapaliłem latarkę i przycupnąłem obok trupów.

Zdarłem kaptury i maski pozostałej czwórce i przesunąłem promieniem latarki po ich twarzach. Dwaj pierwsi pracowali w magazynie jako strażnicy. W czwartek obejrzałem ich dokładnie przez lornetkę. Byłem pewien, że to oni. Może nie przysięgłbym na rozprawie sądowej, ale dziś w nocy nie interesowały mnie procedury karne.

Pozostałą dwójkę znałem na pewno. Nie miałem żadnych wątpliwości. Byli policjantami, wsparciem z zeszłego piątku. Przybyli do baru wraz z Bakerem i Stevensonem, by mnie aresztować. Od tej pory kilka razy widziałem ich na posterunku. Uczestniczyli we wszystkim. Kolejni tajni agenci burmistrza Teale'a.

Wygramoliłem się z ciężarówki, zaniósłem latarkę do garażu, zamknąłem drzwi na klucz i w deszczu pobiegłem do domu. Zabrałem przyniesione przez nich torby. Wrzuciłem je na środek holu i zapaliłem lampę. Szybko przejrzałem zawartość. Zapasowe rękawiczki i maski, paczka pocisków dziesiątek, młotek, worek sześciocalowych ćwieków i cztery skalpele, tak ostre, że można się zaciąć od samego patrzenia.

Podniosłem porzucony przez napastników łom, włożyłem do jednej z toreb. Zaniósłem obie do ciężarówki i cisnąłem na trupy. Potem zamknąłem i zabezpieczyłem tylne drzwi ciężarówki i biegiem wróciłem do domu. Przebiegłem przez parter, zamknąłem wejście do oranżerii. Przeszedłem do kuchni, otworzyłem drzwi piekarnika, opróżniłem kieszenie.

Wszystko rozłożyłem na podłodze. Znalazłem w szafce pergamin do pieczenia. Rozłożyłem desert eagle'a na części i ułożyłem je starannie na blasze. Obok wysypałem zapasowe pociski. Nóż, pałkę, kluczyki bentleya, moje pieniądze i papiery umieściłem na drugiej blasze, wsadziłem je do piekarnika i włączyłem na słabe grzanie.

Wyszedłem od frontu i jak najdokładniej zamknąłem uszkodzone drzwi. Biegiem minąłem bentleya, wsiadłem do ciężarówki Fundacji Klinera. Przez sekundę mocowałem się z obcymi kluczykami. Włączyłem silnik, starannie wycofałem i skręciłem w Beckman Drive, kierując się w stronę miasta. Wycieraczki bezskutecznie walczyły z deszczem. Okrążyłem duży plac z kościołem. Po drugiej stronie skręciłem w prawo, zmierzając na południe. Pusto. Na drodze nie dostrzegłem nikogo.

Trzysta metrów dalej skręciłem w podjazd Morrisona. Podprowadziłem ciężarówkę pod sam dom i zaparkowałem obok porzuconego lincolna. Zamknąłem drzwi. Podbiegłem do ogrodzenia i cisnąłem klucze daleko w pole. Owinąłem się ciasno kurtką i szybkim krokiem ruszyłem z powrotem. W mojej głowie kłębiły się myśli.

\* \* \*

Minęła już ponad godzina soboty. Od niedzieli dzielił mnie niecały dzień. Dostrzegłem wyraźnie zarys całej afery. Dysponowałem trzema faktami. Po pierwsze, Klinier potrzebował specjalnego papieru. Po drugie, nie da się go zdobyć w Stanach Zjednoczonych. Ale, po trzecie, magazyn był wypełniony po dach.

Niepokoili mnie też napisy na pudełkach po klimatyzatorach. Nie logo Island Air-Conditioning, nie nadruki, lecz pozostałe, numery seryjne. Na kartonach, które oglądałem, wypisano je odręcznie w wydrukowanych kratkach. Widziałem je wyraźnie. Policjanci z Jacksonville wspomnieli o tym samym na pudłach w ciężarówce Stollera. Długie odręczne numery seryjne. Ale po co? Same kartony stanowiły dostatecznie dobry kamuflaż. Świetny. Przewożenie tajnych ładunków na Florydę w kartonach po klimatyzatorach to mądre posunięcie. Żaden inny produkt nie nadawał się tak doskonale na tamtejszy rynek. Gliniarze z Jacksonville też dali się nabrać, nie zastanawiali się ani przez moment. Niepokoili mnie jednak numery seryjne. Skoro wewnątrz nie umieszczono urządzeń elektrycznych, po co wypisywać numery? Także dla kamuflażu? Absurd. Co zatem oznaczały? Co tkwiło w tych cholernych pudłach?

To właśnie nie dawało mi spokoju. W końcu Joe udzielił odpowiedzi. Maszerowałem w deszczu, rozmyślając o tym, co mówił Kelstein. O precyzji. Kelstein twierdził, że Joe wyrażał się niezmiernie precyzyjnie. Ja także o tym wiedziałem. Myślałem o liście, którą dla siebie wydrukował. Dumne, drukowane litery, szereg inicjałów, kolumna numerów

telefonicznych, i dwa zapiski na dole. „Garaż Stollerów, akta Klinera Graya”. Musiałem znów zerknąć na listę, ale nagle zrozumiałem, że Joe mówi mi, iż jeśli chcę się dowiedzieć, co Klinier umieścił w kartonach, powinienem zajrzeć do garażu Stollerów.

## 27

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem po powrocie do domu, było zaparzenie kawy. Znalazłem ekspres w eleganckiej kuchni Charlie Hubble i włączyłem go. Potem otworzyłem piekarnik, wyjąłem moje rzeczy. Grzały się prawie godzinę, były suche jak pieprz. Skóra pokrywająca pałkę i breloczek nieco zesztyniała, poza tym nie dostrzegłem żadnych uszkodzeń. Z powrotem złożyłem pistolet, naładowałem. Zostawiłem go na kuchennym stole, załadowany i zabezpieczony.

Potem, aby potwierdzić swoje domysły, sprawdziłem wydruk komputerowy Joego. Tu jednak pojawił się problem, poważny problem. Papier był suchy i sztywny, lecz druk zniknął. Miałem przed sobą kompletnie pustą kartkę. Woda z basenu zmyła tusz, pozostawiając jedynie słabe, rozmazane smugi. Nie zdołałem odczytać ani słowa. Wzruszyłem ramionami. Czytałem tę listę setki razy. Muszę polegać na własnej pamięci.

Następny przystanek: piwnica. Przez chwilę majstrowałem przy piecu, w końcu go włączyłem. Potem rozebrałem się i wepchnąłem moje ubranie do elektrycznej suszarki Charlie. Nastawiłem ją na godzinę. Nie miałem pojęcia, czy dobrze robię. W wojsku moim praniem zajmował się kapral, zabierał je i przynosił czyste i złożone. Od czasu zwolnienia kupowałem tanie ciuchy i po prostu wyrzucałem. Nagi wróciłem na górę i poszedłem do łazienki Hubble'a. Wziąłem długi, gorący prysznic. Zmyłem z twarzy tusz do rzęs. Przez długi czas stałem pod strumieniami gorącej wody. W końcu owinąłem się w ręcznik i wróciłem na dół, na kawę.

Nie mogłem od razu pojechać do Atlanty. Dotarłbym tam koło wpół do czwartej, a to nie najlepsza pora na rozmowy z ludźmi. Nie miałem żadnych stosownych dokumentów ani odpowiedniego statusu. Nocna wizyta stałaby się problemem. Będę musiał poczekać do jutra. Nie ma innego wyjścia.

Pomyślałem zatem, że warto by się przespać. Wyłączyłem radio w kuchni i powędrowałem do gabinetu Hubble'a. Zgasilem telewizor. Rozejrzałem się. Ciemny, przytulny pokój. Drewniane boazerie, wielkie skórzane fotele. Obok telewizora stała japońska wieża, za nią rzędy kompaktów i kaset. Mnóstwo Beatlesów. Hubble wspominał, że interesował go John Lennon. Odwiedzili z Charlie budynek Dakoty w Nowym Jorku oraz

Liverpool w Anglii. Miał wszystko, wszystkie albumy, kilka bootlegów, kolekcję singli na CD, sprzedawaną w drewnianym pudełku.

Nad biurkiem wisiała półka, na której ustawiono rzędy specjalistycznych periodyków i grubych książek. Techniczne pisma bankowe i raporty. W sumie zajmowały jakieś pół metra i wyglądały upiornie. Kilka numerów „Banking Journal”, parę egzemplarzy grubego pisma zatytułowanego „Bank Management”, do tego „Banker”, „Banker’s Magazine”, „Banker’s Monthly”, „Business Journal”, „Business Week”, „Cash Management Bulletin”, „The Economist”, „The Financial Post”. Wszystkie ustawione w rzędzie w porządku alfabetycznym, według dat. Pojedyncze numery, obejmujące kilka ostatnich lat. Ani jednego rocznika. Na końcu półki ustawiono biuletyny Departamentu Skarbu, a także kilka numerów magazynu „World of Banking”. Osobliwy zbiór. Sprawiał wrażenie starannie dobranego. Może Hubble wybrał je ze względu na wyjątkowe nagromadzenie nudy i czytywał, gdy nie mógł zasnąć.

Ja nie przewidywałem problemów z zaśnięciem. Właśnie wychodziłem na poszukiwanie łóżka, z którego mógłbym skorzystać, gdy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wróciłem do biurka i ponownie spojrzałem na półkę. Przesunąłem palcem wzdłuż szeregu pism i magazynów. Sprawdziłem daty wydrukowane na grzbietach pod pompatycznymi tytułami. Niektóre były całkiem świeże. Ponad tuzin pochodziło z tego roku. Jedna trzecia zbioru została wydana po zwolnieniu Hubble’a z banku, po tym, jak stracił pracę. Pisma przeznaczono dla bankierów, lecz Hubble nie był już bankierem, wciąż jednak zamawiał specjalistyczne magazyny. Wciąż dostawał i czytał te nudziarstwa. Dlaczego?

Wyciągnąłem kilka pism. Spojrzałem na okładki: grube, błyszczące. Ująłem je palcami z samej góry i dołu. Otworzyły się na stronach, które czytał Hubble. Wyciągnąłem kolejne, pozwoliłem, by się otworzyły. Usiadłem w skórzanym fotelu Hubble’a, owinięty w jego ręcznik, i pogрузyłem się w lekturze. Przejrzałem całą półkę, od lewej do prawej, od początku do końca, wszystkie pisma. Zabrało mi to godzinę.

Potem zająłem się książkami. Przesunąłem palcem wzdłuż zakurzonego szeregu. Nagle zatrzymałem się, wstrząśnięty, dostrzegając znajome nazwiska. Kelstein i Bartholomew. Grube, stare tomiszczce, oprawne w czerwoną skórę. Ich raport dla podkomisji senackiej. Wyciągnąłem go i zacząłem przerzucać. Zdumiewająca książka. Kelstein opisał ją jako biblię antyfalszerzy, i istotnie, nie mylił się, był wręcz zbyt skromny. Książka okazała się absolutnie wyczerpująca. Mozolnie opisano w niej wszystkie znane techniki fałszerskie, cytując mnóstwo przykładów wprost z życia. Położyłem ciężki tom na kolanach i czytałem przez kolejną godzinę. Z początku skupiłem się na papierze. Kelstein twierdził, że papier

stanowi klucz. Wraz z Bartholomew dołączyli do raportu długi dodatek na temat papieru, rozwijający to, co opowiedział mi wtedy u siebie. Włókna bawełny i konopi, barwnik chemiczny, wprowadzenie czerwonych i niebieskich włókien polimerowych. Papier produkowano w Dalton w stanie Massachusetts. Zajmowała się tym firma Crane and Company. Przytaknąłem. Słyszałem o nich. Chyba kiedyś kupiłem kartki świąteczne ich produkcji. Przypomniałem sobie ciężkie, grube karty i kremowe koperty z czerpanego papieru. Podobały mi się. Firma produkowała papier menniczny dla Departamentu Skarbu od 1879 roku. Przez ponad sto lat przewożono go do Waszyngtonu pod strażą w opancerzonych samochodach. Nigdy nie skradziono żadnego ładunku. Nawet jednego arkusza.

Potem cofnąłem się i zacząłem przeglądać tekst głównego raportu. Rozłożyłem na biurku zawodową biblioteczkę Hubble'a i ponownie zabrałem się do pracy. Niektóre teksty czytałem dwa, trzy razy, zmagając się z nudnymi artykułami i pełnymi faktów raportami. Sprawdzałem, potwierdzałem, próbowałem zrozumieć specjalistyczny język. I wciąż powracałem do wielkiego, czerwonego raportu. A zwłaszcza do trzech akapitów. Pierwszy dotyczył starej operacji fałszerzy z Bogoty, drugi znacznie wcześniejszej operacji libańskiej. Falangiści chrześcijańscy połączyli siły z ormiańskimi grawerami podczas dawnej wojny domowej. Trzeci akapit koncentrował się na podstawach chemii. Mnóstwo skomplikowanych wzorów, ale między nimi kilka znajomych słów. Raz po raz odczytywałem te akapity. Wróciłem do kuchni, podniosłem pustą listę Joego i długo się w nią wpatrywałem. Powoli powędrowałem do cichego, ciemnego gabinetu, usiadłem w plamie światła, zacząłem myśleć. I znów pogрузyłem się w lekturze.

\* \* \*

Nie uspiła mnie, wręcz przeciwnie - sprawiła, że obudziłem się całkowicie. Aż dygotałem z podniecenia. Ponieważ gdy skończyłem, wiedziałem dokładnie, skąd biorą papier. Wiedziałem dokładnie, gdzie go znajdują. Wiedziałem, co tkwi w pudłach od klimatyzatorów. Nie musiałem jechać do Atlanty i sprawdzać. Wiedziałem. Wiedziałem, co gromadzi Kliner w swoim magazynie. Wiedziałem, co przywoziły ciężarówki. Wiedziałem, co oznaczał nagłówek Joego: *E Pluribus Unum* i dlaczego wybrał odwrócone motto. Wiedziałem wszystko i dysponowałem dwudziestoma czterema godzinami. Pojąłem całą aferę od początku do końca, z góry na dół. W stu procentach. A zaplanowali to bardzo mądrze. Stary profesor Kelstein twierdził, że papieru nie da się zdobyć, lecz Kliner dowiódł, że to nieprawda. Kliner znalazł sposób, bardzo prosty sposób.

Zerwałem się zza biurka i pobiegłem do piwnicy. Otworzyłem gwałtownie drzwiczki suszarki, wyciągnąłem ubranie. Ubrałem się, przeskakując z nogi na nogę na betonowej

podłodze. Ręcznik zostawiłem pod suszarką. Wróciłem biegiem do kuchni, wypchałem kieszenie kurtki wszystkim, czego potrzebowałem, i popędziłem na zewnątrz, pozostawiając otwarte drzwi. Podbiegłem do bentleya, uruchomiłem go i tyłem pokonałem kręty podjazd. Z rykiem silnika wypadłem na Beckman Drive, skręciłem z piskiem w Main Street i pozostawiłem za sobą milczące miasteczko. Minąłem bar i znów skręciłem w lewo, w drogę do Warburton, cały czas z maksymalną prędkością, jaką odważyłem się wycisnąć ze statecznego, starego samochodu.

Bentley nie miał zbyt jasnych reflektorów - w końcu zaprojektowano go dwadzieścia dwa lata temu. Od świtu dzieliło mnie kilka godzin, a ostatnie odpływające chmury burzowe co chwilę zasłaniały księżyc. Droga nie była całkiem prosta, wyboista i śliska po deszczu. Stary samochód podskakiwał na wybojach, toteż zmniejszyłem prędkość uznawszy, że lepiej jechać dziesięć minut dłużej, niż zaryć w polu. Nie chciałem dołączyć do Joego, nie chciałem stać się kolejnym Reacherem, który zna prawdę, ale nie żyje.

Minąłem kępę drzew, ciemniejszą plamę na tle mrocznego nieba. Parę kilometrów dalej zajaśniały reflektory więzienia, oświetlając nocny krajobraz. Wkrótce przejechałem obok kompleksu budynków, ale jeszcze przez kilka kilometrów dostrzegałem w lusterku żółty blask. Potem pokonałem most, przejechałem przez Franklin i opuściłem Georgię, przekraczając granicę Alabamy. Minąłem stary pub, który odwiedziliśmy z Roscoe, The Pond, ciemny i zamknięty. Po kolejnym kilometrze znalazłem się w motelu. Zostawiłem włączony silnik i wpadłem do recepcji, budząc dyżurnego.

- Macie tu gościa nazwiskiem Finlay? - spytałem. Mężczyzna potarł dłonią oczy i zajrzał do księgi gości.

- W jedenastce.

Cały motel wydawał się pogrążony we śnie, milczący, senny, jakby nieobecny. Znalazłem domek Finlaya, numer 11. Na zewnątrz stał policyjny Chevrolet. Zacząłem głośno dobijać się do drzwi. Musiałem walić w nie jakiś czas. W końcu usłyszałem pełen irytacji jęk. Nie zdołałem rozpoznać słów. Huknąłem pięścią jeszcze parę razy.

- Rusz się, Finlay! - zawołałem.

- Kto tam? - odkrzyknął.

- Reacher - powiedziałem. - Otwórz te cholerne drzwi!

Po chwili ciszy drzwi się otworzyły. Stał w nich Finlay. Obudziłem go - miał na sobie szarą bluzę od pizamy i bokserki. Zdumiał mnie ten widok. Nagle uświadomiłem sobie, iż spodziewałem się, że Finlay sypia w tweedowym garniturze i zamszowej kamizelce.

- Czego chcesz, do diabła? - spytał.

- Muszę ci coś pokazać - oznajmiłem. Ziewnął i zamrugnął oczami.

- Która godzina? - spytał.

- Nie wiem. Piąta, może szósta. Ubieraj się, musimy gdzieś pojechać.

- Dokąd?

- Do Atlanty. Chcę ci coś pokazać.

- Jakie coś? - spytał. - Nie możesz po prostu powiedzieć?

- Ubieraj się, Finlay - powtórzyłem. - Musimy jechać. Mruknął niechętnie, ale poszedł się ubrać. Potrwało to chwilę, może piętnaście minut. Zniknął w łazience. Gdy wchodził do środka, wyglądał jak normalny facet świeżo wyciągnięty z łóżka. Wyszedł już jako Finlay, w tweedach i tak dalej.

- W porządku - rzekł. - Lepiej niech to będzie dobre, Reacher. Wyszliśmy w mrok. Podczas gdy on zamykał drzwi domku, ja ruszyłem do samochodu. Dołączył do mnie.

- Prowadzisz? - spytał.

- A co? Jakiś problem?

Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnie. Omiótł gniewnym wzrokiem lśniącego bentleya.

- Nie lubię, gdy ktoś gdzieś mnie wozi - oznajmił. - Pozwolisz, że poprowadzę?

- Nie obchodzi mnie, kto prowadzi. Tylko wsiadaj do tego cholernego samochodu.

Zajął miejsce za kierownicą, wręczyłem mu kluczyki. Uczyniłem to bardzo chętnie, bo byłem koszmarnie zmęczony. Finlay uruchomił silnik bentleya i wycofał go z parkingu. Skręcił na wschód. Gdy znalazł się na drodze, docisnął gaz. Jechał szybciej niż ja. Był świetnym kierowcą.

\* \* \*

- No to co się dzieje? - spytał.

Spojrzałem na niego. W słabym świetle deski rozdzielczej widziałem jego oczy.

- Zgadłem - oznajmiłem. - Wiem, o co w tym chodzi. Zerknął na mnie.

- To co, powiesz mi?

- Dzwoniłeś do Princeton? - spytałem. Mruknął pod nosem i z irytacją klepnął kierownicę.

- Godzinę wisiałem na słuchawce - oznajmił. - Facet niby dużo wiedział, ale tak naprawdę nic.

- Co ci powiedział?



- Wszystko - odparł Finlay. - Niegłupi gość, robi doktorat z historii. Pracował dla Bartholomew. Okazuje się, że Bartholomew i ten drugi, Kelstein, byli wielkimi szuchami wśród speców od zwalczania fałszerstw. Joe omawiał z nimi swoje teorie.

Przytaknąłem.

- Dowiedziałem się tego od Kelsteina - rzekłem. Znow na mnie spojrzał, nadal z irytacją.

- To czemu pytasz mnie?

- Chcę poznać twoje wnioski. Chcę wiedzieć, do czego doszliście.

- Do niczego - odparł. - Dyskutowali cały rok i uznali, iż nie ma mowy, by Kliner zdobył gdzieś tak dużo dobrego papieru.

- Dokładnie to samo powiedział mi Kelstein. Ale znalazłem rozwiązanie.

Kolejne spojrzenie. Na jego twarzy malowało się zdumienie. W dali ujrzałem blask wieziennych reflektorów Warburton.

- No to mów.

- Obudź się i sam zgadnij, Harwardczyku. Wymamrotał coś pod nosem, nadal rozdrażniony. Jechaliśmy naprzód. Wpadliśmy w strugę światła, wylewającą się zza wieziennego ogrodzenia, minęliśmy podjazd, a potem ostra żółta luna została za nami.

- Może dasz jakąś wskazówkę?

- Dam ci nawet dwie - powiedziałem. - Nagłówek, który Joe umieścił nad swoją listą. *E Unum Pluribus*. A potem zastanów się, co jest wyjątkowego w amerykańskiej gotówce.

Przytaknął. Pogрузzył się w myślach, bębniąc o kierownicę długimi palcami.

- *E Unum Pluribus* - powtórzył. - To odwrócone motto Stanów Zjednoczonych. Możemy założyć, iż oznacza: „z jednego wiele”. Tak?

- Zgadza się - potwierdziłem. - A co wyróżnia amerykańskie banknoty wśród wszystkich innych banknotów świata?

Znow zaczął myśleć. Myślał o czymś tak znajomym, że tego nie dostrzegął. Jechaliśmy dalej, minęliśmy rosnący po lewej zagajnik. Przed sobą ujrzałem pierwszą słabą zorzę świtu.

- No co? - spytał.

- Mieszkałem na całym świecie - oznajmiłem. - Na sześciu kontynentach, jeśli liczyć krótką wizytę na stacji meteorologicznej lotnictwa na Antarktydzie. W dziesiątkach krajów. Miałem w kieszeni mnóstwo różnych papierowych pieniędzy: jeny, marki niemieckie, funty, liry, peso, wony, franki, szekle, rupie. Teraz mam dolary. Co widzę?

Finlay wzruszył ramionami.

- Co? - spytał.

- Wszystkie dolary są tej samej wielkości. Pięćdziesiątki, setki, dziesiątki, dwudziestki, piątki i jedyńki. Identyczne. Żaden inny kraj, który odwiedziłem, tego nie robi. Wszędzie banknoty o większym nominale są większe. To coś w rodzaju progresji, łapiesz? Jedyńka to mały banknot, piątka większy, dziesiątka jeszcze większy, i tak dalej. Banknoty o nominale wyższym przypominają zwykle duże płachty papieru. Lecz dolary amerykańskie są tej samej wielkości. Setka ma dokładnie takie same rozmiary jak dolarówka.

- I co z tego?

- Skąd więc biorą swój papier? - spytałem.

Czekałem. Wyrzął przez okno, demonstracyjnie nie patrząc na mnie. Nie chwycił i zaczynało go to irytować.

- Kupują go - odpowiedziałem. - Kupują papier, dolara za arkusik.

Westchnął i spojrział na mnie z rezygnacją.

- Na miłość boską, nie mogą go kupować. Asystent Bartholomew cały czas to podkreślał. Papier produkuje się w Dalton. Ochrona jest tak ścisła jak rybia dupa. Przez sto dwadzieścia lat nie stracili nawet jednego arkusza. Nikt nie sprzedaje go na boku, Reacher.

- Nieprawda, Finlay - odparłem. - Papier jest na sprzedaż na wolnym rynku.

Ponownie mruknął. Jechaliśmy dalej, dotarliśmy do zakrętu w lokalną drogę. Finlay zwolnił, skręcił w lewo, skierował się na północ ku autostradzie. Teraz luna poranka migotała po naszej lewej. Stawała się coraz jaśniejsza.

- Przeczesał cały kraj w poszukiwaniu banknotów jednodolarowych - oznajmiłem. - Tę właśnie rolę wziął na siebie Hubble półtora roku temu. Wcześniej, w banku, zajmował się czymś podobnym, zasobami gotówkowymi. Wiedział, jak zdobywać gotówkę. Zaczął więc gromadzić banknoty jednodolarowe z banków, sklepów, sieci handlowych, supermarketów, torów wyścigowych, kasy. Skąd tylko zdołał. To wielka robota. Potrzebowali ich mnóstwo. Wykorzystując czeki bankowe, przekazy telegraficzne i fałszywe setki, kupowali autentyczne jednodolarówki w całych Stanach Zjednoczonych. Około tony tygodniowo.

Finlay popatrzył na mnie, przytaknął. Zaczynał rozumieć.

- Tonę tygodniowo? - spytał. - Ile to jest?

- Tona jednodolarówek to milion dolarów - odparłem. - Potrzebują czterdzieści ton rocznie. Czterdzieści milionów dolarów w jednodolarówkach.

- Mów dalej.

- Ciężarówki zwożą je do Margrave ze wszystkich miejsc, gdzie znalazł je Hubble. Banknoty trafiają do magazynu.

Finlay skinął głową. Widział już rozwiązanie.

- Potem wysyłają je dalej w kartonach po klimatyzatorach - rzekł.

- Zgadza się - przytaknąłem. - A przynajmniej robili to do zeszłego roku, póki nie powstrzymała ich akcja straży przybrzeżnej. Ładne, nowiutkie kartony, prawdopodobnie zamówione w którejś fabryce trzy tysiące kilometrów stąd. Pakowali banknoty, zaklejali pudła taśmą i wysyłali. Najpierw jednak, przed wysyłką, przeliczali gotówkę.

Ponownie przytaknął.

- Żeby wszystko się zgadzało - uzupełnił. - Ale jak można przeliczyć tonę banknotów tygodniowo?

- Ważyli je. Za każdym razem, gdy napełniali pudło, stawiali je na wadze i ważyli. Uncja dolarówek jest warta trzydzieści dolarów, funt cztery tysiące osiemdziesiąt. Czytałem o tym tej nocy. Ważyli je, obliczali wartość, a potem zapisywali ją na boku pudła.

- Skąd wiesz?

- Numery seryjne - wyjaśniłem - wskazywały, ile pieniędzy jest w kartonie.

Finlay uśmiechnął się smętnie.

- W porządku - rzucił. - A potem pudła trafiły do Jacksonville Beach. Zgadza się?

Skinąłem głową.

- I dalej na łódź, a stamtąd do Wenezueli.

Potem umilkliśmy. Zbliżaliśmy się do kompleksu magazynów przy zjeździe ze starej drogi. Przycupnął po lewej niczym serce naszego wszechświata. W metalowych sidingach odbijało się słabe światło świtu. Finlay zwolnił. Obaj jak na komendę popatrzyliśmy na magazyny, nasze głowy obróciły się zgodnym ruchem. Potem skręciliśmy w zjazd na autostradę, kierując się na północ, do Atlanty. Finlay docisnął gaz i statyczny, stary samochód przyspieszył z pomrukiem.

- A co jest w Wenezueli? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Mnóstwo rzeczy.

- Fabryka chemiczna Klinera - odpowiedziałem. - Przeniosła się tam po problemach z Agencją Ochrony Środowiska.

- I co z tego?

- A czym się w niej zajmują? - naciskałem. - Co produkuje ta fabryka?

- Ma to coś wspólnego z bawełną.

- Zgadza się - przytaknąłem. - A także z wodorotlenkiem sodu, podchlorynem sodu, chlorem i wodą. Co otrzymamy, gdy zmieszamy razem te wszystkie związki?

Finlay wzruszył ramionami. Był policjantem, nie chemikiem.

- Wybielacz - oznajmiłem. - Silny wybielacz, przeznaczony do bawełny.

- Co z tego? - powtórzył.

- Co ci powiedział asystent Bartholomew na temat papieru menniczego?

Finlay głośno wciągnął powietrze, praktycznie się zachłysnął.

- Chryste! - westchnął. - Papier menniczny składa się głównie z włókien bawełny z dodatkiem konopi. Wybielają banknoty dolarowe. Mój Boże, Reacher, usuwają z nich farbę! Nie mogę w to uwierzyć. Wybielają jednodolarówki i otrzymują czterdzieści milionów arkusików autentycznego, czystego papieru.

Posłałem mu szeroki uśmiech. Wyciągnął do mnie rękę. Przybiliśmy piątkę i obaj krzyknęliśmy radośnie, samotni w pędzącym samochodzie.

- Już chwytasz, Harvardczyku - rzekłem. - Tak właśnie to robią. Nie ma cienia wątpliwości. Opracowali całą chemię. A potem ponownie zadrukowują papier, robiąc z niego setki. To właśnie miał na myśli Joe. *E Unum Pluribus*. Z jednego wiele. Z jednego dolara sto.

- Chryste - powtórzył Finlay. - Usuwają farbę. To ci dopiero, Reacher. A wiesz, co to znaczy? W tej chwili cały magazyn jest wypełniony po sufit czterdziestoma tonami autentycznych banknotów dolarowych. Tam jest czterdzieści milionów dolarów. Czterdzieści ton czekających na chwilę, gdy straż przybrzeżna zakończy akcję. Złapaliśmy ich ze spuszczonej gaciami, co?

Zaśmiałem się radośnie.

- Właśnie - stwierdziłem. - Ze spuszczonej gaciami, z tyłkami wystawionymi na wiatr. To dlatego tak bardzo się denerwują. Dlatego wpadają w panikę.

Finlay potrząsnął głową, uśmiechnął się szeroko.

- Jak, do diabła, na to wpadłeś? - spytał.

Nie odpowiedziałem od razu. Jechaliśmy dalej. Autostrada powoli zagłębiała się między gęstniejącą zabudowę południowych przedmieść Atlanty. Wolne przestrzenie wypełniały się budynkami. Kolejne sklepy i rozpoczęte budowy dobitnie świadczyły o rosnącej sile gospodarczej Południa. Dźwigi czekały, gotowe do przesunięcia południowej granicy miasta w głąb pustych pól.

- Załatwimy to krok po kroku - oznajmiłem. - Najpierw zamierzam ci to udowodnić. Pokażę ci pudło na klimatyzator, wypchane autentycznymi jednodolarówkami.

- Naprawdę? - spytał. - Gdzie? Zerknąłem na niego.

- W garażu Stollerów - oświadczyłem.

- Na miłość boską, Reacher - mruknął Finlay - przecież się spalił. A zresztą, nic w nim nie było. Pamiętasz? Nawet gdyby, teraz kręci się tam mnóstwo policji i strażaków z Atlanty.

- Nic mi o tym nie wiadomo, żeby się spalił - zaprotestowałem.
- O czym ty mówisz, do diabła? Powiedziałem ci przecież, dostałem teleks.
- Gdzie chodziłeś do szkoły?
- Co to ma z tym wspólnego?
- To kwestia precyzji, nawyk umysłowy. Dobre wykształcenie go wzmacnia.

Widziałeś wydruk komputerowy Joego, zgadza się?

Finlay przytaknął.

- Pamiętasz przedostatnią pozycję?

- Garaż Stollerów - oznajmił.

- Zgadza się. Zastanów się nad liczbą. Gdyby była pojedyncza, oznaczałoby to garaż należący do jednej osoby nazwiskiem Stoller. Dopelniacz liczby pojedynczej. Zgadza się?

- Ale? - spytał.

- Ale Joe napisał to inaczej. Użył liczby mnogiej. Oznacza to garaż należący do Stollerów. Dopelniacz liczby mnogiej. Garaż będący własnością dwóch osób nazwiskiem Stoller. A w domu przy polu golfowym nie mieszkali tacy ludzie. Judy i Sherman nie byli małżeństwem. Jedyne miejsce, gdzie znajdziemy dwoje ludzi o nazwisku Stoller, to mały stary domek, w którym mieszkają rodzice Shermana. Oni też mieli garaż.

Finlay jechał w milczeniu, powracając w myślach do lekcji gramatyki.

- Myślisz, że zostawił pudło u rodziców? - spytał w końcu.

- To logiczne. Pudła, które widzieliśmy u niego, były puste. Ale Sherman nie wiedział, że zginie w zeszły czwartek. Możemy zatem rozsądnie przyjąć, że ukrył forszę gdzieś jeszcze. Sądził, że zdoła przeżyć bez pracy kilka lat.

Znajdowaliśmy się już w Atlancie. Przed sobą widziałem wielkie skrzyżowanie.

- Lepiej omiń lotnisko - poradziłem.

Okrążyliśmy miasto na wzniesionej wstędze obwodnicy. Przejechaliśmy obok lotniska. Odnalazłem drogę do biedniejszej części miasta. Dochodziło wpół do ósmej rano. W miękkim porannym świetle okolica wydawała się całkiem atrakcyjna. Nisko wiszące słońce zalewało ją łagodnym blaskiem. Odnalazłem właściwą ulicę i właściwy dom, przycupnięty nieśmiało za ogrodzeniem z siatki.

Wysiedliśmy z wozu. Poprowadziłem Finlaya przez furtkę, ścieżką do drzwi. Skinąłem głową. Wyciągnął odznakę i zastukał. Usłyszeliśmy skrzypienie podłogi, potem szcęk zasuw i brzęk odsuwanej łańcucha. Drzwi otwarły się. Stała w nich matka Shermana Stollera. Nie wyglądała na zaspaną. Zapewne nie wyciągnęliśmy jej z łóżka. Milczała, patrząc na nas bez słowa.

- Dzień dobry, pani Stoller - powiedziałem. - Pamięta mnie pani?

- Jest pan policjantem - odparła. Finlay uniósł odznakę. Przytaknęła.

- Lepiej wejdźcie.

Ruszyliśmy za nią korytarzem do ciasnej kuchni.

- Co mogę dla panów zrobić? - spytała starsza pani.

- Chcieliśmy obejrzeć państwa garaż - odparł Finlay. - Mamy powody sądzić, iż państwa syn mógł tam ukryć kradzione towary.

Przez chwilę kobieta stała cicho w swej kuchni. Potem odwróciła się na pięcie, zdjęła klucz wiszący na gwoździu. Wręczyła go nam bez słowa. Odeszła wąskim korytarzem i zniknęła w innym pomieszczeniu. Finlay wzruszył ramionami. Razem wyszliśmy drzwiami frontowymi i ruszyliśmy do garażu.

Był niski i ciasny, starczyło w nim miejsca za ledwie na jeden samochód. Finlay przekreślił klucz w zamku i pchnął drzwi. Garaż był pusty. Stały w nim jedynie dwa wysokie pudła, tuż pod ścianą, identyczne z pustymi kartonami, które widziałem w nowym domu Shermana Stollera. Island Air-Conditioning Inc. Na tych jednak taśma była nietknięta. Ujrzałem długie, wypisane ręcznie numery seryjne. Przyjrzałem im się. Według nich w każdym kartonie tkwiło sto tysięcy dolarów.

Przez chwilę staliśmy z Finlayem, patrząc na pudła. Jedynie patrząc. W końcu podszedłem, przechyliłem jedno z nich, wyjąłem nóż Morrisona, wysunąłem ostrze, wepchnąłem pod taśmę i przeciąłem ją. Szybko rozchyliłem karton i wywróciłem pudło.

Z głuchym łoskotem uderzyło w betonową podłogę. Wokół wzbila się chmura kurzu, a z kartonu posypała się lawina pieniędzy. Podłogę pokryła gotówka, mnóstwo banknotów. Tysiące jednodolarówek, prawdziwa rzeka. Część nowych, część wymiętych, zwitki ciasno owinięte banderolami, pliki i luźne banknoty. Pudło ujawniło swą zawartość, fala pieniędzy sięgnęła błyszczących butów Finlaya. Policjant schylił się, zanurzył dłonie w jeziorze forsy. Chwycił dwie pełne garście, uniósł. W małym garażu panował półmrok. Jedyne światło wpadało do środka przez niewielkie brudne okienko. Finlay trwał bez ruchu z dłońmi pełnymi banknotów dolarowych. Patrzyliśmy na pieniądze, potem spojrzeliśmy po sobie.

- Ile tam było? - spytał Finlay.

Kopnąłem pudło, szukając numeru. Na podłogę posypała się kolejna kaskada pieniędzy.

- Prawie sto tysięcy - odparłem.

- A w drugim?

Sprawdziłem. Odczytałem długi numer.

- Trochę ponad setkę. Pewnie jest ciasniej upakowane.

Finlay potrząsnął głową. Wypuścił banknoty i zaczął grzebać dłońmi w stercie pieniędzy. Potem wstał, zaczął je kopać jak dziecko suche liście. Dołączyłem do niego. Śmialiśmy się i wyrzucaliśmy w powietrze wielkie fontanny gotówki. Banknoty tańczyły w powietrzu, a my krzyczeliśmy i klepaliśmy się po plecach. Przybijaliśmy piątkę i tańczyliśmy, brodząc w stu tysiącach dolarów.

\* \* \*

Finlay cofnął bentleya, podjechał pod drzwi garażu. Nogą zgarnąłem pieniądze na stosy i zacząłem upychać je z powrotem w pudło. Nie mieściły się. Ciasne zwitki i pliki porozpadały się, pozostawiając morze luźnych banknotów. Postawiłem pudło i z całej siły zgmiotłem pieniądze. Beznadziejna sprawa. Na podłodze zostało co najmniej trzydzieści tysięcy.

- Weźmiemy to zaklejone - rzucił Finlay. - Po resztę wrócimy później.

- To tylko kropla w morzu - odparłem. - Powinniśmy zostawić je staruszkom. Coś w rodzaju funduszu emerytalnego. Spadek po synu.

Zastanowił się chwilę. Wzruszył ramionami, jakby nie miało to znaczenia. Gotówka leżała wokół niczym śmieci. Było jej tak dużo, że wydawała się pozbawiona znaczenia.

- Okay.

Wyciągnęliśmy zaklejony karton na dwór i dźwignęliśmy do bagażnika bentleya. Okazało się to niełatwe: pudło było bardzo ciężkie. Sto tysięcy dolarów waży prawie sto kilo. Przez chwilę odpoczywaliśmy, dysząc. Potem zamknęliśmy drzwi garażu, pozostawiając w środku sto tysięcy.

- Zadzwoń do Picarda - oznajmił Finlay.

Wrócił do domu staruszków, żeby skorzystać z telefonu. Oparłem się o ciepłą maskę bentleya, wygrzewając się w porannym słońcu. Po dwóch minutach Finlay wrócił.

- Musimy jechać do jego biura - oznajmił. - Narada produkcyjna.

On prowadził. Szybko wydostał się z labiryntu uliczek i skierował w stronę centrum. Obracając wielką bakelitową kierownicę, zmierzał wprost ku wieżowcom.

- W porządku - rzekł. - Udowodniłeś mi, że miałeś rację. Teraz powiedz, jak do tego doszedłeś.

Przekręciłem się na skórzanym siedzeniu i spojrzałem na niego.

- Chciałem sprawdzić listę Joego. To, jak zapisał: „garaż Stollerów”. Ale lista zamokła. Zanurzyłem ją w chlorowanej wodzie i wszystkie litery zniknęły.

Zerknął na mnie.

- I przez to odgadłeś resztę? Pokręciłem głową.

- Był jeszcze raport senacki. Znalazłem tam kilka akapitów. Jeden dotyczył starych fałszerstw w Bogocie, drugi operacji w Libanie sprzed wielu lat. Robili tam to samo. Wybielali prawdziwe banknoty dolarowe, by móc zadrukować czysty papier.

Finlay przejechał przez czerwone światło. Obejrzał się na mnie.

- Zatem pomysł Klinera nie jest oryginalny?

- Ani trochę - odparłem. - Ale tamci działali na bardzo małą skalę. Bardzo, bardzo małą. Klinier wszystko rozbudował. Stworzył z tego prawdziwy przemysł. Jest Henrym Fordem fałszerstw. Henry Ford też nie wynalazł samochodu, wymyślił jednak produkcję masową.

Finlay przystanął na następnym świetle. Przez skrzyżowanie przejeżdżały samochody.

- W raporcie wspomniano o wybielaniu? - spytał. - To dlaczego Bartholomew i Kelstein na to nie wpadli? Oni go przecież napisali.

- Myślę, że Bartholomew w końcu zrozumiał. Znalazł rozwiązanie. O tym właśnie pisał w e-mailu. Po prostu sobie przypomniał. To był bardzo długi raport, tysiące stron napisanych dawno temu. Wybielanie stanowiło drobny przypis wśród morza innych rzeczy i dotyczyło skromnych fałszerstw, nieporównywalnych z operacją Klinera. Nie ma co winić Bartholomew czy Kelsteina. To starzy ludzie, brak im wyobraźni.

Finlay wzruszył ramionami. Zaparkował obok hydrantu przed wejściem.

## 28

Picard czekał na nas w ponurym holu. Razem poszliśmy do bocznego pomieszczenia. Powtórzyliśmy mu wszystko, co już wiedzieliśmy. Przytaknął, jego oczy błyszczały. Miał przed sobą wielką sprawę.

- Doskonała robota, przyjaciele - pochwalił nas. - Ale z kim właściwie mamy do czynienia? Chyba wszyscy się zgodzimy, że Latynosi to ludzie z zewnątrz. Wynajęci pomocnicy. Nie ukrywają się. Lecz wśród miejscowej dziesiątki wciąż pozostała nam do wykrycia piątka. Nie zidentyfikowaliśmy ich. Mogą nam bardzo utrudnić życie. Wiemy o Morrisonie, Teale'u, Bakerze i dwóch Klinierach. Zgadza się? Ale pozostali? To może być każdy, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- Do zidentyfikowania pozostał nam tylko jeden - oznajmiłem. - Zeszłej nocy wywęszyłem pozostałą czwórkę. Nie znamy wyłącznie dziesiątego.

Finlay i Picard jak na komendę unieśli głowy.



- Kim oni są? - spytał Picard.

- Dwaj strażnicy z magazynu i kolejnych dwóch gliniarzy, wsparcie z zeszłego piątku.

- Kolejni gliniarze? - wtrącił Finlay. - Cholera.

Picard przytaknął. Położył swe olbrzymie dłonie na stole.

- W porządku - rzekł. - Wracajcie do Margrave, natychmiast. Unikajcie kłopotów, ale jeśli się nie uda, aresztujcie ich. Uważajcie na tego dziesiątego faceta. To może być każdy. Wkrótce do was dołączę. Dajcie mi dwadzieścia minut, żeby zabrać Roscoe. Zobaczymy się na miejscu.

Wszyscy wstaliśmy, uścisnęliśmy sobie ręce. Picard ruszył na górę, my z Finlayem wyszliśmy do bentleya.

- Skąd wiedziałeś? - spytał Finlay.

- Dzięki Bakerowi - odparłem. - Wpadł na mnie zeszłego wieczoru. Sprzedałem mu bajeczkę o tym, że jadę do domu Hubble'a szukać papierów. Potem rzeczywiście tam pojechałem i zacząłem czekać. Wkrótce zjawił się młody Klinier z czterema kumplami. Przyjechali, żeby przybić mnie do ściany sypialni Hubble'a.

- Chryste - westchnął Finlay. - I co się stało?

- Załatwiłem ich.

Znów, jak to on, odwrócił głowę i spojrzał na mnie przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Załatwiłeś ich? - powtórzył. - Załatwiłeś młodego Kliniera? Przytaknąłem. Przez chwilę milczał. Zwolnił do stu dwudziestu.

- Jak to zrobiłeś?

- Urządziłem zasadzkę. Trzech walnąłem w głowę, jednemu poderżnąłem gardło. A co do młodego Kliniera, utopiłem go w basenie. Wtedy właśnie zmoczyłem listę Joego i zmyłem cały druk.

- Chryste - powtórzył. - Zabiłeś pięciu ludzi. To poważna sprawa, Reacher. Jak się z tym czujesz?

Wzruszyłem ramionami. Pomyślałem o moim bracie, Joem. Przypomniałem go sobie jako wysokiego, niezgrabnego osiemnastolatka, zaczynającego naukę w West Point. Pomyślałem o Molly Beth Gordon, patrzącej na mnie z uśmiechem i unoszącej w dłoni ciężką, bordową aktówkę. Zerknąłem na Finlaya i odpowiedziałem pytaniem.

- Jak się czujesz, wysypując trutkę na karaluchy?

Finlay gwałtownie potrząsnął głową, niczym pies otrzepujący się z wody.

- Zostało tylko czterech - stwierdził.

Zaczął zaciskać palce na kierownicy starego samochodu, jak piekarz zagniatający ciasto. Spojrzał naprzód i odetchnął głęboko.

- Masz jakieś przeczucie co do dziesiątego?

- Nieważne. Tak naprawdę nieważne, kto to - powiedziałem. - W tej chwili jest w magazynie z pozostałymi. Brakuje im ludzi. Dziś w nocy wszyscy będą pełnić straż. Jutro załadunek. Cała czwórka.

Włączyłem radio bentleya - wielki chromowany model. Angielskie, sprzed dwudziestu lat, ale działało. Znalazłem porządną stację i zasłuchałem się w muzykę, próbując nie zasnąć.

- Niewiarygodne - westchnął Finlay. - Skąd, do diabła, coś takiego wzięło się w Margrave?

- Jak to się zaczęło? Zaczęło się od Eisenhowera. To jego wina.

- Eisenhowera? - mruknął. - Co on ma z tym wspólnego?

- Zbudował autostrady międzystanowe. Zabił Margrave. Dawno temu stara lokalna droga była jedyną. Wszyscy i wszystko musiało przejeżdżać przez Margrave. W mieście pełno było hoteli i barów, przyjezdni zostawiali w nich pieniądze. A potem zbudowano autostrady, bilety lotnicze potaniały i nagle miasteczko umarło. Stało się jedynie kropką na mapie, ponieważ autostrada mijała je o dwadzieścia dwa kilometry.

- Zatem to wina autostrady?

- To wina burmistrza Teale'a - podkreśliłem. - Miasto sprzedało ziemię pod magazyny, by zarobić trochę grosza. Stary Teale podpisał umowę. Zabrakło mu jednak odwagi, by powiedzieć nie, gdy nowe pieniądze okazały się brudne. Kliner szykował się do rozpoczęcia działania, a stary Teale wskoczył mu prosto do łóżka.

- To polityk - zauważył Finlay. - Oni nigdy nie odmawiają, jeśli chodzi o pieniądze. A Teale odbudował za nie całe miasto.

- Utopił w nich całe miasto - poprawiłem. - To jedno wielkie bagno i wszyscy tkwią w nim po uszy, od burmistrza po faceta, który czyści korę ozdobnych wiśni.

Znów umilkliśmy. Pomajstrowałem przy radiu i usłyszałem Alberta Kinga śpiewającego, że gdyby nie pech, w ogóle nie zaznałby szczęścia.

- Ale czemu akurat Margrave? - chciał wiedzieć Finlay. Stary Albert mówił, że pech i kłopoty to jego jedyni przyjaciele.

- Kwestia geografii i sposobności - wyjaśniłem. - To odpowiednie miejsce. Krzyżują się tu szlaki. Prosta droga prowadzi do portów na Florydzie. To spokojne miasteczko, a kierujący nim ludzie okazali się chciwymi łajdakami, którzy zrobią wszystko, co im się każe.

Finlay umilkł. Myślał o rzece banknotów płynących na południe i wschód, jak woda w rynsztoku po burzy, miniaturowa powódź. Niewielka grupka ludzi w Margrave otwierała kanały. Wystarczył najdrobniejszy błąd, by dziesiątki tysięcy dolarów zatkały koryto. Zupełnie jak w ściekach. Dość pieniędzy, by utopić całe miasto. Zabębnił długimi palcami o kierownicę. Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu.

\* \* \*

Zaparkowaliśmy jak najbliżej drzwi posterunku. Samochód odbijał się w szklanych drzwiach - stary, czarny bentley, sam wart ze sto patyków. Kolejne sto tkwiło w bagażniku. Najdroższy pojazd w stanie Georgia. Otworzyłem bagażnik, położyłem kurtkę na pudle. Zaczekałem na Finlaya i razem ruszyliśmy do drzwi.

Na posterunku nie dostrzegłem nikogo, poza sierżantem za biurkiem. Pozdrowił nas skinieniem głowy. Ominęliśmy recepcję, przecięliśmy pustą salę i weszliśmy do gabinetu z boazerią, zamykając za sobą drzwi. Finlay sprawiał wrażenie niespokojnego.

- Chcę wiedzieć, kim jest numer dziesięć - oznajmił. - To może być każdy, na przykład sierżant. W końcu tkwiło w tym czterech innych policjantów.

- To nie on - odparłem. - On nigdy nic nie robi, jedynie parkuje tłusty tyłek na stołku. Możliwe jednak, że to Stevenson. Sporo go łączyło z Hubble'em.

Finlay pokręcił głową.

- Nie - rzekł. - Kiedy Teale przejął wszystko, ściągnął go ze służby, chciał go mieć tu, na oku. Zatem to nie Stevenson. W sumie to mógłby być każdy. Na przykład Eno, ten z baru. Czasem szybko wpada w gniew.

Spojrzałem na niego.

- Ty też szybko wpadasz w gniew, Finlay - przypomniałem mu. - Niecierpliwość nie czyni z człowieka przestępcy.

Wzruszył ramionami, ignorując przytyk.

- Co więc robimy? - spytał.

- Czekamy na Roscoe i Picarda, a potem zobaczymy. Usiadłem na skraju wielkiego biurka, kiwając nogą. Finlay przechadzał się tam i z powrotem po kosztownej wykładzinie. Czekaliśmy tak około dwudziestu minut. A potem drzwi się otworzyły i stanął w nich Picard. Był tak wielki, że wypełniał cały otwór. Ujrzałem, że Finlay patrzy na niego, jakby coś było nie tak. Podążyłem za jego wzrokiem.

Coś istotnie było nie tak. Nawet dwie rzeczy. Po pierwsze, Picard nie miał ze sobą Roscoe. Po drugie, w olbrzymiej dłoni trzymał rządową trzydziestkę ósemkę. Trzymał ją nieruchomo i celował wprost w Finlaya.

Ty? - sapnął Finlay. Picard uśmiechnął się zimno.

- Nikt inny - odparł. - Wiercie mi, cała przyjemność po mojej stronie. Byliście obaj bardzo przydatni, bardzo wygodni, cały czas informowaliście mnie o wszystkim. Daliście mi Hubble'ów i funkcjonariusz Roscoe. Nie mógłbym marzyć o niczym więcej.

Finlaya zamurowało. Cały się trząsał.

- Ty? - powtórzył.

- Powinieneś odgadnąć już w środę, dupku - odparł Picard. - Wysłałem swojego faceta do hotelu Joego dwie godziny przed naszą rozmową. Zawiodłeś mnie. Myślałem, że znacznie wcześniej odegramy tę scenę.

Spojrzał na nas i uśmiechnął się. Finlay odwrócił głowę, popatrzył na mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. W ogóle nie myślałem. Patrzyłem tylko na olbrzymie cielsko Picarda. Nagle ogarnęło mnie przeczucie, że będzie to ostatni dzień mojego życia. Dziś wszystko się skończy.

- Podejdz tutaj - polecił Picard. - Stań obok Finlaya. Postąpił dwa olbrzymie kroki w głąb gabinetu i wycelował wprost we mnie. Zauważyłem odruchowo, że ma w ręku nową trzydziestkę ósemkę z krótką lufą. Z tak bliska to celna broń, ale nie można na niej polegać. A nas było dwóch. Finlay pod tweedową marynarką miał pistolet. Przez ułamek sekundy rozważałem nasze szanse. Potem porzuciłem obliczenia, ponieważ zza pleców Picarda wyłonił się burmistrz Teale. W lewej ręce trzymał ciężką laskę, w prawej policyjną strzelbę, Ithaca Mag-10. Nieważne, gdzie celował.

- Podejdz tam - powtórzył Picard.

- Gdzie jest Roscoe? - spytałem.

Roześmiał się tylko. Z uśmiechem skinał pistoletem, wskazując miejsce obok Finlaya. Dźwignąłem się z biurka i przeszedłem kilka kroków. Czułem się, jakbym miał nogi z ołowiu. Zaciskałem wargi i poruszałem się z ponurą determinacją kaleki próbującego chodzić.

Stałem, gdzie chcieli. Teale wycelował w nas olbrzymią strzelbę. Picard wsunął dłoń pod marynarkę Finlaya, wyjął z kabury rewolwer i wsunął do kieszeni własnej olbrzymiej marynarki, która otworzyła się pod ciężarem niczym namiot. Przeszedł na bok i obszukał mnie. Nie miałem broni. Moja kurtka leżała w bagażniku bentleya. Następnie cofnął się i zatrzymał obok Teale'a. Finlay patrzył na Picarda, jakby właśnie pękło mu serce.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał. - Przecież tak długo się znamy.

Picard jedynie wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, żebyś trzymał się z daleka - rzekł. - W marcu próbowałem cię powstrzymać przed przyjazdem. Ostrzegałem cię, pamiętasz? Ale ty nie chciałeś słuchać, uparty ośle. Dostaniesz więc to, na co zasłużyłeś.

Słuchałem przeciągłych zdań Picarda i bardziej żałowałem Finlaya niż siebie. Potem jednak w drzwiach stanął Kliner. Jego twarda jak kość twarz wykrzywiała się w szerokim uśmiechu. Drapieżne zęby błyszcząły, oczy wbijał wprost we mnie. W lewej ręce trzymał kolejną strzelbę, w prawej pistolet, z którego zginął Joe. Celował wprost we mnie.

To był Ruger Mark II - mały wredny automat z dużym tłumikiem. Broń dla zabójcy, który lubi mordować z bliska. Patrzyłem na niego. Dziewięć dni temu koniec tłumika dotknął skroni mojego brata. Nie miałem co do tego wątpliwości. Czułem to.

Picard i Teale okrążyli biurko. Teale usiadł w fotelu, Picard stanął bez ruchu tuż za nim. Kliner gestem polecił Finlayowi i mnie, żebyśmy usiedli. Posługiwał się strzelbą niczym dyrygent batutą: krótkie, urywane gesty, wskazujące nam drogę. Usiedliśmy obok siebie przed wielkim biurkiem z drewna różanego. Patrzyliśmy wprost na Teale'a. Kliner zamknął drzwi gabinetu i oparł się o nie. Jedną ręką trzymał strzelbę, wspierając ją o biodro. Celował w bok mojej głowy. Dwudziestka dwójka z tłumikiem opadła ku podłodze.

Po kolei przyglądałem się uważnie każdemu z nich. Na pomarszczonej, zasuszonej twarzy Teale'a dostrzegłem wszelkie możliwe odcienie nienawiści. Był wstrząśnięty, wyglądał niczym desperat na krawędzi paniki, bliski załamania. Wydawał się o dwadzieścia lat starszy niż oślizgły polityk, którego poznałem w poniedziałek. Picard wyglądał lepiej. Miał w sobie spokój wielkiego sportowca, gwiazdy futbolowej, mistrza olimpijskiego, który odwiedza właśnie swoje stare liceum. Lecz skóra wokół oczu naciągnęła się, kciukiem stukał w udo. W nim także kryło się napięcie.

Zerknąłem w bok na Klinera. Przyglądałem mu się przez chwilę, ale niczego nie dostrzegłem. Twardy, wysuszony chudzielec. Nawet nie drgnął, stał bez ruchu jak kamień. Jego twarz i ciało niczego nie zdradzały. Przypominał figurę wyrzeźbioną z drzewa tekowego. Lecz w jego oczach płonęło okrucieństwo. Patrzyły złośliwie, triumfalnie z martwej, kamiennej twarzy.

Teale wysunął szufladę biurka. Wyciągnął magnetofon kasetowy, z którego wcześniej korzystał Finlay. Wręczył go Picardowi. Picard odłożył rewolwer na biurko i zaczął majstrować przy sztywnych kablach. Włączył zasilanie, nie zwracając sobie głowy mikrofonem. Nie zamierzali niczego nagrywać, tylko coś nam odtworzyć. Teale pochylił się naprzód, nacisnął kciukiem przycisk interkomu. W ciszy usłyszałem dobiegający z zewnątrz dzwonek.

- Baker - rzucił Teale. - Przyjdź tu, proszę.

Kliner odsunął się od drzwi. Do środka wszedł Baker. Był w mundurze, w kaburze tkwiła trzydziestka ósemka. Spojrzał na mnie, nie uśmiechał się. W ręce trzymał dwie kasety. Teale odebrał mu je, wybrał drugą.

- To taśma - oznajmił. - Wysłuchajcie jej, z pewnością was zainteresuje.

Wsunął kasetę w kieszeń i zatrzasnął. Nacisnął odtwarzanie. Silniczek magnetofonu zaszumiał. Z głośnika dobiegł syk. Usłyszałem głuche echo, a potem głos Roscoe. Dźwięczała w nim panika, przepelniająca cichy gabinet.

- Reacher - powiedział głos Roscoe. - To wiadomość dla ciebie. Okay? Mam ci przekazać, że lepiej rób, co ci każą, albo czekają mnie kłopoty. I że gdybyś miał wątpliwości, jakie to kłopoty, wróć do kostnicy i przejrzyj raport z sekcji pani Morrison. Takie właśnie kłopoty mnie czekają. Pomóż mi, dobrze? Koniec wiadomości, Reacher.

Jej głos rozplynął się w szumie. Usłyszałem słaby jęk bólu, jakby brutalnie odciągnięto ją od mikrofonu. A potem Teale wyłączył magnetofon. Spojrzałem na niego. Przeszły mnie dreszcze. Nie czułem się już jak człowiek.

Picard i Baker obserwowali mnie. Uśmiechali się z satysfakcją, jakby dostali wygrywającego asa. Teale otworzył kieszeń magnetofonu, wyjął kasetę, odłożył ją na bok. Uniósł drugą, demonstrując mi ją, po czym wsunął do magnetofonu. Zatrzasnął kieszeń i nacisnął przycisk odtwarzania.

- Jeszcze jedna - rzekł. - Słuchaj.

Usłyszeliśmy ten sam syk, ten sam głuchy pogłos, a potem głos Charlie Hubble. Dźwięczała w nim histeria, tak jak wtedy, w poniedziałkowy ranek, gdy Charlie stała na podjeździe przed swoim domem.

- Hub - mówiła. - Tu Charlie, są ze mną dzieci. Nie jesteśmy w domu. Rozumiesz, co to znaczy? Mam ci przekazać wiadomość. Jeśli nie wrócisz, zrobią coś z dziećmi. Mówią, że wiesz, jakie coś. To samo, co miało spotkać ciebie i mnie, ale zamiast tego zrobią to dzieciom. Więc musisz natychmiast wrócić. Okay?

Głos wzniósł się w panice i umilkł wśród syków. Teale dźgnął palcem stop. Wyjął kasetę, położył starannie na skraju biurka, tuż przede mną. A potem w moim polu widzenia znalazł się Kliner.

- Weźmiesz to ze sobą - oznajmił. - Zabierzesz to w miejsce, gdzie ukryłeś Hubble'a i odtworzysz mu.

Spojrzeliliśmy po sobie z Finlayem. Patrzyliśmy bez słowa, zdumieni. Nagle otrząsnąłem się i zwróciłem wzrok na Klinera.

- Przecież już zabiliście Hubble'a. Klinier zawahał się przez sekundę.

- Nie próbuj tych bzdur - powiedział. - Mieliśmy taki zamiar, ale sprzątnąłeś go nam sprzed nosa. Gdzieś go ukrywasz. Charlie nam powiedziała.

- Charlie wam powiedziała?

- Spytaliśmy ją, gdzie jest Hubble. Dała słowo, że zdołasz go znaleźć. Bardzo się upierała. Trzymaliśmy wtedy nóż pomiędzy nogami jej córki, toteż ogromnie jej zależało, by nas przekonać, że zdołałbyś dotrzeć do jej męża. Powiedziała, iż udzielałaś mu rad i wsparcia, że mu pomagałaś i że potrafisz go znaleźć. Dla dobra wszystkich zainteresowanych mam nadzieję, że nie kłamała.

- Zabiliście go - powtórzyłem. - Nic więcej nie wiem. Klinier skinął głową. Westchnął, zniżył głos.

- Skończmy z tym pieprzeniem. Ukrywasz go, a my go potrzebujemy. Musi tu jak najszybciej wrócić. To dla nas bardzo ważna sprawa. Kwestia interesów. Mamy zatem kilka możliwości. Moglibyśmy wyciągnąć to z ciebie siłą. Dyskutowaliśmy o tym. To problem taktyczny, zgadza się? Uznaliśmy jednak, że mógłbyś posłać nas w niewłaściwe miejsce, a nie mamy zbyt wiele czasu. Mógłbyś pomyśleć, że to najlepsze rozwiązanie. Prawda?

Przez chwilę czekał na jakiś komentarz z mojej strony. Nic nie usłyszał.

- Zrobimy zatem tak - oznajmił. - Picard pojedzie po niego z tobą. Gdy dotrzecie na miejsce, Picard zadzwoni do mnie na komórkę. Zna numer. Potem wróćcie tu we trzech. Okay?

Nie odpowiedziałem.

- Gdzie on jest? - spytał nagle Klinier.

Zacząłem coś mówić. On jednak uniósł rękę i powstrzymał mnie.

- Jak już mówiłem, skończmy z tym pieprzeniem. Na przykład w tej chwili siedzisz tu i wysilasz mózgownicę. Bez wątpienia zastanawiasz się, czy zdołałbyś w jakiś sposób załatwić Picarda. Ale to ci się nie uda.

Wzruszyłem ramionami. Milczałem.

- Są dwa powody - oznajmił Klinier. - Po pierwsze, wątpię, byś zdołał załatwić Picarda. Wątpię, by ktokolwiek mógł to zrobić. Jak dotąd nikomu się nie udało. A po drugie, nie zapisuję mojego numeru telefonu. Tkwi wyłącznie w głowie Picarda.

Ponownie wzruszyłem ramionami. Klinier nie był głupi. Najgorszy typ.

- Dodajmy do tego parę czynników - ciągnął. - Nie wiemy dokładnie, jak daleko stąd przebywa Hubble, a ty z pewnością nie powiesz nam prawdy. Posłuchaj zatem, co zrobimy. Wyznamy ci limit czasowy.

Umilkł. Podszedł do miejsca, gdzie siedział Finlay. Podniósł dwudziestkę dwójkę i wsunął czubek tłumika w jego ucho. Pchnął tak, że policjant przechylił się w fotelu.

- Pan detektyw trafi do celi - powiedział Kliner. - Zostanie przykuty do kraty. Jeśli Picard nie zadzwoni do jutra, godzinę przed świtem, wyceluję strzelbę w głąb celi i rozwalę detektywa. Potem każę uroczej funkcjonariusz Roscoe zmyć gąbką jego flaki ze ściany. Następnie dam ci jeszcze godzinę. Jeśli Picard nie zadzwoni do wschodu słońca, zajmę się urocą funkcjonariusz Roscoe. Czeka ją straszny ból, Reacher, ale najpierw mnóstwo zabaw seksualnych. Naprawdę mnóstwo, masz na to moje słowo, Reacher. To nie będzie piękne, oj nie. Spędziliśmy dziś z burmistrzem Teale'em urocą godzinę, omawiając to, co z nią zrobimy.

Kliner niemal zupełnie zepchnął Finlaya z krzesła, napierając na niego bronią. Policjant zaciskał wargi, Kliner uśmiechał się do mnie złośliwie. Odpowiedziałem uśmiechem. Był trupem, równie martwym jak człowiek, który wyskoczył z okna wieżowca. Jeszcze nie uderzył o ziemię, ale już skoczył.

- Zrozumiałeś? - powiedział do mnie. - Powiedzmy, szósta rano, by ocalić życie pana Finlaya, siódma, by ocalić życie panny Roscoe. I nie próbuj niczego z Picardem. Nikt inny nie zna mojego numeru.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Zrozumiałeś? - powtórzył.

- Chyba tak - odparłem. - Hubble uciekł, a wy nie wiecie, jak go znaleźć. To chcesz mi powiedzieć?

Nikt się nie odezwał.

- Nie możesz sam go znaleźć? Do niczego się nie nadajesz, Kliner. Jesteś bezużytecznym śmieciem. Uważasz się za spryciarza, ale nie potrafisz znaleźć Hubble'a. Nie znalazłbyś własnej dupy, nawet gdybym dał ci lusterko na patyku.

Słyszałem, że Finlay wstrzymuje oddech. Sądził, iż igram z jego życiem, ale stary Kliner dał mu spokój.

Ponownie stanął przede mną, pobladł, czułem jego zdenerwowanie. Zaczynałem przywykać do myśli, że Hubble wciąż żyje. Przez tydzień był martwy, teraz zmartwychwstał. Żył i ukrywał się gdzieś. Robił to cały tydzień, a oni go szukali. Uciekał. Nie wywleczono go z domu w poniedziałkowy ranek. Sam wyszedł. Dostał telefon z poleceniem, by czekał, wyczuł pismo nosem i rzucił się do ucieczki. A oni nie mogli go znaleźć. Paul Hubble zapewnił mi drobną przewagę, której potrzebowałem.



- Co takiego ma Hubble, że tak wam na nim zależy? Teraz to Kliner wzruszył ramionami.

- Tylko on może nam zagrozić, wszystko inne już załatwiłem. A nie zamierzam zamykać interesu tylko dlatego że jakiś dupek typu Hubble'a gania po świecie, kłapiąc jadaczką. Potrzebuję go tu, gdzie jego miejsce. A ty mi go przywieziesz.

Pochyliłem się naprzód i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Nie mógłby go przywieźć twój syn? - spytałem cicho. Nikt nic nie mówił. Nachyliłem się jeszcze dalej.

- Powiedz młodemu, żeby go zgarnął. Kliner milczał.

- Gdzie jest twój syn, Kliner? - zapytałem. Nie odpowiedział.

- Co się z nim stało? - naciskałem. - Wiesz?

Wiedział, ale jednocześnie nie był pewien. Wyraźnie to widziałem. Nie zaakceptował prawdy, nie przyjął jej do wiadomości. Wysłał po mnie swojego chłopaka, a ten nie wrócił. Toteż Kliner wiedział, ale nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą. Jego twarda twarz jakby oklapła. Chciał znać prawdę, ale nie mógł mnie spytać. Pragnął mnie nienawidzić za to, że zabiłem jego syna. Ale na to też nie mógł sobie pozwolić, bo gdyby to uczynił, przyznałby, iż to prawda.

Patrzyłem na niego. Tak bardzo chciał podnieść wielką strzelbę i zamienić mnie w obłok krwawej mgiełki. Ale nie mógł, bo mnie potrzebował. Musiał odzyskać Hubble'a. Wewnątrz aż kipiał z wściekłości, marzył, by mnie zastrzelić, lecz czterdzieści ton pieniędzy znaczyło dla niego więcej niż życie jedynaka.

Patrzyłem wprost w jego martwe oczy. Nie mrugałem. Odezwałem się cicho.

- Gdzie jest twój syn, Kliner?

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza.

- Zabierzcie go stąd - rzucił Kliner. - Jeśli za minutę jeszcze tu będziesz, Reacher, od razu załatwię detektywa.

Wstałem, powiodłem po nich wzrokiem. Skinieniem głowy pozdrowiłem Finlaya i ruszyłem do wyjścia. Picard podążył za mną, cicho zamykając drzwi.

## 30

Wraz z Picardem przeszliśmy przez salę główną. Była zupełnie pusta, cicha. Sierżant z recepcji zniknął, pewnie Teale gdzieś go wysłał. Ekspres do kawy wciąż był włączony. Czuję jej zapach. Widziałem biurko Roscoe, wielką tablicę ogłoszeń. Śledztwo w sprawie Morrisona. Pusta, brak postępów. Okrążyłem ladę przy wyjściu, pchnąłem ciężkie szklane

drzwi osadzone na sztywnych gumowych uszczelkach i wyszedłem na skąpany w jasnym popołudniowym słońcu parking.

Picard machnął rewolwerem, wskazując bentleya i miejsce za kierownicą. Nie protestowałem, po prostu ruszyłem do samochodu. Byłem bliższy paniki niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Serce waliło mi jak młot, z trudem chwytałem powietrze. Stawiałem jedną stopę przed drugą, z całych sił próbując się opanować. Powtarzałem sobie, że gdy siądę za kierownicą, powinienem już mieć jakiś plan działania. Wiedzieć, co robić dalej.

Wsiadłem do bentleya i podjechałem do baru Ena. W kieszeni na oparciu znalazłem mapę. Przeszedłem przez zalany słońcem parking, wmaszerowałem do baru, siadłem za pustym stolikiem, zamówiłem kawę i jajka.

W duchu wrzeszczałem na siebie: „Słuchaj tego, czego uczono cię przez trzynaście lat! Im mniej czasu, tym większy spokój należy zachować. Jeśli masz tylko jedną szansę, lepiej ją wykorzystaj. Nie stać cię na błąd tylko dlatego że coś schrzanieś na etapie planowania. Albo poziom cukru we krwi spadł ci tak bardzo, że zrobiło ci się niedobrze”. Zmusiłem się zatem do zjedzenia jajek i wypicia kawy. Potem odepchnąłem na bok pusty kubek i talerz, i rozłożyłem na stole mapę. Zacząłem szukać Hubble’a. Mógł być wszędzie, ale ja musiałem go znaleźć. Miałem tylko jedną szansę, nie mogłem uganiać się od miasta do miasta. Musiałem znaleźć go w mojej głowie poprzez proces myślowy. Najpierw odnaleźć go w myślach, a potem ruszyć wprost na miejsce. Pochyliłem się zatem nad stolikiem Ena, patrząc na mapę, i przyglądałem się jej bardzo długo.

\* \* \*

Niemal godzinę ślęczałem nad mapą. Potem złożyłem ją i odsunąłem na bok. Zabrałem nóż i widelec z talerza i wsunąłem ukradkiem do kieszeni spodni. Rozejrzałem się. Natychmiast zjawiała się kelnerka, ta w okularach.

- Planujesz podróż, złotko? - spytała.

Spojrzałem na nią. W jej okularach dostrzegłem swoje odbicie, widziałem też potężne cielsko Picarda przycupniętego przy następnym stole. Czułem, jak jego dłoń zaciska się na trzydziestce ósemce. Skinąłem głową.

- Właśnie - przytaknąłem. - Prawdziwą podróż, wyprawę mojego życia.

Wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Uważaj na siebie, dobrze?

Wstałem, zostawiając na stoliku jedną z setek Charlie. Może była prawdziwa, może nie, ale i tak da się wydać, a chciałem zostawić duży napiwek. Eno dostawał co tydzień

brudny tysiąc dolarów, nie wiedziałem jednak, czy przekazuje część pracownikom. Sądząc z jego zachowania, zapewne nie.

- Do zobaczenia wkrótce, proszę pana - powiedziała kelnerka w okularach.

- Może - odparłem.

Picard wypchnął mnie za drzwi. Była czwarta. Szybkim krokiem ruszyłem do bentleya, on postępował za mną, trzymając rękę w kieszeni. Zająłem miejsce, przekreśliłem kluczyk, wyjechałem z parkingu i skierowałem się na północ starą lokalną drogą. W ciągu dwunastu minut pokonałem dwadzieścia dwa kilometry.

Picard kazał mi wsiąść do bentleya, nie do swojego samochodu. Musiał mieć jakiś powód, coś ważniejszego niż swoboda, jaką daje większa przestrzeń. Bentley wyróżniał się wśród innych pojazdów, co oznaczało, iż zapewnili sobie dodatkowe ubezpieczenie. Zerknąłem w lusterko i natychmiast dostrzegłem zwykły, przeciętny wóz, trzymający się około stu metrów za mną. W środku siedziało dwóch facetów. Wzruszyłem ramionami. Zwolniłem i zerknąłem w lewo na mijane właśnie magazyny. Wjechałem na rozjazd i na autostradę. Dodałem gazu. Najważniejszy był teraz czas.

Droga okrążyła południowo-wschodni kraniec aglomeracji Atlanty. Pokonywałem kolejne skrzyżowania, kierując się na wschód 1-20. Jechałem naprzód, zostawiając za sobą kolejne kilometry. Dwaj mężczyźni cały czas trzymali się sto metrów za nami.

- No to gdzie on jest? - spytał Picard.

Odezwał się po raz pierwszy od chwili opuszczenia posterunku. Zerknąłem na niego i wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Mogę jedynie znaleźć jego przyjaciela w Auguście.

- Co to za przyjaciel?

- Gość nazwiskiem Lennon.

- W Auguście?

- W Auguście - potwierdziłem. - Tam właśnie jedziemy. Picard mruknął coś cicho.

Jechaliśmy dalej, tamci dwaj za nami.

- Co to za facet w Auguście? - zagadnął Picard. - Lennon?

- Przyjaciel Hubble'a, jak już mówiłem.

- Hubble nie ma przyjaciela w Auguście - oświadczył. - Myślisz, że tego nie sprawdziliśmy?

Wzruszyłem ramionami. Nie odpowiedziałem.

- Lepiej nie kombinuj, kolego - poradził Picard. - Klinerowi by się to nie spodobało. Odbiłby to sobie na kobiecie. A potrafi być okrutny, wierz mi. Widziałem go w działaniu.

- Na przykład kiedy? - spytałem.

- Wiele razy - odparł. - Na przykład w środę na lotnisku. Ta kobieta, Molly Beth, krzyczała. Lubi, jak krzyczą. Albo w niedzielę, u Morrisonów.

- Kliner był tam w niedzielę?

- O tak, był zachwycony. On i jego cholerny synalek. Przysłużyłeś się światu, załatwiając tego smarkacza. Trzeba go było widzieć w niedzielę. Daliśmy gliniarzom dzień wolny. Uznaliśmy, że to niestosowne, by załatwiali własnego szefa. Klinerowie ich zastąpili. Stary napawał się każdą chwilą. Okrutny z niego gość, jak już mówiłem. Lepiej zadzwoń na czas albo twoja przyjaciółka pożałuje, że w ogóle się urodziła.

Chwilę milczałem. Widziałem w niedzielę młodego Klinera. Odebrał swoją macochę z kawiarni około wpół do jedenastej. Patrzył na mnie. Wracał właśnie po poćwiartowaniu Morrisonów.

- To stary Kliner zastrzelił mojego brata?

- W czwartek w nocy? - spytał Picard. - Jasne. To jego broń, dwudziestka dwójka z tłumikiem.

- A potem młody go skopał? Picard wzruszył ramionami.

- Smarkacz wpadł w szal. Miał nie po kolei w głowie.

- A Morrison miał wszystko posprzątać?

- Właśnie, miał - warknął Picard. - Dupek miał spalić trupy w samochodzie, ale nie znalazł zwłok Stollera. Więc zostawił tam obu.

- A Kliner zabił w Luizjanie ośmiu ludzi? Picard roześmiał się.

- Ośmiu, o których wiesz. Ten palant Spirentza przez rok siedział mu na głowie. Szukał zapłat dla zabójcy, ale nie było żadnego zabójcy, Kliner załatwił to osobiście. To jego hobby.

- Znałeś wtedy Klinera?

- Zawsze znałem Klinera - powiedział. - Prosiłem, by przydzielono mnie Spirentzie jako łącznika z Biurem. Wszystkiego pilnowałem.

Kilka kilometrów jechaliśmy w milczeniu. Dwaj faceci trwali na posterunku sto metrów za Bentleyem. A potem Picard spojrział na mnie.

- Ten, jak mu tam, Lennon, to chyba nie kolejny maruda z Departamentu Skarbu pracujący dla twojego brata?

- To przyjaciel Hubble'a - odparłem.

- Tak, akurat. Sprawdziliśmy, on nie ma żadnych przyjaciół w Auguście. W ogóle nie ma przyjaciół. Sądził, że to Kliner jest jego przyjacielem. Dał mu przecież pracę i tak dalej.

Picard zachichotał. Jego spoczywające w skórzanym fotelu cielsko trzęsło się z rozbawienia.

- Tak jak Finlay sądził, że ty jesteś jego przyjacielem? - wtrąciłem.

Wzruszył ramionami.

- Próbowałem trzymać go od tego z daleka. Próbowałem go ostrzec. Co miałem zrobić? Dać się za niego zabić?

Nie odpowiedziałem. Jechaliśmy w ciszy. Tamten wóz nie oddalał się ani na moment.

- Potrzebujemy benzyny - oznajmiłem.

Picard wyciągnął szyję i zerknął na wskaźnik. Zbliżał się do czerwonego pola.

- Zjedź na następną stację - polecił.

W pobliżu Madison dostrzegłem znak stacji. Skręciłem i podjechałem do dystrybutorów. Wybrałem najdalszy możliwy i zatrzymałem się.

- Zrobisz to dla mnie? - spytałem Picarda. Spojrzał na mnie zdumiony.

- Nie - rzekł. - Za kogo, do diabła, mnie bierzesz? Za cholernego benzyniarza? Sam to załatw.

Na to właśnie liczyłem. Wsiadłem z wozu. Picard zrobił to samo. Tamten samochód także się zatrzymał. Obaj mężczyźni wysiedli. Obejrzałem ich uważnie. Ci sami, którym uciekłem w Nowym Jorku na zatłoczonym chodniku przed uczelnią Kelsteina. Niższy miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze khaki. Pozdrowiłem ich przyjaznym skinieniem głowy. Pozostała im niecała godzina życia. Podeszli do Picarda i zaczęli rozmawiać. Ja tymczasem zdjąłem końcówkę i wsunąłem ją do wlewu Bentleya.

Stary samochód miał duży bak, ponad dwadzieścia galonów. Wcisnąłem palec pod spust tak, by benzyna płynęła wolniej. Trzymałem go, nonszalancko opierając się o samochód. Wąska strużka spływała do środka. Zastanawiałem się, czy nie powinienem zacząć gwizdać. Picard i Latynosi wkrótce stracili zainteresowanie. Zaczął wiać wietrzyk, wyraźnie poczuli pierwszy wieczorny chłód.

Wyjąłem z kieszeni sztucę Ena i przycisnąłem czubek noża do opony tuż obok prawego kolana. Z miejsca, w którym stał Picard, wyglądało to tak, jakbym podrapał się w nogę. Potem wziąłem widelec, wygiąłem na zewnątrz jeden z ząbków. Wcisnąłem go w rozcięcie i złamałem, pozostawiając wbity w oponę centymetr metalu. Skończyłem nalewać benzynę, odwiesiłem wąż na dystrybutor.

- Zapłacisz? - zawołałem do Picarda.

Spojrzał na mnie, wzruszył ramionami. Z grubego zwitka banknotów wybrał jeden, podał facetowi w płaszczu.

- Zaczekaj - rozkazał Picard.

Odczekałem, dopóki drugi wóz nie włączył silnika i dwa razy nie błysnął reflektorami. Potem ruszyłem naprzód i przyspieszając, wróciłem na autostradę, utrzymywałem tę samą prędkość co przedtem. Jechaliśmy przed siebie. Wkrótce zaczęły pojawiać się tablice. Augusta 110 kilometrów. Augusta 90 kilometrów. Augusta 60 kilometrów. Stary Bentley parł naprzód, jego silnik mruczał cicho. Tamci dwaj podążali za nami. W lusterku dostrzegłem czerwoną lunę zachodzącego słońca. Horyzont przed nami był czarny, nad Atlantykiem zapadła już noc. Jechaliśmy dalej.

Jakieś trzydzieści kilometrów od Augusty z tylnej opony uszło powietrze. Minęło wpół do ósmej, robiło się ciemno. Obaj poczuliśmy wstrząs. Samochód zaczął skręcać.

- Cholera - warknąłem. - Złapaliśmy gumę.

- Zjedź na bok - rzucił Picard.

Zwolniłem i zatrzymałem się na poboczu. Podjechał do nas drugi samochód. Wszyscy wysiedliśmy. Wietrzyk przerodził się w zimny wiatr ze wschodu. Zadrzałem, otworzyłem bagażnik. Wziąłem kurtkę i otuliłem się mocno, jak człowiek, który chce się ogrzać.

- Zapasowe koło jest pod podłogą bagażnika - poinformowałem Picarda. - Pomożesz mi wyjąć pudło?

Picard podszedł bliżej i spojrzał na pełen banknotów dolarowych karton.

- Spaliliśmy nie ten dom - zauważył i roześmiał się. Razem dźwignęliśmy pudło i postawiliśmy obok na poboczu.

Potem Picard wyjął spluwę i zademonstrował mi ją. Jego marynarka powiewała na wietrze.

- Tamci niech zmienią koło - powiedział. - Ty stój spokojnie obok pudła.

Gestem wezwał dwóch Latynosów i kazał im zabrać się do pracy. Znaleźli lewarek i odpowiedni klucz. Podnieśli samochód, zdjęli koło. Potem ustawili zapasowe i starannie je przykręcili. Cały czas stałem obok kartonu pełnego pieniędzy, drżąc na zimnym wietrze, ciasno owijając się kurtką. Wsuwałem ręce do kieszeni i przestępowałem z nogi na nogę, próbując sprawiać wrażenie faceta, który marznie, stojąc beczynnym w miejscu.

Odczekałem do chwili, aż Picard podszedł do nich, by sprawdzić, czy dobrze przykręcili śruby. Całym ciężarem naparł na dźwignię. Usłyszałem zgrzyt metalu. W ręku miałem nóż Morrisona, otwarty. Chlasnąłem jeden bok pudła, potem w poprzek pokrywy i

drugi bok. Nim Picard zdołał unieść broń, karton rozpadł się niczym otwarty kufer. Wiatr porwał sto tysięcy dolarowych banknotów i rozrzucił je po autostradzie. Wyglądało to jak śnieżycyca.

Zanurkowałem za betonowy murek na skraju pobocza, sturlałem się niżej. Wyciągnąłem desert eagle'a, strzeliłem do mężczyzny w płaszczu, który rzucił się za mną, ale chybiłem, jedynie rozwalilem mu nogę. Za jego plecami ujrzałem ciężarówkę z szybą pokrytą banknotami. Zjechała z autostrady i rąbnęła prosto w stojący za bentleyem wóz. Picard walczył z nawałnicą banknotów i zbliżał się do murku. Słyszałem pisk opon. Inne samochody hamowały i skręcały, by uniknąć zderzenia. Przeturlałem się na bok, wycelowałem i zastrzeliłem drugiego Latynosa. Trafiłem go w pierś, runął obok mnie. Gość w płaszczu zwijał się na górze, wrzeszcząc i ściskając ręką strzaskaną nogę, drugą próbował wyjąć z kieszeni niewielki automat, którym groził mi w Nowym Jorku. Wystrzeliłem po raz trzeci, trafiając go w głowę. Widziałem, jak Picard celuje we mnie z trzydziestki ósemki. Wiatr cały czas zawodził, samochody zatrzymywały się na autostradzie. Kierowcy wypadali na drogę i podskakiwali, by schwytać jak najwięcej tańczących w powietrzu pieniędzy. Zapanował chaos.

- Nie zabijaj mnie, Picard! - wrzasnąłem. - Jeśli mnie załatwisz, nie znajdziesz Hubble'a.

Wiedział o tym. Wiedział też, że jeżeli nie sprowadzi Hubble'a, jest już trupem. Kliner nie tolerował niepowodzeń. Toteż Picard stał bez ruchu, celując mi w głowę z trzydziestki ósemki. Nie wystrzelił. Wbiegłem na górę i okrążyłem samochód, unosząc desert eagle'a, zmusiłem Picarda, by skierował się w stronę drogi.

- Ty też mnie nie zabijaj! - krzyknął. - Tylko jeśli zadzwonię, uratujesz kobietę. To pewne. Lepiej w to uwierz.

- Wiem o tym, Picard - odkrzyknąłem. - I wierzę. Nie zamierzam cię zabijać. A ty mnie?

Pokręcił głową znad trzydziestki ósemki.

- Nie strzelę do ciebie, Reacher - oznajmił.

Wyglądało na to, że utknęliśmy w martwym punkcie. Okrążyliśmy bentleya z palcami na spustach, mówiąc sobie, że nie będziemy do siebie strzelać.

On mówił prawdę, ale ja kłamałem. Odczekałem, póki nie znalazł się przed strzaskaną ciężarówką. Ja stałem obok bentleya. Wtedy nacisnąłem spust. Pocisk kalibru czterdzieści cztery trafił go w pierś i cisnął potężne cielsko do tyłu, wprost w płataninę metalu. Nie czekałem na drugi strzał. Zatrzasnąłem bagażnik, wskoczyłem za kierownicę, włączyłem

silnik i z piskiem opon ruszyłem naprzód. Zjechałem z pobocza, omijając uganających się za banknotami ludzi. Wcisnąłem gaz do dechy i popędziłem na wschód.

Jeszcze trzydzieści kilometrów. Pokonanie ich zajęło mi dwadzieścia minut. Dyszałem i trząsałem się z nadmiaru adrenaliny. Powoli uspokoiłem szalone bicie serca, wciągając w płuca wielkie hausty powietrza. A potem krzyknąłem triumfalnie, wrzeszcząc i śmiejąc się w głos. Picard nie żył.

## 31

Było ciemno, kiedy dotarłem na przedmieścia Augusty. Gdy tylko wokół mnie zaczęły gęstnieć wyższe budynki, zjechałem z autostrady. Zatrzymałem się przy pierwszym napotkanym motelu. Zamknąłem bentleya i wpadłem na recepcję. Podeszedłem do biurka, recepcjonista uniósł wzrok.

- Macie pokój? - spytałem.
- Trzydzieści sześć dolarów - odparł tamten.
- Jest telefon?
- Jasne - odparł. - Klimatyzacja i kablówka.
- Książka telefoniczna? Przytaknął.
- Ma pan plan Augusty?

Kciukiem wskazał stojak obok automatu z papierosami. Piętrzyły się na nim stosy map i broszur reklamowych. Ze zwitka w kieszeni wyjąłem trzydzieści sześć dolców, rzuciłem na biurko. Wpisałem się do księgi jako Roscoe Finlay.

- Pokój numer dwanaście - powiedział tamten. Podsunął mi klucz.

Złapałem jeden z planów i wypadłem na dwór. Pobiegłem do dwunastki. Wszedłem do środka, zamykając za sobą drzwi. Nie rozglądałem się nawet, poszukałem tylko telefonu i książki telefonicznej. Położyłem się na łóżku, rozwijając plan. Otworzyłem książkę na literze H. Hotele.

Imponująca lista. W Auguście były setki miejsc, w których można zatrzymać się na noc. Dosłownie setki, całe strony hoteli. Spojrzałem zatem na plan, skupiłem się na klinie szerokim na kilometr i głębokim na cztery przecznice, okalającym główną trasę z zachodu.

Oto teren, który mnie interesował. Skreśliłem miejsca tuż przy trasie, podkreśliłem oddalone o przecznicę bądź dwie. Wybrałem te w odległości pół kilometra do kilometra. Miałem przed sobą mniej więcej kwadrat, długi na pół kilometra i na tak samo szeroki. Położyłem obok siebie plan i książkę telefoniczną i sporządziłem listę.



Osiemnaście hoteli, w jednym z nich sam się zatrzymałem. Podniosłem zatem słuchawkę i wybrałem zero. Recepcjonista odpowiedział natychmiast.

- Zatrzymał się u was Paul Lennon? - spytałem. Chwila ciszy. Sprawdzał w księdze.

- Lennon? - powtórzył. - Nie, proszę pana.

- W porządku - odparłem. Odłożyłem słuchawkę. Odetchnąłem głęboko i zacząłem od pierwszej pozycji. Wybrałem numer.

- Zatrzymał się u was Paul Lennon? - spytałem. Chwila ciszy.

- Nie, proszę pana - odparł recepcjonista. Ruszyłem w dół listy, wystukując kolejne numery.

- Zatrzymał się u was Paul Lennon? - pytałem każdego.

Zawsze następowała chwila ciszy, gdy recepcjoniści sprawdzali w papierach. Czasami słyszałem szelest kartek, niekiedy używali komputerów i dobiegał mnie stukot klawiszy.

- Nie, proszę pana - odpowiadali wszyscy, jeden po drugim. Leżałem na łóżku z telefonem ustawionym na piersi. Doszedłem do pozycji numer trzynaście z osiemnastu na mojej liście.

- Zatrzymał się u was Paul Lennon? - spytałem. Chwila ciszy, usłyszałem szelest stron.

- Nie, proszę pana - odparł trzynasty recepcjonista.

- W porządku - mruknąłem. Odłożyłem słuchawkę. Po sekundzie podniosłem ją znowu i gwałtownie wybrałem czternasty numer. Zajęte. Nacisnąłem widelki. Wystukałem piętnasty.

- Zatrzymał się u was Paul Lennon? Chwila ciszy.

- Pokój sto dwanaście - oznajmił piętnasty recepcjonista.

- Dziękuję - rzekłem. Odłożyłem słuchawkę.

Chwilę leżałem bez ruchu z zamkniętymi oczami. Oddychałem. Odstawiłem telefon z powrotem na stolik. Sprawdziłem plan. Piętnasty hotel leżał trzy przecznice ode mnie, na północ od głównej trasy. Zostawiłem klucz na łóżku, wróciłem do samochodu. Silnik był jeszcze ciepły. Spędziłem w motelu dwadzieścia pięć minut.

Nim zdołałem skrócić w lewo, musiałem pokonać trzy przecznice na wschód, potem trzy na północ i kolejny skręt. Podążałem trasą przypominającą kanciastą spiralę. W końcu znalazłem piętnasty hotel, zaparkowałem przy drzwiach, wszedłem do holu. Niezbyt ciekawe miejsce, niespecjalnie czyste, słabo oświetlone. Przypominało jaskinię.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał recepcjonista.

- Nie - odparłem.

Kierując się strzałkami, ruszyłem labiryntem korytarzy. Znalazłem pokój 112, zastukałem do drzwi. Usłyszałem brzęk łańcucha. Czekałem. Drzwi uchyliły się lekko.

- Cześć, Reacher - powiedział.

- Cześć, Hubble - odparłem.

\* \* \*

Hubble aż kipiał od pytań, ale ja jedynie zaciągnąłem go do samochodu. Przez cztery godziny jazdy wszystko sobie powiemy. Musieliśmy ruszać. Miałem w zapasie dwie godziny i chciałem, by tak zostało. Wolałem je zachować, mogą się przydać.

Wyglądał nieźle, nie był wrakiem człowieka. Uciekał od sześciu dni i dobrze mu to zrobiło. Pozbawiło go irytującej pewności siebie i japiszońskiej otoczki. Wyglądał twardziej, zdrowiej, mocniej, bardziej w moim typie. Ubrany był w tanie ciuchy ze sklepu, na nogach miał skarpetki, na nosie stare okulary w stalowej oprawie. Cyfrowy zegarek za siedem dolarów zakrywał jaśniejszy pasek skóry w miejscu, gdzie wcześniej tkwił rolex. W sumie wyglądał jak hydraulik albo mechanik wymieniający tłumiki.

Nie miał bagażu. Po prostu rozejrzał się po pokoju i wyszedł ze mną, jakby nie mógł uwierzyć, że jego życie wędrowca dobiegło końca i jakby już odrobinę za nim tęsknił. Przeszliśmy przez ciemny hol i wyszliśmy na dwór. Na widok samochodu Hubble zatrzymał się gwałtownie.

- Przyjechałeś wozem Charlie? - spytał.

- Martwiła się o ciebie - odparłem. - Poprosiła, żebym cię znalazł.

Przytaknął z oszołomioną miną.

- Skąd te przyciemnione szyby? Uśmiechnąłem się szeroko i wzruszyłem ramionami.

- Nie pytaj, to długa historia.

Uruchomiłem silnik i odjechałem. Powinien był od razu spytać mnie o Charlie, ale coś go gryzło. Gdy uchylił drzwi pokoju, dostrzegłem, że ogarnęła go gwałtowna, nieopanowana ulga. Ale zachował odrobinę dystansu. To kwestia zranionej dumy. Uciekał, ukrywał się i sądził, że radzi sobie bardzo dobrze. Mylił się jednak, bo go znalazłem. Właśnie o tym myślał. Czuł jednocześnie ulgę i zawód.

- Jak, do diabła, mnie znalazłeś? - spytał. Znów wzruszyłem ramionami.

- To proste - odparłem. - Mam mnóstwo praktyki, znalazłem wielu ludzi. Przez kilka lat odszukiwałem dezenterów.

Pokonywałem kolejne uliczki, wracając na autostradę. Widziałem przed sobą płynącą na zachód rzekę światła, sama autostrada przypominała jednak nagrodę pośrodku labiryntu. By do niej dotrzeć, musiałem pokonać tę samą kanciastą spiralę.

- Ale jak ci się to udało? - dopytywał się. - Mogłem być wszędzie.

- Nie, nie mogłeś - odrzekłem. - I właśnie o to chodziło. Dzięki temu poszło mi tak łatwo. Nie miałeś kart kredytowych, prawa jazdy, dokumentów. Jedynie gotówkę. Nie mogłeś zatem wsiąść do samolotu ani wypożyczyć samochodu. Pozostały ci wyłącznie autobusy.

Znalazłem wjazd i skupiłem się na zmianie pasów. Skręciłem kierownicę, przyspieszyłem i dołączyłem do strumienia aut jadących w stronę Atlanty.

- Od tego zacząłem - ciągnąłem. - Potem spróbowałem psychologicznie postawić się w twojej sytuacji. Okropnie bałeś się o swoją rodzinę, dlatego uznałem, że będziesz krążył wokół Margrave, utrzymując bezpieczną odległość. Będziesz chciał wciąż czuć się z nimi związany, świadomie bądź podświadomie. Pojechałeś taksówką na dworzec autobusowy w Atlancie, zgadza się?

- Owszem - potwierdził. - Pierwszy autobus jechał do Memphis, ale poczekałem na następny. Memphis było za daleko, nie chciałem aż tak się oddalać.

- To właśnie ułatwiło sprawę. Krążyłeś wokół Margrave, nie za blisko, nie za daleko. W kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Kiedy ludzie mają wybór, zawsze wybierają ten kierunek. To zasada uniwersalna, Hubble. Wystarczyło przeliczyć dni, obejrzeć uważnie mapę i przewidzieć, jaką drogę pokonasz każdego dnia. Zgaduję, że w poniedziałek byłeś w Birmingham w Alabamie, we wtorek w Montgomery, w środę w Columbus. Miałem problem z czwartkiem. Zaryzykowałem Macon, miałem jednak obawy, że to za blisko Margrave.

Skinął głową.

- Czwartek był koszmarny - powiedział. - Siedziałem w Macon, w okropnej dziurze. Nie zmrużyłem oka.

- W piątek rano przyjechałeś do Augusty. Drugi raz zaryzykowałem zakładając, że spędziłeś tu dwie noce. Uznałem, że po Macon będziesz zdenerwowany, zabraknie ci energii. Nie byłem pewien. O mało nie pojechałem dziś do Greenville w Karolinie Południowej. Ale jak widać, dobrze zgadłem.

Hubble umilkł. Sądził, że jest niewidzialny. W istocie jednak krążył wokół Margrave niczym promień reflektora na nocnym niebie.

- Ale przecież posługiwałem się fałszywym nazwiskiem - stwierdził z uporem.

- Pięcioma fałszywymi nazwiskami - poprawiłem. - Pięć nocy, pięć hoteli, pięć nazwisk. Piąte było takie samo jak pierwsze. Zgadza się?

Zaskoczyłem go. Zastanowił się i przytaknął.

- Skąd, do diabła, wiesz? - powtórzył.

- Polowałem na wielu ludzi - wyjaśniłem. - No i trochę cię znam.

- Z której strony?

- Jesteś fanem Beatlesów. Sam powiedziałaś, że w Nowym Jorku odwiedziłeś budynek Dakoty, wybrałeś się też do Liverpoolu. Masz u siebie wszystkie płyty Beatlesów. Pierwszej nocy w hotelu podpisał się Paul Lennon. Prawda?

- Prawda.

- Nie John Lennon. Ludzie zwykle zostają przy własnych imionach. Nie wiem, czemu tak jest, ale jest. W poniedziałek zatem byłeś Paulem Lennonem, we wtorek Paulem McCartneyem, w środę Paulem Harrisonem, w czwartek Paulem Starrem. W piątek, w Augustynie, zacząłeś od nowa, od Paula Lennona. Prawda?

- Prawda. Ale w Augustynie jest milion hoteli. Organizują tu turnieje golfowe, zjazdy. Skąd, do diabła, wiedziałeś, gdzie szukać?

- Musiałem się zastanowić. Dotarłeś tu w piątek późnym rankiem, z zachodu. Ludzie tacy jak ty wolą cofnąć się drogą, którą już znają. W ten sposób czujesz się bezpieczniej. Cztery godziny siedziałeś w autobusie, byłeś zmęczony, chciałeś rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem. Toteż przeszedłeś kawałek, może pół kilometra. A potem wpadłeś w panikę, skręciłeś z głównej trasy, pokonując kilka przecznic. W sumie dawało to niezbyt wielki obszar. Osiemnaście hoteli. Znalazłem cię w piętnastym.

Pokręcił głową, wyraźnie z mieszanymi uczuciami. Pędziliśmy naprzód w ciemnościach. Wielki, stary Bentley jechał cicho, odrobinę powyżej dozwolonej prędkości.

- Co się dzieje w Margrave? - spytał w końcu Hubble. Pytanie za sto punktów. Zadał je z wahaniem, jakby budziło w nim niepokój. We mnie niepokój budziła odpowiedź. Zdjąłem nogę z pedału gazu i zwolniłem na wypadek, gdyby tak się zdenerwował, że próbowałby mnie złapać. Nie chciałem rozbijać samochodu. Nie miałem na to czasu.

- Tkwimy po uszy w gównie - oznajmiłem. - I zostało nam jakieś siedem godzin.

Najgorsze zostawiłem na koniec. Powiedziałem mu, że z powodu grożącego im niebezpieczeństwa Charlie i dzieciaki w poniedziałek wyjechali z agentem FBI. A potem dodałem, że owym agentem był Picard.

W samochodzie zapadła cisza. W milczeniu przejechałem cztery kilometry, pięć. To było coś więcej niż cisza. Porażająca pustka, próżnia. Jakby z planety zniknęła cała atmosfera. Ta cisza zawodziła mi w uszach.

Hubble zaczął zaciskać i rozprostowywać dłonie, kołysać się w przód i w tył na wielkim skórzanym fotelu. Potem uspokoił się. Tak naprawdę nie zareagował, jakby nie dopuścił tego do świadomości. Jego umysł po prostu się zamknął i odmówił współpracy.

Zupełnie jakby strzelił mu bezpiecznik. Wiadomość była zbyt straszna, zbyt przerażająca, by zareagować. Po prostu spojrzął na mnie.

- Okay - powiedział. - Musimy więc je uwolnić. Prawda? Ponownie przyspieszyłem, pędząc w stronę Atlanty.

- Uwolnię ich wszystkich - oznajmiłem. - Ale potrzebuję twojej pomocy. Dlatego po ciebie przyjechałem.

Ponownie skinął głową. Przełamał barierę, przestał się denerwować, odprężył. Znalazł się na wyżynie, gdzie po prostu robi się to, co trzeba zrobić. Dobrze znałem to miejsce. Żyłem tam.

\* \* \*

Trzydzieści kilometrów za Augustą ujrzeliśmy przed sobą błyskające światła i wymachujących latarkami policjantów. Po drugiej stronie autostrady doszło do wypadku. Ciężarówka uderzyła w zaparkowany samochód. Wokół stało kilkanaście innych wozów. Na szosie walały się kawałki papieru. Tłum ludzi biegał wokół, zbierając je. Minęliśmy całą scenę w powolnej kolumnie samochodów. Hubble wyglądał przez okno.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego brata - powiedział. - Nie miałem pojęcia. To przeze mnie zginął, prawda?

Opadł bez sił w fotelu. Ja jednak chciałem, by mówił dalej. Musiał się skupić. Toteż zadałem pytanie, z którym czekałem od tygodnia.

- Jak, do diabła, wmieszałeś się w to wszystko? Wzruszył ramionami, westchnął głęboko, jakby nie potrafił sobie wyobrazić, jak się w to wplątał, a jednocześnie nie widział żadnego możliwego wyjścia.

- Straciłem pracę - rzekł w końcu. Proste słowa. - Byłem załamany, wściekły, zrozpaczony i przerażony, Reacher. Żyliśmy jak we śnie, wiesz. W złotym śnie. Idealne życie, idylla. Zarabiałem majątek i wydawałem majątek. Coś cudownego. Ale potem zacząłem słyszeć pogłoski. Problemy z operacjami detalicznymi. Sprawdzano mój dział. Nagle uświadomiłem sobie, że tylko jedna wypłata oddziela mnie od katastrofy. A potem dział zamknęto, zwolnili mnie. Wypłaty ustały.

- I? - nacisnąłem.

- Wychodziłem z siebie, byłem taki wściekły. Harowałem dla tych sukinsynów i byłem w tym dobry. Zarobiłem dla nich fortunę, a oni po prostu się mnie pozbyli. Jakbym nagle stał się kawałkiem łąjna, w które wdepnęli. Bałem się. Wiedziałem, że mogę stracić wszystko i czułem zmęczenie. Nie mogłem znów zaczynać od zera. Byłem za stary, brakowało mi energii. Nie miałem pojęcia, co robić.

- I wtedy zjawił się Kliner? Hubble przytaknął, zbladł.

- Usłyszał o tym, co się stało. Pewnie Teale mu powiedział. Teale wie wszystko o wszystkich. Kliner zadzwonił do mnie po kilku dniach. Nie zdążyłem jeszcze nawet powiedzieć Charlie, nie potrafiłem się do tego zmusić. Zadzwonił do mnie i poprosił, abyśmy spotkali się na lotnisku. Przyleciał prywatnym odrzutowcem. Wracał właśnie z Wenezueli i zabrał mnie na lunch na Bahamy. Tam odbyliśmy długą rozmowę. Szczerze mówiąc, pochlebiało mi to.

- I? - powtórzyłem.

- Sprzedał mi kupę bzdur - oznajmił Hubble. - Mówił, żebym potraktował to, co się stało, jako szansę rozwoju. Że powinienem dać sobie spokój ze światem korporacyjnym i zająć się prawdziwą pracą, zarobić prawdziwe pieniądze, u niego. Niewiele o nim wiedziałem. Słyszałem o rodzinnym majątku i oczywiście o fundacji, ale nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz. Był jednak wyraźnie bardzo bogaty, znał się na rzeczy i był bardzo, bardzo sprytny. A teraz siedział obok mnie w prywatnym odrzutowcu i prosił, bym z nim pracował. Nie dla niego, z nim. Pochlebił mi. Poza tym, byłem zdesperowany i zrozpaczony. I powiedziałem: tak.

- A potem?

- Zadzwonił znowu, następnego dnia - ciągnął Hubble. - Przysłał po mnie samolot. Musiałem polecieć do fabryki Kliner w Wenezueli, żeby się z nim spotkać. Zrobiłem to. Byłem tam zaledwie jeden dzień. Niczego nie widziałem. Potem odstawił mnie do Jacksonville. Tydzień spędziłem w biurze prawnika, a potem było już za późno. Nie mogłem się uwolnić.

- Dlaczego nie?

- To był ciężki tydzień. Wydaje się krótko: tydzień. Siedem dni. Ale przez ten czas załatwił mnie na amen. Pierwszego dnia słyszałem tylko pochlebstwa. Same pokusy. Wyzначzył mi dużą pensję, premię, wszystko, czego chciałem. Poszliśmy do klubów, hoteli. Wydawał pieniądze garściami, jakby płynęły mu z kranu. We wtorek zacząłem pracę. Okazała się niezłym wyzwaniem. Była bardzo trudna po tym, co robiłem w banku. Niezmiernie wyspecjalizowana. Oczywiście, chciał gotówki, ale wyłącznie jednodolarówek. Nic poza tym. Nie miałem pojęcia dlaczego. Życzył też sobie, żebym prowadził rejestry. Dokładne księgi. Ale radziłem sobie. A on był bardzo spokojnym szefem, zero nacisków, zero problemów. Problemy zaczęły się w środę.

- Jakie?

- W środę spytałem go, o co w tym chodzi - rzekł Hubble. - A on mi powiedział. Powiedział dokładnie, co robi. Oznajmił też, że teraz ja także to robię, jestem w to zaangażowany, muszę zachować milczenie. W czwartek naprawdę się załamane. Nie mogłem w to uwierzyć. Powiedziałem mu, że chcę odejść. Wtedy zawiózł mnie w straszne miejsce. Był tam jego syn, miał ze sobą dwóch Latynosów. W pomieszczeniu na tyłach czekał jeszcze jeden facet, przykuty kajdankami. Kliner oznajmił, że to pracownik, który się wychylił. Kazał mi uważnie patrzeć. Jego syn skopał tamtego na miazgę na moich oczach. A potem Latynosi wyjęli noże i porąbali biedaka na kawałki. Wszędzie było mnóstwo krwi, coś koszmarnego. Nie mogłem w to uwierzyć. Rzygałem jak kot.

- Mów dalej.

- To był koszmar - ciągnął Hubble. - Całą noc nie spałem, miałem wrażenie, że już nigdy nie zasnę. W piątek rano wróciliśmy do domu. Siedzieliśmy razem w małym odrzutowcu, a on mówił mi, co mnie czeka. Oznajmił, że nie tylko mnie załatwią, ale też Charlie. Dyskutował o tym ze mną. Którego sutek obetnie jej najpierw, lewy czy prawy. A po naszej śmierci, od którego z dzieci zacznie. Od Lucy czy od Bena. Prawdziwy koszmar. Oznajmił, że przybiją mnie do ściany. Srałem w gacie. Potem wylądowaliśmy. Zadzwoił do Charlie i uparł się, żebyśmy razem zjedli kolację. Oznajmił, że współpracujemy. Charlie była zachwycona, bo Kliner to wielka szycha w okolicy. To było upiorne. Musiałem udawać, że nic się nie dzieje. Nie wspominałem nawet Charlie, że straciłem pracę. Musiałem udawać, że wciąż pracuję w banku. A przez cały wieczór ten skurwiel wypytywał Charlie uprzejmie o to, co słyhać u niej i u dzieci. I uśmiechał się do mnie.

Umilkliśmy. Ponownie okrążyłem południowo-wschodni kraniec Atlanty, szukając autostrady zmierzającej na południe. Wielkie miasto lśniło i migotało po prawej, po lewej rozciągały się ciemne pustkowia południa. Znalazłem drogę i przyspieszyłem, zmierzając ku niewielkiej kropce w ciemność.

- A potem? - spytałem.

- Zacząłem pracować w magazynie - powiedział. - Tak jak kazał.

- Co robiłeś?

- Kierowałem dostawami. Miałem małe biuro. Musiałem zdobywać dolary oraz doglądać załadunku i wysyłki.

- Sherman Stoller był kierowcą?

- Zgadza się. I to zaufanym, jeździł na Florydę. Co tydzień przywoził milion banknotów dolarowych. Czasami, kiedy Sherman miał wolne, zastępował go strażnik. Ale zwykle to on prowadził. Pomagał mi z pudłami i załadunkiem. Musieliśmy harować ile sił.

Milion dolarów w pojedynczych banknotach to niesamowity widok. Nie masz pojęcia. Zupełnie jakbyś próbował opróżnić łopatą basen.

- Ale Sherman kradł, prawda?

Hubble przytaknął. Jego okulary błysnęły w słabym blasku padającym z deski rozdzielczej.

- W Wenezueli dokładnie przeliczano pieniądze - oznajmił. - Po jakimś miesiącu dostawałem wszystkie dane. Używałem ich, żeby sprawdzić wzory, z jakich korzystałem przy ważeniu. Wiele razy wynik nie zgadzał się o jakieś sto tysięcy. Nie ma mowy, bym popełnił tak poważny błąd. W porównaniu z czterema miliardami doskonałych fałszywek, jakie produkowaliśmy, suma była trywialna. Kto by się przejmował? Ale za każdym razem brakowało jednego pudła. To za duży margines błędu, uznałem zatem, że od czasu do czasu Sherman podkrada jeden karton.

- I co?

- Ostrzegłem go. Nie zamierzałem nikomu o tym mówić. Po prostu uprzedziłem, by uważał, bo jeśli Kliner się dowie, zabije go. Ja także mógłbym mieć kłopoty. A miałem dosyć powodów do zdenerwowania. To było szaleństwo. Kliner importował mnóstwo fałszywych pieniędzy, nie mógł oprzeć się pokusie. Uważałem, że przez to cała operacja staje się zbyt widoczna. Teale wydawał forszę jak konfetti, upiększając miasteczko.

- A ostatnich dwanaście miesięcy? - wtrąciłem. Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Musieliśmy przerwać wysyłkę - oznajmił. - Straż przybrzeżna załatwiła sprawę. Kliner postanowił zamiast tego gromadzić zapasy. Uznał, że akcja nie może trwać wiecznie. Wiedział, że budżet straży tego nie wytrzyma. Ale kontrole trwały i trwały. To był straszny rok. Potworne napięcie. A teraz, kiedy straż przybrzeżna w końcu się wycofuje, daliśmy się zaskoczyć. Kliner uznał, że skoro trwało to tak długo, to potrwa aż do wyborów w listopadzie. Nie jesteśmy gotowi do wysyłki, ani trochę. Wszystko po prostu leży na kupie, niespakowane w pudła.

- Kiedy skontaktowałeś się z Joem? - spytałem.

- Z Joem? - powtórzył. - Tak nazywał się twój brat? Ja znałem go jako Polo.

Skinąłem głową.

- Pało - poprawiłem. - Tam się urodził, to miasto na Leyte, na Filipinach. Szpital to przerobiona stara katedra. Kiedy miałem siedem lat, zabrali mnie tam na szczepienie przeciw malarii.

Przez ponad kilometr Hubble milczał, jakby chciał uczcić pamięć mojego brata.



- Rok temu zadzwoniłem do Departamentu Skarbu - podjął. - Nie wiedziałem, z kim jeszcze się skontaktować. Nie mogłem zawiadomić policji z powodu Morrisona, ani FBI z powodu Picarda. Toteż zadzwoniłem do Waszyngtonu i powiedziałem o wszystkim facetowi, który nazywał się Polo. To był sprytny gość. Sądziłem, że mu się uda. Wiedziałem, że najlepszy moment na atak to czas, gdy gromadzą zapasy. Kiedy w magazynie czekają dowody.

Zobaczyłem drogowskaz, wskazujący stację benzynową. W ostatniej chwili postanowiłem zjechać na bok. Hubble nappełnił bak. Znalazłem w śmieciach plastikową butelkę i kazałem mu nalać benzyny także do niej.

- Po co? - spytał. Wzruszyłem ramionami.

- Na wszelki wypadek? - podsunąłem.

Nie odpowiedział. Zapłaciliśmy przy okienku i wróciliśmy na autostradę, nadal zmierzając na południe. Od Margrave dzieliło nas pół godziny jazdy. Dochodziła północ.

- Czemu w poniedziałek uciekłeś? - spytałem.

- Zadzwonił do mnie Kliner. Kazał mi zostać w domu. Powiedział, że zjawi się u mnie dwóch facetów. Spytałem po co. Odparł, że na Florydzie pojawiły się problemy i muszę je rozwiązać.

- Ale?

- Nie uwierzyłem mu. Gdy tylko wspomniał o dwóch facetach, przypomniałem sobie o tym, co zdarzyło się w Jacksonville w pierwszym tygodniu. Wpadłem w panikę. Wezwałem taksówkę i uciekłem.

- Dobrze zrobiłeś, Hubble - pochwaliłem go. - Uratowałeś sobie życie.

- Wiesz co? - rzucił. Zerknąłem na niego pytająco.

- Gdyby powiedział Jeden facet”, niczego bym nie zauważył. No wiesz. Gdyby powiedział: „Zostań w domu, wpadnie do ciebie facet”, dałbym się nabrać. Ale wspomniał o dwóch.

- Popęłnił błąd.

- Wiem - mruknął Hubble. - I nie mogę w to uwierzyć. On nigdy nie popełnia błędów. Potrząsnąłem głową, uśmiechając się w ciemności.

- W zeszły czwartek też popełnił błąd.

\* \* \*

Wielki chromowany zegar na desce rozdzielczej bentleya wskazywał północ. Musiałem załatwić wszystko do piątej rano. Dysponowałem zatem pięcioma godzinami. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to więcej niż trzeba. Jeśli nie, nieważne, czy będę miał pięć

godzin, pięć dni czy pięć lat. Musiałem to załatwić bez najmniejszego wahania. Wejść i wyjść. W wojsku mawialiśmy: „Zrób to raz a dobrze”. Dziś zamierzałem dodać: „i szybko”.

- Hubble? - zagadnąłem. - Potrzebuję twojej pomocy. Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Jakiej?

Przez ostatnich dziesięć minut jazdy wyjaśniałem, o co mi chodzi. Powtarzałem to raz po raz, póki wszystkiego nie zapamiętał. Zjechałem z autostrady w lokalną drogę, w rozpędzie minąłem magazyny i pokonałem dwadzieścia dwa kilometry dzielące nas od miasta. Zwolniłem, minąłem posterunek - cichy, ciemny. Na parkingu nie dostrzegłem ani jednego samochodu. Sąsiadująca z nim remiza wyglądała w porządku. Całe miasto było milczące i opuszczone. Widziałem tylko jedno światło - w oknie zakładu fryzjerskiego.

Skręciłem w prawo, w Beckman Drive, i podjechałem do domu Hubble'a. Skręciłem przy znajomej białej skrzynce pocztowej i dalej, w kręty podjazd. Zatrzymałem się przy drzwiach.

- Kluczyki mam w domu - powiedział Hubble.

- Drzwi są otwarte - odparłem.

Wyszedł to sprawdzić. Ostrożnie pchnął jednym palcem zniszczone drzwi, jakby obawiał się pułapki. Zobaczyłem, jak wchodzi do środka. W minutę później wrócił na zewnątrz. Miał w dłoni klucze, ale zamiast do garażu podszedł do mnie i pochylił się.

- W środku jest okropny bałagan - rzekł. - Co się tam działo?

- Urządziłem tu sobie zasadzkę - wyjaśniłem. - Czterech facetów miało się po całym domu, szukając mnie. Akurat padał deszcz.

Hubble pochylił się niżej i spojrzał na mnie.

- Czy to byli oni? - spytał. - No wiesz, ci, których przysłałby Kliner, gdybym coś powiedział?

Przytaknąłem.

- Mieli ze sobą cały sprzęt - dodałem.

W słabym świetle starych wskaźników na desce rozdzielczej widziałem jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte, ale mnie nie widział. Widział obraz ze swoich koszmarów. Powoli przytaknął. Potem wyciągnął rękę i położył dłoń na moim ramieniu. Uścisnął je. Nie odezwał się ani słowem. Wyprostował się i zniknął. Zostałem sam zastanawiając się, jak zaledwie tydzień temu mogłem go nienawidzić.

Wykorzystałem chwilę spokoju na to, by przeładować desert eagle'a. Uzupełniłem cztery pociski, które zużyłem na drodze przed Augustą. A potem ujrzałem, jak Hubble

wyprowadza z garażu swego starego zielonego bentleya. Zimny silnik pozostawiał w powietrzu obłok białej pary. Hubble, mijając mnie, uniósł kciuk. Podążyłem szlakiem bieli krętym podjazdem i FJeckman Drive. Minęliśmy kościół i skręciliśmy w lewo w Main Street. Dwa piękne stare auta, jedno za drugim, podążające statecznie ulicami uśpionego miasta, gotowe do bitwy.

Hubble zjechał na bok czterdzieści metrów przed posterunkiem. Zaparkował przy krawężniku, tam gdzie mu poleciłem. Zgasił reflektory i czekał z włączonym silnikiem. Minąłem go i skręciłem na parking przed posterunkiem. Zatrzymałem się na końcu. Wysiadłem, pozostawiając wszystkie drzwi otwarte. Wyciągnąłem z kieszeni wielki automat. Chłodne nocne powietrze przenikało do szpiku kości, cisza przygniatała niczym miażdżący ciężar. Słyszałem szum odległego o czterdzieści metrów silnika bentleya Hubble'a. Odbezpieczyłem desert eagle'a. W ciszy szcęk bezpiecznika zabrzmiał jak wystrzał.

Podbiegłem do ściany posterunku i osunąłem się na ziemię. Poczłogałem się naprzód aż do szklanych drzwi. Uniosłem głowę i zajrzałem do środka. Patrzyłem, nasłuchiwałem wstrzymując oddech, dostatecznie długo, by zyskać pewność.

Podniosłem się, zabezpieczyłem broń, schowałem ją do kieszeni. Stałem bez ruchu, licząc w myślach. Remiza i posterunek znajdowały się obok siebie, trzysta metrów od północnego końca Main Street. Następny budynek w drugą stronę, bar Ena, dzieliło od nich osiemset metrów. Uznałem, że jeśli ktoś będzie chciał dotrzeć do nas z zewnątrz, zabierze mu to co najmniej trzy minuty. Dwie minuty, by zareagować, i minutę szybkim biegiem z Main Street. Dysponowaliśmy zatem trzema minutami. Zmniejszmy ten czas o połowę, dla bezpieczeństwa, i mamy dziewięćdziesiąt sekund od początku do końca.

Wybiegłem na środek drogi i machnąłem do Hubble'a. Zobaczyłem, że jego wóz zjeżdża z krawężnika. Podbiegłem do wejścia remizy. Stałem obok wielkich czerwonych drzwi. Czekałem.

Hubble ruszył naprzód. Gwałtownie skręcił starym bentleyem, tak że znalazł się pod kątem prostym, równo z wejściem do remizy. Tyłem do mnie. Zobaczyłem, jak samochód podskakuje, gdy Hubble wrzucił wsteczny bieg. A potem nacisnął pedał gazu i wielki stary wóz skoczył do tyłu, wprost na mnie.

Cały czas przyspieszając, rąbnął tyłem w drzwi remizy. Stary bentley musiał ważyć jakieś dwie tony. Bez problemu wbił do środka metalowe drzwi. Rozległ się ogłuszający huk i trzask rozdieranego metalu. Usłyszałem pękające szkła reflektorów i brzdęk błotnika, który odpadł i wylądował na betonie. Nim jeszcze Hubble zdążył zmienić biegi i wyjechać ze zrujnowanego budynku, przecisnąłem się przez szczelinę między drzwiami i framugą. W

środku było ciemno, ale natychmiast znalazłem to, czego szukałem. Tkwiły przymocowane do boku wozu strażackiego, poziomo, na wysokości głowy. Nożyce do przecinania metalu, wielkie, długie na ponad metr. Chwyciłem je i rzuciłem się do drzwi.

Gdy tylko Hubble mnie ujrzał, ruszył naprzód i zatoczył szeroki krąg na drodze. Tył jego bentleya był kompletnie zniszczony. Pokrywa bagażnika podskakiwała, pocięty metal zgrzytał niebezpiecznie. Zrobił jednak swoje, skręcił i ustawił się naprzeciw wejścia do posterunku. Przez sekundę zawahał się, po czym nacisnął gaz do dechy, przyspieszając wprost w stronę ciężkich szklanych drzwi, tym razem przodem. Stary bentley w eksplozji szklanych odłamków wpadł do środka, rozwalając ladę recepcji. Wbił się w głąb sali głównej i zatrzymał. Wbiegłem tuż za nim. Finlay stał w środkowej celi. Zastygł bez ruchu, wstrząśnięty. Lewy przegub przykuto mu do prętów w kącie, z samego tyłu. Lepiej niż sądziłem.

Pchając z całych sił, odsunąłem strzaskaną ladę, oczyszczając przestrzeń za plecami Hubble'a. Gestem kazałem mu się cofnąć. Zakręcił kierownicą i wjechał w zwolnione miejsce. Zacząłem pospiesznie odpychać na bok kolejne biurka, tworząc wolną ścieżkę aż do cel. Odwróciłem się i dałem mu sygnał.

Przód samochodu był w równie złym stanie jak tył. Uniesiona maska, zgnieciona chłodnica. Dołem wyciekała zielona woda gorą z sykiem wypływała para. Reflektory były zmiażdżone, zderzak ocierał się o oponę. Ale Hubble robił swoje. Przytrzymując hamulec, rozpędzał silnik. Tak jak mu kazałem.

Widziałem, jak auto drży coraz mocniej. A potem wystrzeliło naprzód i runęło ku Finlayowi w środkowej celi. Rąbnęło pod ostrym kątem w tytanowe pręty i rozdarło je niczym siekiera uderzająca drewniane paliki. Maska bentleya wystrzeliła w górę, rozdzielony metal jęczał ogłuszająco. Hubble zatrzymał się metr przed Finlayem. Roztrzaskany samochód otaczała chmura syczącej pary. W powietrzu unosił się kurz.

Śmignąłem przez otwór do środka celi i zacisnąłem nożyce na ogniwie łańcucha mocującego przegub Finlaya do prętów. Napałem na metrowe dźwignie. Ostrza przecięły kajdanki. Wcisnąłem Finlayowi do ręki nożyce i wyciągnąłem go z celi. Hubble gramolił się właśnie przez okno z wraku bentleya. Wstrząs zniekształcił drzwi, które nie chciały się otworzyć. Wywlokłem go, nachyliłem się do środka, wyszarpnąłem klucze ze stacyjki. A potem we trzech przebiegliśmy przez zrujnowaną salę główną i miażdżąc stopami szklane odłamki, wypadliśmy na zewnątrz. Wskoczyliśmy do samochodu, włączyłem silnik i z piskiem opon wyjechałem z parkingu. Pędem ruszyłem w stronę miasta.

Finlay był wolny. Dziewięćdziesiąt sekund od początku do końca.

Zwolniłem przy północnym krańcu Main Street. Stary wóz potoczył się statecznie przez uśpione miasteczko. Nikt nic nie mówił. Wstrząśnięty Hubble leżał na tylnym siedzeniu. Finlay siedział sztywno obok mnie, wyglądając przez okno. Wszyscy ciężko oddychaliśmy. Nastął moment spokoju, który zawsze następuje po nagłych chwilach grozy.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał pierwszą rano. Chciałem zaszyć się gdzieś aż do czwartej. Mam pewien przesąd dotyczący czwartej rano. Nazywaliśmy ją godziną KGB. Podobno właśnie wtedy kagebiści pukali do drzwi podejrzanych. O czwartej nad ranem. I ponoć świetnie się to sprawdzało. O tej porze ofiary działają na zwolnionych obrotach. Wszystko idzie łatwo. Sami też próbowaliśmy od czasu do czasu, i jak dotąd doskonale zdawało egzamin. Teraz zatem po raz ostatni chciałem zaczekać do czwartej.

Zarzuciłem samochodem w lewo i w prawo, skręcając w alejki za ostatnim rzędem sklepików. Zgasilem reflektory i zaparkowałem w ciemności na tyłach zakładu fryzjerskiego. Wyłączyłem silnik. Finlay rozejrzał się, wzruszył ramionami. Odwiedziny u fryzjera o pierwszej w nocy nie były wcale bardziej szalone niż wjazd do budynku bentleyem za sto tysięcy dolarów ani dziesięciogodzinne zamknięcie w cel we władzy szaleńca. Po dwudziestu latach w Bostonie i sześciu miesiącach w Margrave Finlaya niewiele mogło zadziwić.

Hubble pochylił się naprzód. Był wyraźnie w szoku. Z rozmysłem trzy razy rozwalil samochód. Po trzech zderzeniach pozostały ślady, był poobijany i wyczerpany. Trzeba dużo silnej woli, by trzymać stopę na pedale gazu, uderzając w kolejny budynek. Ale to zrobił. Nie każdy by dał radę. Teraz jednak płacił za to. Wysunąłem się z wozu, stanąłem na zewnątrz. Gestem wezwałem Hubble'a, który dołączył do mnie w ciemności. Lekko chwiał się na nogach.

- Wszystko w porządku? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Chyba tak - powiedział. - Uderzyłem się w kolano i cholernie boli mnie kark.

- Przejdź się - poleciłem. - Nie pozwól, by zeszywniało. Wraz z nim ruszyłem tam i z powrotem. Dziesięć kroków w ciemności i nawrót. Lekko kulał na lewą nogę. Może wgniecione drzwi uderzyły go w kolano. Kręcił głową, rozluźniając zeszywniałe mięśnie karku.

- Lepiej? - spytałem.

Uśmiechnął się i skrzywił nagle, czując napięcie ścięgien.

- Przeżyję.

Finlay wysiadł i dołączył do nas. Dochodził do siebie. Przeciągał się, jakby dopiero co się zbudził. Zaczynał czuć napięcie. Uśmiechnął się do mnie w mroku.

- Dobra robota, Reacher - pochwalił. - Zastanawiałem się, jak mnie, do diabła, wyciągniesz. Co się stało z Picardem?

Złożyłem palce na kształt pistoletu, niczym dziecko. Finlay skinął głową, jak partner do partnera, zbyt opanowany, by zareagować gwałtowniej. Uścisnąłem mu dłoń. Miałem wrażenie, że powinienem to uczynić. Potem odwróciłem się i zastukałem cicho do drzwi służbowych na tyłach zakładu fryzjerskiego. Otworzyły się natychmiast. Stał w nich starszy z dwóch fryzjerów, jakby cały czas na nas czekał. Przytrzymał drzwi niczym stary lokaj. Gestem wezwał nas do środka. Kolejno pokonaliśmy korytarz i znaleźliśmy się w magazynku. Zaczekaliśmy obok półek wypełnionych akcesoriami fryzjerskimi. Zgarbiony staruszek dołączył do nas.

- Potrzebujemy waszej pomocy - oznajmiłem.

Stary fryzjer wzruszył ramionami. Uniósł ciemną jak mahoń dłoń w geście nakazującym czekanie. Szurając nogami, przeszedł w głąb zakładu i wrócił ze współnikiem, młodszym staruszką. Przez chwilę dyskutowali między sobą donośnym szeptem.

- Na górę - polecił młodszy.

Wspięliśmy się wąskimi schodami do mieszkania nad zakładem. Dwaj starzy fryzjerzy zaprowadzili nas do salonu. Zaciągnęli rolety, włączyli parę słabych lamp. Usiedliśmy. Pokój był ubogi i niewielki, lecz czysty, przytulny. Gdybym kiedyś miał własny pokój, chciałbym, żeby wyglądał podobnie. Zajęliśmy miejsca. Młodszy fryzjer został z nami, starszy znów wyszedł, zamykając za sobą drzwi. We czwórkę siedzieliśmy bez ruchu, patrząc na siebie. Potem staruszek pochylił się naprzód.

- Nie wy pierwsi, chłopcy, ukrywacie się u nas - oznajmił. Finlay rozejrzał się wokół i mianował naszym rzecznikiem.

- Nie? - spytał.

- Nie, proszę pana - przytaknął fryzjer. - Wielu chłopców już się tu ukrywało. I prawdę mówiąc, wiele dziewcząt.

- Na przykład kto?

- Kto popadnie - rzekł staruszek. - Mieliśmy tu już chłopców ze związku rolników z farm fistaszkowych, chłopców ze związku rolników z sadów brzoskwińowych, działaczki ruchu swobód obywatelskich pracujące przy rejestracji wyborców, chłopców, którzy nie chcieli dać się zawlec do Wietnamu. Do wyboru, do koloru.

Finlay przytaknął.

- A teraz macie nas - dodał.
- Miejscowe kłopoty? - spytał fryzjer. Finlay ponownie skinął głową.
- I to poważne - mruknął. - Nadchodzą wielkie zmiany.
- Spodziewaliśmy się tego - powiedział staruszek. - Spodziewaliśmy się od lat.
- Naprawdę? - spytał Finlay.

Fryzjer przytaknął i wstał. Podeszedł do szafy, otworzył drzwi i machnął zapraszająco ręką. Szafa była wielka, głęboka, na jej półkach piętrzyły się stosy pieniędzy. Ciasne pliki pieniędzy owiniętych gumkami. Wypełniały szafę od podłogi po szczyt. Musiało tam tkwić kilkaset tysięcy dolarów.

- Pieniądze Fundacji Klinera - oznajmił. - Cały czas nas nimi zasypywali. Coś z nimi nie tak. Mam siedemdziesiąt cztery lata. Przez siedemdziesiąt lat ludzie wyłącznie na mnie plułi, a teraz obrzucają mnie pieniędzmi. Coś tu jest nie w porządku, prawda?

Zamknął drzwi, ukrywając gotówkę.

- Nie wydajemy ich - oświadczył. - Nie wydajemy nawet centa, którego nie zarobimy. Wszystko chowamy do szafy. Zamierzacie zająć się fundacją chłopcy?

- Jutro nie będzie żadnej Fundacji Klinera - odparłem.

Staruszek jedynie przytaknął. Zerknął na drzwi szafy i pokręcił głową. Potem wyszedł, zostawiając nas samych w małym, przytulnym salonie.

\* \* \*

- To nie będzie łatwe - powiedział Finlay. - Jest nas trzech, ich także. Mają czworo zakładników, dwoje z nich to dzieci. Nie wiemy nawet, gdzie ich trzymają.

- W magazynie - wtrąciłem. - To pewne. Gdzie indziej mogliby ich ukryć? Brakuje im ludzi do pilnowania. No i słyszałeś taśmę, tamten pogłos. To magazyn, bez dwóch zdań.

- Jaką taśmę? - wtrącił Hubble. Finlay spojrzał na niego.

- Kazali Roscoe nagrać taśmę dla Reachera - wyjaśnił. - Wiadomość, by udowodnić, że ją przetrzymują.

- Roscoe? - spytał Hubble. - A Charlie? Finlay potrząsnął głową.

- Tylko Roscoe - skłamał. - Nie dostaliśmy nic od Charlie.

Hubble przytaknął. Sprytnie posunięcie, Harvardczyku, pomyślałem. Wizja Charlie pochylonej nad mikrofonem z ostrym nożem przy gardle mogłaby załamać Hubble'a. Zepchnąć z wyżyn w otchłań paniki. A wówczas stałby się dla nas bezużyteczny.

- Są w magazynie - powtórzyłem. - Nie ma cienia wątpliwości.

Hubble dobrze znał magazyny, pracował tam półtora roku. Poprosiliśmy, by je opisał. Znaleźliśmy papier i ołówek i kazaliśmy mu narysować plany. Pochylaliśmy się nad nimi,

umieszczając na miejscach wszystkie drzwi, schody, odległości, szczegóły. W końcu uzyskaliśmy rysunek, z którego dumny byłby każdy architekt.

Magazyn stał jako ostami w szeregu czterech budynków, blisko trzeciego, obsługującego farmerów. Oba magazyny rozdzielało ogrodzenie, oddzielone zaledwie szerokością ścieżki od metalowych sidingów. Z pozostałych trzech stron okalał go główny płot strzegący całego kompleksu. Zbliżał się do magazynu z tyłu i w odległym kącie, z przodu pozostawiając mnóstwo miejsca dla ciężarówek.

Wielkie podnoszone drzwi zajmowały praktycznie całą frontową ścianę. Tuż za rogiem mieściło się niewielkie wejście służbowe, prowadzące na parter. Tuż za nim kryła się klatka otaczająca włącznik podnoszonych drzwi. Po lewej metalowe schody prowadziły na górę do biura. Biuro mieściło się na antresoli, w kącie na tyłach wielkiego magazynu, zawieszona około dwunastu metrów nad podłogą. Miało wielkie okna i balkon otoczony barierką, z którego można było nadzorować załadunek. Z tyłu kolejne drzwi wiodły na zewnętrzne schody przeciwpożarowe - metalowe stopnie przyśrubowane do ściany.

- Okay - powiedziałem. - Wszystko jasne, prawda? Finlay wzruszył ramionami.

- Martwię się ewentualnymi posiłkami - oznajmił. - Strażnikami z zewnątrz.

Odpowiedziałem tym samym gestem.

- Nie będzie żadnych posiłków - oznajmiłem. - Bardziej niepokoją mnie strzelby. To duża przestrzeń i jest tam dwoje dzieci.

Finlay przytaknął z ponurą miną. Wiedział, co mam na myśli. Strzelby wyrzucają z siebie szerokokątny stożek ołowiu. Strzelby i dzieci to kiepskie połączenie. Umilkliśmy. Dochodziła druga nad ranem. Jeszcze półtorej godziny czekania. Wyjdziemy o wpół do czwartej, dotrzemy na miejsce o czwartej, w mojej ulubionej porze ataku.

Czekanie. Czuliśmy się jak żołnierze w okopie, piloci przed nalotem. Milczeliśmy. Finlay drzemał, prawdopodobnie zdarzało mu się tak czekać już wiele razy. Wyciągnął się na krześle, lewa ręka zwisała bezwładnie. U przegubu kołysał się łańcuch przeciętych kajdanek, brelok przy srebrnej bransolecie.

Hubble siedział sztywno wyprostowany, nigdy wcześniej nie uczestniczył w czymś takim. Wiercił się, marnując energię. Nie miałem do niego pretensji. Cały czas na mnie patrzył, w jego oczach malowało się pytanie, ja zaś jedynie wzruszałem ramionami.

O wpół do trzeciej usłyszeliśmy ciche pukanie. Drzwi uchyliły się lekko, starszy z dwóch starych fryzjerów zajrzał do środka, wyciągnął pomarszczony, trzęsący się palec i wskazał wprost na mnie.

- Ktoś do ciebie, synu - powiedział.



Finlay wyprostował się gwałtownie, Hubble popatrzył z lękiem. Dałem im znak, by zaczekali. Wstałem, wyciągnąłem z kieszeni automat, odbezpieczyłem. Staruszek machnął gwałtownie ręką i prychnął.

- Nie potrzebujesz tego, synu - zapewnił. - Wcale nie potrzebujesz.

Niecierpliwiał się, wzywał mnie do siebie. Odłożyłem broń, wrzuciłem ramionami do pozostałej dwójki i poszedłem ze starcem. Zaprowadził mnie do maleńkiej kuchni. W kącie na stolku siedziała bardzo stara kobieta, o tak samo mahoniowej skórze jak mój towarzysz, chuda jak patyk. Przypominała stare drzewo w zimie.

- To moja siostra - oznajmił fryzjer. - Obudziliście ją swoją gadaniną.

Podszedł do niej, nachylił się i szepnął coś do ucha.

- Oto chłopak, o którym ci wspominałem - rzekł. Kobieta uniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie, zupełnie jakby zza chmur wynurzyło się słońce. Dostrzegłem przeblysł minionej urody. Kiedyś, dawno temu, musiała być bardzo piękna. Wyciągnęła rękę, ująłem ją. W dotyku przypominała cieniutkie druty ukryte w miękkiej, suchej rękawiczce. Stary fryzjer zostawił nas samych. Odchodząc, przystanął na moment.

- Spytaj ją o niego - poradził.

Potem wyszedł, szurając nogami. Wciąż trzymałem dłoń staruszki. Przykucnąłem obok jej krzesła, nie próbowała się cofnąć.

Pozostawiła rękę w moim uścisku. Miałem wrażenie, że trzymam w wielkiej łapie kruchą brązową gałązkę.

- Niezbyt dobrze słyszę - oznajmiła. - Musisz się nachylić. Przemówiłem wprost do jej ucha. Pachniała jak stary kwiat, cień zasuszonych płatków.

- Tak lepiej? - spytałem.

- Bardzo dobrze, synu, teraz słyszę świetnie.

- Pytałem pani brata o Ślepego Blake'a - powiedziałem.

- Wiem o tym, synu. Mówił mi o wszystkim.

- Powiedział, że go pani знаła - ciągnąłem wprost do jej ucha.

- Jasne, że tak - rzekła. - Znałam go doskonale.

- Opowie mi pani o nim? - poprosiłem. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Co tu jest do opowiadania? Od dawna już nie żyje. - Jaki był?

Wciąż na mnie patrzyła. Jej oczy zasnuła mgielka, zwilgotniały, gdy cofnęła się w czasie o sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat.

- Był ślepy.

Jakiś czas milczała. Jej wargi trzepotały bezdźwięcznie, pod palcami czułem silny puls. Poruszyła głowę, jakby próbowała usłyszeć dźwięk dobiegający z bardzo daleka.

- Był ślepy - powtórzyła - i strasznie słodki.

Miała ponad dziewięćdziesiąt lat. Była tak stara jak wiek dwudziesty. Teraz powracała myślami do czasów, gdy miała dwadzieścia, trzydzieści lat. Nie do dzieciństwa, dojrzałości. Wspominała swój rozkwit jako kobiety i nazywała Blake'a słodkim.

- Ja śpiewałam - mówiła - a on grał na gitarze. Znasz to stare powiedzenie: jego gitara dźwięczała jak srebrny dzwonek? Tak właśnie było z Blakiem. Podnosił swój stary instrument i wysypywały się z niego dźwięki, szybciej, niż potrafiłbyś zaśpiewać. A każdy z nich był idealnym srebrnym dzwoneczkiem dźwięczącym w powietrzu. Całą noc potrafiliśmy grać i śpiewać. A potem rankiem prowadziłam go na łąkę, siadaliśmy pod starym, cienistym drzewem i znów śpiewaliśmy i graliśmy. Dla czystej radości grania, tylko dlatego że potrafiłam śpiewać, a on potrafił grać.

Zanuciła pod nosem kilka taktów. Głos miała dużo niższy, niż się spodziewałem. Była tak krucha i szczupła, iż oczekiwałem wysokiego, słabego sopranu. Ona jednak śpiewała niskim, zmysłowym kontraltem. Podążyłem tropem jej wspomnień i wyobraziłem ich sobie siedzących na łące w dawnej Georgii. Ciężka woń dzikich kwiatów, pomruk rozleniwionych upałem owadów i dwoje ludzi opartych o drzewo, śpiewających i grających dla czystej radości muzyki. Powtarzających kolejne tworzone przez Blake'a ironiczne, buntownicze piosenki, które tak uwielbiałem.

- Co się z nim stało? - spytałem. - Wie pani? Przytaknęła.

- Wie o tym dwoje ludzi na całym świecie - szepnęła\* - Jestem jedną z tej dwójki.

- Powie mi pani? - poprosiłem. - Przybyłem tu po to, by się dowiedzieć.

- Sześćdziesiąt dwa lata - szepnęła. - Przez sześćdziesiąt dwa lata nie wspomniałam o tym nikomu.

- Powie mi pani? - poprosiłem ponownie.

Przytaknęła ze smutkiem. W starych oczach zakręciły się łzy.

- Sześćdziesiąt dwa lata - mruknęła. - Ty pierwszy zapytałeś. Wstrzymałem oddech. Jej wargi zatrzepotały, dłoń zacisnęła się w mojej dłoni.

- Był ślepy - powiedziała. - Ale żwawy. Znasz to słowo? Żwawy? Pełen energii, dumny. Duma połączona z uśmiechem, i Blake taki właśnie był. Miał w sobie mnóstwo ducha i energii, chodził szybko, szybko mówił, stale się poruszał i uśmiechał. Biedny, słodki głupiec. Pewnego razu wyszliśmy z jednego z barów, tu w mieście. Szliśmy chodnikiem, śmieliśmy się, wokół nie było nikogo, tylko dwóch białych zbliżało się do nas. Mężczyzna i

chłopiec. Zobaczyłam ich i uskoczyłam na bok, tak jak powinniśmy. Stałam w błocie, przepuszczając ich. Ale biedny Blake był ślepy, nie zauważył tamtych i zderzył się z białym chłopakiem. Biały chłopak, może dziesięć lat, może dwanaście. Blake go wywrócił. Biały chłopak uderzył głową w kamień, rozciął sobie skórę i zaczął wrzeszczeć tak głośno, że byś nie uwierzył. Był z nim jego ojciec, znałam go. Wielka, ważna figura w mieście.

Chłopak wrzeszczał tak głośno, iż zdawało się, że zaraz pęknie. Krzyczał do tatusia, by ukarał czarnucha. Więc ojciec wpadł w szał i rzucił się na Blake'a z laską. Na końcu miała wielką srebrną gałkę. Zaczął bić biednego Blake'a laską, póki głowa nie pękła mu niczym melon. Zabił go. Podniósł chłopaka i odwrócił się do mnie. Posłał mnie do końskiego koryta, żebym zmyła włosy, krew i mózg biednego Blake'a z jego laski. Powiedział, że nie wolno mi wspomnieć nikomu ani słowem, w przeciwnym razie mnie zabije. Schowałam się więc i odczekałam. A kiedy ktoś inny znalazł biednego Blake'a, zaczęłam biegać, krzycząc i płacząc jak cała reszta. Aż do dziś nie wspominałam o tym żywej duszy.

Z jej oczu wypływały wielkie łzy i ściekały powoli po wychudzonych policzkach. Wyciągnęłam rękę i starłem je delikatnie palcem. Potem ująłem drugą dłoń staruszki.

- Kim był ten chłopiec? - spytałem.

- To ktoś, kogo stale widuję - odparła. - Ktoś, kto kręci się tu z wyniosłym uśmiechem i przypomina mi mojego biednego Blake'a, leżącego na ziemi z rozwaloną głową.

- Kto to był?

- To był wypadek - ciągnęła. - Każdy by to dostrzegł. Biedny Blake był ślepy. Chłopak nie musiał tak wrzeszczeć. Nic złego się nie stało. Był dość dorosły, by przewidzieć, co się stanie. To jego wina, jego wrzasków i płaczów.

- Kim był ten chłopak? - powtórzyłem.

Odwróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy, a potem zdradziła mi tajemnicę sprzed sześćdziesięciu dwóch lat.

- To Grover Teale - oznajmiła. - Wyrósł na burmistrza, tak jak wcześniej jego ojciec. Myśli, że jest królem całego świata, ale w istocie to wrzeszczący smarkacz, przez którego zginął mój biedny Blake, tylko dlatego że był ślepy i czarny.

### 33

W trzech zapakowaliśmy się do czarnego bentleya Charlie, stojącego w alejce za zakładem fryzjerskim. Żaden z nas się nie odezwał. Włączyłem silnik, zjechałem na jezdnię i skierowałem się na północ. Jechałem powoli ze zgaszonymi reflektorami. Wielki ciemny wóz

toczył się naprzód w noc, niczym cichy drapieżca opuszczający swą jamę, czarny okręt podwodny, wypływający z portu na lodowate głębiny. Przejechałem przez miasto i zatrzymałem się przy posterunku. Wszędzie panowała cisza jak w grobie. - Potrzebuję broni - oznajmił Finlay.

Ostrożnie przedostaliśmy się przez zrujnowane wejście. Bentley Hubble'a wciąż tkwił pośrodku sali, nieruchomy w półmroku. Przednie opony pękły i wrak wozu osiadł maską naprzód, pogrzebany pod kratami. W powietrzu unosiła się silna woń benzyny. Zderzenie musiało uszkodzić bak. Pokrywa bagażnika sterczała w górze - pamiątka po wcześniejszym starciu z drzwiami. Hubble nawet nie zerknął na swój samochód.

Finlay precyzyjnie przesunął się obok i zniknął w gabinecie na tyłach. Czekaliśmy z Hubble'em wśród odłamków, które niegdyś tworzyły drzwi wejściowe. Po chwili policjant wynurzył się z ciemności. W rękach trzymał stalowy rewolwer i pudełko zapalek. Uśmiechał się szeroko. Machnął rękawem stronek samochodu, wskazując nam drogę, po czym zapalił zapalniczkę. Cisnął ją pod tył zgniecionego zielonego bentleya i pobiegł w naszą stronę.

- Niezła dywersja, co? - mruknął.

Wyjeżdżając z parkingu, widzieliśmy początek pożaru. Jasno-błękitne płomienie przebiegały po wykładzinie niczym fale po plaży. Ogień ogarnął strzaskane belki i rozkwitł niczym kwiat, sycąc się wielką plamą benzyny. Płomienie zmieniły barwę, stały się żółtopomarańczowe. Przez otwór w drzwiach do środka wpadało powietrze. Po minucie cały budynek stał w ogniu. Uśmiechnąłem się i odjechałem lokalną drogą.

Przez większą część dwudziestu dwóch kilometrów nie gasiłem reflektorów. Jechałem szybko. Zabrało to jakieś dwanaście minut. Pół kilometra przed celem wyłączyłem światła i zjechałem na bok. Zawróciłem, cofnąłem się lekko, zostawiłem samochód przodem na południe, w stronę miasta. Otwarte drzwi, kluczyki w stacyjce.

Hubble niósł w rękach ciężkie nożyce do metalu. Finlay sprawdził zabrany z gabinetu rewolwer, ja sięgnąłem pod siedzenie i wyciągnąłem plastikową butelkę wypełnioną benzyną. Wsunąłem ją do kieszeni obok pałki. Była ciężka. Obciągnąłem kurtkę z prawej strony, podnosząc desert eagle'a wysoko na pierś. Finlay dał mi zapalniczkę, schowałem je do drugiej kieszeni.

Staliśmy razem w ciemności na zwirowym poboczu drogi. Wymieniliśmy krótkie skinienia głowy i ruszyliśmy przez pole do uschniętego drzewa. Jego sylwetka malowała się ostro na tle tarczy księżyca. Po paru minutach dotarliśmy na miejsce. Nasze stopy zapadały się w miękkiej ziemi. Ponownie przystanęliśmy pod wykrzywionym drzewem. Odebrałem Hubble'owi nożyce, znów skinęliśmy głowami i ruszyliśmy w stronę ogrodzenia do miejsca,

gdzie zbliżało się do tylnej ściany magazynu. Była za dziesięć czwarta rano. Od wyjścia z płonącego posterunku żaden z nas nie odezwał się ani słowem.

Drzewo od ogrodzenia dzieliło siedemdziesiąt pięć metrów. Dotarcie tam zabrało nam minutę. Szliśmy dalej, póki nie znaleźliśmy się naprzeciwko schodów przeciwpożarowych, tam, gdzie przymocowano je do betonowej ścieżki okalającej cały budynek. Finlay i Hubble złapali ogrodzenie, napinając siatkę, a ja przecinałem kolejne druty nożycami. Wchodziły jak w masło. Wyciąłem wielki otwór, wysoki na dwa metry, aż do miejsca, gdzie zaczynał się drut kolczasty, i szeroki może na dwa i pół.

Weszliśmy do środka, pod schody. Odczekaliśmy chwilę. Słyszałem dobiegające z wnętrza dźwięki. Odgłosy i szmery brzmiały głucho w ogromnej przestrzeni. Odetchnąłem głęboko. Gestem poleciłem pozostałym przycisnąć się do metalowego sidingu. Wciąż nie byłem pewien, czy ktoś nie został na straży. Instynkt podpowiadał mi, że nie wezwali posiłków, ale Finlay się niepokoił. A już dawno nauczyłem się nie lekceważyć obaw ludzi takich jak Finlay.

Poleciłem zatem moim towarzyszom, by zaczekali, i przekradłem się za róg wielkiego magazynu. Przykucnąłem i z wysokości dwudziestu centymetrów upuściłem na ścieżkę nożyce. Uderzyły o ziemię z metalicznym dźwiękiem. Brzmiało to tak, jakby ktoś próbował przedostać się przez ogrodzenie. Przywarłem do ściany i czekałem z pałką w prawej ręce.

Finlay miał rację - rzeczywiście był strażnik. Ja też miałem rację, bo nie wezwali posiłków. Wartownikiem okazał się sierżant Baker. Okrążał właśnie magazyn. Usłyszałem go, nim jeszcze go zobaczyłem - pełen napięcia cichy oddech, odgłos kroków na betonie. Wynurzył się zza narożnika i zatrzymał metr ode mnie. Stał, patrząc na nożyce, w dłoni miał trzydziestkę ósemkę. Przez chwilę wpatrywał się w porzucone narzędzie, a potem uniósł wzrok ku ogrodzeniu. Dojrzał dziurę i puścił się biegiem w jej stronę.

A potem zginął. Zamachnąłem się i walnąłem go pałką. Ale nie upadł, upuścił rewolwer i zawirował na uginających się nogach. Tuż zza mnie wyskoczył Finlay, chwycił go za gardło. Wyglądał jak wieśniak ukręcający łeb kurze. Świetnie sobie poradził. Baker wciąż miał na piersi munduru plastikowy identyfikator z nazwiskiem. Pierwszą rzecz, którą zauważyłem dziewięć dni temu. Zostawiliśmy trupa na ścieżce. Odczekaliśmy pięć minut nasłuchując. Nie zjawił się nikt inny.

Wróciliśmy do miejsca, w którym czekał Hubble. Znów odetchnąłem głęboko. Wszedłem na schody i ruszyłem w górę, bezszelestnie stawiając stopy. Powoli, ostrożnie. Schody wykuto z żelaza bądź stali. Gdybym popełnił błąd, cała konstrukcja zadzwoniłaby jak

cholerny dzwon. Finlay siedł tuż za mną, prawą rękę zaciskał na poręczy, w lewej trzymał broń. Za nim podążał Hubble, zbyt przerażony, by oddychać.

Skradaliśmy się w górę. Pokonanie dwunastu metrów zabrało nam parę minut. Byliśmy bardzo ostrożni. W końcu stanęliśmy na niewielkiej platformie na szczycie. Przycisnąłem ucho do drzwi. Cisza. Nic. Hubble wyciągnął z kieszeni klucze do biura, zacisnął je w dłoni, by nie brzęczały. Ostrożnie wybrał właściwy. Cicho wsunął go do zamka. Wstrzymaliśmy oddechy. Przekręcił klucz, zamek szczęknął, drzwi uchyliły się lekko. Nic, żadnej reakcji. Cisza. Hubble powoli pociągnął drzwi. Finlay odsunął go i pociągnął je jeszcze bardziej. Podał je mnie. Popchnąłem je aż do końca, opierając skrzydło o ścianę. Podparłem butelką z benzyną, wyjętą z kieszeni.

Z biura wylała się fala światła, zalewając schody, rzucając jasny prostokąt na ogrodzenie i pole dwanaście metrów niżej. W magazynie płonęły lampy łukowe. Ich blask wpadł do środka przez oszklone okna biura. W ich świetle widziałem wszystko i widok ten sprawił, że serce zamarło mi w piersi.

Nigdy nie wierzyłem w szczęście, nie miałem powodów. Nie polegałem na nim, bo nie mogłem. Ale teraz niewiarygodnie mi się poszczęściło. Trzydzieści sześć lat pecha i kłopotów zniknęło w rozbłysku szczęścia. Bogowie uśmiechali się do mnie i wyraźnie mi kibicowali. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym zrozumiał, że wygrałem.

Bo na podłodze biura spały dzieci. Dzieci Hubble'a - Ben i Lucy. Skulone na stosie pustych płóciennych worków. Pograżone w głębokim śnie, bezbronne i niewinne jak tylko mogą być śpiące dzieci. Były brudne i obszarpane, wciąż ubrane w szkolne stroje z poniedziałku. Wyglądały niczym mali włóczędzy na sepiowym zdjęciu dawnego Nowego Jorku. Dwójka maluchów pograżonych w głębokim śnie. Czwarta rano, moja szczęśliwa godzina.

Cały czas martwiłem się dziećmi. To one praktycznie uniemożliwiały odbicie zakładników. Tysiące razy przerabiałem w głowie ten sam scenariusz. Rozgrywałem gry wojenne, próbując znaleźć rozwiązanie. I nie znalazłem. Wynik każdego scenariusza był taki sam. Sztabowcy nazywają to wynikiem niezadowolającym. Stałe widziałem dzieci rozmazane po całym magazynie strzałami ze strzelb. Strzelby i dzieci to niedobre połączenie. Bo też zawsze wyobrażałem sobie czwórkę zakładników i dwie strzelby w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Widziałem panikujące dzieci, krzyczącą Charlie, słyszałem huk wielkich ithak. Wszystko w tym samym miejscu. Nie znalazłem rozwiązania. Gdybym mógł postawić na szalę wszystko, co miałem i będę miał, oddałbym je za to, by dzieci spały gdzieś z boku. I

tak właśnie się stało, dokładnie tak. Wzbierająca fala radości sprawiła, że zaszumiało mi w uszach. Przypominało to głosy wiwatujących tłumów na stadionie.

Odwróciłem się do pozostałej dwójki. Chwyciłem ich głowy i przyciągnąłem do siebie, mówiąc najłżejszym szeptem.

- Hubble, weź dziewczynkę - szepnąłem. - Finlay, ty chłopca. Zakryjcie im usta. Żadnych krzyków. Zanieście ich pod drzewo. Hubble, zabierz dzieci do samochodu, zostań tam z nimi i czekaj. Finlay, wróć tutaj. Zróbcie to już, teraz, cicho.

Wyciągnąłem z kieszeni desert egale'a i odbezpieczyłem. Oparłem przegub o framugę i wycelowałem w wewnętrzne drzwi biura. Finlay i Hubble zakradli się do środka. Zrobili wszystko jak należy. Pochylali się i skradali bezgłośnie. Przycisnęli dłonie do małych ust, podnieśli dzieci, wykradli się na zewnątrz, wyprostowali i okrążyli lufę mojej wielkiej czterdziestki czwórki. Dzieci obudziły się i zaczęły się szamotać. Patrzyły wprost na mnie szeroko otwartymi oczami. Hubble i Finlay wynieśli je na zewnątrz i ostrożnie zeszli na dół. Ja sam wycofałem się z wejścia w najdalszy kąt metalowej platformy. Znalazłem miejsce, z którego roztaczał się świetny widok. Patrzyłem, jak powoli schodzą na ziemię, podkradają się do ogrodzenia, przebiegają przez otwór i przez pole. Przecięli prostokąt jasnego światła dwanaście metrów pode mną, a potem zniknęli w ciemności.

\* \* \*

Odprężyłem się, opuściłem broń nasłuchując. Nie usłyszałem niczego, jedynie słabe szelesty dobiegające ze środka metalowego magazynu. Cicho wszedłem do biura i podczołgałem się do okna. Powoli uniosłem głowę, spojrzałem w dół i ujrzałem widok, którego nie zapomnę do końca życia.

Do sufitu magazynu przykręcono setkę lamp łukowych. Oświetlały wnętrze jaśniej niż słońce w pogodny dzień. A wnętrze było naprawdę wielkie. Jakieś trzydzieści pięć metrów długości, dwadzieścia pięć szerokości, może dwadzieścia wysokości. Wypełniały je banknoty dolarowe, olbrzymia sarta pieniędzy usypanych w jednym z kątów w wysoki na osiemnaście metrów w stos, który opadał na ziemię niczym zbocze góry. Góry pieniędzy. Przypominało to gigantyczny zielony lodowiec. Olbrzymi.

W najdalszym kącie dostrzegłem Teale'a. Siedział na zboczu góry, na wysokości jakichś trzech metrów, na kolanach trzymał strzelbę. Olbrzymia sarta banknotów za jego plecami sprawiała, że wydawał się mały niczym karzełek. Dwadzieścia metrów bliżej dostrzegłem starego Klinera. Usadowił się wyżej na stercie, na czterdziestu tonach gotówki, ze strzelbą na kolanach.

Obie strzelby celowały w Roscoe i Charlie Hubble, małe sylwetki dwanaście metrów w dół. Zmusili je do pracy. Roscoe miała w rękach łopatę do odgarniania śniegu. W zimowych stanach używają takich do oczyszczania podjazdów. Popychała sterty pieniędzy w stronę Charlie, która zgarniała je do kartonów na klimatyzatory i ubijała mocno ogrodowymi grabiami. Za plecami obu kobiet stał długi szereg zaklejonych pudeł, przed nimi wznosił się stos pieniędzy. Krzątały się w dół niczym dwie mrówki u stóp góry dolarów.

Wstrzymałem oddech i zastygłem bez ruchu, oszołomiony. Widok był niewiarygodny. Tuż przy drzwiach stała czarna półciężarówka Klinera, obok niej biały cadillac Teale'a. Trudno je nazwać małymi wozami, lecz przy górze gotówki przypominały zabawki na plaży. Coś niesamowitego, fantastyczna scena rodem z baśni. Miałem wrażenie, że spoglądam na wielką podziemną grootę pełną szmaragdów, a wszystko skąpane w blasku stu lamp. Małe postacie w dół. Nie wierzyłem własnym oczom. Hubble mówił, że milion dolarów w pojedynczych banknotach to odlotowy widok. Ja patrzyłem na czterdzieści milionów. Tak naprawdę poraziła mnie wysokość sterty - stos sięgał niemal do sufitu, dziesięć razy wyższy niż małe postacie pracujące w dół. Wyższy niż dom, niż dwa domy. Niewiarygodny. To był wielki magazyn i wypełniały go pieniądze. Czterdzieści milionów autentycznych banknotów jednodolarowych.

Dwie kobiety poruszały się powoli, ich sztywne ruchy zdradzały krańcowe wyczerpanie, jak u żołnierzy pod koniec morderczych manewrów. Spały na stojąco, poruszały się automatycznie, a ich umysły błagały o chwilę odpoczynku. Mechanicznie pakowały naręcza banknotów z gigantycznego stosu do kolejnych pudeł. Beznadziejne zadanie. Wycofanie straży przybrzeżnej kompletnie zaskoczyło Klinera. Nie był gotowy. Magazyn pękał w szwach od pieniędzy, toteż zmusili Roscoe i Charlie do niewolniczej pracy. Teale i Klinier obserwowali je jak nadzorczy, jakby wiedzieli, że zbliża się koniec. Olbrzymia sterta pieniędzy wkrótce ich pogrzebie, zasypie i zmiażdży.

Usłyszałem na schodach cichy odgłos kroków Finlaya. Wykradłem się z biura i zacząłem na niego na metalowej platformie.

- Są w samochodzie - szepnął. - Co tu mamy?

- Dwie strzelby gotowe do strzału - odszepnąłem. - Roscoe i Charlie wyglądają nieźle. Zerknął w stronę jasnych światła i cichych szmerów.

- Co oni robią? - szepnął.

- Chodź, popatrz - odparłem cicho. - Ale wstrzymaj oddech.



Obaj podczołgaliśmy się do okien, powoli podnieśliśmy głowy. Finlay spojrzał na fantastyczną scenę w dole. Patrzył długo, omiatając spojrzeniem każdy zakamarek magazynu. W końcu skierował wzrok wprost na mnie. Cały czas wstrzymywał oddech.

- Chryste - szepnął.

Skinieniem głowy pokazałem mu wyjście. Wykradliśmy się na schody.

- Chryste - powtórzył. - Wierzysz w to? Potrząsnąłem głową.

- Nie - odszepnąłem. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Co teraz zrobimy?

Podniosłem rękę, każąc Finlayowi poczekać na platformie. Wróciłem do środka i zająłem przez okno. Sprawdziłem wszystko, miejsce, w którym siedział Teale, wewnętrzne drzwi biura, pole ostrzału Klinera. Próbowałem zgadnąć, gdzie znajdują się Roscoe i Charlie. Przeliczyłem kąty, oceniałem odległości i w końcu doszedłem do jednego wniosku. Mieliśmy poważny problem.

Stary Kliner był najbliżej. Roscoe i Charlie pracowały pomiędzy nim i Teale'em. Groźniejszy był Teale, bo siedział na samym końcu. Kiedy stanę na schodach, cała czwórka spojrzy na mnie. Kliner podniesie strzelbę, Teale także. Obaj do mnie strzelą.

Kliner strzelałby prosto, sześćdziesiąt stopni w górę, jak myśliwy polujący na kaczki. Ale pomiędzy nim i Teale'em w dole stały Roscoe i Charlie. Teale strzelałby pod kątem znacznie mniejszym. Już teraz siedział trzy metry nad podłogą. Musiał pokonać jeszcze dziesięć z odległości trzydziestu pięciu metrów. Niewielki kąt, piętnaście, najwyżej dwadzieścia stopni. Ithakę zaprojektowano tak, by stożek ołowiu obejmował znacznie szersze pole niż piętnaście, dwadzieścia stopni. Strzał dosięgnąłby również kobiet i zabiłby je bez trudu. Gdy Teale uniesie wzrok i strzeli, Roscoe i Charlie zginą.

\* \* \*

Wyczołgałem się z biura i dołączyłem do Finlaya. Pochyliłem się i podniosłem plastikową butelkę z benzyną. Wręczyłem mu ją, dodałem zapalki. Pochyliłem się i powiedziałem, co ma zrobić. Szeptaliśmy chwilę, potem powoli ruszył w dół długich metalowych schodów. Ja wróciłem do biura i starannie położyłem desert eagle'a przy wewnętrznych drzwiach. Broń była odbezpieczona. Podpełzłem do okna, uniosłem głowę i czekałem.

Minęły trzy minuty. Wpatrywałem się w najdalszy koniec podnoszonych drzwi. Patrzyłem i czekałem. Obserwowałem szczelinę pomiędzy drzwiami i betonem na samym końcu, po przeciwnej stronie magazynu. Patrzyłem i czekałem. Cztery minuty. Małe postacie w dole poruszały się miarowo. Roscoe i Charlie napełniały kolejne pudła pod czujnym okiem

Teale'a. Kliner wgramolił się na szczyt sterty i kopniakiem zrzucił ku kobietom kolejne lawiny pieniędzy. Pięć minut. Kliner odłożył strzelbę, zostawił ją dziesięć metrów od siebie. Grzebał w pieniądzach, posyłając je w dół wprost do stóp Roscoe. Minęło sześć minut. Siedem.

I wtedy ujrzałem przenikającą pod drzwiami ciemną plamę benzyny. Rozszerzała się półkuliście coraz dalej. Dotarła do stóp olbrzymiej góry banknotów, cztery metry od miejsca, w którym siedział Teale. Cały czas rosła - ciemna plama na betonie. Kliner wciąż pracował dwanaście metrów dalej. Dziesięć metrów od broni.

Podkradłem się z powrotem do drzwi. Powolutku nacisnąłem klamkę. Zatrask ustąpił. Podniosłem pistolet, powoli uchyliłem drzwi. Wróciłem do okna, obserwując rosnącą kałużę benzyny.

Bąłem się, że Teale od razu wyczuje jej woń. To był najśłabszy punkt naszego planu. Ale nic nie poczuł, ponieważ cały magazyn wypełniał ostry, odrażający smród. Rąbnął mnie jak młot, gdy tylko otworzyłem drzwi - ciężka, kwaśna, tłusta woń. Woń pieniędzy, milionów zgniecionych, wytłuszczonych banknotów dolarowych, z których unosił się smród spoconych dłoni i kwaśnych kieszeni. Odór wisiał w powietrzu. Ten sam zapach poczułem w pustych pudłach w garażu Shermana Stollera. Kwaśną woń używanych pieniędzy.

I wtedy ujrzałem ogień. Finlay rzucił zapałkę. Niski błękitny płomień przeniknął spod drzwi i ogarnął plamę benzyny niczym rozwijający się kwiat. Dotarł do stóp olbrzymiej zielonej góry. Zobaczyłem, jak Teale obraca głowę i patrzy na niego z przerażeniem.

Podszedłem do drzwi, wysunąłem się na zewnątrz, wycelowałem. Oparłem przegub o poręcz balkonu, nacisnąłem spust i z odległości trzydziestu pięciu metrów zdmuchnąłem Teale'owi głowę. Wielki pocisk trafił go w skroń. Czaszka burmistrza eksplodowała, rozpryskując się na metalowej ścianie.

I nagle wszystko potoczyło się nie tak. Widziałem to w koszmarnym zwolnionym tempie, jak zawsze, gdy umysł porusza się szybciej niż ciało. Moja ręka z bronią przesuwiała się w lewo, aby trafić Klinerę sięgającego po własną strzelbę. Lecz Kliner zanurkował w prawo. Skoczył rozpaczliwie w dół do miejsca, w którym wylądowała strzelba Teale'a. Nie wracał po swoją, zamierzał użyć broni współnika, co oznaczało tę samą śmiertelnością geometrię. Moja dłoń zawróciła, zataczała gładki łuk w powietrzu, tuż za Klinerem turlającym się w dół zbocza, wśród fontanny banknotów. I wtedy usłyszałem dobiegający z dołu trzask otwieranych służbowych drzwi. Nagły huk zagłuszył echo wystrzału, który zabił Teale'a. Do środka wpadł Picard. Nie miał marynarki. Widziałem plamę krwi na olbrzymiej białej koszuli. Postąpił kilka chwiejnych kroków w stronę kobiet, odwracając głowę. Jego

prawa ręka unosiła się, celując we mnie, w gigantycznej dłoni tkwiła trzydziestka ósemka. Trzydzieści pięć metrów dalej Kliner dotarł do strzelby Teale'a i zaczął grzebać w stosie banknotów.

Widziałem błękitne płomienie ogarniające dół sterty dolarów. Roscoe obracała się powoli, patrząc na mnie. Charlie okręciła się w drugą stronę, spoglądając na Teale'a. Widziałem, że krzyczy. Jej dłonie podnosiły się wolno do twarzy, usta otwierały się, oczy zamykały. Powoli dotarł do mnie odgłos krzyku, zagłuszając zamierające echo wystrzału z desert eagle'a i trzaśnięcia drzwi.

Chwyciłem ręką poręcz balkonu i podciągnąłem się gwałtownie. Spuściłem pionowo rękę z bronią, wystrzeliłem i trafiłem Picarda w prawe ramię, ułamek sekundy przed tym, nim spojrzała na mnie lufa trzydziestki ósemki. Zobaczyłem, jak pada na podłogę w fontannie krwi. Natychmiast dźwignąłem rękę w stronę Klinera.

Mój umysł działał jak maszyna, jakby miał do czynienia z czysto mechanicznym problemem. Zablokowałem ramię tak, by odrzut automatu pchnął rękę do góry. W ten sposób zarobiłem ułamek sekundy. Cały czas unosiłem broń, gdy poczułem szarpnięcie w dłoni. Gazy wyrzuciły łuskę, zastąpił ją następny pocisk. Kliner podnosił już ithakę. Wszystko widziałem jak w zwolnionym tempie. Wokół tańczyły banknoty. Przeładował strzelbę, usłyszałem podwójny szczęk mechanizmu. W dole gasło echo strzału, który zatrzymał Picarda.

Mój obojętny umysł ustalił, że Kliner wystrzeli, gdy tylko lufa uniesie się odrobinę bardziej niż poziomo. W ten sposób trafi mnie góra stożka, a dolna zdekapituje Roscoe i Charlie. Podpowiadał, że pokonanie długości magazynu zabierze mojemu pociskowi nieco ponad siedem setnych sekundy i że powinienem celować wysoko w prawo, tak by odrzucić strzelbę od kobiet.

A potem mój mózg po prostu się wyłączył. Przekazał mi wszystkie niezbędne informacje i czekał, drwiąc z moich prób podniesienia ręki szybciej, niż Kliner zdąży dźwignąć lufę ithakil. Był to wyścig w rozpaczliwie zwolnionym tempie. Do połowy wychylałem się przez balkon, powoli podnosząc rękę, jakbym dźwigał olbrzymi ciężar. Trzydzieści pięć metrów dalej Kliner wolno unosił strzelbę, poruszał się jak zanurzony w syropie. Wyloty obu luf wznosiły się razem, centymetr po centymetrze, stopień za stopniem. Trwało to wieki, całe moje życie. U stóp sterty banknotów tańczyły płomienie, sięgały coraz wyżej, ogarniając kolejne partie pieniędzy. Żółte zęby Klinera rozchyliły się w wilczym uśmiechu. Charlie krzyczała, Roscoe powoli padała na betonową podłogę, niczym płatek

jedwabiu. Moja ręka i strzelba Klinera razem wędrowały w górę, centymetr za upiornym centymetrem.

Moja ręka pierwsza osiągnęła cel. Wystrzeliłem i trafiłem Klinera wysoko w pierś, po prawej. Wielki pocisk z czterdziestki czwórki zwałił go z nóg. Lufa itthaki odbiła w bok w tej samej chwili, gdy nacisnął spust. Strzelba zagrzmiała i wypaliła wprost w olbrzymią górę banknotów. W powietrzu zawirowały strzępy papieru, wypełniając cały magazyn. Tańczyły niczym płatki śniegu i kolejno stawały w ogniu.

A potem czas znów wystartował. Zbiegłem na dół, przeskakując po kilka stopni. Płomienie ogarniały wytłuszczoną górę papieru szybciej, niż mógłby poruszać się człowiek. Przebijając się przez chmurę dymu, chwyciłem Roscoe jedną ręką, Charlie drugą. Dźwignąłem je i poniosłem w stronę schodów. Czulem huragan powietrza wsyanego pod podnoszonymi drzwiami, podsycającego pożar. Cały magazyn stanął w ogniu. Olbrzymia sterta pieniędzy eksplodowała. Biegłem wprost ku schodom, wlokąc za sobą kobiety.

I wpadłem prosto na Picarda. Podniósł się z podłogi przede mną. Siła zderzenia zwała mnie z nóg. Stał tak niczym zraniony olbrzym, wrzeszcząc z wściekłości. Ze strzaskanego prawego ramienia tryskała krew, nasiąknięta nią koszula przybrała barwę ciemnego szkarłatu. Chwiejnie dźwignąłem się z podłogi, a wtedy uderzył mnie lewą ręką. Zachwiałem się. Doprawił kolejnym hakiem, który trafił mnie w rękę i wytrącił z niej desert eagle'a. Wokół nas wznosiły się płomienie, paliły mnie płuca, słyszałem dobiegające z boku histeryczne wrzaski Charlie Hubble.

Picard stracił rewolwer. Stał niepewnie przede mną, kołysząc się w przód i w tył, wymachując potężną lewą ręką, gotów do kolejnego ciosu. Wkładając w to cały swój ciężar, rąbnąłem go łokciem w szyję. Uderzyłem mocniej niż kiedykolwiek cokolwiek w życiu, on jednak tylko się otrząsnął i postąpił krok naprzód. Ciosem olbrzymiej lewej pięści pchnął mnie w bok, w ogień. Wciągnąłem w płuca dym, odturlałem się na bok. Picard znów się zbliżył. Stał wśród płonących pieniędzy. Pochylił się naprzód i kopnął mnie w pierś. Zupełnie jakbym zderzył się z ciężarówką. Moja kurtka zaczęła płonąć. Zdarłem jąz siebie i cisnąłem na niego. On jednak odrzucił ją lekceważąco i odchylił nogę, szykując się do kopniaka, który miał mnie zabić. I nagle jego ciało zaczęło podskakiwać, jakby ktoś za nim tłukł go młotem. Zobaczyłem Finlaya - strzelał do Picarda z rewolweru, który zabrał z posterunku. Wypalił sześć razy prosto w plecy agenta. Picard odwrócił się, spojrzał na niego, postąpił krok naprzód. Broń Finlaya szczęknęła pusta.

Skoczyłem w stronę izraelskiego automatu, podniosłem go z gorącej, betonowej podłogi i wypaliłem Picardowi w głowę. Jego czaszka, uderzona olbrzymim pociskiem,

dostłownie eksplodowała. Nogi ugięły się, zaczął padać na ziemię. Nim uderzył o podłogę, zdążyłem wystrzelić jeszcze cztery razy.

Finlay chwycił Charlie i odbiegł wśród płomieni. Ja szarpnąłem Roscoe, rzuciłem się na schody i powlokłem ją w górę do biura, potem na zewnątrz schodami przeciwpożarowymi. Płomienie tańczyły tuż za nami. Skoczyliśmy naprzód przez otwór w ogrodzeniu. Dźwignąłem Roscoe wyżej i pobiegłem przez pole do drzewa.

Za naszymi plecami pod naporem nagrzanego powietrza dach wyleciał w powietrze. W górę wystrzeliły płomienie, rozjaśniając nocne niebo. Wszędzie wokół opadały płonące kawałki banknotów. Magazyn płonął niczym palenisko, czułem na plecach gorący powiew ognia. Roscoe odpychała dłońmi płonące kawałki papieru. Minęliśmy drzewo i nie zatrzymując się pobiegliśmy dalej ku drodze. Dwieście metrów, sto. Za sobą słyszałem zgrzyt, huk i łoskot. Metalowy budynek odkształcał się i wybuchał. Przed nami czekał Hubble. Stał obok Bentleya. Otworzył szeroko tylne drzwi i rzucił się za kierownicę.

Cała nasza czwórka wpadła do tyłu. Hubble nacisnął pedał gazu. Samochód śmignął naprzód, drzwi się zatrzasnęły. Dzieci siedziały z przodu, krzyczały. Charlie krzyczała, Roscoe także. Z dziwną obojętną ciekawością zauważyłem, że ja również krzyczę.

Hubble przejechał półtora kilometra, potem zatrzymał się gwałtownie. Rozplataliśmy się i wypadliśmy z samochodu. Chwiejąc się na nogach, zaczęliśmy się obejmować, ścisnąć, całować i krzyczeć na zwirowym poboczu starej lokalnej drogi. Czwórka Hubble'ów przywarła do siebie. Podobnie my z Finlayem i Roscoe. A potem Finlay zaczął tańczyć wokół nas, krzycząc i śmiejąc się jak wariat. Bostońskie opanowanie zniknęło. Roscoe tuliła się w moich ramionach. Obserwowałem pożar szalejący w oddali. Z każdą chwilą stawał się coraz gorszy i większy. Teraz objął sąsiedni magazyn, worki nawozu azotowego i beczki z olejem wybuchały niczym bomby.

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę pożaru i wybuchów - cała siódemka ustawiona rzędem na drodze. Z odległości półtora kilometra obserwowaliśmy ognistą burzę. Jęzory płomieni sięgały w górę na setki metrów. Eksplodujące beczki rozlewały wszystko wokół siebie. Na nocnym niebie tańczyły płonące banknoty, milion pomarańczowych gwiazd. Wyglądało to jak piekło na ziemi.

- Chryste - westchnął Finlay. - My to zrobiliśmy?

- Ty to zrobiłeś, Finlay - poprawiłem. - To ty zapaliłeś zapałkę.

Roześmialiśmy się i uścisnęliśmy. Tańczyliśmy wokół ze śmiechem, klepiąc się po plecach. Podrzucaliśmy dzieci, całowaliśmy, obejmowaliśmy. Hubble uścisnął mnie mocno i klepnął w plecy. Charlie objęła mnie i ucałowała. Podniosłem z ziemi Roscoe i przytuliłem do

siebie w długim pocałunku, który trwał i trwał. Oplotła nogi wokół mego pasa, rękami objęła moją głowę. Całowaliśmy się, jakby od tego zależało nasze życie.

A potem powoli, spokojnie zawiozłem wszystkich do miasta. Finlay i Roscoe wcisnęli się razem na przednie siedzenie, czworo Hubble'ów stłoczyło się z tyłu. Gdy tylko łuna pożaru za nami zniknęła, dostrzegliśmy przed sobą blask płonącego posterunku. Zwolniłem, mijając stojący w ogniu budynek. Palił się pięknie, wyglądało na to, że nic z niego nie zostanie. Wokół krążyły setki ludzi obserwujących pożar. Nikt nie próbował pomóc.

Znów przyspieszyłem. Przetoczyliśmy się przez milczące miasto, skręciliśmy w prawo, w Beckman Drive, naprzeciw pomnika starego Caspara Teale'a. Okrążyliśmy cichy, biały kościół i półtora kilometra dalej dotarliśmy do znajomej białej skrzynki numeru 25. Szybko pokonałem kręty podjazd. Zatrzymałem się na chwilę, wypuszczając Hubble'ow, potem zawróciłem. Zahamowałem dopiero na końcu Beckman Drive. - Zjeżdżaj, Finlay! - rzuciłem.

Uśmiechnął się szeroko i wysiadł. Odszedł w noc. Ruszyłem przez Main Street i dalej, do domu Roscoe. Zatrzymałem się na jej podjeździe. Wpadliśmy do środka. Razem przeciągnęliśmy kredens przez hol i podparliśmy nim uszkodzone drzwi. Odcieiliśmy się od świata.

## 34

Nie wyszło nam z Roscoe. Tak naprawdę od początku nie mieliśmy szans. Zbyt wiele problemów. Trwało to nieco ponad dwadzieścia cztery godziny, a potem koniec. Znów ruszyłem w drogę.

Była piąta rano, niedziela, gdy zastawiliśmy kredensem strzaskane drzwi. Oboje byliśmy wyczerpani, lecz adrenalina jeszcze nie opadła. Nie mogliśmy spać. Zamiast tego zaczęliśmy rozmawiać. A każda minuta rozmowy tylko pogarszała sprawę.

Roscoe przez prawie sześćdziesiąt cztery godziny była więźniem. Nie znęcali się nad nią, powiedziała, że nikt jej nie tknął. Była przerażona, ale oni jedynie zmuszali ją do harówki jak niewolnicę. W czwartek Picard zabrał ją samochodem. Patrzyłem, jak odjeżdżają, pomachałem na pożegnanie. Poinformowała go o wszystkim. Kilometr dalej wyciągnął spluwę, rozbroił ją, zakuł w kajdanki i zawiózł do magazynu. Wjechał wprost do środka, i natychmiast kazali jej pracować, razem z Charlie Hubble. Kiedy siedziałem pod autostradą, obserwując magazyny, obie cały czas tam tkwiły. Roscoe osobiście rozładowała prowadzoną przez młodego Klinera czerwoną ciężarówkę. Tę samą, którą śledziłem aż do motelu nieopodal Memphis. Nie wiedziałem, dlaczego jest pusta.

Charlie Hubble pracowała w magazynie pięć i pół dnia, od poniedziałku wieczór. Wówczas Kliner zaczynał już wpadać w panikę. Jego zdaniem straż przybrzeżna wycofała się trochę za szybko. Wiedział, że musi się pospieszyć, by opróżnić magazyn, toteż Picard od razu zawiózł tam Charlie z dziećmi. Kliner kazał zakładniczkom pracować. Sypiały zaledwie kilka godzin, leżąc na stosie pieniędzy, przykute kajdankami do dolnego słupka metalowych schodów.

W sobotę rano, gdy jego syn i dwaj strażnicy nie wrócili, Kliner wpadł w szal. Teraz nie miał nikogo do pracy, toteż całą wściekłość skupił na zakładniczkach. W sobotę w ogóle nie spały, cały czas harowały, beznadziejnie próbując umieścić w pudłach sterty pieniędzy. Z każdą chwilą zostawały coraz bardziej w tyle. Za każdym razem, gdy kolejna ciężarówka wyrzucała na podłogę swój ładunek, Kliner wściekał się coraz bardziej.

I tak Roscoe przez trzy dni była niewolnicą - zastraszoną w ciągłym niebezpieczeństwie, wyczerpaną i poniżaną. Trzy długie dni. I była to moja wina. Sam jej powiedziałem. Im dłużej mówiłem, tym bardziej się upierała, że ranie nie wini.

- To moja wina - powtarzałem.
- To nie twoja wina - odpowiadała.
- Przepraszam - mówiłem.
- Nie przepraszaj - ona na to.

Słuchaliśmy siebie nawzajem, przyjmowaliśmy własne słowa. Wciąż jednak myślałem, że to moja wina i mimo jej zaprzeczeń, nie byłem w stu procentach pewien, czy ona też tak nie sądzi. Nie pokłóciliśmy się, lecz stało się to pierwszą nieśmiałą oznaką kłopotów.

Razem wzięliśmy prysznic w małej kabinie. Zostaliśmy tam niemal godzinę. Zmywaliśmy z siebie smród pieniędzy, potu i ognia i wciąż rozmawialiśmy. Opowiedziałem jej o piątkowej nocy, o pułapce podczas burzy w domu Hubble'a. Opowiedziałem wszystko - o torbach, skalpelach, młotku, ćwiekach. Powiedziałem, co zrobiłem z pięcioma napastnikami. Sądziłem, że się ucieszy.

I tu pojawił się drugi problem. Wówczas, kiedy staliśmy w strumieniach gorącej wody, nie wydawał się wielki, ale usłyszałem coś w jej głosie, lekkie drzenie. Nie był to szok ani zawód, jedynie cień pytania. Czy może nie posunąłem się za daleko? Słyszałem to w jej głosie.

Uważałem, że zrobiłem to dla niej i dla Joego. Nie dlatego że chciałem. To była sprawa Joego, a jej miasto, jej ludzie. Zrobiłem to, bo widziałem, jak próbuje wcisnąć się w kuchenną ścianę i płacze, jakby ktoś złamał jej serce. Zrobiłem to dla Joego i dla Molly, i

choć uważałem, że nie muszę się tłumaczyć, jednocześnie cały czas tłumaczyłem to sobie właśnie w ten sposób.

Wówczas nie wydawało się to problemem. Pryszyńc pozwolił nam się odprężyć, pozbawił nas napięcia, zastąpionego innymi uczuciami. Poszliśmy do łóżka, szeroko rozsuwając zasłony. Na zewnątrz był piękny dzień, słońce świeciło jasno na błękitnym niebie, powietrze było świeże i czyste. Wszystko wyglądało tak jak powinno. Nowy dzień.

I kochaliśmy się czule, energicznie, radośnie. Gdyby ktoś powiedział mi wówczas, że następnego ranka znów ruszę w drogę, uznałbym, że zwariował. Wmówiłem sobie, że nie ma żadnych problemów, że tylko je sobie wyobrażam. A jeśli coś jest nie tak, to przecież istnieją po temu powody. Może to opóźnione skutki stresu, adrenaliny, głębokie zmęczenie. Może fakt, iż Roscoe była zakładniczką. Może reaguje tak jak większość zakładników, czujących podświadomą zazdrość wobec innych, którzy nie dzielili ich losu, lekką instynktowną niechęć. Może uczucia te podsycaly jeszcze moje wyrzuty sumienia - czułem się winny, bo pozwoliłem im ją uwięzić. Może, może, może. Zasnąłem pewien, że obudzimy się szczęśliwi i zostanę tam na zawsze.

\* \* \*

I obudziliśmy się szczęśliwi. Spaliśmy do późnego popołudnia, a potem spędziliśmy kilka cudownych godzin. Przez okno wpadały promienie popołudniowego słońca, my zaś drzemaliśmy, przeciągaliśmy się, całowaliśmy, wybuchaliśmy śmiechem, znów się kochaliśmy, ogarnięci przemożną radością. Byliśmy żywi, bezpieczni i sami. To był nasz najlepszy raz - a także ostatni. Ale wówczas jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

Roscoe pojechała bentleyem do Ena po obiad. Nie było jej godzinę. Wróciła, przynosząc mnóstwo wieści. Widziała się z Finlayem. Zaczęła mówić o tym, co będzie dalej. I wówczas pojawił się najpoważniejszy problem, w porównaniu z nim pozostałe wydawały się niczym.

- Trzeba było widzieć posterunek. Zostały z niego szczątki fundamentów.

Postawiła jedzenie na tacy. Zjedliśmy, siedząc na łóżku. Pieczony kurczak.

- Wszystkie cztery magazyny spłonęły - oznajmiła. - Szczątki zasłały autostradę. Do akcji wkroczyła policja stanowa, musieli wezwać straż pożarną aż z Atlanty i z Macon.

- Policja stanowa? - powtórzyłem. Roscoe roześmiała się.

- Są tu wszyscy - odparła. - To jak śnieżna kula. Dowódca straży pożarnej z Atlanty wezwał saperów, bo nie wiedział, co wybucha. Saperzy nie mogą uczestniczyć w akcji bez zawiadomienia FBI na wypadek, gdyby chodziło o terrorystów, toteż Biuro zainteresowało się całą sprawą. A potem dziś rano dołączyła do nich gwardia narodowa.



- Gwardia narodowa? Dlaczego?

- To właśnie najlepsze - powiedziała Roscoe. - Finlay mówi, że kiedy wczoraj wybuch zerwał dach magazynu, nagły powiew rozrzucił wokół pieniądze. Pamiętasz płonące papierki, które na nas spadały? Wszędzie wokół walają się miliony dolarów. Wiatr rozrzucił je po polach, po autostradzie. Większość jest nadpalona, ale niektóre nie. Gdy tylko wzeszło słońce, znikąd pojawiło się tysiące ludzi, prawdziwy tłum. Wszyscy próbują je zbierać. Wezwano zatem gwardię narodową, by ich rozpędziła.

Zjadłem kawałek kurczaka i zastanowiłem się chwilę.

- Gwardię wzywa gubernator, prawda? - spytałem Przytaknęła z ustami pełnymi skrzydełek.

- Gubernator także wkroczył. Jest w tej chwili w mieście, a Finlay zadzwonił do Departamentu Skarbu z powodu Joego. Wysyłają tu swój zespół. Mówiłam ci. Zupełnie jak lawina.

- Co jeszcze? - spytałem.

- Oczywiście, mamy teraz na głowie mnóstwo spraw. Miasto kipi od plotek. Wszyscy już wiedzą, że to koniec fundacji. Finlay twierdzi, że połowa udaje, iż nie miała pojęcia, co się dzieje, a druga połowa jest wściekła, bo przestanie dostawać tysiąc dolarów tygodniowo. Trzeba było widzieć starego Ena, gdy odbierałam zarcie. Aż go nosiło.

- Finlay się martwi?

- Nieźle sobie radzi. Oczywiście, jest bardzo zajęty. Zostało nas czworo: Finlay, ja, Stevenson i sierżant. Finlay twierdzi, że to połowa tego, czego potrzebuje z powodu kryzysu, ale dwa razy więcej niż będzie nas stać, bo nie dostaniemy już więcej dotacji. Lecz tak czy inaczej nie możemy nikogo zwolnić ani zatrudnić bez zgody burmistrza, a przecież nie ma już burmistrza, prawda?

Siedziałem na łóżku, jedząc. Zaczynałem dostrzegać kolejne problemy, których wcześniej nie widziałem. Teraz stanęły przede mną w całej krasie. W mojej głowie pojawiło się podstawowe pytanie, przeznaczone dla Roscoe. Pragnąłem zadać je od razu i usłyszeć szczerą, spontaniczną odpowiedź. Nie chciałem, by miała czas do namysłu.

- Roscoe? - zagadnąłem. Spojrzała na mnie. Czekala.

- Co teraz zrobisz?

Skrzywiła się, jakby było to dziwne pytanie.

- Będę zasuwac - odparła. - Czekają nas mnóstwo pracy, musimy odbudować całe miasto. Może stworzymy coś lepszego, wartościowego. A ja mogę w tym odegrać wielką rolę. Pewnie trochę awansuję. Nie mogę się już doczekać, naprawdę. To moje miasto i chcę w

tym uczestniczyć. Może zasiądę w radzie miejskiej, może nawet wystartuję w wyborach na burmistrza. To byłoby coś, nie sądzisz? Po tylu latach zamiast Teale'a burmistrz Roscoe!

Patrzyłem na nią. To była świetna odpowiedź, ale niewłaściwa. Nie dla mnie. Nie chciałem jej namawiać, żeby zmieniła zdanie. Nie zamierzałem naciskać. Dlatego właśnie spytałem od razu, nim wyjaśniłem, co muszę zrobić. Chciałem, by odpowiedziała szczerze, naturalnie. I odpowiedziała. Dla niej było to najlepsze wyjście. To jej miasto, jeśli ktokolwiek zdoła je naprawić, to właśnie ona. Jeśli ktoś powinien tu zostać, pracując ile sił, to Roscoe.

Dla mnie jednak nie była to dobra odpowiedź. Bo wówczas wiedziałem już, że muszę odejść. Wiedziałem, że muszę zniknąć, i to szybko. Problem w tym, co dalej. Cała sprawa wymknęła się spod kontroli. Przedtem chodziło tylko o Joego, o prywatną zemstę. Teraz sprawa stała się publiczna, jak nadpalone banknoty dolarowe. Wszystko się rozsypało.

Roscoe wspomniała o gubernatorze, Departamencie Skarbu, gwardii narodowej, policji stanowej, FBI, straży pożarnej z Atlanty. Pół tuzina sprawnie działających agencji skupiło swój wzrok na Margrave. Wkrótce naprawdę zaborą się do rzeczy. Nazwą Klinera fałszerzem stulecia, odkryją zniknięcie burmistrza, dowiedzą się o udziale we wszystkim czterech policjantów, FBI zacznie szukać Picarda. Do akcji włączy się Interpol z powodu powiązań z Wenezuelą. Zacznie się wyścig. Sześć agencji konkurujących ze sobą w śledztwie. Rozedrą miasto na strzępy. A jedna z nich wcześniej czy później mnie wyłapie. Byłem obcy. Znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Skojarzenie, że jestem bratem martwego rządowego śledczego, zabierze im najwyżej minutę. Przyjrzą mi się, ktoś pomyśli: zemsta, zamkną mnie i zaborą się do pracy.

Nie zostanę skazany, to pewne. Nie zostawiłem żadnych dowodów. Cały czas bardzo uważałem. Wiedziałem też, jak mylić tropy. Mogli ze mną gadać, póki nie wyrosnie mi długa siwa broda. Niczego nie wyciągną, to pewne. Ale będą próbowali. Z całych sił. Przez dwa lata przetrzymają mnie w Warburton. Dwa lata na piętrze przejściowym. Dwa lata mojego życia. W tym właśnie problem. Nie ma mowy, żebym dopuścił do czegoś takiego. Dopiero co odzyskałem własne życie. Po trzydziestu sześciu latach pół roku wolności. To było najszcześniejsze pół roku mojego życia.

Toteż musiałem zniknąć, zanim ktokolwiek zorientuje się, że tu jestem. Podjąłem już decyzję. Znów musiałem stać się niewidzialny, uciec jak najdalej od Margrave w miejsce, w którym czujne agencje nie będą mnie szukać. Oznaczało to, że moje marzenia o przyszłości z Roscoe przysły, nim jeszcze zdążyły rozkwitnąć. Musiałem powiedzieć jej, że nie jest warta dwóch lat mojego życia. Musiałem jej to powiedzieć.

Rozmawialiśmy całą noc. Nie pokłóciliśmy się, po prostu rozmawialiśmy. Wiedziała, że to dla mnie najlepsze wyjście. Jawie działałem, że ona wybrała najlepsze wyjście dla siebie. Poprosiła, żebym został. Myślałem długo, w końcu odmówiłem. Poprosiłem ją, by pojechała ze mną. Myślała długo, i w końcu powiedziała: nie. Nie mieliśmy nic więcej do dodania.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach, o tym, co zamierzamy robić. I powoli uświadomiłem sobie, że nawet gdybym tu został, czułbym się rozdarty, równie mocno jak po odejściu. Bo nie chciałem tego, o czym mówiła. Nie chciałem wyborów, burmistrzów, głosowań, rad, komitetów. Nie pragnąłem podatków od nieruchomości, opłat technicznych, izb gospodarczych i strategii. Nie chciałem siedzieć tu znudzony, niespokojny. Małe problemy, wyrzuty, poczucie winy rosłyby i rosły, aż w końcu by nas zadławiły. Pragnąłem tego, o czym mówiłem - otwartej drogi, codziennie nowych miejsc. Kilometrów przed sobą, braku pewności tego, dokąd zmierzam. Chciałem wędrować. Łaknąłem włości.

Siedzieliśmy tak z nieszczęśliwymi minami i rozmawialiśmy aż do świtu. W końcu poprosiłem, by zrobiła dla mnie jeszcze jedno. Zorganizowała pogrzeb Joego. Powiedziałem, że chciałbym, by uczestniczył w nim Finlay, Hubble'owie, dwóch starych fryzjerów i ona sama. Chciałem, aby uprosiła siostrę staruszką, by zaśpiewała smutną piosenkę dla Joego. Poprosiłem Roscoe, żeby spytała starą Murzynkę, gdzie dokładnie znajduje się łąka, na której sześćdziesiąt dwa lata temu śpiewała do wtóru gitary Ślepego Blake'a, i żeby rozsypała na niej popioły Joego.

O siódmej rano Roscoe Bentleyem zawiodła mnie do Macon. Nie przespaliśmy ani minuty. Jazda zabrała godzinę. Siedziałem z tyłu, za nową przyciemnioną szybą. Nie chciałem, by ktoś mnie widział. Pokonaliśmy wzniesienie i nagle otoczyły nas samochody. Całe miasto się pakowało. Nim jeszcze dotarliśmy do Main Street, wiedziałem, że wokół kipi jak w ulu. Wszędzie wokół stały samochody. Furgonetki telewizyjne wszystkich sieci oraz CNN. Skuliłem się na tylnym siedzeniu. Mimo wczesnej godziny na ulicy tłoczyli się ludzie. Gdzie tylko spojrzałem, dostrzegałem ciemnoniebieskie rządowe pojazdy. Skręciliśmy za róg przy kafejce. Na chodniku stała długa kolejka ludzi czekających na śniadanie.

Przejechaliśmy przez zalane słońcem miasto. Main Street zamieniła się w jeden wielki parking. Na chodnikach stały samochody. Widziałem wozy straży pożarnej i radiowozy policji stanowej. Kiedy mijaliśmy zakład fryzjerski, zajrzałem do środka, nie dostrzegłem jednak staruszków. Będę za nimi tęsknić. I za Finlayem. Zawsze będę się zastanawiać, jak mu się ułożyło. Powodzenia, Harwardczyku, pomyślałem. Życzyłem też szczęścia Hubble'om. Ten ranek stanowił dla nich początek długiej drogi. Będą potrzebowali szczęścia. I...

powodzenia, Roscoe. Siedziałem w milczeniu, w głębi duszy życząc jej wszystkiego najlepszego. Zasłużyła sobie na to. O tak, zasłużyła.

Zawiozła mnie aż do Macon. Znalazła dworzec autobusowy. Zaparkowała. Wręczyła mi niewielką kopertę. Poprosiła, żebym nie otwierał jej od razu, toteż schowałem ją do kieszeni. Pocałowaliśmy się na pożegnanie. Wsiadłem z samochodu, nie oglądając się za siebie. Usłyszałem pisk wielkich opon i wiedziałem, że już jej nie ma. Wszedłem do środka. Kupiłem bilet. Potem znalazłem tani sklep z ciuchami po drugiej stronie ulicy. Przebrałem się na miejscu, pozostawiając w koszu na śmieci brudny strój maskujący. Spacerkiem wróciłem na dworzec i wsiadłem do autobusu zmierzającego do Kalifornii.

Przez ponad sto kilometrów miałem łzy w oczach. Stary autobus pokonał granicę stanu. Znaleźliśmy się w Alabamie. Otworzyłem kopertę Roscoe. W środku tkwiło zdjęcie Joego. Zabrała je z walizki Molly Beth, wyjęła z ramki i przycięła nożyczkami tak, by pasowało do mojej kieszeni. Na odwrocie zapisała numer telefonu. Ale nie potrzebowałem go. Już dawno znałem go na pamięć.